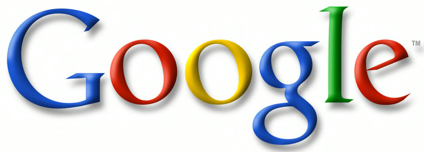
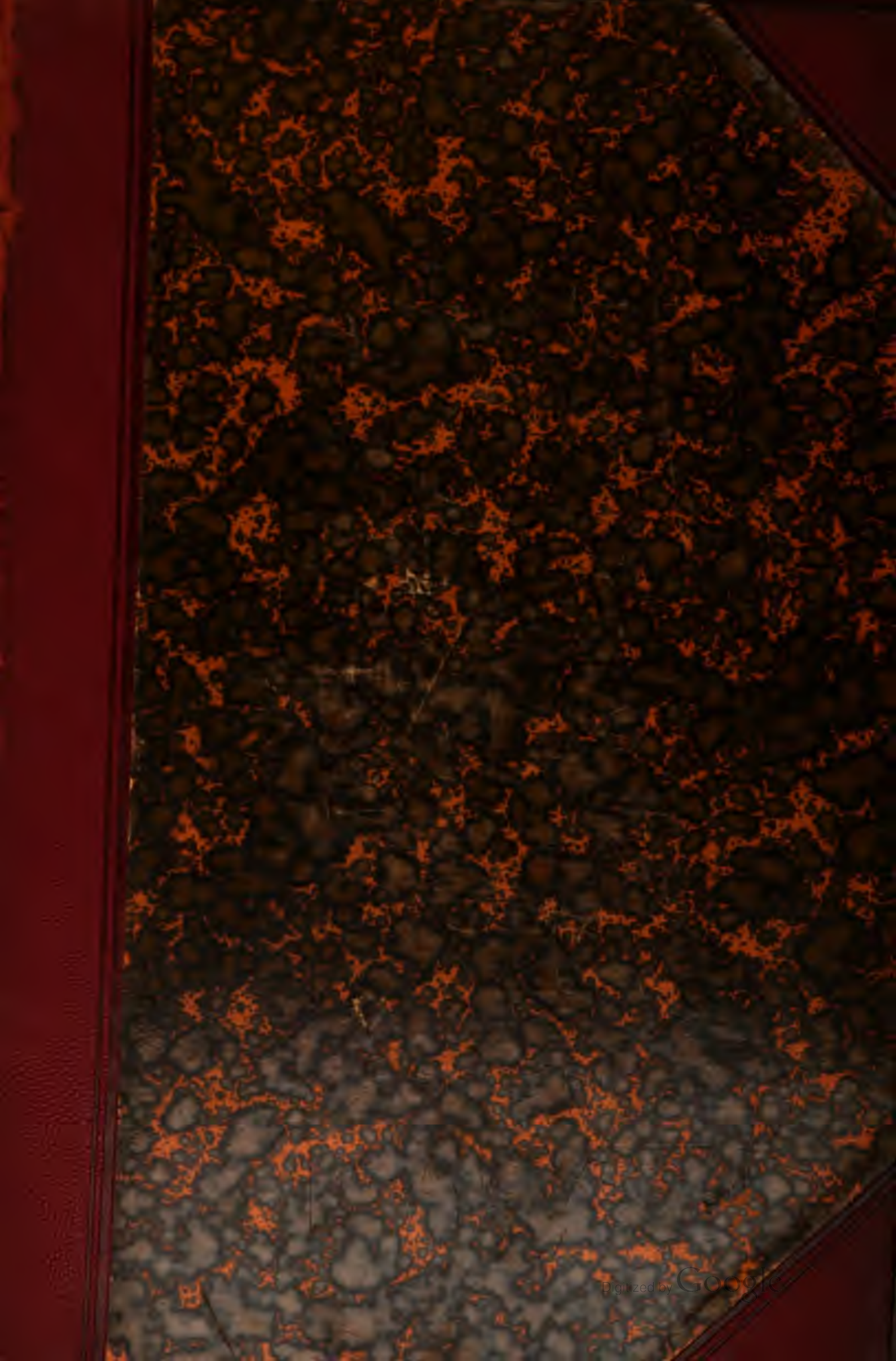




HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ.

W Drukarni Noskowskiego, Warecka № 15.

ST. TARNOWSKI

HISTORYA LITERATURY POLSKIEJ

WYDANIE DRUGIE,

PRZEZ AUTORA PRZEJRZANE I DOPEŁNIONE.

TOM II.

WIEK XVII.

W WARSZAWIE.

NAKŁADEM „SŁOWA." — WARECKA 15.

1903.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Мая 1903 года.

UWAGA DO TOMU DRUGIEGO.

Czytelnik zauważy może, że pisarze wieku XVII obrobieni są obszerniej, więcej szczegółowo, niż ich poprzednicy. Tłómaczę się z powodu, dla którego tak postąpiłem. Ile mogę wiedzieć i uważać, wiek XVI, świetniejszy, znany jest dokładniej. Jego pisarze nie są obcy czytającej publiczności, a przez krytyków także więcej zbadani. Przeciwnie pisarze XVII wieku czytywani są przez nielicznych tylko, a ogółowi znani z nazwiska, lub z bardzo niedostatecznych wyjątków. Dlatego zdawało mi się potrzebnem mówić o nich więcej i treść ich dzieł podać obszerniej.

ROZDZIAŁ I.

(1600—1614).

I. Smutniejsze czasy. Wiek XVII. W czem różny od XVI-go. Wszechwładza państwa. Jej filozofia. Filozofia historyi. Zmiana w literaturach. Wiek XVII w Polsce. Jego pierwsza połowa. Zygmunt III. Możnowładztwo. Konserwatyzm szlachty. Literatura w początkach XVII wieku. Brak nowych myśli i świadomych dążności. Zastój. Instynktowe pragnienie nowych form. Powody jego bezskuteczności. II. Broszury rokoszowe. Szymonowicz. Jego dramaty. *Lutnia Rokoszańska.* Miaskowski. Piotr Zbylitowski. Dyalogi. *Kanclerz* Heidensteina. *Sielanki* Szymonowicza. Petrycego przekłady *Aristotelesa.*

I.

Smutniejsze czasy. Wiek XVII. W czem różny od XVI. Wszechwładza państwa. Jej filozofia. Filozofia historyi. Zmiana w literaturach. Wiek XVII w Polsce. Jego pierwsza połowa. Zygmunt III. Możnowładztwo. Konserwatyzm szlachty. Literatura w początkach XVII wieku. Brak nowych myśli i świadomych dążności. Zastój. Instynktowe pragnienie nowych reform. Powody jego bezskuteczności.

Z początkiem XVII wieku wchodzi się w smutny okres naszej historyi. Nie żeby zmiana była nagła i odrazu widoczna, owszem, panowanie Zygmunta III i Władysława jest jeszcze świetne i szczęśliwe. Ta epoka chlubi się świetnymi czynami: Żółkiewski w Moskwie, Carowie w Warszawie, Chodkiewicz pod Kircholmem i Chocimem, to i piękne karty narodowych dziejów i dowody, że jeszcze była w tej Polsce siła a dla niej ratunek,—z tych faktów sądząc, wnosiłoby się, że upadek Rzpltej bynajmniej koniecznym jeszcze nie był. Przecież te czasy, na pozór jeszcze świetne i szczęśliwe, wydają nam się gorsze, i słusznie. One nie są jeszcze początkiem końca, ten nastąpił dopiero za J. Kazimierza; one nie dały do niego powodu, ten leży głębiej i dalej, jest dawniejszy,—ale naturalna jest rzecz, że im bliżej tego początku końca, tem bardziej czuje się jego rychłe przyjście, tem więcej spotyka się jego złowrogich znaków i zapowiedzi. Bezskuteczność działania dzieł dokona-

nych, jest zawsze zła i zatrważająca; ale kiedy trwa długo, staje się groźną i niebezpieczną. Można powiedzieć, że w wieku XVI większa część najświetniejszych czynów polskiej broni i polskiej polityki pozostała bez skutku; z wyjątkiem Unii, żadne dzieło dobre tego wieku, żadne zwycięstwo, żadna wyprawa, skutków trwałych i stanowczych nie przyniosła; nie przyniosły ich nawet wyprawy Batorego. W skutku tego położenie Polski zewnętrzne nie było teraz lepszem niż pierwej, a pogorszylo się przez rzecz nową, przez sprawy i zawikłania i wypływające z nich wojny szwedzkie. Położenie wewnętrzne nie poprawiło się także, owszem pogorszyło się znacznie, bo jeżeli to dobre, jakie zrobił wiek XVI, z wyjątkiem Unii, nie stało się trwałym nabytkiem Rzpltej, to złe, jakie on zrobił, znowu z jednym wyjątkiem protestantyzmu, złe, jakie zaprowadził w konstytucyi Rzpltej i w obyczaju publicznym, to zostało i rozwijało się i rosło. Została elekcya, zostały bezkrólewia, zostały sejmy, rozchodzące się na niczem, został skarb pusty, granice nieopatrzone i t. d. Kokosza wojna, która pod koniec wieku XVI odżyła pod gorszą formą w sprawie Zborowskich, w XVII stała się już wojną prawdziwą, nie kokoszą, ale ludzką, domową. Złe prywatne malało, ale złe publiczne rosło, a z niem naturalnie rość i wzmagać się musiała i zgubna bezskuteczność działania. Takiego tryumfu jak wzięcie Carów w niewolę, albo wojny z tak wielkim w możliwości skutkiem jak chocimska, wiek XVI nie widział; ale tryumfy to marne, z których nawet miłość własna ma pociechę niezupełną, skoro po nich przyszedł gorszy odwet, a o wszystkich zwycięstwach i świetnych czynach tej epoki, historya mówi tylko, że mogły wpłynąć na losy Polski, mogły zmienić jej przyszłość, a może i kartę Europy, mogły: ale nie zmieniły. Były bezskuteczne. Dlaczego? To smutna puścizna wieku XVI. Gdyby Rzplta zamiast targować się z Batorym na sejmie, była mu dała tyle wojska i pie-

niędzy, ile ich potrzebował pod Pskowem, to wyprawa Żółkiewskiego nie byłaby się zapewne skończyła na marnym tryumfie; a gdyby za Batorego, gdyby w roku 1595 było przyszło do ligi przeciw Turkom, to wojna chocimska, albo byłaby zupełnie niepotrzebną, albo byłaby im zadała cios tak stanowczy, jak wyprawa wiedeńska Sobieskiego. Ale w XVI wieku Polska żadnemu ze swoich nieprzyjaciół śmiertelnej rany nie zadała, biła się z każdym do pierwszej krwi; nieprzyjaciel z lekkiej rany prędko wyleczony, zaczepiał ją znowu, coraz mocniejszy w sobie, kiedy ona, coraz słabsza, już mu ciężką ranę coraz trudniej zadać mogła. Jak Danaida nalewała naczynie bez dna przez cały wiek XVII, tylko nieszczęśliwa Danaida lała w te dwie beczki, turecką i moskiewską, swoją krew; raz mniej drugi raz więcej, nigdy dosyć, żeby beczkę odrazu napełnić, a w tej pracy swojej mogła skarżyć się gorzko na wiek XVI, że on, któremu było łatwiej, dna w tę beczkę nie wprawił. A nie tylko, że błędy jego dźwigać i za nie pokutować musiała; ze skutkami błędów popełnionych odziedziczyła po nim i powody błędów, odziedziczyła to samo usposobienie, te same skłonności, tylko niebezpieczniejsze, bo głębiej zakorzenione i do wydarcia trudniejsze; a jak rokosz Zebrzydowskiego był wyższą potęgą wojny Kokoszej, tak Cecora była wyższą potęgą tego niedbalstwa, tej zazdrości grzesznej i głupiej, która Batoremu w wyprawie moskiewskiej stawiała przeszkody. Są to więc, pomimo świetnych pozorów, czasy smutniejsze, choć może mniej winne, te czasy Zygmunta III; i nie z winy Zygmunta, nie z winy tego lub owego człowieka, ale naturalnym wzrostem i postępem złego, któremu dostateczna wola wszystkich tamy położyć nie umiała, a wola kilku lub kilkunastu tamy położyć nie mogła. Ludzie swoją drogą mogli być, i byli winni, Zygmunt sam, tem przedewszystkiem, że wplątał Polskę w tak niepotrzebną i nieszczęsną wojnę ze Szwecyą; chociaż, być może, że

żądza Szwedów opanowania wybrzeży Baltyku, wsparta niepoślednią ich siłą i energią, byłaby i bez Zygmunta znalazła pozór do wojny z Polską o jej nadmorskie prowincye. Winne wszystkie, jak Szajnocha nazywa, królewięta polskie: Mniszech, urządzający na własną rękę wyprawę do Moskwy, Zebrzydowski występujący do otwartej walki, winni i lepsi z pomiędzy nich, jak Albert Radziwiłł, odgrażający się królowi o starostwo tucholskie, winna i szlachta ze swoimi próżnymi wrzaskami sejmowymi: wszyscy oni to dowody, że jest „coś nadgniłego w Danii". A to gnicie im dalej, tem gorsze. Albert Radziwiłł tylko królowi groził zemstą za jakieś nieotrzymane starostwo, ale w drugiem pokoleniu Janusz Radziwiłł odda Litwę Szwedom, a Opaliński przez zemstę, że nie dostał pieczęci, odda im Wielkopolskę. Mniszech marzył o jakiejś obcej koronie dla córki, a Zebrzydowski podniósł rokosz, ale jeszcze w chwili, kiedy Rzplta była spokojna i bezpieczna; ale w drugiem pokoleniu Lubomirski, choć na pierwsze słowo odpowiada: *Apage, Satanas*, przecież daje ucho austryackim podszeptom i pokusom i marzy o koronie już polskiej, a wojnę domową podnosi w chwili, kiedy ojczyzna skołatana, ledwie żywa, tylko co uszła rozbioru. Za Zygmunta III zazdrość i egoizm tylko drugiemu pomagać nie chcą, za J. Kazimierza same pierzchają z pola pod Piławcami i składają broń pod Ujściem; za Zygmunta tylko się sejmy rozchodzą, nic nie zrobiwszy, za Władysława już robią źle wprost i otwarcie, kiedy każą rozpuścić zaciągi, a za J. Kazimierza sejmy się zrywają. A jak od Zebrzydowskiego do Radziejowskiego, tak od Cecory do Piławiec, tak od sejmów marnych i daremnych do sejmów zrywanych, od jednomyślności do *Liberum Veto*, był tylko krok jeden.

Kiedy się ten krok postawił, kiedy się ten Rubikon przeszedł, wtedy zaczął się początek końca. Zygmunt III i Władysław wypadają na tę chwilę, kiedy się Polska nad brzeg Rubikonu zbliżała. Czy mogli ją

wstrzymać na brzegu? Chcieli, to pewna; byli ludzie, którzy chcieli i próbowali, jak byli i tacy, którzy, nieraz bez swojej wiedzy i woli, nie wiedząc co czynią, pchali ją ku niemu i przejście ułatwiali. Ale cokolwiek epoka ta złego zrobiła, cokolwiek czynnie na szkodę Rzpltej zdziałała, przecież powiedzieć o niej trzeba, że więcej złego odziedziczyła, aniżeli go sama stworzyła. To nie jest obrona; bo Polska w pierwszej połowie XVII wieku mogła była i była powinna złe widzieć i na nie poradzić, a ona tymczasem pozwoliła mu rozwijać się swobodnie, i bez przeszkody. Zarzutu więc zmyć z niej niepodobna; tylko to poprostu stwierdzić trzeba, że polityczny upadek Rzpltej w tych czasach, jest tylko dalszym ciągiem tego, co się zaczęło w wieku XVI, naturalnym, logicznym, normalnym wzrostem i postępem złego, które już było, a które im dłużej trwało, tem trudniejsze było do pokonania.

Nietylko wieki, ale okresy i epoki historyczne nie są oddzielone od siebie twardemi, ściśle oznaczonemi granicami. Jeden po drugim następuje, i każdy ma swoje odrębne cechy, swoje główne myśli i dążności, stanowiące jego życie i dzieje; ale niema nigdy w historyi tej chwili, (tego roku, czy faktu), w którymby się urywał i kończył ten ogólny zbiór myśli, dążeń i czynów, jaki stanowił treść wieku czy okresu, w której zaczynałoby się coś nowego i zupełnie odmiennego. Owszem okresy i wieki spływają się z sobą; następują po sobie, ale z siebie wynikają. Jeden przechodzi i przemienia się w drugi zwolna i nieznacznie. W kalendarzu tylko można ściśle oznaczyć daty: w historyi punkty zwrotne widoczne nie są, i każdy wiek następny snuje pasmo swoich dziejów z tego materyału, jaki mu zostawił poprzedni. On z tego poprzedniego wyszedł, na nim się wychował i wykształcił, naciągnął w siebie mnóstwo jego soków żywotnych. Przerobił je później sam, dorobił wiele nowych, ale tamte nosi w sobie zawsze, a nosi je (zwłaszcza w początkach) w takiej

liczbie i sile, że choć chronologia liczy wiek nowy, historya mało dostrzega różnic od dawnego.

Wiek XVII mianowicie, w swoich początkach, okazuje mało znamion własnych. Przejście jest tak łagodne, przemiana tak nieznaczna, że możnaby brać go za dalszy nieprzerwany ciąg tego samego wątku, z tych samych pierwiastków i materyałów. Główne pierwiastki wieku XVI dają się w nim widzieć wyraźnie. Rozłam świata chrześcijańskiego na katolicki i protestancki zostaje i wpływa zawsze przeważnie na stanowisko i politykę państw, na wypadki. Wpływ świata starożytnego zostaje i działa dalej; wszystkie literatury europejskie i wszystkie sztuki, w znacznej mierze nauki, rozwijają się w tych kierunkach, idą dalej tym pędem, jaki im nadało odrodzenie starożytnego świata. Napozór różnic niema, a jeżeli są, to bardzo nieznaczne. Ale w głębi są one i rozwijają z siebie odrębne cechy i dzieje tego wieku, wydają z siebie nowe i jego własne pierwiastki; a zmiana dlatego wydaje nam się tak małą i nieznaczną, że odbywa się naturalnym procesem, cicho i spokojnie. Bez wstrząśnień, bez nagłych zmian, rosną, rozwijają się, dojrzewają, ziarna, zasiane przez wskrzeszenie pojęć starożytnych i przez reformacyę. To, co w wieku XVI tkwiło jako zaród dla ogółu niewidzialny i niezrozumiały, to w następstwie czasu i w logicznej konsekwencyi rozwinęło się, objawiło jako fakt dominujący i znamienny, jako cecha wieku XVII i jako treść jego dziejów.

Pierwszym i najważniejszym takim skutkiem przyczyn dawniejszych, i zarazem główną cechą wieku XVII, a rzeczą w chrześcijańskim świecie zupełnie nową, przedtem nieznaną, było stanowcze oddzielenie idei i zasady państwa, od idei i zasady religijnej: emancypacya państwa z pod chrześcijaństwa i jego zakonu, Nie w tem znaczeniu, jakoby panujące indywidua lub domy były się chrześcijaństwa wyparły; ale, że państwo i jego interes stoją odtąd jako niezależne od wszel-

kiego innego prawa i przed żadnem nieodpowiedzialne. Polityczne zbrodnie, antagonizmy i walki władzy świeckiej z duchowną, były zawsze; ale przed wiekiem XVI była zawsze świadomość odpowiedzialności, świadomość związku ludzkich czynów, lub praw, z prawem Bożem. Nikt nie myślał i nie przypuszczał, iżby jedne od drugich mogły być niezależne, dały się oddzielić. W wieku XVI widzą i pochwalają ten rozdział niektóre umysły, szczególnie sceptyczne; ale nie czuje go i nie domyśla się niezmierna większość, ogół umysłów w Europie. Owszem, ten w swoich namiętnych fanatycznych religijnych walkach, występuje i działa (w dobrej wierze) w imię religijnego interesu, w obronie tego, co ma za prawo Boskie i za zbawienie dusz ludzkich, rozdziału tych praw i spraw na dwa porządki różne i od siebie niezależne nie widzi, nie domyśla się, zwłaszcza nie chce.

A jednak rozdział się dokonał i objawił. Emancypacya spraw i rządów świeckich i politycznych od chrześcijańskiego zakonu, uznanie i ogłoszenie ich za niezależne od sumienia, życie chrześcijańskie, ze swojemi prawami i odpowiedzialnościami, i życie polityczne, pojęte jako dwa pierwiastki różne i oddzielne, jako dwie linie równoległe, po których toczą się sprawy innej natury,—to objawiło się wyraźnie w wieku XVII dopiero, ale przygotowywało się w XVI i z jego posiewów wyrosło.

Pierwszy początek tkwił w Odrodzeniu i w skwapliwem przyjęciu pojęć starożytnych. Świat starożytny bez jasnego pojęcia nieśmiertelności, przyszłego życia i odpowiedzialności człowieka, nic dziwnego, że cel swój i kres mieścił w życiu ziemskiem, a prawo najwyższe w życiu społecznem. Miasto greckie, państwo Rzymskie, mogło dla starożytnych być i ostatnim celem, i ostateczną zasadą. Świat chrześcijański w wiekach średnich robił wiele złego, ale zawsze myślał i wierzył, że z tego, co robi, będzie musiał zdać rachu-

nek. Wpływ starożytnych pierwszy podkopał i zachwiał tą świadomość; on, przez cześć łatwowierną, jaką był otoczony, wszczepił i rozszerzył to pojęcie nieodpowiedzialności spraw i interesów rządowych przed Bogiem i sumieniem. One nie ulegały innym prawom, były same prawem; mogły nakładać prawa, nie potrzebowały im ulegać. Tak wszczepione pojęcia wyhodowała, zakorzeniła, rozwinęła reformacya. Ona wypowiadała tylko posłuszeństwo Kościołowi katolickiemu, związku życia świeckiego z religijnem zrywać nie myślała i nie chciała. Ale przez to, że przyznała władzy świeckiej zwierzchnictwo w rzeczach religijnych, zerwała go *de facto*, bo połączyła i pomieszała pierwiastek religijny i prawo religijne z interesem świeckim, poddała je pod wolę jednego i świeckiego człowieka. Zaprowadziła różne wyznania i odcienie wyznań, ale zniosła u siebie Kościół; zostało tylko państwo samo, bez przeciwwagi, bez wyobraziciela i stróża duchowych prawd i wyższych praw, bez tej moralnej powagi, którą w wiekach średnich ono gwałciło nieraz, ale uznawało zawsze.

Dla natury ludzkiej w ogólności była moralność starożytnych, jako łatwiejsza, nader ponętna, i ona to sprowadziła głębokie i powszechne zepsucie obyczajów. Dla natury panujących i rządów znowu, nader ponętną była ta niezależność polityki od sumienia, idea państwa, jako najwyższego prawa, i natura ludzka sprawiła już sama, że ta idea rozrzucona przyjęła się, rozkrzewiła, i zakorzeniła tak, że do dziś dnia wyrwać jej nie można. Wiek XVII, to jego cecha i charakter, kształci ją, rozwija, i doprowadza do zupełnej dojrzałości. W nim poraz pierwszy występuje państwo jako zapełnie niezależne, jako ostatni cel, jako zasada i potęga, nad którą niema nic, i on, przed swoim końcem formułuje *racyę stanu* jako najwyższe prawo. Jego następca, wiek XVIII, nie zmieni tego: tylko będzie pytał, czy ta racya stanu, to najwyższe prawo, ma spo-

czywać w rękach króla lub w innych, i przed swoim końcem nada zasadzie tej samej kształt inny, w rewolucyi.

Jest więc w początkach wieku XVII niby wszystko jak było, (mówimy na teraz o jego pierwszej połowie). Europa podzielona na katolicką i protestancką. Kościół katolicki obwarował i zabezpieczył swoją naukę i swoją istotę, ale musiał zostać na stanowisku obronnem i znosić cierpliwie (przeszkodzić nie mógł) rozdział życia świeckiego od religijnego. Znosił go w krajach katolickich, a stopniowo tak do niego przywykł, że choć uważał go za zły, nie próbował gò naprawiać, Przez ciąg wieku XVII i XVIII, Kościół nader rzadko o tem wspomina, zachowuje się w tej mierze biernie; sądzi zapewne, że nie pora walczyć, bo widoków powodzenia niema. Państwo tymczasem rośnie, emancypuje się coraz bardziej, Kościół w jego prawach ukróca lub uciska, on znosi i upomina się tylko wtedy, kiedy już koniecznie musi; być może, że przez przyzwyczajenie sam czuje swoje upośledzenie mniej żywo, i akomoduje się do tego stanu rzeczy. Później dopiero, dużo później, kiedy stan rzeczy jako swój logiczny skutek wydał zachwianie wszelkiego politycznego i społecznego porządku, wtedy dopiero, w wieku XIX, Kościół przypomniał, że pierwszym powodem złego jest ów rozdział, owa emancypacya spraw świeckich z pod praw i przykazań Bożych.

Jak ona w ciągu XVII wieku rośnie i utwierdza się, to poznać można ze spraw podobnej natury, toczących się teraz i dawniej. Wojny religijne wieku XVI w Niemczech, Hugonotów i Ligi we Francyi były naprawdę wojnami religijnemi. Obu stronom chodziło o zwycięstwo tego, co miały za prawdę religijną. Wojna Trzydziestoletnia toczy się także między protestanckiemi a katolickiemi państwami i interesami, ma czasem pozór lub tu i owdzie bezpośredni powód w wyznaniu, ale jest wojną na wskróś i zupełnie polityczną

w której każdemu chodzi o jego zwycięstwo, przewagę lub zysk, w sprawach ściśle świeckich. Rewolucya angielska (pierwsza) ma w sobie najwięcej szczerego religijnego pierwiastku i fanatyzmu; ale i ona nie o protestantyzm walczy, bo ten zagrożony nigdy nie był, ale o polityczny stan rzeczy do którego łączą się namiętności i interesy dwóch różnych odcieni protestantyzmu.

Filozofia, rozumowe badanie i dowodzenie, towarzyszy tej praktyce. Nie wyprzedza jej, raczej idzie za nią w ślady; ale ją popiera, uzasadnia i przygotowuje jej zupełny tryumf i absolutne panowanie na przyszłość. To *Hobbes*, czyli filozoficzny wywód wszechwładzy państwa w formie monarchii, za którym przez różne stopnie przyjdą z czasem równie filozoficzne wywody tej samej wszechwładzy państwa, tylko w formie rewolucyi. *L'état c'est moi* Ludwika XIV, a w teoryi filozofia Hobbesa i później Spinozy, oto jak rozwinęły się w ciągu XVII wieku te zarody pojęć, które zasiał w XVI humanizm i reformacya.

Przetworzenie niemniej ogromne w tych pojęciach i formach naukowych i artystycznych, jakich trzymał się wiek XVI. Klasycyzm zostaje jako podstawa wychowania i wykształcenia, jako reguła i wzór smaku; ale na tej niwie, na tej uprawie raczej, rodzi się plon inny. Bezwzględne, ślepe uwielbienie starożytnych odbyło swój czas, wydało swoje skutki. Formalnie ono zostało; ale naprawdę, faktycznie, świat europejski wyciągnął już z tego podkładu soki jakie mógł, przerobił je i zaczął chcieć i coraz bardziej próbować stać o własnej mocy, bez tej podpory: dochodzić, badać, myśleć sam przez się. Naprzód objawiło się to w filozofii, przez Bacona, za którym w innym kraju i pokoleniu idzie Descartes. W wieku XVI cała filozofia, cała podstawa nauk i myślenia była tak zależna od starożytnych, tak nimi skrępowana, jak była w wiekach średnich scholastycznemi formułami rozumowa-

nia. Filozofia samoistna nowszych wieków zaczęła się teraz i nosiła w sobie zarody tych wszystkich kierunków i tych zboczeń, które w niej są i rozwijają się aż do dni naszych. Jak filozofia do polityki Hobbesa i Spinozy, tak do tego znowu jak do swego źródła da się odnieść filozofia materyalistyczna wieku XVIII, filozofia niewiadomości, (*des Unbewussten*) wieku XIX. A jeżeli nie można bez pewnego zwątpienia patrzeć na ruiny, jakiemi ta filozofia swoją drogę zasłała, na błędy, którymi karmiła i truła pokolenia, to nie można bez podziwu patrzeć na potężne umysły, jakie wydała od Descarta do Hegla i nie można zapomnieć, że ten sam wiek, który wydał Hobbesa i Spinozę, wydał także Leibnitza. Złe i dobre wyrastało razem z tego pnia (jak ze wszystkich dzieł ludzkich), i złe nieraz rosło bujniej, owoców miało więcej, niż dobre. Ale nie godzi się zapominać, że dobre było, ani przeczyć, że złe samo nawet pracowało potężnie i przyczyniło się do rozszerzenia, do pogłębienia, ludzkiej myśli i wiedzy.

Umysł ludzki nie stanął na wieku XVI, na tej nauce i cywilizacyi, jaką wydał bezpośredni wpływ humanizmu, ale, na tej podstawie oparty, szedł dalej i zaszedł daleko w wieku XVII. Nauki ścisłe robiły postępy i odkrycia, nie niegodne Kopernika lub Galileusza, przez Keplera, przez tegoż Leibnitza, przez Newtona. Nauki historyczne wyszły także z tej szkoły, w której trzymał je wiek XVI. Zrazu przestawały tylko być naśladownictwem Liwiuszów lub Cezarów z niejakim może uszczerbkiem dla formy i kunsztu; ale, idąc tak o własnej mocy, rozszerzyły zakres, zmieniły samą naturę historyografii, i wniosły w nią pierwiastek, o którym się nie śniło, ani starożytnym, ani humanistom nawet tak genialnym jak Macchiavel, kiedy (w drugiej połowie wieku) pokusiły się o filozofię historyi, zrozumiały, że ona być może, i wydały ją przez Bossueta i Vico.

Nauki prawne dochodzą (przez Grotiusa) do pier-

wszej teoryi, do pierwszego systemu prawa narodów. Jest więc postęp i rozwój, a razem przemiana na wszystkich polach, i są bardzo znaczne. Cechą tego postępu, w naukach i w literaturach, jest większa niezależność od starożytnych, i większa narodowa samodzielność, indywidualność każdej literatury. Za panowania humanizmu i jeszcze do końca XVI wieku, jest we wszystkich literaturach europejskich wielkie podobieństwo, niemal tożsamość nietylko form i stylów, ale pojęć i myśli, pochodząca z uwielbienia i naśladowania tych samych wzorów. Teraz ta jednostajność ustaje. Literatury, wychowane na starożytnych, kiedy wyciągnęły z nich, co mogły, zaczęły rozchodzić się w różne kierunki, i przybierać odrębne, wybitne własne znamiona i charaktery. Więc naprzód angielska uważa tę pierwszą połowę XVII wieku słusznie za swój wiek złoty. W początkach okresu jest Szekspir, pod jego koniec jest Milton; a polityczne i religijne wstrząśnienia wydają w prozie wielki zastęp statystów, teologów, kaznodziejów i historyków, których ten naród uważa za swoich najlepszych. Proza zaś, jak poezya, ma swój osobny specyficznie angielski kierunek i charakter, daleki od ogólnikowej, jednostajnej, cokolwiek konwencyonalnej cechy epoki poprzedniej.

Literatury romańskie występują tak samo ze swojemi wyraźnemi odrębnemi cechami, a te cechy są różne między sobą, i różne od charakteru literatur północnych. Mniej indywidualnego psychologicznego człowieka, raczej jego kontury tylko; waga rzeczy, polegająca na zawikłanej sytuacyi i na kolizyi moralnych praw i obowiązków; w formie więcej retoryki i deklamacyi, to jest różnica główna w poezyi, zwłaszcza w dramatycznej, ludów romańskich a Anglików i Niemców. Wybujałość retoryki, nieraz porywająca, ale często czcza, i nawał przygód i awantur, w których człowiek znika, to jest charakter dramatu Calderona; charakter, który musi być wrodzonym temu plemieniu

i odpowiadać jakimś wewnętrznym pierwiastkom jego smaku, skoro się daje widzieć stale u Francuzów także, i to nietylko w poezyi Corneilla (na Hiszpanach kształconej), ale w ich poezyi romantycznej, w wieku XIX także. W każdym razie u Hiszpanów jest teraz rozkwit literatury, i rozkwit jej w wyraźnej odrębności cech indywidualnych, narodowych. Upadek jest u Włochów. Tam, kiedy pierwiastki i cechy humanistycznej literatury sprzykrzyły się, a dało się uczuć pragnienie form nowych, znalazła się nowość; ale nowość wprowadzona gwałtem przez ludzi mniejszego talentu, była szukana, umyślna, sztuczna, przesadna. Poczęła się przed końcem jeszcze wieku XVI maniera, silenie się na koncepty, na gry wyrazów, na ckliwe czułości lub niespodziane antitezy, w którem ginęła treść, myśl, prawda, powaga i smak. Od poetów, od Mariniego, przeniosła się do prozy, do mówców (i przeniosła się przez ostatki wpływu włoskiego do Polski).

We Francyi ta pierwsza połowa XVII wieku niby nie błyszczy świetnemi imionami, zdaje się być obojętną. Ale ona przygotowuje dojrzałość i uniwersalne znaczenie tej literatury w drugiej połowie wieku, jej złe i dobre własności. Do złych trzeba zaliczyć tę, że w tym okresie czasu rozkrzewia i formułuje się tam to pojęcie, do dziś dnia żyjące, że głównym przymiotem i warunkiem piękności w literaturze, prozie jak poezyi, jest *éloquence*: wymowność, efektowna retoryka frazesów i okresów. Z tego wyniknął do dziś dnia charakter poezyi francuskiej, widoczny w dziełach Corneilla tak jak Wiktora Hugo, pomieszanie retoryki z poezyą, wzięcie jednej za drugą. Do przymiotów dobrych, które sprawiły, że język i literatura francuska osiągły i dotychczas zachowały charakter uniwersalny, zaliczyć trzeba, jasność i precyzyę myśli i formy. Ta jasność i zrozumiałość, łatwa, trzeźwa, prosta, a szlachetna i powabna, to jest ten przymiot nieoceniony, który sprawia, że ze wszystkich mów i literatur na świecie, francuska

jest najdogodniejszem narzędziem i kanałem myśli, pojęć, wiedzy, roznosi je najdalej i najprędzej. Ten przymiot zaś wyrobił się teraz, w pierwszej połowie XVII wieku, a objawił się i działał najsilniej przez Descarta. Jego właściwy sposób myślenia i sposób wyrażania się ustalał tę właściwość narodu. Wszyscy pisarze młodsi, wielcy pisarze następnego okresu, Bossuet, Pascal, Fénelon, Corneille, Lafontaine, Boileau, Racine, wszyscy byli pod wpływem Descarta, wszyscy (czy myśleli jak on lub nie), od niego uczyli się myśleć i myśl wyrażać. Charakter zaś duchowy filozofii Descarta, jego idealizm, działa na nich także, i odbija się w dziełach Pascala i Fénelona, tak jak w dziełach Racina, jak w romansach pani Lafayette albo panny Scudéry. Równocześnie zaś kształcił się i wyróżniał narodowy francuski indywidualizm i charakter tej literatury. Ronsard podobnie pisze, myśli i czuje do wszystkich poetów, Bodinus do wszystkich statystów XVI wieku. Corneille i Bossuet, Molière i Lafontaine nie stoją w żadnym szeregu, nie są do nikogo podobni; narzucają się jako wzory, doprowadzają tę literaturę w jej różnych formach i kierunkach do szczytu, do ideału doskonałości, jak go ten wiek pojmował, ale do żadnego Włocha, Anglika, Niemca nie są podobni. Sprawiają uniwersalność literatury francuskiej, ale zarazem jej odrębność zupełną jako francuskiej.

Taką przemianę odbyły literatury w pierwszej połowie XVII wieku i odbyły, wziąwszy ogółem, znaczny postęp.

A jakże wygląda, jak się objawia, ten czas u nas w Polsce?

Na dwie połowy równe dzieli się nasz wiek XVII, a w samym jego środku kończy się jedna, otwiera druga epoka. Panowanie Zygmunta III, to w literaturze jeszcze dalszy ciąg wieku XVI, tylko wieku tego *progenies vitiosior*, z niektórymi nowymi i żywotnymi, ale nie wykształconymi pierwiastkami. Za Władysława do-

piero zaczyna się ten kierunek zmieniać, i ku nowemu francuskiemu zwolna nawracać. W naszym stanie politycznym zmiany są większe. Daje się mianowicie widzieć pewna w stosunkach i sprawach zagranicznych przedsiębiorczość, jakiej wiek XVI nie okazywał, jakiej stanowczo miał za mało. Czy to z zasiewu Batorego ziarna późno schodzące, czy własny narodu instynkt, wydający na schyłku tamtego wieku takich pisarzy jak Wereszczyński i Grabowski, a ich pismami może ożywiony, dość, że Polska ówczesna zdaje się czuć, iż w swojem *statu quo* zostać nie może, ale bezpieczeństwo swoje musi zapewnić i utrwalić groźniejszą nieprzyjaciołom, zatem czynniejszą potęgą. Nieszczęściem, trafnemu temu instynktowi, popędowi do śmielszej, a zarazem mędrszej polityki, towarzyszył stan wewnętrzny nie lepszy, lecz owszem gorszy, niż bywał w wieku XVI, te same składowe pierwiastki i siły, tylko wszystkie gorzej nadpsute, a w swojem odśrodkowem dążeniu silniejsze. Rachuba była z pewnością prosta i dobra, że z nieładu i rozkładu, jaki powstał w Moskwie przez wygaśnięcie domu Iwana i opozycyę bojarów przeciw Godunowowi, dało się i należało skorzystać, żeby tego groźnego sąsiada uczynić nieszkodliwym. Ale sposób wykonania trafnej myśli był najgorszy, militarnie z natury rzeczy słaby, politycznie dezorganizujący: ludzie prywatni, poddani Rzpltej, którzy na własną rękę niosą wojnę w granice sąsiada i kandydata swego na tron mu wiodą. Chrobry i Śmiały mogli na kijowskim tronie wygnanych prawowitych książąt osadzać, bo i sami mieli siłę, i ci książęta mieli w swoim kraju podstawę. Jeden kozak mógł awanturniczą wyprawą zdobyć Syberyę dla Rosyi; ale Syberya prawie bezludna, obrony niezdolna, była, rzec można, rzeczą niczyją, do wzięcia. Ale Rosya ówczesna Syberyą nie była, i wyprawa naszych panów do Moskwy z Dymitrem, choćby nawet prawdziwym, udać się mogła tylko z wielkiem wojskiem, któreby nietylko tego cara wprowadziło, ale go

tam trzymać mogło, aż do czasu, kiedyby własną siłą mógł się już trzymać. Wyprawa nie wystarczała, potrzebna była okupacya, przechodząca i siły Rzpltej i jej usposobienie. Wojenna zaś impreza ludzi prywatnych, wciągająca za sobą Rzpltę w wojnę, była w zamiarze zapewne próbą (a nuż się uda) ze strony polskiego rządu: ale była zawsze miarą jego słabości, miarą rozzuchwalenia możnych i doskonałym środkiem dalszej ich demoralizacyi. Zygmunt III, kiedy patrzał przez szpary, kiedy Dymitra przyjmował w Krakowie i asystował jego ślubowi, liczył zapewne, że jeżeli Dymitr ustali się na tronie moskiewskim, to i Polska będzie od Moskwy bezpieczną, i dla wiary otworzy się wspaniała perspektywa propagandy, nawrócenia. Ale ta polityka nieśmiała, niby zręczna, była i względem sąsiada wykrętna i wskutku niepewna, i dla Polski samej, dla jej wewnętrznego stanu zgubna. Kiedy Rzplta była z Moskwą w pokoju, to żadnemu z jej poddanych nie powinno było być wolno Moskwę zaczepiać; albo poddani musieli dojść do wniosku, że im jest wolno nierównie więcej, niż im słusznie należy.

Politykę Zygmunta III znamy tak po wierzchu tylko, z faktów, a o jego zamiarach i ukrytych myślach wiemy tak mało, że na pewno twierdzić cokolwiek niepodobna, a nawet domyślać się trudno. Przecież z obserwacyi jego panowania dochodzi się do wniosku, że stanowczą w jego życiu epokę musiał stanowić rokosz Zebrzydowskiego. Król, który miał zapewne umysł dość ciasny, ale zamiary i ambicye szerokie, i dość widoczne zamiłowanie inicyatywy własnej, który na tronie polskim zasiada z marzeniem o wielkiem połączeniu sił katolickich od Madrytu i Rzymu przez Wiedeń i Kraków do Stockholmu, który energicznie pcha naprzód dzieło Unii kościelnej, który widocznie pragnie mieć więcej swobody i ręce rozwiązane, (jego małżeństwa, zwłaszcza drugie, są może pierwszym krokiem i próbą, czy się taka emancypacya powiedzie);

upokorzony i złamany, choć zostawiony na tronie i deprekowany, nie próbuje już od owej chwili opierać się prądowi i siebie ponad nim utrzymać, poddaje się. Słusznie też mówi Bobrzyński, że nie sam rokosz jeszcze był największem złem, ale jego obustronna bezskuteczność i bezkarność. Jeżeli król był winien, to lepiej było złożyć go z tronu, a stworzyć czy ująć ster nowego rządu; jeżeli winien był rokosz, to zwyciężywszy, należało go złamać i poskromić na długo. Nie stało się ani jedno, ani drugie; zostało się trzecie. Król upokorzony i bezwładny, oppozycye rozzuchwalone i bezmyślne. Zdaje nam się, że od rokoszu zaszła zmiana w postępowaniu Zygmunta, może w jego myśli i woli. Zostaje w nim zawsze to przekonanie, że należy przez przymierza łączyć siły katolickie, że powinien służyć sprawie katolickiej, a przez nią ubezpieczyć Polskę; ta nadzieja przyświecała mu w wojnie moskiewskiej. Ale podejmuje on ją nie z własnej już inicyatywy, tylko z konieczności położenia, wciągnięty, a w jej prowadzeniu ma ambicyę tylko, nie ma przedsiębiorczości, ma upór, nie ma postanowienia; słabsze, gorsze strony jego umysłu i charakteru biorą górę. Skutki tych wojen, choć on jeden z naszych królów widział przed sobą obcych królów niewolnikami, stanowiska jego jako króla w Rzpltej nie wzmocniły i nie podniosły. Nie znać też, iżby Zygmunt był o tem myślał, o to się starał. Musiał sobie powiedzieć, że próżna rzecz, trzeba zrezygnować się; a wpływ swój utrzymywał, zamiary swoje wykonywał za pomocą ubocznych środków, wybiegów. Od niego naprawdę poczyna się ten tradycyjny sposób działania naszych królów, którym jest przeciwstawianie jednych możnych drugim. Słaby między możnymi, król polski odtąd stara się utrzymać równowagę między nimi i swój wpływ przez to, że coraz nowych wyszczególnia, wynosi, bogaci. Wśród ich współzawodnictw spodziewa się znaleźć drogę, a choćby przesmyk dla swojej myśli i woli. Tak robi Jan Kazimierz,

tak Sobieski, tak August II, aż do Stanisława Augusta. Pierwszą lekcyę dał Batory z Zamoyskim, ale w system zmienił się ten wypadek za Zygmunta III. Bardzo być może, że on inaczej robić nie mógł, ale system był zły i zgubny, bo domowemi ambicyami i zazdrościami demoralizował to możnowładztwo polskie, bo robił je coraz możniejszem, zuchwalszem, niebezpieczniejszem, bo ze wszystkich tych królów Zamoyskiego nie usposobił sobie żaden, a każdy niewdzięczników, zdrajców nie jeden.

Ten wzrost możnowładztwa, jego siły, znaczenia, bogactwa, a zarazem złego w niem, to jest obok wojen zewnętrznych (szwedzkich, moskiewskich i tureckich) zmiana najważniejsza w stanie politycznym Polski za Zygmunta III. Nad szlachtą rycerską, a niekiedy cudownie patryotyczną i cudownie bohaterską w wielkiej potrzebie, ale coraz więcej zazdrośnie i fanatycznie przywiązaną do swego *statu quo*, unoszą się te możnowładcze potęgi, indywidua i rody, także bohaterskie niekiedy, ale także coraz fanatyczniej i coraz zazdrośniej strzegące stanu rzeczy, który jak żaden inny, zabezpieczał ich wpływ i znaczenie, który i wybór króla i jego całe panowanie od nich czynił zależnym.

Stało się też, za następcy Zygmunta bardzo już widoczne, to, co Szujski nazywa przeciwnem naturze przewróceniem Rzpltej dnem do góry. Dążenie i popęd do zmian, do reform, nie są, gdzie z natury rzeczy być powinny, u spodu, w społeczeństwie; ostrożna, roztropna zachowawczość nie jest u góry w królu i jego rządzie, ale odwrotnie. Konserwatyzm nie roztropny, ani przezorny jest w narodzie; w królu (każdym po kolei) jest myśl i pragnienie zmiany, jest zrozumienie, na doświadczeniu oparte, że państwa niema, a polityki być nie może, jest zatem dążenie (słuszne) do jakiejś zmiany, którąby jedno i drugie umożliwiła. Ale to dążenie nie ma ani dostatecznych środków działania, ani nadziei, iżby jawnie i prawnie dało się urzeczywistnić. Ztąd

wynika, że dążenie słuszne i uprawnione staje się działaniem ukrytem, formalnie nielegalnem, wrazie niepowodzenia bardzo niebezpiecznem; staje się konspiracyjnem niejako działaniem królów, nieuniknionem zapewne, ale demoralizującem znowu, a dezorganizującem, gdyby skutku nie odniosło; nie odniosło go zaś nigdy. Ten upadek władzy, a wzrost możnowładczych stanowisk i interesów, jakim się kończy panowanie Zygmunta III, pociągnęły za sobą jako konieczność te tajne plany, to konspiracyjne działanie królów. Wznowił je Władysław IV, z konieczności „bo znalazł naród, lecz nie znalazł państwa", jak mówi Nuncyusz Papieski w dramacie Szujskiego: ze złym skutkiem, skoro na swojem nie postawił, i przegrał.

W literaturze zrazu niby żadnej zmiany. Żyją ci sami pisarze i tak samo dobrze piszą. Skarga po Kazaniach Sejmowych wydaje *Pobudkę*, *Nabożeństwo Żołnierskie* (1606). Roczne dzieje Kościoła, *Zawstydzenie Arianów* (1602), *Próbę zakonu Jezuitów*; a wydania jego dzieł powtarzają się często, i długo po jego śmierci. Heidenstein wydaje w roku 1610 *Kanclerza*. Petrycy jeszcze w roku 1618 *Etykę* Aristotelesa. Inni, jak Grochowski, ciągną dalej tak, jak zaczęli w wieku XVI; zdaje się więc, że wszystko prawie to samo i prawie tak samo, jak było. Można nawet myśleć, że nagrodzą się ubytki i straty; Szymonowicz nie zarzuca wierszy łacińskich, ale zaczyna pisać polskie, a Miaskowski, Piotr Zbylitowski mogą mu pomagać w utrzymaniu poezyi na pewnej wysokości. Ale to wszystko idzie jeszcze siłą tego popędu, który był dany dawniej; sam Szymonowicz kształcił się w starej szkole, i jest ostatnim u nas humanistą w stylu XVI wieku; a gdy ci pisarze wymrą, skończy się z nimi ten popęd, który nadawał ruch, a wiek nowy jaką przyniesie nową siłę ruchu, zkąd ją weźmie?

To jest pytanie smutne, bo wiek XVII odpowiedzi na nie nie daje. W XVI czerpała literatura swoje siły,

swoje myśli i dążności, z powszechnej europejskiej oświaty, z wielkich kwestyj, poruszających świat współczesny, i z własnych polskich stosunków i wypadków. Chciała albo ubezpieczyć katolicyzm albo zaprowadzić protestantyzm; chciała poprawy Rzeczypospolitej; chciała takiej poezyi, takiej historyi, takiej sztuki wymowy, jaką widziała u innych. Jakąkolwiek jej gałęź weźmiemy na uwagę i pod rozbiór. widzimy zawsze, że ona żywi się i rozwija najsilniejszymi sokami, jakie ze współczesnego świata może w siebie wciągnąć; że ci pisarze uczyli się i nauczyli tego wszystkiego, co umieć i wiedzieć mogli inni. To, co oni napiszą, będzie mniej więcej równe temu, co piszą ci inni, jest na tym samym poziomie. Porównajmy zaś te myśli, te kierunki, te formy nowe, jakie rozwijają się na świecie w wieku XVII, z naszą literaturą tego samego czasu, a znajdziemy stosunku i wpływu tak mało, że prawie nie dojrzymy go wcale. Po każdym pisarzu XVI wieku widać było, że znał Platona i Aristotelesa, Cicerona, Senekę, Erazma; wielkich filozofów i teologów, na których kształcił się ich czas. Teraz, w którym z naszych zdołamy rozpoznać choćby źdźbło znajomości Bacona albo później Kartezyusza? Szymonowicz jest zupełnie na wysokości nauki czasu dawniejszego; ale który z młodszych postępuje równym krokiem z nauką swego czasu?

Pisarze wieku XVI nietylko wyrabiają i kształcą język, ale są płodni w myśli, naówczas nowe, często świetne, nieraz zbawienne. Ich następcy w wieku XVII próbują czasem nowych form, bez rzetelnego skutku; ale nowych i głębszych myśli nie przynoszą, nie wydają. Najrozumniejsi, najszanowniejsi (Starowolski) powtarzają z pewnemi zmianami to, co już nieraz przed nimi było powiedziane. Te uwagi będą prawdziwe, i czasem pobudzone są nowym przedmiotem, nowym stosunkiem czy wypadkiem; ale nie znajdzie się w nich nic, coby ci ludzie byli znaleźli sami. Są dobre uczu-

cia i chęci, są ludzie rozumni, myślący—niema znakomitych. Zdarzają się talenty prawdziwe, a czasem niezwykłe—niema w prozie, zarówno jak w poezyi, dzieł prawdziwie dobrze napisanych.

Czem tłómaczyć to, co oczywiście, choć z przykrością, trzeba nazwać zatrzymaniem się, zatem upadkiem?

Musiały tu działać, i schodzić się przyczyny różne, jak zawsze przy ważnych skutkach, złych czy dobrych. Był czas, w pierwszej połowie naszego wieku, że zwalano odpowiedzialność na Jezuitów: oni byli winni i upadkowi oświaty i, choć pośrednio, upadkowi Rzpltej. Tłómaczenie dogodne dla dawniejszych wolteryańskich i dla późniejszych niby postępowych wyobrażeń, uprzedzeń i namiętności, ale tłómaczenie błahe. Naprzód, jeżeli o początkach XVII wieku mowa, to szkoły jezuickie były wówczas i za świeże, i nie dość jeszcze liczne, iżby mogły sprowadzić obniżenie oświaty. Jeżeli zaś chodzi o lata dalsze i o drugą połowę XVII wieku, to Jezuici odpowiadają na zarzut z wszelką słusznością, że ich szkoły były w całej katolickiej Europie; gdyby więc one sprowadzały upadek nauk i literatur, to byłyby musiały wydać ten skutek wszędzie, gdzie były, nie w jednej Polsce. Dalej: wszak nie oni jedni mieli szkoły i uczyli, wszak Akademia krakowska wygrała sprawę przeciw nim—czemuż nie uczyła inaczej i lepiej od nich? Wszak Pijarzy mieli szkoły także, a sprowadzeni byli na to właśnie, by zrównoważyć i przeważyć wpływ Jezuitów; a czy Pijarzy uczyli inaczej i lepiej, czy umieli więcej, niż Jezuici? Znowu nie. Bardzo być może, że Jezuici francuscy lub niemieccy byli uczeńsi od naszych, ale jedni jak drudzy rekrutowali się z tych krajów i narodów; jeżeli więc była różnica między nimi, to musiała być i między społeczeństwami, z których oni wychodzili.

Zatem powód to powierzchowny, na którym poprzestać może tylko ten, kto głębszych szukać nie umie,

albo nie chce. Według naszego widzenia rzeczy, objawia się czy odbija się w literaturze i oświacie ten sam fenomen, który jest widoczny w naszem życiu publicznem, w naszej historyi: kwietyzm, zaspokojenie tem, co się ma, co się już osiągnęło, a brak dążenia i pragnienia. W wieku XVI Polska pragnie i dąży, może nie roztropnie, ale szczerze i usilnie. W drugiej połowie wieku XVIII pragnie i dąży także: chce się dźwigać, odradzać, i w swojem życiu politycznem i w oświacie. W wieku XIX pragnie i dąży także. W XVII tego nie widać. Dawne przedmioty i cele dążeń i pragnień już się skończyły, zrobiły swoje. Nowe mogły były i powinny były wystąpić w ich miejsce, nasuwało je potrzebne zabezpieczenie Rzeczypospolitej od północy i wschodu; ale to przedsięwzięcie potrzebne nie stało się wspólnem, statecznem, zrozumianem przez całe ówczesne społeczeństwo przedsięwzięciem. Pozostało bohaterskiem często, ale zawsze tylko obronnem, nigdy wstępnem i stanowczem działaniem. Sporadycznie, w pewnych umysłach lub chwilach, błyska instynkt, uczucie tej potrzeby, zjawia się chęć; ale niema nigdy stałej, ciągłej, świadomej siebie, wspólnej wielom, woli takiego działania. Wola Polski w wieku XVII objawia się najwyraźniej i stale w zachowaniu tego, co jest, tej wolności, tej konstytucyi, jaką mieliśmy podówczas za doskonałą. Innego narodowego powszechnego dążenia i postanowienia nie znać. Katolik jest zaspokojony, bo wygrał sprawę i już się o siebie nie boi. Dysydent jest zaspokojony tem, co ma, a o czemś więcej, o podbojach już nie marzy, bo widzi, że próżno i marzyć. Polak, obywatel, szlachcic, jest zaspokojony, bo mu dobrze, i nie przypuszcza, żeby lepiej być mogło; a nie rozumie, nie chce rozumieć, że ten jego stan wygodny i pomyślny może być dla jego ojczyzny zgubnym. Zamyka oczy i uszy, kiedy mu to mówić i tłómaczyć. Wrodzona bierność czy gnuśność rośnie w tym stanie sama, i nawzajem go rozwija.

Otóż, naszem zdaniem, nieszczęściem naszej literatury i oświaty w wieku XVII jest to samo przestawanie na swojem, zaspokojenie tem, co się już ma — a jego powodem jest ta sama wygodność, czy bierność, czy lenistwo. Nie widzimy w tej literaturze nowych myśli, pragnień, dążeń, choć widzimy nieraz obawy o przyszłość i upominanie o poprawę lub obronę. Instynkt patryotyczny, miłość ojczyzny zostały, jak została chęć czytania i pisania, chęć wiedzenia czegoś o świecie. Ale jak w historyi nie znać stałego zamiaru i przedsięwzięcia, tak w piśmiennictwie, w nauce, w oświacie nie znać pracy, trudu, ciągłości. Zdarzają się ludzie uczeni i bardzo pracowici, ale są wyjątkami; większość, powołanych do nauki i pisania, grzęźnie w odziedziczonej rutynie i nie sięga wzrokiem, ani nawet ciekawością po za znane odziedziczone widnokręgi. Jest z pewnością dużo ludzi oświeconych i wykształconych, którzy wyjeżdżają za granicę po nauki albo na dwory; ale ci przestają na przetarciu się między ludźmi, na wypolerowaniu, na ogólnem i powierzchownem, jak my dziś mówimy, wykształceniu. W wieku XVI ogół, większość szlachty polskiej, postąpił bardzo w oświacie; w XVII on zostaje na miejscu, kontent z tego, co ma. Niektórzy, rzadcy, wystają nad ten poziom; ale ani sami nie mają dość siły czy woli, żeby ten ogół do siebie zbliżać, ani ogół nie czuje potrzeby, żeby się do wyższego poziomu podnosić. Polak ówczesny czyta, chce coś wiedzieć i nawet lubi pisać, pisze często i dużo. Ale wystarcza mu pokarm umysłowy, lekki, który bez trudu, bez namysłu, zostawi mu jakąś wiadomość w głowie, a zajmie go albo zabawi. Drukarnie mają w tych czasach dużo pracy, może więcej, niż w wieku XVI; ale co wydają? Najwięcej książek pobożnych, w znacznej części dawniejszych; rzeczy świeckie a poważniejsze, naukowe lub polityczne, są także w największej części dawniejsze. Z bieżącej polityki zdarzają się broszurki w dobrej chęci pisane, a czasem

nie bez dobrej myśli, ale zazwyczaj mdłe, słabe, a często wierszami pisane; rzecz charakterystyczna, ale nie dobrze świadcząca o piszących i o czytających. Niebawem zaczną się zjawiać powiastki, z obcych przerabiane, zaród naszych dzisiejszych romansów, i dowód, że ta lektura lekka była zawsze pożądaną, a wtedy jak dziś zapewne ze szkodą potrzebniejszej. Oprócz tego dużo i coraz więcej panegiryków różnej formy, najczęściej wierszy, trenów żałobnych lub hymnów weselnych na cześć ludzi, którzy nikogo prócz swoich krewnych i przyjaciół obchodzić nie mogli. Z tego wszystkiego wniosek, że był w tym czasie pewien procent ludzi oświeconych i wykształconych ogólnie, może powierzchownie, mniej więcej tak, jak byli inni zagranicą; ale że ogół przestawał na małem, na tem samem, i nie postępował ale stał na miejscu, czyli cofał się w tył.

A pisanie? Chętka do niego musiała być dość rozpowszechniona. Sylwa, w której jaki taki przepisywał i zapisywał, co mu wpadło pod rękę albo do głowy, jest zjawiskiem z tego czasu. Ona bywa czasem ciekawa, zawsze charakterystyczna, niekiedy historycznie nie obojętna, nauczająca. Ale jest pisana, jak Pan Bóg da, jak się uda. Ma nieraz koncept lub wierszyk wcale niezły; ale jeden czy drugi wyszedł widocznie z ręki niewprawnej, z głowy, która nie myślała o tem, żeby pisać dobrze. Jeżeli zaś nie byłoby rzeczą sprawiedliwą żądać dobrego pisania od ziemianina, który w chwilach wolnych od gospodarstwa pisał sobie od niechcenia dla siebie i swoich, to od takich, którzy drukowali, już tej świadomości i tej woli dobrego pisania żądać ma się prawo, a nawet obowiązek. Znajdzie się ją nie zawsze, nawet nie często. Starowolski, Szymonowicz, Piotr Kochanowski, Birkowski wreszcie, piszą z pewnością jak mogą najlepiej—z większym lub mniejszym talentem, ale ze staraniem, z jakimś ideałem dobrego pisania przed oczyma. Ale ten ideał jest zwykle daw-

niejszy, odziedziczony: nowego ani się nie tworzy, ani nie naśladuje. W ówczesnej historyi spotyka się tu i owdzie instynkt, przeczucie, że trzebaby Polsce szerszej, śmielszej, przedsiębiorczej polityki; ale instynkt nie staje się rozumowaniem, postanowieniem i wykonaniem. W literaturze jest podobnie. Ci pisarze muszą czuć instynktem, że stare formy humanistyczne już się przeżyły, i instynktem szukają czegoś nowego, zbliżają się czasem więcej do potocznego życia, miewają jakiś ton i kolor realistyczny, jakiego się u dawniejszych nie widziało. Z czasem zerwą się śmiało na wielkie formy i przedsięwzięcia (Twardowski); rychło zaczną pisywać te dyalogi z potocznego życia, w których jest nieraz zmysł obserwacyi, charakterystyka dość wyraźna, nawet czasem humor. Wszystko to dowodzi, że oni nie są bez talentu i że mają jakiś instynkt, który im każe szukać nowych form i nowych pomysłów. Ale instynkt nie jest kierowany, talent nie jest wyrobiony znajomością warunków tej formy, wykształceniem. I dlatego śmiałe przedsięwzięcie nie będzie poematem bohaterskim, z dyalogu nie wyrobi się, nie zbuduje się komedya, a pisarz, choćby z talentem, nie zostanie dobrym pisarzem, bo poprzestawał na swoim talencie, a nie zadawał sobie pracy, żeby z niego wydobyć wszystko, co w nim być mogło.

Tem przestawaniem na swojem, tą wygodną biernością tłómaczylibyśmy także inne zjawisko, które w tym wieku wydaje nam się dość widocznem, to jest pewien brak myślenia o sobie i gorętszego, wznioślejszego uczucia. Dlaczego wiek XVI ma statystów kilku i bardzo niezwykłych, a wiek XVII nie zajmuje się kwestyami politycznemi ani tak często, ani tak dobrze? Dlaczego przechodzą jedne po drugich wypadki albo chlubne albo groźne, a w literaturze tak mało zostawiają śladu i echa? Wiem, że jak w historyi znajdują się wspaniałe porywy cnoty i bohaterstwa, tak w literaturze znajdują się odpowiadające im wspaniałe sło-

wa. Ale te wybuchy duszy polskiej, tryumfującej albo udręczonej, są rzadkie. W pierwszej połowie wieku słyszy się je naprawdę tylko w kazaniach Birkowskiego. Czy to nie jest oznaka, że grunt musiał się jakoś wysilić, wyjałowić, kiedy plony na nim schodzą i rzadsze i, ogółem wziąwszy, słabsze?

Pospołu z innemi współczesnemi ma literatura polska XVII wieku tę cechę, że traci tę wspólność i podobieństwo między wszystkiemi, które się widziało w wieku XVI. Indywidualność każdej literatury oddziela się i odróżnia od innych wyraźniej. Ale jest, na nieszczęście ta różnica, że kiedy w innych ta odrębność wyrabia się równo z postępem i wywołuje zmiany korzystne i świetne, to u nas różnica, przedział, odstęp, jest większy, niż był w wieku XVI, ale cech, pierwiastków, charakteru polskiego literatura nie ma w wieku XVII więcej, niż miała w XVI. Ma go odmiennym, ale nie silniejszym, niż wtedy, a on nie wystarczył u nas, jak wystarczył u innych, na kształcenie nowych form i myśli, na stworzenie nowych rodzajów, na wydanie literatury wyższej i bogatszej, niż była w epoce poprzedniej.

Nigdy Polska nie była terytoryalnie tak rozległą i nigdy także jej literatura nie działała tak daleko. Wpływ jej sięga aż do Moskwy, gdzie przeróbki i tłómaczenia rzeczy polskich mnożą się i utrzymują się długo. Kanałem, przez który te wpływy tam się dostają, jest Kijów. Szkoła (później akademia) Mohylańska, twarda w swoich religijnych przekonaniach greckich,—w kulturze, którą rozwija i rozszerza, jest polską, i ten charakter utrzymuje się tam tak długo, że jeszcze wiersze na cześć Katarzyny II-giej piszą się w Kijowie po polsku. Ten wpływ literacki mógł był mieć także skutki znaczące i szczęśliwe, gdyby dzieła polskie teologiczne i naukowe były miały treść głębszą, a beletrystyczne treść i formę poczytniejszą. Ale o to, niestety, nie było dość dbałości, jak w życiu pu-

blicznem nie było jej dość o ciągłe działanie, o korzystanie ze sposobności, o uprzedzanie niebezpieczeństw, jednem słowem — o dobrą i konsekwentną politykę. Wiek XVII pisze dużo, bardzo dużo i próbuje się w różnych formach, ale (rzecz charakterystyczna) wielka, jeżeli nie większa, część tego, co on pisze, pozostaje w rękopisie. Nowsi badacze (prof. Brückner) słusznie mówią, że ta literatura w naszych czasach i oczach dopiero zaczyna dobywać się z ukrycia i zapomnienia. Im dalej zaś, około połowy wieku i po niej, tem bardziej przyjmuje się i ustala się ten dziwny zwyczaj. Dziwny on jest zawsze, jakikolwiek byłby jego powód. Czy ci pisarze tak nie dowierzają swoim talentom? Czy tak lekceważą swoje dzieła? Czy są tak wyżsi nad ambicyę i sławę autorską? Pisarz, który myśli, że ma coś dobrego lub pięknego do powiedzenia, ma wrodzoną, naturalną chęć ogłoszenia tego, co napisał: oni to chowają. Szkoda: bo w tem, co mówią, znajdzie się nieraz coś dobrego, a oni nie są pozbawieni zdolności. Gdyby byli chcieli pisać dla wszystkich, nie zaś dla siebie i przyjaciół czy znajomych tylko, gdyby byli pisali do druku, nie zaś dla własnej przyjemności tylko, może byliby pisali z większą uwagą i starannością, nie od niechcenia, nie byle jak, i byliby stali w literaturze jako dobrzy lub nawet znakomici pisarze, kiedy dziś stoją w niej jako ciekawi dyletanci, z dobrem uczuciem w sercu, czasem z dobrą myślą w głowie, z niepoślednim może, ale nie wykształconym talentem.

II.

Broszury rokoszowe. Szymonowicz. Jego dramaty. *Lutnia Rokoszańska.* Miaskowski. Piotr Zbylitowski. Dyalogi. *Kanclerz* Heidensteina. *Sielanki* Szymonowicza. Petrycego przekłady *Aristotelesa.*

Szuka się tej literatury z ciekawością w pierwszych zaraz latach XVII wieku. W Rzpltej dzieją się rzeczy wielkiej wagi. Sejm inkwizycyjny już był, a nieufność między królem a stanami nie uśmierzyła się, owszem rośnie. Zawikłania szwedzkie już się zaczęły. Zaczęły się i układy o drugie austryackie małżeństwo. Palnych materyałów dużo, położenie trudne, a nawet groźne: jeżeli go coś nieprzewidzianego nie naprawi, może nastąpić wybuch. Co w takim stanie rzeczy powie literatura? Przed chwilą wypowiedziała swoje słowo najwyższe, *Kazania Sejmowe*; ale po nich? Oczekuje się czegoś poważnego i rozumnego, jeżeli już nie mądrego i wzniosłego: czegoś przejętego i przejmującego, miłością ojczyzny i obawą. Niechby było niesłuszne, uprzedzone, stronniczo namiętne, ale energiczne i jędrne.

Szuka się tego na darmo. Przechodzą zatargi z królem, wybucha rokosz, urządza się ważna, choć awanturnicza wyprawa do Moskwy z Dymitrem; a literatura wśród tego i o tem odzywa się tylko pewną liczbą wierszy — słabych. Czy one dobre czy złe, mniejsza

o to; ale ten fakt, ta forma wiersza, to znak niedobry. Znak, że bieżące wypadki działają na uczucie tych ludzi, nie na ich rozwagę. Wystarcza im powiedzieć, że się coś ważnego czy złego dzieje, i że ich to martwi; jak to usunąć, jak na to radzić, co począć, nad tem oni się nie zastanawiają, nie poczują się do tego obowiązku. Dobrego uczucia jest w tych wierszykach dużo niewątpliwie; głębszej myśli nie więcej niż talentu. *Posel Moskiewski*, Żabczyca (1605) to prosty panegiryk dla Dymitra, Maryny, Mniszcha i całej familii. *Mars Moskiewski krwawy* przez tegoż autora i tegoż roku, jest tak samo panegiryczny i bezmyślny. Tem jedynie ciekawy, że przytacza całą historyę Dymitra, niż ją opowiadał on i jego stronnicy. *Zgoda i Żalosna Przestroga Korony Polskiej* (1607), *Korona Polska bardzo smutna* (1607), *Tlumacz Rokoszowy* Błażewskiego powtarzają te same oklepane narzekania i morały. *Naenia na zbiegłą zgodę z Polski utrapionej* Jana Krajewskiego (1607) tem się od innych różni, że jest dyalogiem, w którym występują Przodkowie, Upór, Złość, Czas, Grzech, Zgoda: jedno na drugie zwala winę, a *Upór* na błędy zwierzchności; to wskazywałoby, że autor był stronnikiem króla. *Zlota Wolność Koronna* (1609) Stanisława Witkowskiego, powtarza lichym wierszem różne żądania, znane jeszcze z XVI wieku (zniesienie *nominem captivabimus*, prawo przeciw zbytkom etc.). Wśród wielu wierszy— trzeźwej prozy mało. Andrzeja Tulibowskiego, sędziego brzeskiego, *Deklaracya Konfederacyi z praw Koronnych* etc. (1607) jest tylko słabem powtórzeniem tego, co w swoim czasie pisał Solikowski w *Rozsądku*. Jest też zapewne oznaką dążenia katolików już zwycięzkich do uszczuplenia tego stanowiska, jakie różnowiercy zapewnili sobie konfederacyą warszawską z roku 1573. Stanisława Mińskiego, wojewody łęczyckiego, w końcu podkanclerzego kor., *Sposób odprawiania poselstwa z obedyencyą do Rzymu*, pisany prawdopodobnie między rokiem 1605 a 1607, jest ciekawy jako ślad ówczesne-

go obyczaju i ceremoniału, ale nie jest pismem politycznem.

W tym nieszczególnym chórze poetów, śpiewających z powodu rokoszu i o nim, wyróżnia się dwóch, których głos daje się dosłyszeć, rozpoznać i zapamiętać: Szymonowicz i Miaskowski.

Szymonowicz aż dotąd dał się poznać tylko z wierszy łacińskich. Za nie musiał być wysoko ceniony przez współczesnych, skoro jeden z nich, Gosławski, przetłómaczył jego *Józefa* na wiersz polski. Z nauki ceniony był wysoko przez swoich i obcych, skoro Zamoyski z jego poradą zakładał swoją Akademię, a testamentem powierzył mu dozór nad naukami syna, i przez obcych, jak świadczą nader pochlebne i zaszczytne listy wielkich uczonych zagranicznych. Po polsku wszakże znakomity humanista dotąd nie pisał, aż się teraz odezwał *Lutnią Rokoszańską*.

Jaka była ta jego dawniejsza, łacińska poezya?

Mniejsza o *Herkulesa na rozstajnych drogach* (1602) (Hercules Prodiceus), pisanego dla wychowanka Tomasza Zamoyskiego, i o *Manes Barbarae de Tarnow ad Thomam Zamoscium filium unicum* (1610), pisane jemu na pociechę po stracie matki. Jedno i drugie wchodzi w znaną i przedawnioną kategoryę humanistycznych elegij. Zajmującym jest *Castus Joseph*, bo jest dramatem; i dlatego żałuje się, że Szymonowicz nie napisał go po polsku. W ubóstwie naszej poezyi dramatycznej byłoby coś przecie więcej; a z jego talentu byłoby się pewno znalazło choć trochę ładnych wierszy. Za wzór służyła oczywiście „Fedra" Euripidesa: z nią, a przez nią z „Fedrą" Racina, zachodzi niejakie podobieństwo. Z pomocą Greka malował Polak szaloną, wściekłą namiętność. Zaczyna się dramat od Chóru; cały dwór Putyfara idzie do świątyni prosić bogów za panią, umierającą z jakiejś nieznanej strasznej choroby. Potem ukazuje się bohaterka sama, Hiempsar, mdlejąca, upadająca, nieprzytomna; mówi tylko jękami i westchnieniami.

Stara piastunka i konfidentka długo nie może doprosić się odpowiedzi na swoje troskliwe pytania. Ale gdy raz przemówiła, stała się Hiempsar niepospolicie wymowną, wyznała bez ogródek swoją miłość do pięknego niewolnika, i kazała go natychmiast zawołać. Scena drażliwa z płaszczem, nie odgrywa się przy świadkach, tylko znowu piastunka opowiada Chórowi, co widziała i jak sama nie wie, czemu się ma więcej dziwić, czy obcesowej natarczywości swojej pani, czy niesłychanej cnocie młodzieńca. W ciągu dalszym naturalnie zemsta, fałszywe oskarżenie, a w zakończeniu dozorca więzienia opowiada, jak Józef, wtrącony do lochu, zaczął się modlić, a jasność jakaś nadziemska oświeciła jego więzienie.

Dramatu w tem niema i ani wiele zapewne dramatycznego talentu; ale szkoda zawsze, że to nie po polsku pisane. Penthesilea nie ma ani tyle dramatycznego pierwiastku. Mężna królowa amazonek przychodzi ratować Troję, ledwo przyszła, śpieszy do boju; goniec opowiada, że zginęła jak bohater.

Ale *Lutnia Rokoszańska*? Że Szymonowicz napisał ją w myśl i na chwałę rokoszu, nie można się dziwić. Przez tyle lat był przy Zamoyskim, podziwiał go, kochał, i naturalnie przejął się tem, co od niego i u niego o Zygmuncie i jego konszachtach z Austryą słyszał. Po śmierci Zamoyskiego, on, poeta i uczony, już nie mógł sam wyrozumować i rozpoznać, że słuszność sama przestaje mieć słuszność, kiedy dowodzi swego ze szkodą ojczyzny. Na czele rokoszu zaś widział Zebrzydowskiego, którego widywał zawsze przy Zamoyskim, którego ten mianował opiekunem swego syna. Nie dziw więc, że poeta Zebrzydowskiemu ufał, a jego sprawę miał za dobrą. Dziwniejsze jest to, że ze swoim talentem nie napisał tej *Lutni* inaczej. Niechby myśl i dążność była jakakolwiek, byle przemawiała z siłą, z ogniem, z natchnieniem. Tego zaś jest nie-

wiele; a *Lutnia* nie zapowiada, że jej autor będzie kiedyś tak niezwykłym i wdzięcznym poetą.

Naprzeciw Szymonowicza stoi w tej rokoszowej poezyi Miaskowski; tamten po stronie Zebrzydowskiego, ten po stronie króla. Wydał on swój *Zbiór Rytmów* pierwszy raz w roku 1612; ale pisał je latami wstecz, a te, które dotyczą spraw rokoszowych, pisał oczywiście pod świeżem wrażeniem.

Urodzony około połowy XVI wieku, przeżył w nim większą część swego życia, w nim się (na wzorach Kochanowskiego) kształcił, w nim musiał znaczną część swoich wierszy napisać. Zatem należałoby raczej liczyć go do tamtego wieku? Zapewne; ale w tym dopiero wydał najwięcej, w tym napisał najlepsze swoje wiersze, pisał je pod wpływem stosunków i wypadków z początków XVII wieku, słusznie więc będzie, choć z niejakiem pogwałceniem ścisłej chronologii, w tem miejscu o nim wspomnieć.

Pierwszym podobno wierszem jego, któremu można datę powstania oznaczyć, będzie *Lutnia na śmierć Jana Kochanowskiego, wielkiego poety polskiego.* Pisana była widocznie z rzewnem uczuciem i ma w sobie kilka wierszy najlepszych niewątpliwie, jakie z tego powodu były napisane. *Żale nagrobne* Klonowicza mają wymysłów więcej, ale dobrego smaku mniej i mniej szczerego uczucia.

Wogóle powiedzieć trzeba, że pomiędzy epigonami Jana Kochanowskiego zajmuje Miaskowski miejsce dość zaszczytne. Jak wszyscy inni nie przechodzi on tego zakresu poezyi, w którym Kochanowski zostawił im wzory, pisze same wiersze liryczne, bądź pobożne, bądź okolicznościowe. Te ostatnie dzielą się na dwie grupy: jedne spowodowane są ważnymi wypadkami i sprawami publicznemi, drugie śmiercią przyjaciół, krewnych, lub osób w Rzpltej znakomitych; kilka nagrobków, kilka epigramów, jeden wiersz satyryczny na Mięsopust polski, to cale pole, po którem buja jego

Pegaz. Poezya jego ma ten typ, wspólny wszystkim następcom Kochanowskiego, którego cechy są: język i wiersz od Kochanowskiego przejęty, tylko nie tak piękny jak u niego, mieszanina pobożności chrześcijańskiej z mitologią grecką i erudycyą klasyczną, i ten brak nowych pomysłów i zwrotów, ta jakaś jednostajność i stagnacya, właściwa poetom naśladującym, która sprawia, że wiersze ich, uczucia i myśli, jak gdyby wyszły z pod jednego stempla, podobne są do siebie tak, że ich rozróżnić i spamiętać trudno, że każdy z osobna właściwej swojej fizyognomii nie ma, ale wszyscy razem zostawiają tylko jakieś ogólne wrażenie szeregu, w którym się główny nie rozróżnia.

Miaskowski, bez wielkiego talentu, bez wyobraźni, trzymający się wiernie śladów Kochanowskiego, należy do takiego szeregu; jednak cokolwiek od innych odbija i lepiej od nich wbija się w pamięć. Jego język nie jest szczególnie piękny, wiersz czasem kuleje, ale jeden i drugi ma jakąś jędrność, jakąś energię, coś męskiego, czego próżnoby szukać w bezbarwnych i monotonnych rymach Grochowskiego naprzykład. Żyjący w tym samym czasie, zbliżony jest do tego bardzo; jak on pisze wiersze religijne, jak on w zamieszkach krajowych trzyma stronę Zygmunta III, jak on pisze wiersze na śmierć Zamoyskiego, Bernarda Maciejowskiego, albo na heretyka Rosentretera; tylko w tem wszystkiem jest więcej uczucia, więcej myśli i treści, a choć nie można powiedzieć, żeby była twórczość i wyobraźnia, przecież są jakiekolwiek jej połyski.

Jego wiersze religijne, naprzykład, nie są przekładami, jak większa część wierszy tamtego, a nadto mają jakieś choć słabe zarody kompozycyi, zakrój na poematy. Układają się one w dwie grupy, pieśni o Bożem Narodzeniu i o Męce Pańskiej i Zmartwychwstaniu; oprócz tego jest kilka pieśni luźnych. Niektóre są dziwne, żeby nie rzec trochę śmieszne; na-

przykład w jednej, Dyana, świecąc w nocy, widziała, jak anioł zbudził betleemskich pasterzy, i pobiegła czemprędzej do Apollina powiedzieć mu o Narodzeniu. Na tę wieść Febus bierze wszystkie swoje Muzy, prowadzi je do betleemskiej stajni, i tam każda po kolei śpiewa jakąś kolędę. Nam dziwnie wydaje się Terpsychora albo Talia, prosząca Matki Boskiej, żeby się za nią wstawiała u Syna jako za swoją sługą, ale obok tych dziwactw trafiają się tam niektóre wiersze nie bez prostoty i wdzięku. Zupełnie ładne, z małymi tylko wyjątkami, są pieśni o Męce Pańskiej, ułożone porządkiem godzin brewiarzowych; a choć zapomniane, ładniejsze od wielu dotąd śpiewanych pieśni kościelnych. Jest zwłaszcza *Pielgrzym Wielkanocny* (wydany 1612) dyalog pomiędzy dwoma uczniami, idącymi do Emaus, do których przyłącza się w drodze Chrystus w ubiorze pielgrzyma, który ma i formę bardzo dobrą, i właściwy ton legendowy, poważny a prosty. Czasem w tych pieśniach pobożnych znajduje się alluzya do Rzpltej i jej klęsk, i modlitwa za nią, jeżeli nie uderzająco piękna, to uderzająca tem jakiemś przeczuciem smutnej przyszłości, które było wspólne wszystkim prawie ówczesnym pisarzom, n. p. zakończenie pieśni na Nowy Rok, albo pieśni do Ducha św.

Alluzyj takich więcej trafia się oczywiście w wierszach świeckich i okolicznościowych Miaskowskiego, których liczba jest dość znaczna. Wartość nie zawsze wielka i nie zawsze jednakowa, ale ciekawe są zawsze, bo dotyczą wypadków takiej wagi, jak rokosz Zebrzydowskiego, lub zjazd jędrzejowski; są odpowiedzi na zarzuty, czynione powszechnie królowi i pisane na niego paszkwile. We wszystkich uderza poeta na niezgodę i nierząd, we wszystkich wróży z nich zgubę, niekiedy wcale wymownie, naprzykład w *Nenii na rozruch domowy*, albo w *Trenie Rzpltej na wojny domowe.* Te wiersze też stanowią część nietylko najciekawszą, ale nawet ze stanowiska literackiego najlepszą w całej

puściźnie Miaskowskiego. W wierszu na zjazd jędrzejowski pokazuje on nawet nieposledni rozum polityczny. Wiersz ten jest dyalogiem, w którym wracający z Jędrzejowa gość opowiada ziemianinowi, co się tam działo, a gospodarz mądre wnosi z tego wróżby, przepowiada upadek wszelkiej powagi Rzpltej, a w dalszem następstwie jej samej. Wierszy tak dobrych nie znaleźć nietylko u Grochowskiego lub Wiszniowskiego, ale nawet u Klonowicza; i jeżeli nie Kochanowski, to Szymonowicz, Szarzyński, mogliby podpisać je bez wstydu. Apologia na Paszkwil przeciw królowi JMci, rytmem, a niekiedy i energią i polityczno-polemiczną treścią przypominają, choć bardzo z daleka naturalnie, jedną z wielkich piękności naszej poezyi, walkę poetyczną pomiędzy Słowackim a Krasińskim.

Ten sam Miaskowski napisał szumny wiersz pochwalny dla Zebrzydowskiego z powodu założenia Kalwaryi. Szymonowicz znowu musiał poniewczasie poznać się na wartości rokoszu i rokoszan, skoro swojej *Lutni* nigdy nie wydał.

Przez jędrność i energię, jakiej inni nie mają, przez to, że ma głównie charakter poety politycznego, bo choć nie najwięcej na liczbę, to najlepsze z jego wierszy mają treść i tendencyę polityczną, odznacza się Miaskowski pomiędzy współczesnymi sobie poetami, i jest, z późniejszych i słabszych naszych poetów tego wieku, najżywszym, może najgorętszym, najśmielszym, jednem słowem najzdolniejszym.

Ale poezya tego czasu ma, jak się wspomniało, jakiś instynkt, jakąś potrzebę zmiany; próbuje schodzić z utartego toru, a szukać innych tonów, zasilać się obserwacyą życia, malować z natury. Instynkt ten, na nieszczęście, został tylko instynktem; ale dostrzedz się czasem daje dość wyraźnie. Naprzykład, u Piotra Zbyitowskiego.

Dwaj Zbylitowscy nie byli braćmi; ale sądząc z ich wierszy, możnaby ich wziąć za takich, tak są do sie-

bie podobni. Piotr myśli zupełnie tak jak Andrzej, lubi to co tamten, gani to samo co tamten i tak samo jak tamten, narzeka na zbytki, na stroje, na biesiady, kocha wieś, skromne życie, pomierną uciechę; pisze bardzo podobnie, tak, że po stylu, po języku, po wierszu, trudnoby jednego od drugiego rozeznać. Przecież jest różnica; wiersz Piotra, choć do tamtego bardzo podobny, jest równiejszy, poprawniejszy, a smak jego lepszy; ma więcej prostoty, więcej naturalności, nie sadzi tak erudycyą i mitologią, a co jeszcze lepiej, nie sadzi się nigdy na ton wysoki. Tamten wychwalał mierność a powstawał na zbytki z punktu widzenia jakiejś błogiej szczęśliwości, miał jakiś zakrój sielankowy i czuły; ten mówi zupełnie to samo, ale w innym tonie, z pewną zaprawą żartu, ironii, ma usposobie bardzo łagodnie satyryczne, ale przecież satyryczne; a czasem takie zacięcie swobodne, takie połyski humoru, że gdyby ten talent był się lepiej wykształcił i wyrobił, byłby może miał niejakie podobieństwo z Krasickim, byłby mógł uchodzić za jego praecursora. Bo co stanowi cechę a zarazem chwałę Piotra Zbylitowskiego, co dowodzi, że miał talent i zmysł artystyczny, to, że jego satyra jest bardzo mało podobna do satyry XVI wieku, wogóle mało ironicznej, a tylko poważnie moralizującej. On tego tonu kazania szczęśliwie unika, nie ma ani pedantyzmu pedagoga, moralisty, który sadzi maksymami i zasadami, ani pedantyzmu szkolnego retora, który sadzi erudycyą i mitologią; satyryk, bo wszystkie trzy jego wiersze, a wszystkiego tylko trzy po nim zostały, są satyryczne, jest w tym rodzaju lepszy, zdolniejszy, od tego, który uchodzi za pierwszego satyryka swojej epoki, od Klonowicza.

Dyletantem jest i on, na nieszczęście, jak jego krewny Andrzej. Gdyby nim był mniej, gdyby był trochę więcej literatem, miał więcej krytycznego zmysłu i wyrobienia, dobre wzory lepiej w pamięci, byłby się łatwo opatrzył, że jego satyry są za długie, że się

w nich nieraz do znudzenia powtarza, że kiedy chciał (a ten pomysł był wcale szczęśliwy) pisać satyry dyalogowe, to trzeba było, i było łatwo, dyalog ułożyć inaczej, przerywać go, mieniać mówiące osoby, tak, żeby on był rozmową prawdziwą, nie zaś długą oracyą jednego, po której następuje dłuższa oracya drugiego, i rzecz skończona. Ale oni wszyscy po Kochanowskim, prócz Szymowicza, stracili uczucie formy; mniemali, że cała jej doskonałość zależy na wierszu, i kiedy w tych wierszach doliczyli się równej liczby zgłosek i wynaleźli rymy, które się jako tako z sobą godziły, o więcej nie dbali, nie domyślali się potrzeby czegoś więcej; albo może, obdarzeni słabemi zdolnościami poetycznemi, szczęśliwi byli, że tej jednej trudności podołali, a innym sprostać nawet nie próbowali.

Z tego wynika, że wartości artystycznej satyry Piotra Zbylitowskiego nie mają, choć są i lepsze, i zabawniejsze, i prostsze od poezyi Andrzeja, choć trafia się w nich i humor, i pomysł oryginalny, i czasem nawet zwrot zgrabny i szczęśliwy.

Satyr jego wszystkiego razem jest trzy: *Przygana Strojom Białogłowskim*, *Schadzka Ziemiańska* i *Rozmowa Polaka z Cudzoziemcem*. Z tych pierwsza o czem mówi wskazuje sam tytuł; druga powstaje na pijaństwo szlachty i idące z niem w parze próżniactwo, gburostwo i burdy, trzecia na marnotrawstwo, na stroje, wystawne biesiady, zaprzęgi i t. d., słowem, wszystko to samo, o czem mówił nieraz Andrzej i tak samo prawie, tylko obszerniej, a w niektórych miejscach lepiej. Jako całość najlepiej może wykończona, najrówniejsza, najbardziej zbliżona do Horacyańskiego typu satyry, jest *Przygana Strojom Białogłowskim*. Ale dwie inne są więcej oryginalne, tak co do układu, jak może co do treści, a zwłaszcza *Schadzka* (1605).

Przyjeżdża szlachcic do sąsiada i wita go wierszem dość śmiałym, rozmowa zaczyna się odrazu, jak w *Modnej Żonie* albo w *Pan nie wart sługi* Krasickiego.

Gospodarz domu ma w okolicy najgorszą reputacyę skąpca, sknery, dusigrosza, odludka, dom przed ludźmi zamyka, jednemu drzwi zamknął przed nosem, drugiemu wymówił się chorobą, trzeciemu nie dał jeść; słowem okropny człowiek, postrach i zakała całego powiatu. Gość, przyjęty przez niego uprzejmie i hojnie, nie może wyjść z podziwienia, i namawia gospodarza, żeby dla wszystkich był tak grzecznym, jak dla niego: Żyj z ludźmi wesoło i pozwól im żyć, wypij i pohulaj, ubieraj się ładnie, zamiast robić się pośmiewiskiem całej szlachty w Koronie i Litwie. Wierzaj mi, obgadane pijaństwo ma przecież swoje zalety; ono wypędza frasunek, daje myśl dobrą do wszystkiego, do śpiewu, do bitwy, do tańca, do zalotów, dodaje człowiekowi fantazyi i ochoty.

Gospodarz protestuje, że temu gościowi i jemu podobnym zawsze w domu rad jest i będzie, tylko go przed pijakami, hulakami, gburami i zawadyakami zamyka: Sław ty sobie swoje ochoty, wino, hulanki, stroje, mnie nie przekonasz; wolę ja swoją skromną mierność, przy której majątku, ani zdrowia nie zmarnuję, żony i dzieci w nędzy nie zostawię. Następuje ostra i słuszna krytyka zbytków różnego rodzaju, przesadzania się jednych nad drugich, obraz zawsze prawdziwy odmawiania sobie potrzeb rzeczywistych w domu i gospodarstwie, a utraty i długów na rzeczy marne a pokaźne—w końcu dopiero tłómaczy poważny gospodarz, dlaczego swój dom przed ludźmi zamyka. Oto zajechało raz do niego trzech czy czterech nieznajomych, z liczną służbą, rozgościli się jak u siebie, narzekali, wymyślali że nie mają wygody, że złe łóżka, że pościele nie dość cienkie, dokuczyli i panu i służbie, potem przyszli do stołu. Przy stole nowe wymysły: jedzenie złe, wina mało i cienkie; gospodarowali jak u siebie, klucznika posyłali do piwnicy, pana łajali, wreszcie popili się, pobili, gospodarza, kiedy chciał się między nich wdać, o mało nie zatłukli, wreszcie po pija-

nemu jeden drugiego zarąbał, a gospodarz musiał stawać do sądu, znosić u siebie obdukcyę, odsyłać trupa ojcu, świadczyć. Od tego czasu zarzekł się gości. Cały ten obraz gburowatości, złego wychowania, dzikości pod atłasem i aksamitem, jest wcale żywy, i jest dość ciekawym rysem obyczajowym. A apostrofa do ojca, który syna w pieszczotach chował, nie puszczał na wojnę, a w ten sposób marnie stracił, albo refleksya biednego gospodarza nad Polską, są nawet wcale wymowne.

Rozmowa Szlachcica Polskiego z Cudzoziemcem, jest zabawna; trudno dojść, czy to satyra, czy pochwała. Rozmowa o Polsce. Cudzoziemiec jakiś ciekawy i bywały po świecie, bo był tam, gdzie Tubal swe państwa zakładał, i gdzie Annibal rządził, i gdzie Etna wyrzuca płomienie, i w Azyi, i w Afryce, przyjechał w końcu do Polski, bo słyszał zawsze wiele o polskiem męstwie i wolności, i chciałby im przypatrzyć się na oczy. Zadaje więc Polakowi rozmaite pytania, o wojsko, o skarb, o rząd, o prawa; same pytania, na które odpowiedź powinnaby być krytyką, satyrą. Polak tymczasem na wszystko odpowiada pochwałą, wszystko jest dobrze, wszystko jak być powinno. Czy to może satyra podwójna, a bardzo dowcipna i delikatna? Satyra na stan Rzpltej w zapytaniach cudzoziemca, a w odpowiedziach Polaka satyra na polski zwyczaj zadowolenia z siebie i przechwalania się? Byłoby to istotnie bardzo dowcipne, nawet głębokie; na nieszczęście, w ten stopień dowcipu i ironii u naszego poety uwierzyć trudno; i o ile myśl jego wyrozumieć można, to zgadza się on we wszystkiem z tem, co szlachcic cudzoziemcowi odpowiada.

Naprzód wychwala on mierność, skromność, proste obyczaje przodków, jak zawsze; potem opowiada, jak w Polsce powstawał dzisiejszy skład społeczny i prawo publiczne, stan szlachecki, jego prawa i przywileje; wszystko z wielkiemi pochwałami. Potem zapytuje cu-

dzoziemiec o siłę zbrojną Rzpltej: Wiem, żeście odważni, ale czy równie ćwiczeni, czy równie zawsze do wojny gotowi. Zdawałoby się, że to wyborne pole do odpowiedzi satyrycznej, że chcąc odpowiedzieć prawdę, nie można nawet odpowiedzieć inaczej. Ale nie; gospodarz opowiada mu wszystkie zwycięstwa polskie z całego wieku, przytacza różne czyny bohaterskie (wszystko prawdziwie), ale o niegotowości wojennej nie wspomina. Dopiero, kiedy cudzoziemiec zapytuje o hart, wytrzymałość, wytrwałość na trudy, o ćwiczenie wojenne, dopiero gospodarz, który na miękkość i zniewieściałość narzeka, zaczyna się żalić, że w broni ćwiczymy się na jarmarkach i w burdach, a zbroi żaden już dźwigać nie chce, bo mu ramiona ugniata. I z tego dopiero wysuwa się ostra, ale wcale trafna i żywa nagana złego wychowania szlacheckiej młodzieży i jej próżniaczego życia w domu. Stary szlachcic, wyprawiający syna na ożenienie jest wcale komiczny.

Przychodzi kolej na zbytki, pijatyki, na atłasy i aksamity, na zdzierstwo poddanych; wreszcie pyta gość, czy nie byłoby dobrze postanowić jakie prawa i niemi na to złe zapobiedz. Zdawałoby się, że ta myśl zdrowa jest myślą autora. Nie wiedzieć; dotąd w całej satyrze Polak wyrażał jego zdanie. A to, co Polak odpowiada, to dopiero wygląda na satyrę, to powszechne ulubione polskie „nierządem stoi".

Szczególny satyryk daje na końcu swojej satyry *post scriptum* do czytelnika, w którem się sam z siebie trochę śmieje. Mówi mu: Ja cię strofuję, ale ja taki sam jak i ty; narzekam na zbytki, ale i u mnie znajdziesz nie jeden atłas i aksamit. Wiem, że to złe, ale cóż mam robić; gdybym żył inaczej, niż wy wszyscy, wybyście ze mną żyć nie chcieli, a cóżbym wtedy począł? Wolę już pić, i stroić się, i wyprzeć się wszystkich swoich książek, niż przyjaźni i miłego towarzystwa Stacha lub Marcina.

Wszystko razem wziąwszy, poeta nie bez zdol-

ności i humoru, z satyryków tego czasu niezawodnie najlepszy.

On jest jednym pisarzem nowym, występującym w pierwszych latach XVII wieku. Jacyż więcej prócz niego? Pierwszem podobno znanem słowem, jakie Birkowski wypowiedział z kazalnicy, było kazanie na pogrzeb Zamoyskiego (1605). Zjawia się więc ta postać nowa i bardzo oryginalna; jedna z najbardziej znaczących za czasów Zygmunta III. Zjawia się i ta tłómaczona czy przerabiana mała powieść, jakiej w wieku XVI u nas nie było, a która teraz zacznie ukazywać się częściej. Hieronim Morsztyn wydaje (1606) *Światową Rozkosz*, która miała znać niemałe powodzenie, bo wydania powtarzają się często i długo. Zjawia się i dyalog; jeden narazie, i jeden z najsłabszych, Jurkowskiego *Tragedya o Polskim Scilurusie* (1604); ale nie broszura w formie dyalogu, jakich było wiele w XVI wieku, tylko już niby dla przedstawienia pisany, już niby z jakąś akcyą. Stary ojciec ma trzech synów: Herkulesa żołnierza, Diogenesa filozofa i Parysa rozpustnika. Umierając, zaleca wszystkim trzem, żeby żyli uczciwie. Po śmierci ojca Herkules znajduje się na rozstajnych drogach między Rozkoszą a Cnotą, każda ciągnie go do siebie, ale cnota zwycięża. Diogenes gardzi marnościami tego świata, żyje cały w rozmyślaniu i mądrości; zniewieściały Parys idzie do piekła. To cała tragedya. Przytoczona treść świadczy, jak autor miał słabe wyobrażenie o tragedyi. Ale nie był on zupełnie bez żyłki satyrycznej, bez zmysłu spostrzegawczego. W *Intermedium* występuje szlachcic pan Orczykowski, i naradza się z żoną o wychowaniu syna. Szuka dla niego nauczyciela i znajduje go. Ale nauczyciel żąda za wynagrodzenie 20 złotych na rok. „Co? dwadzieścia złotych? Za tę cenę mógłbym kupić konia!" — odpowiada troskliwy ojciec, i chłopiec rośnie dalej w domu bez nauki i nauczyciela. Niema w tem dowcipu, ale jest przynajmniej intencya satyryczna i jakiś związek z życiem.

Tym dyałogom pokrewne są dość liczne w początku wieku facecye i żarty, które prof. Brückner odkrył, a którym przypisuje pochodzenie mieszczańskie, za prawdopodobnych autorów uważając bakałarzy. Podpisują się oni nazwiskami wymyślonemi: Prawdzic Niedrwił, Jan z Kijan, Januarius Sowizdzalius, a tytuły ich humorystycznych wierszy, to *Facecye Polskie*, *Burleszki*, *Forfanterye Dworskie* i t. p. Zdaniem wymienionego uczonego, „brak im ogłady, głębszej myśli, rozmaitości,” ale „jest humor rodzimy, dosadny, własny, forma niewyszukana, ale swojska”. Przez to są poniekąd potomkami Reya, a poprzednikami pana Paska. Ale ta samorodna mieszczańska produkcya literacka nie trwała długo i nie rozwinęła się lepiej, skutkiem zapewne stopniowego podupadania miast.

W prozie odzywa się echo dawnych czasów, dawnego obyczaju. Heidenstein wydaje swego *Kanclerza*, ostatnie w szeregu tych dzieł o doskonałym Senatorze, Hetmanie, Pośle, które wiek XVI lubił pisywać w mniemaniu, że takim opisem obowiązków pewnego urzędu i przymiotów urzędnika, ułatwi i przygotuje doskonały rząd. *Kanclerz* ten (1610) jest ciekawy, bo choć zapewne pierwszego lepszego nie nauczyłby być kanclerzem, zajmuje przez to, że pisany jest widocznie z myślą o Zamoyskim, z jego przykładem i pamięcią przed oczyma, a prócz tego zajrzeć pozwala w urządzenie polskiej kancelaryi, w jej zwyczaje, w jej urzędowy mechanizm, i w jej pod tym względem niedostatki Przypisany jest kanclerzowi Wawrzyńcowi Gembickiemu, biskupowi chełmskiemu, w tym celu właśnie, z tem wyraźnem wezwaniem, żeby jako kanclerz poprawił, co jest błędnego w urządzeniu kancelaryi, w jej sposobie załatwiania spraw.

Zaczyna się od historycznego poglądu na urząd kanclerski; jacy urzędnicy sprawowali przywiązane do niego obowiązki w Grecyi, jacy w Rzymie, jak za Cezarów zaczęło się już zjawiać i słowo, nazwisko *Can-*

cellarius; jak się przyjęło na dworze cesarzów wschodnich, jak po upadku Rzymu, w chrześcijańskich średniowiecznych społeczeństwach, każde państwo, każdy książę, każdy znaczniejszy nawet prywatny ma swego kanclerza. Potem dopiero zaczyna się rzecz o kanclerzu w Polsce.

Urząd jego obejmuje czworakie obowiązki, którymi są: 1) udział w obradach publicznych, któremi kanclerz kierować powinien, a przy których zdaje sprawę przed senatem i sejmem ze stanu Rzpltej; 2) przyjmować posłów zagranicznych, z nimi konferować, dawać im odpowiedzi ustnie lub na piśmie; 3) sądy; 4) prośby ludzi prywatnych królowi i senatowi przedstawiać.

W tej mieszaninie tak różnorodnych obowiązków, jakich więc przymiotów potrzebuje kanclerz, żeby dobrze powołaniu swemu odpowiedział?

Jako ten naprzód, który reprezentuje politykę rządu przed sejmem i jej tam broni, powinien kanclerz znać doskonale Konstytucyę Rzpltej, jej prawa, jej stan; powinien znać praktykę interesów, a przeto po długiej i dobrej służbie dopiero na taki ważny urząd wstępować; powinien być wymownym, bo inaczej w sejmie ani nikogo nie przekona, nie pociągnie za sobą, ani polityki swojej od przeciwników obronić nie potrafi. „Takiego nie było i nie będzie może jak Zamoyski, którego bez przydomku Wielkiego nazwać nigdy nie można, którego natura tak szczęśliwie stworzyć sobie upodobała, że, co i do uwierzenia trudne, pokazała na nim, iż w jednym człowieku połączyć się może najwyższa biegłość w sztuce wojennej i w sztuce rządzenia, pospołu z najdoskonalszą cnotą".

Ale na wymowie kanclerzowi nie dosyć; potrzebuje on umieć i pisać, a to zwłaszcza niezbędnem mu jest ze względu na stosunki z dworami zagranicznymi.

I tu następuje obraz wcale zajmujący kancelaryi polskiej, urzędników, z których się składała, manipu-

lacyi, jakiej się trzymała, wreszcie niektórych reguł i zwyczajów polskiej dyplomacyi.

Są więc w kancelaryi dwa rodzaje, dwa stopnie urzędników, pisarzy. Jednych nazywa autor *Scribae*, drugich *Scriptores*. Scribae to urzędnicy niżsi, Scriptores—sekretarze.

Ci ostatni to właściwa służba dyplomatyczna: do nich należą korespondencye zagraniczne, oni często jeżdżą i w poselstwach do obcych dworów. Rzecz jasna, iż zawisło na tem wiele, iżby byli ludzie zdolni, doświadczeni i pewni. Powinien zatem sekretarz mieć przedewszystkiem bystry sąd i rozeznanie rzeczy, a potem słów i stylu elegancyę, bo choć treść tego, co ma pisać, zawsze mu kanclerz podaje, przecież od dobrej redakcyi zależy i honor kancelaryi i nieraz samo udanie się rzeczy. „Powinien zatem mieć umysł napojony Sokratesowemi kartami czyli Filozofią, bo z niej jak ze źródła płynie znajomość wszystkich Boskich i ludzkich nauk, i wszystkich zacnych i szlachetnych spraw i rzeczy". Do tego dołączyć ma gruntowną znajomość praw ojczystych jak cudzych, a nadewszystko rzymskich, i historyi, mistrzyni życia i polityki. Nadto w praktyce swego urzędowania potrzebować on będzie znajomości rzeczy drobnych wprawdzie, ale które obserwować musi, to jest przyjętych powszechnie w Europie form i formuł dworskiego i dyplomatycznego ceremoniału, form listowych, ustalonych formuł różnych aktów (not, memoryałów i t. p.). Tych zaś nader pilnie ma przestrzegać, żeby w tem, co pisze, nie odstąpił ani na włos od ducha ani od litery paktów i traktatów dawniejszych, bo inaczej łatwo albo obcemu dworowi uchybić, i na swój zawikłanie jakie ściągnąć może, albo takiego coś napisać, z czego drugi coś na szkodę Rzpltej mógłby chytrze wyciągnąć. Dlatego powinien mieć pod ręką księgi traktatów, legacyj i negocyacyj, jeżeli nie wszystkich ogółem, to przynajmniej świeższych, tych, do których częściej odwoływać się przychodzi. Powinien znać obce

języki, a łacińskim, jako powszechnym językiem dyplomatycznym, mówić i pisać doskonale. Z tego wszystkiego widno, że w owym czasie wymagano od dyplomatów tego samego, co dziś.

Jeżeli sekretarz wysłany będzie w jakiej misyi zagranicę, wtedy niech jedną przedewszystkiem regułę ma zawsze na pamięci, to jest, że najmniejsza jego nieostrożność może Rzpltą przyprawić o wielkie szkody. Dlatego, jeżeli z jakich bądź powodów, nie może jasno i otwarcie interesu swego sprawić (n. p. wyjawić myśli, zamiarów lub obaw swego rządu), niech umie być w słowach wątpliwym, dwuznacznym: nie darmo Zamoyski powtarzał zawsze swoim sekretarzom, że „cała mądrość polega *in dubietate.* — Maksyma ta Zamoyskiego wychodzi prawie na maksymę Talleyranda: *La parole a été donnée à l'homme pour cacher la pensée.*

Druga kategorya pisarzy, używana do spraw wewnętrznych, nosi tytuł skrybów albo notaryuszów. Ci piszą przywileje, donacye, dyplomy na indygenat, listy wolnego przejazdu, bywają posyłani na sądy graniczne, delegowani do spraw testamentowych, sierocińskich, słowem urzędowanie ich zamyka się w obrębie spraw, należących do prawa prywatnego, chociaż i do publicznych bywają niekiedy używani, jak n. p. do prostowania granic z sąsiedniemi państwami przy traktatach, do zapisów posagu lub oprawy królowych i podobnie. Wszystkie takie tranzakcye mają swoje stałe formuły, od których prawomocność ich nieraz zawisła, i te notaryusz na palcach znać powinien. Nad wszystkimi zaś notaryuszami (pisarzami) przełożonym jest rejent kancelaryi, urzędnik, na którym zawisł cały porządek czynności. On rozdziela czynności pomiędzy pisarzy, on akta gotowe podaje do podpisu kanclerzowi, a nieraz i samemu królowi, on ma dawać baczność, żeby w te akta nie wcisnęło się nic takiego, coby było przeciwne prawom lub dawniejszym jakim nadaniom. Dlatego powinien mieć naprzód formularz stały, raz na zawsze uło-

żony, normę, podług której się akta takie piszą; powinien mieć spis czy rejestr, promptuarium praw, nadań i przywilejów, powinien dalej wszystko, co z kancelaryi wychodzi, sam czytać i własną ręką koramizować. Wreszcie, rzecz najważniejsza, powinien utrzymywać spis wszystkich aktów kancelaryi, w którym stać powinna krótka treść i data każdego, a ten Inwentarz, Tabularium, nazywa się u nas Metryką koronną.

Uczciwość, pilność etc., rozumie się samo przez się, są koniecznymi przymiotami rejenta, skoro w jego ręku są najważniejsze akta prawne, a na jego głowie porządek i honor kancelaryi.

Porządek ten popsuł się nieco w ostatnich czasach, i dlatego za króla Stefana jeszcze kanclerz zlecił był przeprowadzenie potrzebnych zmian autorowi, który istotnie robotę rozpoczął, ale niebawem, powołany do innych czynności, musiał jej zaniechać; a teraz prosi usilnie dzisiejszego kanclerza, żeby za urzędowania swego porządek ten przywrócił.

Kardynalną wreszcie cnotą rejenta, sekretarzy i notaryuszów i ich pierwszym obowiązkiem jest milczenie, dyskrecya.

Ten opis kancelaryi, który daje niejakie wyobrażenie, choć niezupełne, o manipulacyi biurowej w Polsce, jest ciekawy, bo mało zkąd można o niej powziąć wiadomość.

To ukończywszy, przechodzi autor do dwóch dalszych obowiązków kanclerza. W swoich obowiązkach sądowych mają być rzetelni, bezstronni, przestrzegać, żeby tacy byli ich podwładni, rzeczy, które się rozumieją same przez się. Kiedy zaś przyjdzie im wykonywać czwarty obowiązek ich powołania, to jest królowi przedstawiać prośby i supliki, powinni robić to z tą samą sumienną rzetelnością, zważać na słuszność sprawy, jeżeli idzie o rzeczy, na wartość i zasługę osób, jeżeli idzie o urzędy lub donacye, nadewszystko wystrzegać się powinni osobistości; i gdyby ktoś od nich

odwoływał się w prośbie do króla, albo gdyby ich ganił, albo gdyby prosił o coś takiego, o co się kanclerz sam dla siebie stara, to i wtedy z urzędu powinien tak królowi sprawę przełożyć, jak gdyby go ona wcale nie dotyczyła.

Taka jest treść dziełka, które, choć bez szczególnej wartości, zajmujące jest przez to, iż pozwala dojrzeć, choć niewyraźnie, jak się sprawy bieżące w naszych biurach załatwiały, jakich przymiotów i wiadomości żądano od ludzi, używanych do służby dyplomatycznej, wreszcie, jak pojmowano powołanie i obowiązki kanclerza w najświetniejszych czasach tego urzędu, jak je pojmował Zamoyski.

Skarga odzywa się jeszcze raz, ostatni raz przed śmiercią, kazaniem dziękczynnem za Moskiewskie zwycięstwo; rokiem później Birkowski przemawia już nad jego trumną — następca nie niegodny, ale nie równy. A prócz tego cóż tam przybywa? Zdaje się, że może jaka myśl dobra w książeczce politycznej treści? Może świeża pamięć rokoszu, może moskiewskie i szwedzkie niebezpieczeństwa natchną kogo rozwagą głębszą i silniejszem uczuciem?

Wzór Rzeczypospolitej rządnej, do ciała człowieczego przystosowany, krótko spisany przez *ks. Jana Januszowskiego archidyakona sądeckiego*, 1613, przynosi tylko rozczarowanie. Król jest głową, a Rzplta ciałem: jedno bez drugiego być nie może. Żyły tego ciała, to unia i zjednoczenie prowincyi; żołądek to dochody, dusza to sejmy, prawa, konstytucye; kości, to Sakramenta, mandaty Boże i posłuszeństwo kościelne; oto całe porównanie (bez dowodzenia) i cała na kilku kartkach zawarta bez myśli i treści książeczka, Zygmuntowi III, o ile poznać można, dość niechętna. Ale rok 1614 przynosi coś, co naprawdę było zaszczytem literatury polskiej i zostało nim na zawsze. Wychodzą *Sielanki* Szymonowicza.

Że są naśladowane ze starożytnych, że epoka humanistyczna uprawiała sielankę z wielkim zapałem, że Szymonowicz mógł się jej uczyć nie od Teokryta i Wirgiliusza tylko, ale i od Sannazara i od Ronsarda, że w jego Sielankach zdarzają się podobieństwa ze starożytnemi i z nowszemi, to wszystko prawda i to zbyt wiadome. Ale to nie przeszkadza, że jego Sielanki są naprzód jako takie bardzo ładne, że dalej choć naśladowane, mają bardzo rzeczywisty i wyraźny charakter polski i że są perłą całej poezyi polskiej w pierwszej połowie XVII wieku.

W tym zmierzchu, jaki nastał w poezyi polskiej po śmierci Kochanowskiego, jak po zachodzie słońca, a którego nieliczne wierszyki Szarzyńskiego rozjaśnić nie mogły, odbija od innych Szymonowicz miłym, a nadewszystko własnym blaskiem. Poeta sielankowy, a sielanka używa nieszczególnej sławy między ludźmi; Sielanka to rodzaj poezyi niesmaczny i fałszywy, sielanka nadstawia konwencyonalnym wdziękiem i udaną prostotą to, co jej zbywa na naturalności i prawdzie, a najczęściej ten wdzięk sztuczny jest mdły i ckliwy. Tak się mówi o sielance, i najczęściej słusznie. Jakiś raz na zawsze przyjęty wiek złoty, w którym się wszystkie bukoliki odbywają, jakiś nieprawdopodobny świat pasterzy zawsze szczęśliwych, niewinnych, niby prostych a bardzo pięknie wychowanych i wymuskanych, ten świat bez chmur i niepogody, ci ludzie bez troski, którzy tylko śpiewają, grają na fujarkach, i kochają się w uroczych pasterkach, za mało jest podobny do rzeczywistości, żeby w poezyi mógł się bardzo podobać.

W krytyce XIX wieku powszechnie było przyjęte mówić, że pewne rodzaje poezyi są symptomatami zguby i upadku, a do takich utarte mniemanie zalicza obok satyry—sielankę. Czy to zdanie trafne? W regule może nie; Boileau miał słuszność, kiedy mówił *tous les genres sont bons*, a niewiedzieć dlaczego pewne formy

poezyi miałyby rosnąć na grobach tylko jak nieśmiertelniki, zwiastować śmierć jak puszczyki i podnosić się jak błędne ognie z próchna i zgnilizny. Przynajmniej ta stała kolej, którą krytycy i historycy literatury polskiej przepisali dla poezyi, a podług których pierwsza powinna zjawiać się poezya opisowa, za nią liryczna, po tej znowu dramat oznacza dojrzałość poezyi, pełnię tego księżyca, a jego schyłek, jego ostatnią kwadrę komedya, satyra i sielanka, dostała wiele i świetnych zaprzeczeń od rzeczywistości. Poezya angielska zaczęła od dramatu i, nie troszcząc się o przepisaną kolej rozwoju, stanęła jednak dość wysoko, choć bez pierwszego szczebla dotąd się obchodzi; niemiecka, od czasu jak się stała artystyczną, także epopei nie miała; polska, która ją ma, doszła do niej w czwartym dopiero wieku swego życia. Pokazuje się zatem, że kolej ta postawiona jest może logicznie, ale dowolnie; może tak być powinno, ale tak nie jest, a prawidło, postawione dla satyry i sielanki, także się nie sprawdza. Nie mówiąc o poezyi rzymskiej, w której przecież Eklogi Wirgiliusza i Satyry Horacego nie oznaczają upadku, jednym z pierwszych znakomitych płodów poezyi francuskiej jest satyra, „Satyr" Kochanowskiego jednym z pierwszych w polskiej; Satyry Krasickiego są krokiem nie w tył, ale naprzód; a nie z epoki upadku podobno datuje sielankowe arcydzieło Göthego „Hermann i Dorota".

Ale jeżeli wogóle reguła ta stwierdzić się nie daje, to znowu zaprzeczyć nie można, że w wieku XVI zjawiła się sielanka już wtedy, kiedy twórczość w poezyi i sztuce miała się ku zachodowi. Hasło dał podobno Tasso swoim Amintą, a dalej spadła sielanka istotnie do karykatury sielskości, do ckliwych pasterskich poezyj Guariniego, Mariniego i t. p. Nie można wątpić, że poetów tych naprowadziło na myśl pisania sielanek uwielbienie dla starożytnych, a zarazem nadzieja, że naśladując Teokryta albo Wirgiliusza w Eklogach, w któ-

rych jeszcze naśladowanym nie był, zrobią sobie sławę nowości i oryginalności.

Czy za ich przykładem, czy za własnym popędem poszedł Szymonowicz, kiedy ze starożytnymi wzorami przed oczyma przesadził idyllę na grunt polski, tak na pozor źle do niej zastosowany? Zapewne pierwszy popęd odebrał od Wirgila i od humanistów, a przykład Tassa może go ośmielił; ale to pewna, że swemi Sielankami dowiódł dwóch rzeczy: naprzód swojego prawdziwego talentu, a powtóre tego, że wszystkie rodzaje poezyi są dobre, byle je poeci dobrze uprawiać umieli.

Bo konwencyonalna, nienaturalna sielanka, tak niezgodna z polskim klimatem, naturą, z życiem polskiego rolnika, że Arkadya mogłaby tu raczej wyglądać na ironię, pod jego piórem nietylko nie raziła sprzecznością, ale owszem wydała się prawdopodobną, prawdziwą, nieledwie rzeczywistą; nietylko nie była konwencyonalną i mdłą, ale stała się piękną i sympatyczną poezyą.

Miał ten poeta szczęście do ludzi: współcześni, nawet zagraniczni, cenili go wysoko; pisarze XVIII wieku podziwiali go bardzo, niektórzy naśladowali, jak mogli (niedołężnie). Znalazł on późno nawet wielbiciela cudzoziemca, który przy schyłku XVIII wieku przełożył go na język łaciński. Ale choć go wielu ceniło i lubiło, Mickiewicz pierwszy zrozumiał i wytłómaczył tajemnicę jego wdzięku. Naruszewicz naśladował, Durini tłómaczył Szymowicza dlatego, że widzieli w nim szczęśliwego naśladowcę bukolik starożytnych: Mickiewicz dopiero odkrył, że pod tymi Wirgiliuszowskimi pozorami tkwi żywa i rodzima rzeczywistość, że krajobraz, wśród którego nasz stary poeta stawia swoich pasterzy, nie jest teatralną dekoracyą, nie konwencyonalną Arkadyą, ale pięknym obrazem natury polskiej, a ci pasterze, Dafnisy i Licydasy, myślą i żyją bez mała jak lud wiejski w Polsce, a mówią choć ozdobniej od niego, ale z właściwą jemu prostotą.

Odtąd już nic nowego i nic więcej o Szymonowiczu powiedzieć się nie da; jest cały wytłómaczony i osądzony. Piękność jego Sielanek polega w tem, że pomimo formy pożyczonej są obrazkami rodzimego życia; że przy języku wyrobionym i artystycznym mają wielką prostotę; a jeżeli dodamy do tego żywe uczucie natury, tu i owdzie humor wesoły i zlekka uszczypliwy, łatwo pojąć, że choć sielanka jako taka może nie być sympatyczną, choć w zasadzie można być jej nieprzyjacielem, to w praktyce te Sielanki mogą mieć wiele powabu i wbrew zasadzie podobać się muszą.

Jest ich ogółem dwadzieścia: wszystkie zewnętrznie zbliżone są do typu Eklogi Wirgiliusza; dyalog we dwie, a najwięcej trzy osób, albo opowiadanie, które przechodzi w śpiew lub monolog jednego pasterza. Formy włoskiej, idylli dłuższej, zbliżonej do dramatu, podzielonej na sceny i akty, nie używa Szymonowicz wcale. W tej liczbie dwudziestu Sielanek są jedne, które widocznie są tylko hołdem uszanowania, spłaconym starożytności, jak naprzykład Orfeusz, którego chwałę i różne przygody opiewa jakiś Menalkas, (szesnasta), jak Epithalamium Heleny Trojańskiej (dwudziesta), albo wreszcie jak Wierzby, mitologiczną jakąś metamorfozą przemienione w drzewa panny z „fraucymeru Minerwy", za to, że się wdały w zbyteczną poufałość z Satyrami czy Faunami. Inne znowu są widocznie okolicznościowe. Dáfnisy i Fillidy musiały oznaczać jakieś rzeczywiste współczesne osoby, musiały być pod tą maską podchlebnym wierszem na jakieś wesele, albo wierszem kondolencyjnym na śmierć jaką; taki jest naprzykład Ślub, gdzie autor bohaterowi swemu wcale maski na twarz nie kładzie, ale otwarcie nazywa go „pięknym Sieniawskim" (jedenasta). Na to wyglądają i „Kołacze" (dwunasta), a „Rocznica" (dziewiętnasta), w której Thyrsis opłakuje śmierć „Dafnisa," „pięknego bydła pasterza", musiała być napisana na zgon jakiegoś znakomitego w Rzpltej człowieka. Ale jakiego?

Może króla? Stefana? może Zamoyskiego? Prawdopodobnie tak. Do niego ściągają tę Sielankę wszyscy głębsi badacze i znawcy Szymonowicza.

Zdarza się znowu często, że w Sielankach, pisanych bez celu, zrobi poeta alluzyę lub prz ytyk do współczesnych, że im zarzuci bądź miękkość i zbytek, bądź niezgodę, bądź próżniactwo i niedbałość o oświatę; raz skarży się wymownie na upadek i Rzeczypospolitej i szlachetnej sztuki pisarskiej (Kiermasz S. X.). Dziwną nawet ma zręczność w przyprowadzaniu takich aluzyj nieznacznie i jakoby z niechcenia. I tak naprzykład w Sielance XVII (Pastuszy) Sobon i Symich śpiewają na przemiany pochwały swoich pasterek i skarżą się na ich srogość. Jeden z nich przypomina, że dawniej Nimfy i sama Venus rade słuchały piszczałki, „dziś pytają, co kto ma”; i tym nieznacznym zwrotem przechodzi do surowej nagany obyczajów, a nawet do aluzyj politycznych. Albo to upomnienie do króla, może o starostach lub urzędnikach: Pasterzu, złe psy chowasz— warto uważać, że to wszystko przeważnie wychodzi z tonu i zakresu Sielanki, i najnaturalniej do niej wraca. Wogóle „Pastuszy” należą do najwdzięczniejszych jego obrazków, naprzykład te strofy, które Sobon i Symich naprzemian śpiewają na pochwałę swoich pasterek.

Na najpiękniejszą i najbardziej może szczerze wiejską i polską ze wszystkich, na Żeńców, a zwłaszcza na śliczną w niej piosnkę „Słoneczko śliczne oko” zwrócił uwagę polskiego czytelnika Mickiewicz tak, że ona już nigdy zapomniana nie będzie. Trzeba więc tylko dodać dwie rzeczy, jedną na chwałę poety, drugą na jego niekorzyść. Ta pierwsza będzie, że piękności podobnych, w których nie wiedzieć co milsze, czy prostota poety, czy odbicie wiejskiego i ludowego życia, trafne, znać oparte na prawdziwej jego znajomości, poetyczne, idealizowane, znać widział poeta to życie przez pryzmat sympatyi i miłości; jest więcej, jest ich

wiele. Naprzykład, kiedy pasterz Wonton, któremu bydło wypadało w Pomarlicy (Sielanka czternasta), żegna się ze swoją wsią i okolicą. Sławny Moelibeus Wirgiliusza, kiedy szedł w świat, nie rzewniej żegnał się z Tityrem *patulae sub tegmine fagi*. Albo kiedy Kosarze, Miłko i Baty (Sielanka czwarta) na wyścigi wychwalają jeden kochankę, a drugi, rozsądny i trzeźwy,—gospodarstwo. Śliczna także jest z Sielanki pierwszej skarga Dafnisa na okrutną Filis; są inne żartobliwe, naprzykład Baby (Piąta):

I tak-li nasza Nice na swe stare lata
Za mąż idzie?

albo ósma (Dziewka), w której harda piękność zrazu odpycha zakochanego Dafnisa, potem zniewolona trochę skłonnością, trochę dostatkiem pasterza staje się wzajemną: on zakochany naiwnie, po prostu i na ślepo, ona wyrachowana i zręczna.

Sprawiedliwość jednak nakazuje powiedzieć, i to jest owa druga uwaga, że Szymonowicz nie jest zawsze równy. Bardzo rzadko zdarzy się Sielanka, którąby cała od początku do końca była jednakowo piękna. Często ustępy bardzo piękne, pełne wdzięku, pomieszane są z takimi, w których albo wiersz będzie będzie słabszy, albo język zaniedbany, albo znajdzie się jakieś wyrażenie niesmaczne, albo jakiś pomysł niepotrzebny i nieusprawiedliwiony. Nawet „Żeńcy," choć to może najsympatyczniejsza z Sielanek, nie są od tej wady wolni. Po prześlicznym wstępie, po pieśni o słoneczku, następuje długa rozmowa pomiędzy Oluchną a Pietruchą, o jakiejś babie, ulubionej srogiego starosty, przed którą drży on sam i cała wieś. Koniec znowu śliczny, ale ten epizod wtrącony, obojętny, niepotrzebny, psuje całość, która bez niego byłaby zupełnie wdzięczną i harmonijną.

Jakkolwiekbądź, jakkolwiek trafiają się usterki, są to obrazki bardzo piękne i dowodzące wielkiej zdolności poetycznej, bardzo delikatnego zmysłu artystyczne-

go Szymonowicza. Jego język i wiersz, z małymi wyjątkami, jest bardzo piękny, na równi może z wierszem Kochanowskiego. To wszystko, a przytem jeszcze ta woń pól i lasów polskich, sprawia, że wdzięk ich jest wielki, a wartość taka, że po Kochanowskim jego wymienić trzeba jako drugiego prawdziwego i niepospolitego poetę polskiego. Prawda, że rodzaj jego jest z natury niejako sztuczny i że jest drobny; prawda także, że jest w tej poezyi naśladowanie, mianowicie Wirgiliusza. Ale nie trzeba nigdy pytać poety, co pisze i w jakim rodzaju, tylko: jak pisze w rodzaju, który sobie wybrał: mniejsza, że rodzaj drobny, jeżeli dzieło w tym rodzaju doskonałe. A mało od doskonałości umyka się Sielanka, która w tradycyjną klasyczną formę Wirgiliusza umiała wlać treść z rodzimego polskiego życia, zachować wszystkie cechy tamtej, a nie zatrzeć charakterystycznych znamion tego, i te dwa wdzięki tak od siebie różne i dalekie, szczęśliwie i harmonijnie w sobie połączyć.

Ostatni u nas uczony w dawnym rodzaju humanistów XVI wieku, jest i pierwszym w swoim wieku poetą, i ostatnim na długie czasy poetą artystą.

Nie widzieliśmy w ciągu całego tego wieku ani jednej samodzielnej pracy filozoficznej. Z wiekiem XV, ze świetnością uniwersytetu, zamiera ta gałęź piśmiennictwa, żyjąca wówczas licznymi scholastycznymi traktatami. Ale w braku własnych polskich dzieł filozoficznych, zdobył się wiek XVI na swoim schyłku przynajmniej na przekład. Przekład tylko: ale ważny i wcale nie pozbawiony własnej samoistej myśli. Sebastyan Petrycy przełożył na język polski Politykę, Ekonomikę i Etykę Aristotelesa. Filozofia polityki Orzechowskiego, Modrzewskiego i wszystkich innych jest u Aristotelesa; po polsku jej nie było, a przetłómaczyć jego było to całej publiczności czytającej w Polsce dać sposobność poznania ostatnich przyczyn i najgłębszych zasad, samej istoty, idei, tego co tamci mówili.

Z tych powodów więc byłby przekład Petrycego w każdym razie dziełem nieobojętnem wcale; cóż dopiero, kiedy nie jest czystym przekładem, ale zawiera wiele dodatków z własnej głowy tłómacza. Po każdym rozdziale daje on mały komentarz, w którym reasumuje i objaśnia to, co Aristoteles w tym rozdziale powiedział, a najczęściej streszcza także wszystkie objekcye, jakie rozumowaniu Aristotelesa zrobione były lub zrobić się dadzą, i wszystkie znowu argumenty, jakie przemawiają za nim. Niekiedy, ale nie zawsze, rozsądza i rozstrzyga pomiędzy temi sprzecznemi zdaniami i stawia swoją konkluzyę. Komentarz taki, jak po każdym rozdziale, tylko obszerniejszy, daje także na końcu każdej księgi. Robił on to zapewne dlatego, żeby przypominając, rekapitulując ustawicznie ciąg myśli Aristotelesa, ułatwić jego zrozumienie: i tego celu dopiął, komentarze są rzeczywiście mądre, trafne, sięgające do głębi rzeczy, a bardzo jasne i zrozumiałe. Ale oprócz tego mają one i tę wartość ogromną, że w tych komentarzach tłómacz objaśnia najczęściej myśl oryginału na stosunkach polskich, albo ją do tych stosunków ściąga, i te podług niej krytykuje. Robi się z tego *Polityka* Aristotelesa, a nawet *Ekonomika*, zastosowana do szczególnego użytku Polaków, z ciągłym względem na ich instytucye, stosunki zagraniczne, obyczajowe i t. d. I te komentarze, te *Przydatki* i *Przestrogi* stanowią większą może wartość, a w każdym razie większą dla nas ciekawość dzieła, aniżeli sam tekst Aristotelesa, i dowodzą, że Petrycy był człowiekiem wielkiego rozumu, który, choć niby tłómacz tylko, ma prawo do zaszczytnego miejsca w szeregu naszych statystów. Te *Przydatki* i *Przestrogi* są różnej natury. Jedne z nich dowodzą głębokiej nauki autora, jego niespolitej bystrości, umysłu bardzo wytrawnego: to te, które traktują kwestye moralności lub polityki ze stanowiska ogólnego filozoficznego, a niemniej i te, które wynalezione w ten sposób zasady przymierzają do stosun-

ków polskich, i te podług nich sądzą. Inne znowu są ciekawe jako charakterystyka różnych fałszywych, często naiwnych i zabawnych pojęć i uprzedzeń wieku. Dziwnie nam się wydaje, między innemi to naprzykład, że człowiek bardzo rozumny i bardzo oświecony wierzy w czary i czarowników, i rozpisuje się szeroko o tem, czy Rzplta ma ich cierpieć lub karać; ale umysły najpotężniejsze nawet nie mogą zupełnie i we wszystkich kwestyach zerwać ze swoim wiekiem, wyprzedzić go, wyswobodzić się z pod jego wpływu: a wielki Bacon, od którego datujemy zwrot w całej umiejętności, powstanie metody krytycznej, był w wielu rzeczach tak łatwowiernym, tak przesądnym jak nasz Petrycy.

W każdym razie, kiedy ze schyłkiem XVI wieku kończy się i w co innego w całej Europie przechodzi epoka humanizmu, wygląda u nas to tłómaczenie Aristotelesa jak pieczęć, przyłożona na epoce i zamykająca ten bezpośredni, żywy, może zbyteczny, ale ogółem szlachetny i cywilizujący związek ze starożytnością, która odtąd wywierać będzie wpływ zewnętrzny a szkodliwy, w rzeczach zewnętrznych tylko, a drobnych. Nie przez podziwienie zbyteczne i łatwowierne, ale powodowane pięknym popędem, pragnieniem światła, energią myśli: odtąd starożytność działać będzie na nas przez nasze opuszczenie się i lenistwo, przez brak nowych wiadomości i nowych myśli, przez brak ich pragnienia, przez przyzwyczajenie i ospałe zagrzęźnięcie w zwyczaju.

Nietylko zaś wyobraża ten przykład Aristotelesa i dopełnia ten wpływ, jaki starożytność wywierała na naszą literaturę polityczną, on ją całą niejako jeszcze raz powtarza. Wszystkie materye, którešmy spotykali w niej od początku, wszystkie kwestye, większe czy mniejsze, zasadnicze czy szczegółowe, znajdą się w tych *Przestrogach i Przydatkach* Petrycego, znajdzie się wyraźne i wierne echo słów Modrzewskiego, Orzechow-

skiego, Górnickiego, rekapitulacya nie systematyczna i z zamiarem robiona, ale niemal zupełna i dokładna tego, co było treścią literatury politycznej XVI wieku. Zrozumienie zaś tych kwestyj i dążność stawiają autora wcale wysoko w rzędzie rozumnych, uczonych i szlachetnie myślących ludzi jego czasu.

Musiał to być umysł czynny, chciwy nauki, dążący do objęcia szerokiego jej zakresu i zrozumienia jednej jej gałęzi przez drugą, kiedy przez lat kilkanaście, jak sam mówi, filozofii oddany i jej nauczający, wziął się do medycyny. Czy to nie wskazówka, że spekulacya rzeczy abstrakcyjnych nie zaspokoiła tej jego wewnętrznej potrzeby, nie odsłoniła mu wszystkich tajemnic świata? Ale dla medyka, dla praktycznego lekarza nawet, filozofia została zawsze królową i duszą nauk, tą która wszystkie ożywia i wszystkie w całość łączy i nadaje im jedność. Tego dowodzi fakt, że medycynie służąc, filozofii nie porzucił, ale owszem teraz dopiero dawny zamiar wykonał, i każdego dnia choć jedną godzinę na to odkładając (Przedmowa do czytelnika), dzieło swoje napisał i wydał. Umysł musiał być niepospolity, a przytem porządny, stateczny, zdolny organicznie rzeczy pojąć i ułożyć. W swoich pojęciach i przekonaniach zdaje się być podobnym do Skargi, katolickim jak w tym czasie już większość, zwolennikiem silnej władzy jak wtedy i zawsze mniejszość. Uwagi jego o stanie Polski, spostrzeżenia, argumenty którymi walczy z tem, co ma za złe, rady i sposoby, jakie wskazuje, zbliżają się w kwestyach zasadniczych do tego, co mówi Górnicki w *Rozmowie*, Warszewicki, wreszcie Skarga; w rzeczach szczegółowych i praktycznych znajdzie się u niego zarówno pomysły wszystkich statystów dawniejszych.

ROZDZIAŁ II.

(1614—1632).

Piotr Kochanowski. Żółkiewskiego *Początek i progres wojny Moskiewskiej*. Starowolski. Charakterystyka. Pierwsze dzieła. *Prawy Rycerz*. *Naprawa*. *Declamatio contra obtrectatores Poloniae*. Szymon Zimorowicz. Birkowski.

Sielanki Szymonowicza są raczej zakończeniem okresu skończonego, niż zapowiedzią i początkiem nowego. Do dawnego także kierunku, jeżeli nie szkoły, zaliczyć można przekłady Otwinowskiego (*Georgica* 1614— Metamorfozy Owidyusza). Z młodszych Birkowski, już od roku 1611 kaznodzieja królewicza Władysława, wziętość musi mieć coraz większą i coraz częściej przemawiać, ale jeszcze przejdzie lat kilka, zanim kazania swoje zbierze i wyda razem. Zaczyna pisać Starowolski, ale te jego początki, *de Rebus Sigismundi Primi* (1616), *Pobudka* na zniesienie Tatarów Perekopskich (1618), (dobra i słuszna, ale tak króciutka, że jest raczej szkicem, planem, niż książką, a choćby rozprawą) nie zapowiadają jeszcze, że wyjdzie na najpoważniejszą, naczelną postać naszej literatury w latach późniejszych tego okresu. Zjawiają się pierwsze wiersze Sarbiewskiego, którego prawdziwy i niezwykły talent poezyi polskiej nie zdał się na nic. Przynoszą jednak te lata rzeczy skończone, dokonane, a rzeczywistej, trwałej i wielkiej wartości. W roku 1618 wychodzi *Jerozolima wyzwolona* Tassa, w przekładzie Piotra Kochanowskiego.

W tych czasach jest jeden tylko poeta, który i sam odróżnia się od wszystkich i poezyi próbuje nadać nowy kierunek, chce ją zbogacić zdobyczą prawdziwie nową i prawdziwie cenną. A ten jeden poeta, wart więcej od wielu niby oryginalnych epigonów Kochanowskiego, jest tylko tłómaczem.

Synowiec Jana, syn tego Mikołaja, który także próbował pióra w nieszczególnych Rotułach, brat tego Andrzeja, który tłómaczył „Eneidę,” Piotr Kochanowski ma żyłkę poetyczną jak gdyby dziedziczną w całej rodzinie. Fenomen to, który się parę razy w naszej literaturze powtórzył, jak słusznie dostrzegł Siemieński. W XVII wieku jest taka poetyczna familia Morsztynów, w XVIII trzech Jabłonowskich, trzech Załuskich, nie poetów ale literatów i bibliomanów—w XIX nawet po Kajetanie Koźmianie talent i pociąg do pisania spada na młodsze pokolenie jego rodziny. W rodzinie Kochanowskich nikt nie odziedziczył talentu wielkiego Jana; ale po nim najwięcej talentu pokazał i najwięcej prawa do pamięci potomnych ma ten tłómacz Piotr.

Jaki to był rodzaj człowieka i zdolności? Wiemy o nim mało, jednak z tego, co wiemy, możemy składać przypuszczenia bardzo dla niego pochlebne. Nie miał on zapewne wielkiego poetycznego talentu (taki byłby się objawił oryginalną poezyą), ale kiedy Grochowski, Wiszniewski płodzą śmiało rymy niby to własne, a niegodne istnienia, kiedy Miaskowski, lepszy od nich, wysoko przecie nie wychodzi, ten odbija od nich korzystnie przez to, że ma świadomość miary swojej zdolności i oryginalnym być nie próbuje. Musiał on mieć i znajomość siebie i wysokie pojęcie poezyi, kiedy się na tworzenie nie porwał; ale obok tego miał familijną wenę; może, nasłuchawszy się i naczytawszy poezyj, czuł pewną łatwość, możność wierszowania, czuł i pociąg; i nie śmiejąc być poetą z obawy, żeby nie być miernym, a przecież poezyą nęcony, obrał sobie zawód tłómacza, w którym mógł i swemu usposobieniu dogodzić, i swojej literaturze być pożyteczniejszym, niż gdyby był pisał wiersze oryginalne średniej wartości.

A do tego musiał to być człowiek, który się na pięknych rzeczach poznawać umiał, bo tłómaczenia wybiera takie, które rzeczywiście były dla poezyi polskiej

nabytkiem nie obojętnym wcale; co więcej, wybór dzieł, przez niego tłómaczonych, ma znaczenie niepoślednie w naszej poezyi, wprowadza ją na tor nowy, do niej nowy żywioł, odstępuje od dawnej dotąd niezmienionej tradycyi. Jeżeli nasza poezya nie umiała z tego skorzystać, pójść wskazanym kierunkiem i odżywić się nowymi sokami, to nie wina Kochanowskiego. On kierunek wskazał, on wprowadził poezyę polską w styczność z poezyą europejską nowoczesną. I w tem leży ważność i zasługa jego wyboru; w tem ten element nowy, który jego przekłady poezyi polskiej przyniosły.

Aż dotąd znali nasi poeci (i pisarze w ogólności) jeden tylko wzór, jedną literaturę, obracali się w jednem zawsze kole poetycznych form i pojęć. Starożytność, a w tej starożytności przedewszystkiem literatura rzymska, to oni znają, to podziwiają, to naśladują. Oprócz jednego Jana Kochanowskiego, nie znać, żeby byli znali Greków lub znali się na nich; za to Horacyusz, Wirgiliusz, Tibullus i Katullus, Liwiusz, Cicero, nawet Seneka, dostarczają im tych samych zawsze wzorów, tych samych form, tych samych nawet pojęć. Ztąd może ta jednostajność naszej literatury owoczesnej, to podobieństwo pisarzy (poetów czy prozaików) między sobą; wszyscy oni na jeden sposób piszą, wszyscy kształcą się na tym samym wzorze. W końcu musiała nastąpić jakaś monotonia, wzór sam musiał się wyczerpać, naśladowania musiały sprzykrzyć się i spowszednieć.

Groziło więc literaturze, zwłaszcza poezyi, skostnienie w jednych i tych samych formach, a rady na to nie było lepszej, jak odkryć przed nią rodzaje nowe i nieznane, otworzyć nowe źródła form i pomysłów.

Taką kopalnią, taką fontanną młodości mogła być dla naszej poezyi poezya nowoczesna, chrześcijańska, artystycznie wyrobiona, innych europejskich narodów. Ta żyła ciągle, przez cały szereg Wieków Średnich; biła silniej lub słabiej, ale nie ustawała. Była przed

Odrodzeniem, a Odrodzenie zastało w niej taki zasób własnych cech i pomysłów, tyle śladów przeszłości, że choć przyniosło i nowe formy i nowe myśli, to dawnych wygładzić nie mogło, i wszystko, co snuła fantazya Wieków Średnich, wszystko, co narody zachodnie w owych wiekach przebyły, to zostało jako fundusz żelazny w ich poezyi; cały świat wyobraźni i zdarzeń, który poezya ówczesna musiała wciągać w swój inwentarz obok tego, co przynosiło jej Odrodzenie, starożytność klasyczna. W poezyi niemieckiej, dla której wiek XVI jest epoką jałową, we francuskiej, która wpada ze szkolnego pedantyzmu w dworską wymyślność, z maniery w manierę, bogactwo to jest mniej widoczne. Ale w poezyi angielskiej ta puścizna Wieków Średnich wydaje cały dramat przed-Szekspirowski, wydaje Spencera, wreszcie samego Szekspira; w poezyi włoskiej, ściślej niż w angielskiej połączona ze znajomością starożytnych, wydaje Tassa, a połączona nie ze starożytnymi wzorami, ale z tym duchem ironicznym sceptycznym, jaki we Włoszech powstał po Odrodzeniu, wydaje ona poemat jedyny w swoim rodzaju, najdziwniejszą i najmilszą mieszaninę fantazyi, humoru i satyrycznego ducha, poemat Ariosta.

Ten cały świat poezyi otworzyć przed poezyą polską, zapoznać ją z utworami fantazyi, której ona zupełnie nie znała, przyzwyczajać ją do nowych form była to myśl prawdziwie wielka, która mogła była tak odmłodzić naszą poezyę, jak ją odmłodziła za Stanisława Augusta styczność z poezyą francuską, w naszym wieku styczność z niemiecką i angielską. I tę myśl miał Piotr Kochanowski; utworzyć związek pomiędzy poezyą polską a poezyą żywą, współczesną europejskich narodów to było dzieło, którego on dokonać nie mógł, ale które rozpoczął.

Trzeba mu przyznać, że lepszego wyboru zrobić nie mógł. W Niemczech poezyi artystycznej nie było; tłómaczyć poezye francuskie, byłoby to przenosić do

swojej formy, i rodzaje, które w niej już były, uprawiane przez Kochanowskiego nierównie lepiej; tłómaczenia rzeczy angielskich zapewne byłyby wielkim nabytkiem, ale z Anglią styczności wtedy u nas nie miano, nie wiedziano o niej, o jej języku i literaturze. O Włoszech za to wiedziano; z niemi związek był nieprzerwany, ich oświata była wzorem, ideałem, do którego dążono, nic naturalniejszego zatem, że kto miał myśl zapoznać Polskę z literaturą innych krajów, zaczynał od włoskiej, którą i najlepiej znał i za najwyższą uważał. Trafnie zaś wybrał Kochanowski to, co poezya włoska XVI wieku wydała najwyższego, to co, prócz Danta, wydała najpiękniejszego przez czas swego istnienia: Ariosta i Tassa.

Czemu nie Danta? możnaby zapytać? Ten jest zawsze, a był zwłaszcza w owym wieku poetą dostępnym małej tylko liczbie. Większość z wielkiem uszanowaniem zawsze go omijała, a Kochanowski jeżeli sam mógł w nim smakować, to musiał zarazem i miarkować, że w tym wieku używającym, zmysłowym, zakochanym w formie, że zwłaszcza w Polsce ówczesnej naiwnej, żołnierskiej, ziemiańskiej, *Komedya* wydałaby się zbyt surową, ponurą, i zbyt subtelną. Jeżeli dla niego samego nie była niezrozumiałą, to z pewnością byłaby taką dla polskiej publiczności, Ale te „walki pobożne i wódz, który oswobodził grób Chrystusa", walki ze znanym Bisurmanem, te dla ówczesnej Polski nie powinnyby być obojętnemi, te powinny ją zająć. Cóż dopiero jak do przedmiotu tego przyjdzie mnogość dzielnych rycerzy, czułych bohaterek, przygód dziwnych i fantastycznych i właściwa Tassowi rzewność uczucia. *Orlando* zaś: gdyby polski czytelnik nie umiał nawet poznać się na poetycznej wartości tej jedynej w swoim rodzaju fantazyi, gdyby nie zasmakował w tej delikatnej soli attyckiej, którą jest zaprawiony, gdyby nie odkrył głębokiej i mądrej prawdy niektórych postaci i przygód, to przynajmniej będzie mógł bawić się

nim, jak najpiękniejszą bajką, słuchać go po prostu po dziecinnemu, i nigdy nie nasłuchać się do woli.

Ale jakże te dwa kwiaty południowej poezyi przesadzone na grunt polski będą mogły wyglądać? Czy nie stracą blasku i woni? Stracić musiały wiele, inaczej być nie mogło, na samem przeniesieniu z języka najdźwięczniejszego i najbardziej wyrobionego, w taki, który w formach poetyckich był jeszcze zupełnie świeżym. Z pięknością włoskiego języka rywalizować trudno, i ktoby od tłómacza żądał równej doskonałości, przezroczystości, elegancyi form, ten nie znalazłby upodobania w przekładzie Kochanowskiego. Ale tak się dzieje ze wszystkimi na świecie przekładami: *Burza*, *Sen Nocy Letniej*, *Lear*, w najdoskonalszem z tłómaczeń Szekspira, w tłómaczeniu Schlegla, jakże dalekie są od wdzięku lub rozdzierającej patetyczności oryginału. Kochanowskiego przekład nie dorównywa pięknościom Tassa i Ariosta, ale jest przekładem zalet niemałych wcale. Tłómacz nietylko dobrze wybrał, ale i dobrze tłómaczył.

Stara prawda, że tylko wielcy poeci mogą tłómaczyć wielkich poetów tak, że przekład zrówna oryginałowi, stwierdziła się i na Kochanowskim. On tłómaczy dobrze, pięknym językiem i wierszem, z energią, gdzie ona być powinna, z wdziękiem gdzie tego była potrzeba; tylko to wszystko w mniejszym stopniu, tylko koloryt poetyczny zbladł. O wierność i dokładność stara się, choć jej nie zawsze dochodzi. Tylko czegoś tam brak, tylko, artysta polski, kopiując dzieło włoskie, nie umiał tak farb swoich zmieszać, żeby wywołać efekt kolorów i światła taki, jak jest w obrazach Ariosta; albo Safronii, żałującej Armidzie nadać ten wyraz czuły, rzewny, łzawy, jaki one mają w oryginale Tassa. Wszelako zważywszy, że natchnienia oryginalnego poety od tłómacza żądać nie można, a że przekład, który jest i wiernym i w swoim języku pięknym, zadanie swoje spełnił, można śmiało uważać

przekłady Piotra Kochanowskiego za bardzo dobre, jedne z najlepszych w naszej literaturze, za najlepsze może pomiędzy wszystkimi przekładami *Orlanda* i *Jerozolimy*.

Zwłaszcza ten ostatni. Że mógł wypaść lepiej, to bardzo naturalne. Trzeba samemu chyba mieć Hyppogryfa, żeby zdążać za Ariostem i dotrzymać mu kroku we wszystkich lotach jego dziwnej fantazyi, we wszystkich nagłych zwrotach jego humoru i dowcipu; doskonale ze wszystkich poetów polskich mógł go przetłómaczyć tylko jeden, Słowacki. On jeden miał tę bujność fantazyi, tę jaskrawość kolorytu, tę lekkość zwrotów i wyrażeń; on jeden tak malował słowami, jak malować trzeba wyspę Alcyny lub idyllę Angieliki i Medora. Nic dziwnego, że Kochanowskiego przekład jest i cięższy i bledszy od oryginału. Tasso był łatwiejszy; on ma ton jednostajnie, żeby nie powiedzieć konwencyonalnie, podniosły i uroczysty, nie trudny do uchwycenia dla człowieka, który ma talent i wprawę w pisaniu wierszy. Oprócz tego Tasso nawet w oryginale bardzo obrazowym i plastycznym nie jest, a jeżeli nie jest takim i w przekładzie, to odstęp, różnica między jednym a drugim jest daleko mniejsza. Że Tasso mniejszą Kochanowskiemu sprawiał trudność, aniżeli Ariost, można się domyślać choćby po tem, że więcej zwraca uwagi na formę; widocznie jest swobodniejszy, rzecz sama nie krępuje go i nie absorbuje całej jego uwagi. Oktawa— także forma nowa i dotąd w Polsce nie widziana—jest lepiej wyrobiona, swobodniejsza w *Jerozolimie*, aniżeli w *Orlandzie*.

Najtrudniej podobno było zrównać Tassowi w tej miękkiej, rzewnej czułości, której tajemnicę on posiadał, jak mało który z poetów, i która stanowi jego właściwy wdzięk. Jednak i takie ustępy Kochanowski tłómaczy bardzo dobrze: nie są u niego tak piękne, jak w oryginale, ale jest ten sam rodzaj i odcień uczucia, jaki chciał mieć Tasso. Za dowód służyć może ustęp

jeden z najpiękniejszych w poemacie: żal Armidy, kiedy ją Rinaldo chce porzucić.

Ale Ariost, najkapryśniejszy z poetów w swoich pomysłach, Ariost, który co chwila zmienia się jak kameleon, który raz mówi o swoich bohaterach i ich przygodach z takiem współczuciem, a za chwilę daje do poznania, że w nich nie wierzy i śmieje się z nich, Ariost, którego fantazya z rozkoszą bawi scenami dawnego rycerstwa, kiedy sceptyczny zmysł rozumu szepcze mu, że to wszystko nieprawda; który często jakiś ustęp patetyczny skończy wesołą złośliwą alluzyą do swoich czasów i współczesnych stosunków, który sam wygląda, jak gdyby swój poemat uważał za zabawkę, który go puszcza jak bańkę z mydła, a w tej bańce grają jak w tęczy najcudowniejsze kolory i pokazują się postacie ujmujące, piękne, pełne życia, Ariost dla swojej fantazyi i dla swojego sceptycyzmu, dla swego dowcipu i dla swego niesłychanego kolorytu był do tłómaczenia trudniejszym nierównie niż Tasso, trudniejszym od bardzo wielu może większych od niego poetów. Tu głównymi warunkami dobrego przekładu były lekkość, delikatność i świetność kolorytu, rzeczy najtrudniejsze do oddania, te, dla których *Burza* i *Noc Letnia* udają się tłómaczom najgorzej ze wszystkich sztuk Szekspira, dla których nie można sobie wyobrazić Słowackiego *Szwajcaryi* albo *Balladyny* w tłómaczeniu. To też przekład *Orlanda* jest dalszym od oryginału aniżeli *Jerozolimy*. Jakikolwiek był rodzaj talentu tłómacza, to język sam nie był do takich rzeczy nagiętym; jego głównymi przymiotami była powaga, męzkość, siła, a jeżeli pod ręką J. Kochanowskiego umiał oddać wszystko, to w przecięciu przecież jego powaga i prostota nieraz graniczyła ze sztywnością. Nie mówiąc już o stałej trudności tłómaczenia Ariosta, sam język, na który go Kochanowski tłómaczył, nie był jeszcze dostatecznie przygotowanym.

Jednak choć ten polski *Orland* nie jest tak pięk-

nym jak był pierwotnie, jest przecież bardzo pięknym. Za dowód może służyć Ogród Alcyny (z pieśni VI), Olimpia (XI), satyryczny ustęp o Milczeniu (z XVI) Angelika i Medor (XIX), wreszcie wiersze Medora (XXIII).

Czy współcześni umieli ocenić to, co im Piotr Kochanowski przynosił? Byli naiwniejsi od nas, bliżsi rycerskich czasów, przytem nie mieli takiej jak my pro fuzyi poematów i romansów, ich wyobraźnia nie miała tak obficie jak nasza czem się zajmować i bawić. Powinni więc byli rzucić się na *Orlanda* i czytywać go z namiętnością, on powinien był dla nich być tem, czem dla nas jest bajka, romas i poezya. Ale tak nie było. *Jerozolimę* czytywali, dowodzą tego wydania. Ale *Orlando* został w rękopisie. Czy poeta nie zdążył go wydać? czy też przypuszczał, że ludzie nie zechcą go czytać? Może było już wtedy tak, jak za naszych czasów, jak bywa może zawsze, że to, co mniejsze i gorsze, podoba się więcej niż to, co piękne i wielkie, bo jest lżejsze. My zaglądamy czasem do Szekspira i Dantego, ale czytujemy zawsze romanse. Może nasi przodkowie podobnie czytywali czasem *Jerozolimę*, ale z większą przyjemnością przerabiane powiastki Morsztyna, a później *Królewnę Baniulukę*... Dość, że Piotr Kochanowski wpływu na literaturę nie wywarł. Nie mógł go wywrzeć *Orlandem*, skoro ten nie był drukowany. Ale *Jerozolima* była, a nie znać, żeby który z późniejszych był z niej korzystał, na niej uczył się pisać. Raczej może trzeba powiedzieć, że niektórzy z nich chcieli, próbowali z Kochanowskiego korzystać, ale nie potrafili. W poematach Twardowskiego i Wacława Potockiego widzą znawcy wyraźny wpływ *Jerozolimy*. Że oni ją czytali, łatwo wierzyć, że chcieli naśladować jej styl, koloryt, sposób tworzenia, można przypuszczać. Ale żeby ta chęć była się stała uczynkiem, a oni przejęli ten język, styl, koloryt i sposób tworzenia, tego dopatrzyć się trudniej. Gdyby ten wpływ był wydał skutki, może nasza poezya, zostając w żywym związku z inne-

mi europejskiemi, nie byłaby popadła w ten brak formy i sztuki, w jakim ją widzimy od Kochanowskiego aż do Krasickiego.

Przy Piotrze wspomnieć trzeba nawiasem o Andrzeju Kochanowskim. Przekład Eneidy, choć zadanie było niewątpliwie łatwiejsze, nie udał się tak dobrze, jak tłómaczenia Piotra. Szkodzi mu wiersz trudny i twardy, jeżeli gdzie, to w tłómaczeniu Wirgiliusza rażący. Przecież kto wie, czy aż do Wężyka nie jest to najlepszy polski przekład Eneidy. Porównawszy go z Przybylskim, przychodzi się do przekonania, że ten ostatni tłómaczył Eneidę z tekstem Kochanowskiego przed oczyma, tego tekstu się trzymał, a tylko poprawiać go chciał i mniemał. Tymczasem nie poprawił. Naprzód z jednego wiersza Wirgiliusza i Kochanowskiego robi najczęściej kilka, a styl i wiersz jego choć bardzo chropawy i twardy, nie jest bynajmniej jędrnym. Powtóre, śmieje się z takich naiwności Kochanowskiego, jak n. p. że Italię starożytną nazywa Włochami, a sam wpada w daleko gorsze, kiedy w notach wyprowadza genealogię Eneasza i Sybilli. Nadto, choć wiersz Kochanowskiego jest dość ciężki, to nie jest tak dziwaczny, tak najeżony słowami ukutemi dowolnie, niezgrabnie, niezrozumiałemi; przekład Kochanowskiego jest prostszy, jest wierniejszy i łatwiej się czyta.

Przekład Dmochowskiego znowu jest tak wygładzony i wymuskany, że Wirgiliusz traci swoją fizyognomię rzymską, francuzieje. W Eneidzie jest podobieństwo do całej klasycznej poezyi francuskiej, bo cała ta poezya z niej wyszła; ale w przekładzie Dmochowskiego jest ona podobniejszą do Henriady niż do siebie samej. Andrzej Kochanowski nie umiał oddać piękności formy Wirgiliusza, ale nie zmienił charakteru; i dlatego trzeba mu przyznać wyższość i nad Dmochowskim, a jego przekładowi Eneidy, że jest z polskich najlepszy, z wyjątkiem tylko Wężyka.

Niewątpliwie pracuje już w tych latach nad histo-

ryą i Łubieński i Piasecki; pierwszy może już i wykończył *de Motu Civili*. Tylko te wielkie dzieła jeszcze na świat nie wyszły. Ale zjawia się na polu dziejopisarstwa książeczka jedna, nie wielka na miarę, a tak piękna, że jej mało która dorówna. Nie wiemy, kiedy Żółkiewski napisał *Początek i Progres Wojny Moskiewskiej*, ale oczywiście musiał go napisać przed rokiem 1620.

Pamiątka po człowieku jednym z najlepszych, najpiękniejszych, jakich kiedy Polska wydała, nie książka prawie, ale relikwia, którą się tak szanuje, że jej sądzić nie można, a czytając te karty, mniej się myśli o tem, jakie one są, jak o tem, że pisała je ręka, która sztandar polski zaniosła do Moskwy, a która jedna nie puściła go i krwią swoją ocaliła jego cześć pod Cecorą. Nie może być, żeby cześć i miłość, jaką się czuje dla autora, nie wpływała na czytelnika, nie uspasabiała go przychylnie dla książki; przecież, gdyby można zapomnieć o autorze, a książkę czytać chłodno i obojętnie, to i w takim razie miałaby ona wielką wartość historyczną, wielki wdzięk prostoty, bardzo zajmującą treść, a autor wydałby się w niej tak pięknym w swojem poświęceniu i w swojej dzielności wojownika, a tak ujmującym w swojej prostocie, że pomimo, iż się o nim wie wszystko i zdaje się, że on już zyskać nie może, przecież jeszcze się podnosi w mniemaniu i w przywiązaniu tego, kto jego małą książeczkę przeczyta.

Jest to jedna z tych rzeczy pisanych, które powstają same z siebie, z potrzeby serca, bez literackiego zamiaru i myśli, a takie zazwyczaj udają się najlepiej. Literatem, pisarzem, Żółkiewski nie jest, choć może myślał o historykach rzymskich, i jak Cezar mówi o sobie zawsze przez trzecią osobę: *Pan Hetman*. Nawet nieszczególnie pisze: czasem przeplata swój styl łaciną, jak pedant, czasem mówi jak prostak, że był *przezpieczny* od tego *nieprzezpieczeństwa*. Ale za to w każdem jego słowie znać dzielnego wojownika, znać hetmana, który wojnę wygrywać i opisać umie; znać

mądrego senatora i polityka, który ją umie ocenić i osądzić w jej powodach i skutkach; a nadewszystko znać wielką duszę, wielki charakter tego człowieka, który się wojnie opiera całemi siłami, bo jest i nieuczciwa i niepotrzebna, który na nią idzie, bo jest hetmanem, prowadzi ją z małemi siłami przeciw wielkim, bez pieniędzy, bez dostatecznej żywności i amunicyi, zwycięża, doprowadza do skutku pokój najpomyślniejszy i już, już osadza na tronie królewskiego syna, ojczyźnie z tej strony wieczny pokój zapewnia; wszystko na darmo: król nie chce, król chciałby sam zostać carem, i zwycięzcę przyjmuje kwaśno, odsyła do Wołoch, i udaremnia odrazu całą wojnę, wszystkie wysilenia ofiary i zwycięztwa. A to wszystko opowiedziane bez jednego słowa skargi, urazy, żalu. Jest coś wzniosłego, bohaterskiego, idealnego, w życiu i w śmierci tego człowieka, ale i coś bardzo tragicznego, a tragiczność nie rozpoczęła się pod Cecorą, ona się tam tylko najwyraźniej objawiła i skończyła. W tej wojnie woskiewskiej już ona jest. Bo czy nie dramatyczne to położenie człowieka, który przed poczęciem wojny, widząc jako senator, że ona jest bardzo niepolityczną, szkodliwą Rzpltej, jako żołnierz, że jest bardzo trudną, bo rozprzęga ją i zdaje na wolę pierwszego lepszego zuchwalca, odradza ją, póki może. Ale darmo, musi na nią iść, musi nią dowodzić, bo jest hetmanem.

Król postanowił wojnę, a jemu kazał, żeby czemprędzej z Żółkwi śpieszył. Żąda on przynajmniej, żeby zawczasu wojsko zaciągać, uzbroić, skarb opatrzyć; wszystko się to obiecuje, ale kiedy do wojny przyszło, niema poddostatkiem ani ludzi, ani broni, ani pieniędzy. Układa się plan kampanii; on, hetman, z nich wszystkich w rzeczach wojennych najdoświadczeńszy, dowodzi, że nie trzeba iść na Smoleńsk, który jest bardzo obronny (zwłaszcza, że się nie ma ani dość dział ani dość piechoty, a kawalerya twierdzom nie poradzi), tylko przez ziemię Siewierską, której małe drewniane za-

meczki łatwo dadzą się zdobyć; nie, król i jego przyboczni chcą koniecznie oblegać i zdobyć Smoleńsk. Wystawić sobie położenie generała, któremu każą prowadzić wojnę podług planu, który on ma za najgorszy, i w takich warunkach, z przygotowaniem tak niedołężnem i niedostatecznem, że uszłoby ledwie jakiej wojnie partyzanckiej, ruchawce, ale nie armii, nie administracyi wojskowej regularnego rządu i wielkiego państwa. Stają wreszcie pod Smoleńskiem i przechwalają się, że to nie zamek, ale gołębnik, kurnik, że go niebawem dostaną. Pan hetman twierdzi przeciwnie, ale król wierzy w fortele, chce próbować wysadzać mury petardami, potem zdobywać je podkopami; nie udało się jedno ani drugie. Hetman znowu powtarza, że dział i piechoty za mało, a jazdą fortec się nie bierze, że trzeba, otoczywszy Smoleńsk fortami, iżby mu odciąć dowóz żywności, iść na Moskwę. Wreszcie, widząc, że rzeczy źle idą, że Szujski zbiera wojska, a nie bojąc się słabych sił Samozwańca, może prosto do Smoleńska przyciągnąć, każe król Żółkiewskiemu iść wgłąb, ku Moskwie, i daje mu siły małe, mniejsze daleko od tych, które miał dać wojewodzie bracławskiemu (Janowi Potockiemu), kiedy mu tę wyprawę chciał powierzyć. Idzie więc, spotyka w drodze armię Dymitra Szujskiego (40,000 ludzi i 10,000 posiłków szwedzkich, zaciężnych Francuzów i Niemców) i swoimi sześcioma tysiącami ludzi bije to wszystko pod Kluszynem, i ma drogę otwartą do Moskwy. Moskwa nie może mu się bronić, składa z tronu Wasyla Szujskiego. Zaczynają się układy. Tu dopiero pokazują się dwie rzeczy: jego zręczność, jego ostrożność i przezorność, dyplomacya, starania, żeby mieć po sobie, a przynajmniej pozorami skompromitować najznaczniejszych bojarów, a zwłaszcza duchownych, patryarchę Filareta; i jego zacność, jego dobra wola względem Rosyan, dbałość o to, żeby im wojsko nie było uciążliwe, żeby ich oswobodzić od *Impostora* i jego wojska, żeby ich postępowaniem nie

uraić i nie upokorzyć, traktatem nie skrzywdzić i nie zrazić do przyszłego pana. Zwycięzca, zdobywca, czuje się w sumieniu obowiązanym dbać o interesy i honor zwyciężonych, kraju podbitego.

Wreszcie sprawa skończona, punkty pokoju zgodnie ułożone, potrzeba tylko królewskiego podpisu, Moskwa przysięgła na imię Władysława, przestając nawet żądać takiego od niego *absurdum*, jak zmiana wiary; czyli, wybiła stanowcza godzina w dziejach Polski: odwieczny nieprzyjaciel i jeden z najgorszych ubył, już nie będzie spisków z Turkami lub Niemcami, przymierzy ze Szwedem przeciw Rzpltej; już Litwa może spać spokojnie i nie obawiać się najazdów, a Polska siły swoje obrócić, gdzie zechce, na Turka albo na Szweda. W tej chwili...

Kiedy się czyta historyę tej wojny, jest się zawsze zdziwionym jedną okolicznością. Dlaczego Żółkiewski odjechał z Moskwy? Jak mógł to zrobić, on, na którego głowie było wszystko, który zawarł pokój, który swoją powagą i sprężystością trzymał w karbach i Rosyan i Polaków. Gdy odjechał, musiały nastąpić zwady, nieporozumienia, wreszcie walki, i cała wojna, cała elekcya Władysława musiała się skończyć, jak się skończyła, na niczem. Dlaczego on odjechał?

To właśnie tragiczna chwila i zwrot całej sprawy. Król nie przyjmował układów! Wieści dochodziły, że sam chce być carem!

Śpieszy więc hetman do króla, żeby go przekonać o niepodobieństwie, o nieufności Rosyan względem niego, i odwieść od zgubnego uporu i lekkomyślnie powziętego zamiaru. Po drodze jeszcze spotyka, uspokaja, jak może, wracających z pod Smoleńska posłów bojarskich, strwożonych tem, że król nic o Władysławie im nie mówił, tłómaczy to, jak może, prawdziwą myśl króla ukrywając, bo gdyby się ta wydała, wszystko byłoby stracone: wreszcie staje przed królem, przekłada stan rzeczy w Moskwie i swój sposób widzenia

ich. „Lecz zawarte byli uszy J. K. M. Pana Hetmanowym perswazyom”.

Niebawem też Rosyanie pomiarkowali, o co chodzi, że król Władysława dać im nie chce. W skutku tego stronnictwo polskie w Moskwie, przez Żółkiewskiego utrzymywane i prawie stworzone, przestało mieć racyę bytu, znikło, „na różnych miejscach zaczęły się bunty, sedycye”. Patryarcha, Lepunow, niedobitki partyi Szujskich podnoszą głowę, położenie Gąsiewskiego w Moskwie coraz trudniejsze... W tej chwili przychodzi wiadomość, że Gabryel Batory wyparł Radułę z Wołoszczyzny, zagraża Rusi: król wysyła hetmana, żeby tamtemu niebezpieczeństwu zapobiegł, a w drodze dowiaduje się on o spaleniu Moskwy. Odjeżdża, wiedząc, że ona stracona.

Zdobycie Smoleńska już na to poradzić nie mogło. Czy nie dramat? Po jednej stronie Zygmunt III ze swoim uporem, swojemi doktrynami, swoją królewską pretensyą, że wszystko zna i wie najlepiej, otoczony ludźmi, którzy Żółkiewskiemu zazdroszczą; po drugiej on, wyprawiony w najniekorzystniejszych warunkach, a panujący nad całem położeniem, trzymający w ręku i polską zgraję awanturników z wojska Dymitrowego i Rosyan wszelkich stronnictw i odcieni, przynoszący im rzeczywiście pokój, witany z błogosławieństwem, żegnany ze łzami, on, który wszystko zrobił, wszystko na dobre obrócił, i wszystko napróżno; trzeba było już tylko jego roboty nie zepsuć—zepsuto ją! Jaki Szekspir mógłby z tego skorzystać.

Ale jeżeli nie można czytać tej książki bez oburzenia na Zygmunta, który wojnę niepotrzebnie zaczął, niepotrzebnie uparł się zdobywać Smoleńsk i stracił tyle czasu i ludzi, a w końcu swoim nieszczęsnym pomysłem zmarnował całą wojnę i wszystkie jej skutki, to znowu nie można czytać bez największej admiracyi dla Żółkiewskiego. Wbrew swemu zdaniu idzie na wojnę, musi ją prowadzić inaczej, niż rozumie i chce, swoi

nie tylko mu nie pomagają, ale na każdym kroku stawiają przeszkody, a on robi swoje, nie pytając nikogo, nie zważając na urazy, a nawet na ostatku, kiedy widzi, że wszystkie jego prace i czyny daremne, a on sam prawie w niełasce, nawet wtedy nie skarży się i nikogo nie oskarża. W jego sercu na dobrą rolę padły słowa Skargi: „Wybaczcie ojczyźnie krzywdy wasze". Pośród tylu, którzy się mścili za urazy małe, albo urojone, ten jeden doznał rzeczywistej złej woli, rzeczywistej niewdzięczności, i nietylko się nie mścił, ale się nawet nie żalił; a całą jego zemstą było służyć dalej, dalej poświęcać się, znosić w końcu obelgi i potwarze i na ostatku w wyprawie jeszcze trudniejszej, podjętej z jeszcze mniejszemi siłami, wśród obojętności i niedbałości wszystkich, położyć za nich głowę. Jest w nim rzymska cnota i chrześcijańska wzniosła doskonałość; pomiędzy Zebrzydowskimi, Zborowskimi, Opalińskimi, Lubomirskimi i wszystkimi innymi „urażonymi królewiętami polskimi", wygląda jak Sprawiedliwy w Sodomie, jak Aristides albo Hannibal wyglądałby przy Koriolanie.

Książka jego jest bardzo smutna. Nietylko dlatego, że bohater jest pokrzywdzony a wielki, nietylko dlatego, że taka sposobność ugruntowania potęgi polskiej zmarnowana, ale oprócz tego, nasuwa ona różne smutne refleksye i porównania. W polskim obozie nieporządek, niedostatek ludzi, pieniędzy, armat, prochu, kul, niekarność niepłaconego żołnierza, nieumiejętność wodzów, słowem, wygląda ta wojna, jak dorywczo i niezręcznie zebrana i prowadzona ruchawka, przypomina złe opatrzenie konfederatów barskich; tylko tamci mieli dobrą wymówkę: nie byli regularnem wojskiem, nie mieli rządu, administracyi i dochodów w swoich rękach.

Tymczasem Rosyanie, w położeniu nierównie gorszem, najechani przez Polaków, trapieni przez awanturników Samozwańca, osłabieni całą seryą wewnę-

trznych rewolucyj, napozór w zupełnym rozkładzie, przecież myślą o sobie lepiej i skuteczniej, niż my, mają posiłki, mają sprzymierzeńców, choć podzieleni na partye, są przecież zjednoczeni, a jak tylko naszym noga się powinęła, dźwigają się i wstają na nogi. Smutno powiedzieć, ale oni mieli więcej energii, więcej rozumu, więcej patryotyzmu, niż my.

Zbytecznie mówić, że jest jedna rzecz, która temu pamiętnikowi Żółkiewskiego dodaje wiele wartości i zajęcia, to opis bitw, cała strategiczna strona kampanii, opisana przez takiego jak on wojskowego. Największym zaś wdziękiem pamiętnika jest wielka naiwna prostota opowiadania i stylu. Mała książeczka, ale jedna z wielkich, z pięknych ozdób literatury polskiej.

Pamiętnik Żółkiewskiego nie jest sam. Stoją koło niego, nieskończenie niżej od niego, dwa inne, dotyczące tych samych wypadków; owszem, obejmujące ciąg ich dłuższy. Marchocki zaczyna od ukazania się Dymitra i jego wyprawy do Moskwy, a kończy na roku 1611. Podaje ciekawe dokumenty, listy, instrukcye etc. Maskiewicz zaczyna swój Dyaryusz jeszcze w roku 1594; zrazu zapisuje krótko, kilkoma słowami, swoje sprawy własne, i sprawy krajowe, a od sprawy Dymitra zaczyna je opowiadać obszernie. Kończy na przygotowaniach do wojny chocimskiej.

Jeden i drugi może się przydać historykowi, bo opowiada, co się działo z Polakami w służbie pierwszego i drugiego Dymitra. Wiadomości są szczegółowe i ciekawe. Maskiewicz jest wcale zajmujący, kiedy podaje różne rysy obyczajowe z ówczesnej Moskwy. Ale historykom przydatni, oba ci pamiętnikarze, jako tacy, są słabi; Maskiewicz jednak od Marchockiego wyższy. Od obu wszakże ciekawszy, jako źródło ważniejszy, nie dawno odkryty pamiętnik Stanisława Niemojewskiego, ofiary tych wypadków, nietylko ich świadka, skoro lat parę przesiedział w moskiewskiem więzieniu.

Do tychże czasów należą księdza Wojciecha Dębołęckiego *Przewagi Elearów Polskich, co ich niegdy Lisowczykami zwano.* Panegirycznie, a słabo, napisana książeczka, tyle ma wartości, że uczy, gdzie w jakim czasie były te kozackie zaciągi w służbie cesarskiej, w jakich bitwach lub potyczkach uczestniczyły, jakich miały pułkowników, rotmistrzów i t. d.

Przechodzą jedne po drugich zdarzenia ważne, Żółkiewski ginie pod Cecorą, Chodkiewicz zwycięża i umiera pod Chocimem, a w literaturze mało o tem mowy. Jakób Sobieski przemawia nad grobem dziada swojej żony, jest i wiersz o tej bohaterskiej śmierci; ale chciałoby się czegoś więcej: rozumowania, zdania, sądu, rady. Chciałoby się tej ożywionej, a nieraz mądrej dyskusyi, którą widziało się nierzadko w wieku XVI. Niechby była krytyka, choćby namiętna, ale niechby było zastanowienie się nad stanem i położeniem Rzeczypospolitej. Czy one są dobre, albo niekorzystne; jeżeli złe, to co i jak zmienić, naprawić? Tego jest brak. Lata przechodzą, król już stary i blizki śmierci, a choć od czasu do czasu zdarzy się jakie pisemko, w tej lub owej szczegółowej kwestyi, to myśli i siły znajdzie się w niem niewiele. Polityczna gałąź literatury, niedawno jeszcze tak bujna, zaczyna usychać. Żyje, ale słabiej, a to, co wydaje, świadczy dobrze o sumieniu i patryotyzmie autorów, nawet o ich rozsądku, ich dobrej głowie, ale ich zdolność polityczna wyższą, znakomitą nie jest.

Dziesięć ostatnich lat Zygmunta III, to jest ten czas, w ciągu którego Starowolski pisze już wiele, wyrabia i ustala swoje znaczenie w literaturze, a zapewne i w otaczającym polskim świecie, i zdobywa prawo do bardzo rzetelnego wielkiego uszanowania. Można o nim mówić, że więcej zdrowych rad za innymi powtarza, niż ich sam dla Rzeczypospolitej znajduje; można mówić, że w tem, co pisze, więcej znać moralistę, niż polityka; można wreszcie zarzucać mu, że pisze ciężko,

a przez mieszaninę łaciny z polszczyzną i sam pisze niepięknie, i drugim daje zły przykład. Ale tego zaprzeczyć mu nie można, że poważnej myśli, że troski o ojczyznę, że wreszcie rozumnego o niej zdania, widzi się u niego więcej, niż u każdego innego pisarza z ostatnich lat Zygmunta III i z czasów Władysława.

Niełatwo jest opisać i ocenić, jako pisarza, takiego, który był i historykiem, i geografem, i kaznodzieją, i wojskowym, i literatem, i teologiem, i prawnikiem, i publicystą, a Starowolski był tem wszystkiem. Jest to nawet rzecz bardzo charakterystyczna, to go cechuje dobrze, jako człowieka XVII wieku. Nie jest to bowiem u niego skutkiem zdolności eklektycznej, a powierzchownej nieco, nie jest ta łatwość pisania i rozmaitość, co u Niemcewicza lub Orzechowskiego, naprzykład, którzy o wszystkiem mówią i piszą, a o niczem zupełnie gruntownie; tego publicystycznego, trochę powierzchownego pierwiastku w talencie pisarskim, u Starowolskiego niema wcale. Umysł to raczej systematyczny, prawie pedantyczny; wielki erudyt, który mnóstwo rzeczy wie i umie, który o gruntowność i dokładność stara się poważnie i sumiennie. Ale myśli zarazem, że umiejąc wiele, można być uniwersalnym pisarzem; ma to wyobrażenie, dość powszechne w jego wieku, że człowiek uczony może, a nawet powinien i nauczyć wszystkiego, co sam wie. W Niemczech ten rodzaj pisarzy i uczonych był w owych czasach właśnie bardzo poważnym i wziętym, a tak częstym, że dano mu nawet osobną nazwę. Być *Polyhistorem*, to był i zaszczyt wielki, i zawód, powołanie. Otóż z tymi Polyhistorami ma coś wspólnego i Starowolski, a wielka rozmaitość jego kierunków i przedmiotów, podobniejsza jest do ich erudycyi i gruntowności, niż do tej zdolności i rozmaitości lżejszego kalibru, która jest właściwą talentom publicystycznym.

Zaczął od historyi: *De Rebus Sigismundi Primi* (rok 1616). We dwa lata później ukazuje się broszura poli-

tyczna: *Pobudka abo Rada na Zniesienie Tatarów Perekopskich.* Potem występuje rozprawa na pół naukowa, na pół retoryczna: *Penu Historicum* (1620) o pożytkach z nauki historyi. Potem znowu dzieło treści politycznej: *Votum o Naprawie Rzpltej* (1625). Dwa dzieła literackie, pierwsze książki napisane w Polsce w tym rodzaju, z zakresu historyi literatury: *Hekatontas Scriptorum Pol.* (1627) i *De claris oratoribus Sarmatiae* (1628). *Eques. Polonus* (1628), *Deklamacya* i *Poloniae bellatores* (1631), Geograficzna *Polonia* i *Prawy Rycerz* (1632). Dalej następuje serya jurydycznych: *Accessus ad Juris utriusque cognitionem* (1633) i *Commentarius in IX libros Institutionum* (1638). W rok później wychodzą *Instituta Rei Militaris.* Od tego roku, w którym autor został księdzem (1639), zaczyna się niezliczony poczet pism teologicznych i kazań, który się już ciągnie do śmierci. Są jedne z historyi kościelnej, jak *Vita et Miracula B. Vincentii Cadlubconis, Vita Magni Antistitis Jacobi Zadzicii* (1644), *Vitae Antistitum Cracoviensium* (1655); są kontrawersyjne, jak *Braterskie Upomnienie* do dysydentów i *Objaśnienie* tego upomnienia (1647). Kazania wychodzą pod różnymi tytułami od r. 1645 do 1649. Ale ta czynność kościelna nie przeszkadza świeckiej. *Rycerz,* zastosowany nieco do okoliczności, wychodzi powtórnie w 1648. Wreszcie, *Reformacya Obyczajów,* która w r. 1628 już była na świecie, jako *Poprawa niektórych obyczajów,* znacznie powiększona, ukazuje się pod tym nowym tytułem bez daty, równie jak *Lament. Monumenta* są z roku 1655, *Epitome Comitiorum* z 1653. *Breviarium Juris Pontificii* (1654), *Sertum Concionum* (1655). Dodawszy do tego mnóstwo broszur, dodawszy, że wielka liczba, wydana bezimiennie, później dopiero dowiedziona była, jako jego, że może być, iż są jeszcze inne takie pisma bezimienne, o których nie wiemy, że on był ich autorem, a pokaże się, że jest tych dzieł mnóstwo, a przy wielkiej rzadkości niektórych, trudno żeby ktoś znał wszystkie dokładnie.

Ta rozmaitość pism musiała pochodzić w pewnej części i z rozmaitości wpływów, które na niego w życiu działały. Życie to obfite w zmiany: zrazu jest Starowolski domowym Mentorem Ostrogskich, potem profesorem w Akademii krakowskiej; między jednem a drugiem podróżuje po Europie, i wtedy zapewne, widząc uczonych i uniwersytety niemieckie, belgijskie, wyrobił w sobie powołanie literackie. Tam musiała powstać myśl i chęć, żeby czynność naukową, jaką widział zagranicą, zaszczepić w Polsce; dzieła takie, jak *Polonia*, jak *Bellatores*, *Oratores*, *Scriptorum Hekatontus*, musiały się zrodzić z popędu, odebranego w Lovanium, w Paryżu lub podobnie, podczas pierwszej, drugiej lub trzeciej podróży. Dzieło wojskowe jest oczywiście owocem lat spędzonych przy Chodkiewiczu; niektórzy sądzą, że Starowolski sam był wojskowym, jakkolwiek w Instytutach sam o sobie mówi, że nie jest Miles. Porzuca znowu te czynnności i staje się pedagogiem i towarzyszem podróży młodego Koniècpolskiego. Po powrocie pracuje znowu w kancelaryi, przy Zadziku; co za rozmaitość zajęć i powołań, dopóki go stan duchowny w jednem wreszcie nie ustalił. Nad wszystkiem jednak góruje jego rola moralisty i statysty, moralnego polityka, żeby się tak wyrazić: z tego kierunku wyszły jego dzieła najlepsze, i na tę też stronę jego zawodu przedewszystkiem patrzeć trzeba.

Votum o Naprawie Rzeczypospolitej (1625), ma w sobie materyału dosyć na ogromne dzieło, bo *Naprawa* ta obejmuje wszystko; autor dotyka i skarbu, i wojska i wychowania, i fortec, i kolonizacyi Ukrainy, i gospodarstwa, i handlu, i obyczajów: i nie można mu zaprzeczyć, że we wszystkiem, co mówi, ma słuszność. Ale wielki zwykle przymiot krótkości szkodzi wielce emu dziełku, które jest poniekąd jak gdyby zawiązkiem zy projektem na jego dzieła późniejsze, podobnej treci, *Naprawę Obyczajów* naprzód, a następnie *Reformacyę Obyczajów*, jakkolwiek *Votum* jest ściślej polityczne.

*

a mniej moralizujące od tamtych. Takie, jak jest zresztą, byłoby bardzo dobrą broszurą, gdyby nie myśl nieszczęsna napisania jej wierszem. Dlaczego rozumny autor obrał formę tak niestosowną do treści? Czy myślał, że rzecz swoją ponętniejszą uczyni? W każdym razie dowiódł tem samem upadku literatury, dowiódł, że sam smaku i zmysłu artystycznego nie miał. Nie mówiąc już o tem, że wiersz jest najgorszy, że właściwie nie jest wierszem, to sam pomysł pisania wierszem o podatkach lub o monecie i mennicy, wystarczyłby na to, żeby autora zaliczyć do gorszych już czasów.

Szkoda, bo w prozie *Votum* miałoby niepoślednią wartość. Sam punkt wyjścia godzien jest uwagi. Autor prosi Muz, żeby mu pomogły wyrazić „nie tak okrągłemi jak skutecznemi słowy to, co w Ruskiej krainie przez naszą nieopatrzność, przez nasz nierząd ginie Miłej Ojczyźnie Synów etc.". Dowodzi to, że on wie, zkąd największe niebezpieczeństwo. To we wstępie: w dalszym ciągu pełno trafnych uwag i rad bardzo zdrowych. Dziełko ma dziesięć rozdziałów, z których każdy obejmuje jeden warunek Naprawy Rzpltej. Pierwszy wojsko: chce wojska stałego, zebranego w ten sposób, że z każdych dziesięciu łanów, właściciel ma stawić jednego kopijnika; kto ma pięć tylko, postawi kozaka. Ubożsi składać się będą w stosunku do swoich posiadłości. Myśl nie nowa, powtórzona już nieraz w wieku XVI, ale zawsze wartość swoją mająca.

Ale skoro pobór do wojska ma się zasadzać na liczbie łanów, więc oczywiście potrzebny będzie pomiar wszystkich gruntów w Rzpltej (rozdział II), a na tym pomiarze oprze się znowu *podatek*. Najlepsza to może myśl z całego Votum. Starowolski chce, żeby ze wszystkich dóbr, królewskich, duchownych i szlacheckich, dawany był podatek po złotemu z łanu rocznie. Podatek nie uciążliwy wcale, a dla skarbu niezmiernie pomocny. Miasta miałyby taksować się same, przez

swoje urzędy, i pewną ogólną sumę od swoich dochodów do skarbu wnosić, jako podatek, a za to zniosłoby się i czopowe, i cła kupieckie, które im wiele uszczerbku przynoszą.

Dalej (rozdział III) chce, żeby zakazać wywozu produktów polskich — zawrzeć granicę — sądzi, że tem i rolnikom i kupcom bardzo pomoże, bo raz sprowadziwszy towar do Gdańska, sprzedać go muszą, za to, co Niemiec da. Gdyby zaś ten towar był w głębi Rzpltej, to kupcy zagraniczni przyjeżdżaliby po niego, wydawaliby u nas znaczne pieniądze, a wreszcie musieliby płacić tyle, ilebyśmy zażądali. A więc najściślejsze przestrzeganie granic, komory, strażnicy, celnicy, nie przeciwko przywozowi, lecz przeciwko wywozowi towarów.

Potem o monecie: żeby czerwony złoty i talar miały swoją postanowioną wagę, żeby złoty był wart 30 groszy, żeby grosze i półgrosze były srebrne, a miedzianej monety się pozbyć. Pokazało się niebawem, przy fałszowaniu monety polskiej w Prusiech, że nie od rzeczy było zwrócić na nią uwagę.

Mówiąc o ćwiczeniu młodzieży, gniewa się przedewszystkiem na wychowanie zagraniczne; i dlatego żąda, żeby prawem zakazane były wyjazdy przed rokiem 25 najwcześniej, a i wtedy tylko za listami wojewody, rodzaj paszportów. Kiedy im się zaś zagrodzi drogę do nauki zagranicą, trzeba dać sposobność uczenia się w domu, a więc urządzić dobrze Akademię krakowską. Podaje nawet plan, przynajmniej zarys planu tej naprawy.

Potem dopiero miałoby nastąpić obowiązkowe trzechletnie ćwiczenie wojskowe; kto nie pokaże świadectwa od hetmana, że je odbył, nie może myśleć o domu i wiejskiem życiu. Żenić mu się nie wolno. Województwa kolejno po trzy naraz, stałyby zawsze w polu, gotowe do marszu (od przewodów do św. Marcina).

Z powyższym w związku jest następny rozdział

o budowaniu Municyi. Żąda strategicznego ufortyfikowania linii Dniestru, a następnie Dniepru, które znowu między sobą miałyby być połączone zamkami. Twierdzi nawet, że koszt byłby stosunkowo mały, bo materyał i robotnik byłby prawie zadarmo, rzemieślnika tylko trzebaby płacić. To zaś zrobiwszy, dopiero osadzać ten kraj koloniami aż do Morza Czarnego.

Założenie arsenałów, fabryk broni i magazynów żywności dla wojska, uzupełnia tę materyę obrony. Nikt nie zaprzeczy, że Starowolski miał słuszność, i że należałoby go było słuchać.

O wewnętrznej poprawie, o prawie publicznem nie mówi: krytykuje tylko sądy i to w ogólnych wyrazach. Pozostałe rozdziały są raczej moralne. O karaniu występnych, o nagrodach zasłużonym, o próżnowaniu. Z tem nie wiedząc już co począć, chce żeby ustanowić cenzorów.

Dziełko bez talentu, ale nie bez wartości, które miałoby prawo liczyć się do dobrych w tym rodzaju, gdyby go nieszczęsna niby poetyczna forma nie psuła.

Scriptorum Polonicorum Hekantontas (*seu centum illustrium Poloniae scriptorum Elogia et vitae*) jest książką godną uwagi, jako pierwszy objaw popędu literackiego. Dla pamięci, dla lepszej znajomości przeszłości, dlatego, żeby wiedzieć, co się dobrego miało, i dać o tem wiadomość tym, którzy sami czytać nie będą, dobrze jest pisać, co się wie o znakomitszych uczonych i autorach. Starowolski tak robotę swoją pojmuje, dlatego ją podejmuje; w przedmowie mówi to wyraźnie. Z tego powodu książka jego zasługuje na uszanowanie, przynajmniej u historyków literatury, którzy znajdują tam pierwszy w Polsce zaród swojej nauki. Co do treści samej: ta jest naturalnie dość skąpa i nierozwinięta. Niedokładności niema, ale dużo wiadomości niema także. W kilkunastu lub kilkudziesięciu wierszach opowiedziane jest życie każdego, ze *stu pi arzy*, podan

jego główne dzieła i krótki, naturalnie nie dość rozwinięty sąd.

Są to więc właściwie notatki, notatki tak dalece, że nawet dojść trudno, jakim porządkiem autor chciał je układać; porządku tego niema wcale, ani chronologicznego, ani logicznego; uczeni XV wieku sąsiadują z Birkowskim, Kochanowski pomiędzy matematykami z pierwszych czasów Akademii krakowskiej a teologami w XVI wieku. Jedyny ślad systematycznego układu w tem, że pisarze-biskupi z Hozyuszem na czele rozpoczynają szereg. Sądy nieraz uprzedzone.

Że przedewszystkiem patrzy Starowolski ze stanowiska katolickiego, to naturalne: ale stanowisko doprowadza go do stronniczości; naprzykład Orzechowskiemu zapomina zbyt wiele i sądzi go za łaskawie, skoro tamten się poddał, a dla Modrzewskiego jest za surowy dlatego, że heretyk. Czego szkoda, to, że Starowolski, bliższy tych czasów, nie zbierał skrzętniej dat; gdyby zamiast komponować dla każdego pisarza nagrobek wierszami, był się postarał o wiadomość, kiedy on się urodził, a kiedy umarł, byłby tem oddał wielką usługę tej historyi literatury, której był pierwszym praecursorem. Tymczasem rzadko zdarzy mu się podać datę, odnoszącą się, czy to do człowieka, czy do książki. Dlatego za dokładne źródło uważać go nie można, choć dla pewności dobrze nieraz zajrzeć i do niego. A w każdym razie trzeba to jego dzieło zapamiętać, jako pierwszy u nas objaw literackiej erudycy i skrzętności.

Zupełnie takie jak *Scriptorum Hekatontas* są *Sarmatiae Bellatores*; tam pisarze, tu wojownicy, to cała różnica; bo są nawet te na końcu każdego żywota dopisane nagrobki (obyczaje ówczesnych pisarzy), a żywoty równie krótkie i ogólnikowe.

Polonia (opisanie geograficzne Polski, po którem następuje krótka wiadomość o jej rządzie) jest bardzo porządnie ułożona i napisana, byłaby doskonałą geo-

grafią dla szkół może, ale, choć niema tu naiwności i łatwowierności takich, jak w *Polonii* Kromera, choć jest może ściślej naukowa, nie ma tego wdzięku, tego zajęcia, tych ubocznych i nieraz tak bystrych uwag, któremi Kromer charakteryzuje, czy naturę kraju, czy naturę społeczeństwa. Ale jako geografia, a poniekąd i statystyka podręczna, bardzo dobra i tak ceniona, że późno jeszcze w XVIII wieku uczono się z niej i tłómaczono ją na polskie, jako najlepsze i napożyteczniejsze dzieło tego rodzaju.

Prawy Rycerz, nauka moralna raczej, niż traktat polityczny, jest ładną i dobrą książeczką, w której złożone jest i wysokie idealne pojęcie rycerstwa, i obraz jego upadku: porównanie tego, czem rycerz prawy być powinien, a czem jest teraźniejszy żołnierz w Polsce. Z tego zaś porównania wynika jako wniosek wystawienie szkód, jakie Rzplta przez złe rycerstwo ponosi, i obowiązek upamiętania się, dla miłości Boga, dla dobra ojczyzny i dla własnego honoru. Tak zamiar swój tłómaczy autor w przedmowie. W dziełku samem zaczyna od ideału. Na wstępie mówi *O Zacności Stanu Rycerskiego*, a w jego słowach odzywa się po raz ostatni może to dawne pojęcie średniowieczne, według którego rycerstwo było powołaniem kapłańskiem prawie, rzemicmiosłem szlachetności, a rycerz sługą spraw wielkich i obrońcą dobrych. Duch religijny jest dla Starowolskiego tak jeszcze koniecznym warunkiem rycerstwa, obrona wiary tak jeszcze pierwszym obowiązkiem, że jego pojęcie odpowiada daleko lepiej rycerstwu z czasów wojen krzyżowych, aniżeli jego własnych. Po *Don Kichocie* pojęcie takie w Europie spotkać trudno; choć dziwić się nie można, że znalazło się w naszej literaturze pomiędzy cecorską i chocimską a wiedeńską wojną. *Książę Niezłomny* Calderona pisałby się na takie rozumienie swego powołania i obowiązku; jak dalece zaś duch religijny i katolicki jest samą istotą rycerstwa dla Starowolskiego, dowodzi to, że here-

tyk i schizmatyk podług niego prawdziwym rycerzem nie jest.

Ten zaś duch katolicki, szlachetny i sprawiedliwy, na którym polega prawość i charakter rycerza, na czem zawisł i po czem daje się poznać? Oto po intencyi, po przedsięwzięciu, z jakiem rycerz nosi swoją szablę. Ma ono być trojakie: pierwsze, aby ojczyźnie swojej służył; drugie, aby wiary świętej bronił; trzecie, aby dobrej sławy nabywał.

Ale w praktyce cóż stanowi godność i charakter rycerza, co go od najemnika, od żołnierza odróżnia. Oto trzy rzeczy. Tak jak w starym Rzymie przyjęty *in album Nobilitatis* przysięgał, że „nie miał się bawić niczem innem tylko rycerskiem rzemiosłem, ani pogranicznemu panu za najem służyć, i raczej dać się na wojnie zabić, niż uciekać", tak i u nas pojęcie rycerza polegało na tem, że „szlachcicowi nie godziło się służyć inaczej jak za darmo, z powołania, z obowiązku", to jest właściwe znamię rycerza. Aleśmy je zatracili, z rycerzy prawie zdziercami się stali, odkąd dawanie stacyi weszło u nas w zwyczaj. Stacya to i zapłata, jaka się rycerzowi nie należy, i krzywda temu, kto ją dawać musi, i za nią to pewnie tak się orężowi naszemu nie wiedzie, za nią nam Bóg nie błogosławi.

Ale skoro rycerz służy za darmo, więc ma też i prawa i obowiązki, jakich najemny żołdak nie ma. Raz na wojnie winien jest wodzom swoim posłuszeństwo zupełne; ale to wiedzieć ma prawo i powinien wiedzieć, czy wojna, na którą go wzywają, jest sprawiedliwa i godziwa. Po czem zaś to poznać? „Oto naprzód godziwą jest ta wojna tylko, którą podnosi król, albo Rzplta, najwyższa w państwie władza, każda zaś, którą podnosi poddany, jest buntem, jeżeli wewnętrzna, rozbojem i napaścią cudzych granic, jeżeli postronna", i na taką rycerzowi prawemu iść się nie godzi. Proste i mądre rozróżnienie, które zrozumieć bardzoby nam się było przydało: czy za Lubomirskiego, czy dawniej,

kiedy poddani na własną rękę prowadzą Dymitra do Moskwy, zaplątali Rzpltą w szereg długich i nieszczęsnych wojen. Żeby zaś urząd najwyższy tej swojej wyłącznej władzy wydawania wojny nie nadużył, dlatego przodkowie nasi postanowili, iżby bez wiedzy i zgody Rzpltej żadna wydawaną być nie mogła.

Zawsze to samo, myśl najpiękniejsza, pierwiastek idealny we wszystkiem, a niepamięć o tem, że ludzie nie anioły, i że praktyka rzeczy tej wzniosłej myśli nie odpowie. Zgoda Rzpltej, potrzebna na to niby, żeby królowie nie prowadzili wojen niepotrzebnych i niesprawiedliwych, wstrzymywała najpotrzebniejsze: Zygmunta, kiedy szedł na Wołoszę, Władysława, kiedy chciał iść na Turków.

Trzy zaś ma i prawidła prawy rycerz, jak trzy cechy swego charakteru, a te są: nikogo nie bić, oprócz w boju, nikogo nie szkàlować, i nikogo nie zdzierać.

Następuje potem opisanie cztere ch cnót rycerzowi najpotrzebniejszych, któremi są: Roztropność, Męstwo, Wstrzemięźliwość i Sprawiedliwość, a przy tej sposobności z pod idealnego wzoru zaczyna się dobywać nie mniej jak idealna rzeczywistość. Pokazuje się, że nasi rycerze grzeszyli przeciw wszystkim czterem cnotom kardynalnym; że ani karność, ani wstrzemięźliwość, ani roztropność t. j. znajomość spraw wojskowych i służby nie kwitła, a męstwo samo, odhartowane rozpustą i zbytkami, podupadało. Prawy rycerz przypomina nam żywo i wymownie, że obok bohaterów, jak Czarniecki i jego pułki, byli i rozpieszczeni, na wszystko wyuzdani rycerze z pod Pilawiec, że ta surowość obyczaju, którą podziwiamy w hetmanowej Żółkiewskiej, lùb w Teofili Sobieskiej, miała i swoją odwrotną stronę.

Z rozpustą trzyma się miękkość i zbytek; poprzedza ją zwykle, utrzymuje, i sam znowu przez nią się wkorzenia. I tego, jak widać, u nas nie brakło; od pisarzy XVI wieku począwszy, skarżą się na zbytek wszyscy, a Staro-

wolski nie mniej ze wszystkich. Chciałby środka na zbytek, praw przepisujących ubiór, ilość służby, nawet potraw przy obiedzie, jak w Wenecyi.

Piękny jest rozdział o przygotowaniu się prawego rycerza na wojnę. Lękliwy i w miłości ku ojczyźnie oziębły, albo nieuprzejmy mówi w sobie: „Mam gdzie uciec, będzieli potrzeba, i mam rączego." Ale baczny i mężny rycerz, który za całość i bezpieczeństwo wiary i ojczyzny na śmierć się rezolwuje, gdy do bitwy ma iść, gdzie zwyciężyć albo umrzeć potrzeba, do śmierci się gotuje, z grzechem na sumieniu nie pójdzie, ale uzbroi się Sakramentami pierwej jeszcze niż pancerzem, a potem mówi z Machabejczykami „Niech się z nami dzieje, jako w Niebie sądzono". *Accingimini et estote pontentes.* Po bitwie, jeżeli wygrał, ma Bogu dziękować, zwycięstwa swego skromnie używać, dla pobitych miłosiernym i ludzkim być.

Na tem się kończy wizerunek prawego rycerza; zostaje tylko dodatkowy, okolicznościowy rozdział ostatni, dodany przy wydaniu z roku 1648, o miłości ku Ojczyźnie wezwanie do rycerstwa, żeby w tych czasach ciężkich, kiedy nam Bóg wziął i głowę i serce, a tylko nogi do uciekania zostawił, ocknąć się i zapalić miłością uciśnionej Ojczyzny, a czem kto ma i wszystkiem co ma, ramieniem, głową, groszem i krwią jej pomagać.

Szlachetne, szanowne dziełko, odpowiadające i złej i dobrej rzeczywistości tych czasów, bo jak w niem można rozpoznać Korsuń, Pilawce, Ujście i wszystkie ówczesne sromoty, tak znowu w Czarnieckim, w Sobieskim, jest żywy wzór prawego rycerza.

Naprawa niektórych obyczajów polskich (1628), jest przeciwnie jak *Rycerz* pismem raczej politycznem, niż moralnem. Ton jest kaznodziejski zawsze, i zbytecznie, ale traktowane kwestye są natury politycznej. Jest to niby drugi stopień pomysłu, do którego Starowolski trzy razy wracał, poprawiając i uzupełniając go za każ-

dym razem. Pierwsze było *Votum*. Poprawa przychodzi po niem w lat kilka, i mówi o tych samych rzeczach i sprawach, tylko lepiej, gruntowniej, obszerniej, i mówi o nich już prozą. Jest to więc *Votum* rozwinięte, uzupełnione, lepsze. Ten sam zaś stosunek, jaki zachodzi między pierwszem a drugiem z tych pism, zajdzie za lat kilkanaście między *Poprawą*, a *Reformacyą Obyczajów w Polsce*, która znowu mówi o tem samem, i w tym samym duchu, tylko więcej i lepiej, niż autor powiedział za oboma pierwszymi razami.

Było widać w przeznaczeniu Polaków służyć za cel obelgom i potwarzom obcych narodów. Że nieraz na surowe sądy zasługiwali i zasługują, to pewna; ale zajadłość, z jaką się na nich rzucano, i fałsze, jakich się przeciw nim dopuszczano, dowodzą tylko, że byli przecież lepsi od swoich nieprzyjaciół, którzy bez powodu, nie zaczepieni, nie wyzwani, prześladowali ich bez miłosierdzia. Nie bez zręczności: bo we wszystkich tych złośliwych atakach mieszali zawsze nieco prawdy do fałszu, tak, żeby jedno od drugiego oddzielić się nie dało i jedno przy drugiem uszło. Co za naszych czasów czyta się w niemieckich dziennikach, w niemieckich powieściach jak Freytaga, lub niemniej niemieckich choć po francusku pisanych Sacher-Masocha, to w dawnych wiekach czytało się w tych uczonych książkach, które dawały geograficzny, statystyczny i obyczajowy opis Europy, a w nim wiadomość o każdym kraju z osobna. Jednemu z takich odpowiada Starowolski, kiedy mu się przebrało cierpliwości. Thomas Lausius, Niemiec, zaszczycił nas nawet osobną oracyą *contra Poloniam*, i na tę oracyę odpisuje Starowolski. Za naszych czasów pomyślałoby się, że odpowiadać nie warto; kłamca wie, że kłamie i robi to umyślnie, a ludzie zawsze temu będą wierzyć, kto mocniejszy i głośniej krzyczy. Ale wtedy ludzie byli naiwniejsi, na potwarz dotkliwsi, a odpowiedzią i sobie robili ulgę i innych przekonać mieli nadzieję; a mniej do potwa-

rzy przyzwyczajeni, żywiej się na nią oburzali. Prawda, że dziś nawet trudno się nie oburzyć na tego praecursora *Polenfresserów* z XIX wieku, kiedy nas opisuje w sposób naprzykład następujący:

„Polacy są takimi barbarzyńcami, że niema u nich nic zbliżonego do tego, co u innych nazywa się cnotą; czystość religii zeszpecili potwornościami zabobonu; prawami swojemi zatwierdzają rzeczy przykazaniom Bożym przeciwne; mężobójstwo karzą grzywnami; w innych razach zmuszają winnych, żeby się sami w więzieniu wieszali; z ludem obchodzą się po tyrańsku; świętość związków małżeńskich naruszać zwykli, nietylko cierpiąc, ale otwarcie pozwalając żonom kochanków. Wiary nie dochowują nikomu, nie mają ani króla, ani królestwa, tylko oligarchię jakąś; a jeżeli królem można nazwać takiego, który nad tak nierządnym narodem panuje, to i tego sprowadzają sobie od czasu do czasu z dalekich krajów, bo u nich nie rodzą się tacy, którzyby nawet takiego tronu byli godni. Szlachta cała dzika, nieokrzesana, sroga, zuchwała a biedna, mieszka w budach i prawie stajniach, nie pojmując i nie znając, nie mówię już poloru i wykwintności, ale czystości i wygody. Bogatsi czwanią się wielką zgrają służebnych próżniaków, a grubość swoją tytułami chcą krasić, szlachectwem swojem aż do nudności szumnemi słowy się popisując, a szlacheckiej cnoty zgoła nie mając. W ubiorze nieochędożni, niechlujni, mowę mają barbarzyńską, w wymowie twardą i trudną. Ziemia jałowa, niebo mroźne. Po łacinie licho umieją, a wymawiają nieznośnie. A co najważniejsze, wojennego ducha i wojskowej sztuki nic a nic; chwalą się, że mają 150 tysięcy konnej szlachty, a Gustawowi oprzeć ę nie mogą; a piechoty nie mają już wcale, i dlatego ;tępują przed Szwedami, biją ich Rosyanie, trapią Tarzy, niepokoją Wołochy, straszą Węgrzy, Turcy nad mi przewodzą, a od Niemców tylokrotnie pobici, drżą lko, żeby znowu karków pod jarzmo nie poddali.

I wszystko razem wziąwszy, ktoby Polskę chwalił, robiłby to chyba dla popisania się marnym dowcipem, jak ten, któryby chciał chwalić cień osła naprzykład, albo osła samego, albo komara, albo wróbla, albo błoto, albo lebrę, lub cokolwiek innego z rzeczy błahych i nikczemnych. A co jeszcze może być uczciwszego lub polerowanego, to niemieckiej pracy i cnocie przypisanem być musi; bo u polskiej szlachty tak dzikiej i zarozumiałej, że wszystkimi innymi narodami gardzi, cóżby kto znalazł ozdobnego, polerowanego, uprzejmego, ludzkiego, łagodnego i rzetelnego?".

Prawda, że po dwustu latach jeszcze krew się burzy na tego podłego kłamcę i te kłamstwa. System jest zawsze ten sam, ta sama metoda: powiedzieć coś prawdy; tę prawdę przesadzić, przekształcić, zmienić nie do poznania, a do niej dodać dowolną masę kłamstwa, któ ra przy niej wyda się prawdziwą a przynajmniej prawdopodobną. Bezczelność łączy się tu z nieznajomością najgrubszą, z łatwiernością śmieszną, a jedna z drugą podają sobie ręce, żeby szarpać dobrą sławę narodu, który nikomu nic złego nie zrobił. Grzywny za mężobójstwo, nierząd, to są prawdy; choć i tych, jak Starowolski dowiedzie, Niemiec wyrzucać nam nie ma prawa. Ale brak waleczności, ale ten skandal grzechów cierpianych przez męża, ale brak religijnego ducha, to już kłamstwo za śmiałe, i dziwno nawet jak ten autor mógł się spodziewać, że kogo oszuka. Ale widać znał czy odgadł zasadę: *calomniez, il en restera toujours quelque chose.*

Starowolski tedy nie może znieść tej zniewagi i krzywdy, która w całej Europie może być czytana i wzięta za prawdę, i odpowiada bardzo dobrze.

„Nikt nie jest bez winy, a więc i my nie święci, Ale czy gorsi od tych, którzy nas szkalują, to kwestya Bluźnierstwa imienia Boskiego u nas niema; nie splamiliśmy ani naszej czci zdradą, ani krwi rozpustą i sodomskimi grzechami; nie znamy ani zwierzęcej chuci,

ani lupanarów, ani magii, ani popędów przeciwnych naturze; nie kochamy się w histryońskich zabawach, jak Włosi, ani w płochościach jak Francuzi, ani w pysze i zarozumiałości jak Hiszpanie i Niemcy. Nie skorzy do złodziejstwa jak Węgrzy, ani do gniewu jak Szkoci, ani do trucizny jak Szwedzi, a co złego mamy, to dobrem nagradzamy sowicie".

Zaczyna się dalej zbijanie kłamstw Lansiusza jednego po drugiem. Takeśmy niby zabobonni, że czcimy węże. Oczywiście wyczytał Niemiec w starych księgach coś o pogańskiej Litwie i myśli, lub udaje że myśli, jakobyśmy od półtrzecia wieku nie byli się zmienili, a i wtedy przecie tylko pogańska Litwa, nie Polska, czciła bałwany i węże. I kto nam będzie brak wiary wyrzucał? Ten Prusak, co niema ani Papieża, ani ołtarza, ani Boga, tylko brzuch i pieniądz? Prawda, mamy u siebie heretyków i dajemy im żyć w pokoju, mamy i muzułmanów na Litwie i nie robimy im nic złego i wojną do wiary swojej nie nawracamy, jak Niemcy i inni. Ale aniśmy swego Kościoła nie odstąpili, ani nowych wiar wymyślali, tak dalece, że są u nas całe miasta, Lwów naprzykład, i całe prowincye, jak Mazowsze, gdzie dysydentów nigdy nie było i niema; — i na całej północy niema kraju, gdzieby Boga wierniej czcili i gorliwiej mu służyli.

Co do mężobójstwa, i w tem mało prawdy. Kto na uczynku schwytany, ten karany jest śmiercią; a grzywnami ten tylko, kto udowodni świadkami, że zabił w obronie własnej. Tu apologista polskiego prawa naciąga trochę, bo rzecz wiadoma, że w praktyce znalazło się często wszystko, czego było potrzeba, żeby zabójcę od kary uwolnić. Ale ma słuszność, kiedy mówi, że lepiej jeszcze winnego nie ukarać, niż jak się to dzieje w niektórych miastach niemieckich, w Klagenfurcie naprzykład, gdzie posądzonego o kradzież wieszają bez sądu, a po śmierci dopiero prowadzą śledztwo.

Że zaś winnych zmuszamy do samobójstwa przez powieszenie, to kłamstwo wierutne; książęta litewscy, i to niektórzy tylko, Witold i Świdrygiełł, kazali skazanych w swojej obecności wieszać; wychowali się w pogaństwie, i to ich dzikość tłómaczy. Ale i oni do samobójstwa nikogo nie zmuszali, a od ich czasu nic podobnego nigdy się nie zdarzyło.

Co do poddanych, jak im jest, zawsze jeszcze lepiej, niż gdzieindziej. Złej sławy narobił nam Aeneasz Sylwiusz, pisarz *gravissimus*, ale wiadomo, że czernił nas przez złość i zemstę. Rzecz ciekawa i godna rozpoznania przez historyków: Starowolski twierdzi, że przyszły Pius II starał się, będąc jeszcze w Wiedniu, o biskupstwo warmińskie, a gdy mu go Kazimierz Jagiellończyk nie dał, mścił się na Polsce w swojej historyi.

Co się tycze naszych obyczajów i mniemanej tolerancyi mężów dla żon i kochanków, odwołuje się Starowolski do najpoważniejszych uczonych zagranicznych jak Bodinns, Boterus i Robortella; niech ci świadczą, czy to prawda, i przytacza słowa, w których opisują Polskę, jako naród obyczajów surowych i czystych. Potem dodaje, już sam od siebie: „Nie chowa się u nas dziewcząt od młodości na to, żeby je kazić, gdy dorosną, jak się to dzieje w Portugalii; nie mamy łaźni wspólnych dla obu płci jak Niemcy, ani wielu żon jak miewali Szkoci, którym król Owen III pozwolił mieć ich tyle, ile który wyżywić zdoła. Ani u nas obyczaj nie daje królowi prawa do pierwszej nocy z córkami szlacheckiemi, ani szlachcicowi z córką poddanego".

Ciekawy jest zarzut nierzetelności i łamania słowa, a raczej jego dowody i przykłady. Przytacza ich Niemiec dwa: oba *pro domo sua*. Jeden, że Ryksy, matki Kazimierza Mnicha, kiedy, raz ujechawszy, chciała do Polski wracać, Polacy nie przyjęli; drugi, że złamali wiarę arcyksięciu Wilhelmowi, zaręczonemu z Jadwigą. Jak gdyby względem Ryksy byli mieli jakie obo-

wiązki wierności, a względem jej syna nie byli ich wypełnili? Jak gdyby oni byli Wilhelmowi przyrzekli rękę Jadwigi, lub jej matka miała była prawo przyrzekać mu polską koronę? Starowolski dobrze mówi, że nic lepiej nie dowodzi rzetelności i słowności polskiej, jak to, że nieprzyjaciel, chcąc ją podać w wątpliwość, nie znajduje lepszych argumentów i przykładów. Sam, w obronie naszej czci i wiary, przytacza ich wiele, bardzo istotnie wymownych i pięknych.

Czy naszą formę rządu ma Starowolski za tak doskonałą, jak to przed obcymi mówi? Wolno wątpić, i to na podstawie jego własnych pism; ale pisząc apologię, i pisząc dla obcych, miał wszelkie prawo nie powiedzieć wszystkiego, co myślał. W jednem miejscu jest świetny, prawda, że obrona łatwa: to, kiedy odpowiada na twierdzenie Niemca, jakoby korona polska tak była podła i mało warta, tak bezkrólewiami wycieńczona, że nikt się o nią starać nie raczy, a Henryk, który ją prośbami znaglony przyjął, uciekł zaraz; Francuzi zaś dotąd jeszcze śmieją się z Polski, z jej korony, i z jej posłów. Czy się śmieją, i jacy się śmieją, to jeszcze pytanie: jakoś nie słychać, żeby śmiał się Bodinns albo Thuanus; nie śmiał się i Montluc, tylko podchlebiał i prosił. Ale jeżeli to rzecz tak mało warta, że „żaden z Francuzów w orszaku Henryka nie szacował się tak nisko, iżby wielkim księciem litewskim być raczył", to dlaczegoż o to upokorzenie starają się, proszą, ubiegają, dobijają z bronią w ręku wasi cesarze i arcyksiążęta? Dlaczego żadne nasze Interregnum nie było od ich starań spokojne, dopóki ich nie odstraszyła byczyńska nauka?

Nie trudno było po Kirchholmie i Chocimiu odeprzeć zwycięsko te nikczemne kłamstwa, jakoby w Polsce nie było rycerstwa, waleczności i wojennej chwały. Ale przeczenie jej jest ciekawe: dowodzi, że już wtedy była ta nienawiść wściekła, wyższa nad samą prawdę i naukę, która dzisiejszym niby uczonym histo-

rykom niemieckim każe pisać, że bitwę pod Wiedniem w roku 1683 wygrał cesarz Leopold i ks. Lotaryński. Jak dalece zajadły Niemiec, oślepiony namiętnością, traci wszelki zmysł i miarę, wszelki nawet wzgląd na prawdopodobieństwo swoich kłamstw, za dowód może służyć jego twierdzenie, że dzieło *De Senatu Romano* nie było napisane przez Zamoyskiego, który nie miał na to ani rozumu, ani nauki dosyć, ale przez Sygoniusza, który za pieniądze pozwolił się Zamoyskiemu na książce swojej podpisać. Ale cóż mówić, kiedy ta sama zaciekłość robi Zamoyskiego najemnym *condotierem* w służbie wołoskiego hospodara!

O bogactwie i zasobach kraju, o sposobie życia, dostatkach i ogładzie szlachty, mówi Starowolski obszernie, ładnie i prawdziwie, sprawiedliwie; powtarzać byłoby za długo. Ale sympatyczny jest, kiedy broni swojego języka, a śmieje się z Niemca, który Polakom zarzuca, że źle wymawiają po łacinie. Nam, którzy wymawiamy najpodobniej do Włochów, a zatem lepiej niż wszyscy inni, choć prawda, że na prozodyę nie dość zważamy, Niemiec, który sam mówi *finum* zamiast vinum, a *conzul* zamiast consul! On nam będzie zarzucał pijaństwo? A któż na świecie pije jak Niemcy? Widzieliśmy ich tu nieraz, największych, najznaczniejszych, posłów waszych książąt i elektorów, obżerających i opijających się aż do wymiotów, a po wymiotach jedzących i pijących dalej. To to wasza ogłada, wasza układność, wasza *urbanitas*? A ten biskup augsburski, który to samo zrobił, przyjmując u siebie prymasa Firleja:— *Reverendissime ibo interim parum vomere.* Gdyby który z nas u was tak zrobił, cobyście na nas nie wygadywali! Ale u nas tak robią wprawdzie, ale psy, nie ludzie.

Albo zimno? Udaje Niemiec Włocha, jak gdyby w Magdeburgu, w Berlinie, wszędzie w swoim kraju nie marzł tak, lub gorzej, jak my w Polsce. Przypomnienie polskich zwycięstw i wojskowego honoru koń-

czy tę apologię, którą po dwóch wiekach jeszcze czyta się z zajęciem i wdzięcznością dla obrońcy, z oburzeniem i pogardą dla potwarców.

W roku 1629 umarł Szymonowicz, który w późniejszych latach już zamilkł, i w tym samym ten młodzieniec, który mógł być jego następcą, Szymon Zimorowicz. Nowsze i dokładne badania wykazały (Korneli Heck), że wbrew staremu podaniu, wbrew nawet słowom Bartłomieja Zimorowicza, które to podanie zdają się stwierdzać, nie mogło być zażyłości, ani nawet żadnej prawdopodobnie znajomości między synami murarza Ozimka, a wielką figurą, jaką był Szymonowicz, który zresztą w tych latach nie przebywał we Lwowie, tylko w Zamościu albo na wsi. Ale choć mogło nie być osobistych stosunków, to był oczywisty i niezaprzeczony wpływ starszego poety na młodszych. Bartłomiej Zimorowicz naśladuje Szymonowicza i przeciąga jego tradycyę do czwartej części XVII wieku: Szymon nie naśladował, ale widocznie uczył się od Szymonowicza i jego poprzedników; i dobrze się wyuczył, skoro pisał inaczej niż oni, a lepiej od wszystkich sobie współczesnych.

Z poetów tego okresu pewnie najzdolniejszym on jest, najbardziej poetą, może jedynym, który nim jest zupełnie, który trzymałby się dobrze w drugim rzędzie za Janem Kochanowskim, gdyby był jego współczesnym, a w swoich czasach odbija od wszystkich niezaprzeczonym wdziękiem i bardzo wykwintną formą. Ma wiersz taki giętki, taki muzykalny, taką obfitość miar i rytmów, jak może żaden z dawniejszych poetów. Pod tym względem możnaby go nazwać Słowackim swego czasu; ma bardzo piękny język, i wiele uczucia, wiele świeżości i młodości. Znać w każdym jego wierszu, że to chłopiec zaledwo dorosły, któremu po głowie roi się miłość, serce bije niespokojnie wspomnieniem jakichś wrażeń przebytych albo pragnieniem nowych, który trochę zna i doświadczył, więcej wyo-

braża sobie i pragnie; a przytem widzi ze smutkiem, że to wszystko nie dla niego, że życie ucieka „jak woda z rozbitego dzbana", i kończy młodo, w 25 latach, daleko od kochanego Lwowa, daleko od kochanego brata, zostawiając mu tylko pamiątkę, pieśni weselne, napisane na jego ożenienie, „Roxolanki". Pamiątka przetrwała ich obu i stała się trwałym, bardzo ładnym pomnikiem.

Ale czy „Roxolanki albo Ruskie Panny" na wesele Bartłomieja Zimorowicza z Katarzyną Duktynicką (recte Duchniczanką) wprowadzone, a napisane i posłane na ten fest przez biednego młodego poetę, żeby tam zastępowały i przypominały jego, który, chory na piersi, nie mógł się ruszyć z Krakowa, czy one są sielanką, albo nie? Kilkanaście panien i kilkunastu młodzieńców, którzy śpiewają miłosne piosenki, to wygląda dość idyllicznie. Przecież nie trzeba myśleć ani o Tityrze i Melibeuszu, ani nawet o Żniwiarkach Szymonowicza. „Roxolanki," jeżeli są do czego podobne, to do „Sobótki" Kochanowskiego. Sielanka w swojem zwykłem pojęciu jest albo małem opowiadaniem, albo małą sceną, małym dyalogiem; jakieś źdźbło pierwiastku epickiego lub dramatycznego, jakaś drobniutka akcya jest w niej zawsze. Tutaj nic podobnego: ani rozmowy, ani żadnego choćby luźnego związku między osobami, ani najmniejszego faktu. Tu, jak w Sobótce Kochanowskiego, występują Ruskie Panny jedna po drugiej i każda śpiewa swoją pieśń osobną. Różnica jest ta, że tam Panien jest tylko dwanaście, i to bezimiennych, a śpiewają o różnych rzeczach. Roxolanek jest aż trzydzieści ośm, każda ma swoje imię (zawsze jakieś wyszukane, poetyczne, dziwaczne, wyjęte zapewne z jakich rycerskich romansów); oprócz nich trzydziestu jeden młodzieńców, (także dziwacznie ponazywanych), a wszyscy śpiewają tylko o jednej rzeczy, o miłości, Nic dziwnego, idą na wesele z komplementami dla nowożeńców. Ale odrzućmy te imiona, te osoby, dajmy

każdej pieśni jakiś tytuł osobny, wzięty z jej treści, a wtedy co zostanie z sielanki? Nic. Zostanie sześćdziesiąt kilka wierszyków miłosnych, mówiących o jednem i tem samem, ale na przeróżne, a nieraz bardzo dźwięczne i delikatne tony. Cały ten sielankowy pozór i przybór zaś, te osoby kolejno występujące, to istoty rzeczy nie tyka, ani jej nie zmienia, i wszystko mogłoby odpaść, a Roxolanki zostałyby czem są, nie uszkodzone, nie tknięte, nie straciłyby nic na wartości. Jest to więc długie Epithalamium, z pozorem raczej, niż w formie sielanki; Epithalamium, które z późniejszemi panegirycznemi nie ma nic wspólnego; o nowożeńcach, oprócz na wstępie, prawie tam nie słychać; a oprócz tego, takie te wierszyki są swobodne, tak nie widać w nich zamiaru, umyślnego przedsięwzięcia, że widocznie nie były na komendę pisane, ale musiały już wszystkie, lub przynajmniej większa część być dawno gotowa i napisana w stoliku poety, który dla brata tylko je może razem zebrał, może uzupełnił i tym weselnym tytułem opatrzył. Z gotowych dawniejszych wierszyków zrobiło się przy sposobności Epithalamium dla brata, Epithalamium, któremu gust ówczesny, momoże pamięć o wielkim Tassie, może przykład wielce podziwianego Szymonowicza, kazały nadać pozór sielanek, które pomimo tego, nawet z pozoru przypominają nieco Sobótkę, ale Szymonowicza bynajmniej, a które w treści są tylko zbiorem wierszy miłosnych.

Dedykacya, w której biedny poeta tak się żałośnie skarży, że musi umierać, że więdnie, jak skoszone siano, i życzy tak rzewnie, żeby brat z żoną przynajmniej za niego się nażyli; i długi wstęp, w którym Hymen składa życzenia młodej parze i opowiada dzieje różnych sławnych kochanków z mitologii i poezyi starożytnej, to jedyne rzeczy, które dotyczą pana Bartłomieja Zimorowicza i panny Katarzyny Duktynickiej i ich szczęśliwego połączenia. Potem już występują chóry panien i młodzieńców i śpiewają, ale o so-

bie tylko. A taka jest rozmaitość tonów, od tęsknych do żartobliwych, taka lekkość i gracya wiersza, i taka miła harmonia między tonem uczucia, jakie jest w wierszyku a jego formą, że, z wyjątkiem Kochanowskiego, nikt dotąd u nas takich wierszy miłosnych nie pisał, a i tego nie wszystkie są lepsze. Musiał to być artysta prawdziwy, a człowiek z wyobraźnią żywą i poetyczną. W wielkiej rozmaitości jego piosnek wesołych, tęsknych, żartobliwych lub narzekających, czytanie tylko może przekonać jak różne miał struny na swojej lutni i jak wdzięcznie umiał na nich przygrywać. Gdyby chodziło o wskazanie najładniejszych, to należałoby wymienić Helenorę, Cicerynę, Bernetis, Janellę, Bohymnię, Marellę, Aleksego, Daniłę, Melaniego i t. d.

Szkoda go. Między współczesnymi on najprawdziwszy poeta, a jedyny między nimi artysta. I umarł tak młodo, że nie miał czasu nic po sobie zostawić, prócz *Roxolanek* [1]).

Szymonowicz i Zimorowicz młodszy, to punkt najwyższy, jakiego dosięgła poezya polska za Zygmunta III. Oba o trzy lata tylko wyprzedzili starego króla do grobu. O lat niewiele znowu przeżył go człowiek, który w drugiej połowie jego panowania tak reprezentował najgodniej wymowę, jak tamci poezyę.

Historya Polski XVII wieku, ma za wybitną cechę ducha religijnego i wojennego. Nie mówiąc o wadach i niedorzecznościach Polski tego czasu, ale o tem, co w niej jest piękne i szlachetne, znajdzie się tego ducha, jako pobudkę wszystkich wielkich zamiarów

---

[1]) Prof. Korneli Heck, najpracowitszy i najzasłużeńszy z badaczy w kwestyi braci Zimorowiczów, sądzi i twierdzi, że tylko Bartłomiej był poetą, i ten swoje wiersze wydał pod imieniem zmarłego Szymona. Ale na tym punkcie tożsamości autora *Roxolanek* i *Leopolis Triplex*, argumenty uczonego badacza nie wydały mi się dostateczne i pewne. Dla tego trzymam się dawnego mniemania i wierzę w dwóch Zimorowiczów.

(*Przypisek autora*).

i czynów, jako popęd, jako pierwiastek, ożywiający wszystkich wielkich w ojczyźnie ludzi. Kiedy się odwrócić od rzeczy wstydliwych i zdrożnych, od zrywanych sejmów, od Piławiec, od Ujścia, od Guzowa i Mątew, a patrzeć na sumienie i wolę narodu, na jego duszę, tak jak ona okazuje się w swoich typach czystych i zacnych, znajdzie się, że w tej duszy było coś zakonnego i coś rycerskiego. Nie jest to wcale stan religijny XVI wieku, tak rozmaity, zawiły i pstry, a nie pozbawiony pewnej płochości i lekkości; protestantyzm gwarny, rojący się po całej Polsce z całem mnóstwem swoich sekt i odcieni, burzliwy, namiętny, głośny, a powierzchowny, chwytany dla mody, porzucany łatwo, sam sobie nie bardzo jasny; katolicyzm przez długi czas obojętny, bezczynny, światowy; wielka masa ludzi, wahających się między jednym a drugim, nie wiedzących dobrze, którego się chcą trzymać, marzących o jakiemś połączeniu obu wyznań, o kompromisie; wszystko to znikło. Katolicyzm został sam na placu, a obok niego tylko niedobitki ewangelików i aryan, i wschodni ruscy dyzunici; a zostawszy, zakorzenił się na nowo i tak silnie w sercach polskich, iż rzec można, stała i zupełna świadomość katolicka narodu, jeżeli nie powstała, to odrodziła się w tej epoce, i wydała po raz pierwszy może tak widoczne zasady katolickie, katolicką tradycyę, która do dziś dnia jeszcze z tamtego źródła, z tamtego początku płynie. Katolicyzm polski bardzo spoważniał od XVI wieku, i w obyczaju i w przekonaniach swoich, i rzeczywiście przeszedł w krew całego tego społeczeństwa, stał się bardzo widocznym, bardzo silnym pierwiastkiem składowym jego usposobienia i dziejów. Prawda, że kiedy się tak rozlał szeroko i głęboko w duszę wniknął, przejął je sobą na wskróś, prawda, że on wtedy przybrał dwa kształty, dwa odmienne charaktery. Jest u nas w XVII wieku jeden katolicyzm, to jest jeden sposób pojmowania i praktykowania go, lżejszy, zewnętrzny, polegający na samych

tylko praktykach i obrzędach; była w nim wiara, była pobożność szczera i żywa, ale jedna jak druga nieco drobiazgowa i ciasna, przywiązująca się do form i do uczynków, które były zewnętrzne raczej; mnogie fundacye kościołów i klasztorów, bractwa, patronowanie tych lub owych zakonów, cześć cudownych obrazów, ściśle przestrzeganie wigilij, wszystko to, co składało religijność ówczesnych magnatów i szlachty, to był katolicyzm szczery, ale nieco formalny i martwy, bardzo zadowolony z siebie, a wiodący do jakiegoś religijnego kwietyzmu, do zbytecznego uspokojenia sumień. Ale obok tego był i katolicyzm głębszy, zasadniczy, pojęty jako zasada, czujący się w swojej misyi. Nigdy Polska nie rozumiała tak dobrze, że jest przeznaczoną zasłaniać chrześcijaństwo i Europę od Turków, i że najdalsza na wschodzie granica Europy, sama jedna może utrzymywać stosunki Wschodu z Kościołem, jak właśnie w wieku XVII. I pod względem religijnym Polska w tym czasie jest trochę podobna do klasztoru, w którym wszyscy zakonnicy są prawowierni i pobożni; ale jedni z nich prawowierni i pobożni dobrodusznie, bez zastanowienia, oddani swoim obowiązkom, odprawiają wszystkie przepisane modlitwy i posty, ale głębiej myślą ani uczuciem nie sięgają; a inni, w mniejszej liczbie, płoną wielką religijną gorliwością, i żyją w głębokich medytacyach, we wzniosłych nieraz kontemplacyach rzeczy niebieskich. Jeden z tych kierunków wydał u nas tę religijność dobroduszną, a formalną i cokolwiek dziecinną, której tyle śladów pozostało w ówczesnych kazaniach, modlitwach, książkach, obrzędach i obyczajach; drugi, głębszy i poważniejszy, wydał Unię, odbił się we wszystkich wojnach tureckich i moskiewskich, w obronie Częstochowy, w wyprawie wiedeńskiej i t. d.

A ten duch katolicki, poważny, surowy, łączy się niezmiennie, a naturalnie, z duchem rycerskim, wojennym, naszych najpiękniejszych czynów i ludzi z tego

wieku. Naturalnie, bo wszystkie wojny, jakieśmy prowadzili w tym wieku, z wyjątkiem dwóch domowych, były w znacznej mierze i wojnami religijnemi. Tureckie wszystkie naprzód, bo w razie zwycięstwa Turków nie sama niepodległość Rzpltej, i wiara musiała popaść w niebezpieczeństwo; każda pogoń za Tatarami miała ten charakter, bo zagon tatarski ciągnął za sobą jeńców, przeznaczonych na sprzedaż, na sturczenie się i każda taka utarczka była walką o mniejszą lub większą liczbę dusz chrześcijańskich. Wszystkie inne wojny prowadzone były z narodami innej wiary, nieprzyjaciółmi katolickiej, ze Szwedem, zaciętym protestantem, pierwszym podówczas sztandarem i mieczym protestantyzmu w Europie, z prawosławną Rosyą; w wojnach kozackich tkwił na nieszczęście także pierwiastek i interes religijny. A nawet ci mniejsi, podrzędni nieprzyjaciele i najezdcy Rzpltej, elektor, Rakoczy, nawet ci byli heretykami.

I z tego wynikło to wielkie zjednoczenie pierwiastku religijnego z wojennym w duszy i w dziejach ówczesnej Polski, ztąd poszło, że jej religijność musiała być wojującą, a jej rycerstwo pobożnem, religijnem, katolickiem. Istotnie jest coś średniowiecznego, coś przypominającego wojny krzyżowe i zakony rycerskie, coś legendowego w naszych ówczesnych lepszych ludziach i czynach. W Żółkiewskim siedzi krzyżowiec, Kordecki ma coś wspólnego z Piotrem z Amiens, albo ze św. Bernardem; nie brak nawet cudów jak tam. W bitwie chocimskiej jednej walczy św. Wacław, w drugiej modli się Stanisław Kostka; Najświętsza Panna zasłania swoim płaszczem klasztor częstochowski od bomb szwedzkich, a król Jan nie jest na nieszczęście takim królem, jak św. Ludwik, ale rycerskiego i pobożnego ducha ma jak Tankred, albo Rajmund z Tuluzy.

Literatura ma także swoją figurę, która jest odbiciem tych dwóch połączonych pierwiastków. Duch

XVII wieku, jego strona piękna i poetyczna, jak w historyi wydaje Żółkiewskich, Sobieskich, Kordeckiego, Czarnieckiego, tak w literaturze objawia się w człowieku wielce oryginalnym i sympatycznym; w człowieku, którego duch pobożny i religijny zapędził do klasztoru, zrobił go księdzem, mnichem, w żarliwości nie zawsze umiarkowanym, a duch rycerski wyprowadził go z celi do obozów, w ogień, pomiędzy walczących i umierających, palił go wielkim rycerskim animuszem. A jeden i drugi odbił się ognistymi charakterami w jego pięknych, energicznych, po żołniersku szorstkich, po mniszemu żarliwych kazaniach. Tym literackim typem religijnego i wojennego ducha XVII wieku jest Fabian Birkowski.

Oddawna sławny i sławiony, jako drugi obok Skargi wielki kaznodzieja tego wieku. Niektórzy idą tak daleko w swojem do niego przywiązaniu, że twierdzą, jakoby w niektórych, prawda wyjątkowych razach i względach, on samego Skargę przewyższał. To jest złudzenie; sympatya do Birkowskiego jest rzeczą bardzo naturalną, ale przebiera miarę, kiedy go próbuje mierzyć ze Skargą. Trzeba uważać, że Skarga, choć zapewne najpierwszy ze wszystkich prozaików polskich nie jest postacią literatury, tylko on na wszystkie strony ten zakres przekracza, on jest człowiekiem historyi, i jego stanowisko, jego rola, jest jeszcze więcej tam, aniżeli w literaturze. Bo chociaż on spraw państwa ani wojsk do boju nie prowadzi, choć niby czynnie do historyi nie należy, ale niema tego ważniejszego w jego czasach faktu, niema tej daleko sięgającej dążności polskiej, w którejby Skargi nie było. Do historyi naszych stosunków zagranicznych i wojen on istotnie należy tylko przez literaturę, przez swoje kazania dziękczynne i tryumfalne. Ale w historyi wewnętrznej spotyka się go wszędzie i na każdym kroku. Mniejsza o jego udział, o jego pacyfikacyjne misye w czasie rokoszu: nie udały się, nie odniosły skutku,

nie miały wpływu, historya może o nich nie wiedzieć, uważa je za nie byłe. Ale bardzo ważnym, jednym z najważniejszych czynników polskiego życia w jego czasach, był cały ferment religijny, walka ostatnia z protestantyzmem i przechylenie się narodu do uczuć i zasad katolickich; na tem polu jest, działa, w znacznej mierze zwycięża, Skarga. Wielkiem przedsięwzięciem, wielką myślą nie tylko religijną, ale polityczną, była Unia—znowu Skarga. Wielkim postępem tych czasów, ich wielką wyższością nad wiekiem XVI, jest wyższa moralność, lepszy obyczaj w życiu prywatnem, zmiana nie mała i nie obojętna w wewnętrznym stanie narodu; trzebaby być ślepym, żeby nie widzieć, uprzedzonym, żeby nie przyznać, jak Skarga około tej zmiany pracował, jak się do niej przyczynił. Wreszcie rzecz najważniejsza; Skarga ma wielką rolę w naszej historyi przez to, że występuje jak wcielony duch samej ojczyzny, jak uosobienie patryotyzmu i ratunku. W kazaniach sejmowych obejmuje ratunek nietylko moralny, ale polityczny i społeczny, patrzy w przyszłość dalej i lepiej, niż ktokolwiek. O ile słowem człowiek działać może, on działa; w swoich przewidzeniach przyszłości on jest tak fenomenalnym, że go nazywamy proroczym, przez to wszystko on jest za wielki, żeby mógł zmieścić się w literaturze, i należy do historyi, choć materyalnie w niej nie działa.

Birkowski, bardzo niepospolity mówca, bardzo pociągający, mieści się w literaturze zupełnie. Co do stanowiska swego on był położony tak szczęśliwie, jak Skarga; był kaznodzieją dworskim, nie przy królu wprawdzie, tylko przy królewiczu. W jego życiu rozmaitości i wrażeń zewnętrznych może więcej, niż w życiu Skargi, bo ten ksiądz żyje i każe w obozach, patrzy na bitwy, życie ma bardzo dramatyczne; ale niema tego orlego wzroku Skargi, który wszystkie sprawy, wszystkie kierunki życia obejmował, i tej energii, przez którą tamten we wszystkich kierunkach działał,

pisał lub mówił. Nie ma tego szczególnego daru przeczuć, tego ducha proroczego, jaki miał Skarga; nie ma tego daru wymowy, nie ma nawet w swoich czynnościach i obowiązkach kaznodziejskich tej potężnej inteligencyi, jaką miał tamten. Nikt nie napisze historyi Zygmunta III, żeby mógł pominąć Skargę; jego wpływ jest za wielki, jego chęć zbyt daleko sięgająca, jego sąd o polskich stosunkach zbyt głęboki, żeby można było o nim nie wspomnieć. Birkowski, choć u współczesnych bardzo wzięty i popularny, w historyi śladów nie zostawił, nic nie sprawił, nic nie wywołał, historya nie potrzebuje go znać, jak nie zna ogromnej większości mówców religijnych. Różnica to nie mała; kaznodzieja, który niczem więcej nie był, a przez swoje kazania i swoją pracę duchowną, choć może skutku nie sprawił, ale zdobył sobie stanowisko w historyi, musiał być i większym człowiekiem i większym mówcą od tego, którym tylko literatura zajmować się potrzebuje.

Ale Skarga był takim fenomenalnym wyjątkiem, że z nim żadnego innego słusznie porównywać nie można. Przecież, nie mówiąc o tem, co u niego jest rzeczywiście nadzwyczajne, zapominając o szczególnym darze poglądu na świat, i wymowy, to w samych nawet zwyklejszych czynnościach i zdolnościach, góruje on nad Birkowskim; i gdyby nic nie był napisał, tylko swoje prace polemiczne przeciw aryanom, protestantom, wyznaniu greckiemu, to te same wystarczyłyby na dowód, że był człowiek od Birkowskiego wyższy. I tak, ich przekonania religijne i polityczne są zupełnie te same; być może, że Birkowski swoje przy Skardze i pod jego wpływem wykształcił. Znajdziemy więc u niego tę samą nienawiść herezyi, co u Skargi, ten sam ideał religijnej jedności, te same wyobrażenia o monarchi , zwierzchności władzy duchownej nad świecką; wszys - ko to objawia się, jak u Skargi, nienawiścią konfeder - cyi warszawskiej, nienawiścią rokoszu i t. d. Ale Bi -

kowski ma w tych wszystkich swoich przekonaniach daleko więcej namiętności, daleko mniej umiarkowania i mniej rozumowania, niż Skarga. On przeciwko herezyom, albo przeciwko konfederacyi, daleko mniej argumentuje, daleko mniej zbija, a daleko silniej i gwałtowniej je gromi. To wskazuje, że ten umysł sam mniej się nad temi kwestyami zastanawiał, mniej je zgłębiał, tylko gotowy rezultat przyjął, jako aksyomat, jako pewnik. Sam w niego wierzył tak silnie, że potrzeby dowodzenia prawie nie czuł; a ze swoją naturą energiczną i gorącą tak się nim przejął, tak się do niego namiętnie przywiązał, że oporu, przeciwieństwa łagodnie, spokojnie znosić nie mógł, wpadał zaraz w gniew i w oburzenie. Taka natura może być i szlachetną i pociągającą, taka wymowa może być porywającą; ale nie można zaprzeczyć, że i dusza i inteligencya są niższe, w porównaniu z równowagą i spokojem Skargi, w porównaniu z tą obfitością i głębokością argumentów, jakimi tamten ściga herezyę. Skarga ze swoim poglądem na świat i ze swoim sposobem karcenia i gromienia, wygląda jak mędrzec, który sam doszedł do wszystkich rezultatów swojej myśli, i który przez tę wielką wewnętrzną pracę przełamał i sam siebie, dojrzał w niej, zachował całą żywość swoich uczuć i całą siłę swoich przekonań, ale się wyzwolił z wszelkiej namiętności. Birkowski wygląda przy nim jak gorący młody uczeń, prozelita, z ognistem sercem i wyobraźnią potężną, który się do nauk tego mistrza całą duszą przywiązał, ale znalazłszy je gotowe, on nie wie, ile one kosztują, on nie doświadczył, jak łatwo jest błądzić, nie zna tego, że żadna prawda nie jest tak jasną i oczywistą jak słońce, i nie wie, że trzeba wyrozumieć, wytłómaczyć ych, którzy jej nie widzą, a przez to staje się bezwzględ- ıym. W mistrzu i mędrcu jest równowaga: w organi- acyi ucznia, zapalnej, a wątlejszej i nie tak głębokiej, owstaje bezwzględność, rodzaj fanatyzmu. Porówna- ıie będzie śmiałe, bo rodzaj umysłów i charakterów

i cała sfera moralna ludzi jest inna, ale może nie będzie nie trafnem powiedzieć, że stosunek inteligencyi i charakteru pomiędzy Birkowskim a Skargą (nie twierdząc wcale, żeby pierwszy był uczniem drugiego ze świadomością rzeczy), jest mniej więcej taki, jak naprzykład pomiędzy namiętnym, ale słabszym Leonardem a głębokim i potężnym Pankracym Krasińskiego.

Cały człowiek jest mniejszy, i ta mniejszość pokazuje się we wszystkich jego pojęciach i słowach z jakiegobądź zakresu, religii, polityki, filozofii, życia potocznego, wszędzie myśl ta sama, a wszędzie słabsza, ciaśniejsza i nie tak głęboka. I ta sama różnica w rodzaju ich wymowy, w ich talencie. Niektórzy twierdzą, że Birkowski ma więcej od Skargi energii; nie, on ma tylko więcej namiętności, więcej szorstkości, ale prawdziwej energii ma więcej Skarga. Ten panuje zupełnie nad sobą i nad słuchaczem; Birkowski często słuchacza porywa, słuchacz i mówca oba są porwani tem uczuciem, tą bujną wyobraźnią, ale w chwili, kiedy ten popęd ustaje, wtedy on już panem słuchacza nie jest. Skarga, kiedy mówi nawet bez zapału, najpotoczniejszym tonem, zawsze trzyma przy sobie myśl i uwagę innych, wagą swoich myśli, ścisłością swego rozumowania; we wszystkich jego dziełach niema może jednego zdania zbytecznego, jednego słowa bez treści, czczego, oklepanego. U Birkowskiego, obok bardzo wzniosłych i poetycznych porywów, zdarzają się całe ustępy, całe kazania obojętne, w których i myśl jego i sposób jej wypowiedzenia są zwyczajne, spowszedniałe, obojętne; zdarzają się długości i powtarzania tej samej rzeczy w różnych zdaniach, zdarzają się słowa, frazesy, w których treści niewiele.

Wreszcie pod względem już ściśle literackim różnica ogromna. Skarga prosty jak Homer, jest jak Homer klasyczny, dla wszystkich wieków ten sam i tej samej wartości, niezależny od wszelkich zwyczajów i upodobań czasu; pod względem języka i stylu, wzór,

mistrz prozy polskiej, jak drugiego niema. Przy całej swojej wymowie, przy całej piękności swego języka, on już jest bardzo niedoskonały. Mniejsza o szorstkości, o brak wykończenia, o niedbałości w stylu, albo nawet o przeskoki w myślach. Te ostatnie są bardzo wielkie, tak wielkie, że nieraz całe kazanie nie odpowiada założeniu (*n. p.* jest jedno o św. Jacku, w którem jest bardzo wiele o obowiązkach i powołaniu kaznodziei, ale o św. Jacku prawie nic). Kiedy się coś takiego spotka, kładzie się to na karb improwizacyi; myśli się, że mówca mało przygotowany, mówiący z natchnienia, a w myśli i obrazy bardzo obfity i płodny, daje się porywać myślom, które mu w ciągu mówienia przychodzą, idzie za niemi i zapomina o założeniu, sam o tem nie wiedząc. Z wielkiem zdziwieniem dowiadujemy się potem, że on nigdy bez przygotowania nie mówił, że wszystkie kazania naprzód nietylko przygotowywał, ale zupełnie pisał; tak przynajmniej świadczy o nim Makowski w mowie na jego pogrzebie. W takim razie wszystkie te niedoskonałości stylu i układu są do wytłómaczenia trudniejsze. Ale te, to jeszcze najmniejsza jego wada: gorszy jest jego smak skażony. Zdawna już przyjęło się u nas to zdanie, że Birkowski reprezentuje w naszej literaturze przejście ze złotego do zepsutego wieku. Zdanie bardzo słuszne. Przy całym talencie, przy całej wymowie, przy całym uroku mówcy i mów, ma on już smak bardzo skażony; już widać, ze kształcił się w tych czasach, kiedy włoskie *concetti* zwaliły się na Polskę i zasypały jej literaturę chmurą coraz dziwaczniejszych, coraz mniej naturalnych wymysłów. Już mitologia, już cała w ogóle erudycya klasyczna, która w wieku XVI i więcej była usprawiedliwioną czcią humanizmu dla starożytności, i używana z większem umiarkowaniem, i rozeznaniem, trafniejszem uczuciem, gdzie ona na swojem miejscu ć może, a gdzie nie, tutaj występuje zawsze nie porę, zawsze tam gdzie nie potrzeba, gdzie albo słu-

chacza nudzi i ziębi, albo nawet gdzie go śmieszy. Już język, miejscami wspaniały, w innych przeplata się makaronizmami. Słowem, na tym wielkim kaznodziei znać wszystkich późniejszych mówców konceptowych i panegirycznych z drugiej połowy XVII wieku, Mijakowskich, Kochanowskich etc., on ich już zapowiada. Naprzykład, z jego kazań przygodnych żadne nie nosi prostego i zwykłego tytułu, kazanie na to lub owo; każde ma jakiś tytuł, z *konceptem*, jak kazała retoryka i stylistyka ówczesna, jak uczył jeszcze ks. Golański. Co za koncepty! Nie można, naprzykład, powiedzieć poprostu: „Mowa na pogrzebie Zygmunta III,"—trzeba dla ozdoby nazwać ją *Kwiatami koron królewskich nieśmiertelnymi* i t. d.; mowa dziękczynna za zwycięstwo nad Tatarami ma tytuł *Kantymir Basza porażony*. Wszystko to już bardzo podobne do *Pistoletu z odwiedzionym kurkiem* etc., do *Heroiny Chrześcijańskiej*, do *Młota na Czarownice*, *Podpłomyka Matki Fary* etc. ect. Same te tytuły kazań dowodzą dostatecznie skażenia smaku, a treść czasem tytułom nie ustępuje. I tak na dowód jak nieszczęśliwie zdobi kazania swoje mitologią, dość przytoczyć jeden przykład. W kazaniu drugiem o Bogarodzicy (obadwa są wykładem Pieśni św. Wojciecha), jest jeden ustęp śliczny jako myśl. Oto dowodzi on, że Matka Boska pod Krzyżem nie mdlała, nie łkała, nie upadała, jak sobie wyobrażają malarze, to wszystko nieprawda. Ona stała cicha i mężna, bez łez, bez jęków, bez gwałtownych poruszeń, wszystko w niej od duszy do ubioru, do włosów i fałdów sukni było w spokoju, było na pozór takie jak zawsze. Takie pojęcia i opisanie jej boleści jest bardzo trafne, widać, że on miał wyobraźnię szlachetną; ale cóż, kiedy ten piękny obraz jest niemiłosiernie zeszpecony konceptem, mitologicznem porównaniem. *Mater Dolorosa* pod Krzyżem, porównana do Nioby, a co więcej, do Minerwy, do mężnej Penthesilei, to prawdziwie potworne. A nie jedno przypadkowe porównanie, któreby łatwiej przypuścić

można, ale są kazania całe, które od początku do końca są jednym wielkim nieustającym i bardzo niesmacznym konceptem. Naprzykład kazania na Nowy Rok pod tytułem *Jozue na kolędę dany.* Imię *Jozue* jest to samo co *Jezus*, ztąd to przypomnienie Jozuego w dzień Obrzezania Pańskiego i ztąd jego historya. A że na Nowy Rok dają się kolędy, więc kaznodzieja rozdaje różnym stanom i ludziom w Rzpltej na kolędę różne okoliczności i rzeczy, należące do zwycięstwa Jozuego nad miastem Jerycho: jednym słońce, które stanęło, drugim trąby, od których zwaliły się mury, innym te zwalone mury, i tak dalej, przez całe kazanie. Niema w niem nic prócz tego rozdawania dowcipnie wymyślonych i do każdego zastosowanych podarunków. Jest to już godne najgorszych czasów i poprostu nieznośne.

A pomimo tego nie można być mówcą sympatyczniejszym, bardziej pociągającym jak Birkowski. Jak niepospolity musiał być talent, którego takie potworności nie zdołały przygłuszyć! Jaka musiała być siła wyobraźni i jaki ogień uczuć u tego człowieka, kiedy nietylko przegląda przez te wszystkie śmieszności, ale mówcę otacza wielkim, nieprzezwyciężonym poetycznym urokiem. W czem ten urok Birkowskiego? Oto w nadzwyczaj oryginalnem, może jedynem połączeniu ducha religijnego z rycerskim. Nieraz, czytając go, trzeba się zapytać, kto mówi, ksiądz, zakonnik, albo żołnierz, jaki stary hetman surowy, groźny i męski, jak Stefan Czarniecki; czasem nawet możnaby zapytać, czy to nie jaki kapral, strofujący z kapralską energią rekrutów. W „Pamiętnikach Soplicy" jest sławne *Kazanie Konfederackie*, jedno z arcydzieł Henr. Rzewuskiego, w którem ksiądz Marek tak szorstko, tak rubasznie, a tak mądrze, tak serdecznie gromi narowy wodzów konfederacyi. Ten ton na pół obozowy, a na pół kaznodziejski, artystycznie stworzony przez Rzewuskiego, u Birkowskiego zdarza się często, a sam z siebie, naturalnie, bez jego wiedzy. Nieraz kiedy on gromi he-

retyków, albo i katolickie grzechy, zdaje się, że w zakończeniu chwyci za szablę i wypłazuje. W wyrażeniach swoich jest tak swobodny, tak wszystko po imieniu nazywa, że nasze dzisiejsze uczucie przyzwoitości byłoby urażone nie jednem jego słowem. Kiedy się uniesie gniewem i wpadnie w przymówki, to jego ironia ma całą szorstkość, całą prostacką dobitność, bezwzględność bohaterów Homera, albo na pół dzikich królów Szekspira; kiedy tryumfuje, nie może wytrzymać, żeby nie urągał, żeby się nie natrząsał, żeby z jakąś biblijną zawziętością nie przewodził nad zwyciężonym przeciwnikiem. Może to wszystko byłoby ciekawością tylko, nie zaletą, gdyby obok tej energii, tej namiętności, tej szorstkości, nie było takiego ognia, takiej potęgi religijnego i patryotycznego zapału; ale ten mówca, czasem tak rubaszny jak ksiądz Marek Rzewuskiego, czasem tak przesadny i niesmaczny w swoich konceptach, jak późniejsi mówcy zakonni w Polsce, ma w swojej wymowie taką siłę, taki żar, taką gorliwość namiętną, religijną i patryotyczną, że zdaje się, jak gdyby z habitem św. Dominika był wziął i coś z jego hiszpańskiej rozpłomienionej duszy. Ksiądz Kordecki, kiedy w oblężonej Częstochowie kazał milczeć szemrzącym i wylękłym, wierzyć w pomoc Boską, i strzelać do Szwedów, musiał mówić w tym rodzaju jak Birkowski, tym samym szorstkim, rozkazującym, gromkim tonem żołnierza, tym samym głębokim przejmującym tonem zakonnika, który wierzy tak mocno, że swoją wiarę przemocą, gwałtem w drugie serca wbija. I dlatego on, przy wszystkich swoich niedoskonałościach jest tak niepospolitym kaznodzieją, dlatego jest zjawiskiem tak oryginalnem i tak sympatycznem. Ksiądz wojskowy, żyjący więcej w obozie jak w celi, przejął coś rozkazującego, surowego ducha od tego Chodkiewicza, pod którym służył, przejął szorstkość od prostego żołnierza, przejął religijną gorliwość i prawowierność, posuniętą do niewyrozumiałości od swego

wieku; a w duszy miał taką siłę uczucia, taką gorącą miłość wiary i ojczyzny, że to wszystko podniósł do bardzo wysokiej powagi, często do bardzo wysokiego natchnienia. Przez połączenie zaś tych przymiotów jest odbiciem i wizerunkiem szlachetnych stron XVII wieku, ma prawo liczyć się do jego szlachetnych reprezentantów, nie obok Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego, Kordeckiego, z tyłu za nimi, ale w tym samym rodzaju, a w literaturze jest najszlachetniejszym, może jedynym śladem i reprezentantem tych usposobień i znamion Polski XVII wieku.

Skarga na mniejsze rozmiary, Skarga ciaśniejszy, obejmuje swojemi kazaniami ten sam zakres co tamten. U niego jak u Skargi, są Kazania Niedzielne i Świąteczne, i Kazania przygodne. Te, znowu jak u Skargi, mogą się podzielić na czysto teologiczne (homilijne albo polemiczne), na pogrzebowe i tryumfalne. Politycznych i proroczych jak Kazania Sejmowe niema, ale we wszystkich, w wielu przynajmniej, znajdują się polityczne alluzye, w tym samym duchu, co u Skargi.

Z takich kazań homilijnych więc naprzód wymienić trzeba dwa kazania o Bogarodzicy, na święto Nawiedzenia. Jest to wykład Pieśni św. Wojciecha, komentarz taki, jakie Ojcowie Kościoła św. Grzegorz, Ambroży, Augustyn, dawali do Pisma św., do Psalmów, proroctw, Ewangelij lub Listów. Komentarz jest ciekawy ze względu na przedmiot komentowany, jest zapewne trafny, jest ciekawy do przeczytania, dziś zwłaszcza, kiedy dla samych zmian języka dokładne zrozumienie Boga Rodzicy jest dość trudne; ale jako kazania nie są one z jego najlepszych. To samo powiedziećby można o Kazaniu o św. Jacku. Zdawałoby się, że jako Polak i jako Dominikanin powinien był unieść się w wychwalaniu Świętego, który mu był podwójnie patronem i bratem, w zakonie i w Ojczyźnie, a którego żywot obfituje w fakty dla kaznodziei bardzo wdzięczne. On przecież zostaje dość chłodnym. O św. Jacku mówi

mało: najwięcej o kaznodziejstwie i obowiązkach kaznodziei; ściąga się to naturalnie i do św. Jacka, jako do kaznodziei, ale tak samo służyć może każdemu innemu. Najwięcej może samemu Birkowskiemu, mianowicie ten ustęp, w którym mówi, że głos kaznodziei powinien być jak głos trąby, który nie ma w sobie nic pieszczonego: jak gdyby opisywał siebie i swoją wymowę. Bardzo piękne jest kazanie *o św. Janie Kantym*; inaczej *o ćwiczeniu młodzi*. Mówca przechodzi po kolei różne cnoty Świętego i podaje z nich wzór młodzieży, stosując wszystko do jej wieku, położenia i obowiązków.

Z polemicznych są trzy kazania, którym dał tytuł *Exorbitancyi*; jedno z nich powstaje na rozpowszechniony zwyczaj wydziedziczania synów lub córek wstępujących do zakonu. Nie trzeba sądzić, żeby *pro domo sua*, powodowany doczesnym interesem klasztorów albo chciwością. On dowodzi tylko, że dziecko takie ma prawo do swojej części majątku, tak jak i drugie; że jeżeli ono dobrowolnie tego prawa się zrzecze, ojciec lub rodzina może słusznie tę część majątku zatrzymać. Ale w przeciwnym razie, jeżeli syna posyła na księdza, albo córkę do klasztoru, dlatego tylko, żeby im nie dać nic, a innym dzieciom więcej, jak to się często trafiać zwykło, wtedy krzywdzi i dziecko i ten klasztor, do którego ono wstąpiło i któremu swój majątek byłoby oddało.

Druga Exorbitacya *Ruska*, jest argumentacyą przeciw wyznawcom Kościoła greckiego i naleganiem, żeby przystąpili do Unii; rzecz logicznie, a zapewne i teologicznie słabsza, powierzchowniejsza nierównie od pism Skargi w tym przedmiocie. Najciekawsze jest kazanie o Exorbitancyach dysydentów, powiedziane na konwokacyi warszawskiej 1632. Dość namiętne, dość bezwzględne w tonie, jest bardzo zręczne, zwłaszcza w początku, gdzie dowodzi dysydentom, że krzyczą na prześladowanie, choć ich nikt nie prześladuje, a w zakoń-

czeniu jest dość ciekawe, bo daje poznać, w jakiej mierze i z jakich powodów autor tolerował i chciał tolerować różnowierców. Prawa im zostawia, ale sposób, w jaki to czyni jest bardzo nieprzyjemny, drażniący, znać w nim wiele namiętności.

Przeciwnie jak Skarga, zostawił po sobie Birkowski kazań pogrzebowych wiele i to na cześć takich ludzi, o których wiele powiedzieć się dało. Jan Zamoyski, Skarga, Chodkiewicz, Chmielecki, Zygmunt III, Krzysztof Zbarazki... Sposobność była nieraz taka lub lepsza, niż miał Bossuet, kiedy mówił o wielkim Kondeuszu. Tymczasem trzeba wyznać, że żadną z tych mów nie jest taka jak Skargi na pogrzebie Anny Austryaczki. One są piękne, miejscami bardzo wzniosłe, nieraz ciekawe przez to, co on o tych zmarłych opowiada, ale od mówcy tej sławy, mówiącego o takich ludziach, czytelnik spodziewa się więcej.

Jednem z najwcześniejszych, a może i najpiękniejszych, jest kazanie na pogrzebie J. Zamoyskiego. O Chodkiewiczu, wychodząc z pięknego tekstu Pisma św. Machabeuszu „Podobny był lwu w dziełach swoich", mówi rzeczy piękne, ale, zatopiony w swoich wspomnieniach, więcej mówi o wojnie Chocimskiej i tę opisuje. W niektórych, jak n. p. w mowie na pogrzebie Ernesta Weyhera, widoczne jest, że mówca miał przygotowany wstęp do mowy żałobnej, który potem do każdego dał się zastosować; gotowe ramy, w które wstawiła się figura woj. Pomorskiego, jak mogła wejść każdà inna. Sławne kazanie o Chmieleckim jest przeładowane biblijnemi porównaniami i cytacyami, a zwłaszcza porównaniami, które, raz zaczęte, nigdy się nie kończą. Naprzykład, mówi, że podług Pliniusza nosorożec jest symbolem męstwa, gniewu nie rychłego, ale strasznego i tam dalej... i przez pół kazania porównywa swego bohatera, który za herb miał Bończę, do Nosorożca; znać w tem bardzo wyszukany koncept i zły smak, ale są i miejsca piękne.

Najbardziej może zajmujące jest kazanie na pogrzebie Skargi. Naprzód w samym fakcie jest coś ciekawego: Birkowski, mówiący o Skardze!—a potem jest wiele pięknych i charakterystycznych szczegółów, więcej może, niż gdziekolwiek indziej; są wspomnienia o niektórych Skargi zwyczajach, n. p. dyscypliny; ale pierwsza część, choć się pięknie zaczyna od słów: „Powstał Eliasz prorok jako ogień", jest słaba, mówi o ozdobach dobrego kaznodziei; druga opowiada życie Skargi i przez to ma wartość, ale szczególnej wymowy tam niema, a czasami zdarzy się i ustęp bardzo podejrzanego smaku, naprzykład o kompasyi dla umarłych. *Kwiaty koron królewskich*, czyli kazanie na pogrzeb Zygmunta III i królowej Konstancyi, są długie i trochę nudne, przez to, że po kolei wyliczają się te kwiaty, które mają oznaczać różne cnoty króla; ale są ciekawe przez to, że mówca nie po dworsku wcale folguje zwykłej dobitności swoich wyrażeń.

We wszystkich tych kazaniach pogrzebowych są ustępy piękne, niektóre bardzo energiczne, inne ciekawe przez zbyteczną może dosadność wyrażeń, jest wiele zajmujących szczegółów o osobach, ale żadne z nich nie jest w całości piękną mową, żadne nie jest równe i harmonijne.

Najlepiej można poznać Birkowskiego, rodzaj jego charakteru, uczuć i wymowy, i najwięcej powziąć do niego sympatyi, z tych kazań przygodnych, które M. Dzieduszycki u Skargi nazywa dziękczynnemi albo tryumfalnemi. Tu dopiero wybucha cała namiętność tej gorącej duszy, wdzięczność dla Boga, za wszystko, czem do tego zwycięstwa dopomógł, wdzięczność dla żołnierza i chluba z niego, wreszcie dumne, czasem aż nielitościwe uczucie tryumfu nad nieprzyjacielem. Wszystko się to łączy w jakieś całości dziwne, które nie są może kazaniami, ale są wspaniałym nieraz hymnem tryumfalnym, wspaniałą poezyą.

Takim duchem tryumfu, ale razem i religijnego

namaszczenia tchnie kazanie dziękczynne o zwycięstwie chocimskiem. Zacząwszy od buty nieprzyjaciela, z jaką obiecywał sobie Polskę zwojować, przechodzi do bitwy, do chwały wodzów i żołnierzów, i o tych mówi wspaniale. Ale to nie jest żołnierz tylko dumny i szczęśliwy ze zwycięstwa, to jest ksiądz, który w obozie nie samo męstwo widział, ale i zbytek i miękkość bogatszych, i rozpustę i złe obyczaje wszystkich, i kiedy ich za męstwo chwali, gromi za tamto, i każe dziękować Bogu, który był dziwnie łaskawy, że pomimo tego zwycięstwo im dał. I dziękuje mu potem za wszystkie łaski większe i mniejsze, nawet za to, że pamiętał o obozowych bydlętach; dał im tyle paszy, ile było koniecznie potrzeba, bo kiedy zbytkowe i drogie szkapy zdychały, proste a potrzebne trzymały się zdrowo. W tej wdzięczności błogosławi nawet samego Osmana, że pozwolił wojsku wracającemu przejść przez most turecki.

Piękniejsze może jeszcze jest kazanie *Kantymir Basza porażony*. Hetman Koniecpolski, w pogoni za Tatarami, odbił im pod Bołszowem (1624), kilka tysięcy ludzi pędzonych w jasyr, między tymi znaczną liczbę dzieci. Gdy z tą zdobyczą przyszedł do Lwowa, Birkowski przyjął oswobodzonych i dziękujących za oswobodzenie w kościele, mową jedną z najpiękniejszych. Ale nie koniec na tryumfie i dziękach. Dobrodziejstwa Boskie obowiązują ludzi do wywdzięczenia się, a wywdzięczyć się mogą tylko tem, że się staną lepszymi, niż byli. Przechodzi więc różne rodzaje złego, w których chciałby widzieć poprawę, i tak wpada na przedmiot jeden ważny, na ucisk poddanych, przy którym staje się bardzo surowym i szorstkim, ale tak wymownym, że istotnie ten ustęp mógłby figurować w jakiem kazaniu Skargi.

Ale najpiękniejszem z jego kazań jest *Nagrobek Osmanowi*. Czy to kazanie? Jak to mogło wyglądać w kościele i z ambony, trudno sobie wyobrazić. To

brzmi jak namiętna poezya zemsty i tryumfu, nad ciałem zabitego nieprzyjaciela, ale co za poezya! Kiedy ten Osman, którego po wojnie chocimskiej przed rokiem on sam błogosławił za to, że wojsku pozwolił swego mostu, zginął, on widzi w tem znak stanowczego zwycięstwa Krzyża nad księżycem, i tryumfuje nad zabitym z taką zawziętością, jaką się słyszy w biblijnych hymnach tryumfalnych, Debory, Baraka, lub podobnych. Zaczynając od tego, że spadł jak Lucyper z wysokiego nieba, natrząsa się, urąga mu, ale z taką namiętną rozkoszą doznanej ulgi, z takim niewyczerpanym zasobem i pędem myśli, z takiem niesłychanem bogactwem wyobraźni, z taką potęgą słowa, że to kazanie, może niewłaściwe, może złe jako kazanie, jest jednym z najwyższych szczytów wymowy, jedną z rzeczy najpoetyczniejszych, najwznioślejszych jakie w prozie polskiej czytać można.

I to jest podobno strona charakterystyczna jego talentu, jego wymowy, to ta wielka potęga, ta poetyczna lotność i obfitość wyobraźni. Obrazy sypią się u niego coraz nowe, a coraz świetniejsze, coraz jaskrawsze. Ma w tem pewne podobieństwo ze Słowackim; podobny do niego i tem, że jest bardzo nierówny, że jak u tamtego poematu tak u niego trudno znaleźć kazania, któreby było w zupełności dobre, że jak tamten grzeszy czasem złym smakiem; tylko ma się rozumieć natura inna, więcej męska, silniejsza, tęższa. Ale, jak tamtemu, wybacza mu się wiele, bo miewa wiele ognia w uczuciu i wiele potęgi w słowie, i pomimo wszystkiego nie można się oprzeć urokowi, jaki on wywiera. Nie jest największym kaznodzieją polskim, ale fantazyi może istotnie ma z nich wszystkich najwięcej. Nietylko, że mu daleko do Skargi, ale porównawszy go z kaznodziejami naszego wieku, łatwo się przekonać, że jest od ks. Kajsiewicza, naprzykład, niższy. U niego nigdy natchnienie nie trwa długo, a jak opadnie, wtedy on staje się obojętnym, ciężkim, cza-

sem przesadnym i wymuszonym, a nieraz nudnym. Ale ma piękności takie, że pomimo wszystkich swoich wad, przez nie liczyć się będzie zawsze do pierwszych mówców polskich, a przez tego ducha religijnego i wojennego, jaki w nim jest, do wiernych i szlachetnych reprezentantów ducha polskiego w pierwszej połowie XVII wieku.

Te są główne postacie w literaturze XVII wieku aż do śmierci Zygmunta III. Ale oprócz nich jest piszących wielu, w różnych rodzajach i kierunkach, a między nimi są już, przez nich rozwijają się w cichości, pierwiastki i zarody tych zmian, które z czasem wystąpią w literaturze wyraźnie. Już się zaczyna objawiać upodobanie w idyllistach włoskich, Guarini ma więcej wielbicieli, niż Tasso, a wpływ jego, zwłaszcza Mariniego objawi się widocznie za lat kilka lub kilkanaście. Już się rozwija zamiłowanie lektury powieściowej, romansowej, i nowelle (głównie włoskie) zaczynają się przerabiać i tłómaczyć. Już się trafiają przy dworze królewskim lub dworach pańskich, a nawet i po dworkach szlacheckich poeci dość liczni, których nazwiska czasem do nas doszły, ale wiersze zostały w rękopisie. Prof. Brückner wymienia ich kilkunastu: trzech Morsztynów, dwóch Szlichtyngów, trzech Lubienieckich, Przypkowskiego, Naborowskiego, Karmanowskiego, Domaniewskiego i Grotkowskiego, którym przypisuje dużo temperamentu i charakteru, najwyżej ceniąc tych, którzy się kupili około birżańskiego dworu Radziwiłłów. Ta poezya, tak licznie pisana, a tak mało drukowa, to stwierdzenie a zarazem utwierdzenie tego pisania dla siebie, tego dyletantyzmu, tego od niechcenia, które będzie cechą wielu poetów w drugiej połowie wieku—i ich winą, a szkodą literatury, którą oni mogli byli wznieść wyżej, gdyby byli chcieli. W prozie także, około pism polityczno-moralnych Starowolskiego, grupuje się pewna liczba broszur, traktatów w różnych kwestyach praktycznych, nawet ważnych, tra-

ktatów, nie pozbawionych dobrego celu, ani czasem dobrych myśli, ale pozbawionych prawie bez wyjątku dobrego, zdolnego ujęcia i przedstawienia kwestyi. Nie jest to więc martwość, nie jest nawet ospałość, owszem jest ruchliwość nawet znaczna. Ale jest jakieś ogólne i zaraźliwe lenistwo, które nie lubi kształcenia, starania, rzetelnego trudu myślenia i pisania, i jest brak wyższych talentów. Te dwa powody sprawiają, że literatura tegoczesna ogółem nie wznosi się nad stopień średni, mierny.

ROZDZIAŁ III.

(1633—1648).

I. Oznaki zmiany smaku. Samuel Twardowski. *Przeważna Legacya. Nadobna Pasqualina.* Dyalogi. Zawickiego przekład *Jeftesa.* Lemka. Siemek. — II. Dziejopisarstwo. Łubieński. Piasecki. Kobierzycki. Jakób Sobieski. Pamiętniki. Stan. Albrycht Radziwiłł. Jerzy Ossoliński. Powieści. Hieronim Morsztyn. *Rozmowa Plebana z Ziemianinem.* Opalińskiego *Polonia Defensa.* Starowolskiego *Kazania i Reformacya.* Cechy literatury w tym okresie.

I.

Oznaki zmiany smaku. Samuel Twardowski. *Przeważna Legacya. Nadobna Pasqualina.* Dyalogi. Zawickiego przekład *Jeftesa.* Lemka. Siemek.

Ani Zygmunt III, ani Władysław IV nie wywierali wpływu na literaturę, zmianie panowania nie powinna więc odpowiadać zmiana w literaturze. Ale przynosi ją czas, zmiana nie króla, ale upodobań, przyzwyczajeń, smaku. Oddalamy się coraz bardziej od wieku XVI; zostają niektóre jego złe zwyczaje, podniesione do wyższej potęgi, mieszanie łaciny i panegiryzm, ale zaciera się jego dobra szlachetna tradycya pięknego pisania, umiejętnego układu i budowy. Zmienia się i psuje się smak. Nie zaczął się jeszcze francuski, panuje włoski zwyrodniały, zdrobniały; przesadny i manierowany, w złudzeniu, że jest subtelnym, wdzięcznym i nowym. Sarbiewski jest, żyje, świeżo wydał cztery księgi *Liryków* i ma wielkie w świecie powodzenie; ale w Polsce jest sam jeden, drugiego klasyka obok niego nie widać, a on poezyi polskiej nie przydaje się na nic. Czytelnik polski lubi w poezyi włoską sielankę, w prozie te małe powiastki, których mu pisarze więcej dostarczać zaczną. Lubi w wymowie sztuczność i koncept, choćby posunięty do śmieszności. Jerzy Ossoliński układa piękne klasyczne oracye, a Jakób Sobieski, zawołany okolicznościowy orator, choć cza-

sem o zły smak potrąca, jest jeszcze i w stylu dość prosty i w myśli jędrny, sympatyczny. Ale na ambonie zamiast Birkowskiego staje Mijakowski, a to, co u tamtego było zapowiedzią i oznaką złego smaku, u tego rozwija się bujnie, konceptowo, do ostatniej śmieszności. Ta wymowa sztuczna, szumna, konceptowa i panegiryczna, zaczyna się tak podobać i stawać potrzebą współczesnych, że w roku 1644 już układa swoją teoryę, kanon swoich prawideł, w Wojsznarowicza trojakim *Oratorze*, politycznym, pogrzebowym, i weselnym. A kiedy myśl i smak kazi się wymysłami, język kazi się makaronizmem, styl napuszystością.

Są w tej literaturze dwa pierwiastki, dwie siły, z których jedna neutralizuje i paraliżuje drugą; chęć, pragnienie, popęd do nowych kierunków i form, a obok tego brak zdolności, czy smaku, czy usiłowania i pracy, który sprawia, że te próby nowych form nigdy dobrego skutku nie wydają. Widzi się to najwyraźniej może na poezyi. W roku 1633 wychodzi *Przeważna Legacya* Samuela Twardowskiego, ogromny poemat, dowód śmiałości, przedsiębiorczości, wielkich zamiarów, ale dzieło zupełnie chybione.

Ten poeta chciał pisać epopeję, a pisał rymowane kroniki czy pamiętniki. Widział on wiele rzeczy ciekawych i godnych wspomnienia, jeździł do Turcyi w poselstwie Krzyszt. Zbarazkiego (po wojnie Chocimskiej), z królewiczem Władysławem odbył podróż po Europie, patrzał wreszcie na wszystkie nieszczęścia czasów J. Kazimierza, na wojnę kozacką, moskiewską i szwedzką, i to wszystko chciał opisać. Myśl dobra; rzecz niezawodnie warta napisania. Legacya do Turek, oprócz ciekawej i ważnej dyplomatycznej negocyacyi, była zajmująca jako podróż. Historya Władysława IV i Jana Kazimierza, czy napisana jako historya czy jako pamiętnik, mogła być bardzo ważnem świadectwem i źródłem historycznem. Tylko, o ile myśl była dobra, o tyle złe było wykonanie. Jeżeli autor chciał swój

przedmiot traktować tak, jak go traktuje, to jest dokładnie, nie odstępując od rzeczywistości, to należało opisać go prozą. On tymczasem, pisząc w gruncie tylko pamiętnik swego czasu, napisał go wierszem, chciał i mniemał napisać poemat bohaterski.

Z tego wynika, że pomiędzy treścią i sposobem opowiadania, a formą, zachodzi wielka i rażąca sprzeczność. Wypadki, pojęte dokładnie ale prozaicznie, historycznie, a opowiedziane sucho, chronologicznie, po kronikarsku, wyglądają dziwnie w tym stroju niby poetycznym, z inwokacyami do Muz, z różnymi poetycznymi figurami i przyborami, które od czasu do czasu (a wszystkie już w złym, zepsutym smaku) występują, kiedy autor przypomni sobie, że chciał być nie kronikarzem, ale poetą.

Dlaczego jego poematy są tak złe? Dlaczego są wierszowaną prozą, nie poezyą? Przecież każdy poemat bohaterski, nie jeden dramat, jest, tak jak poematy Twardowskiego, poetycznem rymowanem opowiadaniem jakiegoś rzeczywistego historycznego faktu? Dlaczego nie mówimy o Homerze, że jest historyą albo kroniką? Czy dlatego, że opowiada czasy dawno przeszłe i mityczne, a Twardowski bierze sobie za przedmiot fakty z historycznej rzeczywistości? W takim razie Historye Szekspira, również z rzeczywistości wzięte, powinnyby nazywać się kroniką dyalogowaną, jak jego nazywamy kroniką rymowaną? Przecież uchodzą one za dramaty, za poezyę? Dlaczego ta różnica?

Różnica leży w sposobie przedstawienia rzeczy. Współczesny Twardowskiemu i jego kolega w poezyi, Zimorowicz, tłómaczy ją, sam się może nie domyśla, jak trafnie, jak dowcipnie, jak nawet głęboko. Mówi on, że inaczej rysuje miernik, albo budowniczy, a inaczej malarz, inaczej robi się plan albo karta geograficzna, inaczej widok, obraz. O co chodzi w karcie geograficznej? O to, żeby w zmniejszonych rozmiarach zmieścić i oddać wiernie jakąś przestrzeń kraju, wier-

nie, pod względem położenia miejsc, ich wzajemnej od siebie odległości, biegu rzek, kierunku gór i tam dalej, chodzi o dokładność topograficzną i matematyczną; ale czy miejsce, oznaczone czarnym punktem i podpisem, jest rajem czy pustynią, czy ta rzeka ma brzegi rozmaite i romantyczne czy jednostajne i błotniste, czy te góry są malownicze lub nie, słowem, jak ten kawałek ziemi wygląda, tego się z karty geograficznej nikt dowiedzieć nie może ani nie żąda, to nie jest jej przeznaczeniem i celem, od tego jest krajobraz, widok tego lub owego miejsca, wybrzeża, góry i t. p. Na jednej ta sama ziemia przedstawiona jest geograficznie, na drugiej artystycznie.

Otóż stosunek podobny, jak pomiędzy przedstawieniem geograficznem a malarskiem, zachodzi pomiędzy historycznem a epickiem traktowaniem tego samego przedmiotu. Jak tam są wymagania ścisłości i dokładności matematycznej, tak tutaj są konieczności dokładności historycznej, a jak tam żadne z tych miejsc nie może być krajobrazem, widokiem, bo na to niema miejsca, tak tu żaden z tych faktów nie może być opisanym poetycznie, epicznie, bo nie starczyłoby miejsca.

Twardowski, który naturalnie estetycznych studyów nie miał, a który, jak się pokazuje, miał mało talentu i artystycznego instynktu, ani się tego nie dowiedział, ani tego nie odgadł, i jedno z drugiem pomieszał; wziął ogół, całość, jakiegoś historycznego faktu i tak jak była, nic w niej nie wyrzucając, nie usuwając, nie szykując, chciał ją przedstawić poetycznie. Nie mógł oczywiście, sprzeciwiała się temu natura rzeczy, i jego sposób opisywania jest prozaiczny, historyczny albo pamiętnikowy, forma tylko jest niby poetyczna: wiersz. Rzecz prosta, że musiała ztąd powstać sprzeczność rażąca.

Że on jej nie dostrzegł, to była powszechna już podówczas nieznajomość rzeczy literackich, brak wy-

kształcenia artystycznego i smaku. I on był dyletantem, zabierał się do rzeczy naiwnie, dobrodusznie, nie zastanawiając się nad tem, jak trzeba pisać, żeby było dobrze; z wyniesionem ze szkoły wspomnieniem, że epopeje zaczynają się od inwokacyi i że bywają w nich porównania, za jedyną pomoc i zbroję. Cały jego polot poetyczny kończy się na szumnych a bardzo ciężkich odezwach do Muz, albo na porównaniach, które robić od czasu do czasu czuje się w obowiązku, a zresztą ma sposób opowiadania i styl tak suchy, ścisły, prozaiczny, jak w przewodnikach podróży albo w kronikach, i jego epopeje przypominają daleko bardziej Marcina Galla, niż Homera. Do tego jeszcze dodać trzeba, że on pierwszy oznacza już widoczny postęp zepsucia w języku i stylu. Inni, w poezyi przynajmniej, nawet młodsi od niego, piszą dobrą polszczyzną, ich język jest czysty i poprawny, choć nie zawsze piękny, ich styl, choć nie zawsze poetyczny, zawsze jeszcze prosty, jasny i naturalny, nigdy rażący. Ten już sadzi makaronizmami, już ma okresy szumne, zawiłe, napuszone, już kuje lub wyszukuje wyrażenia dziwaczne, niby niezwykłe, a zwykłych i prostych dobrze używać nie umie. Z tego wynika, że jego poematy są bardzo złe. A szkoda, bo treść ich jest ciekawa; autor dużo widział, dużo przestawał z rozumnymi ludźmi, sam zdaje się musiał patrzeć na świat, jak człowiek myślący. Gdyby był to samo napisał prozą, gdyby był chciał rysować jak miernik, a nie jak malarz, byłby zostawił książki, z których jedne stawialibyśmy może nie obok Piaseckiego albo Kochanowskiego, ale obok Jak. Sobieskiego naprzykład, a drugie jeżeli nie obok Alb. Radziwiłła lub Paska, to obok Wassenberga albo Maskiewicza. Poetyczne zachcenia i dyletantyzm sprawiły, że to, co mogło być dobrą książką historyczną, lub ciekawym pamiętnikiem, jest bardzo złą *quasi* epopeją, nieznośnie nudną i bez żadnej formy.

Przeważna Legacya Księcia Krzysztofa Zbarazkiego

Podczaszego W. Kor. do sułtana Mustafy? Starajmy się zapomnieć, że to wiersze, przeskakujmy machiny i efekty poetyczne, bogów, Muzy, porównania i t. d., a znajdziemy, że to wcale ciekawa relacya z podróży i z poselstwa, obfita w szczegóły zajmujące i pozwalająca się domyślać, jak ten obcy świat wschodni odbijał się w naszych polskich głowach, jakie na nich robił wrażenie. To bardzo ciekawe; nie mówiąc o stronie paradnej i ceremonialnej tej legacyi, choć te wszystkie parady i przepychy, stroje, konie, podarunki, nie są pozbawione zajęcia; nie mówiąc o tem, że taki obraz Stambułu, sułtańskiego dworu, jego obyczajów i etykiety, Turków, bazarów, meczetów, kawiarń i t. d., datujący z XVII wieku, dziś musi być ciekawym do widzenia, to sama strona dyplomatyczna tej ambasady jest nietylko interesująca, ale nawet romantyczna. Niezwykłe wcale są przygody ks. Zbarazkiego, który zajeżdża do Stambułu, jako poseł króla i Rzpltej, dla podpisania i ratyfikacyi pokoju, którego punkty przedugodne były już spisane pod Chocimiem, a na miejscu zastaje nowego sułtana, niedołężnego idyotę, usposobienie zmienione, i nowego wszechwładnego wezyra, który pokoju nie chce, ale dla własnych widoków chciałby wznowić wojnę z Polską, a pozór i odpowiedzialność zerwania na nią zwalić. Podstępy, zwłoki, wykręty, przesadne i zuchwałe żądania, idą jedne za drugimi. Wezyr jest chytry i zdradliwy, poseł cierpliwy i ostrożny, zimnej krwi prawie nigdy nie traci. Jest przytem odważny i śmiały. Kiedy tamten za wiele oszukuje lub żąda, grozi zerwaniem układów, a wtedy Dżurdżi mięknie i cofa się, udaje gotowość do zgody przez kilka dni, podczas których knuje nowe intrygi, kopie nowe dołki. Chociaż i nasz ambasador pozwolił sobie niemałej względem Turków zdrady. Dowiedziawszy się na pewne, że Turcy nie mieli aktu umowy chocimskiej z punktami pokoju (zginął im w rozruchu przy zabiciu Osmana) i że dokument polski, który on

miał w ręku, był jedynym, sfałszował go; wyrzucił z niego warunki co najuciążliwsze dla Polski, mianowicie załogę turecką w Chocimiu, wielkie cła od kupców polskich, oznaczył inaczej granicę, posuwając ją ku morzu Czarnemu na korzyść Rzpltej i t. d. Podstęp się udał; Osmana i jego urzędników nie było, dokument zaginął. Przecież, choć tego niebezpieczeństwa szczęśliwie książę uniknął, złość Dżurdżiego gotowała mu nowe. W spółce z posłem moskiewskim i cesarskim pracując nad udaremnieniem pokoju, puścił wieść między janczarów, buntujących się o żołd nie wypłacony, że skarb sułtański dlatego wypłacić go nie może, iż poseł polski nie złożył haraczu, do którego był obowiązany! Janczarowie mogli się rzucić na dom poselstwa, który przez parę dni i nocy czekał ataku w stanie obrony, jak mała forteca. Oprócz tego wyrobił Dżurdżi w dywanie decyzyę, żeby Zbarazkiego zamknąć w Siedmiu Wieżach. Ten przecież zręcznie i szczęśliwie umiał odwrócić niebezpieczeństwo na głowę swego nieprzyjaciela. Zniósł się z Hussein-baszą, współzawodnikiem Dżurdżiego, dopomógł mu pieniędzmi, i z rozruchu janczarów zrobił rewolucyę przeciw Dżurdżiemu. Gdy ten upadł, poseł uniknął niebezpieczeństwa, a pokój doszedł do skutku.

To jest bardzo zajmujące; są momenty prawdziwie dramatyczne i mogłyby wyglądać doskonale w jakiej powieści, nawet poetycznej, gdyby autor był umiał z materyału korzystać. Ale on fotografuje tylko, zapisuje wszystko dokładnie, trzeźwo, sucho, a kiedy chce poetyzować, to jego wyobraźnia nie umie się zdobyć na nic lepszego, jak na mitologiczne machiny. Naprzykład Zbarazkiego wysyła do Turek Merkury. Są jego uwagi albo opisy ciekawe, naprzykład audyencya Zbarazkiego u sułtana, ale bez wartości poetycznej. Najciekawsza może jest negocyacya pomiędzy wezyrem a posłem, w której pierwszy dowodzi, że Rzplta winna sułtanowi haracz, a drugi pretensyę tę odpiera; rozma-

wiają ci dyplomaci takim tonem, jak bohaterowie Homera, gdy się z sobą pokłócą.

„Przeważna Legacya" byłaby bardzo ciekawym pamiętnikiem historycznym i podróży, gdyby była napisana prozą. Lepiej świadczy o jego talencie *Daphnis w drzewo bobkowe przemieniona* (1635) z „Metamorfoz" Owidyusza wzięta, z włoskiego oryginału przerobiona, w stylu włoskiej sielanki w dyalogi i sceny ułożona; smutna historya ściganej przez Apolla heroiny napisana jest znacznie lepszym wierszem, niż wielkie oryginalne poematy.

Autor miał widocznie pociąg do przygód romansowych; jest jednym z tych, którzy u nas wprowadzają ten rodzaj. Romansowość ta łączy się z poważnym i pedantycznym dydaktyzmem, co jej zapewne dodawać ma powagi i wartości, ale nie jest przez to mniej ciekawa do widzenia, raczej tem więcej charakterystyczna. Takiem upodobaniem wiedziony, przełożył Twardowski (czy z hiszpańskiego oryginału, czy z drugiej ręki?) *Nadobną Pasqualinę,* powieść, która zarwała jeszcze cokolwiek Ariostowych tradycyj, a używa tych romantycznych pozorów do pokrycia pobożnej tendencyi i morałów. Kontrast dość zabawny. Ascetyczna treść charakteryzuje w sposób ciekawy ówczesną Hiszpanię, a przez formę alegoryczną, mitologiczną i napuszystą, charakteryzuje zły smak wieku.

Wenus, nie chcąc po zdobyciu Cypru zostać pod panowaniem tureckiem, emigruje do Lizbony i tam zakłada sobie pałac, w miłem przekonaniu, że znajdzie wielbicieli dużo, a rywalki ani jednej, któraby z nią mierzyć się śmiała. Ale, jak na złość, mieszka w Lizbonie, i to właśnie na prost pałacu bogini, nadobna Pasqualina, tak nadobna, że zwyciężona Afrodyta, która na Idzie stokorodnej wygrała jabłko przeciw Junonie i Minerwie, zaczyna być o siebie niespokojną.

Pasqualina ze swojej strony nie rada widzi w sąsiedztwie swojem piękność tak zawołaną, ale się nie

trwoży, owszem sama wywołuje walkę. Buduje sobie pokój do ubierania cały szklany, do którego z ulicy każdy wygodnie zajrzeć może, i tam regularnie parę razy na dzień wystawia wszystkie swoje wdzięki na widok publiczny. Tego już Wenerze było zanadto; to oczywiste wyzwanie, urąganie, za które zuchwałą piękność dla samego przykładu trzeba ukarać. Naradza się więc bogini ze swoim synkiem Kupidynem i jemu zemstę i karę poleca. Zdradliwy bożek ugodził Pasqualinę w samo serce jedną ze swoich strzał najostrzejszych, w chwili, kiedy pod jej oknami przechodził piękny Olivier. Panna rozgorzała szaloną miłością, ale cóż! zemsta Wenery: Olivier kocha inną, jakąś Klorynde, a biedna Pasqualina za wszystkie swoje łaskawe chęci odnosi tylko wzgardę. Tak dalece zapomniała o godności i przyzwoitości, że pierwsza napisała do Oliviera z oświadczeniem. I to na nic; odpisał, że jej bardzo dziękuje, ale woli swoją Kloryndę. Te listy są wcale pocieszne.

W tem utrapieniu wzgardzona piękność idzie po radę do swojej przyjaciółki Felicyi, ksieni jakichś portugalskich Westalek, kapłanek Junony. Mądra ksieni, oznajmia jej, że znajdzie ratunek na swoją nieszczęśliwą miłość, ale w pewnej świątyni Minerwy, do której podróż długa i trudna; daje jej przytem różne przestrogi i talizmany, jak ma w podróży uniknąć zdrad Wenery i Kupidyna. Jakoż uniknęła wszystkich szczęśliwie, choć nie łatwo, dostała się do klasztoru Minerwy, i tam, o dziwo, opuściła ją szalona miłość ziemskiego kochanka, została tylko miłość mądrości i cnoty. Piękna Pasqualina zaraz ślubuje bogom czystość i wraca do Lizbony, gdzie swój pałac przerabia zaraz na klasztor Minerwy, czystych dziewic przybytek; co widząc Wenus, ze wstydu i złości, że jej zwyciężyć nie mogła, ucieka gdzieś w inne strony, a Kupido, nie mogąc znieść takiej wzgardy i upokorzenia, wiesza się na mircie.

Sens tego wszystkiego jest ten, że Pasqualina, żyjąc w klasztorze, doczekała się większej sławy ze swoich cnót, aniżeli dawniej z piękności, i że wszystkie panny powinny, jak ona, zwyciężać Wenerę i Kupidyna. To pomieszanie romantycznych przygód z klasztorną tendencyą, Ariosta i św. Teresy, to jest ciekawe; alegoryczność zaś całej powieści charakteryzuje już gust wieku. Pedantyczny jakiś hiszpański autor myślał oczywiście, że się zasłuży bardzo Panu Bogu, kiedy kwiecistemi ścieżkami romantycznej poezyi doprowadzi młode panny do cnoty, w dobrym razie może i do klasztoru, a jego polski tłómacz myślał zapewne tak samo.

Niektóre ustępy prawdziwie zabawne, naprzykład śluby zakonne Pasqualiny w klasztorze Minerwy, które się odbywają ze wszystkimi obrzędami, przypisanemi przy takich okazyach przez rytuał katolicki.

Poezya Twardowskiego pierwsza daje miarę upadku i zepsucia poezyi polskiej. Już żadnej formy, już żadnej sztuki, żadnej budowy, żadnej proporcyi w jego poematach; już styl i smak napuszysty, nie naturalny, nadęty a nizki. I tak będzie już przez cały wiek z górą, aż do Krasickiego. Co spowodowało ten upadek poezyi? Te same naprzód wpływy historyczne, które sprowadziły upadek politycznego i umysłowego życia całego. Poezya jedna nie mogła stać i rość, kiedy wszystko upadało; stała na tym samym gruncie, żyła tymi samymi sokami, musiała osłabnąć i uschnąć, jak wszystko inne. Oprócz tego powodu ogólnego, był drugi, już czysto literacki: zepsucie smaku w całej Europie, a przedewszystkiem we Włoszech; my zaś w tej chwili jeszcześmy z całej Europy najlepiej znali Włochy i z nich brali nasze wzory, nie tak skwapliwie, jak w wieku XVI, bo już ich świetność i sława w Europie gasła, ale jeszcze; a zwrot ku Francyi dopiero się miał zacząć z przybyciem Maryi Ludwiki dla Polski, a z pełnoletnością Ludwika XIV—dla całej Europy

Oprócz tych powodów zaś, trzebaby dodać jeszcze jeden, to jest brak literackiej refleksyi, teoryi, brak krytyki, brak estetycznych pojęć i wykształcenia. Poezya ludowa może bez nich żyć i obchodzić się; poezya artystyczna, już wzniesiona na pewien szczebel wyrobienia, potrzebuje koniecznie znajomości, umiejętności, filozofii pięknych form, potrzebuje znać swoje prawa, których litera może być zmienną, nawet niedorzeczną, ale duch jest prawdziwy i niezmienny. Ta znajomość utrzymuje i kształci zmysł artystyczny i smak piszących, a ich dziełom nadaje to, bez czego poezyi artystycznej, sztuki, niema: piękną formę. Jakiś wielki talent może się bez tej pomocy czasem obejść; chociaż Kochanowski się na niej opierał, on znał doskonale całą estetykę, jaką za jego czasów z klasycznej poezyi wydobyli uczeni z epoki odrodzenia. Późniejsi poeci, bez jego talentu i bez tej pomocy, bo literackiej i estetycznej refleksyi u nas nie było, tworzyli już tylko, naprzykład Zimorowicze, rzeczy przez pół ładne. A gdy do tego braku teoryi i krytyki przyszedł jeszcze zły smak z Włoch, i pedantyczne nauczanie pewnych formuł zamiast form poetycznych (*Gradus ad Parnassum*), musiała poezya stracić swoje znamię sztuki, jej pojęcie, i świadomość, że nią być powinna.

Lepiej od heroicznych i romansowych poematów, udał mu się satyryczny: *Satyr na twarz Rzeczypospolitej* (1640), potomek „Satyra" Kochanowskiego, naśladowanie jego dość widoczne. Ironii i sarkazmu mało, ale trafne myśli są, nie jedno złe słusznie wytknięte i skarcone; a gdzie ton poetyczny był mniej potrzebny, tam i talent Twardowskiego łatwiej wystarczał.

Wielki poemat bohaterski, a przynajmniej jego zamiar, jest nowością, który ten czas przynosi. Dyalog, zawiązek na komedyę, nie jest taką, bo zjawia się już w początkach XVII wieku. Ale teraz zjawia się częściej, i to w najbardziej charakterystycznych objawach. W roku 1639 wychodzi najbardziej do komedyi

zbliżony *Z Chłopa Król* Piotra Baryki. Tu więc jest najwłaściwsze miejsce na wzmiankę o tych dyalogach.

W niektórych dawniejszych historyach literatury zdarza się czytać o wielkim postępie poezyi dramatycznej w Polsce w pierwszej połowie XVII wieku. Zygmunt III wprawdzie o nią dbać nie umiał, Jezuici tłumili ją swoim złym smakiem i swoimi religijnymi dyalogami, ale zamiłowanie narodu w przedstawieniach teatralnych było tak wielkie, a Władysław IV był takim przyjacielem i protektorem teatru, że pomimo wszystkiego, dramat, tak zachęcony, rozwinął się bujnie, wydał narodową komedyę pełną wielkiego dowcipu, humoru, a ozdobioną nawet niejednem arcydziełem; a tragedya sama stanęła bardzo wysoko i może się poszczycić dziełami, które przechodzą o wiele poważny dramat zagraniczny, naprzykład Corneilla.

Dziwna rzecz, dlaczego te piękne płody sztuki dramatycznej nie przechowały się, nie mówię już na naszych scenach, ale w naszej pamięci; dlaczego, zapytani o nasze komedye i tragedye z tego czasu, zawsze musimy wyznać z upokorzeniem, żeśmy ich nie czytali, co więcej, że po największej części nawet ich tytułów nie pamiętamy? Dawność ich nie może być powodem, bo są młodsze od dramatów Szekspira, które jeszcze się czasem podobają, mało co starsze od Corneilla, którego Francuzi dotąd wielbią, a cała Europa zna; zresztą my sami wiemy o innych dziełach polskich z tego czasu. Dlaczegoż więc i zkąd ta obojętność dla bujnie rozwiniętego dramatu polskiego, ta tak gruba pod tym względem ignorancya? Oto dla tej prostej przyczyny, że tego dramatu niema; a wszystko, co nam się mówić podoba o jego świetnym niby postępie i rozwinięciu, to przesady i przechwałki, to mania przedstawienia tego, co mamy, inaczej, lepiej, niż jest naprawdę; to próżne wmawianie w siebie jakichś bogactw i zaszczytów, do których się nie ma dostatecznego tytułu. Czy Zygmunt III był obojętny dla dramatu polskiego?

Najpewniej, dla rzeczy literackich w ogólności, dla literatury polskiej w szczególności musiał być obojętnym człowiek, który najwięcej czytał po łacinie, a rozmawiać najbardziej lubił po niemiecku. Czy Jezuici prześladowali i rugowali dramat rodzimy polski, zastępując go swojemi przedstawieniami pobożnemi a bez wartości? Niestety, jeżeli mieli ten zamiar złośliwy, to nie można zaprzeczyć, że ten dramat, który prześladowali (a dlaczego mieliby prześladować, kiedy w nim tendencyi anti-kościelnej dopatrzyć się nie można?), nie był lepszym od tego, który wprowadzali. Władysław IV, wielki miłośnik przedstawień teatralnych, miał, prawda, stałą scenę, jak świadczą współcześni, bardzo pięknie urządzoną w Warszawie, ale amator muzyki przedewszystkiem kazał sobie na tej scenie grywać opery [1]), które wtedy zjawiać się poczynały, albo jakieś okolicznościowe sztuki, zastosowane do jakiejś dworskiej uroczystości, albo wprost włoskie, albo z włoskich przerobione. Taki teatr dworski, dla publiczności zamknięty, do rozwinięcia sztuki dramatycznej przyczynić się nie mógł; a mitologiczno-pasterskie lub heroiczne melodramy, z włoskiego przerabiane, mogły tylko zepsuć dramat polski, zarazić go okropnym ówczesnym smakiem włoskim. Wreszcie: czy ogół ówczesnej publiczności polskiej z takim zapałem patrzał na przedstawienia swojej polskiej komedyi? Naprzód: rzadko zapewne miał sposobność je widzieć, bo stałych teatrów nie było; powtóre: jeżeli patrzał, to śmiał się rubasznie i naiwnie z tego lub owego konceptu, ale patrzał bez krytyki, nie wiedział, czego ma żądać, a tak patrząca publiczność na rozwój sztuki nie wpłynie. Zresztą dlaczegoż w dziełach współczesnych nie został ani jeden ślad naszego wielkiego niby podówczas zapału do sztuki dramatycznej i dla teatru? Dlaczego żaden świadek

[1]) O tych śpiewakach wiadomości, patrz Windakiewicz: „Teatr Władysława IV," *Przegląd Polski*, 1893.

naoczny o nim nie mówi i zkąd, bez poręczenia tych świadków, my o nim dziś wiemy? Bo się domyślamy i wymyślamy, bo amplifikujemy i poetyzujemy, bo sobie stwarzamy jakąś dowolną, konwencyonalną mityczną historyę literatury, która, porównana z literaturą samą, z autorami i dziełami, nie zawsze do nich przystaje. Zresztą, jeżeli zapału do dramatu w owym czasie nie było, to niema się czemu dziwić ani skarżyć; zapału być nie mogło, bo nie było dramatu, te zaś jego próbki, które tu i owdzie powstawały, nie warte są tej nazwy, a owego zapału rozbudzić nie mogły.

Niema więc wstydu, że dramatu polskiego wtedy nie było, a naciągać i mówić, że on był, nie przyda się na nic, bo kto przeczyta, zaraz pozna, że to nie dramat rozwinięty, ale co najwięcej słabe i nie wykształcone jego zawiązki, które wartości artystycznej wcale nie mają. Przed wiekiem XIX o dramacie polskim nie mówmy, bo nie mamy do tego prawa, a wszystko, co nazywamy naszym dramatem z dawniejszych wieków, to są zaledwo grube zawiązki, niekształtne próby, z których, przypuszczać można, że się dramat mógł rozwinąć, to być może, ale nie bawiąc się w obliczanie prawdopodobieństw i trzymając się rzeczywistości, trzeba powiedzieć, że się z nich nie rozwinęło nic.

Cały ten teatr był bardzo podobny do tych dyalogów, jakie recytują chłopcy, chodzący z szopką podczas świąt Bożego Narodzenia. Nie dyalogi religijne tylko, ale komedye świeckie, te, które były podobno grywane, a dziś uchodzą za wyskoki polskiego dowcipu i dramatycznego gieniuszu, te są bardzo do szopki podobne. Naprzód samym układem; akcya główna często przeplata się w nich intermedyami, pozostałość po misteriach, która się przechowała w nich, jak w szopce, gdzie Narodzenie, rzeź niewiniątek i śmierć okrutnego Heroda są oczywiście sprawą dramatyczną, a Krakowiak, Kozak, Góral, ułan, żyd i wszystkie tym podobne figury, stanowią intermedya świeckie, lub komiczne.

Ale prowadzenie rzeczy, osoby dramatu, ich mowa, wszystko to przypomina szopkę. Nigdzie dramatycznego węzła, nigdzie kollizyi, nigdzie rozwiązania. Występuje jakiś człowiek, zły dajmy na to, który hula, pije, gra w kości, potem przychodzi djabeł i chce go brać; grzesznik się wyprasza, wzywa, aniołów albo świętych, którzy go ratują, to cała treść dramatu. Albo sławny i wielce chwalony *Z Chłopa Król*. Żołnierze znajdują pijanego chłopa śpiącego, ubierają w inne suknie, oddają królewskie honory, gdy się przebudził; chłop każe sobie dawać jeść i pić, a gdy się znowu upił i usnął, przebierają go w jego suknie i zostawiają tám, zkąd go wzięli. Oczywiście pierwiastku dramatycznego tu niema, to nie dramat ani komedya, ale co najwięcej jedna scena, jedna część, która w związku z innemi mogła być komicznym epizodem, ale sama przez się nie jest niczem. O budowie i akcyi dramatycznej niema mowy, pomimo tego pozoru, jakim jest podział na akty i sceny, i wszystkie te komedye, chcąc dać ich dokładną definicyę, trzebaby opisać jako dyalogi, w których tu i owdzie przebija pierwiastek satyryczny, ale dramatyczny nigdzie, a i ten satyryczny rzadko kiedy ma w sobie humor i dowcip prawdziwy, albo trafny sposób charakteryzowania. Słowem szopka, czasem zabawna przez swoją rubaszność, albo przez swoją naiwność, ale nie mogąca mieć pretensyi do sztuki. Nie ubliża to temu dramatowi, bo każdy na świecie rozwijał się z takich początków; wóz Tespisa był grecką szopką, średniowieczne misteria były nią także, jedno i drugie, jak dwupłciowe rośliny, zawierało w sobie w części religijnej, zarody tragedyi, w dodanych intermedyach świeckich i śmiesznych, zarody komedyi. Nasze dyalogi ze złotego wieku są dla nas tem samem, czem Tespis dla Greków, misteria dla sztuki dramatycznej w Europie, ale niczem więcej; owszem mniej, skoro z nich nic się później nie rozwinęło. A w każdym razie jak, mówiąc o Tespisie albo o misteriach,

nie mówimy o dramacie, tylko o jego zawiązku, tak mówiąc o naszych dyalogach, nie powinniśmy mówić o bujnem rozwinięciu sztuki dramatycznej w Polsce, które przyjść mogło, nie wiem, ale fakt jest, że nie przyszło.

Wiadomo, że początki tego dramatu, niby już po literacku pisanego, sięgają jeszcze pierwszej połowy XVI wieku, a dał je Rey swoim „Żywotem Józefa," który jest bardzo nudnym i niedołężnym dyalogiem. Wiadomo, że mniej więcej w lat trzydzieści później, Kochanowski napisał *Odprawę Posłów*, która była rzeczywistym postępem; jeszcze nie doskonałą tragedyą, ale bardzo piękną poezyą, z niektórymi już wyraźnymi i wykształconymi warunkami dramatu, mianowicie z bardzo żywą i wyrazistą charakterystyką osób i z bardzo silną, prawdziwą i poetyczną patetycznością. Że na tej drodze dramat nasz zostać i dalej kształcić się nie mógł, można żałować, ale dziwić się nie można. Naprzód wymagał on takiego stopnia klasycznego wykształcenia i talentu, jaki nie każdemu był przystępny; a powtóre, dlatego samego, że klasyczny, w greckich formach, pełen wyobrażeń greckich, musiał być obojętnym, może nudnym, dla większości, która wykwintną nie była, w artystycznych pięknościach bardzo smakować nie mogła, a widziała w nich świat obcy, nieznany, który jej wcale nie obchodził. To też dyalogi późniejsze, wesołe czy smutne, religijne czy świeckie, z *Odprawą Posłów* nie mają nic wspólnego, a zbliżają się raczej do typu dyalogu Reyowego, od którego wartością artystyczną, dramatyczną budową, niewiele się, nieszczęściem, różnią.

Jakież one były? Był naprzód jakiś mit literacki, którego nikt nie czytał i nie widział, a który Czacki nazywa „Pamelą" (miał ją w swojej bibliotece). Inni (Aloizy Osiński) twierdzą, że nie nazywa się *Pamelą* ale *Sofroną*, że Czacki się pomylił, bo na egzemplarzu tytuł był zatarty. Jak doszli, że był inny, niż on po-

dawał? Dość, że powstała ważna między uczonymi kwestya czy Pamela czy Sofrona, a nikt nie wie, co ona warta, co w niej jest; wiadomo tylko, co napisał Czacki, że jej autcrem był jakiś Sebestyan Łęczycanin, a treścią czary i zaklęcia miłosne, sprowadzające kochanków przez powietrze.

Niektóre są zupełnie śmieszne, jak najgorsze panegiryki z drugiej połowy XVII wieku, naprzykład Gorczyna dyalog pogrzebowy na śmierć J. O. księżnej Koreckiej, w którym wszyscy bogowie Olimpu i Parki występują obok Śmierci i obok samej Jaśnie Oświeconej Księżnej. Juno, Minerwa, Merkury proszą Parek, żeby nie ucinały nici żywota księżnej, ale nie mogą otrzymać. Śmierć przychodzi do księżnej, zupełnie jak do króla Heroda w szopce, i po dość długim dyalogu, w którym się księżna wyprasza, ścina ją swoją kosą i zabiera.

Wszystkie, ile ich jest, mają jedną wadę wspólną: brak formy, nietylko języka i wiersza, ale i układu. Ci pisarze musieli się nie domyślać zgoła, że istotą dramatu, czy on jest komedyą czy tragedyą, jest jakaś sprawa, zawiązana, rozwinięta i zakończona; nie domyślają się nawet tego, że złudzenie sceniczne wymaga koniecznie tego, żeby każda scena odbywała się na jednem miejscu. U nich nieraz rozmowa toczy się w drodze, na wózku. Jeżeli tak nie mieli pojęcia o elementarnych warunkach scenicznych, wynikających nie z konweniencyi, ale z natury dramatu, to jakże można od nich żądać sztuki, albo psychologicznego przedstawienia charakterów, albo poezyi. Co najwięcej, jeżeli czasem znajdzie się jaki zabawny obrazek, zdjęty wiernie z natury, a rzucający niejakie światło na obyczaje wieku. Taki naprzykład, może jedyny ustęp, w któ-n jest jakikolwiek zakrój komiczny, jest naprzykład *Mięsopuście. Tragikomedya* ta z roku 1622, grana podobno ówczesnych teatrach, treści nie ma żadnej. Szereg ηych scen pijackich, karnawałowych; pijaki, szule-

ry, hulaki wszelkiego rodzaju, witają Bachusa, który z orszakiem swoim schodzi na ziemię w dnie sobie poświęcone, i z nim się bawią, grają i piją; ale te osoby Łapikufel, Kostera, Sofista, hypokryta sztuki, który choć mędrzec i filozof i o samych mądrościach rozprawia, Bachusowi wiernie służy, mają czasem, zwłaszcza ten ostatni, cokolwiek komicznego pierwiastku. Bachus, rozgościwszy się na ziemi, każe im wymawiać swoje nazwiska, i ostrzega, że każdy będzie musiał wypić tyle szklanek, ile ma liter w nazwisku. Wszyscy wymyślają nazwiska jak najdłuższe, a Sofista za każdą literą swojego znaczy sobie dwie kreski, żeby dwa razy tyle wypić. Nie bez dowcipu jest epizod Pielgrzyma, który się między tych pijaków dostaje. Pielgrzym to oszust, który tylko udaje pobożną osobę, żeby od domu do domu wędrować i tym sposobem żyć po próżniacku, a że nigdzie nie był, a zawsze o swoich pielgrzymkach opowiadać musi, więc kłamie bezczelnie. Jego opowiadanie o dalekich krajach przypomina bardzo to, którem w *Cudzoziemczyźnie* Fredry służący Astolfa imponuje naiwnemu Radostowi.

Jest więc intencya komedyi i jest trochę satyrycznej obserwacyi. I tak samo, tylko w mniejszym najczęściej stopniu, we wszystkich innych. Tutaj grot satyry wymierzony był przeciw pijakom i oszustom, w innej zwrócony on będzie przeciw jakiej innej wadzie. Naprzykład *Dziewosłęb Dworski* ma za bohatera bogatego młodzieńca Pamfilusa, który żyje hucznie, rozrzutnie, rozpustnie, aż w końcu przychodzą dyabli, Węglik i Smółka, i Pamfilus skończyłby jak Don Juan, gdyby go Wiara nie obroniła.

Wyprawa Plebańska Albertusa na wojnę jest, o ile wyrozumieć można, satyrą na złe opatrzenie żołnierzy stawianych z dóbr duchownych. Trudno inaczej wytłómaczyć sobie, dlaczego ten Albertus jedzie na zdychającej szkapie, w drewnianych strzemionach, z odhartowanym starym rapierem zamiast szabli, z poła-

manemi ostrogami, z dzidą bez grota, i w dziurawych szarawarach. Ale treścią tak zwanej komedyi jest wybór i targowanie tych wszystkich rynsztunków u różnych tandeciarzy krakowskich, a cała konieczność w tem, że Pleban zawsze kupuje stare i złe, byle tanio, a sprzedający jeszcze go oszuka i sprzeda drożej niż to warto. Dalszy ciąg tej samej historyi *Albertus z Wojny*, jest znowu satyrą na bezkarność i łupieztwo żołnierzy. Albertus wraca z wyprawy (w bitwie naturalnie nie był, bo się zawsze roztropnie w takich razach chował), wraca obładowany zdobyczą; u siodła ma przytroczone kury, gęsi, indyki, które w drodze po wsiach zabierał. A od księdza za to wyłajany, dowodzi mu, że wszyscy tak robią na wojnie i z tego wysnuwa się obraz i krytyka obyczajów żołnierskich. A oprócz tego żadnej innej treści: Albertus wrócił, przywitali się z księdzem, opowiedział co się z nim przez ten czas działo, i na tem koniec, to komedya.

Nie wiele lepszy sławny *Z Chłopa Król* Piotra Baryki (1637), w którym nasi krytycy widzą czasem jakiś niepospolity talent, *vim comicam*, wyborną i dowcipną charakterystykę, zabawne sytuacye i t. d. Naprawdę to rzecz zupełnie bez wartości i bynajmniej nie komedya, co najwięcej jedna scena z komedyi, a właściwie dyalog. Żołnierze znajdują pijanego śpiącego sołtysa, i na radę rotmistrza postanawiają zabawić się kosztem tego chłopa. Dzieje się to samo, co w Panu Jowialskim. Chłop budzi się w pięknych sukniach, w porządnym pokoju, jakiego w swojem życiu nie widział, rotmistrz i żołnierze otaczają go, jako dworzanie. Zrazu się dziwi, nie wierzy, ale przyzwyczaja się łatwo do królewskiej roli, każe sobie dać jeść i pić; w ostatnim akcie budzi się znowu jako chłop i nie wie, czy to królestwo było na jawie, czy we śnie. W tem wszystkiem jednego dowcipnego słowa, jednej zabawnej sceny. Intencya satyryczna, jak w „Albertusie powracającym z wojny,” odnosi się do żołnierskich nadużyć, rabunków

i gwałtów, a mieści się w intermedyach; w jednem w nich kozak bije i obdziera żyda, w drugiem jakiś luzak czy ciura opowiada, czego się żołnierze na leżach dopuszczają. Może ten obraz obyczajów żołnierskich jest historycznie ciekawy; można sobie wyobrazić, co oni dokazywali z chłopami, i że nawet dworom okolicznym nie musiało być z nimi przyjemnie, ale to nie komedya.

Szkolna mizerya, której przedmiotem był, jak się zdaje niedostatek nauczyciela, a tendencya, jak się niektórzy domyślają, zwrócona była przeciw Jezuitom, którzy garnąc młodzież do swoich szkół, świeckie zniszczyli, może była ciekawsza od innych komedyj, ale z tej tylko jeden mały fragment ocalał. Podobny jest sens *Komedyi sołtysa z klechą*, która wystawia poniżenie nauczycielskiego stanu. Kto chce przewodzi nad biednym klechą, który uczy dzieci: lada chłop, choć nie umie czytać, przymawia mu i ma się za mędrszego. Zniecierpliwiony klecha namawia sołtysa, żeby go zastąpił; ten przystaje, ale niebawem widzi, że temu nie podoła i ucieka ze szkoły W tem może był materyał komiczny, ale o ile z planu komedyi przynajmniej sądzić można, to autor skorzystać z niego nie umiał. Prof. Brückner („Dzieje Literatury Polskiej" t. I), cytuje więcej znanych sobie dyalogów, a między nimi *Tragedyę o Bogaczu i Łazarzu*, powstałą, a prawdopodobnie i odegraną w Gdańsku (1643), której przypisuje dużo humoru w intermedyach.

To już wszystko: więcej niema. I jakiż z tego wniosek? Ten, że wszystko, co nazywamy polską komedyą z XVI i z pierwszej połowy XVII wieku, to nie komedya, ale tylko dyalog, rzadko kiedy dowcipny, rzadko poprawny w formie, niekiedy trafny w swojej satyrycznej tendencyi, ale co najwięcej słaby zawiązek komedyi, a nie bujnie rozwijająca się komedya.

Ale może tragedya? Niektórzy mówili, że mamy jedną tragedyę z tego czasu, jedną, ale bardzo niepo

spolitą: lepszą, regularniej zbudowaną, bardziej wykończoną, niż Kochanowskiego *Odprawa*, owszem lepszą od sztuk Corneilla, że nazywają ją po prostu arcydziełem. Jest to Zawickiego *Jeftes*. Szkoda, że to arcydzieło, jeżeli jest arcydziełem, to nie naszem, bo go ów Zawicki nie napisał, tylko go z łacińskiego tekstu Anglika Buchanana przetłomaczył; a powtóre szkoda, że arcydzieło nie jest wcale arcydziełem, tylko przeciwnie, bardzo lichym dramatem, napisanym przez człowieka, który mógł może mieć wszelki gieniusz, oprócz dramatycznego.

Co do układu zapewne, jest ten Jeftes lepszy od wszystkich współczesnych dramatów polskich, jest w nim jakiś logiczny przebieg sprawy, jakaś całość; znać, że autor zapatrywał się na wzory starożytne, choć prawdopodobnie gorsze, nie greckie, ale łacińskie. Ale dramatyczności, ale poezyi, ale figur niema w nim wcale; owszem, sytuacye, istotnie dramatyczne, traktuje ten autor tak niezręcznie, że jego bohater zamiast być heroicznym, jest niedorzecznym.

Biblijna historya Jeftego, który zrobił ślub, że jeżeli zwycięży Amonitów, poświęci Bogu na ofiarę pierwsze żywe stworzenie, jakie mu zajdzie drogę, a pierwszą spotyka swoją córkę, wydała się autorowi bogatą w tragiczny materyał. I istotnie nie brak go; jest wielkie podobieństwo do patetycznej kolizyi Agamemnona w Aulidzie. I hebrajska Ifigenia, która pozwoliła na sobie ślub ojca wypełnić, i jej matka, która się temu opiera, i sam ojciec, wszystko to mogło być tragiczne, tylko potrzebowało bardzo delikatnego traktowania. Agamemnon, któremu bogowie wyraźnie każą córkę poświęcić, jest pod przymusem wyższej woli, działa dla dobra Grecyi, jest w prawdziwej kolizyi pomiędzy woma uczuciami i obowiązkami, jest tragiczny. Jeftes, d którego nikt takiego poświęcenia nie żądał, jest ylko nierozważny; a cała dramatyczność rzeczy wynia z przypadkowego spotkania córki. Gdybyż jeszcze

poeta był zostawił to całe zdarzenie tak, jak je opowiada Biblia, byłoby jeszcze pół biedy. Ale on, dla lepszego zapewne uwydatnienia niewzruszonej stałości i heroizmu Jeftego, co wymyśla: wprowadza arcykapłana, który mu tłómaczy, że śluby nierozważne są nie ważne, że nie są chwałą, ale obrazą Boga ofiary połączone z grzechem, z krzywdą innych ludzi, z rozlewem krwi, a cóż dopiero z zabójstwem własnego dziecka. Słowem, mówi mu ten kapłan rzeczy najsłuszniejsze, które mu do rozumu trafić były powinny; a oprócz tego, on jest religijną zwierzchnością Jeftego, i swoją powagą chce go ze ślubu rozwiązać. Gdyby Kalchas zrobił był taką propozycyę Agamemnonowi, gdyby mu był powiedział, że bogowie nie pozwalają na ofiarę Ifigenii, czy Agamemnon byłby ją ofiarował? Nie, Agamemnon poetów greckich jest człowiekiem, a ci poeci są wielcy. Jeftes Buchanana, który pomimo tego swoją Ifis zabija, jest potworny; to nie bohater tragiczny, ale szkodliwy waryat, który się w swojem szaleństwie upiera, który już nie jest w żadnej kolizyi, a córkę poświęca nie dla żadnego wyższego prawa lub interesu, ale tylko dla swego uporu. A poeta, który się na tem nie poznał, jest raz na zawsze przekonany o brak wszelkiego dramatycznego zmysłu i talentu. Oprócz tego zaś kardynalnego błędu, trzeba dodać, że matka Storge i córka Ifis w swoich bardzo patetycznych sytuacyach, są wcale blade, i nie dochodzą, nie mówiąc już o Euripidesie, nie dochodzą ani trochę Ifigenii i Klitemnestry Racina.

To nie przeszkadza, że sztuka wydaje się naszym krytykom arcydziełem, i że im się wydaje arcydziełem oryginalnem. Co do tłómacza Zawickiego, ten mógł być wcale dobrym tłómaczem: jego język, jego wiersz jest dobry, kształcony, co się na chórach wyraźnie pokazuje, na psalmach Kochanowskiego. Szkoda, że tego dobrego wiersza nie użył na przekład jakiego innego, lepszego dramatu.

Że opery grywane na dworskim teatrze króla Władysława, włoskie, lub z włoskich przerabiane, do historyi polskiego dramatu nie należą, to jasne; mogą należeć co najwięcej do historyi teatru, dekoracyi, scenery i t. d. Wspomniane zaś sztuki składają całe nasze dramatyczne bogactwo z półtora wieku. Jest ono tak dobrze jak żadne. Że z tych zawiązków, z tych typów, z tych żołnierzy, klechów, chłopów, pijaków, szlachciców przyjmujących nauczycieli do synów, komedya prawdziwa i prawdziwie polska, obraz naszego społeczeństwa i życia, wyrobić się mogła, temu nie można przeczyć, bo te dyalogi były już na dobrej drodze, już ich figury były z naszego życia wzięte, i jakiś talent mógł je rozwinąć i podnieść do godności polskich komicznych typów. Nie stało się to, dla różnych powodów: dlatego, że potrzebny talent się nie zjawił, że cała literatura, a zwłaszcza poetyczna upadała, a z tym upadkiem zwarzył się i ten zawiązek na dramat, nie wydawszy kwiatu ani owocu—nie rozwinął się dramat, bo przez dwadzieścia lat Jana Kazimierza, wśród ciągłych klęsk, on się spokojnie pisać ani odgrywać, ani z miejsca na miejsce przenosić nie mógł; bo podupadły w tych wojnach miasta, jego jedyne siedziby; bo nie mógł znaleźć ani pisarzy, ani spektatorów, jedni i drudzy mieli umysł zaprzątnięty czem innem; zatem z rodzimego gruntu, na prowincyi, krzewić się i rozwijać nie mógł, a ten dyletancki dworski dramat, który się rozwijał (bardzo słabo) w Warszawie, już pod wpływem francuszczyzny, ten oryginalnym i polskim być nie mógł. Powody są liczne i bardzo słuszne. Ale skutek jest ten, że o dramacie polskim rozwiniętym i prawdziwym, aż do XIX wieku nie mamy prawa mówić, i że najlepszym naszym dramatem za złotego wieku, jedynym, który ma wartość artystyczną, jest *Odprawa Posłów* Kochanowskiego [1]).

---

[1]) Rozprawa p. Windakiewicza *Kompanie aktorów w Polsce* (Rozprawy Akad. Um. T. XVIII) nie zmienia ogólnego stanu

Kwestye i wypadki polityczne leżą prawie odłogiem. Starowolski przez pierwszych kilka lat króla Władysława dotyka ich co najwięcej ubocznie, kiedy naprzykład narzeka na *Stacye Żołnierskie*; zajmuje się nauką prawa (*Accessus ad Juris utriusque Cognitionem*), a obok tego, dziwnie, kwestyami wojskowemi. *Instituta Rei Militaris*, to oczywiście owoc spędzonych przy Chodkiewiczu lat i nabranych doświadczeń. Dzieło to jest tak ściśle wojskowem, że wojskowi tylko mogliby je należycie ocenić, i co do bezwzględnej wartości i co do stosunku jego do sztuki wojskowej owego czasu. Nie znając się na rzeczy, trudno rozprawiać, czy Starowolski mądrze lub nie mądrze mówił o oblężeniu i obronie miast, o sposobie prowadzenia podkopów i aproszów, albo o uszykowaniu okrętów w bitwie morskiej. Pod sąd niewojskowego zaś podpadać może zaledwo księga ostatnia, *de Dubiis*, która stawia pytania następujące, ale nie zawsze, oświadcza się za jednem lub drugiem zdaniem.

Naprzykład: czy dobrze jest, żeby król sam osobiście szedł na wojnę? Czy hetman ma osobiście walczyć lub nie? Pytania marne, bo reguły być nie może. Hetman zwyczajnie narażać się nie powinien, a czasem narazić się musi. Niema o czem długo gadać. Nasz autor przecie rozwodzi się nad tem szeroko, żeby ostatecznie dojść do powyższego wniosku, wskazanego prostym zdrowym rozsądkiem. *Czy hetman ma być dożywotni lub nie*, to pytanie ważne i z historyą polską ściśle związane. Ona dowodzi, że lepiej jest, iżby hetman dożywotnim nie był; i Starowolski za tem się po długiej rozwadze oświadcza, iżby na urzędzie swoim

tej kwestyi i zdania o niej, bo choć mówi słusznie, że bywały przedstawienia, dawane przez żaków, może przez rzemieślników, a może po części i przez ludzi, którzy widzieli w tem stały zarobek, to nie uczy, ani co te kompanie grywały, ani czy wędrowały z miejsca na miejsce, ani nawet, czy można je uważać za stałe zorganizowane kompanie.

hetman dobry mógł być zawsze utrzymanym, ale urząd żeby dożywotnim nie był. Zniesienie tej dożywotności, byłby to pierwszy i najskuteczniejszy zamach i środek na władzę hetmańską, która tyle razy, a nawet niebawem w XVII wieku okazała się dla Rzpltej zgubną. Inne pytania prawdziwie błahe, jak naprzykład, czy lepszy wódz krajowiec czy obcy, czy lepszy zbyt surowy czy pobłażliwy, bogaty czy ubogi, z wielkiego czy z nieznanego domu? Młody czy stary? Na to wszystko jedna odpowiedź: ten lepszy co bije, a to ani od jego wieku, ani od urodzenia, ani od majątku nie zależy i nic z tem wspólnego nie ma. Inne pytania, na które już wcale odpowiadać nie warto, bo dwóch odpowiedzi być nie może, jak *n. p.* czy fortèce są potrzebne? Czy potrzebniejsza piechota czy jazda? Jak gdzie i jak kiedy. Czy godzi się używać fortelów na nieprzyjaciela? Czy żołnierze lepsi z mieszczan czy z wieśniaków?

W księdze pierwszej, gdzie mówi o wojnie w ogólności, przytacza jedną ciekawą przypowieść, o której świadczy, że jest powszechnie w Europie znana, mianowicie o sposobie wojowania różnych narodów: „Gallus invadit, Hispanus propria defendit, Polonus nunquam offendit". Poszło to przysłowie ztąd, że królowie nasi, tylokrotnie wzywani do ligi i wojny zaczepnej przeciw Turkom, nigdy się do niej skłonić nie dali. Nie królów to wina, ale lig niepewnych i niekorzystnych po części, po części zaś i to większej, a zwłaszcza teraz za Władysława IV z winy tego narodowego charakteru, który nie lubił się ruszyć i na trudne rzeczy zdobyć, choć zaczepiając tylko, mógł był całość Rzeczypospolitej obronić.

Ciekawy także, gdzie mowa o ubłaganiu pomocy Bożej (*de procurando Numinis auxilio*), jest szczegół o pobożności Chodkiewicza. Dowiadujemy się, że wespół z większością rycerstwa polskiego należał do Bractwa Żołnierskiego, którego siedziba była u Bernardy-

nów we Lwowie, a patronem św. Michał, najwyższy wódz wojsk niebieskich. Chodkiewicz tedy, zawsze, a zwłaszcza na wojnie, co sobota przyjmował Komunię św., a w namiocie jego ci sami Bernardyni rano i wieczór odmawiali brewiarzowe pacierze; a kiedy on był w boju, przez cały czas w namiocie klęczeć i o zwycięstwo prosić musieli.

Politycznym, przynajmniej w zamiarze autora, jest Jerzego Lemki *Traktacik y Discurs krótki* o Rzpltej jej różnych kształciech, postanowieniu etc. W Lublinie u Konrada 1632 r.

Dziełko wspominane czasem przez historyków literatury, a wspomnienia nie bardzo warte; wyszłe widocznie z pedantycznego a ciasnego rozumu człowieka, który w szkołach musiał się wyuczyć niektórych definicyj Aristotelosowych, i myślał, że potem potrafi coś mądrego o Rzpltej powiedzieć, a nie umiał ani sam przez siebie myśleć, ani dostrzegać, ani nawet tego, co się wyuczył, jako tako do swojej ojczyzny i jej stanu przystosować.

Jest to jak gdyby smutny odblask statystów XVI wieku. Ten Lemka czerpał z tych samych źródeł, co oni, chodził do tej samej szkoły, jak oni pojęcia ogólne o państwie przejął od starożytnych, jak oni dowodzi rzecz swoją powagą tychże i ojców Kościoła. Tylko znać po nim, że kiedy on się uczył, już z tej szkoły uleciał duch, zostały tylko formy; tylko niema tej ciągłej myśli o Rzpltej Polskiej, jaka była u tamtych, niema ani spostrzeżeń, ani żądania tego, coby w niej poprawić trzeba, nawet imię Polski nie jest podobno ani razu wspomniane. Szkolna teorya, pedantycznie na pamięć wyuczona, nawet nie zrozumiana należycie przez człowieka tępej głowy, który formy tylko pojąć i uchwycić był zdolny, nie ożywiona myślą, do życia nie zastosowana i z niem nic wspólnego nie mająca.

Zaledwo od Lemki lepszy, jest głośniejszy od niego Kasper Siemek. Lepszy, bo przecież więcej od tam-

tego sam przez siebie myśli, a lepszy nie o wiele, bo myśli nieporządnie, płytko, pisze zaś tak słabo, tak nudno, jak on, prawie gorzej jeszcze, bo wyraźnie sadzi się na styl lapidarny, na sentencye, które mają niby być maksymami, aksyomatami moralnymi lub politycznymi, nakształt Tacyta lub Macchiavela, a są najczęściej bardzo oklepanymi lub czczymi ogólnikami.

Jego *Civis Bonus* jest znowu słabem echem złotego wieku. Ten lubił opisywać obowiązki, przywiązane do pewnego stanu lub urzędu, opisywał dobrego senatora, kanclerza, hetmana, dobrego króla opisywano wiele razy, w każdem prawie dziele politycznej treści. Za tym śladem zdążając, chciał też i ten Siemek opisać *Dobrego Obywatela.* Napisał książeczkę pełną ogólnikowych prawideł honoru i patryotyzmu, pełną przykładów Aristidesów, Scevolów, Kurcyuszów i tym podobnych wzorów cnoty i bohaterstwa, książeczkę, która wartości politycznej nie ma wcale, z wyjątkiem jednego może dobrego, nie dobrze określonego pomysłu; która nie miałaby nawet żadnej własnej cechy, gdyby jej nie nadawała jakiejkolwiek wyraźna, choć nigdzie otwarcie nie wypowiedziana niechęć do magnatów polskich i niechęć, dość dziwna u protonotaryusza apostolskiego, do duchowieństwa.

Jedna przecież trafia się przytem uwaga mądra: „Rzymianom zrazu wydawało się to rzeczą małej wagi, zastawiać ludowi biesiady, żeby tym sposobem głosy jego w Comitiach pozyskać. Z czasem jednak pokazało się, przez głupotę ludu, a możnych ambicyą, wielkie ztąd wyrosło dla wolności niebezpieczeństwo. Ambitni ludzie podchwytywali favory ludu, a głosy dawały się nie dla przekonania, ale dla obiadu”. Wyraźny obraz naszych sejmików, naszego chwytania popularności, „papką i czapką”; autor zresztą wcale zamiaru tego i aluzyi nie tai, bo dodaje, że „czem się niegdyś Rzym zepsuł, tem się i my w tych czasach psujemy”.

Po dowodzeniu długiem a paradoksalnem, że źli

obywatele nie są obywatelami Rzpltej, tylko jej nieprzyjaciołmi, po dysertacyi, znowu teoretycznej tylko, że senat jako wybór obywateli co najpoważniejszych, powinien mieć wielką w Rzpltej powagę, zabiera się autor do opisywania obowiązków dobrego obywatela.

Tych zaś najistotniejszą częścią, niemal samą treścią, jest czynność prawodawcza, do której obywatel jest powołanym, czyli sejm. Długi więc szereg ogólników o jego w sejmie obowiązkach: powinien bronić wolności, przestrzegać żeby Rzplta nie poniosła szkody, nie być przedajnym, głosować podług sumienia i przekonania; w tem wszystkiem ciekawy jest tylko sposób, w jaki on sejmy opisuje i chwali. „Od najmędrszych radę przyjąć się godzi, a co ci wniosą, niech o tem wszyscy sądzą, bo wszyscy łatwiej od kilku rzecz przenikną. Jakże więc? mająż mądrzy radzić a głupi uchwalać? Bynajmniej. Rozum wszystkich, mnóstwa, jest inny wcale od rozumu pojedyńczych ludzi: w mnóstwie jest zawsze rozum prawie boski (divinum ingenium), a im większe mnóstwo, tem i jego więcej. A oprócz tego, rady publiczne (sejmy) nie na to są postanowione, żeby coś robiły, ale i na to, żeby wstrzymywały zapędy mędrszych i dzielniejszych, którzy siłą swoją i zapałem mogliby wszystkich porwać do trudnych przedsięwzięć". Ten boski rozum w tłumie, rosnący w stosunku prostym liczby, czy to nie istna filozofia elekcyi viritim? A ten sejm, przeznaczony do strzeżenia Rzpltej od trudnych przedsięwzięć, ab arduis, czy to nie filozofia rozpuszczonych zaciągów Władysława IV, odmówionych Batoremu posiłków na wojnę moskiewską? Nasz autor jest poniekąd nauczającym w swojej naiwności. A naiwnym jest nad miarę, skoro pomiędzy zalety sejmów kładzie i tę, że w nich nic się na szkodę ojczyzny uchwalić nie może, ani źli ludzie przez nie zamiarów swoich nie dopną, bo któżby był tak bezczelny, żeby ze złem sumieniem zniósł wzrok tylu ludzi? Komużby słowa zdradliwe nie uwięzły w gar-

dle ze wstydu i strachu? O Poniński! O sejmie Grodzieński!

W takich samych ogólnikach zamyka się wszystko, co mówi o prawach. Prawa powinny być dobre, powinny być słuchane, powinny być wykonywane—rzeczy wiadome. W ostatnich rozdziałach dopiero przychodzi to, co stanowi właściwą wartość książki, myśl szczęśliwa, która ją wyróżnia od mnóstwa tuzinkowych produkcyj statystów trzeciego rzędu, i daje jej pewne prawo do naszej pamięci. Mówi autor o szkołach: bez dobrego wychowania nie będzie dobrych obywateli, to jasne. Powstaje więc naprzód ostro na wychowanie, jakie było za jego czasów: za to należy mu się słusznie pochwała.

Możnaby wiele mówić, czy jest dobrze, żeby wychowanie było monopolem Państwa, czy słuszność i wolność mogą Państwu dać prawo zamykania zakładów naukowych nie stojących pod jego wyłącznym kierunkiem i dozorem, to rzecz inna. Ale żądanie, żeby Państwo zajęło się wychowaniem, żeby je przejęło w poczet swoich spraw normalnych, żeby z funduszów swoich szkoły zakładało i utrzymywało, to żądanie tak jest słuszne i roztropne, że przynosi autorowi prawdziwy zaszczyt, a Polsce, gdyby była myśl jego wykonała, byłby ztąd urósł prawdziwy pożytek.

Drugie jego dziełko, *Lacon* (1635), obiecuje bardzo wiele. *Lacon, sive de Rplcae recte instituendae arcanis Dialogus*. Tytuł szumny, z którego wnosićby można, że to podręczny elementarz sztuki rządzenia, z którego każdy nauczyć się może, jak zachować Państwo w potędze, pomyślności, wewnętrznym i postronnym pokoju.

Siemek mniema, że odkrył uniwersalny środek na życie i zdrowie Państw i narodów, niewątpliwe recepty na mądrą politykę, ogłosił je stylem dość napuszonym i pretensyonalnym, a naprawdę powiedział że Państwu potrzeba społecznej zgody, gotowości do obrony, sprawiedliwości, dobrej administracyi, i tak dalej, rzeczy,

które każdy wie i bez niego. Jak je mieć? Jak do nich dojść? Na to sekretu nie podaje; a ztąd wynika, że choć trafi mu się niekiedy jaka uwaga prawdziwa i dobra, to z jego „Arcanów” nikt się politycznej mądrości nie nauczy.

Zarozumiałość i przekonanie o wielkiej wartości tego, co napisał, widoczne są i z tytułu, i ze stylu lapidarnego, niby każdy okres, każde zdanie, ma niby być maksymą, ale i z samych osób do dyalogu wprowadzonych. (Pozostałość po wieku XVI, dyalogowa forma, jeszcze się bowiem u niego powtarza, jedyne zresztą podobieństwo pomiędzy nim a statystami z dobrej epoki). Nie dość mu było ludzi prywatnych, prostego Polaka jak Górnickiemu, albo siebie samego jak Orzechowskiemu, albo wreszcie sławnych Polaków jak Warszewickiemu: *Arcana recte instituendae Rplicae* musiały być wypowiedziane przez usta większej jakiejś powagi. August sam, rzymski August w swojej osobie, musiał się pofatygować do dyalogu Siemka. Pewnego razu, przechadzając się po swoich ogrodach, dostrzegł on człowieka, który z wejrzenia wydał mu się niepospolitym i cudzoziemcem, a gdy się pokazało, że to był Spartanin, który wiele i mądrze myślał o powodach upadku Grecyi, wdał się z nim w długie rozmowy o sposobie odrodzenia i ugruntowania potęgi i wolności Republiki Rzymskiej (bo August Siemka, dowód naiwności ówczesnej historyi, a przynajmniej historyi w Polsce, jest najcnotliwszym z obywateli, nawet republikaninem w duszy, który na to tylko najwyższą władzę uchwycił i trzyma, żeby Rzymowi powrócić dawną cnotę, dawną potęgę i wolność).

Jak się więc ma wziąć do tego dzieła, jak dojść do tego celu, o to zapytuje mądrego doświadczonego Lacona, i o tem toczy się rozmowa w ośmiu nie zbyt długich, ale przecież nudnych dyalogach.

Ma więc August w Rzymie utworzyć Rzpltę, z królem, jak w Polsce; z tą jednak różnicą, że senatorów

nie on miałby mianować, ale byliby wybierani (zapewne przez comitia czyli sejm). „Tym sposobem okiełznasz ambicyę możnych, i położysz tamę chytrym, a nieprawnym zamysłom panujących. To jest pierwsze i największe arcanum Rzpltej" — jak miłość jest pierwszem i największem przykazaniem.

Król więc zostaje. Ale jaki ma być? Wybieralny czy dziedziczny? Jedno złe, bo synowie z panowaniem nie dziedziczą po ojcach cnót i zdolności; i drugie złe, bo elekcye to otwarta droga do intryg, do przekupstwa, do zepsucia obywateli. Cóż więc począć z tem trudnem pytaniem? Autor daje na nie odpowiedź najniedorzeczniejszą ze wszystkich, jakie się znaleźć mogły: każe wybierać króla losem.

Ciekawa jest ta książka o tyle, o ile mieści jakie aluzye. I tak, wyraźnie, wyraźniej niżeli w „Civis Bonus" odzywa się w niej niechęć autora do magnatów. „Możni zgubili naszą Rzpltę, woła Lacon, możni i waszą przywiodą do upadku". Że mu nie o rzymskich patrycyuszów chodzi, to jasne. Ale czy jest jaki środek na poskromienie ich, i jaki? Jest, środkiem tym jest równość. Niestety równość utopijna, w rzeczywistości niemożliwa. Dopóki mówi, że dla utrzymania równości król powinien roztropnie szafować łaskami, jednych zbytecznie nie bogacić, urzędami i zaszczytami nie odznaczać, to dobrze. Ale kiedy wskazuje równy podział ziemi, jako najprostszy i najpewniejszy środek równości, wpada w teoryę, która praktyką być nie może. „Podziel Rzpltą na części, terytorya, okręgi, a niech nikt u ciebie tyle łaski nie ma, żebyś mu dwa takie działy nadawał". Środek najprostszy i najpewniejszy, zapewne; ale pomijając to, że ta równość majątkowa z natury rzeczy nigdy długo utrzymać by się nie dała, możnaby spytać autora, jakim sposobem myśli skłonić sejm polski, żeby prawo takie uchwalił.

W końcu zapytuje August, jakie są sposoby uniknienia fakcyi i sedycyi? Lacon podaje różne, ale nie

dobre; albo nie znaczące, prawdziwe lecz ogólnikowe, jak naprzykład: sprawiedliwość, dobrzy urzędnicy, staranie o dobrobyt wszystkich i dostatek wszystkiego— albo niemożliwe. Do takich należy los, jako środek wyboru. Wszystkie urzędy miałyby być rozdawane losem, wtedy uniknie się intryg, zabiegów, przekupstw, współzawodnictw, zazdrości, i wszystkich podobnych żywiołów niepokoju i wewnętrznych zaburzeń. Zapewne: ale jakich dostanie się urzędników? Trzebaby losowi dać rozum. Autor próbuje mu go dodać; chce żeby comitia mianowały wszystkich zdatnych do wakującego urzędu, a z pomiędzy tych jeden dopiero wybierałby się losem. Ale jeżeli tak, to środek jego jest tylko pozorny i złego nie usuwa, bo wszystkie intrygi, zabiegi, przekupstwa i rywalizacye, krzewiłyby się w najlepsze, z tą różnicą, że nie przy wyborze urzędnika, ale przy mianowaniu kandydatów.

Wszystko razem wziąwszy, nie odkrył Siemek ani jednego Arcanum politycznej mądrości, a obie jego książki, pomimo tej lub owej dobrej myśli, mają wartość tak małą, że go do zdolniejszych i znaczniejszych statystów naszych żadną miarą liczyć nie można.

Ale wśród tego nieurodzaju na polu literatury prozaicznej, zjawia się najznakomitszy z historyków całej połowy XVII wieku. W roku 1645 wychodzi kronika Piaseckiego.

II.

Dziejopisarstwo. Łubieński. Piasecki. Kobierzycki. Jakób Sobieski. Pamiętniki. Stan. Albrycht Radziwiłł. Jerzy Ossoliński Początki Powieści. Hieronim Morsztyn. *Rozmowa Plebana z Ziemianinem.* Opalińskiego *Polonia Defensa.* Starowolskiego *Kazania i Reformacya.* Cechy literatury w tym okresie.

Zostawiliśmy historyografię w chwili kiedy z Heidensteinem doszła do zenitu w tym nowym kierunku, jaki przyjęła w połowie XVI wieku, kiedy przestała być kroniką całowitych dziejów, a stała się rocznikami lub pamiętnikami wypadków współczesnych. Widzieliśmy, jak wprowadzona na tę drogę przez Orzechowskiego, podzieliła się następnie przez na dwa odmienne rodzaje, jeden ściślej i poważniej historyczny, choć w formie najczęściej kronikarski, drugi lżejszy, pamiętnikowy raczej. Ten ostatni, w różnych odcieniach, reprezentowany był przez Górnickiego, Solikowskiego, tamten przez Orzelskiego, a z Heidensteinem dochodzi do swego najwyższego rozwinięcia, pod jego piórem rocznik współczesnych wypadków, pomimo formy i pozoru kroniki, staje się prawdziwą i bardzo niepospolitą historyą.

Na tym punkcie stanął kunszt dziejopisarski w początkach panowania Zygmunta III. Co się z nim stało dalej? Czy się zmienił, czy postąpił? Czy się wykształcił, czy podupadł? W ogóle powiedzieć można, że

zmienił się bardzo mało lub wcale. Czy postąpił? Zapewne nie. Czy podupadł? Z pewnością nie. Owszem ze wszystkich gałęzi piśmiennictwa on jeden trzyma się dobrze, nietylko w tym okresie, ale i w następnym, w epoce zupełnego już upadku literatury. On się nie cofa wstecz, jak poezya naprzykład. Co do metody, sposobu pisania, krytycznego sądu, pojmowania historyi, on może nie idzie naprzód: zostaje nadal i na długo na tym punkcie, na którym zostawił go Heidenstein. Ale w tym okresie znajdują się historycy zdolnością Heidensteinowi nie równi, ale wyżsi może od innych jemu współczesnych annalistów XVI wieku, i znajdują się w liczbie znaczniejszej. Łubieński, Piasecki w pierwszej połowie XVII wieku, Kochowski i Rudawski w drugiej przeważą niezaprzeczenie i Orzechowskiego i Orzelskiego i Bielskich — Kobierzycki stanie doskonale za Solikowskiego, owszem przewyższy go — słowem rodzaj, typ, pojęcie, ideał historyi, zostaje ten sam co w drugiej połowie XVI wieku, ale historyków jest więcej i są w przecięciu zdolniejsi. Ma więc ta epoka pewną pod tym względem wyższość nad poprzednią, choć do tamtej jest bardzo podobną i ciągnie tylko dalej to, co tamta zaczęła, idzie stale i niezmiennie drogami przez tamtą wytkniętemi, a nowego wprowadza do historyi tyle, ile jej podadzą wypadki. Część materyalna, treść, fakty te są naturalnie nowe; sposób sądzenia i opowiadania ich jest taki sam, jak był. Co więcej, trwają i teraz te same między historykami różnice, jakie się podówczas zaczęły, utrzymuje się ten sam podział na historyografię ścisłą i pamiętnikową; Górnicki ma swoich kontynuatorów tak samo, jak ma swoich Heidenstein. Tylko w tym kierunku także ta sama zmiana, ten sam rodzaj wyższości; pamiętnikarzy jest więcej, i są ciekawsi, obfitsi w szczegóły, jedni zabawniejsi, drudzy głębsi, i to nietylko w pierwsze połowie XVII wieku, kiedy ludzie bardzo wysoko v Rzpltej postawieni, hetman, kanclerz, kasztelan kra

kowski pierwszy senator, piszą pamiętniki wypadków, na które patrzali i w których działali, ale i w tej drugiej, w tej gorszej, tam jeszcze opowiada Pan Pasek swoje przygody z niepospolitą fantazyą i bardzo żywym sposobem, a poważny ksiądz Kordecki opowiada w pamiętniku, jak bronił Częstochowy, jak dał pierwszy przykład obrony Rzpltej.

Mamy więc do roku 1650 trzy rodzaje historyków. Naprzód kronikarzy dziejów współczesnych w ścisłem znaczeniu słowa, to Stanisław Łubieński i Piasecki; potem pamiętnikarzy w ścisłem znaczeniu słowa, to Albrycht Radziwiłł; a pomiędzy jednymi a drugimi grupa pisarzy, którzy przybliżają się bądź do jednego, bądź do drugiego rodzaju bardziej, którzy piszą rodzaj historyi, ale ta historya ma na widoku głównie sprawy jednej osoby, albo tylko jakąś ograniczoną grupę faktów, i zostawia wiele miejsca rzeczom podrzędnym, anegdotycznej natury, i zbliża się tym sposobem do pamiętników. Taki naprzykład jest Kobierzycki, Wassenberg „Gesta Vladislai". Inni, jak Żółkiewski albo Jakób Sobieski, piszą wprawdzie pamiętniki tylko, ale to pamiętniki jakiegoś historycznego faktu, na który patrzali, pamiętnik ściśle historyczny, a przeto podobniejszy do historycznej monografii tego faktu, aniżeli do zwykłych pamiętników.

Oprócz tych są jeszcze więcej szczegółowej natury pamiętniki, ale obfite w historyczne szczegóły, a przez to źródłowe, jak n. p. Wielewickiego, Historya domu Jezuitów przy kościele św. Barbary, Wassenberga *Carcer Gallicus Joan Casimiri*; albo już lżejsze i czysto anegdotyczne, jak n. p. Paca Dyaryusz Podróży, odbytej z królewiczem Władysławem, Jarzemskiego opis Warszawy etc.

Powtórzył się teraz w wieku XVII ten sam fenomen, który się daje widzieć w historyografii wieku XVI. Tu, jak tam, jest jeden historyk, dawno zmarły, który góruje swoją postacią i zdolnością nad swoimi

następcami. Heidenstein tak dominuje nad historykami wieku XVII, jak nad dawniejszymi górował Długosz. Jego historya jest typem i wzorem, po za który nikt dalej spojrzeć, wyżej sięgnąć nie śmie i nie czuje potrzeby. Czasem z wyraźnym zamiarem naśladowania, czasem bez niego, kronikarze XVII wieku trzymają się ściśle w granicach przez niego zakreślonych Ta ich zależność od pierwowzoru nie jest tu tak wyraźna, jak była tam, przez to samo, że każdy z nich opisuje wypadki inne, nie powtarzając dawnych, niema więc i nie może być takiego jak tam powtarzania przez wszystkich tego, co napisał jeden. Ale historycy ci po większej części nie mają głębokiego krytycznego sądu Heidensteina, choć po większej części mają więcej od niego stronniczego ducha; a choć niektórzy z nich może zgoła o naśladowaniu go nie myśleli, przecież, mniej lub więcej, ale wszystkie kroniki z tego okresu są do jego kroniki podobne.

Najpodobniejszy zaś ze wszystkich jest Łubieński, który ze świadomością i zamiarem pisał kronikę jako dalszy ciąg Heidensteina, który w swojej przedmowie wyraźnie mówi, że przejęty czcią i podziwieniem dla znakomitego historyka *Rerum Polonicarum*, chciałby wstępować w jego ślady i dzieło jego dalej prowadzić. Ta kronika rzeczy polskich, na nieszczęście, zaginęła, zostały tylko mniejsze jego pisma historyczne, jakoby monografie o *Podróży Zygmunta III do Szwecyi* i o *rokoszu Zebrzydowskiego, de Motu Civili.*

Pierwsza bez szczególnej wartości; druga ważna jako źródło, a jako książka historyczna pięknie i zdolnie napisana.

Stanisław Łubieński, brat prymasa Macieja, za młodu sekretarz, później rejent kancelaryi królewskiej, dalej podkanclerzy, w końcu biskup płocki, był przez lat czterdzieści, zrazu jako podwładny urzędnik, potem jako jeden z najwyższych i jako senator, nieustannie w praktyce spraw najważniejszych. Mógł zatem i mu-

siał czerpać z dobrych źródeł, miał najlepsze wiadomości o sprawach, które opisywał. Był przy Zygmuncie III w położeniu tak korzystnem (lub jeszcze bardziej, skoro był podkanclerzym, a później senatorem), w jakiem był Heidenstein przy Stefanie i Zamoyskim. I tak jak tamten, posiadał także zaufanie swojego króla niezmiennie i w bardzo wielkiej mierze. I z tych podobnych stosunków wyniknęło może pewne między nimi jako historykami podobieństwo, ale obok podobieństwa uwydatniają się na tym stosunku zaraz i różnice. Jeżeli o Heidensteinie mówią, że jest historyografem urzędowym, cokolwiek stronniczym, który potrzebuje czasem kontroli w tem, co mowi o królu, a zwłaszcza o Zamoyskim, bo zręcznie wymija naganę, gdzieby mu ją dać musiał, to ten sam charakter urzędowy, stronniczy, tylko w stopniu jeszcze daleko wyższym, ma Łubieński. Jest on stronnikiem tak gorliwym Zygmunta III, jak tamten był stronnikiem Batorego, a zachodzi ta różnica, że Zygmunt był człowiekiem partyi daleko więcej niż Batory, więcej niż Zamoyski. Zygmunt przez swój system, przez swój ideał polityczny, należał do całego europejskiego stronnictwa monarchicznego i katolickiego, kiedy Batory i Zamoyski pod jego panowaniem tylko mieli swoje stronnictwo w Polsce, ale nie należeli do żadnego, reprezentowali czysty i najściślejszy interes Rzpltej. Sekretarz, rejent, podkanclerzy Zygmunta dzielił jego przekonanie, jego doktryny, dzielił je tem naturalnej, że był księdzem i biskupem, w swojem więc zapatrywaniu się na sprawy polskie musiał odbić wyobrażenia i zasady całego obozu, do którego należał, nawet gdyby nie był dziejopisem rządowym i urzędowym. Cóż dopiero, kiedy nim był; z przekonania, z popędu serca i ze swojego położenia on musiał Zygmuntowi słuszność przyznawać. Nie idzie zatem, żeby ją przyznawał w złej wierze, żeby pisał inaczej, niż myślał. Owszem, on jest zawsze przekonany, że król dobrze chciał i dobrze robił; on nietylko

nie ma zamiaru zmyślania i przekręcania faktów, ale nie chce ich nawet naciągać. Tylko on nie widzi, nie chce, lub nie może widzieć, że jego stronnictwo ze swoim koronowanym naczelnikiem mogło się mylić i działać źle lub niezręcznie.

Całe to stanowisko nie ujmuje wartości jego książce. Zapewne, kto na niej jedynie oparty, chciałby pisać historyę tych lat, przedstawiłby ją jednostronnie, w świetle nie zupełnie prawdziwem; ale są inne źródła oprócz niego, natura faktów jest dość znana i wyświecona, nie trudno więc historykowi to światło rzetelne utrafić i utrzymać, i uniknąć błędu, w jakiby wprowadzić go mógł Łubieński swoim urzędowym, stronniczym charakterem. Niełatwo zaś byłoby napisać historyę tych lat bez niego, bez szczegółów, które on podaje, a przez które jest źródłem pierwszego rzędu do dziejów rokoszu.

Obraz ten jest bardzo ciekawy. Największą może winą, jaka się Łubieńskiemu da zarzucić, jest, że zataja rzecz jedną bardzo ważną: oto tę, że Zygmunt III mógł był rokoszu uniknąć a przynajmniej wybuch jego opóźnić. Prawda, że z tymi burzliwymi żywiołami, jakie w ówczesnej Polsce były, rokosz zawsze mógł znaleźć sobie powód lub pozór i wybuchnąć nawet bez powtórnego małżeństwa króla. Przecież król wiedział, jak to małżeństwo drażniło i niepokoiło umysły, a rzeczą jest mądrego polityka i króla, przewidywać możliwe powody starć i niezgód, i te usuwać. Zygmunt powinien był odstąpić od austryackiego małżeństwa; zrobił źle, że go nie zaniechał. Zygmunt August był mężem Barbary i porzucić jej już nie mógł; ale gdyby burza o to małżeństwo była wybuchła przed jego ślubem, wtedy byłoby jego obowiązkiem poświęcić się i zamiaru odstąpić. Zygmunt III zaś był wolny; dał był wprawdzie przyrzeczenie arcyksiężnie Maryi, że się z jej młodszą córką ożeni, ale mógł wiedzieć, że tego rodzaju dyplomatyczne małżeńskie układy między dwo-

rami często się zrywają i zmieniają; nie miał wymówki gwałtownej miłości, jak Zygmunt August, Konstancyi nie znał, a że ona później okazała się bardzo dobrą osobą, i była nawet bardzo szanowaną i lubioną królową, to rzeczy nie zmienia. Król powinien był swoje przyrzeczenie cofnąć, skoro widział, że z powodu tych układów zanosi się na burzę, na wojnę domową. Nie zrobił tego przez upór, przez przywiązanie do austryackiego domu i austryackiej polityki, do swej doktryny, przez uczucie honoru i poszanowania danego słowa; wreszcie i przez to może jeszcze, że mówił sobie słusznie, że król, który chce powagę swoją utrzymać, nie powinien łatwo ustępować, a był zbyt zacięty, żeby rozróżnić, w jakich rzeczach trzeba trzymać się do ostatka, a w jakich ustępować; i nie dość długo jeszcze był królem polskim żeby wiedzieć z doświadczenia, że ten król bardziej niż każdy inny musiał ustępować. Nie ustąpił więc, a przez to do wybuchu rokoszu niewątpliwie się przyczynił, choć być może że i bez jego winy ten rokosz byłby nastąpił pod innym pozorem. Ale jest wina, jest błąd, i wielki. A historyk rokoszu go nie widzi, albo zataja. Czy chce umyślnie wstrzymywać się od sądów i pisać historyę przedmiotowo, chroniąc się własnego zdania wyjawiać? Być może i to; ale w innych razach, kiedy mówi o przeciwnikach króla, o złem, jakie oni zrobili, nie ma tej wstrzemięźliwości, chociaż namiętnym i zaciekłym w oskarżeniu i sądzeniu nie jest nigdy. Trzeba więc przypuścić jedną z dwóch rzeczy: albo że istotnie nie widział, jak Zygmunt pobłądził, albo, jeżeli widział, to zatail winę i naganę, żeby go na sztych nie wystawić.

Drugi zarzut, jaki mu, jako historykowi, zrobić można, dotycze już nie treści jego dzieła, ale formy. Nie sposobu pisania, bo ten jest owszem żywy i zajmujący, bardzo staranny, ozdobny, a prosty, ale ma inną wadę: źle układa materye, które opowiada, źle jedne drugiemi przeplata. Właściwie opisuje on tylko dwie

sprawy: rokosz Zebrzydowskiego i wojnę Dymitra. Ta ostatnia do rzeczy *de motu civili* nie należała i mogła bezpiecznie być pominięta. Ale jeżeli już chciał ją opisywać, to powinien był naprzód przyznać, że Zygmunt postąpił bardzo niezręcznie i nieroztropnie, kiedy pretendenta do tronu Państwa, z którem był w pokoju, widział i przyjmował jako pretendenta — jeżeli nie mógł przeszkodzić prywatnym wyprawom do Moskwy (Batory byłby im przeszkodził), to przynajmniej nie powinien Dymitra widzieć, przyjąć, asystować ślubowi Maryny, jako carowej — to wszystko Łubieński mógł był mu zganić, kiedy o tej sprawie mówił. A powtóre kiedy już o niej mówił, to powinien był inaczej rzecz swoją uszykować. Ale ciągle przerywa sprawę rokoszu sprawą Dymitra, przeplata je i to tak niezręcznie, że po krótkim jakimś epizodzie z jednej, następuje druga. Ma to być równoległe i równoczesne przedstawienie obudwóch, tymczasem jest to tylko przecinanie, siekanie jednej i drugiej, tak, że z jednej i z drugiej rzadko który moment opowiedziany jest w takim ciągu i całości, żeby czytelnik mógł sobie zrobić wyraźny i dokładny jego obraz.

To są główne Łubieńskiego usterki. Zalety jego dzieła, świadczące dobrze nietylko o jego talencie, ale o jego usposobieniu moralnem, są liczniejsze. Wszystko, co mówi, dowodzi człowieka rozumnego, uczciwego, i dobrego Polaka. Jeżeli jest stronniczy, to nie jest ani namiętny ani niesprawiedliwy; i całej opozycyi ryczałtem niechętny, umie przecież bardzo trafnie i bardzo delikatnie rozróżniać ludzi, ich wartość, powody ich postępowania. Gorliwy naprzykład zwolennik Zygmunta III, nie może być przyjacielem Zamoyskiego, przecież rozróżnia doskonale rodzaj, powody i skutki opozycyi jego od opozycyi Zebrzydowskiego. Stosunek ich wydaje mu się taki, że dzieło, prowadzone zrazu przez człowieka urażonego, ale bardzo mądrego i bardzo o dobro Rzpltej dbałego, po jego śmierci wpadło

w ręce ludzi mało zdolnych, mało rozumnych, bardzo próżnych, którzy sami nie dobrze wiedzieli, co, jak i dlaczego robić chcieli, i ci podnieśli wojnę domową, której rozum i patryotyzm tamtego byłby zawsze umiał i chciał przeszkodzić. Takie rozróżnienie świadczy i za jego bystrością i za jego uczuciem słuszności. Tej samej bystrości dowodzi także jego sposób charakteryzowania osób, działających w rokoszu. Wszystkie główne figury, Stadnicki, Ostrogski, Radziwiłł, opisane są z wielkim talentem, z wielką znajomością ludzi, a najlepiej, najgłębiej ze wszystkich sam Zebrzydowski, jak agituje na sejmikach i zjazdach, używa coraz nowych postrachów na rozjątrzenie opinii; daje szlachcie do zrozumienia, że ma jakieś wielkie tajemnice, jakieś dowody, potępiające króla bez ratunku—a kiedy sprzymierzeńcy żądają, żeby je raz ogłosił, zwleka, wykręca się, w końcu pokazuje się, że to same rzeczy dawno wiadome, albo niedowiedzione.

W ogóle te zjazdy, tak rokoszanów, jak regalistów, to najświetniejsze karty całej książki. Pełne ciekawych szczegółów, i wiele życia w opisie; mianowicie zjazd regalistów pod Wiślicą i drugi rokoszanów pod Sandomierzem, rywalizacye między dowódcami tych ostatnich, zwłaszcza układy, prowadzone w Janowcu. Obrazy to bardzo smutne, bo odnosi się z nich jedno najmocniejsze wrażenie: wrażenie słabości stron obudwóch. Wszystko tu i tam takie nieradne, takie niedołężne. Na królewskich może zarzut ten nie tyle spada, bo w nich więcej zgody, więcej jednolitego kierunku i planu w działaniu, a ta miękkość i nieradność, bardzo niepolityczna, była zapewne skutkiem dobroduszności wszystkich, cierpliwości i dobroci samego króla, staraniem wszystkich, żeby sprawę ukończyć zgodnie, bez wojny domowej, bez rozlewu krwi polskiej, może i pewną dobroduszną sympatyą i pobłażliwością dla tych rokoszanów, którzy są braćmi. Takie rodzinne pobłażliwości między stronnictwami nie są po-

lityczne, zwłaszcza kiedy ma się do czynienia z ludźmi takimi, jak Zebrzydowski, ale są poniekąd sympatyczne i ładne. Rokoszanie za to sympatyi takiej nie budzą: są wykrętni, kłamliwi, działają w złej wierze, po układzie zawartym rozpoczynają swój rokosz na nowo, a są daleko jeszcze mniej od regalistów sprężyści i rozumni. Kłócą się między sobą, tracą czas na zjazdach, sejmikowaniu i mowach, nie wiedzą, czego chcą, i każdy z dowódców chce czego innego; zuchwali nad wszelką miarę, bo ogłaszają się za prawą reprezentacyę Rzpltej, króla składają z tronu, i jego i senat przed swój sąd pozywają, a w tem zuchwalstwie niedołężni, dziecinni, bezsilni, bo nie mają środków, żeby na swojem postawić. Słowem, obraz niedołęstwa i niemocy, obraz bardzo smutny, bo patrząc na niego, myśli się, jak mogła iść jednym torem i stale się trzymać polityka Rzpltej, jeżeli takie były w niej stronnictwa, bez planu, bez zasad, bez jasnych pojęć, bez celu, bez energii w działaniu, nawet bez energii we wzajemnej do siebie nienawiści. Najsmutniejsza w historyi rokoszu jest, nie fakt, nie jego skutki, ale ta miękkość, ta bezwładność obu stron, poczciwa u jednych, głupia a złośliwa u drugich, ale miękkość i bezwładność u wszystkich. Na nieszczęście i jego skutki, na rany najcięższe lekarstwo być może; na takie usposobienie środek znaleźć trudniej.

Oto sens moralny, jaki się wyciąga z szanownej i pięknej i ważnej książki Łubieńskiego, która autorowi swemu zrobiła, pomimo swoich usterków, miejsce pomiędzy celniejszymi naszymi historykami dawnych wieków.

Przy nim stoi historyk drugi, który może służyć mu za uzupełnienie i za kontrolę, bo jest z przeciwnego stronnictwa i z innego stanowiska rzeczy widzi i przedstawia; który ma nad nim tę wyższość i o tyle jest ważniejszy, że nie ogranicza się na jednej sprawie, ale opisuje całe panowanie Zygmunta III i Władysła-

wa, a który ma nad Łubieńskim i wyższość dziejopisarskiej zdolności, Piasecki.

Człowiek przez naszych dawniejszych uczonych ceniony i wyniesiony bardzo wysoko, w późniejszych czasach opisany jako człowiek nikczemny i zły; zły ksiądz, zły biskup, nie dbały o wiarę i religię; zły człowiek, któremu tylko o pieniądze i wysokie stanowiska chodziło i który dla nich gotów był użyć podchlebstwa, podstępu, wyrzec się wiary, honoru i sumienia; zły obywatel wreszcie, zły Polak, bo jako senator radził dobrze sobie tylko, nie dbając o to, że te rady mogły się obrócić na szkodę Rzpltej; wreszcie nawet zły historyk, bez sądu, bez zdania, nawet bez formy.

Czy był dworakiem, podchlebcą, chciwym, łakomym, rozstrzygnąć trudno. Ze wszystkich oskarżeń najcięższe są: sprawa „Angielki”, czyli zamierzonego małżeństwa Władysława IV z protestantką, córką palatyna Fryderyka V; fakt, że Piasecki rzeczywiście był nieprzyjacielem Jezuitów, i że nuncyusz Visconti w swoich relacyach mówi o nim źle. To wszystko, jeżeliby przeciw niemu dowodzić mogło, to w najgorszym razie dowodziłoby, że nie był gorliwym księdzem i biskupem; nie dowodziłoby, że był złym, podłym człowiekiem i złym obywatelem.

Zresztą, jeżeli nawet człowiek był taki, jak go opisują, to nas tu obchodzi nie człowiek, ale jego dzieło; czy to jest przejęte takim duchem anti-religijnym, niemoralnym i nie patryotycznym, jakim miał niby tchnąć autor, naprzód to, a powtóre—czy ono ma wartość, jako historya.

Otóż Piasecki, sądzony na podstawie swojego dzieła, okazuje się człowiekiem wyobrażeń i stronnictwa przeciwnego Łubieńskiemu. Tamten jest gorliwym stronnikiem Zygmunta i jego austryackiej polityki, ten jest stronnikiem Zamoyskiego, opozycyi w ogóle; jak tamten był stronniczym, zbyt względnym dla króla, tak ten jest znowu zbyt względnym dla opozycyi, zbyt

łagodnym dla Zebrzydowskiego naprzykład. Przecież nietylko te sympatye i niechęci nie zagłuszają w nim głosu patryotycznego sumienia i rozsądku, ale owszem jeden i drugi odzywa się bardzo wyraźnie we wszystkiem co mówi, tak o królu jak opozycyi. Że nie jest wichrzycielem, rokoszaninem, szkodliwym intrygantem przeciw władzy, można się przekonać z tego, jak on mówi o królu i o opozycyi. W całej książce niema ani jednego słowa o Zygmnncie III, któreby było nacechowane niechęcią albo brakiem uszanowania. Owszem, nawet kiedy mu wytyka jakie błędy, zawsze robi to z największem umiarkowaniem; nigdy nie oskarża, nigdy nie bierze go za cel pocisków, jego ani nikogo innego. Bo nawet o Jezuitach, choć tych bardzo widocznie nie lubi, nie mówi z żółcią i goryczą; znać niechęć do nich, ale nie odzywa się ona nigdy gwałtowniej. Nieprzyjemnie jest widzieć, że nie lubi Skargi, że zrzuca na niego odpowiedzialność za rzeczy, które mu się nie podobają; ale nie można powiedzieć, żeby był zawziętym, namiętnym, rozjątrzonym i jątrzącym.

Że zaś, choć nie stronnik króla, nie jest stronnikiem rokoszu i rokoszan, tego dowodzi sposób, w jaki całą tę sprawę opowiada, albo jak opisuje Zebrzydowskiego i bezpośredni powód jego wojny z królem. „Wojewoda krzywdę osobistą jednocząc z publicznemi, wszystkie stany do poszukiwania ich pobudził, a to z zastarzałego w tym narodzie zwyczaju, gdzie nikt prawie nie przedsiębierze sprawy bronienia Rzpltej przeciw królowi, jak tylko własną urazą powodowany". Owszem, jakkolwiek mogło być w jego życiu, w jego książce prosty kierunek patryotycznego sumienia i sądu, zachowany jest w całej tej sprawie, pomiędzy królem a opozycyą, ściślej, lepiej, aniżeli u Łubieńskiego.

Jest to poprostu człowiek (jakakolwiek mogła być jego wartość jako człowieka prywatnego i jako biskupa), człowiek, który jako pisarz boi się, jak cała niemal opinia ówczesna w Polsce, jak Zamoyski, wpływu

austryackiego. „Wkorzenione jest—mówi—u narodu polskiego to o Austryakach przekonanie, że byle jedną nogą w Królestwa, jakkolwiekbądź wolne wstąpili, zaraz dziedzicznego następstwa dla swoich szukają”; a przeto wielu podejrzywało, że małżeństwo (królewskie) „poszukiwane było jako środek przywłaszczenia sobie praw dziedzicznych do korony polskiej”. Oto jest punkt wyjścia całego stronnictwa, i zapewne autora samego. Może oni się wszyscy mylili? W każdym razie mylił się Piasecki w dobrem towarzystwie, z Zamoyskim, z Żółkiewskim, który się do króla stanowczo przyłączył dopiero w chwili, kiedy już rokosz wybuchnął; a jeżeli się nawet mylili, to niema powodu oskarżać ich o nic więcej. I kto wie, czy to stanowisko anti-austryackie nie było powodem tych różnych przeciw Piaseckiemu oskarżeń, naprzykład nuncyusza. Polityka rzymska szła ręka w rękę z austryacką; Nuncyusz prowadził nie same tylko duchowne sprawy, wiadomo zaś, jak antagonizmy polityczne wpływają na sądy ludzi o drugich. Nuncyusz, który widział biskupa przeciwnikiem politycznych dążności Stolicy Apostolskiej, mógł naturalnie uprzedzić się przeciw niemu i sądzić go surowo, nawet fałszywie, we wszystkiem.

Prawda jest, że Piasecki jest nieprzyjacielem Jezuitów, prawda, że o Unii mówi bez zapału, z obawy, żeby nie wywołała rozruchów na Rusi, ale nie prawda, żeby tchnął duchem anti-religijnym albo anarchicznym. Owszem, nie znać po nim nawet, że króla nie lubi, a choć przekonania i uczucia ciągną go opozycyi, przecież rokosz opisuje i potępia tak, jak go rzetelny patryotyzm potępić zawsze musi, dobrą sprawę w wojnie domowej ma u niego król, nie Zebrzydowski. Złego więc w duchu książki, czy to pod względem moralnym czy patryotycznym, niema nic; jest tylko kilka nieprzyjemnych słów o Skardze, choć tak nawiasowych i łagodnych, że ich oskarżeniem nazwać nie można, i nieprzyjemne jest jego postąpienie w sprawie Angielki,

choć on je różnymi powodami wymawia i usprawiedliwia: głównie tym, że ożenienie krola było oczywistym interesem Rzpltej, a że do małżeństwa z Austryaczką on wielkiej ochoty nie miał. Lepiej więc, żeby się ożenił choćby z kalwinką (która z czasem dałaby się nawrócić), niż żeby się nie żenił wcale.

A teraz co do jego zdolności pisarskiej i dziejopisarskiej, co do źródłowej i literackiej wartości jego dzieła? Pod względem literackim najcięższy podobno zarzut jest ten, że pisze annalistycznym sposobem, dzieli swoją historyę na lata. Opowiadanie oczywiście na tem traci wiele; ale darmo, musimy sobie przypomnieć, że nasi historycy tego okresu byli kronikarzami, annalistami, że takim jest i sam Heidenstein. Potem zarzucają mu łacinę, nie dość piękną—mniejsza o to. Co do wewnętrznej zaś wartości, to powiedziawszy, że książka ta w swoim kierunku także może stronnicza, potrzebuje sprawdzenia, kontroli, i za jedyne źródło do historyi tego czasu użytą być nie powinna, trzeba powiedzieć, że jest najlepszą książką historyczną, jaka u nas w ciągu tych lat pięćdziesięciu była napisana. Nie wszędzie jednakowej wartości, to prawda. Początek, historya króla Stefana, to jest tylko wstęp, początek do opowiadania. Koniec, ostatnie dziesięć lat panowania Władysława, opisane są bardzo krótko i pobieżnie, co autor sam widzi i przyznaje. Ale to, co on za właściwą swoją historyę uważa, od wstąpienia na tron Zygmunta do r. 1638, to ma i wielką wartość historyczną, i wielkie nawet zalety opowiadania. Naturalnie, on nie może każdej partyi z osobna opowiadać tak szczegółowo i obszernie jak ci, którzy całą książkę piszą tylko o jednej sprawie. O rokoszu można się więcej dowiedzieć z Łubieńskiego, o wojnie moskiewskiej z Żółkiewskiego, może nawet Kobierzyckiego; ale z żadnego nie można nauczyć się tak wiele o panowaniu Zygmunta III, i pierwszych latach jego syna. Jego łacina może nie jest poprawna, podział książki jest

może nieszczęśliwy, ale jego opowiadanie jest zawsze żywe i zajmujące, a w niektórych miejscach, naprzykład cały opis wyprawy cecorskiej, albo bezkrólewia po Zygmuncie III, jest bardzo świetny, i wszystko razem wziąwszy, jest to najzdolniejszy, w sądzie najbardziej wytrawny, i może jeszcze najmniej stronniczy, zatem najpoważniejszy historyk tego okresu, może i całego XVII wieku.

Mniejszej od poprzednich sławy i mniejszej wartości, Stanisław Kobierzycki, kasztelan gdański, (szwagier Stefana Czarnieckiego), jest historykiem jednak niemałych zalet, a zwłaszcza bardzo do czytania przyjemnym. Nie jest tak ważnem jak tamci źródłem, bo zbiera tylko i układa w osobną całość wiadomości, przez innych podane; nie tak poważny, lżejszy od nich, nie tak ściśle historyczny, bo zakłada sobie opisać tylko dzieje jednej osoby, (prawda, że nie zupełnie zamiaru dokonał), a przez to odstępuje od materyj historycznych dla osobistych. Ale to są główne rzeczy, które mu zarzucić można. Przymiotów zaś ma wiele; naprzód jest wprawdzie kompilatorem, redaguje i układa materyały gotowe, ale to umie robić bardzo dobrze; szykuje swoją rzecz bardzo porządnie, opowiada ją bardzo jasno, bardzo żywo i zajmująco. Pisze bardzo ładnie, ze staranną i wykwintną elegancyą. Sądzi wypadki i ludzi bardzo rozumnie, czasem bardzo surowo. Wszystko razem, jest to historyk mniej ciekawy i potrzebny dla uczonych, ale stworzony na to, żeby był czytanym i lubianym przez wszystkich, i dla takich może być bardzo pożytecznym i nauczającym. Jego piękny sposób pisania, jego opowiadanie żywe i zajmujące mogłyby sprawić to, że z przyjemnością, z upodobaniem czytałby go każdy, gdyby był pisał po polsku. Na nieszczęście, on pisze po łacinie, jak wszyscy jego czasów, jak Łubieński, jak Piasecki, jak Jakób Sobieski. Skutek to wychowania i ówczesnych wyobrażeń polskich o naukowem i cywilizacyjnem do-

stojeństwie języka łacińskiego; a pan kasztelan gdański jest wiernem wychowaniem i odbiciem cywilizacyi i oświaty swego wieku, z większem może od innych współczesnych uczuciem formy. On z tych historyków zdaje się być najwięcej literatem i artystą. Łacinnik, klasyk, ma wyraźnie bardzo dobre wzory przed oczyma. Jest przytem i synem swego czasu, już gorszego: już jest w nim nieco skłonności panegirycznej; dowodzi tego poniekąd sam przedmiot i tytuł jego dzieła: *Historia Vladislai Principis*. Ktoby był chciał pisać historyę Polski w tych latach, nie byłby sobie obrał za główną figurę królewicza, który zrazu jako dziecko nie bierze żadnego udziału w sprawach, a kiedy dorósł bierze w nich udział pośredni, bo jest tylko królewiczem. Trzeba było mieć żyłkę panegiryczną, żeby sobie wybrać za przedmiot właśnie historyę królewicza Władysława; a tej samej żyłki dowodzą i niektóre ustępy dzieła, niektóre szumne okresy, porównania śmiałe i nieco przesadne i t. d. Przez to, jak przez swój sposób pisania gładki i ozdobny, jak przez sposób traktowania historyi (składanie jej z rzeczy już gotowych, z książek, i eleganckie popularyzowanie), jest on historykiem nieco konwencyonalnym. Nie należy do najpotrzebniejszych, ani do najzdolniejszych, ale należy niezawodnie do dobrych, do zdolnych i do przyjemnych.

Dlaczego on swojej książce dał tytuł Historyi *Vladislai Principis?* Oprócz ostatnich ksiąg, w których Władysław występuje czynnie, jest to raczej historya panowania Zygmunta III, od urodzenia Władysława aż do jego elekcyi. Można przeczytać kilka ksiąg, a nie napotkać w nich ani imienia królewicza; naturalnie nie było o nim nic do powiedzenia, kiedy był dzieckiem lub wyrostkiem; a o sposobie jego wychowania, o jego naukach, o jego dziecinnym charakterze i skłonnościach autor nie mówi, tylko o sprawach Rzpltej, jakie się podczas jego dzieciństwa i pierwszej

młodości odbywały. Ale przez to, że książka miała być historyą Władysława, stała się niedokładną i niezupełną historyą jego ojca. Autor ze wszystkich spraw Rzpltej wybiera i opowiada, z wyjątkiem jednego rokoszu Zebrzydowskiego, tylko te, które, zdaniem jego, mają jakiś bliższy związek z osobą i przyszłością królewicza, to jest sprawy i wojny moskiewskie. Wszystkie inne zaś, a nadewszystko wewnętrzne, sejmy ich przebieg, ich konstytucye, albo zupełnie pomija albo zbywa krótko.

W pierwszej księdze, po wzmiance o urodzeniu Władysława o jego wcześnie zapowiadających się zdolnościach, jego naukach, zgoła wszystkich przymiotach nie zapominając o pięknym układzie, miłem obejściu, wdzięcznem obliczu dziecka, o jego pięknej prestancyi, kiedy się przy jakich dworskich uroczystościach publicznie pokazywało, przechodzi do sprawy królewskiego małżeństwa i rokoszu, i tu rozstajemy się z Władysławem na długo. W przekonaniach nachyla się bardziej do Łubieńskiego, aniżeli do Piaseckiego, a w sądzeniu niektórych osób, naprzykład Zamoyskiego, jest od obudwóch surowszy.

Samego przebiegu wojny domowej nie opowiada, mówiąc, że inni opisali ją dostatecznie i lepiej, niżby on potrafił, i przechodzi do spraw moskiewskich, poczynając od Dymitra.

I tu należy mu przyznać zasługę, że ze wszystkich historyków tego okresu najlepiej rozumie stronę potworną i oburzającą tej sprawy: zuchwalstwo ludzi prywatnych, poddanych Rzpltej, którzy na własną rękę śmią nieść wojnę w granice Państwa, z którem ta Rzplta jest w pokoju. Nic nie może dać lepszej miary słabości polskiego rządu, jak że fakt taki był możliwym; w każdym innym kraju Mniszech albo Sapieha byłby uwięzionym i sądzonym. Zygmunt, który z pewnością nie byłby takiego zuchwalstwa zniósl, gdyby chodziło o innego sąsiada Rzpltej, Turka albo cesarza,

patrzał na nie przez szpary, bo w rozruchach moskiewskich widział korzyść dla Polski i nadzieję rozszerzenia katolicyzmu. Ale nie można zaprzeczyć, że on w tym razie postąpił względem Rosyi nie uczciwie, a ze względu na Polskę niezręcznie, skoro pobłażając monarchicznym marzeniom Mniszcha wplątał Rzpltą w wojnę długą, niebezpieczną i niepotrzebną. Otóż tę stronę rzeczy rozumie Kobierzycki doskonale, lepiej od wszystkich historyków współczesnych i nie oszczędza tych, którzy dali powód do zawikłań moskiewskich.

W rok po śmierci Żółkiewskiego Rzplta musiała podjąć wojnę, której byłaby sobie może oszczędziła gdyby jego wyprawiła z dostatecznemi siłami; a jak Żółkiewski moskiewską, tak tę opisał mąż jego wnuczki, ojciec jego Mściciela, wezwanego i przepowiedzianego grobowym napisem w żółkiewskim kościele, Jakób Sobieski.

Człowiek nie tych rozmiarów, co Żółkiewski; nie ma w nim wodza, ani bohatera, ani męczennika, ale człowiek bardzo szanowany i sympatyczny, dobry żołnierz za młodu, dobry senator w wieku dojrzałym, uczciwy, rozumny, poważny ojciec rodziny, bardzo w całym kraju popularny, normalna polska natura i egzystencya, typ senatora, arystokraty, który przecież szlacheckich tradycyj nie zatracił i jest do całej szlachty polskiej życiem, obyczajem, rodzajem umysłu podobny. Mówca okolicznościowy, zawołany i wielce podziwiany, nawet w tym czasie, kiedy każdy był okolicznościowym mówcą. Nikt może w całej Polsce nie powiedział tylu mów pogrzebowych, weselnych, przy oświadczeniu kawalera, przy dziękowaniu za pannę, przy oddawaniu panny i t. p., co Jakób Sobieski. Bez wielkości, bez tego poetycznego uroku, jaki mają wszyscy Żółkiewscy (może przez to, że giną tak po bohatersku), jest on postacią bardzo szanowną i wcale sympatycznym, ciekawym typem.

Jego książka, *Commentarius Belli Chotinensis*, nie

ma takiego wdzięku, jak pamiętnik Żółkiewskiego, może nawet nie jest tak zajmująca, ale wartości ma wiele. Może i sam przedmiot sama natura tej wojny jest powodem tego mniejszego zajęcia; bo trudno kampanii, która będąc tak stanowczą w swoich skutkach, tak świetną i korzystną, była zarazem mniej efektową. Dziwny to dowód polskiej elastyczności, zmienności usposobień, nerwowości, żeby tak powiedzieć, ta wojna chocimska. Dlaczego ta sama Polska przed rokiem tak opieszała, tak niechętna do boju, tak niewytrzymała na trudy, tak mało nawet waleczna pod Cecorą, po roku pod Chocimem spotyka się z siłą nierównie groźniejszą, wytrzymuje wszystkie niewygody i niedostatki, nie traci ducha w położeniu bardzo trudnem, widzi je, ale woli zginąć do ostatniego człowieka, niż się cofnąć, bije się doskonale i odnosi zwycięstwo znaczące i ważne dla całej Europy, wpływające na jej przyszłość, siłami niedostatecznemi, nierównie mniejszemi od tureckich. Gdybyśmy byli zawsze tacy, jak pod Chocimem, gdzie każdy od hetmana do żołnierza swój obowiązek pełnił i siebie dla niego poświęcał, stalibyśmy inaczej. Na nieszczęście, ten stopień obywatelskiej i żołnierskiej cnoty objawiał się tylko paroksyzmowo; jak paroksyzmowo także, na szczęście, przychodziło to usposobienie haniebne, jakie było pod Piławcami.

Wojna chocimska jest niezawodnie jednym z świetnych czynów polskiej broni i patryotyzmu, jednym ze skuteczniejszych; ale cała w utarczkach, w wycieczkach, w drobnych akcyach wojennych, jest jedną z mniej efektowych i malowniczych. Powtarzające się małe korzyści, które Turkom może więcej szkodziły, niż jedna wielka walna bitwa: ale ani jednej chwili stanowczej, rozstrzygającej. Z tego więc względu historya jej z natury rzeczy musi być mniej zajmującą, aniżeli innych wojen. Nie z winy opisującego, bo ten owszem pisze i opowiada bardzo dobrze; mówiąc po

literacku daleko lepiej, daleko staranniej, niż Żółkiewski. Ma wprawdzie trochę pedantyzmu, właściwego swojemu wiekowi i wychowaniu, ulega swojej skłonności do oracyi, folguje swojej zawołanej swadzie, kiedy wtyka w swoje opowiadanie mowy różne, przez niego oczywiście ułożone na podstawie jakichś zapewne daleko prostszych słów Chodkiewicza. Jeżeli nawet stary hetman istotnie zalał się łzami, to pewnie nie mówił tak pięknie, tak zaokrąglonymi okresami. Ale to ślad czasu, który dziś wychodzi nie na zaletę historyka, ale na charakterystyczną cechę książki.

Jego właściwą cechą i zaletą jest to, że opowiada bardzo dobrze, bardzo jasno, porządnie, zrozumiale. Z czegokolwiek ma zdać sprawę, czy z bitwy, czy z położenia wojska polskiego, czy z politycznych i dyplomatycznych względów, które wpływały na zawarcie pokoju i jego poszczególne punkty, wszystko to umie doskonale przedstawić. Wszystko, co zapisuje, jest ciekawe i ważne jako informacya, jako zeznanie naocznego świadka, wcale bystrego i grającego jedną z pierwszych ról w obozie; a niektóre ustępy, naprzykład negocyacye pokojowe z wezyrem, pobyt komisarzów polskich w obozie tureckim są zajmujące i zabawne nawet dla wyobraźni. Do wypadków, które opisuje, jest on najważniejszem źródłem, a książka jego dowodzi, że miał niepoślednią wcale zdolność dziejopisarską, i szkoda, że jej na ten jeden raz tylko użył.

Swoją drogą i ten pamiętnik, pomimo, że opowiada zwycięstwo, jest do czytania przykry. Bo jeżeli oni pod Chocimem sprawiali się bardzo dobrze, to inni w kraju sprawiali się źle. Władysław spóźnia się do obozu, bo nie może rychło zebrać wojska i dostać broni — żołdu niema, pospolite ruszenie z królem nie przychodzi wcale. O ile prędzej, o ile świetniej mogła wypaść i wojna i zawarty po niej pokój, gdyby to wszystko było, jak było powinno, na swojem miejscu, o swoim czasie.

Mnoży się pamiętnik w ścisłem znaczeniu słowa, i naturalnie dziś jest do poznania owego czasu bardzo pomocnym. Najznakomitszy, Pamiętnik Albr. Stanisława Radziwiłła, choć przekracza panowanie Władysława, cały jest niem wypełniony, a pisze się przez cały jego ciąg. Słusznie więc jest do tych lat go zaliczyć.

Pomiędzy pamiętnikami w ścisłem znaczeniu na pierwszem miejscu stoją Pamiętniki Stanisława Albr. Radziwiłła, kanclerza w-go litewskiego, i przewyższają wszystko, co w tym rodzaju posiada nasza literatura XVI i XVII wieku. Oryginalnie pisane po łacinie, przełożone były na język polski rychło, prawdopodobnie przez jednego z Radziwiłłów. Naprzód jest to jedno z najobfitszych i najciekawszych źródeł do historyi Władysława IV, która cała jest w nich objęta, równie jak kilka pierwszych lat J. Kazimierza. Ważność tego dzieła tłómaczy się samem stanowiskiem autora, który jako minister, jedna z pierwszych figur ówczesnej Polski, stał przy samem źródle najlepszych informacyj, i każdą sprawę znał dokładnie, nie tak jak ona wydawała się patrzącej na nią zdaleka opinii szlacheckiej, ale tak, jak była widziana i rozumiana w gabinecie królewskim. Powtóre był ks. kanclerz człowiekiem rozumnym, który umiał patrzeć i sądzić; to dość, żeby jego pamiętniki mogły być i ważne i zajmujące. Ale nie dość na tem, są inne jeszcze względy, które im zajęcia dodają. Naprzód mnóstwo szczegółów, bądź ścisle historycznych, bądź prywatnej natury, które wybornie charakteryzują stan społeczny i polityczny Polski XVII wieku; i nie polegając zawsze na zdaniu Radziwiłła, nie podzielając zawsze jego sposobu myślenia, bo ten bywa nieraz mylny, trzeba czytać jego Pamiętnik, chcąc znać i rozumieć dobrze jego czasy, mianowicie chcąc mieć wyobrażenie dokładne o dwóch typach, w których zamykało się ówczesne życie społeczne i polityczne, o magnacie senatorze i o szlachci-

cu pośle. Radziwił nigdy nie kreśli wizerunku osób, ale opowiadając różne zajęcia i wypadki, mówi o tych osobach, przedstawia je w działaniu niejako, i przez to, może sam o tem nie wiedząc, tak daje poznać ich pojęcia, powody ich postępowania, że pomaga doskonale do zrozumienia historyi, do zrozumienia tego, jak się pojmował w Rzpltej możny senator, jak z urodzenia przyznawał sobie prawo do wszystkiego, jak wszystko, co się nie stało po jego myśli i woli, brał najczęściej jako swoją krzywdę, jako uwłaczenie swojemu prawu. Z drugiej zaś strony, z jego opisu sejmów, choć on sam najczęściej ich nie krytykuje, ale przyznaje im słuszność, widzi się jak te sejmy radziły, uchwalały lub rozchodziły się na niczem, płocho, bezmyślnie, jak szły za każdym wiatrem, który je popchnął w tę lub ową stronę.

Wreszcie jedną z wielkich ciekawości książki jest autor sam i jego znajomość. Człowiek bardzo ciekawy w swoim rodzaju ten książę kanclerz; poniekąd typ natury polskiej w tych jego egzemplarzach, gdzie ona staje się zawikłaną, złożoną z różnych pierwiastków, a nawet sprzeczności, przebiegłą i dyplomatyczną. Albr. Radziwiłł, to jedna z tych cichych wód, które przecież czasem brzegi rwą, a co urwą, do siebie garną. Człowiek nie zły, ale owszem jeden z lepszych, poważniejszych senatorów swego czasu. Rozumny, oświecony, dobry Polak, gorliwy katolik, nic złego nie zrobił, nikogo nie skrzywdził, nikomu nie dał złego przykładu, owszem, mógł uchodzić za dobry przykład dla wszystkich. W Rzpltej nie wichrzył, w mętnej wodzie ryb nie łowił, odbija zatem bardzo korzystnie od innych ludzi swego wieku i stanu, od Zebrzydowskich, Opalińskich, od swoich stryjecznych braci i synowców Radziwiłłów. Przecież w tym poważnym i zasłużonym senatorze siedzi uraźliwy magnat polski, w tym gorliwym katoliku hypokryta. Z tego, co pisze, raczej z tego, jak pisze, zdawałoby się, że niema człowieka

skromniejszego, pokorniejszego, mniej dbałego o świat i jego znikome dobra; zdawałoby się, że wykonywa obowiązki swego urzędu, dopóki się Panu Bogu będzie podobało trzymać go na tym świecie, bo tak każe sumienie, ale dusza żyje na tamtym świecie i zatopiony w pobożności myśli tylko o zbawieniu duszy, pokutuje, pielgrzymuje do miejsc cudownych, buduje kościoły i klasztory, szczęśliwy i wdzięczny, że Bóg pozwolił mu zrobić coś na swoją chwałę i w części za grzechy zadośćuczynić, jemu nędznemu grzesznikowi, niegodnemu prochowi, *cinis et terra.* Tymczasem to wszystko godzi się u niego doskonale z używaniem i z pragnieniem ziemskich marności, owszem z różnemi ziemskiemi słabościami i skłonnościami. Książę kanclerz jest bardzo rad, że jest kanclerzem, i gdy go kto spróbował zachwiać w jego powadze, pokornie znieść by tego nie umiał. Każdy najdrobniejszy znak niełaski królewskiej, każde słowo mniej serdeczne, notuje w swoim pamiętniku z pewną goryczą, która dowodzi jak go ono bolało. Książę kanclerz rad jest i z tego, że jest Radziwiłłem: żyłkę rodową ma; nie bez upodobania wspomina o znaczeniu i przewadze *nas Radziwiłłów.* — Swojego stryjecznego brata Krzysztofa woj. wil. i hetm. lit. i jego syna Janusza nie lubi, jako heretyków naprzód, powtóre może jako Radziwiłłów, którzy go ćmią cokolwiek blaskiem swoich zaszczytów: kiedy się tamtym coś stanie na złość, on się nie może wstrzymać od złośliwego uśmiechu uciechy, często pozwala sobie różnych do nich przytyków. Ale to między sobą. Niechże kto poważy się dotknąć Radziwiłła, niech król naprzykład da komu innemu urząd lub starostwo, do którego woj. wileński miał pretensyę (mówi się prawo), kanclerz obstaje zaraz gorliwie za bratem, którego nie lubi, popiera, forytuje, patronuje jego sprawę, choćby niesłuszną, aż dopóki „nasza nie będzie górą." Jest więc przy całej swojej pokorze i cichości oligarchą, jak wszyscy inni. A przy całej swojej pobożności

i oderwaniu od świata, o marną mamonę dba doskonale. Kiedy mu kazano z tucholskiego starostwa płacić podwyższony procent królowej Cecylii, targował się do upadłego, wywołał wielką sprawę, odgrażał się królowi opozycyą. Nawet na marne wdzięki niewieście nie był nieczułym, i kiedy jego synowiec Janusz prosił go o protekcyę przed piękną wojewodzianką sandomierską i jej matką, książę kanclerz, wdowiec, już niemłody, o mało że panu synowcowi pięknej dziewczyny nie zdmuchnął. Czy dlatego mamy go mieć za brzydkiego hypokrytę, myśleć, że wszystkie swoje cnoty chrześcijańskie i obywatelskie udawał tylko, a w gruncie był tylko próżnym, dumnym, samolubnym? Nie. On był szczerze w dobrej wierze pobożnym i religijnym, gorliwym; był naprawdę dobrym Polakiem i obywatelem. Ale był mieszaniną tych przymiotów i tych wad; a o tych wadach może nawet nie wiedział, bo one u niego były mniejsze, niż u iunych współczesnych, bo się wychował, żył, myślał jak oni, bo był Radziwiłłem i kanclerzem, któremu nikt zapewne, może ani spowiednik nawet, nigdy ostro i wyraźnie nie powiedział, że to były wady. A z natury był trochę przebiegłym, trochę frantem, i umiał te pozory abnegacyi i skromności godzić z ziemskiemi myślami i pragnieniami; przez dyplomatyczną subtelność rozumowania, umiał tak swoje sumienie złudzić, że sam w sobie najmniejszej sprzeczności nie widział. Dziwna figura, w której jest i zacny człowiek i senator, i mnich, oddający się namiętnie religijnym praktykom, i magnat przywiązany bardzo do swego rodu i nazwiska i bardzo na tym punkcie drażliwy, i cokolwiek zręcznego i wykrętnego palestranta, Rejenta Milczka. Tylko sprawiedliwość nakazuje powiedzieć, że to złe, jakie w nim było, nigdy nie wzięło góry nad dobrem, że on nigdy Rzpltej ı zaszkodził, nigdy jej dla osobistych widoków źle ı radził, ani dla osobistych uraz nie wichrzył; że je postać przez swoje słabości i wady stała się ciekaw

i nieco zabawną, ale pomimo ich nie przestała być szanowną i zasłużoną.

W opiniach swoich książę kanclerz jest przedewszystkiem katolikiem. To góruje nad wszyskiem, to zawsze prawie decyduje o jego politycznem zdaniu i postępowaniu w każdej sprawie. Cały w praktykach religijnych, pielgrzymkach, odpustach, fundacyach kościołów, sesyach prowincyonalnych zakonów, jest on wielkim zwolennikiem i wielbicielem Jezuitów. Za tem może idzie wielka sympatya, wielkie uszanowanie dla dworu austryackiego i hiszpańskiego, skłonność do austryackiej polityki. Szanuje on wszystkie dwory zagraniczne w Europie (zawsze one naszym Polakom imponowały) i lubi bardzo wspominać wdzięcznie swoje z zagranicznymi panami znajomości i ich dla niego grzeczności. Ale dwór cesarski zawsze najwyżej; a francuskiemu, choć go kocha, bo tam dla niego byli bardzo uprzejmi, nie może zapomnieć tego, że rywalizuje z cesarzem i stara mu się szkodzić. Do całości i harmonii tych jego wyobrażeń należy naturalnie i koniecznie to, że polityka króla Władysława często mu nie dogadza; on nie gani, nie krytykuje, wyraża się o królu zawsze z należną rewerencyą, przecież znać, że nie aprobuje jego polityki, a gdzie może stara się kierować ją ku Austryi. W opozycyi on nie jest nigdy, ale nie jest gorliwym stronnikiem króla, ani jego pomocnikiem, ani zaufanym powiernikiem jego zamiarów; a w wielkiem, ostatniem usiłowaniu Władysława, w planie koalicyi przeciw Turkom i w sprawie zaciągów, na sejmie r. 1646, dziwnie jest i smutno powiedzieć, książę kanclerz, choć rozumny i w rzeczach polityki doświadczony, stał po stronie całej niemyślącej opozycyi szlacheckiej.

Z tego można poznać, w jakim duchu opisywał dzieje, na które patrzał. Jeżeli w historyi pisarz nie może, albo i nie powinien wypierać się i taić swoich wyobrażeń i sądów, to w pamiętnikach osobiste jego

stanowisko i odbić się musi daleko wyraźniej, i ma do tego niezaprzeczone prawo. Stanowiska tego historyk, który z pamiętnika czerpie, nie potrzebuje, nie powinien przyjmować, ale nie ma prawa autorowi robić z niego zarzutu. I dlatego zarzut, jaki Radziwiłłowi zrobić można słusznie, jest jeden tylko, a odnosi się do literackiej strony, do formy jego dzieła. Oto, Pamiętnik jego jest dyaryuszem, podzielonym na miesiące i dnie, i każdego dnia zapisuje się w nim, co zaszło. Wartości historycznej, źródłowej, może mu ten sposób pisania dodaje, bo naprzód jest rękojmią autentyczności tego, co on podaje; on nie miał czasu ani zapomnieć, ani odmienić, ułożyć, inaczej obrócić tego, co widział w ciągu dnia, a wieczorem zapisał. Oprócz tego, dzięki tej formie dyaryuszowej, przechowała się w Pamiętniku cała świeżość pierwszego wrażenia; każdy fakt w tem świetle, w jakiem on go zrazu ujrzał, myśl nie miała czasu i możności wyrazić się inaczej, ukryć, zmodyfikować, przez co Pamiętniki są i wierniejszem zwierciadłem samego autora. Ale pod względem literackim wiele one przez to straciły. Naprzód wszystko, co się w tej formie pisze, wygląda jak zapisane tylko, nie napisane, czyta się sztokato siekanym, przerywanym sposobem, a tem samem mniej zajmuje i mniej zostawia wrażenia. Powtóre, dzięki zawsze tej samej przyczynie, wcisnęło się w Pamiętniki mnóstwo szczegółów zupełnie drobnych, obojętnych, tyczących się księcia jegomości, jego majątków, dworu, służby etc. Kiedy którego dnia nie ma nic do zapisania, to zapisze naprzykład, że była niedziela, i że był na nabożeństwie. Szkoda jest wielka. Pamiętniki jego nie byłyby zapewnie nigdy tak zajmujące jak Saint Simona, bo nie było w nim tej ironii, tego ziarnka sceptycyzmu, którymi tamte są zaprawione; może nie było tego talentu pisarskiego, tej głębokiej znajomości ludzi i daru opisywania ich, jakie ma tamten. Ale treść jest tak zajmująca, tak obfita w ciekawe szczegóły, sam sposób

opowiadania, kiedy się autor czasem obszerniej rozgada, taki żywy i dobry, że te pamiętniki byłyby dziś niezawodnie bardzo popularne, bardzo rozpowszechnione i czytane, gdyby nie ten nieszczęśliwy, dyaryuszowy sposób pisania. On go użył do tego zapewne, że za jego czasów już wszyscy tak robili, już każdy niemal szlachcic pisał jakiś dyaryusz, który potem zostawał jako pamiątka dla dzieci. Książę kanclerz swojego do druku nie przeznaczał; miał zbyt wiele literackiego wykształcenia, żeby był chciał drukować coś w tak surowej, niewyrobionej formie. On musiał go przeznaczać do familijnego archiwum, i myśleć, że kiedyś po nim przyszli Radziwiłłowie, odczytując, będą korzystać z jego doświadczeń, uczyć się od niego sztuki rządzenia sprawami kraju i domu. Napisał więc dyarusz, który ze wszystkich prywatnych w Polsce jest może najlepszy i najważniejszy, ale zawsze szkoda, że jest tylko dyaryuszem.

Niepodobna jest powtarzać za Radziwiłłem wszyskich zajmujących miejsc jego Pamiętników, jest ich za wiele; trzeba poprzestać na tem, że od początku, od bezkrólewia i elekcyi Władysława, niema jednej sprawy ważnej, którąby on pominął, którejby nie opowiedział. Jest tak skrupulatny, tak dokładny, że opisując jaką radę senatu lub posiedzenie sejmu, jeżeli chodzi o jaką materyę sejmową, zapisuje vota, a często i treść mów tego lub owego senatora i posła. W tym rodzaju elekcya króla Władysława, i sejm roku 1646 (choć w tym ostatnim on stał po złej stronie i źle rzeczy widział) należą do najcelniejszych ustępów książki. Ale wszystko wogóle, z wyjątkiem takich drobiazgów, jak „byłem w kościele, albo byłem u tego i tego na obiedzie,” wszystko jest zajmujące i ciekawe. A nie najmniej ze wszystkiego ciekawe są te ustępy, w których autor bezwiednie, mimowolnie, naiwnie, daje poznać ze złej strony, czy siebie samego, czy swoich, czy stan społeczeństwa polskiego w ogólności. Naprzy-

kład, po śmierci Lwa Sapiehy, zawakowało województwo wileńskie i wileńska kasztelania. Król deklarował województwo Tyszkiewiczowi wojewodzie trockiemu, a kasztelanię hetmanowi Radziwiłłowi, który miał ochotę na województwo. Na tę wieść książę kanclerz struchlał. Hetman się obrazi, król zrobi sobie nieprzyjaciela! i póty chodził, póty prosił, póty się starał, aż król już nadane województwo, za które Tyszkiewicz był dziękował, odebrał i Radziwiłłowi oddał. Szczegół ciekawy i rzucający wiele światła na naszè stosunki — ten król, który zmienia postanowienie ogłoszone i wykonane, odbiera urząd dany, żeby nie obrazić Radziwiłła! Jakże się dziwić, że oni byli zepsuci, kiedy ich tak psuto. Albo kiedy opisuje swoją sprawę z królową Cecylią o starostwo tucholskie. Było to jedno z tych, na których zabezpieczone były dochody królowej. Kanclerz płacił jej 24,000 zł. rocznie. Po jej wyjściu za mąż, dochody te przejść miały na królowę, która zażądała lustracyi dóbr i podniesienia swojego prowentu. Obrażony kanclerz nietylko się z nią i z królem długo targuje, ale grozi zerwaniem sejmu. Jako smutny, ale ciekawy rys obyczajowy, godna uwagi historya księdza Tarnowskiego, albo doraźnej egzekucyi, spełnionej przez jakiegoś pana nie nazwanego na dworzanach.

Kończy się dziennik w marcu r. 1653—krótki dopisek mówi tylko na końcu, że autor czuje się za starym, a wypadków taki nawał i takie smutne, że do opisywania ich nie ma chęci ani odwagi.

Jest on niezaprzeczenie królem naszych pamiętnikarzy tego wieku i obu dawniejszych wieków; żaden nie jest tak dla historyi ważnym, żaden tak pomocnym. Pan Pasek, tak bardzo i słusznie popularny, to zupełnie co innego. Pasek jest zabawniejszy od Radziwiłła, i przez swój humor, i przez swój samorodny oryginalny sposób pisania, i przez różne zabawne komiczne zdarzenia, które opowiada. Ale Pasek jest ciekawą lekturą, ciekawem odbiciem ówczesnych głów,

nie może być wziętym za podstawę prac historycznych. U Radziwiłła niema takiej fantazyi kawalerskiej, niema ciekawych przygód w Danii, niema historyi wydry, ale jest zapas wiadomości i sądów, jakich Pasek mieć nie mógł. On patrzał na wypadki z poziomu całej opinii szlacheckiej, tyle o nich wiedział, tyle z nich rozumiał, co wszyscy. Radziwiłł prowadził te sprawy, a przynajmniej jest jednym z tych, którzy je prowadzili; i jest jednym z głębszych, poważnych umysłów ówczesnej Polski. Sąd ich i ich informacye są do siebie w takim stosunku, w jakim byłoby dziś to, co o sprawie jakiej napisze doraźnie, powierzchownie jaka gazeta nie szczególnie informowana, do tego, co mówią o niej urzędowe korespondencye rządów z ambasadorami. Nie trzeba mówić, co dla historyi ważniejsze, na czem ona pewniej się oprzeć, z czego więcej wyczerpnąć może.

Jerzy Ossoliński to więcej, niż Albrycht Radziwiłł, i jego Pamiętnik powinienby jako źródło historyczne być pierwszym między wszystkimi. Niestety, ta *Autobiografia*, która po dwustu z górą latach, pierwszy raz z rękopisu dostała się do druku, obejmuje tylko samą pierwszą młodość kanclerza. Lata dziecińslwa są suchemi tylko zapiskami dat i rodzinnych zdarzeń. Dalej, kiedy piętnastoletniego chłopca ojciec wysyła do nauki do Lovanium, szczegół ciekawy, że ten studencik, to dzięcko, dostaje listy polecające od swego króla do wielkorządczyni Brabantu, infantki Izabeli, i do jej męża. Jakie wielkie, a dla nas trudne do zrozumienia, musiały być towarzyskie pozycye tych ludzi i rodów.

Bardzo zajmująca służba przy królewiczu Władysławie, dworska, a razem wojskowa w wyprawie moskiewskiej. Szujski zrobił z niej swój ładny dramacik *Dwór królewicza Władysława*, zmieniając bardzo opowiedziane w Pamiętniku wypadki. Niezadługo potem młody kawaler stara się i żeni; z miłości, ile wnosić można

i to z miłości wzajemnej, skoro panna (Daniłowiczówna miała konkurentów kilku, i bogatszych, i wyższych) stopniem, a jednak wyszła za tego, jak się sam nazywa „chudopachołka.” W rok po ślubie, a w 25 roku swego życia, posłany jest do Anglii, i to w sprawie niemałej. Chodzi o przekonanie panów chrześcijańskich, że powinni Polskę wspomagać przeciw Turkom. Król Jakób i wszechwładny faworyt Buckingham, przyjmują posła z uprzejmością niezmierną; pomocy nie odmawiają, ale starają się przy tej okazyi o pewne handlowe korzyści, które poseł od swego dworu otrzymać się stara. Musiał on w swoich młodych latach mieć już ustaloną sławę głowy bardzo niezwykłej, kiedy mu poruczono zadania tak ważne, a zawikłane. Wartości historycznej dodają Pamiętnikowi dokumenty, które są przytoczone w tekscie, instrukcye dworu polskiego, noty angielskiego, raporty posła do króla i t. p.

Wszystkie inne pamiętniki współczesne, lepsze i gorsze, ważniejsze i lżejsze, stoją daleko w tyle za Radziwiłłem. Jedne z nich dotyczą jednego tylko faktu, jednego szczegółu, jednej wojny naprzykład, i przeto należą raczej do tego rodzaju, co Pamiętnik Żółkiewskiego albo komentarz Sobieskiego, od tamtych tylko gorsze. Inne znowu, nie mniej drobiazgowe, a lżejsze, wyłącznie anegdotyczne, nie mogą co do wartości mierzyć się z poważnymi historycznymi Pamiętnikami Radziwiłła. Takie są, naprzykład, Wassenberga *Gesta Vladislai Principis*, albo Stefana Paca, podczaszego litewskiego, Dziennik Podróży królewicza Władysława po Europie. Autor był dodany królewiczowi za towarzysza w tej podróży, w której przewodnikiem, opiekunem, mentorem, dodanym przez króla synowi, był właśnie książę kanclerz litewski. Podróż ta jest dość ciekawa. Ciekawe są te różne hołdy i grzeczności, z jakimi Władysława obce dwory przyjmują; on sam wygląda bardzo sympatycznie, młody, żywy, chciwy zabawy, podróżuje *incognito*, rad, że mo-

że się wyzwolić z nudów dworskiej etykiety i ceremoniału. Tymczasem *incognito* zachować się nie daje; wszędzie wiedzą, kto on jest, przyjmują z wielkimi honorami, witają, perorują. Jego to nudzi i niecierpliwi okropnie; ale jest bardzo grzeczny, bardzo dobrze wychowany, nie chce tych burmistrzów, komendantów i t. p. pozbawić przyjemności, jaką im sprawia przyjmowanie zagranicznego księcia; nie chce, żeby koszta na przyjęcie były im zmarnowane i żeby ich ominęło widowisko, za które zapłacili z góry, i poświęca się, występuje mimowoli w swojej roli książęcej, tylko czasem po polsku mruknie do którego ze swoich, żeby go przyszedł ratować, „bo go ten Włoch albo Niemiec na śmierć zanudzi." Dla swoich towarzyszów podróży, zdaje się, był bardzo miły, przyjacielski, poufały; niekiedy w sekrecie przed powagą księcia kanclerza, musiał z nim hulać, bo Pac pisze, że „co się tu a tu działo, o tem, broń Boże, wspomnieć nawet przed rodzonym bratem"—to znaczy zapewne, że królewicz podchmielony, musiał wyprawiać jakie zbytki z wielkiem ubliżeniem swojej dostojności. Można się też domyślać, że miał upodobanie w sztukach, bo gdzie tylko przyjadą, idzie odwiedzać pracownie malarzy. Przechodząc przez Alpy, pije na braterstwo ze swoim przewodnikiem, który do niego mówi ty, a rozchodząc się, dają sobie jakieś upominki na zakład wiecznej przyjaźni. Słowem, takich dość zajmujących szczegółów o królewiczu i ładnie o nim świadczących jest tam nieco, i dla tego czyta się to ciekawie; ale Pamiętnik jako taki, napisany sucho, dyaryuszowym sposobem, wielkiej wartości literackiej, a tem bardziej historycznej, nie ma.

To więc są znaczniejsze produkcye historyczne tego okresu Najlepszą historyą, obejmującą największy przeciąg czasu, a napisaną z największą zdolnością, jest kronika Piaseckiego; około niej grupują się historye częściowe, monografie, Łubieńskiego, Żółkiew-

skiego, Sobieskiego. Z pamiętników najwięcej wartości mają pamiętniki Radziwiłła. Głównem znamieniem dziejopisarstwa z tego okresu, jest jego wielkie podobieństwo do okresu poprzedniego; to samo pojęcie historyi, ten sam sposób pisania jej. Różnica, jaka jest, polega w stopniu zdolności poszczególnych pisarzy i w tem, że każdy z nich pisze ze stanowiska swojego stronnictwa bardziej i wyraźniej, niżeli to bywało w wieku XVI. Nie można powiedzieć, żeby dziejopisarstwo tego okresu było w upadku: owszem, pod niektórymi względami ono się nawet rozwija. Mianowicie, jest teraz większa liczba piszących i rozpowszechnia się zwyczaj pisania pamiętników i dyaryuszów, które historycznego kunsztu może nie posuwają naprzód, ale pomnażają bardzo zasób historycznego materyału. Typem i wzorem dla historyków tej epoki, jest Heindenstein, wzorem niedoścignionym, bo najlepszy z nich, Piasecki, nie dochodzi go ani pisarską zdolnością, ani politycznym sądem. Ale jeżeli nie dorównywują najlepszemu z historyków poprzednich, to znowu mniejszych ci przewyższają i liczbą i wartością. Piasecki ma daleko więcej krytycznego i politycznego poglądu na wypadki, aniżeli naprzykład Bielski. Łubieński, Żółkiewski, nawet Kobierzycki, mają więcej historycznej wartości, aniżeli Solikowski lub Górnicki. Z wyjątkiem więc jednej wymowy kościelnej, jest historyografia tą gałęzią piśmiennictwa, która w pierwszej połowie XVII wieku najlepiej wytrzymuje porównanie z wiekiem XVI i temu nie wiele, może i wcale nie ustępuje.

Za historyę więc w pierwszej połowie XVII wieku wstydzić się nie mamy powodu. Nawet w porównaniu z historyografią zagraniczną, wygląda ona nie ostatnio, choć współczesnym Francuzom i Anglikom musi ustąpić pierwszeństwa. Ale jest jeden zarzut, którego jej oszczędzić nie można: oto, że nie postępuje naprzód. W połowie XVI wieku ona postąpiła bardzo, kiedy zaczęła się wyzwalać z dawnej formy kroniki

a przez Stryjkowskiego i Sarnickiego objawiała nawet pewne dążności do krytycznego badania (dążności, nie rezultaty). Teraz, ten ostatni kierunek zatracony jest zupełnie, a nowych dróg, nowych pojęć, form, szerszych horyzontów, historyografia nie szuka i nie próbuje; zostaje w utartej kolei, zostaje na miejscu, i wskutek tego, niebawem zaczyna upadać i sama w sobie, i zwłaszcza w porównaniu z historyoryografią zagraniczną. Bo kiedy ta pod koniec XVII wieku zaczęła wchodzić na drogę krytycznego badania i umiejętnego traktowania, nasza została kroniką współczesnych wypadków, jak w XVI wieku i pierwszej połowie XVII, tylko, była pod ręką Kochowskiego kroniką gorszą, aniżeli za Heidensteina i nawet za Piaseckiego.

Ukazują się częściej zawiązkina romans; i to prawdziwy, czysto romansowy romans, przeznaczony na poruszenie serc czułych i czarowanie żywych wyobraźni. Nadobna Pasqualina uczyła i moralizowała pod powabnym pozorem; ale Hieronim Morsztyn pisze szczere powieści, bez tendencyi i morału. Jest to odnoga z tego pnia, który puszczał świetne gałęzie we Włoszech od XIV wieku, we Francyi w XVI. Powiastki, nowelle, sto razy we wszystkich krajach powtarzane i przerabiane, czasem dodatkami przemienione tak, że poznać je trudno, a przecież rodzajem, często i treścią, pochodząco od Boccacia. Morsztyn już w pierwszych latach XVII wieku wydał *Światową Rozkosz*; później zjawiały się od czasu do czasu niektóre ucieszne historye przez innych pisane czy przerabiane. Ale on i najwięcej, i wyłącznie, poświęca się temu rodzajowi tworzenia. Czy z wielkiem szczęściem?

Hieronim Morsztyn pisze powieści rycersko-romansowo-moralne, które mają uczyć, jak niebezpieczną namiętnością jest miłość i jak się na niej źle wyodzi; a pisane są z tak naiwną i otwartą nieprzyoitością, że mogą i samego złego nauczyć, nietylko awiennej obawy złego. Należą one do tego rodzaju wieści, którego początek gubi się gdzieś w średnio-

wiecznej poezyi, w Zagach, który przechodzi przez Ariosta i Tassa, a wyradza się w końcu w nieskończone romanse niemieckie XVII wieku, w romanse panny Scudéry, w Argenidę Barclaya, aż się kończy na Koloandrze i na powieściach Drużbackiej.

Morsztynowi zawdzięcza literatura polska śmieszną historyę o księżniczce Banialuce, która była ulubionym i bardzo czytywanym romansem w swoim czasie, *Antypasty Małżeńskie*, trzy rycersko-romansowe powiastki moralne, i *Philomachię*, taki sam zbiór takich samych powieści. Osądzić je można z samej treści.

Historya królewnej Orysteli i księcia Arragońskiego Alfonsa jest następująca.

Minos, król Krety ma dwoje dzieci, syna Androgiego i córkę Orystellę (o Ariadnie i Fedrze historya milczy). Androgi, młodzieniec wielkich nadziei, ginie w bitwie przeciw Ateńczykom. Ojciec, mszcząc się jego śmierci, idzie na wojnę, zwycięża, i bierze mnóstwo jeńców, między którymi Alfonsa ks. Arragońskiego, syna hetmana Ateńczyków. Nieszczęśliwy jeniec, rzucony gdzieś na dno jakiejś strasznej wieży, słodzi nudę swoją śpiewem, a śpiewa tak pięknie, że aż panny fraucymeru królewnej dosłyszały, rozczuliły się, i Orystelli o śpiewaku doniosły. Orystella słuchała śpiewu, a wysłuchawszy, ciekawa była zobaczyć śpiewaka; podstępem dostała się do więzienia, a wtedy rozchorowała się z miłości tak śmiertelnie, że nic jej pomódz nie mogło. Minos, dowiedziawszy się o przyczynie choroby, rozgniewany, ale nie chcąc stracić córki, darował jej Alfonsa za niewolnika, przykazując żeby pełnił najcięższe służby, drwa rąbał, w piecu palił, wodęn osił. Alfons wypełniał sumiennie te obowiązki, służył Orysteli, jak mógł i czem mógł najlepiej; aż nareszcie Minos sam przekonał się o skutkach swego nieroztropnego rozkazu. Wielki gniew; Alfons na nowo idzie do więzienia, ale Orystella, która bez niego żyć nie może w różnych przebraniach umie się do niego zawsze dostać. Minos, szpiegując ciągle, chwyta raz córkę na go-

rącym uczynku; w napadzie wściekłości, rani mieczem ją i Alfonsa, każe potem Alfonsowi, żeby zabił Orystellę, a gdy ten nie chce, zabija własną ręką oboje, i jeszcze w dodatku żonę (nie Pasifaę, ale cnotliwą królowę Eleonorę), która się za nimi wstawiała. Za tę surowość został po śmierci sędzią piekielnym,—a cała historya ma uczyć, że panny nie powinny kochać się przeciw woli ojców i w sekrecie odwiedzać kawalerów.

Druga powieść taka: Tankred, książę Salernu, ma córkę Zigismundę, wdowę nadzwyczajnej piękności, o której rękę ubiegają się wszyscy królowie, książęta i rycerze z całego świata. Ale ojciec wszystkich odprawia, przez egoizm, żeby się z córką nie rozstawać. Zigismunda, której się wdowieństwo przykrzy, umyśliła obejść się bez ojcowskiego pozwolenia, i bez sakramentu nawet. Upodobała sobie pięknego giermka, Gwizdarda (Guiscarda?). Nieszczęściem srogi Tankred, zeszedł ich na gorącym uczynku. Gwizdarda wtrącił do więzienia, tam go kazał zabić, zabitemu wydrzeć serce, i to serce upieczone posłał przy uczcie Zigismundzie, która naturalnie otruła się z rozpaczy.

Wreszcie jest historya, którą autor nazywa „bardzo piękną,” o Talezie i Perepodzie. Talez, królewicz lidyjski wykrada Perepodę, królewnę arragońską; wykradłszy, gubi gdzieś w drodze. Potem szuka jej po całym świecie, aż znajduje nareszcie w Recyi, i jak? W chwili, kiedy ma iść do ślubu z synem tamtejszego króla. Naturalnie Telez upomina się o swoje prawa, Perepoda rzuca się w jego objęcia, biorą ślub; ale rywal zaraz potem wyzywa Taleza na pojedynek, zabija go, a Perepoda siebie z rozpaczy.

Ale oprócz tych małych powiastek, napisał Morsztyn jedną większą, i w swoim czasie, zdaje się, bardzo sławną, historyę o *Królewnie Banialuce.*

Biedna królewna Banialuka doczekała się tego upokorzenia, że jej imię stało się synonimem bredni; a w swoim czasie musiała mieć wielbicieli bardzo wielu,

skoro jej ucieszna historya wychodziła w nowych wydaniach jeszcze w połowie XVIII wieku. Smutny dowód, że heroiny pisane starzeją się także, tak jak żywe.

Jakiś król Południowy oświadcza swego syna o rękę córki króla Północnego. Król Północny zezwala, nawet z wielką chęcią, i uradowany wyprawia się na polowanie, ze swoim synem królewiczem, nie nazwanym po imieniu. Królewicz w pogoni za reniferem zabłądził ze swoimi psami, i z jednym giermkiem. Po długiem błądzeniu znalazł się przed bardzo pięknym zamkiem. Zamek był pusty, wstępu do niego bronił lew i niedźwiedź. Te zagryzly psy królewicza, ale on z giermkiem dostał się jakoś do środka. Po chwili zajechała przed zamek armia amazonek, śliczne panny na koniach, na czele jedna, najpiękniejsza ze wszystkich—Banialuka.

Ta przyjmuje przybysza z wielkim gniewem, ale w miarę jak na niego patrzy, staje się jakoś łaskawszą, i opowiada mu swoją historyę.

Po śmierci rodziców obchodzi żałobę w ten sposób, że opuściła swoje królestwo i na trzy lata osiadła w tym zamku, przysiągłszy, że żaden mężczyzna nie będzie miał do niego wstępu. Nie jej wina, że królewicz wszedł; a skoro już wszedł, musi go przyjąć gościnnie, daje mu jeść i pić, a prócz tego oddaje mu swoje serce, i połowę swego pierścienia, na znak, że nie wyjdzie za żadnego innego, tylko za niego. Drugą połowę zachowała sobie.

Królewicz, uważany za straconego i opłakany, wraca za jej namową do ojca, ale udaje chorego, zamyka się w swoim pokoju, a tymczasem codzień wynosi się z giermkiem do tajemniczego zamku. Jedna księżna, która ma ochotę wydać się za królewicza, miarkuje, że dzieje się z nim coś dziwnego, ale nie może dojś co. Ma jednak za ochmistrzynię czarownicę, któ umie radzić w najtrudniejszych sprawach. Ta wdał się w rozmowę z giermkiem, ujęła go podchlebstwer

przekupiła darami i dowiedziała się, że królewicz zakochany w pani tajemniczego zamku. Daje tedy giermkowi ząaczarowane jabłko, z poleceniem, żeby je dał zjeść swemu panu, gdy będą w zamku. Jakoż tak się stało. Królewicz zjadł, w tej chwili wpadł w letarg i w konwulsye, i w tym stanie zobaczyła go królewna Banialuka Na drugi dzień to samo; na trzeci dzień to samo. Wtedy Banialuka w rozpaczy wraca do swego królestwa, a w jej zamek strzela piorun i burzy go tak, że nie został kamień na kamieniu.

Odgłos pioruna obudził królewicza. Niema królewny i niema zamku? W rozpaczy idzie szukać utraconej, choćby po całym świecie. Ale przed wyjazdem przezornie naładował trzos pieniędzmi i klejnotami. Po długiej wędrówce trafia przypadkiem do świętobliwego pustelnika. Pustelnik nic nie wie o królewnie; ale ma władzę nad wszystkiemi zwierzętami: może które z nich widziało, dokąd pojechała królewna. Schodzą się wszystkie, ale żadne nie widziało nic. Wtedy pustelnik daje królewiczowi za przewodnika jelenia i wyprawia go do drugiego pustelnika, jeszcze świątobliwszego, który ma władzę nad ptakami. Zlatują się wszystkie ptaki, ale znowu nic nie wiedzą. Musiała królewna jechać w nocy, gdy ptaki spały. Ale jeszcze jest rada. Sroka prowadzi królewicza do trzeciego pustelnika, którego słuchają wiatry. Tym razem się udało. Jeden wiatr widział, jak jechała do swego królestwa, i królewicza usłużnie tam zaniósł.

Przebrany za parobka królewicz, przystaje do pałacowego ogrodnika i pracuje w nadziei, że królewnę zobaczy, a przynajmniej czegoś się o niej dowie. Dowiedział się, że do końca swojej trzechletniej żałoby siedzi zamknięta i nikt jej widzieć nie może. Ale żałoba się kończy, z całego świata zjeżdżają się kawalerowie; mają być wielkie turnieje, a kto z nich będzie zwycięzcą, ten otrzyma rękę królewny.

Królewicz dobywa ze swego trzosa dużo pienię-

dzy, kupuje sobie konia, piękne suknie, zbroję, i naturalnie zwycięża wszystkich. Ale nikt go nie zna. Pytają, co jest za jeden, on nie chcę mówić. Tylko zawija coś w papierek, i każe to zanieść królewnie. Gdy zobaczyła, o mało nie oszalała z radości; to połowa jej pierścionka! Na poczekaniu zaraz ślub i koronacya nowego króla.

Taka jest *Ucieszna historya o zacnej królewnie Banialuce*. Jest pisana wierszem nie szczególnym, trzeba powiedzieć. Co w niej naciekawsze, to różne nazwiska psów królewicza; tak musiały się nazywać psy myśliwskie w ówczesnej Polsce. Dyabły, które pomagają czarownicy do zatrucia jabłek, opisane są z pewną fantazyą, a pieśni miłosne, śpiewane podczas turnieju, nie są bardzo ładne, ale też nie ostatnie.

Za tą długą historyą idą dwie krótkie, prozą pisane. Jedna historya Galezyusza, syna Demokryta, który jest taki głupi, że ojciec nie mógł z niego nic zrobić i kazał mu pasać bydło. Ale raz na tem pastwisku zobaczył Galezyusz Filidę, córkę Aristidesa, zakochał się na śmierć, i z wielkiej miłości nauczył się nietylko czytać i pisać, ale wszystkiego, co potrzebne wykształconemu człowiekowi, i ożenił się z Filidą.

Historya o Przemysławie, książęciu oświecimskim i o jego małżonce Cecylii błąka się dawno po świecie pod różnymi tytułami, a jeszcze w XIX wieku miała powodzenie w teatrach niemieckich jako *Griseldis* Halma. Morsztyn przeniósł ją na grunt polski. Książę Przemysław ożenił się z miłości z biedną dziewczyną; ale po ślubie umyślił doświadczyć jej posłuszeństwa i cierpliwości. Urodziła córkę; kazał jej to dziecko zabrać i niby zgładzić. Urodziła synka; to samo. Później kazał jej wrócić do ojca, bo ją sobie niby uprzykrzył; wróciła bez skargi. Na ostatek oświadczył jej, że się żeni z inną, a ona ma złożyć hołd nowej księżnej. Przyszła i życzyła szczęścia. Wtedy już Przemysław miał dosyć prób i wyznał Cecylii, że ją

tylko doświadczał, a że mniemana narzeczona jest ich córką. Z tego wszystkiego odnosi się tylko to wrażenie, że Cecylia była zanadto dobra, a Przemyław był i zły i głupi.

Wszystkie te trzy historye wyszły razem, jako *Antypasty małżeńskie wdzięcznego smaku cukrem prawdziwej a szczerej miłości małżeńskiej zaprawione.*

Jeżeli Hieronim Morsztyn jest głównym reprezentantem powiastki poważnej, niby uczuciowej i niby poetycznej, to odnaleziony przez prof. Brücknera Krzysztof Piekarski, reprezentuje powieść humorystyczną. Przerabia on z włoskiego, ale mnogimi polskimi dodatkami ozdabia „*Strasznego Bohatyra*,” w którym najdziwniejsze przygody, a zmyślone nie bez fantazyi, mieszają się z niesłychanemi kłamstwami i przechwałkami, wszystko w stylu rubasznym, ale samorodnym, oryginalnym i energicznym.

Zaczyna się zjawiać i powieść francuska w tłómaczeniu, mianowicie (1642) *Historya bardzo ucieszna młodzianom i pannom przystojnej miłości hołdującym gwoli*: a tłómaczem był (jak sądzi prof. Brückner) ni mniej ni więcej tylko Łukasz Opaliński, marszałek nadworny kor. Jego imię naprowadza nas na przedmiot inny, mianowicie na pisma treści politycznej.

Wyszła w roku 1641 broszura bezimienna, pod tytułem *Rozmowa Plebana z Ziemianinem.* Uczeni starali się dojść autora, niektórzy domyślali się Starowolskiego; ale nie doszli, rzecz została nierozstrzygniętą. Prof. Brüchner znajduje w Niesieckim dowód, że *Rozmowa* ta pisana była przez Łukasza Opalińskiego i że przez króla i senatorów bardzo była chwalona. Na tej więc podstawie, powiedzmy z góry, że Opaliński zdobył się na najlepsze pismo polityczne z tego czasu.

Z tytułu domyślić się można, co stanowi główną zaletę dziełka: *Dyskurs o sposobie zawierania Sejmów.* Jest to więc odgłos opinii tych niewielu mądrych ludzi, którzy, widząc coraz więcej sejmów, marnie się rozcho-

dzących, trwożyli się o przyszłość Rzlptej; którzy, widząc, że im dalej, tem gorzej, pytali ze strachem: do jakiego opuszczenia, do jakiego ubezwładnienia Rzpltej doprowadzą w końcu sejmy, jeżeli zasada jednomyślności dłużej udaremniać je będzie, jeżeli sejmikowe instrukcye będą je nadal krępować, jeżeli żadna uchwała bezpiecznie stanąć, a przez nieporządek obrad żadna materya, choćby najważniejsza, nie będzie mogła liczyć z pewnością na to, że pod obrady przyjdzie. Że sejmy były wielką zgryzotą naszych mędrszych polityków w pierwszej połowie XVII wieku, że Władysław IV i Ossoliński przewidywali z nich zgubę Rzpltej, gdyby się nie odmieniły, i przemyśliwali o sposobach i kształcie takiej odmiany, to wiadomo. Że się nie mylili, dowiodły fakty; zaraz po nich, w dziesięć lat właśnie po napisaniu naszej broszury, zasada *nemine contradicente*, wypowiedziała swoje ostatnie słowo, przez usta Sicińskiego, dała się ostatecznie poznać ze swoich owoców, doprowadziła sejm polski *ad absurdum*, a Rzpltę do wstydu i upadku.

Rozum i zasługa ludzi, którzy samo jądro złego dostrzedz umieli i chcieli przyłożyć siekierę do korzenia, są widoczne i niezaprzeczone. Dlatego i ta broszura, żądająca na lat dziesięć przed Sicińskim tego mniej więcej, czego żądał Konarski w lat sto po nim, godna jest uwagi i pamięci.

Z początku jest ona dość nudna i męcząca. Wracający z Warszawy ziemianin, poseł na ostatni (nie oznaczony bliżej sejm), i pleban, który go odwiedzić przyszedł, rozmawiają dość rozwlekle i długo, krążą około rzeczy, a przystąpić do niej nie mogą. „Źle się dzieje w Rzeczypospolitej, i coraz gorzej—ta jest treść ich słów — a jeżeli tak dalej pójdzie, Bóg raczy wiedzieć, w co się obrócą sejmy, a z nimi Rzplta. Oto ten ostatni odszedł, nic nie sprawiwszy. Co będzie, jeżeli podobnych kilka po sobie nastąpi?” „Co będzie— odpowiada pleban—przewidzieć nie trudno; będzie zgu-

ba wolności, będzie *absolutum dominium*. Rzplita bez rządu być nie może, ma sprawy, które bez przerwy prowadzić się muszą. Jeżeli sejm, na którym dziś rząd zawisł, sprawować go nie chce, lub nie umie, musi się skończyć na tem, że znajdzie się ktoś, co go wyręczy i zastąpi, ale z jego zgubą; rząd uchwyci i będzie go sprawował, ale sam, bez sejmu." Przepowiednia bardzo rozumna, bardzo logiczna; w porządku rzeczy tak stać się było powinno, bezwładność sejmów powinna była doprowadzić prostą drogą do zamachu stanu i do absolutyzmu. W każdym innym kraju koniec byłby był taki; u nas nie było w Rzpltej żadnej siły dość wielkiej, żeby się na zamach stanu zerwać, o opanowanie władzy pokusić była mogła. Dlatego u nas skutek sejmowego nierządu był gorszy, absolutyzm, ale nie swój, upadek wolności, ale i z niepodległością razem. Że tego ostatecznego złego pleban nie przewidział, dziwić się nie można; a to mniejsze złe, które przepowiedział, ukazywało mu się jako logiczne. Dobre rozumowanie, historyczne doświadczenie, znajomość spraw politycznych i natury ludzkich społeczeństw, wskazywały je jako prawdopodobne. Autor w przewidywaniach swoich nie poszedł tak daleko jak fakty, ale szedł niezaprzeczenie w dobrym kierunku; nie widział dość daleko, ale patrzał w dobrą stronę, w prostej linii, na której niebezpieczeństwo leżało.

Czy jest na nie jaka rada? zapytuje ziemianin. Kiedy umiesz, plebanie, tak groźne przewidywać skutki, musisz znać i powody złego i środki poprawy; wskaż je. Pleban się wymawia, nie jego to powołanie, on nie polityk, żyje zdala od spraw publicznych, zna je ledwie po wierzchu; przecież zwalczony prośbami swego kollatora, przyrzeka powiedzieć, co mu się zdaje.

Naprzód zatem, to co zawsze, to co wszyscy. Źle jest, bośmy odstąpili od dobrego obyczaju przodków i od dawnego postanowienia Rzpltej. Ale ten przynajmniej wie, kiedy był ów stan błogi zdrowia i ró-

wnowagi; oto za pierwszych Jagiellonów, za Kazimierza, kiedy król rządził z senatem; a zepsuło się wszystko, odkąd posłów ziemskich Kazimierz Jagiellończyk do rządu przypuścił.

Nie powstaje on na rzecz samą. Chwali ją, czy gani, nie wiemy, bo o zasadzie nie mówi; twierdzi tylko, że sposób, w jaki posłowie ziemscy odrazu zaczęli pojmować siebie i swoje powołanie, i to wykonywać, był dla Rzpltej zgubny. Zaczęli bowiem przypisywać sobie „właśnie taką władzę, iaką w Rzymie mieli sławni owi Tribuni Plebis, którego urzędu wszystka moc i władza była w przeczeniu uchwale senatu y niepozwoleniu.” Słowa głębokie, i jako prawda ogólna, że władza, która się tylko na przeczeniu zasadza i ogranicza, która do przeczenia jest stworzona, musi stać się niebezpieczną, bo jest przeciwna naturze, ujemna, waląca: i głębokie także w odniesieniu do Polski, gdzie rzeczywiście, jak pokazuje historya wszystkich sejmów, reprezentacya stanu rycerskiego czuła się powołaną przedewszystkiem do niedowierzania, do niedopuszczania, do przeczenia. Mogło to było być mniej szkodliwem, gdyby naprzeciw niej była stała jakaś siła jej równa, twierdząca, działająca. Ale kiedy tej nie było, kiedy izba poselska wszelkie działanie uczyniła zależnem od siebie, a sama nie działała, nie stawiała, tylko po największej części poprzestawała na przeczeniu i nie pozwalaniu, musiało się stać to, co się stało, to jest, że zasadniczo fałszywe pojęcie obowiązków i przeznaczenia reprezentacyi, sprowadziło praktykę równie fałszywą i zgubną. I z tego względu, trzeba autorowi przyznać nietylko słuszność, ale wzrok bardzo bystry i przenikliwy, sięgający do głębi, do samego dna, do ostatnich przyczyn rzeczy.

Prowadzi on dalej swoje porównanie posłów polskich z rzymskimi Trybunami. Tamci, mówi, zadali ostatni cios wolności rzymskiej; wszakże, kiedy Cezar z legionami stał nad Rubikonem, a senat uchwalił ogło-

sić go za nieprzyjaciela ojczyzny, kto uchwałę wstrzymał? *Jus Intercessionis*, Trybuńskie *Veto!* i ono to posłużyło Cezarowi za pozór, że Rubikon przeszedł, jako obrońca praw i wolności ludu! Oto pożytek z tych obrońców i z tych intercessyi; a doczekamy się tego, że jak w Rzymie tak i u nas jeszcze oni kiedy wolność jakiemu Cezarowi, który Rzpltą naszą wywrócić zechce, wydadzą. Autor myśli zawsze o jakimś zamachu stanu przez Cezara Polaka, o jakimś potężnym hetmanie, naprzykład, sięgającym po *absolutum dominium*. To się nie sprawdziło. Ale jeżeli sobie przypomnimy, jak ci nasi trybunowie bronili wolności Rzpltej w roku 1717 naprzykład, a cóż dopiero w 1792, przyznać będziemy zmuszeni, że nie w zbyt złem świetle ich widział, że byli zdolni postąpić jeszcze gorzej, niż on przypuszczał.

Teraźniejszy kształt sejmów zatem, *Veto*, prawa bez egzekucyi, oto są główne powody, lub może główne formy złego. Do tych dodać jeszcze trzeba równość źle pojętą, źle przestrzeganą, i wybujałość Oligarchii.

Pozorność szacheckiej równości i wolnej elekcyi bystro wytknięta. Te więc są główne rzeczy, potrzebujące poprawy w Rzpltej, ale środek? Jakiż może być środek?

Odpowiedź jest tak stanowcza, tak śmiała, jak rzadko zdarzy się spotkać w naszej literaturze politycznej. Górnicki chciał tylko pewnego opisania elekcyi, a to żądanie wydało mu się tak zuchwałem, tak przeciwnem prądowi opinii, że go objawić nie śmiał, i po naradzie z wielkimi w Rzpltej ludźmi, „Rozmowę” swoją schował i do druku jej nie dał. Król Leszczyński, w sto lat blizko po naszym bezimiennym autorze, kiedy z długiego doświadczenia naród powinien już był poznać się na wartości swego *Veto*, próbując je określić, przemawia przecież bardzo ostrożnie, boi się urazić panujący przesąd. Ten, jest tak odważny i sta-

nowczy, jak statyści z ostatnich czasów Rzpltej, jak Konarski, jak Staszyc. „Wy sami—mówi—już poprawić Rzpltej nie podołacie, boście karność i praw egzekucyą znieśli między sobą." Rzeczywiście trzeba było strasznych nauk, trzeba było rozbioru, żeby naród znarowiony nierządem poznał się na jego skutkach, i wyrzekł się go dobrowolnie, jak to uczynił w sejmie czteroletnim. Za Władysława IV spodziewać się reformy konstytucyi od sejmu było rzeczą próżną, marzeniem. A przecież reforma ta była konieczną. Cóż więc pozostawało? To jedno tylko, żeby „większa jednego władza tę karność i praw egzekucyę utwierdziła." Wzmocnienie władzy centralnej, stworzenie rządu. „Cóż tu za środek? Mem zdaniem żaden inszy, tylko pozwolenie królowi i radzie przy nim będącej większej władzy." Zdaje się, jak gdyby się słyszało poufne zwierzenie Władysława IV, albo Jana Kazimierza; jak gdyby oni odkryli swoje najtajniejsze przekonania o Polsce i troski o nią. Niema podobno drugiej książki w naszej literaturze, którąby lepiej, otwarciej odpowiadała temu kierunkowi opinii i zamiarów, jaki oni reprezentują w historyi. A dodać trzeba, że powody, którymi autor żądania swoje popiera, są trafne i ważne. „Insza rzecz w innych państwach wolnych, bo tam zawsze sejm i rada, jako w Rzymie było, a teraz w Wenecyi i u Holandów. Ale tu szerokość państwa i tak powolne sejmowanie nie pozwoli tej prędkości." Uwaga mądra, która się powtarza zawsze przez trzy wieki prawie, a w XVIII przerabia się u naszych statystów w projekt nieustającego, gotowego jak nazywają, sejmu. Albo ten drugi nie mniej słuszny: że zaś *Anima Consiliorum, secretum,* u was miejsca mieć nie może, łacno to pokaże poselska i senatorska izba, które nic zamknąć i utaić nie mogą." Wreszcie wielkie złudzenie, wielkie oszukaństwo wolności, które było w naszej zasadzie *nemine contradicente,* a które dopiero Konarski w sposób zwycięski odkrył i pokazał, i to

jest tu dostrzeżone. „Ta wolność głosu, na której się sądzą wszystkie swobody wasze, tem samem trwać nie może, że się sama znosi. Wolność u was sama u siebie jest w niewoli i gwałt sobie czyni, gdy dla jednego przeczącego zgoda wszystkich rozrywać się musi."

Ziemianin, podzielający opinię ogółu i nią przejęty, zarzeka się przeciw „większej władzy w ręku jednego," a twierdzi, że odmiana taka nie jest ani podobna, ani potrzebna. Niepodobna, bo nigdy szlachta dobrowolnie się na nią nie zgodzi. Z tego zaś wynika, że i niepotrzebna, bo sprawić by się mogła jedynie przez gwałt, przez wojnę domową, lekarstwo gorsze od choroby, którego pleban także koniecznie chce uniknąć. Ten jednak nie daje się za pobitego i obiecuje wskazać sposób poprawy Rzpltej bez użycia gwałtu i zamachu, sposób zupełnie prawny i spokojny.

Sposób ten, nad którym rozprawa odłożona jest do dnia następnego, stanowi treść „wtórej rozmowy."

Zasadza się on właściwie na jednej tylko zmianie, ale najważniejszej istotnie i najpotrzebniejszej, na ograniczeniu jednomyślności i wprowadzeniu pewnego ładu w obrady sejmowe.

Nie chodzi o zakres praw i władzy sejmu, o okrojenie jego atrybucyj, chodzi tylko o regulamin. Konarski, kiedy chciał „Skutecznego rad sposobu," także o to przedewszyskiem wołał. Że teraz wołanie było usprawiedliwione, dowodzi następujący krótki, ale smutny obraz naszych sejmów.

„Każdy czyni iaką chce propozycyę; od materyi przez marszałka proponowaney daleko odstąpiwszy, ieden czyta z instrukcyi punkt i artykuł, który mu *solenni verbo ante omnia* kazano proponować; drugi woła, że pierwey trzeba staremu prawu czynić dosyć niż nowe stanowić, *ante omnia* tedy o rozdanie wakancyi. Nuż inszy znowu: *Pacta conventa*, *Senatus consulta*, *Oeconomiae*, to są publiczne materye, zatem o nich *ante omnia*. Na co drugi: Religia, z którą do Korony przyszedł (król), ta

u mnie iest *ante omnia.* A zaraz usłyszysz: y mnie tesz poprzysiężona, więc gdy mi się w niej gwałt dzieje idzie o wolność moią. Asz tesz ktokolwiek z Ukrainy właśnie iakoby Kochanowskiego Rotmistrz

„Takci panowie wy tu radzicie, a w polu Grekowie was woiuią"

abo, przyszły listy y nowe wiadomości zaczem dla Boga o obronie *ante omnia.* Nakoniec y groble, y rewizye, y libertacye, y składy, y iarmarki, w których nie nowina słyszeć: do niczego nie przystąpią asz się to stanie! Abo tedy zastanowiony *ad haec verba* seym y postąpić nie mogąc nie dojdzie swey konkluzyi y gdy każdy przeciwnie ciągnie rozerwać się musi; abo po długich y uprzykrzonych swarach, sfatygowani jusz długą y daremną pracą, wielką iaką Rzplitey potrzebą lub niebezpieczeństwem przyciśnięci, do czytania konstytucyi przystąpią. Które marszałek niesłuchaiącym iako przeczyta, milczenie *pro assensu* biorąc idzie coraz daley, y iako pospolicie mówimy, *żyda* grzebie. Za taką tedy konfuzyą konkluzyi dobrey spodziewać się rzecz iest niepodobna, y nie masz na to sposobu innego, tylko ustanowienie porządku podług którego marszałek miałby czynić propozycye swoie."

Ale ten porządek obrad, ten regulamin, jakiż on ma być? jak go postanowić?

Na dobrą sprawę takby być powinno, żeby tylko król z senatem propozycye podawali (bardzo liberalnym nasz autor nie jest), a izba poselska żeby tylko dyskutowała i uchwalała. Ale że o tem i mowy być nie może, więc poprzestać wypada na tem, co się da otrzymać i wykonać. I tak, dobrze byłoby położyć jaką tamę rozbujałym fluktom naszej wymowy, z których tylko „iak każdy baczy zguba czasu, tylko wymowy ostentacya, a za nią abo próżna pochwała abo tesz żart y śmiech."

Pierwszego zaraz dnia sejmu, instrukcye i arty-

kuły wszystkich województw miałyby być oddane marszałkowi, który, dobrawszy sobie po dwóch deputatów z każdej prowincyi (z Wielkiej i Małej Polski i Litwy), miałby je podług materyi rozgatunkować Marszałek zaś i dodani deputaci mieliby przykazane, żeby, jak sam rozum wskazuje, wnosili do izby materye, które obchodzą całą Rzpltą, jako najważniejsze, potem dopiero sprawy, tyczące się jednego województwa lub powiatu, a po tych dopiero sprawy prywatne. Tak więc, naprzód szłyby „Exorbitancye," jako naprawa praw obowiązujących, ale nie wykonanych lub wykonanych źle. Potem „konstytucye należące do rządu i publicznego porządku, jako to: Ordynacye nabytych prowincyj, konfirmacye Pactorum z Pany postronnymi, ustanowienie mennicy, około podatków zwyczaynych ustawy, opisanie porządku ludzi do woienney służby należących. Trzecie miejsce mieć będzie obrona, abo obmyślenie bezpieczeństwa Rzpltey od postronnego nieprzyiaciela" i należące do niej podatki. Artykuły prywatne, choć właściwie wcaleby do sejmu należeć nie miały, przecież kiedy je tam zwyczaj wprowadził, a usunąć je byłoby zbyt trudno, niechby miały dzień jeden w tygodniu, naprzykład sobotni, dla siebie przeznaczony, w którymby się odprawiać mogły. Materye miałyby przychodzić pod rozprawy po kolei, i raz zaczętej, żadną inną przerywać nie ma być wolno.

W tym projekcie sejmowego porządku, do którego należy jeszcze usunięcie arbitrów z sali sejmowej, mogą być usterki, jak naprzykład mianowanie deputatów (komisyi) przez marszałka, prerogatywa ogromna, której żadna izba nigdy nikomu oddawać nie powinna. Ale dobre przeważa o wiele złe, a tem dobrem, najlepszem, jest to, że projekt stwarza jakiś regulamin, jakiś ład i porządek, gdzie nie było żadnego, tylko wieczne zamieszanie i chaos.

Wszystkie przytoczone dotąd zmiany są rzeczywiście czysto regulaminowe. Ale pod ich osłoną, wsu-

nięte, przekradzione są dwie inne, głębsze, radykalniejsze, sięgające samych posad naszego prawa publicznego i trzeba powiedzieć, jego największych defektów. Jedna ma na celu zabezpieczyć zwierzchniczą władzę sejmu nad sejmikami, Rzpltej nad województwami, druga: zabezpieczyć sejmy od zrywania, od unieważniania wszystkich już dokonanych czynności przez prawo *Intercessionis*, przez *Veto*.

„Hoc praecaveo aby iednego seymiku Instructia nie rozkazowała Seymowi odkąd 'ma zaczynać konsultacye swoie, bo to rzecz bardzo niesłuszna y powszechney wszystkich wolności nieznośna." I to więc właściwie ma na celu regulamin tylko, tylko nie pozwolić sejmikom przepisywać sejmowi porządku obrad; jest to przecież pośredni wprawdzie i słaby, ale zawsze atak na zbyteczną decentralizacyę polską, na przewagę części nad całością, a jako taki, godzien jest ten pomysł uwagi.

Żądanie ograniczenia kontradykcyi jest także pośrednie, ubocznè tylko, słabe: „aby żaden nie ważył się przeczyć publicznym konstytucyom dlatego, że mu prywatnych artykułów nie pozwalają, boby to była rzecz *extremae licentiae*." Lepiej zapewne było powie dzieć, aby żaden pod żadnym warunkiem nie śmiał sprzeciwiać się zapadłym uchwałom sejmu; ale jako pierwsze, i tak wczesne, ma i to żądanie częściowe swoją zasługę i wartość, a byłoby miało i wiele dobrych skutków, byłoby wiele sejmów uratowało od zerwania, gdyby, choć tak niedostateczne, było się stało prawem.

To więc są główne zmiany, których autor żąda w naszych prawach. Że potrzebne, że rozumne, nikt dziś nie może przeczyć.

Wspomniawszy jeszcze parę rzeczy potrzebnycl ale w porównaniu z przytoczonemi mniej doniosły i ważnych, tak Pleban rzecz swoją zamyka: „Ieże lubo tym, lubo inszym sposobem będzie chciała Rzpl·

w lepszy rząd wprawić tak zepsowaną radę, może trwać długo y w takiem postanowieniu w iakiem się teraz znayduie. Ieżeli też wszyscy w tem opuszczą ręce, rzecz niemylna, że prędszego upadku całość iey y wolność wasza mieć nie może, iako przez tak zatrudnione seymowanie. Gdzie bowiem naprawa prawy Executia, gdzie zawierdzenie y utrzymanie swobód, gdzie opisanie Rządu Publicznego, gdzie ostrzeżenie bezpieczeństwa Oyczyzny y niebezpieczeństw przypadaiących oddalenie, ieżeli seym, stróż wolności waszey, fundament Oyczyzny wszystkiey, upadać y szwankować będzie."

W dziesięć lat po napisaniu tych słów przyszedł Siciński.

Najśmielsze i najtrafniejsze słowa, jakie były u nas na sejmach napisane aż do Konarskiego, od niego o tyle starsze, a w tem odmienne, że przed szkodą nie po szkodzie napisane, zresztą w wielu żądaniach i w wielu rozumowaniach jego blizkie, zawierają one tyle prawdziwej politycznej myśli i mądrości, że godne są pamięci i uszanowania. Są przytem charakterystycznym, ciekawym pomnikiem czasów Władysława IV, czasów, w których niebezpieczeńswo sejmowego nierządu, już wielokrotnie i wyraźnie objawione, ludzi głębszych, myślących, przejmowało trwogą i przekonaniem o nagłej potrzebie sejmowej reformy. Ze wszystkich znanych pism politycznych tego czasu najlepsze, najpoważniejsze, patryotycznym duchem i politycznym rozumem najświetniejsze i najszanowniejsze, *Rozmowa Plebana z Ziemianinem*, jest ostatnią rzecz można przestrogą rozumu i patryotyzmu, daną narodowi w chwili, kiedy niebezpieczeństwo *Liberi Veto* miało się rozwinąć do ostatecznej i już niepowetowanej potęgi.

Polonia contra Barclajum Defensa, książka, która musiała wdzięcznie być przyjęta przez współczesnych, jako obrona polskiego honoru, złośliwie zaczepionego, i przez tę wdzięczność zachowana od zapomnienia,

często przytaczana i otaczana sławą może większą od jej wartości. Dla nas ciekawa, jako wyraz oburzenia Polaka, dotkniętego w narodowym honorze, ale zresztą bez szczególnego zajęcia.

Joannes Barclayus, Szkot (autor „Argenidy" etc.), w dziele swojem *Icon Animorum*, w rozdziale ósmym, podał opis polski, nie pochlebny wcale, owszem złośliwy i z widoczną niechęcią pisany, w którym jest trochę prawdy, trochę przesady, a wiele zwykłej cudzoziemcom nieznajomości rzeczy polskich. Za naszych czasów, kiedy niema potwarzy ani obelgi, którejbyśmy na siebie nie byli słyszeli lub czytali, mamy skórę grubszą na przykrości tego rodzaju, i potwarz budzi w nas więcej wzgardy, niż gniewu, a ignorancya innych we wszystkiem, co się nas tycze, już nas nie boli ani upokarza, tylko conajwięcej czasem śmieszy. Ale te gorzkie owoce doświadczenia przychodzą dopiero z wiekiem; a nasi przodkowie, młodsi od nas, przyzwyczajeni do tego, żeby ich i ich ojczyznę szanowano, drażliwsi byli od nas na te zaczepki i nie mogli zrozumieć, dlaczego i za co ludzie ich szkalują i wydrwiwają, kiedy oni spokojnie żyją, nie zaczepiając nikogo i dobrą sławę innych szanując. Zupełnie tak jak z człowiekiem, którego pierwsza krzywda, pierwsza niesprawiedliwość, doznana za młodu, żywo dotyka i oburza, a który późniejszych czuć nie raczy, i odpowiada na nie tylko, jeżeli już koniecznie musi.

Dość, że złośliwy obraz Polski w dziele Barclaya obszedł przodków naszych boleśnie; martwiło ich i upokarzało, że cała Europa czytać o nich będzie Bóg wie co, i uwierzy, że są tacy źli i dzicy, jak ich opisano; a wtedy naturalnie pierwszą myślą i pierwszem życzeniem było odeprzeć fałsze, odpisać, sprostować złe wyobrażenie, jakie dać o nich mógł złośliwy Anglik, słowem, bronić honoru. W obronie wystąpił tym razem marszałek nadworny kor., Łukasz Opaliński.

Marszałek przedrukowuje na wstępie cały ten

ustęp Barclaya, który go martwił i gniewał, a potem rozbiera go na zdania i każde z nich po kolei zbija. Oto najprostszy w świecie, zupełnie pierwotny układ jego apologii.

Dowodzi więc naprzód Anglikowi, że nawet geografii nie umie, że ani granic, ani rozległości Polski jak się należy oznaczyć nie potrafił, że wyobraża ją sobie jako nieprzerwaną płaszczyznę, a o Karpatach nawet nie wie; że jak prawdziwy ignorant nazwę Polaków i Polski wyprowadza od scytyjskiego niby słowa Pole, kiedy cały świat wie, że to nie dziki scytyjski, lecz słowiański wyraz, a trzeba albo złośliwości i bezczelności wielkiej, albo ignorancyi jeszcze większej, żeby wbrew historyi Słowian mieszać ze Scytami; i cytuje mu dalej wszystkich pisarzy, od Herodota począwszy aż do bizantyńskich, w których jaka wzmianka o Scytach i Słowianach być mogła na dowód, że to wcale nie jedno plemię. A i to nieprawda, żeby nasze narodowe nazwisko wzięte było od naszych pól; daleko prawdopodobniej przezwaliśmy się Polakami od naszego protoplasty, która to nazwa mówi, że jesteśmy *po Lachu* (Lechu).

A gdzie nie skłamie złośliwy Barclayus, tam przynajmniej przesadzi; mówi naprzykład, że nasze pola, otwarte i przestronne, śnieg ogromny zasypuje. Jest śnieg, i duży, ale w Niemczech także bywa spory, a największy, *Nix altissima*, to nie u nas w Polsce, ale w Rosyi, *in Moschovia.* Albo znowu mówi, jak gdyby coś strasznego, że w zimie mróz ziemię i wody ściska, jak gdyby to u nas tylko, jak gdyby nie zamarzał Ren i Dunaj? Nie jest u nas tak ciepło, jak we Włoszech, tem się nikt nie chwali, ale znowu nie o tyle gorzej jak u innych. Przecież nasza dawna stolica Kraków, leży o jeden tylko stopień geograficznej szerokości wyżej od Paryża, a niżej niż Londyn, Amsterdam, zwłaszcza niż Szkocya, ojczyzna niecnego Barclaya. W Rosyi, w Szwecyi, to zimno prawdziwe, a u nas

nie tak jeszcze straszne, prawie takie jak w Niemczech, większe przez to tylko, że mniejsza ludność i kultura, które na ocieplenie klimatu wiele wpływają.

Ale cóż z tym złośliwym potwarcą gadać, kiedy on całą Polskę opisuje jakcby dziką i lasami zarosłą! Niechże się dowie bezbożny oszczerca, że, Bogu dziękować, mamy drzewo, i mamy go dosyć, ale gdzie tylko ziemia do uprawy sposobna, tam dawno wykarczowana, osiadła, rodzi pszenicę, nie sosny, i już Kochanowskiego Satyr skarżył się, że się nie miał gdzie podzieć, tak się lasy w osady zmieniały. Ale on nic nie wie; wyobraża sobie, że my tu mamy futra piękne i drogie, sobole, gronostaje i tam dalej. Mamy prawda, ale za pieniądze, sprowadzamy je z Rosyi i płacimy drogo, bo nas na to stać; ale u siebie takiego zwierza nie widzimy. We wszystkiem musi zmyślić albo przekręcić, nawet takiej małej rzeczy nie przepuści, jak pszczoły; twierdzi, że one u nas dziko się roją po lasach, nie hodowane przez nikogo, a o tem gruby ignorant nie słyszał, że mamy pszczoły dwojakiego rodzaju, leśne i domowe, i że ani jedne ani drugie zaniedbane nie są.

Broniąc wszystkiego, dochodzi biedny apologista do tego, że musi skruszyć kopię za honor polskich karczem, podróży i noclegów. Zadanie trudne, zda się nie do wykonania, tem bardziej, że Anglik tylko szczerą prawdę napisał, ale i tu umiał sobie poradzić Polak gorliwy w obronie swojego kraju.

„Zajazdy ich—pisze Barclay—nie są wcale kształtem i zwyczajem naszych czasów urządzone. Drzwi i okien często brak, wiatr szparami wchodzi, łóżek ani stołów gotowych dla podróżnego niema, tylko zaścielają podłogę sianem, i to im służy za łóżko, a pościel i żywność wożą z sobą, właśnie jak gdyby się z całym domem z miejsca na miejsce przenosili." „Prawda — mówi Opaliński — mało co, a może i wcale nie skłamał, ale tak właśnie najwygodniej i najlepiej." I na

stępuje apologia, a ledwie, że nie apoteoza polskich karczem, noclegów, podróży, tłumoków i t. d. Niema u nas gościnnej pościeli po zajazdach, ale wolę daleko wozić swoją czystą, niż spać na cudzej, Bóg wie czy świeżej i nie używanej. W Niemczech wprawdzie zastaję gotowe jedzenie, ale dziękuję za nie: najczęściej z całego tygodnia składane i odgrzewane; a niewygoda nie tak wielka, całego domu z sobą się nie przewozi, tylko to, co do podróży potrzebne, a służba wprawna szybko to składa i pakuje, że i czasu niewiele się traci.

Lub znowu mówią o nas, że nasze obyczaje nie są stosowne do poloru i ogłady naszego wieku! Niestety, stosują się one aż nadto nietylko do poloru, ale do próżności zagranicznego świata i życia. Nie we wszystkiem, dzięki Bogu, i jeszcze u nas obyczaj lepszy, niż tam, skąd wszyscy wzory dziś biorą, we Francyi. Tam młodzież szlachecka, jeżeli się czego uczy, to chyba ćwiczeń ciała, jazdy konnej, fechtunku, piłki, a potem tańcować, włosy trefić, perfumować się, stroić; takiej zniewieściałości jeszcze u nas niema. Ani u naszych niewiast tego, żeby każda miała wielbiciela, i jeszcze panną będąc, romansowe historye czytywała, oczyma strzelała, wzdychała, bileciki potajemnie pisała; tam taka moda, że każdy choć się i nie kocha, musi udawać, wzdychać, oczy przewracać, skarżyć się i narzekać, i na tem, a na ubieraniu cały im czas schodzi. U nas inaczej; my po miastach nie siedzimy, ale na wsi, co dla obyczajów bezpieczniejsze. Ale co do poloru i elegancyi w życiu, mamy ich raczej za wiele, niż za mało. W grzeczności, uczciwości, jaka się każdemu należy, w dobrem wychowaniu, nie ustępujemy nikomu; a, niestety, w wystawności i pompie także nie, bo aż nadto się w nich się kochamy i drogie na nią łożymy pieniądze, którychby lepiej użyć można.

A jeżeli Anglikom nikt nie wyrzuca parlamentu ani Niemcom elekcyi cesarza, czemuż na nas krzyczeć

o sejmy lub o elekcye? I te elekcye nie tak straszne i burzliwe; króla Władysława obierało ze dwakroć stotysięcy szlachty lub więcej, a przez cały czas nie było w Warszawie jednej zwady, jednej burdy na ulicach. Że król u nas czuje się być pod prawem i nie sądzi, żeby prawo było dla niego, to szczęście i chwała, i królów i narodu, to dobrze; ale żebyśmy ich gwałtem do posłuszeństwa prawom zmuszali, to nieprawda. Owszem, jesteśmy naszym królom wierni i posłuszni, i szanować ich umiemy, żadnegośmy nie zdradzili, ani nie wypędzili, ani skrycie nie zabili, a tem mniej nię więzili i na rusztowaniu nie stracili. I komu to mówić, kto śmie nam nasze mniemane grzechy przeciw królom wyrzucać? czy nie Szkot, z tego narodu człowiek, co króla swego, z ufnością mu się w ręce oddającego, nietylko zdradził i wydał, ale podle za pieniądze sprzedał parlamentowi, ażeby mu ten głowę ściął, czego żaden sejm polski nie zrobił i nie zrobi.

Trzeba przyznać autorowi, że gdzie ma sprawę dobrą, tam i broni jej dobrze; jak naprzykład w następnym rozdziale, o religii. „Niema w Europie narodu, któryby z taką roztropnością, z takiem umiarkowaniem i z taką dobrocią był się zachował wśród wojen religijnych tego i przyszłego wieku, któryby wśród zaburzeń umiał był zachować pokój, a w niezgodzie zdań i umysłów zgodę obywateli, a tak świetnie i cało z tej ciężkiej próby wyszedł, kiedy cały spokojnie i dobrowolnie znowu jest w jednej i w swojej dawnej wierze.” Na to ani Francuz, ani Niemiec, ani Anglik, ani Hiszpan, Polakowi nie może odpowiedzieć nic; w tym punkcie on rzeczywiście był od wszystkich wyższy. Mógłby był Opaliński z tej wyższości korzystać, a zwłaszcza dokuczyć przeciwnikowi, wspominając początek i tyranię Kościoła anglikańskiego, wzajemną nienawiść tego z presbyteryańskim i purytańskim, ale pomija to wspaniałomyślnie, a przypomina mu tylko, że Polska naprzód żadnej herezyi

początku nie dała, że powstającym zagranicą wzbraniała do siebie przystępu (statut Jagiełły 1424, Zygmunta 1544), ale kiedy mimo tych ostrożności do nas przyszły, nie tępiła ich ogniem i mieczem, ale całość i pierwszeństwo wiary katolickiej utrzymując, zwyciężyła je pokojem i wolnością (konfederacya warszawska 1572) tak, że dziś znowu cała niemal jest katolicką.

Możeby kto zarzucił jego książce, że jest jednostronna, wystawia, co w Polsce jest dobrego, a czasem i złe za dobre bierze, a milczy o tem, co za złe uznaje? Na to łatwa odpowiedź: książka jest apologią, nie chodziło jej o obraz Polski, tylko o obmycie jej z zarzutów niesłusznych Barclaya. Zatem o tem tylko mówić była obowiązana, co w jego dziele stało, wszystko inne mogła śmiało pominąć. Gdyby Opaliński był pisał o stanie Rzpltej i jego poprawie, i gdyby był pisał dla swoich, byłby zapewne wspomniał i zganił nie jedno złe, o którem mógł, a nawet powinien był milczeć, pisząc obronę i pisząc ją dla obcych. Z tego założenia i jemu wiernego wykonania wynika, że książka nie może mieć w naszej literaturze politycznej takiego znaczenia, jak dzieło Modrzewskiego naprzykład, ani jak broszury z drugiej połowy XVI i pierwszej XVII wieku, ani jak Starowolskiego *Reformacya Obyczajów*, ale jest miła do przeczytania, jako głos poważny, uczciwy i gorący w obronie dobrej sławy ojczyzny, szanowna i sympatyczna miłością i czcią tej ojczyzny, a zazdrości godna przez to, że autor tak wysokie miał o ojczyźnie swojej wyobrażenie, tak dowierzał jej instytucyom, tak śmiało polegał na prywatnej i publicznej cnocie swoich ziomków. Ufność, której niepodobna mu nie zazdrościć, ale którą podzielać coraz było trudniej, kiedy nadchodziły czasy i czyny Sicińskiego, Radziejowskiego, Lubomirskiego i jego synowca Krzysztofa, przepowiednie coraz gorszych późniejszych.

Starowolski został księdzem (1639), i oddaje się

teraz głównie obowiązkom swego powołania. Pisze rzeczy treści duchownej, i mówi kazania.

Kazania jego są bardzo dobre. Niewielkiej wymowy, niewielkiego talentu; przerzuciwszy kilka grubych tomów, nie znajdzie się ani jednego kazania, ani jednego ustępu może, w którymby był ten promień świętego ognia, bez którego niema wielkiej wymowy, jak niema poezyi, natchnienia; ani jednego, któryby przypomniał jego *Lament Korony Polskiej*. Starowolski jest w kazaniach zawsze trzeźwy, spokojny i praktyczny. Nie zimny, owszem ma uczucia dużo, i tem swojem uczuciem jest sympatyczny; ale jest to uczucie łagodne i spokojne, z jakiem człowiek starszy, dobry i rozsądny, napomina dziecko lub młodzieniaszka, nie unosząc się, tylko szukając takich słów i myśli, któreby na tamtym najłatwiej zrobiły wrażenie, a w nim upatrując tych stron umysłu lub tych uczuć, któreby najłatwiej wrażenie przyjęły. Prawda, że nie mamy po Starowolskim kazań okolicznościowych, przygodnych, które łatwiej może pobudzić mogą kaznodzieję do zapału, choćby dlatego, że na tem polu on jest zwykle pierwszym, kiedy tekst ewangeliczny, powtarzało przed nim i komentowało tyle tysięcy kaznodziejów, że jest prawie niepodobieństwem powiedzieć coś, co jeszcze powiedzianem nie było. W takich kazaniach przygodnych, możeby Starowolski był znalazł wielką siłę i popęd natchnienia; ale w tych potocznych, jeżeli się tak można wyrazić, ma on na uwadze tylko cel praktyczny. A ten cel jest dwojaki: mówić jasno, przystępnie, po prostu, tak, żeby każdy słuchacz musiał go zrozumieć; powtóre układać kazania tak, iżby każdy ksiądz na parafii, który sam z siebie nie zdobyłby się na lepsze ani na takie, miał wzór i pomoc pod ręką, żeby jego kazanie mógł albo żywcem powtórzyć, albo skorzystać z niego o tyle, iżby sam nic niepotrzebnego błahego, śmiesznego nie mówił. Do tego celu przyznaje on się wyraźnie w przedmowie do *Świątnicy*.

Rzecz prosta, że z takim zamiarem nie mógł być wielkim mówcą, ale doskonałym w swoim rodzaju kaznodzieją być mógł i jest. Trudno kazań, któreby krócej i lepiej, przystępniej i gruntowniej objęły naukę, w tekście ewangelicznym zawartą, trudno o kazania skromniejsze, prostsze, a bardziej przydatne. Mają one tę zaletę wielką, że odnoszą się, mówią do tego tylko, co w każdej duszy ludzkiej jest i co jest w niej zawsze; dlatego, czy na wsi przed słuchaczem najprostszym, czy na dworze przed najwykwintniejszym i najwybredniejszym, czy w wieku XVII, czy w XIX, czy XXI, czy XII, zawszeby były dobre, zawszeby słuchacza pobudzić mogły do zastanowienia się nad sobą, do zbawiennego rachunku sumienia. Czytać ich w ciągu, z takiem zajęciem, z takim zapałem, jak się czyta Kazania Sejmowe, nie można, ale ktoby czytał jedno na dzień, lub tylko jedną część każdego, i nad tem się zamyślił, znalazłby tam wiele mądrości, wiele bardzo trafnego przystosowania, wiele ukrytej, a może nawet bezwiednej, ale rzeczywistej znajomości człowieka i świata.

Do czytania one nie są, choćby dlatego, że są wszystkie trochę do siebie podobne, wszystkie jednako ułożone na jeden wzór, jakby na jedno kopyto; nieodmiennie w trzech lub dwóch punktach czy częściach, opatrzonych wstępem, dobrze od siebie oddzielonych, tak, że każda część jest prawie małą całością dla siebie, każda zawiera jakąś osobną myśl i naukę. Dlatego, żeby nie były długie, układa autor dwa lub nawet trzy kazania z jednego tekstu (na wybór dla wiejskiego proboszcza czy wikarego), a w każdem mieści inny szereg myśli i nauk, z tej samej Ewangelii wysnutych.

Zbiorów takich kazań jest trzy: *Świątynia Pańska* (1645), obejmująca kazania świąteczne; *Wieniec* (1649) — kazania na wszystkie święta Matki Boskiej i *Arka Testamentu* (1648), najobszerniejsza, — kazania na niedziele i święta.

Otóż prawie wszystkie kazania w tych zbiorach są bardzo ładne. Naprzód, niktby się nie domyślił, że są z okrzyczanego, panegirycznego, przesadnego i silącego się na koncepty XVII wieku; większej prostoty, czy pomysłów, czy wyrażeń, nie mogłyby mieć kazania z najszczęśliwszych, najbardziej klasycznych czasów. Pod względem języka, stylu i smaku, przewyższają nietylko innych mówców tego wieku, ale nawet pisma świeckie samego Starowolskiego. Powtóre, nie zamykają się w sferze teoryi dogmatycznej, czy moralnej, ale związane ściśle z życiem, do niego się ciągle zwracają, z niego biorą przedmioty do nauk i przystosowań (a przez to mogą służyć dobrze i do poznania ówczesnych czy obyczajów, czy pojęć moralnych). Wreszcie mają ten dar szczęśliwy, że czy cnoty i zasługi, czy cierpienia tych świętych, których wiernym stawiają za wzór, umieją przedstawić bardzo zrozumiale przez porównanie z uczuciami zwykłemi, powszechnemi, jakich każdy w życiu doznał, i po których łatwo można poznać, jakie odniósł nad sobą zwycięstwo, jaką zrobił ofiarę, jaką wytrzymał boleść ten bohater cnoty. Naprzykład w kazaniach na Matkę Bolesną (Wieniec 163): odwołanie się do rodziców, żeby miarkowali po sobie, ile ona musiała cierpieć, albo jak ją urazić musiało zaparcie się świętego Piotra. We wszystkiem znać dużo teologicznej nauki, znajoności ojców egzegetyków, homiletyków, ale i wiele własnego rozmyślania nad Pismem św. i nad życiem, nad naturą ludzką.

Mało otwartych, widocznych aluzyj do rzeczy polskich, jednak często się zdarzy, że, mówiąc ogólnie, rzuci wiele światła na obyczaj ówczesny. A zawsze można z niego uważać dwie rzeczy: dążność praktyczną, podobną nieco do konferencyi nowszego kaznodziejstwa francuskiego: nie same tylko wielkie grzechy, ale i mniejsze zdrożności towarzyskie opisuje i karci, naprzykład pochlebstwo. A drugie, że kiedy

opisuje jaką złą skłonność ludzką rozbiera ją psychologicznie, zna jej powody, jej różne odmiany i cechy.

Praktyczność w dążności, spokój w uczuciu, jasność w wykładzie, prostota w wyrażeniach, to cecha jego kazań, które w swoim rodzaju są doskonałe. Nawet ze stanowiska literackiego bardzo ładne, bo harmonijne i poważne w swoim spokoju i prostocie. Ze Skargą, naturalnie, równać go nie można, ale możnaby zapytać, jak on się ma do mniejszych od Skargi, do Birkowskiego naprzykład? Że należy do dawniejszej dobrej szkoły, Wujków, Białobrzeskich, Karnkowskich bardziej, niż do XVII wieku, to pewna. Takiej wymowy, jaką Birkowski miewa czasami, u niego niema śladu. Ale bez tego ognia, bez tej energii, nie jest może gorszym od tamtego kaznodzieją. Birkowski bywa porywający czasem, ale często niesmaczny, przesadny w formie, błahy w pomysłach, jest bardzo nierówny. Ten nigdy tak świetny nie jest, nigdy tak zły, zawsze jednaki. Sądząc po literacku, tamten ma więcej wartości i jest bardziej zajmujący, bo ma przymioty pierwszego rzędu, które dla krytyki okupują jego wady; ale ze względu na pożytek, na wartość wszystkiego, co napisał, Starowolski byłby może wyższy. Talent daleko mniejszy, ale nie gorszy kaznodzieja; rodzaj zupełnie inny i wymowy i natury, ale w kaznodziejstwie, jak w pisarstwie świeckiem, jak nieraz w zawodzie urzędowym, rodzaj skromniejszy bywa pożyteczniejszym, jeżeli ma więcej wytrwałości, równości, jeżeli nie będąc nigdy bardzo świetnym, nigdy nie słabnie, nie ustaje i nie opada.

Wreszcie wielkie dzieło jego życia, *Reformacya Obyczajów.*

Sam tytuł pokazuje, że zamiarem autora i przedmiotem dzieła jest nie polityczna, ale moralna reforma; jedno z drugiem jednak tak się ściśle trzyma, obyczaj prywatny tak zawsze i koniecznie działa na publiczny, że jednego od drugiego oddzielić nie podobna, a mó-

wiąc o burdach, pijatykach, nierzetelnościach, gwałtach, rabunkach i t. p., trzeba zawsze zejść na Rzpltą, która na nich szkoduje. Dlatego i to dzieło, choć i z treści i z tonu wchodzi raczej w zakres nauki moralnej i kaznodziejstwa, liczy się u nas do literatury politycznej. Dzieło szanowne i ciekawe, choć nie można powiedzieć, żeby było napisane ze szczególnym talentem; szanowne duchem i dążnością, rozsądkiem i patryotyzmem, ciekawe, bo rzuca wiele światła na ówczesny stan wewnętrzny Polski, ale z tego samego powodu i przykre do czytania, bo światło, przez nie rzucone, pięknem nie jest. Zwykle myśląc o tych czasach, wyobrażamy sobie, obok zepsucia w życiu publicznem, wiele cnoty, wiele świętości nawet, w domowem. I nie brak zapewne dowodów, że ona była; ale ze spółczesnych świadectw pokazuje się, że nie była tak powszechną jak nam się zdaje, że owszem zgorszenia wszelkiego rodzaju, srogości, chciwości posuniętej do oszukaństwa i zdzierstwa, rozpusty, etc., nie były, nieszczęściem, wyjątkami. Kiedy Krzysztof Opaliński czarnymi kolorami maluje stan moralny swego wieku, mniej się na to zważa; nie chce się wierzyć człowiekowi, który o innych źle mówić nie ma prawa, bo jest sam od najgorszych gorszy; posądza się go, że przesadza i czerni, żeby sam wydał się bielszy. Ale kiedy Starowolski, bez żółci, bez namiętności, bez uczuć złośliwych i mściwych mówi prawie to samo, wtedy trudno nie wierzyć, bo ten z pewnością kłamstw i paszkwilów nie pisał. Jego zaś opis stanu moralnego ówczesnej Polski nie jest mniej smutny, jak ten, który się składa ze złośliwych satyr tamtego.

Że jego książka jest dobra, to rzecz prosta. Trudno, żeby dzieło tej treści było złem; przewrotności i złego uczyć nie może. Jak złe kazanie, tak zła nauka moralna jest rzeczą bardzo rzadką, i zdarzyć si, może, chyba, jeżeli kaznodzieja lub autor ma głow przewróconą a zmysł moralny skrzywiony. Ale kaza

nie, choć nie uczy złego, owszem, choć w dążności zawsze jest dobre, może być bezskutecznem, słabem, nudnem, jeżeli dobrej myśli dobrze powiedzieć nie umie. Jakże pod tym względem osądzić Starowolskiego *Reformacyę*?

Trzeba powiedzieć, że jest nietylko dobra i słuszna, ale rozumna; nie zbiór oklepanych ogólnikowych morałów, ale uwag i spostrzeżeń trafnych i pełnych praktycznego przystosowania. Jest prócz tego bardzo wyczerpująca: studyum obszerne i gruntowne obyczajów polskich i obraz bardzo dokładny i wielostronny złego w bardzo wielu, jeżeli nie we wszystkich kierunkach życia. Ale świetnie napisana *Reformacyu* nie jest: trafność, rozsądek, moralna i patryotyczna słuszność i prawda, to jej przymioty i cecha: ustępów wymownych, wspaniałych wybuchów czy oburzenia, czy zapału, jakie miewa Skarga a nawet Modrzewski, u Starowolskiego niema. Co nie przeszkadza, że jego *Reformacya* jest jednem z najpoważniejszych i najpatryotyczniejszych dzieł tego wieku, że myśl była szczęśliwa Taki rachunek sumienia, obraz obyczajów, od czasu do czasu stawiony przed oczy narodowi, taki bilans jego grzechów, byłby każdemu i w każdym czasie zdrowy i pożyteczny.

Ten ma jeszcze zalety wielkiej dokładności. W dwudziestu i dwóch rozdziałach swej książki objął Starowolski zdaje się wszystko, co było złem zasadniczem w polskim obyczaju, i powodem tych wielorakich złych uczynków, które były nieszczęściem i wstydem tego wieku. Znajdzie sią tu wytłómaczenie i ukraińskich buntów, i konfederacyj wojskowych, i zmowy z postronnymi panami, i ucieczki z pola bitwy; wszystko to mniej dziwi, kiedy z pomocą Starowolskiego zajrzymy głębiej w duszę i w życie narodu i poznamy, jak wiele tam było zepsucia.

Nie przypadkiem, ale mądrze i trafnie zaczyna Starowolski od pychy. Katechizm kładzie ją na czele

grzechów głównych, a między grzechami specyficznie polskimi, tymi, do których natura nasza najwięcej ma wrodzonej skłonności, stoi ona podobna także na pierwszem miejscu, na pierwszem pomiędzy źródłami naszych nieszczęść za Jana Kazimierza; dość przypomnieć rokosz Lubomirskiego.

Starowolski strofuje nas głównie za zarozumiałość, za wyniosłość: mamy się za najmędrszych, najmężniejszych, dla wolności naszej mniemanej zacniejszych od wszystkich narodów świata, i dla tej zarozumiałości, ani się na sobie dobrze znać, ani w złem poprawić nie możemy, dla obcych jesteśmy hardzi, dla uboższych nieprzystępni, dla dumy swojej fakcye i bunty podnosimy, Rzpltą mieszamy, poddanych oprymujemy, krew przelewamy i t. d. Krótkie te słowa dałyby się rozwinąć w obszerny traktat o różnych formach polskiej dumy, tak w życiu prywatnem, jak w publicznem, w polityce i w towarzystwie. Studyum takie byłoby ciekawe, a w niem wszystko zmieścić by się powinno, co Starowolski napomknął, bo wszystko jest prawdziwe. Wszystko, co Starowolski mówi, jest świętą prawdą, szkoda tylko, że się szerzej nad tą materyą nie rozpisał. Wiele to naprzykład dałoby sie powiedzieć o tem, co on w dwóch słowach tylko natrąca, żeśmy dla uboższych nieprzystępni; nie dla ubogich, żebraków, nie chodzi tu o nieludzkość i twardość, ale o jakąś sztywność, jakiś przedział i przymus w stosunkach towarzyskich, który sprawia, że człowiek uboższy boi się u nas bogatszego, a tamten nawzajem, wiedząc, że sztywnym jest lub za takiego uchodzi, staje się nieśmiałym, nie wie co mówić i robić, i pomimo najlepszej nieraz woli, wydaje się wymuszonym i sztywnieje jeszcze bardziej. Że autor ma słuszność, kiedy z pychy wyprowadza fakcye i bunty, zbytecznie mówić.

Za nią idzie rozdział o *Bojaźni Bożej* i *Wierności Kościołowi*; łatwo odgadnąć, co katolik i ksiądz mógł

o tem powiedzieć, a szczególnie pięknego, takiego, coby robiło wrażenie, nie powiedział nic. Tak samo o *Miłości Ojczyzny* i o *Zgodzie*. O tem, że polska swawola nie jest wolnością, nasłuchaliśmy się dosyć przez trzy wieki, i Starowolski ostatecznie nic więcej powiedzieć o tem nie może, jak powiedziało przed nim wielu; również i o tem, że szlachectwo prawdziwe nie na herbie, ale na szlachetności polega. Jednak jest tu parę ustępów godnych uwagi, jak np. ten, gdzie autor mówi, że w żadnym kraju niema tyle na rok mordów, co u nas w Polsce? Czy to tylko retoryczna figura, czy statystyczna prawda? Rada na to mądra w zakończeniu rozdziału, żebyśmy sobie sami dobrowolnie na sejmie wolności tej ujęli.

Idą dalej pochwały filozofii, złotej mierności etc., słuszne niezaprzeczenie, ale takie, które się zna i umie na pamięć, nie czytając, aż przychodzi rozdział o *Zbytkach*. Starowolski przy każdej sposobności, a tu najmocniej, domaga się praw na zbytki, nakształt weneckich; a na poparcie żądania swego przytacza rzeczy, które dziś uchodzą powszechnie za największy dowód zepsucia we Francyi, mianowicie kobiet do zbytków, i sposobach, jakimi do dogodzenia tej swojej skłonności dochodzić umieją. Polka XVII wieku, która nam się tak cnotliwą i surową wydaje, miewała widać chwile wielkiej słabości, a co gorzej nikczemności. Wyjątto były? Zapewne, ale wyjątki znaczące, bo oczywiście nie mówi on tego o kobietach z powołania płochych, ale o żonach i matkach rodzin.

Następuje pijaństwo: klęska i wstyd czasów saskich, ale dawniejsze wyobrażamy sobie przy okazyi czasem podchmielone, lecz nie rozpojone. Niestety, nasz autor twierdzi inaczej. Wstydzimy się nie pić, nie bankietować, nie zbytkować (rozdz. XI o Sromocie, wstydu nie przynoszącej), wstydzimy się przyjmować gościa tak, jak sami żyjemy, wstydzimy się, jeżeli nasze żony i córki nie tak strojnie i kosztownie ubrane

ne jak inne, wstydzimy się nie dotrzymać pijakom w piciu, zawadyakom zejść z drogi, żeby nas nie zaczepili. Cóż w tem za wstyd? Tymczasem doszliśmy do tego, że za przykładem starszych, rzemieślnik, chłop, ma sobie za wstyd nie uraczyć się, nie upić się w święto; szlachcić na półłanku wstydzi się nie częstować tak, jak pan wojewoda — syn, widząc ojca pijanym przy każdym obiedzie, zaprawia się do picia, ma to sobie za zaszczyt, za tęgość, za kawalerstwo. Ta nasza mniemana gościnność, ta hojność w częstowaniu, te nieskończone jedzenia i picia, to nie jest ludzkość ani gościnność, to „obyczaj ludzi nikczemnych i grubych."

A nasze biesiady i bankiety z kordem przy boku? Po co to? po to chyba, żeby, jak się zbyt często zdarza, po pijanemu pójść w zwadę i bić się, a nieraz i zabić. Tej gotowości do broni używać, „byśmy mieli w polu, nie w domu; przeciw nieprzyjacielowi, nie przeciw sąsiadowi; na wojnie, nie na biesiadzie. Ale my na sejmik jako na wojnę się wyprawujemy, a na sejm z takiemi gwardyami przyjeżdżamy, jakich nigdy przeciwko nieprzyjacielowi w obozie nie miewamy."

O prawdziwych i statecznych przyjaźniach, o łakomstwie, a właściwie o skąpstwie, rzeczy powszechnie znane; ciekawszy jest rozdział o zdzierstwie, które do ostatniej zguby Polskę przywodzi. Strach pomyśleć, jaki musiał być stan kraju, kiedy po kilkoletnich wojnach i rabunkach tatarskich, kozackich, szwedzkich i własnego żołnierza, żołnierz ten zawiązał się w buntowniczą konfederacyę i dopiero zaczął drzeć i rabować na dobre.

Sięgając coraz głębiej do samego dna złego, przychodzi do stosunku panów do sług i poddanych. O tym pierwszym stosunku, domowym, mówi rzeczy bardzo dobre, dotyczące porządku, wzajemnej życzliwości, taktu w postępowaniu ze sługami. Drugi jest ważniejszy, żywotny, i tu Starowolski dochodzi

do wniosków tak znaczących, że dają mu prawo liczyć się do najpoważniejszych, najśmielszych naszych reformatorów. Nie wymawiając tego słowa, żąda on zmiany radykalnej, o jakiej żaden statysta przed nim nie pomyślał: zniesienia poddaństwa i oczynszowania.

Nie mniej daleko idzie w żądaniach swoich co do sprawiedliwości i poprawy statutów. Dziwi i gorszy go przedewszystkiem rzecz jedna: Bezkarność. Urząd, mający moc i władzę karania. patrzy na wszystko przez szpary; opinia, zawsze po stronie tego, który krzywdę uczynił, nie tego, który ją poniósł. I dlatego to, mówi pobożny nasz teolog polski (Opatovius): sprawiedliwość o dnas odbiega, a do Nieba ucieka. Powtóre, niejednostajność sprawiedliwości, różne jej miary i wagi dla różnych osób. Konkluzya zamyka się w żądaniu uproszczenia procedury sądowej i w życzeniu, żeby Bóg w gniewie swoim nie zesłał nam jakiego korektora obcego, któryby nas dopiero uczył sprawiedliwości."

Osobny rozdział poświęca Starowolski na to, żeby dowieść, iż stan senatorski, a z nim i Rzplta cierpi i traci wiele na tem, że senatorowie więcej dbają o zachowanie, aniżeli o powagę; o wziętość, o popularność więcej, niż o prawdziwą godność. Uwaga głęboka a zwłaszcza u nas, narodu na popularność niezmiernie czułego, bardzo potrzebna. Cóż się bowiem dzieje przez tę dbałość o zachowanie? Oto, że senator, zamiast myśleć o tem, jak Rzpltej radzić, myśli, jak się ludziom podobać; nie śmie się sprzeciwić, pochlebia swojem zdaniem, ujmuje czapką i papką, a przez to wszystko i urzędowi swemu nie czyni zadość, i sam siebie, razem z senatorską powagą, podaje w lekceważenie.

Wychowanie młodzieży kończy właściwą reformacyę obyczajów; wszystko tak słuszne, że żal tylko, iż nie rozwinięte obszerniej. A potem już nie o obyczajach mowa, ale w ostatnim rozdziale o rządzie powszechnym narodu naszego, bez którego „Polska co-

raz bardziej ginie i niszczeje." — To konieczne uzupełnienie dzieła, to ta poprawa Rzpltej, do której reformacya obyczajów ma prowadzić.

Jeden rozdział tylko, ale tak pełen dobrych i mądrych rzeczy, że sam jeden dawałby dziełu prawo do zaszczytnego miejsca w naszej literaturze politycznej, do pierwszego miejsca w literaturze politycznej XVII wieku, bo w żadnem innem dziele z tego czasu tylu rozumnych i dobrych pojęć nie znajdziemy. Jest to to samo mniej więcej, co „Votum o Naprawie Rzpltej", ale napisane prozą, obszerniejsze, gruntowniejsze daleko. Jak tam, reforma polityczna Polski miałaby się zacząć od pomiaru łanów, od poboru żołnierza z pewnej ilości tych łanów i od podatku, płaconego z każdego łanu bez wyjątku. Znajdzie się i to pojęcie rzeczy, co w „Rozmowie Ziemianina:" początkiem nierządu są sejmy. Jest i ufortyfikowanie Dniestru i Dniepru i kolonizacya Ukrainy. Jest to więc streszczenie czy rekapitulacya wszystkich pojęć autora, złożonych we wszystkich jego dziełach poprzednich, tylko wszystko obszerniej, lepiej powiedziane.

Zakończenie „Reformacyi" jest piękne, i co dziwne, po książce tak smutnej przychodzi słowo pociechy i nadziei, które wychodzi na to samo prawie, co jego *Fortuna Variabilis.*

Chcąc dać jego charakterystykę co do ducha jego pism, możnaby powiedzieć, że to mały Skarga. Czuje i myśli, jak wielki; nie ma ani jego natchnienia, ani jego potężnego talentu. Tak jak tamten gorąco katolicki, jak tamten gorąco polski, jak tamten widzi wszystko złe grożące Rzpltej, to samo co tamten i tak samo widzi; jak tamten karci, gromi, przestrzega, prosi, i zawsze trzeba mu przyznać, że ma słuszność, że dobrze widzi i mówi. Ale choć to, co napisze, będzie zawsze dobre, a nieraz piękne, czy talent mniejszy, czy dusza mniejsza, ani jego gniew, ani jego oburzenie ani jego prośba, wrażenia takiego nie robią. Nie żeby

był zimny, bynajmniej, jest nawet bardzo w uczuciach swoich żywy; nie żeby był suchy i nudny, czyta się go z zajęciem; ale przypominając Skargę bardzo swoją gorliwością katolicką i kapłańską, swoim patryotyzmem, całością swoich wyobrażeń, nawet treścią swoich pism, wygląda po nim tak, jakby wyglądała po bardzo pięknej poezyi ta sama rzecz, przetłómaczona na prozę. Skarga zmniejszony, Skarga gorszych czasów, a jak tamten stoi na przejściu między wiekiem XVI a XVII, tak ten duchem i pismami oznacza punkt zwrotu i przejścia między lepszą a gorszą połową XVII wieku. Zbytecznie mówić, że ten Skarga zmniejszony jest jeszcze bardzo poważną i niepospolitą figurą; że ta moralizująca proza od tamtej natchnionej wymowy nierównie niższa, ma jeszcze bardzo wiele wartości moralnej i patryotycznej; literackiej mniej, ale ma ją także, a w porównaniu z pisarzami późniejszymi, nawet bardzo wiele. To tylko trzeba powiedzieć, że to podobieństwo ze Skargą jest mimowolne: on ani się o nie stara, ani o niem myśli; jest to podobieństwo duszy, uczuć, wyobrażeń, ale nie naśladowanie. Niektórzy, z tego powodu może, że Starowolski jest przedewszystkiem moralistą, i to dość surowym, wyobrażają go sobie, jako zrzędnego mizantropa, który ze wszystkiego i ze wszystkich niekontent, na wszystko i wszystkich się gniewa i w swoich oburzeniach i morałach przesadza. Tej fizyognomiii skrzywionej, zadąsanej, kwaśnej, sądząc przynajmniej z pism (a jakim był w życiu, o tem mało wiemy), dopatrzyć się trudno. Raczej możnaby się domyślać, że musiała to być natura czynna, energiczna, rzutka, która długo szukała równowagi, ale nie mogła jej znaleźć, że była zdolność prawdziwa i niepoślednia, która się taką czuła, ale nie była dość wyraźna i zdecydowana, żeby sama dobrze wiedziała, do czego ona jest. Starowolski miał i rozum i chęć służenia, wiedział o sobie, że miał wiele dobrych myśli w głowie, któreby powiedzieć było warto, ale

wyraźnego powołania nie miał i szukał swego miejsca wszędzie, między uczonymi, między statystami, między historykami, nawet między pisarzami rzeczy wojskowych, a nigdzie jakoś wrosnąć, nigdzie swego prawdziwego powołania znaleźć nie mógł. Czy taka niespokojność duszy i niestałość wyobraźni, czy też może taki rodzaj zdolności, ten rodzaj podrzędny, który wszystko zrobi, a nic bardzo świetnie, jest do wszystkiego zdolnym, ale do niczego tak bardzo, żeby ten jeden przedmiot, czy kierunek całego człowieka opanował i spotrzebował, pisał we wszystkich możliwych rodzajach i przedmiotach, dopóki święcenia kapłańskie nie kazały mu zamknąć się prawie zupełnie w sferze religijnej, teologicznej, kaznodziejskiej, polemicznej. I w sferze moralnej; bo jego pisma świeckie, nawet polityczne, mają daleko więcej moralnego, niż politycznego charakteru. Ale żeby był moralistą kwaśnym żółciowym, zrzędnym, przesadnie surowym, to nie: jest to twarz poważna, surowa, zamyślona, smutna, ale zmarszczki na niej nie powstały z niechęci do ludzi, ani z szyderstwa, ani z zawiedzionej miłości własnej, tylko z ciężkiego zadumania nad teraźniejszością i z obawy o przyszłość.

I ta postać zamyka ten okres w naszej literaturze. Powiedziało się już, jaki był jej charakter. Powtórzyć tylko trzeba i przypomnieć ten fakt smutny, że cała ta literatura, we wszystkich swoich kierunkach zatrzymuje się w połowie drogi, trzyma się w mierze średniej. Rzecz zawsze niedobra, a w tym razie tem smutniejsza, że po okresie średnim nie nastąpi wyższy. Na taki trzeba będzie czekać całe sto lat i więcej.

ROZDZIAŁ IV.

(1648—1674).

I. Zwrot w stanie i w historyi Europy. Stan Polski. Wojny kozackie. Zerwanie sejmu. Wojny szwedzkie. Ratunek. Wojna domowa. Abdykacya Jana Kazimierza. Elekcya i popularność Michała. Sobieski. Literatura w upadku. Jego powody. *Satyry* Opalińskiego. Starowolskiego *Lament. Gigantomachia* księdza Kordeckiego. II. Andrzej Morsztyn. Charakterystyka. *Lutnia.* Początki Kochowskiego. Fredry *Przysłowia* i *Monita. Maksymy* Larochefoucauld. *Cyd* Morsztyna. *Wojna Domowa* Twardowskiego. Bartłomiej Zimorowicz. Gawiński. III. Kochowski. *Kamień świadectwa.* Fredro. *Militaria. Psyche* Morsztyna. Elekcya króla Michała w literaturze. *Wojna Chocimska* Wacława Potockiego.

I.

Zwrot w stanie i w historyi Europy. Stan Polski. Wojny kozackie. Zerwanie sejmu. Wojny szwedzkie. Ratunek. Wojna domowa. Abdykacya Jana Kazimierza. Elekcya i popularność Michała. Sobieski. Literatura w upadku. Jego powody. *Satyry* Opalińskiego. Starowolskiego *Lament*. *Gigantomachia* księdza Kordeckiego.

W przyjętym powszechnie podziale historyi świata figurują zawsze trzy wieki nowsze jak gdyby stanowiły epokę. W tej epoce wprawdzie są różne zwroty i zmiany, ale nie mniej, zdawałoby się, sądząc z tych historyków, że okres czasu od wynalezienia druku, odkrycia Ameryki i odrodzenia nauk, aż do rewolucyi francuskiej, jest jakąś jednolitą całością i jednością. Nazywamy je zwykle nowymi wiekami, w przeciwstawieniu do średnich, które tę nowszą naszą historyę i cywilizacyę rozgraniczają od starożytnej. Tymczasem są w duchu, w życiu, w charakterze, w dziejach tych trzech wieków różnice tak wielkie i stanowcze, że jakkolwiek logiczny związek przyczyn i skutków, konsekwencya historyczna nie zrywa się między nimi (bo nigdy zrywać się nie może), to Europa w ciągu ich zawraca w koleje tak nowe, tak odmienne, przebywa zwroty tak stanowcze, a po nich ukazuje się tak znacznie zmienioną, że druga połowa wieku XV i koniec XVIII nie mogą żadną miarą uważać się za

jedyne punkty stałe, między którymi ludzkość byłaby szła w jednym i tym samym kierunku, za granicę epoki, między którymi mieściłyby się tylko podrzędne zmiany i oddziały czasów. W środku mianowicie (mniej więcej) trzech nowszych wieków, w połowie epoki, przychodzi taka chwila przełomu i zmiany: w polityce, w organizacyi i równowadze sił w Europie, w prawie narodów, w stanie religijnym, w filozofii, w literaturze, we wszystkiem, że można palcem wskazać ten fakt, słup graniczny, gdzie kończy się dawny świat europejski z wieków średnich wyrosły i z nimi zawsze choć coraz słabiej związany, a gdzie się zaczyna nasz dzisiejszy.

Tym faktem, tym słupem granicznym, który ma prawo, żeby od niego nazwano i liczono osobną w historyi epokę, jest *Pokój Westfalski*.

Zamyka on wszystkie sprawy, rozpoczęte w wieku XVI, a rozpoczyna nasz świat dzisiejszy, otwiera ten szereg przyczyn, których skutkami były: Rewolucya francuska, rozbiór Polski, i w dalszym ciągu historya XIX wieku.

Dawna Europa była skończona. Wielki interes XVI wieku, walka protestantyzmu z katolicyzmem, skończyła się nietylko uspokojeniem religijnych namiętności, ale i osłabieniem religijnego ducha, u katolików, jak u protestantów. Zatem poszło, że państwa europejskie niemal wszystkie straciły to, co dotąd było ich cechą i podstawą. W wiekach średnich pierwiastek religijny przejmował wszystko i nad wszystkiem górował; w wieku XVI interes protestancki lub katolicki był duszą i wskazówką, główną dążnością polityki każdego z nich; teraz państwa zostają katolickiemi lub protestanckiemi z mocy okoliczności, z tradycyi, z polityki, ale interes religijny oddziela się od polityki coraz bardziej, a na postępowanie ich, na wypadki, wpływają już tylko względy polityczne. Polska jedna stanowiła pod tym względem wyjątek: ona i kie-

dy szła pod Wiedeń, i kiedy zawiązywała konfederacyę barską dla obrony ojczyzny i wiary, nie o swojej tylko potrzebie i pożytku myślała. Ale ani w kraju katolickim Ludwik XIV nie znosił edyktu Nantejskiego w przekonaniu silnem, że to jest konieczne dla katolicyzmu (które to przekonanie, mylne, ale szczere miał jeszcze Filip II), ani w kraju protestanckim Cromwell nie z religijnego fanatyzmu utrzymywał fanatyzm swoich purytan; nie namiętność protestancka i interes protestantyzmu, lecz obawa restauracyi Stuartów utrzymała w Anglii tak długo prześladowanie katolików.

Zmieniona też odtąd zupełnie cała dawna organizacya polityczna Europy, cały ten porządek, pozostały po wiekach średnich, a opierający się na Papiestwie i Cesarstwie. Rzecząpospolitą chrześcijańską, którą Europa nigdy naprawdę nie była, ale którą dawniej we własnem pojęciu być była powinna, od tej chwili stanowczo i na długo (bo do dziś dnia) być przestała. Gdyby Henryk IV był pożył, gdyby był zdołał plan swój wykonać; może to pojęcie Rzeczypospolitej chrześcijańskiej byłoby się stało rzeczywistością; ale jego zabrakło, na jego miejsce przyszedł Richelieu i zamiast tej wielkiej idei, która zginęła bez śladu, postawił, doprowadził do dojrzałości tę, która do dziś dnia żyje i w sobie skupia cały kierunek życia politycznego w Europie: ideę państwa, jako najwyższej zasady, najwyższego celu, najwyższej potęgi i najwyższego prawa. W tem leżał zaród całego późniejszego złego; despotyzm wewnętrzny i zewnętrzny gwałt, Ludwik XIV, ogłaszający, że *Państwo to on* i napadający to Holandyę, to Niemcy, to Hiszpanię, Fryderyk, rozbiór Polski, wszystkie błędy i występki polityki Napoleona, aż do Bismarcka, wszystko, co się w Europie działo i dzieje, płynie z tego źródła, że idea państwa, interes państwa, stanął nad wszystkiem i wszystko przeważył. W wiekach średnich znano prócz tego

dwie siły, dwa pojęcia: Kościół i naród; teraz, z wyjątkiem Polski, na całym kontynencie zostają tylko rządy. I rzecz dziwna, w tej samej chwili, kiedy teorya prawa narodów rozwinęła się tak wielce, kiedy pierwszy raz odbył się powszechny międzynarodowy kongres w Europie, w tej samej chwili w praktyce prawo narodów znikło, a cała historya, od traktatu westfalskiego począwszy, przez Ludwika XIV, przez Karola Gustawa i Karola XII, przez Fryderyka, przez Napoleona, do kongresu wiedeńskiego i do naszych czasów, jest tylko pasmem gwałtów, na prawie narodów spełnionych.

Zmienił się dalej cały stosunek sił politycznych, działających w historyi europejskiej. Rzecz prosta, że kiedy interes religijny przestał znaczyć i ważyć w świadomości państw i w ich polityce, musiał ustać także i ogromny wpływ Papiestwa, który jeszcze do końca XVI wieku widocznym jest w każdym historycznym wypadku. Ubywa więc zaraz to, co było niemal najważniejszym czynnikiem historyi dawniejszej. Nieznacznie, ale nieustannie chwieje i wali się drugi filar dawnego porządku rzeczy. Cesarstwo zostaje, z wojny trzydziestoletniej wychodzi niby zwycięskie i staje się tak dziedzicznem w domu austryackim, że frankfurckie elekcye są czczą formalnością; raz jeden tylko, i to po wygaśnięciu męskiej linii Habsburgów, śmie kto inny ubiegać się o cesarską koronę, a i wtedy nawet kobieta z tego domu przenosi ją na głowę swego męża i syna. Zdawałoby się więc, że to połączenie nierozdzielne Austryi z Cesarstwem jest wyrazem najwyższej potęgi jednego i drugiej; ale w tem Cesarstwie dawnej myśli, dawnego ducha już niema. Forma tylko trzyma się jeszcze, a potęga Habsburska spada z tej wysokości, na której stała za Karolów, Ferdynandów i Filipów. Nie mówiąc o hiszpańskiej gałęzi tego domu, która doszedłszy do apoteozy swojej monarchii, zapadła tak prędko w umysłową niezdol-

ność i polityczną niemoc, w rodzaj letargu, z którego ten kraj dotychczas do zdrowia nie przyszedł, w samych Niemczech pomimo przeciwnych pozorów znaczenie Austryi upada odtąd ciągle. Temu nie winny już ani wojny, ani zwycięstwa francuskie, ani następstwa wojny trzydziestoletniej, ani podstępnew spółzawodnictwo Richelieugo i Ludwika XIV, ani wzmagające się znaczenie protestanckiej północy w Rzeszy, ani późniejsze zdrady Fryderyka, ani nic temu nie winno, że od śmierci Ferdynanda II aż do upadku Św. Rzymskiego Cesarstwa jedyny umysł niepospolity, jedyną zdolność w domu i na tronie Habsburgów miała kobieta. Nie wydaje też ta potęga austryacka ani mężów stanu, ani wojowników; od Wallensteina do arcyksięcia Karola jedynym bardzo zdolnym wodzem wojsk austryackich był Eugeniusz — „Sabaudzki.” Utrzymują się pozory, utrymują się tradycye i zwyczaje austryackiej polityki, ale jej wewnętrzna siła, jej znaczenie i znaczenie samej instytucyi Cesarstwa w Niemczech upada.

Niknie także i dawne pojęcie Rzeszy. Na pozór to unifikacya i pokój, naprawdę rozkład, rozpadnięcie się na pierwiastki, z których później, dużo później dopiero, długim historycznym procesem złożyć się miał nowy organizm niemiecki. Niema butnych wasali, potężnych książąt w wojnie z cesarzem, elektorów niepodległych i opornych, jak w wiekach średnich; niema książąt protestanckich w wojnie z cesarzem katolikiem, jak za reformacyi i wojny trzydziestoletniej, ale niema i Rzeszy. Żaden z tych książąt się nie buntuje, ale każdy albo w swojem małem państwie żyje z dnia na dzień dla siebie, albo jeżeli ambitny i dość silny, żeby o powiększeniu myśleć, prowadzi politykę na własną rękę ze swoim celem, Rzeszy bynajmniej nie tyczącym. Początek tego stanu rzeczy odnieść należy do wojen religijnych, utwierdziła go rywalizacya Francyi z domem austryackim, a poczęty i utwierdzony, dojrzewał sam w sobie pocichu

i zwolna, aż tak dojrzał, że jeden z elektorów mógł bez wypowiedzenia wojny, cesarza najechać i zadać mu cios pierwszy tą samą ręką, która później Habsburgów i Austryę wyrzuciła ze związku niemieckiej Rzeszy.

A w miarę jak ubywają dawne siły, z których składała się Europa i jej historya, powstają z małego inne. Hiszpania nie znaczy nic, nie wpływa na losy świata; Włochy od połowy XVII wieku i przez cały XVIII były naprawdę tylko geograficznym wyrazem, środek ciężkości spraw eropejskich przenosił się z Południa na Północ. Anglia dochodzi do potęgi, o jakiej w wiekach średnich nie śniła; Holandya znaczy przez czas jakiś tyle prawie, co dawniej Wenecya. Bardziej ku Wschodowi długo się waży, kto tam rozstrzygać będzie: przez czas jakiś Szwecya przedsiębiorcza i rzutna, ale jej europejska rola kończy się rychło, a stanowisko, o jakiem ona marzyła, jakie przez chwilę miała w ręku, obejmują Prusy, dążąc do celu powoli, ostrożnie, systematycznie, cierpliwie, ale nieubłaganie.

Zmieniona więc postać, zmieniony i duch Europy, a stan społeczny, choć nie tak widocznie przewrócony, jak stan polityczny, jednak do przewrotu bardzo nachylony. I monarchia, i szlachta, i miasta inne, niż bywały. Co do monarchii, różnica jest ogromna, nie już od jej pojęcia średniowiecznego, ale ogromna pomiędzy monarchią, jak ją pojmował Filip II, a Ludwik XIV. I tamten pojmował ją lepiej. Jak to być może? Przecież ten okrucieństw takich nie dopuścił się nigdy? To prawda; ale stanowisko swoje, swój obowiązek królewski, pojmował wyżej i szlachetniej. W jego przekonaniu monarchia była filarem, na którym się opierał cały przez Boga opatrzony porządek świata; on sam, reprezentant tej idei, był panem (wszystkich, ale i panem dla siebie samego. W je pojęciu i uczuciu, ani świat nie służył jemu, Filipc II, ani on sobie; on razem z całym systemem polity nym i społecznym, stosował się do zasady wyższ

jej służył, ją wspierał i wykonywał. Osobistości, kró lewskiego egoizmu, tej małości, która potęgi, i wszechmocy, i chwały żąda dla siebie tylko, Filipa, Henryka czy Karola, tego Filipa nie miał. Henryk IV żądał jej dla swego narodu, Filip dla swojej idei, monarchii; Ludwik XIV dla siebie; tam było ubóstwienie zasady, tu osoby. A tak przekształcone pojęcie *królestwa* przekształca pomału pojęcie i stanowisko szlachectwa. Wszędzie i zawsze, gdzie był król, był i dwór i dworactwo, ale w XVI wieku jeszcze i aż do połowy XVII nie było tego uczucia w szlachcie europejskiej, zwłaszcza we francuskiej, żeby szlachcic do honoru, sławy i znaczenia mógł dojść tylko na dworze i przez dwór. Fronda była ostatniem wysileniem szlachty francuskiej, aby utrzymać się w dawnej niezależności; po niej niema już fakcyjnych książąt, wojujących z królem, ani awanturniczych baronów, zuchwałych, zaczepnych, lubiących burdy i wybryki, ale niema i takich, którzyby życie swobodne, niezależne, życie nie w dworskiej atmosferze pojmowali; wszyscy są, lub być chcą, tytułowanymi lokajami.

Miasta, które do tej samej epoki zachowały także ślady, pamięć i pragnienie tego stanowiska, jakie miały w wiekach średnich, teraz rezygnują się zupełnie. Wiedzą, że są niczem i na tem przestają, przyjmują pokornie każdą wolę króla i każde szyderstwo od jego dworzan, dopóki po wieku na nowo się nie oburzą, nie obudzą i nie podniosą.

Słowem, z dawnej średniowiecznej organizacyi Europy nie zostało już nic; zaczął się, nie w końcu wieku XV, ale w połowie XVII, zaczął się na dobre świat nowoczesny, który żyje biciem dwóch tylko pulsów: jednym jest Państwo, drugim jego córka nieodrodna, naturalny skutek jego wszechmocy, Rewolucya. A nie trzeba się mylić i sądzić, że Państwo przestało być jedyną i wszechwładną zasadą dlatego, że Państwa przestały być despotycznemi, a stały

liberalnemi, bo te jak tamte nic nie uznają prócz siebie.

Zaprzeczyć nikt nie zdoła, że od tej chwili Europa wygląda coraz brzydziej; brzydziej od największych do najmniejszych objawów swego życia. Zamiast takich ideałów króla, jak św. Ludwik lub Henryk IV, te czasy mają swój ideał króla w Ludwiku XIV. Mężów stanu coraz mniej, coraz więcej za to dyplomatów. Dyplomacya staje się sztuką, umiejętnością i zarazem karłowacieje w etykietalnych formułkach, w pedantycznem przestrzeganiu litery traktatów, a sofistycznem i nieuczciwem przekręcaniu, obchodzeniu prawa narodów i w usprawiedliwianiu tych gwałtów literą owych traktatów. Rycerstwo znika: zostaje po nim *galanterya*, pojedynki jako jedna licha puścizna. Psuje się i maleje sztuka; wiek XVII od połowy i XVIII nie wzniósł ani jednego pięknego kościoła, od śmierci Rembrandta, Velazqueza i Murilla nie wymalował ani jednego pięknego obrazu. Że nie mógł zrobić ani jednego pięknego posągu, to rzecz naturalna; kto nosił peruki, kto się kochał w stylu barocco i rokoko, ten z marmurem sobie rady dać nie mógł, dla tego właściwym materyałem była porcelana. Wszystko, aż do ubioru, wszystko się psuje. W strojach wieku XVI i późniejszych jeszcze, za Ludwika XIII, człowiek wygląda kształtnie, swobodnie, malowniczo; krój sukni szanuje naturę i zachowuje linie ciała i poprawia je tak, żeby postawa wydała się korzystnie; teraz cała sztuka, całe upodobanie w tem, żeby od natury odstąpić, żeby głowie nadać rozmiary i kontury, jakich jej natura nie dała, żeby włosom nadać sztuczny kolor i układ. Gdyby z tych wieków nie było zostało nic tylko peruka Ludwika XIV, to z tej jednej tylko wskazówki możnaby wnieść niemylnie, że to lata, w których nie było ani prawdziwej powagi w duszach, ani zmysłu estetycznego.

I literatury upadają: wszystkie, nawet francuska.

Ta nazywa tę epokę swoim wielkim wiekiem, i niezaprzeczenie jest podówcza w Eropie pierwszą, nieledwie jedyną. Ale jak sobie przypomnieć tę bujność i rozmaitość form, jaką miała w wieku XVI, i porównać ją z jednostajnością XVII, to można zapytać, czy ten jej nie skrzywił i nie sparaliżował. Ludzie gienialni jak Pascal lub Descartes, wielkie umysły jak Bossuet i Montesquieu, wielkie talenty jak Molière i Lafontaine są w tej epoce, to prawda; ale te byłyby się zjawiły i byłyby działały zawsze. W swobodniejszej atmosferze, może byłyby się rozwinęły jeszcze świetniej, a zdolności słabsze nie byłyby wpadły w tę nieszczęsną poprawność, która staje za dobroć, w tę stereotypową konwencyonalność, która jest grzechem i plagą literatury francuskiej, może nietylko klasycznej.

Angielska po Miltonie już twórczego i wielkiego nie ma nic; ma pisarzy dobrych, rozumnych, uczonych, ma dobrych naśladowców francuskiego smaku, ale samorodnego, nowego i europejskiego, ona, co tak niedawno jeszcze miała Szekspira i Miltona, nie wydaje nic. Hiszpańska wystrzeliła jak fajerwerkiem płomienistą poezyą Calderona, ale zaraz zgasła, zapadła w marazm, jak cała Hiszpania; włoska, niegdyś pierwsza w świecie, teraz jak gdyby nie istniała wcale. Niemiecka przez cały wiek XVII i dobrą część XVIII jest w takim stanie, że go nawet za przygotowanie do lepszego uważać trudno, i pojąć nie można, zkąd i jak z tego upadku stanęła naraz na czele wszystkich europejskich.

Umiejętność tego wieku łączy się ściśle z umiejętnością XVI wieku, od której pochodzi, ale się od niej także wielce różni. Pierwiastek krytyczny, analityczny, wolne badanie, które tamten wiek wprowadził, ten posunął dalej. Należy mu się chwała i wdzięczność za to, że wprowadził je w naukę historyi, bo niezawodnie początek i źródło historyi krytycznej leży w pracach XVII wieku, który pierwszy zbiera, czyta

ogłasza i rozumie źródła. Filozofia przebyła zmianę może największą: z kolei scholastyków i z kolei starożytnych wyszła zupełnie, stanęła o swoich siłach jako odrębna i samoistna. Ale czy ten duch analizy i sceptycyzmu, jaki w sobie miała, nie rzucił zasiewu na cynizm i materyalizm filozofii wieku XVIII, czy Spinoza i Locke złem, jakie zrobili, nie przeważają czasem dobrego, jakie mógł zrobić Leibnitz i Descartes? Czy pomiędzy protestantyzmem i sceptycyzmem wieku XVI a materyalizmem i zepsuciem XVIII i XIX, filozofia ta nie jest naturalnem przejściem i ogniwem? Czy Locke nie tłómaczy i nie poprzedza Rejenta naprzykład i Ludwika XV, a Spinoza Fryderyka i Bismarcka? To pytanie, któremu przynajmniej śmiało i odrazu zaprzeczyć nie można.

Jest więc Europa w tej epoce na punkcie zwrotu, przesilenia, jest zmieniona radykalnie w swoim stanie politycznym i społecznym, w swoich stosunkach międzynarodowych, w swoich pojęciach i w swoim duchu. Przez chwilę w równowadze, chyli się następnie przyśpieszonym pędem, ale prostym kierunkiem, do naszego czyśćca dni teraźniejszych. Genealogia jest łatwa i krótka, a pochodzenie skutków od przyczyn zbyt widoczne, żeby go można nie widzieć. Wszechwładne Państwo zrodziło Rewolucyę Francuską i Rozbiór Polski, które zrodziły historyę XIX wieku. I kto wie, czy historycy, którzy po nas nastąpią, nie oznaczą początku nowej historycznej epoki, w połowie XVII wieku.

Dla nikogo zaś zwrot nie był tak stanowczy, przesilenie tak straszne, jak dla Polski. W jej dziejach, rok 1648, oznacza epokę niewątpliwie, niezaprzeczalnie.

Władysław IV umiera, wstępuje na tron Jan Kazimierz i zbiera żniwo, którego ziarno rzucone było dawno za Ludwika i Kazimierza Jagiellończyka; które zeszło za Zygmunta pode Lwowem, w wojnie Kokoszej, puściło kłos wolnej elekcyi, zakwitło sprawą Zborowskich i rokoszem Zebrzydowskiego, a dojrzało zupełnie w połowie XVII wieku, w dwóch czynach, z któ-

rych jeden był haniebny, a drugi zabójczy, to jest, kiedy szlachta nie dopuściła wojny tureckiej, i kiedy potem uciekła z pod Pilawiec. To były znaki czasu, po których przyszłość dawała się odgadnąć. A nie brakło i innych.

W tej samej chwili, kiedy król umierał (dwoma dniami później), bunt kozacki rozproszył wojsko pod Korsuniem; Władysław na marach, dwóch hetmanów w niewoli, a wśród tego elekcya! Sejm konwokacyjny myśli o obronie, zbiera siły, mianuje regimentarzy, a wojsko i regimentarze uciekają z pod Pilawiec. Chmielnicki z Tatarami pode Lwowem, pod Zamościem, a w Warszawie, podczas tego, wybiera się król do tej korony, z której Bóg wie, czy jutro co zostanie, a która przecież ma kandydatów, ochotników. Królewicz Karol i jego adherenci bróżdżą, przeszkadzają, przewlekają sprawę, kiedy każda chwila zwłoki może być śmiertelną, kiedy trzeba króla i normalnego stanu rzeczy czemprędzej, bo najezdnik, jeżeli się układać będzie, to tylko z królem, bo jeżeli co siłę obronną z narodu wydobyć zdoła, to tylko powaga (kiedy władzy nie było) królewska.

Nie było może nigdy króla, któryby w smutniejszych, trudniejszych okolicznościach zasiadał na tronie; a to wszystko, Korsuń, Pilawce, oblężenie Lwowa, to były dopiero *initia malorum.* Zaledwie Chmielnicki wrócił na Ukrainę, zaledwie zaczęły się układy z nową komisyą, kiedy podczas rozejmu niesforni panowie ukraińscy na własną rękę na oddziały kozackie uderzyli, a Chmielnicki, uszczęśliwiony z dobrego pozoru, znowu pociągnął w głąb Rzpltej. Powtórny zatem bunt, powtórna wojna domowa. Oblężenie Zbaraża, bitwa zborowska, zręczne oddzielenie Tatarów od Kozaków, wskutek tego nowe układy, ugody, punkty. A wtedy miesza się mądrze w tę sprawę nieprzyjaciel zewnętrzny, czując, że nadeszła chwila postawić pierwszy krok do rozbioru Polski. Rosya zachęca Koza-

ków do nowej wojny; Polska gotuje się do niej lepiej, niż przedtem, przychodzi Beresteczko; zwycięstwo, sposobność złamania buntu, a zachowania Ukrainy na zawsze! tylko trzeba z tej sposobności korzystać. Ale nazajutrz po bitwie, pospolite ruszenie wróciło do domu, ze stu tysięcy zostało dwadzieścia. Nie pierwszy się to raz zdarzało, ale pierwszy w tak stanowczej chwili, pierwszy z tak zgubnymi skutkami Beresteczko, niemniej jak Pilawce, dowodziło, że już wtedy był u nas bolów ból, narodu duch zatruty. A równocześne dowiodło tego pierwsze zerwanie sejmu; Chmielnicki i Siciński, Ruś stracona, niebawem poddana Rosyi i *Liberum Veto*, Polska zdana na łaskę pierwszego intryganta, pierwszego zdrajcy, pierwszego pijaka lub głupca — droga do rozbioru otwarta. Ledwo się to stało, następuje zmowa z ościennym panem, ofiarowanie mu Polski, zdrada Radziejowskiego i napaść szwedzka, tak bez prawa i powodu, tak nieusprawiedliwiona i niesumienna, że tylko napad Fryderyka na Śląsk był równym ale nie gorszym aktem gwałtu i bezwstydu. A wojewodowie na granicy bez strzału podpisują kapitulacyę, przyjmują Karola Gustawa za pana, przysięgają mu, wojsko do niego przystaje, wojewoda poznański wydaje w jego ręce Wielkopolskę, hetman litewski Litwę; Szwed w Warszawie i w Krakowie, Chmielnicki pode Lwowem, Rosyanie w Wilnie, a ich latające oddziały w Lublinie odbierają przysięgę na wierność carowi, król na tułactwie! Rzecz nie pojęta, że się wtedy wszystko nie skończyło, że rozbiór nie przyszedł o lat sto dwadzieścia wcześniej.

Czy w Częstochowie Matka Boska odbijała szwedzkie kule Swoim płaszczem, czy nie, cud był zawsze; cudem było, że Polska ocalała wtedy, że po pilawieckich wstydach i batohskich klęskach, ten sam naród, tak się rychło poczuł w sobie i dźwignął w Tyszowcach, że i cześć odzyskał i niepodległość prawie straconą zachował, i jeszcze zbogacił się sławą i zasługą,

świętą pamięcią bohaterskich czynów i wielkich rycerskich charakterów, jak Czarniecki. Uratowała się Rzplta. Wypadało jej teraz zabezpieczyć się od niebezpieczeństw podobnych na przyszłość. Czuła to sama, a dążność do społecznej poprawy i politycznej siły, choć przez króla i królowę najgoręcej popierana, nie była wyłącznie ich myślą tylko. Czy ślub Jana Kazimierza, względem zatamowania ucisku poddanych, wyszedł z jego własnego tylko lub z powszechniejszego uczucia, nie wiedzieć, ale reakcya przeciw bezrządowi była dość silna, a myśl ograniczenia lub zniesienia elekcyi, wyznaczenia następcy za życia króla, była dość powszechną; odzywała się nawet między sejmikową szlachtą, a ci nawet, którzy w swoim czasie podnieśli przeciw niej rokosz, długo jej pomagali i służyli. Czy plan Jana Kazimierza był dobry? Materyalnie przynajmniej byłaby Polska stała się silniejszą i bezpieczniejszą, to pewna. Zniesienie bezkrólewia mogło ją uratować i zdawało się możliwem, prawie blizkiem A wtedy przyszło nieszczęście, gorsze od wszystkich poprzednich, zatruwające ducha narodu do reszty. Związek, właściwie bunt wojska i rokosz; wojna domowa, podniesiona w chwili, kiedy Rzplta ledwie żywa po kozackich, szwedzkich i moskiewskich wojnach, podniesiona w obronie wolności i elekcyi niby, przez człowieka, który się dotychczas na wyznaczenie następcy za życia króla godził, a naprawdę poduszczona przez Austryę, która się bała króla Francuza w Polsce, a Lubomirskiego świetnemi nadziejami uwiodła. Tak skończyło się owo podniesienie się narodu w r. 1655 i nadzieja jego odrodzenia. Najsroższe nauki przeszły bez skutku i szlachta i magnaci nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli; złe nie ukarane ani przez bezsilny i zwyciężony rząd, ani przez płochą i bezrozumną opinię, która się na niem poznać nie umiała, musiało się stać dalszym powodem dezorganizacyi; i zrobił się znowu krok nowy ku upadkowi ,gorszy,

niż wypuszczenie Prusaka z lennictwa, gorszy, niż poddanie się kozaczyzny i oddanie Kijowa Rosyi, a król, składający koronę, nie potrzebował być prorokiem, aby przepowiedzieć rozbiór kraju narodowi, który nie miał dość wstydu, ani dość honoru, ani dość politycznego zmysłu, ani dość patryotyzmu, żeby po wszystkich klęskach tak świeżych nie podnieść wojny domowej i jej herszta nie mieć za bohatera.

A nowa elekcya i nowe panowanie były nowem tego upadku stwierdzeniem. Pojmuje się zapał szlachty do króla Michała i tę miłość ludzką, której jego osoba sama wzbudzić nie mogła. Ależ nie osobę otaczała szlachta swoją sympatyą, ani syna popularnego księcia Jeremiego. Zrażona do wszystkich kandydatów swoich czy obcych, prowadzonych na tron przez partye dworskie i magnackie, nasłuchawszy się przez tyle lat, że Jan Kazimierz spiskuje przeciw wolności i ojczyznie, bo chce na tronie osadzić Francuza, nasłuchawszy się z drugiej strony, że gubią Polskę ci, którzy popierają politykę austryacką, niedowierzająca, obałamucona, chciała też raz wybrać króla sama, swoją inicyatywą. Naturalnie naprzód ani myślała o kandydacie, ani się co do niego z sobą porozumieć mogła i wybrała kogo podsunął przypadek: pierwsze imię, głośno wykrzyknięte w tłumie, tłómacząc się potem sama przed sobą, że wybrała Michała przez pamięć i wdzięczność dla zasług ojcowskich. Kochała też nie Michała, ale króla swego wynalazku, króla, którego sama stworzyła. Żadnemu nie była nigdy tak powolną i życzliwą, jak temu niedołężnemu stworzeniu, które mogłoby było zrobić z nią, coby tylko chciało, gdyby przez cztery lata swego panowania wogóle było cokolwiek chciało i myślało. Trudno bez oburzenia i gniewu myśleć o tem, że jedyny raz, kiedy szlachta konfederacyę i rokosz pojęła dobrze, jako bunt i zbrodnię stanu, to za tego biednego Michała; Zborowscy mogli urągać prawom i knuć spiski na króla, a szlachta pła-

kała nad ich krzywdami; Zebrzydowski, Lubomirski byli bohaterami, obrońcami swobód; ale nieprzyjaciele króla Michała, którzy złego zrobili nierównie mniej, niż tamci, byli buntownikami, zdrajcami. Jak ten Michał wart był tego zapału! Nie ma on nawet tej tragiczności, jaką miewają ludzie nieudolni, że słabość swoją czują i nad nią cierpią, a tym sposobem rozbrajają, zyskują litość i sympatyę. Ale słabość Michała nie jest nawet taką, jak słabość Ryszarda II w Szekspirze; co się na dworze myśli i robi, to Olszowskiego głową tylko — o królu historya tyle może powiedzieć, że się ożenił z arcyksiężniczką, że nie z jego winy może, ale za niego Polska straciła Kamieniec i zawarła haniebny pokój buczacki, że jemu Turek posłał kaftan hołdownika, i że umarł z przejedzenia. Na dobre policzyć mu można to jedno, że się od korony wypraszał. I to był jedyny król, przynajmniej z elekcyjnych jedyny, którego naród tak uważał, jak powinien był uważać wszystkich.

Króla Jana czci się i kocha za Wiedeń, za ostatni wielki czyn polskiego ducha i oręża, za ostatni promień polskiej chwały; ma się do niego słabość mimo jego wad, może dla jego wad po części, bo taki Polak, taka nawskroś typowa polska natura. Ale hetman, pogromca Tatarów, ale niezmordowany wojownik, broniący Rzpltej sam jeden prawie swoim trudem i groszem, ale chocimski zwycięzca jest tak wspaniały, że te zasługi przeważają jego błędy, a przy tej chwale zapomina się prawie o tej postawie nie opozycyjnej ale fakcyjnej, jaką przyjął przeciw rządom Michała. Królowi zaś, choć to ostatni król bohater i ostatni w Europie rycerz, królowi, choć opromienionemu blaskiem wiedeńskiej wyprawy i chwałą *Zbawcy Chrześcijaństwa*, zapomnieć trudno, że schyłek jego panowania był smutny, choć nie z jego wyłącznie winy, owszem, mniej z jego, niż z innych winy — że on oddał Rosyi Kijów stanowczo: dał jej zrobić ten pierwszy krok do rozbio-

rów. Za jego panowania, choć z pewnością więcej z naszej niż z jego winy, Polska posunęła się znacznie do rozkładu, przybliżyła się do rozbioru.

A jednak dopóki on jeszcze jest, jeszcze się historyę polską kocha, jeszcze się ją ma za prawdziwie swoją, jeszcze się w niej widzi błyski i ślady Polski takiej, jak być powinna. Kiedy jego nie stało, znikły resztki chwały i resztki ducha, historyę swoją czyta się z przymusem i wstrętem, bo nie może się jej czytać bez wstydu, a ludzi ani kochać, ani wielbić, ani za swoich uważać nie można; szczęście, że choć niektórych można szanować. W wieku XVII jeszcze piękności są: smutne, tragiczne, ale prawdziwe i wielkie. Ostatni to w Europie rycerze, podobniejsi do Godfreda i do św. Ludwika, niż do współczesnych Kondeuszów i Turennów; a gdyby w całym tym wieku szukać, kto szedł do boju z takiem uczuciem i z taką wolą, jak oni, to znalazłoby się go w poezyi tylko. *Książę Niezłomny* Calderona jest podobny do Żółkiewskich i Czarnieckich.

O tem zapomnieć nie można, że ten wzór rycerza, któremu ani Sobieski, ani Pułaski, ani Kościuszko nie dorównał, że Czarniecki świeci wśród wieku upadku; że kiedy o księdzu Marku podania są różne, a w każdym razie legenda i poezya właściwie go stworzyły, to Kordecki nigdy dwojako uważanym nie był, a jest tak rzeczywistą, tak historyczną figurą, że poezya teraz dopiero poetyzować go zaczyna. Ale nie mówiąc o tych dwóch wyjątkach, o tych dwóch ideałach, w przeciętnej masie narodu jakie się piękne spotyka czyny i żywoty. Trudno o coś bardziej rzymskiego i polskiego zarazem, jak dom Sobieskich, dopóki do niego nie weszła Marya d'Arquien, ten dom możny, a bez zagranicznych tytułów, w którym kobiety przechowują tradycyę poległych mężów i braci, w którym rośnie w czwartem pokoleniu Mściciel trzech poprzednich, pod okiem i wpływem matki, w której

jest tęgość i godność Reginy Żółkiewskiej. Starszy brat ginie, jak jego pradziad i dziad, jak wuj Daniłowicz, młodszy, jak gdyby dość już było ofiar i te głowy szlachetne okupiły pokój, znosi Bisurmana tak, że ten już ani Polsce, ani nikomu nie będzie szkodził. A w duchowieństwie wyższem, między biskupami? Prażmowski nie najlepszy prawda, i Olszowski zapewne intrygant; ale Floryan Czartoryski ma powagę i godność, jakiej się nie spotka aż w Krasińskim, a kapłańskiego powołania i namaszczenia nierównie więcej. Weźmy wreszcie prostego szlachcica i żołnierza. Wśród krzykaczów i związkowych buntowników, znajdziemy innych ogromnej wartości i wielkiego uroku. Pan Pasek pije za wiele, procesuje się, podpada pod kondemnaty. Ależ za to jak się bije, jaki sprawny i obrotny, jak słucha, jak się naraża i poświęca po prostu, naturalnie, wesolo; jaki jest bohaterski nieraz, a w swojem bohaterstwie naiwny i nie wiedzący o sobie, jak się przytem lubi i umie bawić i używać. Szlachcic z XVIII wieku modli się więcej, niż on, ale ani Bogu, ani Rzpltej tak już służyć nie umie. Samo złe nawet do końca XVII wieku zachowuje jakąś wielkość, jakieś resztki szlachetności, których w XVIII niema. Lubomirski jest ostatnim z naszych rokoszanów, w którym jest jeszcze podobieństwo do wielkiego prototypu wszystkich, Koriolana. Dzielny, zdolny, z rzeczywistemi i znacznemi zasługami, do pewnego stopnia skrzywdzony, choć pozornie, Lubomirski podłym jeszcze nie jest, jest tylko bardzo występnym. Jego następcy w złem, Adam Sieniawski naprzykład, nie mają w swojem działaniu nic, prócz osobistych i to brzydkich, pieniężnych pobudek. Radziejowski był łotrem, ale miał przynajmniej rozum i zdolności; jego syn kardynał nie miał ani tego. Podskarbi Morsztyn, nie bez zarzutu wcale, ciekawy typ Polaka zfrancuziałego, ma rozum i oddaje usługi takie, że z późniejszymi reprezentantami tego kierunku równać go nie można; a reprezen-

tant wyobrażeń czysto szlacheckich, utopijny, paradoksalny, często niedorzeczny Fredro, ma i rozum i patryotyzmu za wiele, żeby nie dojść do maksymy, iż słabość jest siłą Polski, maksymy, która w XVIII wieku stała się artykułem wiary i zasadą polityki tych wszystkich, którzy wogóle myśleli jak on.

Dzieje literatury do dziejów narodu wcale podobne. I dla niej koniec XVII wieku oznacza zwrot. Za Jana Kazimierza i Sobieskiego upadek jest, ale są zjawiska podnoszące na duchu. Potem dopiero następuje upadek stanowczy i zupełny.

Teraz dopiero rozwija się na dobre to, co stało się cechą znamienną literatury polskiej w drugiej połowie XVII wieku: mnóstwo ludzi piszących, a mało pisarzy prawdziwych. To prawda, że część może większa tej literatury, kryje się po rękopisach, z których ją wiek XIX dopiero w swojej drugiej połowie na światło dzienne dobywać zaczął, a ostatnie lata, dzięki poszukiwaczom i badaczom, przynoszą ciągle nowe odkrycia, nowe wiadomości. Te odkrycia naprowadzają na twierdzenie, że kto zna tę literaturę z tego, co wyszło z druku, zna ją mało i z najgorszej tylko strony. Zna liche kazania, zna niesmaczne panegiryki, cokolwiek nieszczególnych wierszy, a tymczasem po rękopisach kryją się liczne zabytki szczerego uczucia, rozumnej myśli, samorodnego humoru, własnego oryginalnego stylu, które, jeżeli pod względem literackim i artystycznym mogą wiele zostawiać do życzenia, to pod względem historycznym kulturalnym, pod względem zwłaszcza rodzimego polskiego charakteru są nieocenionymi skarbami, i przewyższają może osławiony wiek XVI. Jak odkrył się Pasek, jak odkryła się *Wojna Chocimska*, tak z pod niepamięci piasku wyjść jeszcze może nie jedno, co i sławę tej literatury podniesie, i samą historyę XVII wieku nauczy lepiej rozumieć. Zjawisko to wyjątkowe, jedyne podobno w dziejach literatury powszechnej, tak wielka

liczba ludzi piszących, a nie dbających o sławę, ani o literackie rzemiosło i chowających to, co napiszą dla siebie i swoich. Wielcy panowie i nieznani, skromni ziemianie (nawet mieszczanie) mają pociąg do pióra, mają upodobanie w czytaniu i pisaniu, a więc mają myśli i wyobrażenia żywe. Ciekawi są i są przedsiębiorczy: czytują Włochów, czasem nawet Hiszpanów, zaczynają czytać Francuzów, a zrywają się nietylko na sielankowe komedye czy dramaty, ale i na wielkie romanse wierszem, i nawet na wielkie poematy bohaterskie. Te różne wpływy, dodane do powszechnego podówczas złego smaku, sprawują, że one wpadają nieraz w przesadę, w napuszystość, w dziwactwo, i słusznie jest powiedzieć, że literatura polska tego czasu podobna jest do tego stylu, który panował w sztuce, a który dla większej dziwności, niż oryginalności, nazwano stylem *barocco*.

Streszczona tu charakterystyka literatury z drugiej połowy XVII wieku, jest ogółem trafna. Pisano wtedy wiele, pisano w różnych rodzajach, w tem, co pisano, jest nieraz dobra myśl i dobre uczucie, czasami forma niezła, czasem styl jędrny w swojej szorstkości. Określenie *barocco* także dobrze przypada do tej literatury. Tylko niemniej jest prawdą, że ona jest mierną w tem nawet, co w niej najlepsze (wyjątki są nawet rzadkie). Pisze ich wielu, ale jak oni piszą? Możnaby, zmieniając trochę bajkę Krasickiego, zastosować ją do literatury w ogólności i powiedzieć: „Nie sztuka pisać — dobrze pisać sztuka." Oni zaś, poeci, jak prozaicy, dobrze nie piszą. Jedni, bo przy niezwykłym talencie nie mają dość artystycznego zmysłu i wykształcenia; drudzy, bo mają i talentu i wykształcenia niewiele; jeszcze inni dlatego, że nie dbają, że im o to nie chodzi. Ani ich sielanki, ani ich romansowe poematy, ani erotyki Morsztyna nie zostały przy życiu, lub do niego (wskrzeszone) wrócić nie zdołały: Pasek żyje do dziś dnia dla swego hu-

moru, dla swojej kawalerskiej fantazyi, dlatego że tak zabawny, ale *Wojna Chocimska* Potockiego, pomimo, że on i zdolny i sympatyczny, została po za życiem, jak literacka ciekawość, nie jak potrzebna, pożądana, zawsze żywotna i zawsze wdzięczna poezya. Coraz liczniej zaś z rękopisów na jaw wychodzące wiersze liryczne czy satyryczne, religijne czy świeckie są ciekawe niezaprzeczenie, ale nie są piękniejsze, nie są lepsze od tych, które już były znane. Jeżeli wiek XVI naśladował, to XVII naśladuje nie mniej, a wybiera sobie gorsze wzory. W swoich poematach bohaterskich nie Wirgiliusza, ale Lukana; z poetów nowożytnych lubi i naśladuje najwięcej ckliwych idylistów włoskich, Guarinich i Marinich. Satyrycznych wierszy mnóstwo, dobrej satyry ani jednej. Wszystkie są na tym stopniu mniej więcej, co niezliczone wiersze w dzisiejszych pismach humorystycznych. Czytają się, bo są złośliwym przytykiem do jakiegoś znanego człowieka lub faktu, ale innej wartości nie mają, W tej samodzielnej, niedrukowanej, a bardzo popularnej, literaturze, która się kryje po rękopisach, są zapewne zarody, elementy, na poezyę oryginalną o fizyognomii własnej i charakterystycznej: ale nie było tego człowieka, tego talentu, któryby istotę samą tych pierwiastków ujął, organicznie je połączył i wcielił w kształty żywotne, piękne, nieśmiertelne. Właściwości i cech narodowych wiele, ale czy więcej, niż w wieku XVI? W każdym razie nie więcej mądrej myśli o narodzie, nie więcej miłości ojczyzny, nie więcej wiernego podobieństwa do usposobień i wyobrażeń narodu; nie więcej ogólnoludzkiej myśli, wiedzy, nauki; nie więcej zdolności, inteligencyi, cywilizacyi. Literatura w XVI wieku nie jest pod żadnym względem mniej narodową, mniej polską, jak w wieku XVII, a jest szlachetniej narodową dlatego, że duch narodu uka zuje się w niej głębszym w myśli, świetniejszyn w zdolnościach, wyższym w oświacie. Słusznie jes

cenić, chwalebnie jest dobywać z zapomnienia literaturę XVII wieku i oddawać sprawiedliwość dobremu, jakie ona w sobie ma, ale cała jej suma i wszystkie po dziś dzień zrobione w niej odkrycia, nie znoszą wyroku, wydanego przez zdrowy sąd uczonych Księstwa Warszawskiego: literatura Kazimierzowska jest literaturą w upadku.

Szukając powodów, znajduje się na wierzchu, naturalne, logiczne i proste.

Do połowy XIX wieku mniej więcej, mówiono zwykle, że winni temu Jezuici. Mówić to, to znaczy ściągać skutek wielki do przyczyny nieproporcyonalnej małej. Gdyby szkoły jezuickie były istotnie sprowadziły upadek oświaty, byłyby go sprowadziły wszędzie, gdzie byli Jezuici, nie w samej Polsce tylko. Gdyby Jezuici byli zagarnęli wyłącznie całe wychowanie, wtedy zapewne możnaby na nich walić całą winę. Ale wszak byli Pijarzy, dlaczegoż ci nie wychowali ludzi znakomitszych i lepszych pisarzy; była Akademia krakowska, czemuż, jeżeli oni szerzyli ciemności, ona nie rozświecała ich swojem światłem? Czemu? Bo akademia, i Pijarzy, i Jezuici, i cały stan nauk, i całe wychowanie musiało wszystko podupadać, skoro upadał naród; i ten sam powód, to sparaliżowanie ducha narodu, które sprowadziło upadek polityczny, wywołało także i upadek oświaty, i złe wychowanie, i upadek literatury. To powód prawdziwy, szkoły jezuickie są skutkiem tylko, a jeżeli są i przyczyną także, to chyba dalszą i podrzędną, która wpływała na utrwalenie złego już poczętego, nie na jego poczęcie.

Do końca XVII wieku jeszcze ta literatura trzyma się, choć słabo; z początkiem XVIII dopiero, jak cała Polska, psuje się do reszty; w tem podobieństwie dnak zachodzi ta różnica, że takich chwil świetnych, k Częstochowa, Tyszowce i Wiedeń, literatura nie ., i to, co w niej najlepsze, jest jeszcze dość dalekie dobroci.

Najgorzej może wygląda ta gałąź literatury, która nie znosi mierności: poezya. Nikt nie mówi, że Wacław Potocki nie miał talentu, nawet wielkiego; ale talent sam nie wystarcza, trzeba artyzmu, trzeba sztuki, a jeżeli ktoś pod pretekstem poematu bohaterskiego napisze kronikę wierszem, to, choć w tej kronice będzie kilkanaście lub kilkadziesiąt ustępów energicznych i pięknych, to ani poemat nie będzie dobrym, ani poeta wielkim. Drugi talent ówczesny, Andrzej Morsztyn, naprzód jest dobrym tylko do małego ulotnego wierszyka; to nic, można być wielkim poetą w małym rodzaju; ależ te wiersze miłosne, a najczęściej rozpustne, niekiedy są zgrabne, ale najczęściej ani dowcipne, ani wdzięczne. Autor nie im właściwie zawdzięcza swoje stanowisko w literaturze, lecz temu, że jest pierwszym, który do poezyi polskiej wprowadza pierwiastek i smak francuski, a przez to jest dalekim praecursorem pisarzy Stanisławowskich i Towarzystwa przyjaciół nauk. Inni, Kochowski, Wacław Potocki, Zimorowicz (Bartł.): ciekawość, wartość, nawet talent mają—ale cóż z tego, kiedy wszyscy ci poeci, ilu ich jest, nie mają dość formy, ani w układzie, ani w stylu. Pierwiastek artystyczny, wprowadzony niegdyś do poezyi polskiej i tak świetnie przez Kochanowskiego, znika, i z najlepszą wolą, z największem uprzedzeniem, nikt go nie znajdzie w potrzebnej mierze ani w Potockim, ani w Morsztynie, ani w Kochowskim, ani w Zimorowiczu, o gorszych poetach już nie mówiąc.

Jedną ma wyższość ówczesna poezya nad prozą, to tę: że kiedy proza kazi język makaronizmem, a styl i smak konceptami i napuszystością, poezya wyraża się prościej i językiem nie bardzo pięknym, ale czystym, nie złym. Z tym wyjątkiem proza ma wię ej treści i wartości. Naturalnie, odrzucić trzeba prozę a-negiryczną i wymowę czy to pogrzebową, czy wes l-ną, czy wreszcie kazalną i sejmową; o naukowej p o-

zie w tych czasach w Polsce niema co mówić, zostaje więc proza historyczna i polityczna. Pierwsza nie pochwali się, prawda, zdolnościami takiemi jak Dlugosz, ani nawet takiemi jak Heidenstein, nie robi takiego postępu jak historyografia francuska przez zbieranie dokumentów i źródeł, ani jak angielska, która wydaje znakomitą historyę Hyda, ale ma pisarzy jak Rudawski i Kochowski, którzy, zawsze wprawdzie w starej kronikarskiej formie i bez krytycznego ducha, i wiadomości o swoim czasie dobrze podają, i ducha jego dobrze dają poznać. W porównaniu z historykami wieku XVI i pierwszej połowy XVII jak Piasecki, to niewiele, ale w porównaniu z innemi gałęziami literatury polskiej w tym wieku, to bardzo wiele. Zaś pamiętnikowa gałąź historyi wydaje teraz swoje arcydzieło, klasyczne pamiętniki Paska, w orszaku innych, nie tak już znanych i zabawnych, ale wartości nie pozbawionych, między którymi odznacza się bardzo piękną treścią Kordeckiego pamiętnik o obronie Częstochowy.

O literaturze politycznej dałoby się mniej więcej powiedzieć to samo; żaden Modrzewski nie potrafi już dać zarysu *Poprawy Rzpltej*, żaden Górnicki nie uderzy wymownie, a logicznie na *Elekcyę*, żaden Warszewicki nie wyłoży systematycznie istoty i potrzeby czy to francuskiej czy austryackiej polityki. W stosunku do wieku XVI i do XVIII ta gałąź literatury jest w upadku.

Fredro, bystry i oryginalny filozof praktyczny i moralista, jako statysta, jest często niedorzeczny, ale jest ciekawy przez samą swoją niedorzeczność, przez fałszywe zapatrywanie, bo jest wiernym wizerunkiem, zwierciadłem powszechnej opinii szlacheckiej ze wszystkiemi jej przyzwyczajeniami, przesądami i ulubionemi hasłami. Nigdzie indziej nie można tak dobrze poznać racyj i argumentów, którymi się ta opinia broniła, jak w jego dziełach. Ale zarazem służy i on za dowód i miarę upadku; za przykład, że literatura poli-

tyczna przestaje na jakiś czas być reformatorską, traci tę dążność, która była jej największą chwałą Podobną cechę nosi i inny jeszcze statysta Kazimierz Zawadzki, choć w mniejszym stopniu, choć nie tak zatwardziały i absolutny jak Fredro. Po nim do końca wieku literatura polityczna milczy, lub jeżeli się odzywa, to w kwestych specyalnych mało znaczącemi pismami, bez myśli nowej i świeżej.

Literatura religijna wzrasta na ilość, ale słabnie na jakość. Można przypuszczać, że szybkość i prawie zupełny upadek protestantyzmu wyszedł jej na złe. Konieczność obrony, konieczność walki jest silnym bodźcem dla umysłów, dla talentów, nawet dla sumienia. Ona zmusza do trudu, do nauki, do ciągłej czynności i pilności. W wieku XVI to uczucie obowiązku wydało wielkie skutki. W wieku XVII potrzeba ustała, a w jej braku sama już ułomna natura ludzka wydała spokojne przestawanie na swojem, bez wysiłku, bez starania, bez ćwiczenia i ostrzenia umysłów nauką i ciągłą pracą. Społeczeństwo prawowierne i pobożne potrzebowało zaspokojenia swoich uczuć religijnych; znajdowało je w mnóstwie książek do nabożeństwa i kazań. Pobożność w nich jest, i szczera, ale głębsze myśli, ale nauka poważna, ale rozum dzielny są w nich bardzo rzadkie. Można powiedzieć, że jak poezya, tak i literatura religijna tego czasu jest dyletancką; przestaje na małem, nie dba o lepsze. Niesmaczne i dziwaczne koncepty, niesmaczny panegiryzm w mowach pogrzebowych są rażące i przykre—mniej przecież, niż czczość i brak treści. Zły smak i dziwactwo były wszędzie, choć na Zachodzie skończyły się prędzej, niż u nas. Kardynał Richelieu, sławny u współczesnych ze swoich kazań, kiedy był tylko biskupem, a jeszcze nie ministrem, miał smak podobno zły, wymuszony, konceptowy. Sławny niemiecki Abraham a Sancta Clara był do naszych kaznodziejów z tych czasów wcale podobny. Ale w duchowieństwie francu-

skiem była obok tego wielka suma nauki i kościelnego ducha, która niebawem objawiła się Bossuetem—u nas takiej przeciwwagi nie było.

Co jest nabytkiem literatury relijnej tych czasów, i to nabytkiem do dziś dnia, dzięki Bogu, żyjącym, to cześć Najświętszej Panny i nabożeństwo do niej, rozwinięte, jak przedtem nie było nigdy, a objawiające się silnie w literaturze kościelnej, jak i u wielu poetów świeckich. Nie można dochodzić i dociec, w jakiej mierze przyczyniła się do tego obrona Częstochwy, ale można przypuszczać, że ten wpływ w tem był i działał.

Najbardziej zamiłowany i najuczeńszy z badaczy literatury XVII wieku, prof. Brückner, twierdzi, że wypędzenie aryan zadało jej klęskę niepowetowaną, bo między nimi było wielu ludzi oświeconych i rozumnych, wielu poetów z talentem, tak, że można ich uważać za najwykształceńszych ludzi owego wieku. Nie mamy prawa ani sposobu sprzeciwiać się temu zdaniu, a wypędzenie aryan uważamy za błąd choćby tylko z samego i czystego religijnego stanowiska, które nie powinno było pozwolić na gwałt. Ale czy w swoich pismach ci aryanie, tak prozaicy, jak poeci, ukazują się wyższymi od innych? To nam jest mniej widoczne.

Te byłyby, w krótkości, główne pierwiastki i cechy literatury polskiej za Jana Kazimierza i Jana III.

W pierwszych latach, Jana Kazimierza, w tych strasznych latach Chmielnickiego i Sicińskiego, czy literatura znajdzie jakie słowo, godne tego, co ludzie z sercem wysokiem czuć musieli? Starowolski w drugiem wydaniu *Prawego Rycerza* gorzko wspomina, że Bóg „odjął nam głowę i serce, a tylko nogi do uciekania zostawił" (po śmierci Władysława i po Piławcach). Ale prócz tego? Z pisarzy znanych występuje Samuel Twardowski ze swoim *Władysławem IV*, który daleko jeszcze bardziej, niż *Przeważna Legacya*, jest rymowaną kroniką, opowiada całą historyę Władysława

od narodzenia do śmierci, a w złym smaku i zepsutym języku chyba jeszcze ową *Legacyę* przewyższa *Wojna domowa z Kozaki i Tatary, Pierwsza* (1651), opowiada te sprawy od śmierci Władysława IV do oblężenia Zbaraża, odsieczy i ugody Zborowskiej. W szczegóły historyczne jest obfita; dziś tak znane z powieści Sienkiewicza i na zawsze, tuszymy, pamiętne oblężenie opowiada on obszerniej, niż ktokolwiek inny, a on jeden podobno zapisuje, że szlachcic Skrzetuski przebrnął przez stawy i dostał się do króla. Ale literackiej wartości nie ma więcej od dawniejszych poematów autora. W tym samym roku Krzysztof Opaliński wydaje swoje *Satyry*.

Jedną z nich, czwartą z księgi piątej, pisze on *Na tych, co cudze sprawy widzą, swoich nie bacząc*; ale słuszniej podobno mógł ją był nazwać satyrą na samego siebie. Występuje w niej *Censor Morum*, surowy jak Cato, hiszpański inkwizytor, którego bystremu oku żaden grzech nie ujdzie, instygator koronny, który wszystkich oskarża, sokół i ostrowidz na cudze występki, kret na swoje: czy to nie jest istny obraz Opalińskiego? Czy to nie wojewoda poznański, poddający Szwedowi Wielkopolskę? nie ten bohater, podpisujący kapitulacyę pod Ujściem, zanim szabli z pochew dostał? czy to nie ten butny pan, obsypany od młodości łaskami i honorami nad wszelką zasługę, głaskany przez króla z obawy, żeby czego złego nie zrobił, reprezentujący jego osobę w Paryżu przy ślubnym obrzędzie, szczęśliwy pieszczoch losu i ludzi, młody, bogaty, z wielkiego i zasłużonego domu, dorodny i okazały, posadzony wysoko w senacie, zanim jeszcze miał czas cokolwiek dobrego zrobić, a tak zuchwały i dumny, że, mniemając, jakoby jemu wszystko przed innymi z prawa się należało, brał pierwszą odmowę za obrazę, odznaczenie innego za swoją krzywdę i mścił się na królu i na ojczyźnie? Przystał on do Szwedów, poddał im kraj, którego był zwierz-

chnikiem i stróżem, przez złość, przez zemstę, że mu król nie dał laski, czy pieczęci; zdradził, wojsko zhańbił sromotną kapitulacyą, nieprzyjacielowi otworzył wolne przejście w samo serce Rzpltej, przyprowadził ją jak Radziejowski i Janusz Radziwiłł do zguby, z której cudem prawie ocalała, żył potem jak trędowaty lub wyklęty, wzgardzony, samotny, straszny sobie i innym, umarł, wydając krzyk wielki, nie wiedzieć żalu czy wstydu, czy bojaźni czy wściekłości. Ale satyry pisał! ale ganił wszystkich! ale nic w jego oczach nie było czystem, nic prostem i na całej Polsce, jak była, nie zostawił suchej nitki, wszystko opisał jako zepsute, zgniłe i plugawe. Doprawdy, mało takich dla satyry przedmiotów, jak Krzysztof Opaliński, piszący satyry, bo z pięćdziesięciu i dwóch rzadko która nie godzi w jego własne wady i uczynki.

Nieraz sądzą ludzi ich własne słowa, ale rzadko znowu tak się ktoś własnemi słowy potępił, jak Opaliński. Czytają, pytać się przychodzi co chwila, co to jest: czy taka impudencya bezczelna, czy taka hypokryzya bez granic i miary, czy wreszcie takie zaślepienie rozumu, takie zagłuszenie sumienia, taka niepojęta naiwność w złem i taka pycha, że ten człowiek tego za złe mieć nie mógł, co sam popełnił? Możnaby sądzić, że zemsta; że to człowiek zhańbiony, spodlony, wzgardzony, który hańbę swoją czując, czerni wszystkich, żeby sam wydał się bielszym, i mści się na ludziach za to, że ich i własnego szacunku zdobyć i zachować nie umiał. To ostatnie przypuszczenie miałoby najwięcej za sobą prawdopodobieństwa, byłoby najlogicznieisze, najbardziej ugruntowane w naturze ludzkiej i stwierdzone niezliczonymi przykładami ludzi złych i podłych; ale zbija je ta okoliczność, że satyry Opalińskiego wyszły po raz pierwszy w roku 1651, zatem na lat cztery przed jego zbrodnią i przed jego hańbą, w czasie, kiedy dopiero się w nim domyślano złego człowieka i obywatela, ale kiedy jego dobra sła-

wa jeszcze stracona nie była. Zatem, wypada chyba zatrzymać się przy tej hypotezie, podług której satyry nie są dziełem zemsty, ani hypokryzyi, ani bezczelności, ale dziełem (może w dobrej wierze napisanem) człowieka złego, w którym burzą i wichrzą wszystkie złe namiętności, duma, zazdrość, gniew, ambicya, chciwość, złość do ludzi, ale który się za dobrego i sprawiedliwego ma, bo jeszcze dotąd żadnego materyalnego występku nie popełnił; który z naturą złą, a z sumieniem czy tak nieczułem, czy tak przewrotnem, jest na wszystko złe już gotów, a o swojej niezłomnej cnocie przekonany, dopóki się do uczynku nie posunął. Fenomen taki psychologiczny zdarza się często; jest wiele kobiet, które grzeszą stale myślą i zamiarem, a mają się za Lukrecye dlatego, że uczynkiem jeszcze cnoty swojej nie przestąpiły; a w naszej historyi polskiej jest więcej może, niż w każdej innej, przykładów takiego obałamucenia sumień, ludzi, którzy, gubiąc Rzpltą, mieli się za jej najlepszych synów. Zebrzydowski, Lubomirski podziwiali swoją rzymską cnotę, nawet po rokoszach; być więc może, że i Opaliński wierzył w swoją przed upadkiem, a w nią zaufany, mniemał się stworzonym i powołanym na cenzora, inkwizytora i instygatora, owszem do rzemiosła tego przez samą miłość ojczyzny i wzgląd na jej dobro obowiązanym.

Ale bez względu na wartość człowieka i na to, czy czynił, jak mówił, historya literatury sądzić powinna dzieła *sine acceptione personarum*. A wtedy jak wypadnie sąd o satyrach Opalińskiego?

Ustalony on jest oddawna, przynajmniej pod jednym względem. Wszyscy zgadzają się na to, że to poezya licha, niedołężna, bez formy, bez żadnej artystycznej wartości. Są ludzie, którzy upierają się koniecznie pisać wierszem rzeczy, które należą do proz[y] i pisać złe wiersze, kiedy prozą mogliby pisać dosk[o]nale. Opaliński był jednym z takich; w jego satyrac[h]

jest treści wiele, i ta sama treść, napisana prozą, byłaby dała książkę może złośliwą, może przesadzoną, ale zajmującą i rozumną. Ale satyra obejść się nie może bez dowcipu, lub energii i wymowy; poezya nie może obejść się bez formy. Jakże zaś nazwać tę formę, w której wiersz nie jest ani rymowanym ani miarowym, nie ma choćby dla pozoru najmniejszej kadencyi, najmniejszych muzykalnych spadków i przestanków, czyli ma być wierszem, a nie jest nim wcale? Trzeba powiedzieć, że poeta nie miał wyobrażenia o rzeczy, i myślał naiwnie, że wierszem jest wszystko, co nie wciągu pisane, lecz przerywane, i kiedy każde pierwsze słowo na każdej lini zaczyna się od wielkiej litery. Te wielkie litery to jedyna cecha wiersza, jaką mają wiersze Opalińskiego.

Dowcipu ani iskierki. Ależ nie tego tam szukać trzeba, to nie Horacy ani Krasicki, z dobrodusznem, a trochę lekkiem usposobieniem, to surowy, ponury Juwenal, który na widok złego oburza się i gorszy, nie śmieje się, i któremu *versum facit* nie dowcip, ale *indignatio!* mówią ci, którzy, bądź co bądź, chcą widzieć dobre, gdzie go niema, i z Opalińskiego robią jakiegoś bohatera cnoty, jakiegoś satyryka, gorzkiego, w którym się wszystko wzdryga i gotuje, gdy patrzy na zepsucie i upadek swego kraju. Gdybyż tak było, możnaby mu brak dowcipu z całego serca darować. Ale tej siły oburzenia, pogardy, tej ironii palącej, która sprawia, że Juwenal przy swoich niedostatkach jest wielkim poetą, a przynajmniej pisarzem jednym z najwymowniejszych, tej Opaliński nie ma ani cienia. Nigdy jego żółć, jego zgroza, jego gniew, nie zdobędzie się na ustęp wymowny, na zwrot energiczny ironią nie mówi prawie nigdy, jego ton jest jednostajny, kaznodziejski, moralizujący, często rubaszny, ale zawsze nizki. Stylu nie ma; każdy, kto umie stawiać litery, mółby pisać tak, jak on. Zatem nietylko wiersz jest najgorszy, nietylko dowcipu nie ma wcale, ale nie ma

nawet tych zalet, bez których w prozie trudno być dobrym pisarzem, cóż dopiero w poezyi? a z tego wynika, że pod względem literackim satyry jego nie mają wartości żadnej.

Co do strony moralnej znowu, widać w tych satyrach dużo kwasu, dużo złości, stałe postanowienie, żeby wszystko widzieć w złem świetle, ale niema, tę sprawiedliwość autorowi oddać trzeba, ani nieprawdy, skoro to samo, co on, mówią zgodnie inni współcześni, ani osobistości. Czy sobie nie pozwala przesady? Trudno dziś znać tak dokładnie stan moralności prywatnej; ale co do publicznej, to wszystko, co się do niej odnosi (do bezkrólewi, łapania urzędów, ucisku poddanych, nieporządku w skarbie, źle opatrzonych granic i t. p.), jest rzetelną prawdą. Można zatem przypuszczać, że i tam, gdzie skontrolować go trudniej, autor także nie zmyśla i że wszystko razem wziąwszy, jest satyrykiem ostrym i złośliwym, ale prawdomównym, nie potwarcą.

Oto charakter jego pism, które, biorąc ze stanowiska literackiego, na nazwisko satyr nie zasługują. Przecież, pomimo małej lub żadnej wartości literackiej, są ciekawe do czytania i wartości nie pozbawione.

Naprzód są rozumne. Gdyby się autora nie znało, słuchałoby się jego słów z największem uszanowaniem, tak wiele jest prawdziwych i dobrych. Człowiek najsurowszej cnoty i nieposzlakowanego patryotyzmu nie mógłby lepiej widzieć wszystkiego złego w Rzpltej — od nadużyć publicznych aż do tych wrodzonych skłonności polskiej natury, które w życiu prywatnem odzywają się dziś, jak wtedy, i dziś, jak wtedy, szkodzą — ani bardziej na nie narzekać. Powtóre, są bardzo wyczerpujące. Jeżeli satyry Krasickiego bez wiedzy autora składają same wcale zupełny obraz polskich obyczajów, to Opalińskiego satyry mają ten sam przymiot w stopniu daleko jeszcze wyższym. Złe wychowanie młodzieży, zbytki, próżniactwo, marnotrawstwo, karty,

nierzetelności, próżności, małżeństwa zawierane z próżności lub chciwości, pijaństwo, lekkomyślność lub lekkie obyczaje kobiet, junactwo i nieskończone inne zdrożności domowe i prywatne, sąsiadują tu z bezkrólewiami, ze zrywanymi sejmami, z niegotowością obrony, z opresyą poddanych, ze złym stanem miast, ze skarbem w nieporządku, z sądami niesprawiedliwymi, z grzechami wyższego i niższego duchowieństwa, słowem wszystko jest, niczego nie braknie; a jeżeli to wszystko opisane może z przesadą, ze złościwością żółciowej, zgryźliwej natury, która nie może na złe patrzeć bez brzydkiej uciechy, to nie można powiedzieć, żeby opisanem było kłamliwie.

Umyślnie, czy przypadkiem, ale zaczyna Opaliński od samego fundamentu złego; pierwsza satyra pierwszej zaraz księgi ma za przedmiot „złe ćwiczenie i rozpasaną edukacyę młodzi." Ogólników, rzeczy, niejednokrotnie przed nim powiedzianych, wiele, ale wiele i takich, które zawsze dobre są do rozważenia, naprzykład to, co mówi o wychowaniu zagranicznem, lub kiedy opisuje zachowanie się panicza, wracającego na wieś z podróży.

Druga zaraz na wadę bardzo polską, na zbyteczne przywiązanie do szlacheckiego klejnotu i wielką z niego zarozumiałość. Autor dowodzi, słusznie, ale dość nudno, że ten tylko godzien uważać się za szlachcica, kto żyje, jak na szlachetnego przystało, i że nie jest wolnym szlachcicem, kto żyje w niewoli u swoich namiętności, jak chciwość, próżność, miłość i tam dalej, a wreszcie ambicya. Święta prawda, a zarazem pierwsza próbka tego, co się nieraz jeszcze pokaże, że autor, nie spostrzegając się, pisał satyry na samego siebie.

„Na zepsowane Stanu Białogłowskiego Obyczaje," musi być bardzo przesadzona (T. ks. II). Że mogły być kobiety złe, że ich mogło być wiele, dajmy na to; ale żeby, jak on mówi, „o żonę dobrą trudniej

było, niż o białego kruka" w Polsce ówczesnej, że „masz się żenić, wolisz się raczej obwiesić lub utopić," to przesada oczywista i niedorzeczna. Odpowiedzieć na nią satyrykowi łatwo: czemuż się sam nie powiesił, kiedy miał żonę?

Są niektóre filozoficzne niby, kaznodziejskim tonem pisane, w których autor rozwodzi się nad jakim znanym i oklepanym aksyomatem, jak np. *Solum Sapientem divitem esse, solam Virtutem sufficere ad Beatitudinem*, lub podobnie. Ta kategorya satyr bywa zwykle najnudniejsza, ale ciekawa przez to, jak Opaliński, broniąc którego z tych prawideł, wydaje srogie wyroki na samego siebie. I tak naprzykład szósta drugiej księgi dowodzi *Sapientem sua sorte contentum esse* i chłoszcze surowo tych, którzy, na przeświadczeniu własnem i otrzymanych zaszczytach poprzestać nie mogąc, ustawicznie się królowi przykrzą o nowe i wyższe. Ślicznie! ale jakby to można obrócić i powiedzieć: „Ty bądź *contentus* województwem Poznańskiem i „nie troszcz sobie głowy," że „podkanclerstwo minęło."

Najbardziej zajmująca księga trzecia, w której autor pomieścił najwięcej satyr, odnoszących się do rzeczy publicznej. Pierwsza zaraz o Interregnach, które uważa słusznie za podstawę i źródło nierządu „Chaos czy piekło jakie *ubi nullus ordo*, a sroga *confusio*, bo Polacy w niczem nie są porządni, tylko w samym nieporządku." I dalej się dziwi, jakim cudem nie mogą zrozumieć tego, że po śmierci króla potrzeba największej jedności właśnie, a oni wtedy najbardziej się różnią i ze swemi prywatami na plac wyjeżdżają. Cud to prawda: ale nie wiem, czy nie większy cud i zgorszenie nie większe, że ktoś, co się postrzegł i rozumiał, zamiast łączyć się z tymi, którzy jak on rzecz pc mowali i wspólnie nad obaleniem Interregnów prac wać, i im przeszkadzał, i do nieprzyjaciela przyst i „srogą *confusię*" wzmagał i powiększał. Swoją drog co mówi o bezkrólewiach, a zwłaszcza o tem, że or

są tylko złudzeniem wolnej elekcyi, a naprawdę opresyą wolnego głosu, to bardzo słuszne.

Druga znowu mówi o wielkiej prawdzie, „że żaden król Polakom nigdy nie wygodzi.” Słuszniejszego nic nie można było powiedzieć, ale jak dziwnie brzmią w ustach Opalińskiego słowa takie jak te: jako król komu

> odmówi czego, zaraz buty mu szyć trzeba,
> zaraz szlachtę buntować i na rokosz wołać.

Istny Catilina, któryby udawał Catona. Równie słuszna i równie jego samego potępiająca trzecia (ks. III) na nieporządną *Justitiam Distributivam*, czyli na tych, co wakansy łapią i na swojem miejscu i urzędzie nigdy przestać nie mogą. Bardzo mądra jest czwarta *O hetmanach*, której myśl jest ta, że dożywotnia władza hetmanów miałaby być zniesiona, a argumenty w obronie tej myśli zupełnie słuszne:

> Takimby dawać,
> Co mogą całość nosić Ojczyzny na sobie

Smutne, ale ciekawe i dość dowcipne, co mówi w następnej o skarbie nieporządnym i podskarbich; ze wszystkich zaś jego satyr najwymowniejszy jest początek szóstej, *na ogołocone ściany w obronie*. Gdyby trochę zdolniej, trochę tęższym stylem napisany, ten ustęp mógłby być wspaniałym. Idą zatem inne, na ciężką opresyę poddanych, na brak karności wojskowej, na chromą lub raczej żądną praw naszych egzekucyę, na niesprawiedliwość i przedajność trybunałów (VII). O przedajności, i że u nas w Polsce *omnia venalia* (III ks. IV) ma zakończenie surowe, wzywające sądu Bożego na tych, co ojczyznę na targ wyprowadzają; a tem samem wyrok na autora, bo nie ten tylko sprzedaje ojczyznę, kto bierze za jej krzywdy pieniądze, ale i ten, któremu ceną są honory, albo zaspo-

kojenie zemsty, albo cokolwiek innego. Cena tylko różna, ale targ jest zawsze.

Pierwsza piątej księgi jest bardzo porządną małą rozprawką o polepszeniu stanu miast. Autor widzi trafnie, że bez miast zamożnych, Rzplta silną być nie może, i wskazuje rozumnie sposoby podniesienia ich dobrego bytu i znaczenia. A więc, żeby handel i przemysł miejski miał wszelką opiekę, wygodę i ułatwienie; żeby miał swoje prawa i przywileje, i nie na papierze tylko, lecz ściśle dotrzymywane i wykonywane. Wreszcie, rzecz godna uwagi, którą na pochwałę autora przytoczyć trzeba, żeby niektórym główniejszym, a przynajmniej stołecznym miastom przywrócić *Jus Suffragii* i posiadanie dóbr ziemskich, co im dawne prawa przyznawały. Protekcya wyrobów krajowych, a zakaz obcych, surowe przestrzeganie oszczędności i pracowitości przez urzędy miejskie i starszych cechowych, przepisy policyjne surowe co do szynków i pijaństwa, a zwłaszcza zniesienie tych praw różnych i zawikłanych, któremi się miasta rządzą, a poddanie ich pod jedno, oto są środki, bardzo trafnie wskazane, polepszenia ich stanu i obrócenia ich na pożytek Rzpltej; a prośba do króla i szlachty, żeby sprawę miast wzięli do serca kończy tę złą satyrę, ale mądrą rozprawkę.

Parę do powyższej stanowić może satyra o nowych osadach i słobodach ukrainnych (VIII ks. V). Teraz z tych krajów Rzplta nie ma obrony, a dlaczego? Naprzód, że każdy, kto chce i jakie chce puste ziemie osiada, nieraz granicę naruszy, a stąd gotowy spór, nieraz i wojna z Tatarami lub Turkami. Trzeba więc, żeby król i Rzplta wzięli na siebie osadzanie ziem pustych na Ukrainie, a osadzali je, jak następuje:

Miejsca najsposobniejsze są nad rzekami, więc od tych zacząć, a naprzód od Dniepru i wzdłuż niego w handlowych i strategicznych punktach miasta za-

kładać; potem czynić to samo nad Bohem i Dniestrem. Za załogę dać tym osoboom zaciężnych Niemców, bo są karniejsi i cierpliwsi od polskiego żołnierza; ubogiej szlachcie, rozrodzonej bardzo na Mazowszu i na Podlasiu, nadawać tam grunta, i zagranicznego osadnika zwabiać. Na to zaś, żeby te kolonie mogły się utrzymać i wzrastać, potrzeba im zapewnić trzy rzeczy: bezpieczeństwo, wolność i dobry byt. Bezpieczeństwo z czasem przyszłoby samo, bo im więcej takich miast, tem obrona łatwiejsza, ale zrazu każde z nich musi mieć zameczek, amunicyę i załogę Wolność miałaby się zasadzać na tem, żeby podatki zrazu były bardzo małe, a robocizny żadnej—znieść ją na zawsze (ta jedna rzecz sama mogła już uratować Ukrainę). Dobry zaś byt zapewnić przez ułatwienie odbytu produktów, przez rzemiosła i kupiectwo, co za większą liczbą miast samo już pójdzie.

Ale na kulturze ziemi nie dosyć: trzeba myśleć i o kulturze ludzi, którzy tam są srodze *rudes*. Na początek wystarczą szkółki *Triviales* przy kościołach. Ale najważniejszy środek utrzymania tych ziem jest jedność wiary. Czy doraźne nawrócenie Rusinów na Unię? Bynajmniej, właśnie przeciwnie. Autor chce, żeby była „tylko jedna wiara grecka." Katolicką wprawdzie każe „promować, ale bez contencyi i swarów, kościoły i klasztory budować, zakonników i plebanów posyłać"—ale promować ją jako *diversam*, ale nie *adversam* — a „*exosum* unitów i nieunitów *nomen*, żeby było cale wykorzenione." Co przez to rozumie? Chyba zniesienie Unii już zaprowadzonej, byłoby dla Polski moralnem niepodobieństwem. Ale więcej spokoju dla greckiej wiary, mniej nagłości w postępowaniu, mniej lekceważenia i pogardy dla nieunitów, a zwłaszcza więcej dbałości o kościoły i parafie łacińskie, byłoby nie zaszkodziło, owszem pomogło. Kończy autor ubolewaniem, że Luzytanie i Holendrowie mogli za morzami nowy świat zaludnić i zdobyć, a my nie

umiemy osadzić i zabezpieczyć sobie kraju przyległego, podległego i od którego całość nasza zawisła.

Te dwie satyry mają ze wszystkich najwięcej politycznej myśli i dowodzą, że autor był człowiekiem rozumnym, który wiele rzeczy pojmował lepiej od wielu współczesnych, i że mógł być bardzo pożytecznym w senacie lub w ministeryum, gdyby był sam lepiej z innych swoich nauk korzystał.

Jest jeszcze jedna o *Marnotrawstwie*, ciekawa do porównania z takąż Krasickiego; myśli są prawie te same, ale przekonać się na nich można, jak dobre myśli same nie wystarczają na dobrą satyrę. Z pomiędzy różnych satyr na duchownych jest jedna (VI ks. V) na teraźniejsze w zakonach obyczaje, gdzie autor dość zabawnie wyśmiewa wymowę kaznodziejską swego czasu.

A po tem wszystkiem cóż? Oto trzebaby autorowi przeczytać czwartą satyrę piątej księgi: na tych, co cudze sprawy widzą i przetrząsają, swoich nie bacząc.

Ze wszech miar satyry te są smute; jako obraz Polski naprzód, bo jeżeli nawet umyślnie przesadzony, to zawsze w znacznej części prawdziwy. Ze stanowiska literackiego także, bo wskazują jak nizko spaść musiało piśmiennictwo, jeżeli ludzie rozumni, jak Opaliński, mogli pisać rzeczy tak niekształtne i mieć je za dobre. Wreszcie ze względu na autora samego; bo niepodobna jest nie żałować, że człowiek niezaprzeczenie myślący i zdolny, człowiek, który zdaje się, że czuł, a przynajmniej widział dobrze upadek Rzpltej i jej nieszczęśliwy stan, zamiast przeciw niemu działać, powiększał tylko złe, i był sam najdoskonalszym przykładem tych zdrożności, które innym w satyrach swoich wyrzucał. Że są nauczające, że mogą dopomód do poznania ówczesnej Polski, to pewna; że napisan prozą byłyby ozdobą naszej ówczesnej literatury pc litycznej, to także prawda, i dlategoj wartość mają Bezwzględnej wartości miałyby wiele, gdyby były pi

sane prozą, do której były przeznaczone swoją treścią, duchem, stylem i tonem. Ale jako satyry są zupełnie złe, i wartość ich historyczna jest jedyną, która sprawia, że nie poszły w niepamięć i że w historyi satyry polskiej mają jakieś miejsce.

Równocześnie z Krzysztofem (1652) pisał Łukasz Opaliński wielką nowość w naszej literaturze, pierwszą teoryę dobrego pisania i smaku, pierwszą *poetykę*. *Poeta ten*, pisany wierszem gładkim, nierównie lepszym, niż wiersze Krzysztofa, podaje rady, płynące ze zdrowego rozsądku i z natury poezyi, wiecznie dobre, a wiecznie bezskuteczne, bo nigdy niesłuchane. Mianowicie gniewa się na lichych poetów, jak Szymonowicz i Zimorowicz. Oprócz tego podaje teoryę różnych rodzajów poezyi. Dawniejszy od Boileau, wyprzedza więc cały szereg tych dydaktyczno-estetycznych poematów. Czy nie czerpał cokolwiek ze starego Joachima du Bellay, nie możemy sprawdzić i sądzić. Ale do poetyki przyczepia i politykę i powtarza wierszem niektóre słuszne i mądre uwagi, które autor *Rozmowy Plebana z Ziemianinem* ogłosił prozą przed dwunastu laty.

W tym samym roku (1652) napisał Łukasz Opaliński satyrę *Co mi tam*; prof. Brückner uważa ją za najlepszą, jaka w Polsce była napisana aż do Krasickiego.

Andrzej Maksymilian Fredro, jeden z pisarzy najbardziej charakterystycznych tego czasu, występuje po raz pierwszy z dziełem drukowanem; ale to pierwsze jest zarazem najsłabsze, najmniej ciekawe. Są to *Gesta Populi Poloni sub Henrico Rege* (1655). Nie kronikarz współczesny, ale historyk późniejszy, powinien był Fredro znać wszystko, co było napisane o wypadkach, które chciał opisywać. Jeżeli już nie tajne dokumenty i inne źródła niewydane, to przynajmniej to, co było drukowane. Niechby był kompilatorem tylko; ale żeby do kompilacyi swojej wybierał to, co istotne i ważne. On właśnie to pomija. Nie mówiąc o tem, że o dyplomatycznej stronie rzeczy nie ma

pojęcia, a wszystkie umizgi posłów zagranicznych bierze za dobrą monetę, ale rzeczy tak ważnej, jak antagonizm interesów katolickich i protestanckich przy elekcyi, nie dostrzega i nie wspomina. Jako opracowanie, jako przedstawienie sprawy, pozostaje Fredro w tyle za niejednym z naocznych świadków, opisujących pierwsze bezkrólewie; jako obfitość szczegółów także im nie dorównywa. A jako zrozumienie i sąd. daleki jest przynajmniej od niektórych.

Kiedy wszystko, co się przez cały wiek mówiło i pisało, nie zdało się na nic, kiedy swawola zerwała sejm, a prywata zwąchała się ze Szwedem, opresya poddanych dopomogła do buntu Chmielnickiego i kiedy Rzeczpospolita już się prawie zgubioną zdawała, a w kielichu goryczy nie brakło kropli najboleśniejszej, zgryzoty, żeśmy sami na taki los zapracowali — jak wtedy zachowała się literatura? Ona, której należy się ta sprawiedliwość i chwała, że przez wiek cały „wcielała się w to ciało, co tak cierpieć miało," co ona zrobiła, kiedy to cierpienie przyszło? Ona dobyła z siebie słowo, w którem znalazło się wszystko, co mogło być boleści i zgrozy w polskiej duszy. Starowolski napisał *Lament Matki Korony Polskiej już już konającej na syny swoje wyrodne*; napisał go może podczas oblężenia Krakowa, może tego samego dnia, kiedy Karola Gustawa oprowadzał po zamkowym kościele. Równego temu świadectwa patryotycznego bolu, literatura tego ani następnego wieku, nie wydała. Przez ból i żałość podniósł się Starowolski tak wysoko, że sam Skarga nie mógłby lepiej przemówić.

Jest to jedno z tych dzieł natchnienia, których opisywać i rozbierać nie można: trzeba je czytać. Co to jest? poezya? kazanie? modlitwa? nie wiedzieć. Jakiś bez namysłu, prosto z duszy płynący wylew uczucia, który sam sobie robi łożysko i kierunek, a tak silny, tak porywający, że liczyć go można do największych ozdób naszej literatury patryotycznej.

Początek brzmi jak poezya; wyliczanie dobrodziejstw, które Matka Korona zlała na syny swoje, przypomina wielkopiątkowe *Popule Meus.* Potem następuje przypomnienie polskich grzechów, krótkie, ale surowsze, groźniejsze może, niż u Skargi I nie koniec na tem, będzie wam jeszcze gorzej! mówi utrapiona Matka. Odbierze wam Bóg i ludzi zdolnych do rządu, i ludzi zdolnych do boju, i mędrców, i kaznodziejów, boście ich nie warci, boście ich zmarnowali. To jak gdyby prorocza przepowiednia na czasy Saskie, a dalej zaś na wiek XIX. „Rozproszą się jako mrówki Lachowie moi, a ziemia ich pójdzie na szarpaninę różnym narodom." Pod koniec przecież, po nowych i jeszcze surowszych upomnieniach, Korona Polska zwraca głos już nie do synów swoich, ale do Boga; Lament staje się rozmową z Nim samym; wnętrzności macierzyńskie się wzruszyły, groźba przechodzi w prośbę, gniew w płacz, a ta, co zrazu konając i błogosławić synom nie chciała, teraz ich broni.

„Cóż, Panie, synowie Twoi uczynili, żeś ich dał na pośmiewisko narodom wszystkim, pod jarzmo nieprzyjaciołom?" A Bóg odpowiada, że gdy „wysmaży nieprawości tego ludu tak, że nie zostanie jeno brant cnoty chrześcijańskiej, wtedy przywróci mu ludzi poważnych i mądrych, a krzywoprzysięgłych sąsiadów poskromi."

W zakończeniu rada i modlitwa wspaniała, na wszystkie, nie na jego tylko, czasy ucisku.

Obok kazań sejmowych Skargi, obok najwyższych natchnień patryotycznych XIX-ego wieku, i między najwspanialszymi pomnikami polskiej wymowy, pomieścić można w narodowym pamiątek kościele te kilka kart człowieka, który przez całe życie ani wielkiego talentu, ani wielkiej wymowy, ani natchnienia nie pokazywał, a przed śmiercią, pod wpływem publicznego nieszczęścia, odezwał się tak potężnie, jak między Skargą a Mickiewiczem nikt podobno w Polsce

nie przemówił. Dlatego musimy go uważać, jakimkolwiek był pisarzem, za najwyższy duch między pisarzami XVII wieku i za taki go szanować, jako o takim pamiętać. Został też szczęściem w naszej pamięci. Dzieł jego nie czyta, kto nie musi, i ani się temu dziwić, ani tego żądać można. Ale jego odpowiedź Szwedowi: *Fortuna variabilis — Deus immutabilis*, umie na pamięć każdy z nas, skoro tylko z lat dziecięcych wyrasta. Tak samo powinnibyśmy znać, i pamiętać, i brać do serca jego *Lament*, nie dla końcowej obietnicy tylko, ale z całym rachunkiem sumienia i z całym warunkiem, jaki tę obietnicę poprzedza.

W roku 1657 wydał ksiądz Kordecki *Nową Gigantomachię*. Powinnaby ona być parą do *Wojny Moskiewskiej* Żółkiewskiego. Obrona Częstochowy to fakt piękniejszy, jeszcze bardziej wzruszający, niż kluszyńskie zwycięstwo, a szczęśliwszy, bo trwalszy w swoich skutkach. Te dwa fakty, opisane przez swoich bohaterów, byłyby równą może chlubą i ozdobą naszej literatury, gdyby Kordecki był swój pamiętnik napisał po polsku. W obcym języku jest on dla niektórych tylko zrozumiały — ogółowi obcy. Szkoda jest wielka. Tytuł jeden jest wyszukany, niesmaczny; zresztą zupełna wszędzie i doskonała prostota, nie mniejsza, niż u Żółkiewskiego. Żadnej retoryki, żadnych dodatków. Przeor, jak hetman, opowiada tylko, co się stało, dokładnie, ściśle; jak tamten mówi o sobie przez trzecią osobę, z tą różnicą, że o sobie mówi mniej, niż tamten. Męstwo, poświęcenie, wiara wszystkich główniejszych obrońców Jasnej Góry, podane są starannie do wiadomości współczesnych, a do pamięci wieków; tylko ten, który wszystkich swojem męstwem trzymał, swojem poświęceniem zagrzewał, swoją wiarą krzepił, zdawałoby się, że ze wszystkich najmniej miał zasługi. Wszystkie szczegóły oblężenia, świeżo nam przypomniane przez Sienkiewicza w *Potopie*, zapisane są w *Gigantomachii*, z niej są wzięte (oprócz,

ma się rozumieć, fiikcyjnej postaci i roli Kmicica). Skrzętnie podane są wszystkie dokumenty, korespondencye i propozycye Millera, odpowiedzi oblężonych. Cudowność obrony, powtarzana ciągle, a stwierdzona wieloma świadectwami współczesnych, Polaków i nieprzyjaciół. Cud jest oczywisty, jasny jak słońce.

Ten wzniosły duch, a ta prostota serca i słowa, ta mnisza pokora przy nich nadają książce charakter wspaniały. Szkoda też nieodżałowana i niepowetowana, że wrażenie, jakie z tych kart mogłoby dostawać się do serc i umysłów mnogich pokoleń, udaremnione jest i stracone przez to, że nie w polskiem słowie przechowane i podane.

II.

Andrzej Morsztyn. Charakterystyka. *Lutnia.* Początki Kochowskiego. Fredro *Przysłowia* i *Monita*. *Maksymy* Larochefoucauld'a. *Cyd* Morsztyna. *Wojna Domowa* Twardowskiego. Bartłomiej Zimorowicz. Gawiński.

Dziwnie odbijają od tego poezye Morsztyna. Światowe, lekkie, często płoche, prawie wyłącznie tem zajęte, co samego tylko poetę obchodzi, wyszły one z innej duszy, i z mniejszej.

Musiała być natura bogata i umysł żywy u tego człowieka, który umiał tylu rzeczom naraz wystarczyć. Człowiek polityczny i, co u nas rzadkie, nietylko z polityczną namiętnością, ale i z polityczną myślą; dyplomata, a nawet intrygant z upodobania, przywiązany silnie do swojej myśli i oddany gorliwie tym, którzy ją reprezentowali, jeszcze gorliwiej nienawidzący tych, którzy jej przeszkadzali, pogardzający zwłaszcza tymi, który jej nie rozumieli, Andrzej Morsztyn, jeden z pierwszych między Polakami, chciał ratować Rzeczpospolitą, asymilując ją do państw do zagranicznych, a na nierząd polski szukać ratunku w dziedzictwie tronu. Stronnik Maryi Ludwiki, wielbiciel Francyi i krzewiciel jej wpływu taki, że przez ten pociąg doszedł aż do ciężkich grzechów przeciw własnej ojczyźnie, był w niej sługą Ludwika XIV przeciw Sobieskiemu, a odkryty i zawstydzony wyniósł się żyć i umrzeć tam,

gdzie go to podziwienie ciągnęło, Morsztyn miał w sobie wielkie przymioty i zasoby. Niektóre strony jego natury, jego polityczna myśl, zdolność i namiętność odnajduje się później w dwóch starych Czartoryskich, jego wnukach. Ale oprócz politycznych miał i literackie popędy, a nawet zdolności. Jedną ręką trzymał zawikłane nici polityki monarchicznej Jana Kazimierza i Maryi Ludwiki, a drugą przerzucał karty francuskich poezyj i francuskich romansów, i sam pisał wiersze. Przesiąkły nawskroś francuzczyzną, w swoich gustach, w ubiorze nawet, jest naturalnie wielbicielem Francuzów i w literaturze i pierwszym, który wyraźnie zbliża naszą literaturę do tamtej. Dotąd, oprócz Rzymian, znano, czytano i naśladowano u nas co najwięcej Włochów. Z panowaniem Ludwika XIV wpływ francuski zaczyna stanowczo brać górę wszędzie, a u nas przenosi go do poezyi Morsztyn. Słuszniej może powiedzieć Morsztynowie: bo Andrzej nic francuskiego jeszcze nie był napisał, a przynajmniej wydrukował, kiedy Stanisław, późniejszy wojewoda mazowiecki, wydał na świat pierwszy skutek francuskiego wpływu, w tłómaczeniu *Andromachy* Racina.

Ten młodszy Morsztyn, tych samych wyobrażeń i upodobań, co starszy, przekładał młodszego Racina, jak tamten starszego Corneilla. Ale nie miał tego, co tamten, talentu i w naszej literaturze nie ma takiego, jak on, znaczenia. Tłómaczenie jego jest całkiem słabe; a sławne *furory* Hermiony i Oresta, uważane zawsze we Francyi za klasyczne i liczone między wielkie ozdoby francuskiego teatru, wyglądają w niezgrabnym wierszu źle. Gorzej jeszcze przełożony z Seneki *Hipolit*, który miejscami jest wprost śmieszny, naprzykład w oburzeniu i zgorszeniu, z jakiem bohater tragedyi przyjmuje deklaracyę swojej niegodziwej macochy.

Andrzej Morsztyn pisywał wiersze od młodości, kiedy jeszcze był na dworze Władysława IV. Pisy-

wał je od niechcenia, dla zabawki, czasem dla zalecenia się jakiej damie, często może dla zyskania sławy *d'un bel esprit*; ale pisał niewątpliwie także z zamiłowania, z popędu; miał żyłkę poetycką. W wierszu do swego przyjaciela Grotkowskiego, jak on dworzanina królewskiego i poety, dziś zupełnie nieznanego, mówi Morszyn, że jemu jednemu przyznaje wyższość nad sobą, a zresztą czuje się lepszym od wszystkich żyjących poetów polskich. W młodości swojej nie jest on jeszcze pod wpływem francuskim, ale włoskim, który zresztą nie zniknie nigdy tylko się z tamtym połączy. Tak przynajmniej świadczy pierwsza rzecz, jaką drukował, przekład *Aminty* Tassa, wcale dobry (1647). Wpływ francuski musiał wziąć górę z przyjazdem Maryi Ludwiki. Te wiersze, które zebrał razem pod tytułem *Lutni*, choć zebrane dopiero w roku 1661, pisane były oczywiście w różnych latach, przez całą jego młodość. Zbiór ten (wydany w Poznaniu, niezupełny i mylny jako niby Zbigniewa Morsztyna), obejmuje wiersze różnej treści, najwięcej miłosnych. Wartość jego jest może przez niektórych krytyków (Małeckiego, Siemieńskiego) cokolwiek przeceniona. Talent jest, niezaprzeczenie. Jak się pomyśli, że większa część tych wierszy pisana była od niechcenia, z wesołości, i że autor drukować ich nie myślał, tylko przyjaciołom w kopiach rozsyłał, że to więc jest poezya dyletancka, ochotnicza, żeby tak powiedzieć, to nie można wątpić o talencie człowieka, który, pisząc od niechcenia, pisał tak dobrze i lepiej od wielu urzędowych poetów swego czasu. Ale żeby te wiersze dobre były piękne, a ich autor poetą choćby drugiego rzędu, ale takim, któregoby się czytało często i z przyjemnością, to nie. Raz przeczytawszy z cieciekawością, żeby poznać, jak on pisze, już się do niego nie wraca. Jest to forma dobra, ale bez piękności i wdzięku; a co do treści, to wiersze poważne i uczuciowe natchnienia nie mają, a lekkie, miłosne, są zmy-

słowe i rozpustne, ale dość ciężkie, zmysłowość ta rzadko kiedy ma wdzięk lub dowcip, namiętność rzadko poezyę. Są to wiersze dość przyzwoite, dość blade, które tylko na porównaniu do gorszych zyskują.

Dlaczego one nie są lepsze, kiedy ich autor miał talent? Dlatego, że był, jak wszyscy podobno nasi poeci jego czasu, dyletantem. Darmo, poezya jest sztuką, jak malarstwo, jak muzyka, i jak one ma swoją stronę techniczną, którą poeta opanować musi, jak muzyk i malarz, jeżeli chce być dobrym w swojej sztuce. U nas zaś, jak w wielu innych rzeczach, tak i w poezyi było w owym czasie wiele dyletantyzmu. Takich poetycznych dyletantów mamy dwa typy. Jeden, to szlachcic, który na ławie szkolnej czytywał Owidyusza i Wirgiliusza, potem służył wojskowo, potem jeszcze gospodarował, aż z czasem napadała go chętka pisania. Uważał, że to lub owo dzieje się niedobrze, i słusznie dałoby się zganić; albo zasłyszał o jakim wypadku, który go zajął, i pomyślał, że dobrze byłoby go opisać; albo patrząc na swoje pola i gumna, mówił sobie, że dobrze mu na świecie. Wtedy przypominał sobie, co czytał lub słyszał w szkole i z tą pomocą zasiadał do pisania. On musiał mieć talent nawet niemały, kiedy, pisząc tak od niechcenia, mógł pisać nienieźle; ale to, co napisał, mogło oczywiście być tylko niezłem Takiego typu poeci to Zbylitowscy, Miaskowski, Twardowski, po części Kochowski i Wacław Potocki. Pisali oni przez całe życie, widzieli w tem swój zawód; nie mniej zasługują na nazwę dyletantów, bo pisali zawsze bez znajomości warunków dobrego pisania, bez świadomego o to starania, bez sztuki.

Ale drugi typ dyletanta poety to panicz bogatszy, żyjący przy dworze, bywały za granicą, obeznany ze zwyczajami i modami świetnych dam i kawalerów. Ten wie, że napisać epigram dowcipny, a dopieroż do jakiej damy zręczny madrygał, to wielka zaleta, a prawie konieczność dworskiego kawalera; wie, że *bel esprit*

iest modny w Paryżu, a obecnie i w Warszawie w cenie. Pisze więc takie wierszyki okolicznościowe, kładzie w nie, ile może, dowcipu lub galanteryi, i znajduje powodzenie; ale pisze je jak dyletant i dyletantem zostaje.

Wiersze Morsztyna po największej części powstały z takiego popędu, w takich okolicznościach; są dworskie, modne, okolicznościowe, dyletanckie i dlatego nie są lepsze, niż przy talencie swego autora być mogły.

Do najdawniejszych należy *Kanikula*. Tytuł ten ma wyrażać, że młody autor dręczony jest żarem najgorętszych miłosnych płomieni; utwór młodociany, słabszy od późniejszych, w których znajduje się kilka niezłych rzeczy, naprzykład *Żywot Wiejski*, naprzykład *Dobra Myśl*, naprzykład mocno nieprzyzwoita, ale dowcipna *Łaźnia*, *Odżywiony*, *Serenada*. Ale jak sobie przypomnieć młodzieńcze elegie Kochanowskiego, rozpustne, zmysłowe, ale rozkochane, poetyczne, czasem namiętne, widzi się, że same zapały, które Morsztyna za młodu i później dręczyły, nie wystarczają do stworzenia poezyi, że choć czuł to samo, co Kochanowski, to wrażeń tych nie przyjmował, nie pojmował tak poetycznie, jak tamten.

Edycya poznańska, która wiersze Morsztyna układała w różne kategorye, podaje obok *Kanikuły* drugi ich zbiór z tytułem *Erotyków*. Rękopis lwowski, który zawiera te same prawie wiersze, tylko z niektórymi dodatkami, nie zna tego odróżnienia. Ale nie pytając o tytuł, rzecz można, że te wiersze późniejsze są co do formy w przecięciu lepsze od *Kanikuły*; co do charakteru takie same. Nawet w wierszach niby bardzo wzniosłych i sentymentalnych, do przyszłej żony naprzykład, odzywa się zawsze Kupido i pogańska Venus; a tam, gdzie wspomina lub opowiada lżejsze miłostki (takich jest najwięcej), bywa Morsztyn w słowach prawda dość umiarkowany, ale w myśli bardzo rozpustny.

Gadki (po dzisiejszemu *Zagadki*) przypisane siostrze (Reyowej) są bardzo moralne i przyzwoite, może wiele warte jako zagadki, bo do odgadnięcia trudne, ale bez wartości artystycznej.

Ciekawsze od poprzednich są wiersze polityczne i religijne Morsztyna; jest takich niewiele, ale są przecież ciekawe jako wyraz jego wyobrażeń, naprzykład wiersz do Jerzego Lubomirskiego o Warszawie, lub bardzo piękny krótki wierszyk *Non fecit taliter ulli nationi.* Religijnych jeszcze mniej; właściwie jest tylko jedna *Pokuta*, najpoważniejszy z jego wierszy, nie tak piękny, jak niektórzy głoszą, ale tonem najwyższy, a zajmujący przez to, że, pisany już w starości, jest jakoby rzutem oka po za siebie na całe ubiegłe życie, rachunkiem sumienia i uderzeniem się w piersi.

Jest kilka przekładów, między tymi ładny z Sarbiewskiego *Serce Jednakie.*

Kochowski zapewne pisze oddawna te wiersze patryotyczne, historyczne, które się znajdą w *Niepróżnującem Próżnowaniu*, ale ich nie ogłasza. Pierwsza podobno rzecz, jaką daje się poznać, to *Pamiątka Trenami wyrażona* na śmierć brata. [1])

Ten brat, imieniem Seweryn, służył wojskowo, z różnych wojen wracał szczęśliwie, a umarł z choroby. Jego śmierć opłakuje poeta w pięciu trenach. Żeby wszystkie były ładne, albo choć jeden zupełnie i bardzo ładny, trudno powiedzieć. Ale ze wszystkich niezliczonych naśladowań Kochanowskiego, kto wie, czy te Treny nie są najlepsze. Naprzód, naśladują dyskretnie, z umiarkowaniem. Potem, mają jakiś żal małomówny, hartowny, jaki przystoi mężczyźnie po mężczyźnie, a w tej wstrzemięźliwości słów i wykrzyków rzewny. W pierwszym trenie żałuje tego brata, że kiedy już miał umrzeć, nie poległ przynajmniej

---

1) Ustępy o Kochowskim, drukowane w *Kronice Rodzinnej*, Warszawa, 1875.

w boju. W drugim to uczucie naturalne, konieczne, nieodłączne od żalu, a nawet od rezygnacyi, które każe żałować straconej młodości, straconego szczęścia tego, który odszedł. „Tam mu lepiej: wierzę! ale tu nie było mu źle, po cóż go było zabierać?" Najładniejszy jest tren trzeci. „Wojna się skończyła, Rzeczpospolita odetchnęła i po domach radość; wszyscy witają wracających, a ty nie wracasz!" W końcu dodatkowy, mniejszy ale przecie dotkliwy żal, że ten utracony brat nie leży przynajmniej w rodzinnym grobie, między swoimi.

Napisze Kochowski wiele wierszy nierównie lepszych, ale lepszych trenów z naśladowców i następców Kochanowskiego nie napisał żaden.

W roku 1658 wydaje Fredro swoje *Przysłowia.* [1]) Mają one tę wyższość nad innemi jego dziełami, że same jedne między wszystkiemi pisane są po polsku. Dlaczego ten człowiek, który miał język tak piękny, jak żaden ze współczesnych, który ten język kochał, nad jego skażeniem cierpiał i ostro za nie karcił, sam pisząc tak wiele, pisał zawsze po łacinie, a tylko jeden raz po polsku? Byłoż to u Fredry hołdowaniem modzie? Moda łaciny już wtedy dogorywała w Europie, a na jej miejsce wchodziła moda francuszczyzny. Zatem nie ten był powód. Jeżeli go zgadywać wolno, to trzebaby się domyślać, że nasz kasztelan lwowski, nie złego o sobie mniemania człowiek, był przekonany, że pisze rzeczy, które się przydadzą całemu światu, że odkrył i sformułował prawdy ogólne, wiekuiste, prawidła dla wszystkich wieków i narodów. Sam mówi, że jego rady i przestrogi pisane są przedewszystkiem dla Polaków i Polski, ale służyć mogą na pożytek wszystkich. I poniekąd ma słuszność. Pocóż więc

---

[1]) Ustęp ten i wszystkie inne o Fredrze są skrócone z rozprawy, drukowanej w tomie IV „Sprawozdań Wydziału filolog. Akademii Umiejętności."

chować światło pod korcem? a nie na co innego wyszłoby obwieszczenie tych prawd w języku, znanym jednemu tylko narodowi na świecie. Lepiej napisać je w takim, który rozumieją wszyscy. A że powaga łaciny była zawsze jeszcze wielka, że za młodu kasztelan w niej pilnie ćwiczyć się musiał, że język francuski, choć go zapewne znał, musiał mu być mniej łatwym i przyswojonym, a może i nie dość poważnym się wydawał, więc pisał dzieła swoje po łacinie. Dla świata, który pomimo tego ich nie zna, pożytek żaden, dla naszej literatury szkoda niemała. Dobrze przyprzynajmniej, że choć te jedne *Przysłowia* ocalały.

Jak sądzić przysłowia? jak je opisać? jak z nich zdać sprawę? Ze wszystkich rzeczy pisanych, żadna może nie wymyka się tak z pod definicyi i sądu, jak te aforystyczne, apodyktycznie wypowiedziane prawdy lub fałsze. Jedna jest tylko miara ich wartości, jedno *criterium*, któreby do nich przyłożyć trzeba, żeby je osądzić i ocenić, stwierdzoną prawdę, psychologiczną, moralną, polityczną i t. d. To zaś jak zrobić? Sumarycznie, w przybliżeniu? Zebrać np. razem wszystkie przysłowia, odnoszące się do jednego porządku rzeczy, do jednej strony ludzkich stosunków i życia, zliczyć je, przebrakować, a potem powiedzieć, dajmy na to, że u Fredry aksyomaty polityczne częściej są trafne i prawdziwe, aniżeli maksymy moralne np., lub odwrotnie? Niepodobna. Żeby je ocenić rzetelnie, trzebaby oceniać każde z osobna. Każde z nich bowiem jest jakoby matematycznem twierdzeniem, rezultatem, formułą, zdobyczą długiego poprzedniego rachunku. Chcąc się przekonać, czy ten rezultat wypadł dobrze, czy fałszywie, trzebaby, jak się to robi w matematyce, dowodzić, to jest, uważać rezultat za założenie i powtarzać cały rachunek, który do niego doprowadził. I z każdem przysłowiem z osobna trzebaby podjąć taką pracę sprawdzania, jak się ją podejmuje z każdem założeniem matematycznem. To zaś jest niepodobne,

bo nie z matematyką mamy do czynienia. Cyfry i rachunek nie zmieniają się nigdy, ale fenomeny moralne i psychologiczne choć te same, choć zupełnie podobne, różnią się między sobą tyle razy, ile jest przypadków, ile jest głów i charakterów ludzkich. To też, ktoby podjął nadludzką pracę szukania, dochodzenia i dowodzenia prawdy w przysłowiach Fredry lub innych, i każde z osobna sądził, uznawał lub odrzucał, ten podjąłby pracę marną, nie dowiódłby niczego, a naprzeciw każdego jego twierdzenia, dałoby się postawić i równie dobrze dowodzić twierdzenie przeciwne. Wszystko dlatego, że jedyną drogą postępowania jest obserwacya, jedynym dowodem fakt, a fakty różnią się między sobą do nieskończoności.

Jakkolwiek bądź, słusznie podobno można powiedzieć, że przysłowia i maksymy należą więcej nierównie do zakresu filozofii, aniżeli literatury i pod sąd tamtej, nie zaś krytyki literackiej podpadać powinny. Ta ostatnia niewiele ma o nich do powiedzenia; wdawać się w ocenianie prawd, w każdem z osobna przysłowiu zawartych, dyskutować je, sprawdzać, zbijać, to nie jej rzecz i powołanie; forma musi być dobrą, to jest treściwą i zbitą, bo inaczej przysłowie nie byłoby przysłowiem, tylko jakiemś rozumowaniem. Kiedy więc krytyka literacka powie o przysłowiach, że widzi trzy konieczne dla nich warunki, to jest: dar spostrzegania, zdrowy rozsądek, i trafne, krótkie, dobitne wyrażenie myśli, kiedy tę miarę zastosuje do jakiegoś danego zbioru przysłowi, i powie, czy one mają w sobie te warunki i w jakim stopniu, wtedy skończyła swoje. W bliższe zaś, dokładniejsze ocenienie ona wdawać się nie może. Tutaj, więcej może, niż w każdym innym rodzaju pisania, kto chce mieć sąd, musi go sobie sam wyrobić i na swoim polegać: zasad sądu, na któreby się wszyscy zgodzić musieli, niema. Doświadczenie życia samo musi uznać lub odrzucić wnioski, z tego doświadczenia przez innych

ludzi wydobyte, te zaś doświadczenia są tak rozliczne, tak oddmienne, że norma ogólna nie da się postanowić, ani nawet pomyśleć.

Powiedzmy więc krótko, że Fredro musiał rzeczywiście mieć niepospolity zmysł obserwacyi, wiele zdrowego rozumu i że umiał bardzo zręcznie spostrzeżenia swoje odziewać w kształt maksymy czy aksyomatu. Kto przejrzy kilkaset jego przysłowi, ten może znajdzie nie jedno, które mu się wyda paradoksem, nie jedno, w którem pozna jakąś odwieczną sentencyę tak dawno znaną, że jej powtarzać nie było warto, ale w ogóle uderzony będzie bystrością człowieka, który je ułożył. Tu może wypadłoby postawić i rozstrzygnąć pytanie, czy i o ile one są jego własne. Pytanie, które łatwo postawić, ale rozstrzygnąć trudno Niektóre z nich tak przeszły w powszechny użytek, że powtarzamy je zawsze wszyscy; jakże wiedzieć, czy za niego i dawno przed nim nie były tak samo w obiegu? może on je zapisał tylko, może nie od niego wzięły początek? Przekonać się o tem nie mamy sposobu. Są inne, których ani w żadnym zbiorze, ani nawet w potocznym użytku nie spotkamy, ale spotkamy wiele, w których słowa, lub podobieństwa są odmienne, a myśl ta sama, tak, że przysłowie Fredry, wygląda tylko na nową, odmienną redakcyę jakiegoś przysłowia ludowego, lub jakiej sentencyi znanej jeszcze starożytnym. Wreszcie, jest wiele i może najwięcej takich, zwłaszcza pomiędzy temi, które się odnoszą do życia publicznego (on nazywa je radnemi i wojennemi), których się nigdy i nigdzie nie widziało, tylko u niego. Na postawione więc wyżej pytanie trzeba odpowiedzieć przypuszczeniem, że jeżeli nawet Fredro nie jest w zupełności autorem wszystkich swoich przysłowi, jeżeli jedne po prostu znalazł gotowe, inne tylko przerobił, to zawsze wielka ich część podług wszelkiego prawdopodobieństwa musiała wyjść z jego głowy, z jego własnego wymysłu.

Że jest niepospolicie przenikliwy, że zna życie, i najrozmaitsze gatunki natur widział i obserwował, to pewne. Trzebaby cytować bez końca, żeby wszystkie jego trafne myśli pochwalić. Oto jedna naprzykład, zawierająca w sobie wiele doświadczenia i dowcipu: „O pracy i o nędzy najsnadniejszy dyskurs, póki kto nie pokosztuje." Czasami jeden i ten sam moralny fenomen podsunie Fredrze maksym kilka, w których myśl ta sama rozmaicie, a zawsze szczęśliwie, jest wyrażona. Naprzykład, kiedy mówi o tym powszechnym u ludzi zwyczaju, żeby szukać powodów, na okoliczności zwalać winę swojego cierpienia lub błędu. „Nie wskrzesi racya zguby," albo „Racya rozum ułagodzi, ale nie połata szkody," albo „Tysiąc racyj szeląga długu nie zapłaci."

W naszym wieku weszło w zwyczaj mówić (i także stało się już poniekąd aksyomatem), że ludzi i rzeczy trzeba brać, jak są. Fredro to wiedział tak dobrze, jak my i nieraz to swojemi słowami mówi, odnosząc do różnych ludzkich stosunków. Naprzykład do przyjaźni: „Chcesz mieć długo przyjaciela, tak zażywaj jako jest. Cichego nie uczynisz mownym, trzeźwego biesiadnym, oszczędnego rozrzutnym, wstrzemięźliwego rozpieszczonym; odrazisz prędzej, niż naprawisz. Zły w jednem, na insze ci się przyda. Nie będziesz miał przyjaciela, gdy wszystko uważasz. Niektóre trzeba przebaczyć, niektóre nie wiedzieć, niektóre naturze jego darować, kiedy w czem gruntowniejszem dobry." Uwag takich, równie trafnych i przydatnych dla wszystkich czasów, krajów i ludzi, bo odnoszących się do wszędzie jednej i niezmiennej ludzkiej natury, jest wiele. Oto np. jedna jeszcze, bardzo ładna: „Zły nienawidzi cnoty, ale ją widzi." Ale oprócz tych maksym czysto moralnych są inne, blizko z niemi spokrewnione, już wyraźnie religijne, pobożne, katolickie (prawowiernym i pobożnym jest autor bardzo, a względy wiary i wiecznego zbawienia zawsze u niego idą przed wszyst-

kimi innymi). „Jałmużna nie zuboży, prawda nie zohydzi, Msza nie opóźni," mówi w jednem przysłowiu (534), albo: „Żyjesz światu, żyjesz ludziom, żyjesz komu. Tą żyjesz godziną, którą oddasz Bogu."

Oprócz tych przestróg natury moralnej i psychologicznej, które autor obyczajowemi nazywa, są inne, odnoszące się do życia publicznego, „wojenne i radne," jak on mówi. O wojennych niech sądzą wojskowi, czy są praktyczne, czy wódz, przypomniawszy sobie jedną z nich, może lub nie poradzić sobie w trudnym razie, albo wątpliwy los bitwy odwrócić. Ale ciekawsze, nieraz zajmujące, jako wskazówki pojęć ówczesnych, są przestrogi radne, polityczne, pomiędzy obyczajowemi i wojennemi rozsypane. Zaraz jedna bardzo głęboka: „Nie to rozum, co wynajdzie, ale rozum wynaleźć takowe, co do skutku przywieść się łatwo może." Oto inne maksymy z przystosowaniem ogólnem: „W złym rządzie najwięcej praw i rozkazu" (266). „Rozbój nie sprawa, gdzie się wszystko godzi" (264). „Większa niewola, gdzie się wszystko wszystkim godzi, niżeli gdzie nic nikomu" (265). „Surowość traci powagę ustawicznością" (267). „Ten rząd najlepszy, który bez trzasku: niebo w cichości wielki obrót sprawuje" (269). „Łacniej językom, niż umysłom rozkazać" (346). Ale zobaczmy te najciekawsze, które się odnoszą do Polski. Jedne z nich mają wartość bezwzględną, jak naprzykład: „Kto mówi: Polska nierządem stoi—sam ma nierząd w głowie" (703). Są znowu inne, w których odzywa się głos opinii szlacheckiej, przerażonej planami Jana Kazimierza, podejrzywającej francuski obyczaj, gorszący się francuskim strojem, a drżący na każdą pogłoskę o zmianach w konstytucyi Rzpltej, o dziedzictwie tronu np., lub o wyznaczeniu następcy za życia króla. Te wszystkie podjrzenia przeciw dworowi, te obawy szlacheckiego konserwatyzmu, odzywają się wyraźnie w słowach naprzykład takich:

„Dobry radca wedle natury Rzpltej radzi, zły wedle nauki i konceptów. Tak doktorowie morzą raczej, a nie leczą, kiedy nie z natury pacyenta, ale z ksiąg proporcyę lekarstwa biorą" (674). Istotna prawda jest w tem razie oczywistym przytykiem do senatorów przychylnych zamiarom dworu. Albo, „Tak nam trzeba cudzoziemskich zwyczajów do polskiego zażywać rządu, jako zażywamy z Włoch przywiezionych bławatów, nie pludrzaste stroje, ale do polskiego ubioru krając z nich ferezye, żupany i kontusze. Tak obce zwyczaje, lubo w sobie dobre, przecież one złe są, jeżeli nie będą do natury polskiej z polska krojone" (678). Albo drugi, jeszcze wyraźniejszy: „Nowi Polacy cudzoziemskie smakują rady, domowe zmierzili porządki. Nowych nie dokazują, a stare zatracą. Nie poratują polski tylko stary geniuszem Polak" (695). W tych i podobnych maksymach rozróżnić trzeba dwie strony sprzeczne. Same w sobie są one bardzo mądre i prawdziwe: nic słuszniejszego, pewniejszego, jak takie odrodzenie narodu z własnego ducha i natury, przez własne obyczaje i instytucye, jak on tu zaleca. Ale w jego czasach już na taki ratunek było zapóźno. Za Batorego, może nawet za Władysława, mogło to, co on mówi, być prawdą nietylko logiczną, ale praktyczną; po wojnach szwedzkich, moskiewskich i domowych, po rozstrojeniu Rzplitej, przez coraz częstszą praktykę *veto* i przy takim upadku publicznego ducha, jakiego dowodem był Radziejowski, Radziwiłł, Opaliński, nawet Lubomirski, trudno już było Polsce wydobyć z siebie siłę odrodzenia. Ona wtedy musiała już to wewnętrzne odrodzenie zostawić czasowi, a ratować bezpieczeństwo i całość zewnętrznymi mechanicznymi środkami; całość przez zagraniczne alianse, byt i możliwość odzyskania sił przez utworzenie państwa i rządu, czyli przez zmianę konstytucyi. Dlatego te maksymy polityczne Fredry, w sobie prawdziwe i dobre, w zastosowaniu do ówczesnej Polski były fałszywe i zgubne.

Fredro jest reprezentantem jednym z najwcześniejszych tej opinii, którą w wieku XVIII wyznawała partya staroszlachecka. Ma jej przywiązanie do wolności, jej fałszywe tej wolności pojęcie, jej uparty konserwatyzm, strach przed każdą zmianą i niezachwianą wiarę w zbawienność i doskonałość polskich instytucyj. Zobaczymy go takim wyraźniej w innych jego pismach, ale przysłowia same wystarczają już, żeby go dać poznać z tej strony. Z tego względu są one historycznie ciekawe i nauczające. Oprócz tego zaś zajęcia, jakie przedstawiają niezaprzeczenie, mają one wartość, jako piękny zbiór maksym moralnych i psychologicznych spostrzeżeń. Znajdzie się zapewne w tej liczbie nie jedna prawda pozorna, nie wytrzymująca głębszej rozwagi, nie jedna też powtórzona za innymi, a tak znana, że jest oklepanym *locus communis*. Przecież kto zna przysłowia, ten z pewnością nie powie, że ich autor był to umysł pospolity. Bystry, przenikliwy, znający ludzi, ma on, jako swój przymiot charakterystyczny, wiele rozsądku, prostego, zdrowego rozumu. To, co nazywamy polskim rozumem, nad czego zatratą tak się użalamy, co nam się tak podoba w Krasickim np. Ten rozum praktyczny, trafny, wesoły, w którym rozsądku jest więcej, niż głębokości lub dowcipu, ale ten rozsądek jest tak trafny i jasny, że mu to staje za głębokość, a wyraża się taką dosadnością swobodną i humorem, że mu to staje za dowcip, ten rodzaj rozumu ma Fredro w wysokim stopniu. Wielkim zaś jego wdziękiem jest natura gruntownie dobra i szlachetna. Rzadko jest, żeby człowiek, który zna ludzi na wskroś, nie stał się względem nich gorzkim i pogardliwym. Przysłowia dowodzą, że Fredro ludzi znał, nawet że nie miał o nich bardzo wysokiego mniemania; przecież sceptycyzmu pogardy człowieka, choćby tylko jego lekceważenia rozczarowania i goryczy, nie dostrzeże w nim nikt Przy tym kierunku umysłu, ustrzedz go mógł od te

kiego wysuszenia duszy tylko wielki zasób wrodzonej szlachetności i dobroci. Zmysł moralny jest u niego wielki, czujny. W przysłowiach i przestrogach, nawet tam, gdzie podaje rady i prawidła światowego towarzyskiego życia i powodzenia, nigdy to życie, nigdy sukces człowieka nie jest jego główną myślą, nigdy celem. Zawsze sumienie, prawo moralne są mu przytomne; a jeżeli znajdzie się u Fredry, i to nie w przysłowiach, parę rad wątpliwej moralnej wartości, to w ogóle przyznać mu trzeba, że on swojemi radami stale chce ludzi podnosić i prowadzić do dobrego. Zacne więc w swojej dążności, obfite w przystosowania do życia, fenomenalne poniekąd u nas Polaków, którzy w ogóle mało mamy skłonności czy zdolności do wyciągania zasad z faktów i maksym, z doświadczeń i prawideł, do stawiania aksyomatów, są Przysłowia Fredry jednem z celniejszych, rozumniejszych dzieł owej epoki; najcelniejszem, jakie w ogóle w tym rodzaju literatura nasza posiada.

Monita Politico Moralia (1664) przewyższałyby Przysłowia; jest ich naprzód daleko więcej, a w większej liczbie znajdzie się naturalnie i więcej maksym głębokich i mądrych; następnie, choć jedne do drugich bardzo są podobne, choć mówią o tych samych rzeczach i w tym samym duchu, choć nieraz spotka się w Monitach jakiś aforyzm, znany już z Przysłowi, przecież zdaje się, jak gdyby Monita były owocem rozwagi dojrzalszej, głębszej refleksyi, jak gdyby autor jednemu i temu samemu fenomenowi był się przyglądał baczniej, z różnych stron i różnych stanowisk, a przeto gruntowniej poznał jego naturę. Jest to ta sama rzecz, co w Przysłowiach z tymi samymi przymiotami, tylko w wyższym stopniu i potędze doskonałości. Na nieszczęście, Monita pisane są po łacinie. Autor, który tu więcej, niż w Przysłowiach, umieścił reguł postępowania politycznego w różnych wypadkach, więcej tych wniosków, jakie wyciągał z czytania swoich ulubio-

nych autorów, Tacyta i Liwiusza, który mniemał może, że w tych Monitach jak w Dyskursach Macchiavela wszystkie rządy i ludy będą mogły znaleźć gotowe, a prawie nieomylne przepisy, jak sobie w jakim razie mają radzić, przeznaczał je zapewne na użytek całego świata i dlatego napisał w języku całemu światu przystępnym. Ale dla nas szkoda to wielka; przez tę łacinę stało się, że dla nas zamknięty jest zbiór maksym i aforyzmów, większy, a jeżeli nie lepszy, to z pewnością nie gorszy od Przysłowi. My, prawdę mówiąc, Monitów wcale nie znamy; i nic dziwnego, znać ich nie możemy. Takie zbiory aksyomatów nie są przeznaczone do takiego użytku, jak inne książki; nie można czytać ich w ciągu, a raz lub dwa przeczytawszy, spamiętać, co w nich było. One są do przeglądania i przerzucania tylko, ale do częstego. Kiedy jednym ciągiem przeczytam kilkaset aforyzmów, prosta rzecz, że ocenię i spamiętam tylko kilka, a reszta, równie dobrych, ujdzie mojej uwagi. Ale kiedy przypadkowo, bez zamiaru i systemu, przerzucam karty i na każdej coś trafnego znajdę, wtedy każda myśl uderzy mnie i utkwi w pamięci. Tak robią Francuzi z Myślami Pascala i Maksymami Larochefoucauld; nigdy ich nie czytają, ale mają je zawsze pod ręką i przy sposobności przeglądają, a w ten sposób książki te doszły do tak niezmiernej popularności, że je każdy zna, cytuje, umie na pamięć. My z Monitami Fredry tak dobrze poznać się nie możemy, bo nawet kto po łacinie umie choćby dobrze, zawsze znajdzie w tym języku obcym jakieś utrudnienie, jakąś przeszkodę do zupełnego spoufalenia się z książką. Takie zaś książki, przeznaczone do powszechnego użytku, takie reguły, pożyteczne oczywiście o tyle tylko, o ile są w ręku wszystkich, powinny być napisane w formie najprzystępniejszej, najzrozumialszej, ułatwiać sobie rozpowszechnienie, wpraszać się w łaski i popularność, inaczej cel ich będzie chybiony, a pożytek żaden; na-

wet sława i pamięć autora musi na tem tracić. Wielka szkoda prawdziwie; gdyby Monita były pisane po polsku, należałyby niezawodnie do książek bardzo rozpowszechnionych, klasycznych, leżałyby na każdym stoliku, i miłoby nam było, przerzucając je, zadziwiać się nad jakiemś trafnem spostrzeżeniem, ucieszyć się dowcipem autora, porównać jego uwagi z doświadczeniami własnemi i w ostatecznym rezultacie mówić sobie, że nasze Monita podobne rodzajem, odmienne charakterem, jeżeli ustępują sławnym francuskim Maksymom, to chyba bardzo mało. Tej przyjemności pozbawił nas, a tej sławy siebie, autor, kiedy o szerszej marząc, napisał swoje aforyzmy po łacinie.

Wszystko, co powiedzieliśmy wyżej o Przysłowiach, o trudności osądzenia ich, o prawdzie zawsze tylko względnej, o zdarzających się między niemi paradoksach lub sentencyach z autorów starożytnych, stosuje się także i do Monitów. Podobnie i wszystko, co się mówiło o bystrości autora, o jego znajomości ludzi, o jego zmyśle i opiniach politycznych, wreszcie o jego tendencyi moralnej. Powtarzać tego samego z powodu dwóch książek podobnych nie warto. Ale zadajemy sobie pytanie, które naturalnie nasunąć się musi, czy jest jakie podobieństwo i jakie, pomiędzy Fredrą a współczesnym mu Larochefoucauld. Rodzaj ich jest ten sam; naturalnie zatem każdy żądać musi porównania, każdy chce wiedzieć, który z nich, w czem i dlaczego drugiego przewyższa. Przedewszystkiem więc powiedzieć trzeba, że jeżeli Fredro znał Maksymy francuskie, to z nich podług wszelkiego prawdopodobieństwa nie korzystał. Czytając razem jednego i drugiego, można się przekonać, że jeżeli trafi się niekiedy podobna myśl lub uwaga, co jest zupełnie naturalnem, to jest wyrażona tak odmiennie, że o plagiat naszego autora posądzić nie można. Zresztą, jakkolwiek dzieła są podobne, to umysły, charaktery, sposób patrzenia na świat tych pisarzy są zupełnie różne.

Różnice te częścią wynikają z ich położenia, życia, stosunków, w których żyją, częścią z ich natur. Larochefoucauld, Francuz, i to z epoki, kiedy kobiety, salon i dwór, stanowiły niemal o całem życiu człowieka, poruszający się tylko na tej scenie, jeden z czynnych aktorów Frondy, w której te żywioły znaczyły wszystko, ma, naturalnie bardzo, umysł skierowany do życia towarzyskiego i dworskiego; to jest sfera, w której jego Maksymy uczą obracać się z sukcesem. Fredro, Polak, żyjący wśród sejmików i sejmów, myśli więcej daleko o życiu publicznem, które jest właściwem życiem jego narodu, na które ciągle patrzy, i dlatego główna waga leży u niego na Monitach politycznych. Tych jest najwięcej i te najbardziej są zajmujące. Co się zaś tycze różnic, wynikających nie już z okoliczności, ale z natury tych dwóch ludzi, to przyznać trzeba, że Larochefoucauld jest na pozór od Fredry świetniejszy, ma daleko więcej dowcipu, wszystko, co powie, powiedziane jest tak zgrabnie, że zawsze wydaje się nowem i oryginalnem, kiedy aforyzmy Fredry nieraz robią nam wrażenie starych znajomych. Oprócz tej zalety zewnętrznej, ma Larochefoucauld tę ważniejszą, niezaprzeczoną wyższość nad Fredrą, że głębiej przenika, bystrzej anilizuje naturę ludzką i różne jej własności. Pod względem psychologicznym, jako znawca człowieka, Francuz jest górą.

Na odwrót pod względem moralnym wyżej jest Fredro. Poważniejszy, szachetniejszy, ma i zmysł moralny czulszy i szacunek ludzi i cześć dobrego, wiarę w dobro, której w sceptycyzmie tamtego próżno szukać. Tamten pojmuje człowieka jako maszynę, ożywioną i nakręconą jednem tylko uczuciem, miłością własną. Honor, miłość ojczyzny, miłość rodzinna, poświęcenie, nawet miłość Boga, wszystko to piękne rzeczy, które o tyle tylko praktykujemy, o ile nam się gotową monetą, jakąś korzyścią, jakąś satysfakcyą miłości wła-

snej wypłacają. Jest w tem, nieszczęściem, wiele prawdy, ale więcej sceptycyzmu i pogardy: a w każdym razie moralnie wyżej stoi człowiek, który tych wszystkich cnót od człowieka żąda, który go sądzi zdolnym dobrego dla miłości dobrego, aniżeli ten, dla którego dobre jest tylko blichtrem, którym sami się mamimy i łudzimy. Refleksyj, uderzających spostrzeżeń, psychologicznej głębokości, Larochefoucauld ma więcej, moralnej prawdy i powagi więcej ma Fredro. Dowcip świetny, błyszczący sposób wypowiedzenia swojej myśli, to jest może w czem leży najprawdziwsza wyższość moralisty francuskiego nad polskim, i sekret jego wielkiej długotrwałej sławy i popularności w Europie. Ale rozum Fredry, choć inny, nie jest mniejszy, ani niższy, a jego sposób patrzenia na świat szlachetniejszy i, bądź co bądź, prawdziwszy. Gdyby on był Francuzem lub Monita swoje napisał był po francusku, niezawodnie w całej Europie uchodziłby za godnego współzawodnika Larochefoucauld'a; gdyby je był napisał po polsku, byłyby może u nas tak lub mało co mniej znane i rozpowszechnione, jak są *Maksymy* tamtego u Francuzów.

Skończyły się wojny szwedzkie, stanął pokój Oliwski. Ta chwila odetchnienia, ocalenia od zguby, i bądź co bądź wielkich zwycięstw, wielkich zasług i chwały, czy się zaznaczy jakiem gorętszem słowem radości? A przebyte klęski i poniesione szkody, czy się zaznaczą jakiem głębszem słowem obrachunku i usiłowania ratunku? Niestety, nie. Ani śmiertelne niebezpieczeństwo, z jakiegośmy wyszli, ani to jakiem może się stać wypuszczenie elektora z lennictwa, nie zostawi w literaturze śladu głębszego, trwałego, jak niegdyś niebezpieczeństwo elekcyi w pismach Górnickiego, niebezpieczeństwo tureckie w pismach Wereszczeńskiego i Grabowskiego. Koniec wojny, ratunek, ciężko okupiony ale szczęśliwy w porównaniu z tem, co się stać mogło, jeżeli odzywa się jakiem echem, to

dziwnem, bo jest lekkie i błahe. Prolog na cześć króla i królowej, deklamowany przez *Wisłę*, przed rozpoczęciem *Cyda* (1661) w przekładzie Morsztyna, to podobno jedyna głośniejsza, znana i zapamiętana aluzya do zawartego pokoju. Ten prolog jest ładny, zwłaszcza ustęp o oswobodzeniu Litwy; ale żądałoby się czegoś więcej po takich przejściach i wrażeniach.

Przekład sam? Jest naprzód znaczący jako wyrażony już znak francuskiego wpływu, jako zapowiedź długiego panowania francuskiego dramatu nad naszym. Potem, nie można powiedzieć, żeby był zły. Wiersz chropawy i twardy miewa czasem jędrność i energię; naprzykład scena między ojcem Roderyka, a ojcem Xymeny, wygląda dobrze. Ale znać jednak, że tłómacz albo nie ma dość talentu, albo języka i wiersza nie ma dość w mocy, żeby wszystko mógł oddać, jak chce, w tym stopniu i tonie uczucia, jaki był potrzebny. Powagę, energię, gniew, odda nieźle; ale kiedy przyjdzie oddać żal, walkę uczuć, miłość, tam słabnie, i sceny najbardziej patetyczne wypadły właśnie najgorzej. Skarga Xymeny przed królem należy do miejsc szczęśliwszych. Przekład Osińskiego, choć Morsztyn ma chwilami więcej energii, jest ogółem lepszy.

Wojna Domowa z Kozaki i Tatary, za którą idzie wojna z Moskwą i Szwedami, największy z poematów Twardowskiego, wychodzi w roku 1660. W drugiej wojnie domowej jest Beresteczko i ugoda Białocerkiewska, w trzeciej Batoh i Żwaniec. Czwarta wojna domowa nie jest już domową. Jej pierwszy punkt mówi o układach Chmielnickiego z Moskwą i jego odpadnięciu od Rzpltej, i o początkach wojny moskiewskiej aż do bitwy pod Ochmatowem; drugi obejmuje czas od wylądowania Szwedów aż do kapitulacyi Krakowa; w trzecim jest obrona Częstochowy, konfederacya tyszowiecka, powrót króla ze Ślązka, i pogoń Czarnieckiego za Karolem po całej przestrzeni Rzpltej; w czwartym przychodzą posiłki austryackie i wojna

Danii ze Szwecyą; w piątym negocyacye pokojowe, Czarniecki w Danii, śmierć króla szwedzkiego i traktat oliwski.

Jest w tem może mniej wybryków złego smaku, mniej błędów językowych, aniżeli we „Władysławie IV,” bo autor nie sadzi się tak na wzniosłość i poezyę, przestaje bardziej na tonie kronikarskim; ale wartości poetycznej nie więcej. Historyczna w niektórych miejscach jest, naprzykład oblężenie Zbaraża opowiedziane jest z bardzo obszernymi zajmującymi szczegółami. Ale część dalsza nie ma już ani tej wartości; od chwili, gdy wypadki zaczęły się mnożyć i tłoczyć na wszystkich punktach, musiał autor opowiadać je już więcej pobieżnie i powierzchownie. Napisany prozą, poemat ten nie mógłby mieć takiego znaczenia dla historyi, jakie ma Kochowski albo Rudawski, ale w drugim rzędzie za nimi mógłby figurować z honorem. Nieszczęsna pretensya poetyczna odjęła mu tę wartość, jaką mieć mógł, a nie dodała mu wartości artystycznej, owszem sprawiła, że nie ma on wartości żadnej, oprócz co najwięcej niektórych drobnych szczegółów, które dla historyka mogą być ciekawe.

Że o kapitulacyi wielkopolskiej pod Ujściem łaskawie się wyraża, to naturalne, skoro sam do niej należał.

Co jest naprawdę zadziwiające, a nieprzyjemne, to, że w tych strasznych czasach Kazimierzowskich i następnych jest u nas większy, niż kiedykolwiek, urodzaj na sielankę. Czem wytłómaczyć tę sprzeczność? Wielkiem upodobaniem w sielance włoskiej, Tassa, Guariniego, Mariniego, które u nas panuje do końca tego wieku? Zapewne. O obojętność tych poetów posądzać nie możemy; w Zimorowiczu przynajmniej jest dowodów wiele, że rozumiał i czuł to, co się koło niego działo. Być może, że oprócz panującej mody i pewnej łatwości naśladowania, przyczyniała się do tego dziwnego skutku i ta bezwiedna przyczyna, że

ludzie, zmęczeni wojnami i klęskami, szukali jakiegoś wytchnienia, jakiegoś wrażenia spokojnego i łagodnego, potrzebowali oderwać się od smutnej rzeczywistości i zajmowali sobie wyobraźnię idylicznemi scenami. Jakkolwiek bądź, w roku 1663 wychodzą Sielanki Bartłomieja Zimorowicza, w 1664 *Dworzanki* Gawińskiego, w 1668 jego Sielanki; a zapewne swoje pisze już wtedy Stanisław Herakliusz Lubomirski.

Bartłomiej Zimorowicz, którego ożenieniu może zawdzięczamy, że wiersze Szymona nie zaginęły, to figura wcale sympatyczna; żyje sobie prawie sielankowo na lwowskiem przedmieściu, ma dworek i ogródek, którym się bardzo cieszy i z którego lubi patrzeć na miasto, malowniczo rozłożone pod jego nogami; kocha swój Lwów bardzo, wspomina go ustawicznie, tak, że jest przez to prawie poetą miejscowym, specyficznie lwowskim. Przytem lubi bardzo Apollina i Muzy, polubił je wcześnie jeszcze, kiedy jako młody chłopiec słuchał pięknych wierszy Szymonowicza, a wiernym pozostał Muzom do końca, do późnej starości, kiedy jako poważny burmistrz ruskiej stolicy w sielankach opłakiwał najazdy tatarskie i kozackie, albo zgon swojej żony, która niegdyś za młodu była heroiną Roksolanek jego brata. Ale choć poezyę lubi i uprawia, jest bardzo skromny i do *genus irritabile vatum* nie należy; nie ma się za nic wielkiego i sam siebie bardzo trzeźwo ocenia, kiedy mówi, że próbuje tylko stąpać w ślady Szymonowicza, ale go nie doszedł. Pisze dla swojej przyjemności, trochę dlatego, żeby swój kąt rodzinny, który kocha, jako tako opisać, jak to sam wcale ładnie w przedmowie, albo jak nazywa *Obmowie* wyraża. Kocha bardzo swoją żonę, żali się krótko, ale rzewnie, że potracił dzieci, zmarłego brata wspomina często i bardzo czule, ma serce otwarte dla ojczyzny i cierpi nad jej klęskami, na które patrzał: słowem bardzo dobry, pociągający młodzieniec, później bardzo dobry, poważny staruszek

i burmistrz. Jako poeta nie ostatni wcale, bo dożył prawie do połowy panowania Sobieskiego, i kiedy wielu w około niego w całej Polsce zepsuło sobie smak i język, on dochował do śmierci dobrą tradycyę. Klasycyzmem trąci i mitologią zdobi się suto, jak przystało na człowieka, który się rodził jeszcze w XVI wieku, a Szymonowicza miał za wzór i mistrza; ale pisze bardzo dobrym, czystym językiem, żadnych makaronizmów, żadnych szumnych frazesów i żadnych dziwacznych konceptów, żadnych sielankowych ckliwości. Jego sielanka naśladuje klasyczne; naśladuje je tak, jak naśladował Szymonowicz; nie zaraziła się żadnymi sztucznymi wymysłami, żadną manierą idylistów włoskich.

Ma on zatem swoje niezaprzeczone zalety jako poeta i godzien jest dobrego wspomnienia i uszanowania, ale takiego samorodnego talentu, takiego delikatnego smaku, takiego wykończenia jak brat, nie ma, i daleko mu do tego.

Pisze on same sielanki, sielanki prawdziwe, zupełnie Wirgiliuszowe i Szymonowiczowego układu i kształtu; ale do tego wzoru mu daleko. Naprzód jest między nimi stosunek oryginału i kopii, a kopia, nawet najlepsza, musi być od oryginału niższą, tutaj zwłaszcza, gdzie ona jest bardzo wierna. Powtóre, jeżeli Szymonowicz, co prawda, jest bardzo nierówny i często spada, to daleko jeszcze nierówniejszy jest Zimorowicz; u niego także żadna sielanka nie jest skończoną harmonijną całością, a różnica między obydwoma jest ta, że tu ustępy piękne są rzadsze, miejsca obojętne i oklepane częstsze i dłuższe, niż u Szymonowicza. Powtóre, język, choć poprawny, bardzo pięknym nie jest (nie tak jak u brata naprzykład), a wiersz często niedołężny, czasem zupełnie niezgrabny. Nieniektórzy chcą widzieć wyższość Zimorowicza w tem, że, jak mówią, „wyswobodził się z pod wpływu sztuki greckiej" i myślą, że go chwalą, tak mówiąc. Naprzód,

z pod tego wpływu nie wyswobodził on się wcale i wyswobodzić nie myślał i nie chciał; owszem, najwierniej trzyma się klasycznego typu sielanki, bogów, bogiń, Faunów, Nimf, Satyrów, nie szczędzi, ale używa i nadużywa; prawie wszystko u niego występuje w arkadyjskiem lub mitologicznem przebraniu, zatem wpływ zły i szkodliwy sielanki starożytnej odbił się na nim wyraźnie (z czego, zważywszy gust wieku, trudno mu robić zarzut). Ale dobrego wpływu, jaki mógł wyciągnąć z naśladowania wzorów starożytnych, tego wyciągnąć nie umiał; wykończenia, elegancyi, pięknych proporcyj, których Szymonowicz nauczył się od Wirgila, on nie przejął i jego sielanki są pod względem artystycznym słabsze, nie tak wykończone, nie tak zaokrąglone, jak tamte.

A co się tycze tego pierwiastku rodzimego, tych typów prawdziwie ludowych, tego życia i charakteru szczerze polskiego, którego niby ma więcej i lepiej, niż Szymonowicz, oddaje, to podobno także pomyłka. Ma on wprawdzie tę nad Szymonowiczem wyższość, że niektóre sielanki swoje rozwija na tle publicznych wypadków, wojen kozackich naprzykład. Jak Tityrus i Moelibens po wojnie Triumwirów, tak jego Miłosze, Daniłki i Fedki schodzą się po wojnie Chmielnickiego i rozpamiętują jej klęski. Szymonowicz zawsze trzymał się w obrębie prywatnych wiejskich stosunków. To jest wyższość niezaprzeczona, taka sielanka oparta o jakiś wielki historyczny wypadek, musi być bardziej zajmującą w swoim czasie, a dziś i historycznie ciekawszą. Ale nie idzie zatem, żeby miała być piękniejszą jako sielanka, albo nawet, żeby jej figury miały być bardziej, rdzenniej polskie od innych. I zaraz dowód: u Zimorowicza, co prawda, jest mniej Korydonów, Licydasów i Filid, a więcej Oleksów, Demków, Daniłków, Fedków i Parasek; ale jego figury są w gruncie mniej wiejskie, mniej ludowe, aniżeli figury Szymonowicza. Tam w Żeńcach, w Kosarzach, w Po-

mariicy widzi się prawdziwą wieś, widzi się chłopów: tutaj Fedki i Ostapki to nie parobki wcale, to za chłopów poprzebierani panowie, którzy myślą i czują, jak szlachta polska, a żyją, jak bogaci mieszczanie lwowscy, mający ładne dworki i ogrody. Jego sielanka staje się przez to bardzo ciekawą, jest odbiciem czasu, wyobrażeń, zwłaszcza kiedy mówi o krajowych wypadkach: ale jest gorsza, jest bardziej konwencyonalna, bo to, co sprawia, że sielanka jest najczęściej fałszywą i nienaturalną, maskarada, przebranie jakichś ludzi wykształconych i wykwintnych za pasterzy, to tutaj jest, a u Szymonowicza tego niema. Tam nigdzie nie występuje pan burmistrz w postaci starego Korydona, ale Korydonem jest prawdziwy wiejski gospodarz. Nie jest Zimorowicz bardziej od Szymonowicza polskim, zwłaszcza nie jest bardziej od niego ludowym, tylko wydaje się takim przez to, że mówi o sprawach, które nas jeszcze dziś obchodzą, że dotyka narodowej historyi. Jest zaś naprawdę daleko bardziej od tamtego miejscowym. To nie Rusin nawet, to Lwowianin, czule w swoim Lwowie rozkochany i mówiący o nim tak często, z taką przyjemnością, jak o kochance. Lwowskie pagórki i laski, miasto ładnie między nimi położone, święty Jur i wszystkie mniejsze cerkwie, góra Zamkowa, różne wsie poblizkie, świętojurskie jarmarki, wszystko tam wspomniane jest wiele razy, z wielką czułością, z wielką miłością, niekiedy nawet z właściwem miłości zaślepieniem, bo nawet Pełtew znalazła w nim swojego peetę i pochlebcę, jedynego zapewne, jakiego miała od stworzenia świata, i figuruje w jego wierszach z różnymi epitetami, na które za jego czasów zapewne nie więcej, jak za naszych zasługiwała, jako bystra Pełtew, czysta, przejrzysta Pełtew, piękna Pełtew szparko płynąca do Bugu.... nowy dowód, że w tem, co się kocha i wady wydają się wdziękami.

Sielanki jego dałyby się podzielić na trzy grupy: jedne, w których pasterze i pasterki rozmawiają lub

śpiewają o swoich pasterskich lub miłosnych sprawach; te są do sielanek Szymonowicza najpodobniejsze, niekiedy naśladowane nawet w szczegółach, jak np. czwarta, *Swaci*, w której dwaj pasterze, Stokłos i Lasota, śpiewają z sobą na wyścigi, który lepiej, a Daniłko, zawołany kobeźnik podolski, ma ich sądzić. Śpiewają nawet wcale ładnie, i zupełnie w rodzaju tamtych.

I do takich należy wcale ładna, dowcipna sielanka XIV, *Zjawienie.* Hymen i Kupido pokłócili się między sobą, że jeden drugiemu psuje rzemiosło, i poszli na sąd do Wenery. Skargi ich są wcale zgrabnie napisane. Wenus feruje wyrok, że Kupido, nic dobrego, strzałami swojemi godzi w ludzi żonatych i w mężatki; na przyszłość ma się od takich wybryków wstrzymać, a jeżeli chce małżonkom przyświecać, to tylko hymenową pochodnią. Gdyby zaś Hymen w swoich celach jego strzał potrzebował, odmawiać ich nie ma prawa. Po tym wyroku obadwa razem odchodzą do swojej roboty na ziemię, i blisko Lwipola, na tem miejscu, „gdzie niekiedy on przedni poeta Simonides śpiewał,” bawiło się dwoje chłopiąt, Filemon i Zacharko, pasając koźlęta. Hymen i Kupido w ludzkiej postaci wdali się z nimi w przyjaźń; ale każdy wybrał swego i zranił go swoją strzałą. Filenko, przyjaciel Hymeneusza, który się od niego nasłuchał o małżeńskich słodyczach, jeszcze nie dorósł, jak wszystkim dziewkom ze wsi posyłał pierścionki na zaręczyny, aż się wreszcie ożenił z Paraską. Ale biedny Zacharko, któremu zły Kupido zawsze tylko o różnych przygodach matki rozpowiadał, nie chciał małżeńskiemu podać jarzmu karku i smutno kończy, pisząc w testamencie.

Zdrowie, sławę, majętność i sam siebie straci,
Ktokolwiek się z miłością nieporządną braci.

Te dwa chłopięta lwowskie, które tak różnie kończą, kto wie, czy to nie wspomnienie, nie wyobraże-

nie jego i brata młodości. Jakolwiekbądź jest parę ładnych, zgrabnych ustępów, mianowicie sąd Wenery i zakończenie.

Inne znowu okolicznościowe, na wesela przyjaciół lub znajomych, na ich śmierć; u Szymonowicza również zdarzają się takie. Z tych najciekawsza jest piąta, *Roczyzna*, poświęcona pamięci ukochanego brata Szymona, w ośmnastą rocznicę jego śmierci, zatem w r. 1647. Trzej pasterze, Hilas, Olechno i Dorylas, opłakują na przemian młodego Symicha, który grał i śpiewał tak pięknie, jak Orfeusz. Są tam skargi prawdziwie rzewne i żal serdeczny za „złotym Symichem."

Dwie są sielanki ciekawe, w których poeta mówi o sobie, o swojej poezyi i o współczesnej literaturze. W jednej z nich, z porządku drugiej—*Trużenicy*—dwaj pasterze, Leszko i Samujło, przychodzą do przedmiejskiego dworku swego przyjaciela Miłosza, zastają go strapionego stratą czworga dzieci i zajętego myślą, żeby na pamiątkę tych dzieci wystawić kościołek na górze, nad miastem. Pomału rozmowa się zmienia: pasterze przyszli prosić Miłosza, żeby im co zagrał i zaśpiewał. On obiecuje, ale nazajutrz, jak u niego przenocują, a tymczasem opowiada, jakim sposobem śpiewać się nauczył. To literacka spowiedź Zimorowicza

„Żaden mistrz nie uczył mnie" etc.

W XIII-ej, *Winiarze*, wracają te same osoby. Miłosz uczy przyjaciół, jak szczepić i hodować winnice, bo i to było powodem ich przybycia, a przytem rozprawia o szlachetnej sztuce śpiewania. To, co mówi, to oczywiście zdanie Zimorowicza o współczesnej polskiej poezyi, a tak rozumne, że zawsze warte zapamiętania

„Tak to jest, że co żywo wierszyki partoli..."

Potem śpiewa Miłosz hymn religijny swojego wynalazku, istotnie bardzo ładny, w którym na początku zwierza się ze swoich natchnień, ze źródeł,

z których je czerpie, i w tem ma nastrój wyższy, prawdziwie poetyczny.

Te sielanki, w których jest zupełnie oryginalnym, a przez związek z historycznymi wypadkami ma pewien rodzaj wyższości nad Szymonowiczem, jako sielanki są słabsze, tylko historycznie ciekawe, jako obraz nieszczęść wojny kozackiej i tatarskiej, okrucieństw, jakich się jedni i drudzy nad Lachami dopuszczali. Jest to opowiedziane bez sztuki po największej części, ale przejmujące, straszne. Dorosz, Ostafii i Wojdyłło (z tych trzech Dorosz sam poeta) schodzą się przypadkiem po wojnie i opowiadają, co przeszli. Jeden w jakiemś gdzieś mieście, w cerkwi ukryty, patrzał na najokropniejsze okrucieństwa i mordy; drugiego Tatarzy we wsi opadli, uciekł do jakiegoś gródka, tam złapany, zbity, ledwo z życiem uszedł. Dorosz był we Lwowie i opowiada oblężenie, które wytrzymał. Sceny barbrzyństwa są okropne, a przez wszystko przebija cała ówczesna nienawiść czerni kozackiej do Lacha. Prawda, że czuć także i całe oburzenie, cały żal i cały wstyd ówczesnej szlachty, jej żal do Kozaków, wstyd że się chłopom bić dała; ale jest i mądre ocenienie tych wypadków; najbystrzejsze zaś to, co mówi Ostafi w zakończeniu Kozaczyzny, że się Ruś sama wtedy własną ręką zabiła.

Ta nóta historyczna i patryotyczna odzywa się w jego poezyi stale. Już jako młodzieniec, w roku 1620 i 1621, pisał *Żywot Kozaków Lisowskich* i *Pamiątkę Wojny Tureckiej*.

Wszystko razem wziąwszy, jest to *par nobile fratrum* ci Zimorowicze. Obadwa ujmujący i sympatyczni, jeden wdziękiem młodości i zawczesnym końcem, drugi długim, spokojnym, szanownym i zasłużonym żywotem, obadwa szlachetną naturą, czułem sercem i piękną zdolnością. Młodszy niepospolity istotnie talent, prawdziwy artysta, z bardzo delikatnem uczuciem formy i wielką w niej biegłością, a z żywem

i silnem uczuciem; drugi nie tak zdolny i oryginalny, ale jako poeta miły, a jako świadek zdarzeń historycznych ciekawy. Jeden ma tę chwałę, że w zmierzchu poezyi polskiej on tylko miał prawdziwy talent i polot, drugi ma tę, że choć bez nadzyczajnych darów, utrzymywał jeszcze dobre tradycye, język czysty i smak jeszcze naturalny i nie skażony. Nie są to wielcy poeci, ale są sympatyczni, a wiersze ich do dziś dnia zostały wdzięczne i miłe. Starość miał Bartłomiej smutną: cztery razy żonaty, cztery razy zostawał wdowcem, w czwartem małżeństwie dopiero, w późnej starości, znalazł więcej pociechy, ale na krótko. Do tego procesy, a niesprawiedliwe, pozbawiły go większej części majątku i skazały nawet na banicyę, od której się ledwo obronił. A jednak, mimo tych ciężkich strapień i sędziwych lat, pisał historyę swego rodzinnego miasta, *Leopolis Triplex*. W roku 1672 bronił go i skutecznie od tureckiego oblężenia, a podczas żórawińskiej wyprawy pisał wiersz łaciński na cześć króla, elekta i bohatera. Czy dużo bywało i bywa na świecie takich burmistrzów?

„Słowianie lubimy sielanki," mówi literat w „Dziadach;" to pewna, że produkowaliśmy je zawsze, aż do „Wiesława," a w arcydziele naszej poezyi, w „Tadeuszu," jest wiele sielanki. A tak jak nasi lirycy przez trzy wieki naśladowali Kochanowskiego, tak pisarze sielanek — Szymonowicza, i jak tamci swojego, tak ci swego wzoru nie doszli.

Sielanki Gawińskiego są może lepsze od wielu współczesnych poezyj, mają dobry język, przyzwoity wiersz, ale są mdłe i gorsze nie już od Szymonowicza, nie nie od Zimorowicza młodszego, ale od Bartłomieja, który choć gorzej od brata pisze, umie nadać swoim żałosnym idyllom wdzięk oryginalności i dużo historycznego zajęcia. Sielanki Gawińskiego są weselnymi lub pogrzebnymi panegirykami pod tą formą, jak w sto lat później Sielanki Naruszewicza; są

od tych nierównie lepsze, ale są mdłe. *Odczary*, napisane w wyraźnym zamiarze, żeby były parą do Szymonowicza *Czarów* (treść jest ta, że żona niewiernego męża czarami od rywalki do siebie nawraca), bardzo mierne; *Niesforne Zaloty*, dyalog zakochanego pasterza z okrutną pasterką, należą do lepszych.

Herkules na rozstajnych drogach, poemacik, w którym młodzieńcowi ukazuje się *Droga Rozkoszy i Zmysłów* i *Droga Baczenia i Cnoty*, ma parę ustępów niezłych; a na wspak zapewne założeniu autora wszystkie lepsze włożone są w usta bogini Rozkoszy, kiedy Cnota przemawia sucho, pedantycznie i nudnie. W Lirykach i Dworzankach trafiają się czasem wierszyki ładne, naprzykład w pierwszych *Anakreontyk* (144), *Do Panny* (150), *Do Lutni* (146); w drugich (Dworzankach) *Do Hanny w drogę pospolitego ruszenia* (72), *Pean Bacha Tokayskiego* (80). Są tłómaczenia i naśladowania z poetów starożytnych, z Anakreona naprzykład, wcale zgrabne (*Jaskółka*, 49). Jest kilka dowcipnych epigramatów—*Na Bezzębnego* (76)—jest jeden aforyzm—*Boski opiek*, który niegdyś mało zmieniony znajdzie się u Mickiewicza—jest bajka *Niósł ślepy kulawego* (56), bez zakończenia wprawdzie, bez moralnej nauki, bez dowcipu i formy Krasickiego, ale kto wie, czy nie stąd wziął biskup warmiński pierwszą myśl do swojej.

Słowem, bardzo ładnego niema tu nic, ale na owe czasy są to jeszcze wierszyki wcale udatne, przyjemniejsze od wielu. Autor sam, skromny widać, nie upatrywał w nich wiele wartości, jak świadczy jego wierszyk do Jana Drużby (104).

III.

Kochowski. *Kamień świadectwa.* Fredro. *Militaria. Psyche* Morsztyna. Elekcya króla Michała w literaturze. *Wojna Chocimska* Wacława Potockiego.

Przeszły wojny kozackie, szwedzkie, moskiewskie i Rakoczego: przyszła wojna domowa. Wiadomo, że ówczesna opinia polska stanęła w ogromnej większości po stronie Lubomirskiego, uważając tę sprawę jako sprawę zagrożonej, a przez niego bronionej wolności. Tej opinii daje wyraz poeta Kochowski, w formie u niego rzadkiej, poematu.

Kamień Świadectwa Wielkiego w Rzeczypospolitej Senatora Niewinności (wydany 1668) zaczyna się jak wielki poemat bohaterski, jak *Raj Utracony* Miltona, a po takim początku schodzi na zwykły wiersz pół pochwalny, a pół polemiczny. Uniesiony wielkim zapałem dla pana marszałka w. kor., a wielkiem oburzeniem na jego nieprzyjaciół, pisze Kochowski nie w obronie jego sprawy, bo już po śmierci swego bohatera, ale na pamiątkę jego wiecznej sławy. *Kamień Świadectwa* świadczy o tej niewinności, ale jej nie dowodzi. Kochowski wie i powtarza to, co Lubomirski mówił w manifestach do braci szlachty; nie wie tego, co mawiał dawniej w gabinecie królewskim, tem mniej tego, co mówił w korespondencyach z dworem austryackim i w rozmowach z jego posłem. Wiersz zatem dowodzi nie niewinności bohatera, ale niewiadomości i ła-

twowierności autora; jego zdolności skądinąd, bo są ustępy wcale ładne.

Ciekawy jest i sam wywód sprawy, która jest tylko intrygą francuską. Zdradliwy kogut (autor nie cierpi Francuzów, a dla Austryi za to z wielkim jest respektem i sympatyą), zazdroszcząc przewagi domu cesarskiego w Europie, chciał na polskim tronie osadzić swego Kondeusza, a gdy się temu Lubomirski oparł, przez zemstę oddał go pod sąd. Naturalnie, jest w tem wszystkiem przytyk pośredni do królowej, choć niema o niej ani jednej nawet najbardziej ukrytej wzmianki. Żeby w tem prawdy nie było, nie można powiedzieć; ale z równem, może z większem prawem możnaby Kochowskiemu odpowiedzieć, że kiedy zaprowadzenie rządu, a przez to może uratowanie Polski było blizkie, intryga austryacka, bojąc się wpływu francuskiego pod bokiem, złudziła Lubomirskiego nadzieją korony i na Rzpltą po wszystkich innych sprowadziła jeszcze wojnę domową, do której pomagali tacy naiwni i łatwowierni, jak on. Która z tych intryg więcej Polsce zaszkodziła, to podobno jasne.

Jakolwiekbądź, nie mówiąc o jego sądzie, a stanowisko jego przyjmując jak jest, trzeba przyznać, że cały ten początek o intrygach francuskich i kilka strof przemowy Lubomirskiego są wcale dobre. Następuje potem wielka machina, do użycia ledwo w największych epopeach. Kiedy Lubomirski oparł się francuskim plonom, schodzą się wszystkie mocy piekielne, żeby go za to ukarać. Scena w Erebie, narada, przypominająca cokolwiek sławną scenę z Miltona, a rolę szatana gra tu Richelieu i Kallimach. A w tem, co mówią, jest tyle siły, iż możnaby sądzić, że się w istocie zanosi na wielki i piękny poemat! (Druga połowa perory Richelieu'go od strofy XXX i Kallimacha do XLIV). Zdawałoby się, że po takim początku powinna przyjść cała sprawa epicznie opowiedziana; i niema co mówić, sąd na Lubomirskiego, naprzykład, w ten sposób przed-

stawiony, jak ta piekielna narada, mógł był być historycznie fałszywym, ale poetycznie pięknym. Niestety! od tej chwili rzecz się psuje. Wiersz wprawdzie zostaje tak dobry jak był, ta sama jędrna męska oktawa, i czasem jeszcze zawadzi się jaka strofa wymowna. Ale po długim, jak widzimy, wstępie, rzecz cała zamyka się w kilkunastu strofach, w których się mieści i wyliczenie dawnych zasług marszałka, i jego krzywd, i cała wojna domowa, i pojednanie, i wreszcie śmierć. Słowem, rzecz, zaczęta w wielkich proporcyach epopei, kończy się w mniejszych proporcyach lirycznego okolicznościowego wiersza. Nie mówiąc więc już o tem, że niewinności Lubomirskiego ten „Kamień Świadectwa" nie dowodzi, pod względem artystycznym jest słaby, przez ten brak harmonii i proporcyi między początkiem a końcem; ale początek sam dowodzi prawdziwej zdolności poetycznej i rzadkiego w tej epoce panowania nad formą.

W tym samym roku, 1668, wydaje Fredro swoje *Militaria*. Tytuł nie obejmuje wszystkich w dziele zawartych materyj. Mówi on właściwie o warunkach potęgi państw. Siła wojenna jest jednym z najważniejszych zapewne, ale jednym tylko: zresztą, żeby tę mieć, potrzeba pierwej mieć ludzi, pieniądze, broń, komunikacye. Wszystko to podstawy potęgi, i autor pod tytułem rzeczy wojskowych dotyka wielu innych kwestyj ekonomicznych, podatkowych, przemysłowych, finansowych, policyjnych. Nie możemy tu sądzić, o ile trafnie lub mylnie mówi o wojskowości (organizacyi wojska, taktyce, strategii nawet); wojskowi tylko mogliby to osądzić. Co do innych materyj, możnaby powiedzieć, że więcej tam rzeczy powtórzonych i oklepanych, niż fałszywych; są naiwne, utopijne, a na powadze rzymskich praw i zwyczajów oparte, jakie trafiały się często u naszych statystów XVI wieku; są inne, zakrojone na polityczne reguły postępowania, które wyglądają, jak gdyby były żywcem wyjęte ze

statystów włoskich, z Macchiavela mianowicie; jeszcze inne to produkt i ślad bieżących polskich wyobrażeń, uprzedzeń i przesądów; a są między tem wszystkiem i rady lub uwagi mądre. Ładu, całości, jakkolwiek autor widocznie się starał być porządnym, gruntownym i systematycznym, niema. Może byłoby więcej, gdybyśmy mieli tę część drugą, o której autor mówi, a która, jeżeli kiedy w druku wyszła, to zginęła; ale autorowi, który przedwszystkiem lubił dowolny aforystyczny sposób pisania, należy może policzyć za zasługę samo staranie o ciąg myśli i o obszerne rozwinięcie materyi.

Za dobre zaraz wziąć mu trzeba to, że między warunkami potęgi na pierwszem miejscu kładzie wychowanie. Może jest naiwny, kiedy każe Rzpltej trzymać urzędowych historyografów, utrzymując, że to podniesie powagę jej u postronnych; ale z pewnością ma słuszność, kiedy się skarży, że młodzież polska chowa się w grubej nieznajomości ojczystych dziejów przeszłych, a nawet współczesnych. Po szkołach zaledwo historyi uczą, jeżeli nawet uczą. W innych krajach są „Ephemerides," które donoszą przynajmniej, co się teraz w świecie dzieje; u nas ich niema, a jeżeli się w większych miastach, w Krakowie lub w Warszawie coś podobnego pokaże, to tak niedokładne, że nic się z tego dowiedzieć nie można. Nie można się więc dziwić ignorancyi naszej młodzieży, ale radzić na nią trzeba. A poradzić można, gdyby tylko zająć się ustawami, zdolnemi stan wychowania poprawić i zabezpieczyć. I tak wypadałoby naprzód postanowić peryodyczną, co trzy lata, rewizyę szkół; kto ją ma odbywać, nie mówi, tylko, że odbywać się mają z ramienia Rzpltej, a doglądać i nauczycieli i książek szkolnych, i uczniów, zdawać sprawę ze wszystkieg dochodzić, do czego młodzież okazuje więcej zdoln ści i ochoty, żeby Rzplta zawsze wiedziała, czy n się spodziewać większego przybytku urzędników, c uczonych, czy księży.

W tych uwagach o wychowaniu, w tej obronie historyi narodowej, przebija wyraźnie jedna z jego sympatycznych własności, przywiązanie do tego, co swoje, zamiłowanie polskości. O zachowanie polskiej cechy, nawet w rzeczach zewnętrznych, dba wielce, mieści w niem nawet część narodowej godności. Nie przystoi jej np. przyjmować obcego stroju, albo obcych godności; nawet zagranicą Polak powinien nosić swój ubiór. A jak do cudzych zaszczytów się rwać, tak i swoimi szafować nie należy. Cudzoziemców np. do indygenatu nie przypuszczać, albo przynajmniej bardzo trudno i bardzo rzadko: niech to będzie dla nich honorem tak wysokim, że go mało kto dostać może. Ale w tem jego dobrem sympatycznem uczuciu jest i wiele przesady; jest wyłączność, jest skłonność do admiracyi dla wszystkiego, co polskie, do wiary, że co polskie to najlepsze. Jest wreszcie i niedorzeczność zupełna, kiedy mówi, że godność Rzpltej nie pozwala trzymać stałych posłów przy dworach zagranicznych, ale tylko czasami w koniecznych sprawach ich wysyłać, żeby nie spowszednieli. Coby powiedział o wojskowym, któremu godność nie pozwalałaby dowiadywać się, gdzie jest i co robi nieprzyjaciel? albo o kupcu, który czasami tylko, w szczególnych interesach znosiłby się ze swoim spólnikiem, a w stan spólnej kasy ustawicznie nie wglądał?

Drugą zasadą potęgi jest ludność. Ta, jeżeli może czasem być za wielką w proporcyi do rozległości i produkcyjności kraju, to w Polsce jest za małą i o pomnożenie jej starać się trzeba koniecznie. Jak? Niech mieszkaniec ma opiekę prawa, sądy sprawiedliwe, prędkie, a nie kosztowne, i sposób utrzymania się, a sam ściągnie. Do Polski zaś, która ma tyle gruntów nieu- tecznych, pustych, nic łatwiejszego jak zwabić za- anicznego osadnika. Naturalnie, trzeba mu nadać ınt i trzeba mu dać pewność, że plon swojej ziemi, › wyrób swego przemysłu zbyć potrafi, zatem bez-

pieczeństwo i wygodę komunikacyi, porządne drogi. A zwłaszcza kraje połączone z Rzpltą kolonizować i uważać nie za podbite, ale za jedno i to samo ciało. W ten sposób, Rzymianie ze zwyciężonych wspólnością praw zrobili Rzymian i obywateli. Grecy podbitych mieli za niewolników i dlatego nigdy nie stali się licznym narodem, wielką potęgą. Polacy tak Litwę i Ruś z Polską połączyć umieli, że „pochodzeniem różni, jesteśmy jednym narodem i anibyśmy chcieli, ani potrafili żyć osobno.” Naturalnie, autor w swoim czasie mówić mógł tylko o szlachcie, a o niej mówiąc, mówił prawdę. Ale sam fakt, że lud krajów ruskich tak się do Polski nie przyłączył, dowodzi słuszności jego zasady.

Trzecim warunkiem potęgi Rzpltej, są dostatki ludzi prywatnych. Tych jest pod względem majątkowym trzy rodzaje: bogaci, ubodzy, nie posiadający nic zgoła i średni, a na tych ostatnich właśnie zasadza się bogactwo kraju. Nie dowodzi go pewna ilość majątków bardzo wielkich, ale wielka liczba miernych, obywateli zamożnych, dostatnich. Zrozumienie tej prawdy przynosi mu taki zaszczyt, jak i spostrzeżenie, że na takich średnich właśnie Polsce najbardziej zbywa. Chcąc ich stworzyć wymyśla sposoby niektóre dobre i mądre, inne częścią niepraktyczne, częścią bardzo despotyczne.

Dobre jest, że żąda podniesienia, ożywienia, stworzenia rękodzieł, przemysłu i handlu, że jako środek po temu podaje tworzenie kompanij handlowych, którym Rzplta powinnaby zapewnić wielkie korzyści i przywileje. Takim sposobem Holandya doszła do swego wielkiego bogactwa i znaczenia (jako przykład organizacyi takich kompanij przytacza związek Hanzeatycki). Zawsze dla podniesienia handlu i przemysłu żąda ograniczenia władzy starostów nad małem miasteczkami (bliżej żądania tego nie określając), zaprowadzenia dobrych środków komunikacyi, budowani

gościńców i oddania ich pod dozór osobnego urzędu, trybunału handlowego.

Dalszym warunkiem potęgi państwa jest dostatek żywności. Żeby ten zapewnić, król i Rzplta dawać powinni najpilniejszą baczność, a przeto w przechodach wojsk strzedz od nadużyć i niszczenia pól i bydła, w czasie zbiorów, ile możności, wojen unikać, nawet nieprzyjacielskich krajów nie pustoszyć. Dla podniesienia rolnictwa radzi postanowić cenzurów, któzyby mieli dozór nad gospodarstwami prywatnemi, dobrych gospodarzy nagradzali, a niedbałych lub nieumiejętnych z urzędu brali w opiekę. Za granicę wolno wywozić tylko zboże, które zbywa nad potrzebę wyżywienia ludności. Stepy, lasy, nawet bagna, należy zamienić w urodzajne pola uprawą, karczowaniem, osuszaniem i w tym celu zakładać w pustkach kolonie, a osadnikom dla zachęty nadawać grunta i (jeżeli są poddanymi) wolności. Włóczęgów, próżniaków, kaleków doglądać, jednych zamykać w domach poprawy, innych zaprzęgać do robót choćby lżejszych.

Czytając te wszystkie rozporządzenia ekonomiczne i policyjne (trafne lub nie), pytać się trzeba, co się stało z tytułem książki, który zapowiadał rzeczy wojskowe? Autor, dość powszechnym w owym czasie, a zwłaszcza sobie właściwym zwyczajem, lubi przy każdej sposobności powiedzieć wszystko, co wie, co myśli co ma na sercu: i tytuł „Militariów" służy mu za pretekst do mówienia *de omnibus rebus et quibusdam aliis.* Jakkolwiek w tym razie to mnóstwo kwestyj, do przedmiotu ściśle nienależących, usprawiedliwione jest tem, że pomiędzy siłą wojskową kraju jego a ludnością i zamożnością zachodzi związek bardzo ścisły. Ale nakoniec przystępuje Fredro i do tego, co jest jego właściwym przedmiotem. Broń jest znowu jednym warunkiem potęgi, a z nią wchodzimy wreszcie w rzecz wojskowe. O rynsztunek i amunicyę trudniej zawsze, niż o ludzi i o pieniądze. Dlatego

wszystkie tak wsie jak miasta w Rzpltej miały być obowiązane do dostawiania corocznie do arsenałów królewskich pewnej ilości, czy to surowych, czy przerobionych materyałów; rzemieślnicy potrzeb wojennych powinnyby dla zachęty mieć szczególne przywileje i korzyści; wyprowadzanie koni zagranicę wzbronione, a miasta mają same własnym kosztem utrzymywać w dobrym stanie swoje mury i szańce. Następują potem ćwiczenia wojskowe. Tu naprzód należy, żeby synowie szlacheccy z hetmanami w obozach bywali, wojennego rzemiosła się uczyli, do trudu przywykali, bez czego sami nigdy dowodzić nie potrafią; żeby po wsiach, miasteczkach i miastach coroczni odbywał się wybór, a do wojska zdatni, żeby w służbie corocznie byli ćwiczeni, nie żeby zaraz w stanie pokoju do obozu iść mieli, ale żeby czasu wojny byli gotowi, a nie w ostatniej chwili użycia dopiero uczć się musieli. Lustracye (i manewry wojskowe) po wszytkich województwach, co lat cztery, a najwięcej pięć. Piechoty mamy za mało i dlatego nigdy zupełie zwyciężyć nie możemy. Wstydzimy się pieszej służy, zdajemy ją na najemnych cudzoziemców. To dczniczego, najemnik taki bić się za nieswoją sprawęani chce, ani potrzebuje. Nam potrzeba piechoty polskiej, a jeżeli już bez zaciężnej obejść się nie możem, to niechże ona ma przynajmniej polską organizacyę komendę, słowem charakter polskiego wojska. Województwa kolejno (po trzy naraz) mają pełnić służbę wjskową w kraju w czasie pokoju, to im stanie za wyprawę.

Wreszcie nad najemne i stałe wojsko, lepe zawsze pospolite ruszenie: tem Rzym, tem my olacy wojowaliśmy zwycięsko. Rzym kiedy nad samymi tylko Włochami panował, liczniejsze miał wojska, niż kiedy cały świat zagarnął. A dla czego? Nic dziwnego: w pierwszych czasach każdy obywatel szedł bić się za ojczyznę, w późniejszych płatny żołdak walczył za pieniądze. Polska za Zygmunta Augusta wstawiła

na wojnę inflancką sto czterdzieści tysięcy jazdy, samej szlachty, bez jednego mieszczanina lub chłopa; a dziś niech to potrafi! Dziś lustracyj zaniedbano, szlachta od wojennej służby odwykła, a dlaczego? bo monarchicznym statystom podoba się zaciężny płatny najemnik, żołdak nie obywatel. Tymczasem pospolite ruszenie i mniej kosztuje i ubogiemu człowiekowi nie tak cięży, jak wojsko stałe; i moralniejsze jest, bo szpetnie jest i niebezpiecznie przyzwyczajać obywateli do brania zapłaty za usługi, które darmo ojczyźnie oddawać powinni.

Do tego wszystkiego możnaby dodać, co autor myśli (choć nie mówi), że stałe wojsko może się stać niebezpiecznem dla wolności narzędziem *Absoluti Dominii*, którem pospolite ruszenie nie będzie nigdy. Rozumowania jego dają poznać ten abstrakcyjny idealizm, piękny w teoryi, który tkwił w naszych pojęciach i w naszych instytucyach; ale historya polskich wojen dowodzi najlepiej, jak ta teorya była mylną, bo dowodzi, że pospolite ruszenie, choć zwycięży czasem, to nigdy nie zwycięży zupełnie, bo ze zwycięstwa nie skorzysta.

Drugi rozdział książki mówi o siódmej zasadzie potęgi: o skarbie. Podstawami jego są: moneta, ułatwienie handlu i podatki. Co do pierwszej, ta powinna być rzetelną, od zagranicznych nie gorszą: dlatego fałszowania kruszców ściśle należy przestrzegać i urzędy probiercze po miastach zaprowadzić. We wszystkich portach nakazać, żeby produkty tylko za złoto lub srebro były sprzedawane, a to, by ich jak najwięcej do Polski ściągnąć. Co do drugiego, powtarza autor o środkach komunikacyj, związkach handlowych, to samo, co już wyżej przy materyi dostatków prywatnych powiedział, z tą różnicą, że daje projekt statutu takiej spółki.

Zasady jego spółek handlowych, przez ludzi lub przez miasta zawiązywać się mających, są następujące:

„Miasta znoszą się i naradzają w sprawach spółkowych przez delegatów: każde z nich w naradzie reprezentowanem być musi; które tego zaniedbuje, podpada karze, lub wyłączeniu ze spółki.

„Spółka ma swój skarb, do którego spólnik każdy, człowiek czy miasto, co roku pewną kwotę wnosi.

„Za poświadczeniem dwóch sąsiadów, ludzi lub miast, można być od wkładki uwolnionym.

„Ze stowarzyszonych miast żadne bez wiedzy innych z nieprzyjacielem układać się nie może.

„Wygnany z jednego miasta, do żadnego innego przyjętym być nie może.

„Każde miasto musi mieć w zapasie pewną ilość broni na sprzedaż dla związkowych.

„Stowarzyszony, jeżeli jest pokrzywdzonym, ma krzywdę swoją spółce opowiedzieć, która z urzędu bierze go w obronę.”

Pod karą śmierci nie wolno jest kupować nic, co w wojnie lub grabieży sprzymierzonym było zabrane.

Kto towary swoje gdzieindziej wywozi, traci prawo obywatelstwa.

To samo rozumieć się ma o stowarzyszonych prowincyach lub ludziach.

Oszczędność w wydatkach jest także wspomożeniem skarbu, a taką nastręczyćby mogło utrzymywanie fortec bez kosztu. Każde starostwo np. mogłoby dochody z dwóch lub trzech wsi na ten cel obracać. (To wtedy dochody z tych wsi nie znajdą się w ogólnym przychodzie ze starostw i wyjdzie na to samo). Z tego wszystkiego najmędrsza podobno ta prosta, a bodaj czy kiedy usłuchana rada: „Niech Rzplta ma budżet, w którym stałoby zapisane, co ma z portów, z ceł, z danin, z podatków, a wiele potrzebuje na wydatki, żeby rozchód przychodu nie przewyższał.”

Jak się zachować w wojnie i przy jej wypowiedzeniu, to dalsza kwestya w „Militariach.” A więc na-

przód słuszność swojej sprawy ogłosić manifestami, a najlepiej za pozór dać obronę wiary; tym sposobem zyska się liczniejszych i gorliwszych stronników: Papieża dobrze mieć po sobie, a na to trzeba kardynała jakiego, lub biskupa obrać sobie na rzecznika i agenta. Sprzymierzeńców jednać sobie, obiecując im korzyści, udział w zdobyczy; ujmować grzecznością lub darami tych, którzy mają wpływ na króla, z którym chciałoby się wejść w przymierze. Ale starając się o pomoc, nie żebrać jej, nie umizgać się, bo to zaraz rzuca pozór słabości i rozpaczliwego połżenia, a ludzie temu tylko pomagają, o którym sądzą, że sam sobie, a w danym razie i innym pomódz może. Swojego się trzymać, nie ustępować, na rozpaczliwej walce czasem można wyjść dobrze, przykładem Polska za Jana Kazimierza, która się całej Północy i Wschodowi oparła; na sromotnem ustępowaniu nikt jeszcze nigdy dobrze nie wyszedł.

Wojnę nieść w kraj nieprzyjacielski: posiłki i dowozy żywności nieprzyjacielowi przecinać, odciągać mu sprzymierzeńców, a buntować poddanych. Mieć jednego wodza, a nie kilku z równą władzą; miasta zajęte, zwłaszcza pograniczne, osadzać silnie. Na zbrojne posiłki nie bardzo się sadzić; sprzymierzeńcy niech dają pieniądze, broń, ale wojsko ich najmniej przydatne. Takie zbiorowe wyprawy zaczynają się po czasie, do prowadzenia są bardzo trudne, a w skutkach niepewne, często nawet niebezpieczne. Wodza zamianuj, ale nie ogłaszaj aż w ostatniej chwili, żeby zawiści i fakcye nie miały czasu przeciw niemu intrygować; na przypadek mianuj (w opieczętowanych listach) i jego następców; wojnę wypowiadaj najlepiej w takiej chwili, kiedy nieprzyjaciel wewnątrz jest zwaśniony (a zwłaszcza możni u niego); dwóch wojen naraz nie prowadź; sprzymierzeńców swoich tak z nieprzyjacielem prowadź, żeby żadnym sposobem pogodzić się z nim nie mogli. Te wszystkie i podobne

proste środki zwyczajnej ostrożności, lub przebiegłości, od dawniejszych obcych autorów wyuczone, zajmują cały niemal rozdział, który byłby obojętny, gdyby nie kilka rad, dotyczących Polski, a cechujących dobrze wyobrażenia Fredry i współczesnych. I tak, naprzykład, naucza, że dla Polski najmędrszą polityką jest neutralność. Być w zgodzie ze wszystkimi, o ile można, ale z nikim w przymierzu, bo z tego zawsze tylko kłopoty; można zaplątać się w wojny, w niepotrzebne zobowiązania, można, zwłaszcza przy polskiej łatwowierności, być oszukanym; byleśmy zawsze obronić się mogli, na tem nam dosyć, a mieszać się w insze sprawy nie potrzebujemy. Nie można zaprzeczyć, że i to system polityki, czy zły, czy dobry, inna kwestya, ale jest, a raczej mógłby być, gdyby nie słabe i fałszywe argumenty, którymi go autor podpiera. Mówi on bowiem, że państwa małe nie mogą w neutralności żyć, potrzebują obrony, a nie mogąc jej sobie dać same, muszą się o kogoś oprzeć i choć to niebezpiecznie, sprzymierzeńców mieć; ale my, którzy o własnych siłach stać możemy, dość jesteśmy na to wielcy, możemy bezpiecznie trzymać się na boku, zdala od wszelkich zawikłań i w sprawy europejskie wdawać się nie potrzebujemy.

Otóż teorya objaśniająca, jeden z najpowszechniejszych ówczesnych, a najszkodliwszych polskich przesądów politycznych; z niej to wypłynęło to niegodne trzymanie się na boku, ta obojętność, która sprawiła, że z czasem Polska dla Europy prawie nie istniała. A nie sam tylko nasz przykład dowodzi fałszywości tej polityki. Małe państwa właśnie dlatego, że nie są siłą i w losach Europy nie ważą, mogą wegetować w neutralności; ale takie, które znaczyć i ważyć mogą, takie i powinny, a jeżeli nie chcą, tracą z początku tylko swój wpływ, znaczenie, powagę i urok, z czasem nawet siłę. Belgia może bezkarnie nie mieszać się do spraw europejskich; Anglia, gdyby się

takiej polityki trzymała, straciłaby stanowisko mocarstwa w Europie.

Hetmanowi planu kampanii nie przepisywać z góry, nie wiązać go; nie usadzać się na zdobycie krajów, których w razie zwycięstw zatrzymać nie można, a z których w razie przegranej, odwrotu niema, lub trudny. Jezeli chcesz zdobyć lub odebrać jaką prowincyę, czyń, jak Batory, kiedy chciał odzyskać Inflanty, nie tam poszedł ale prosto w głąb Rosyi, czem wróg o swoje kraje przestraszony, wolał Inflanty ododdać, niż Moskwę na niebezpieczeństwo narazić. Król niech sam na wojnę nie idzie, tylko nich się ciągle na nią wybiera, bo z daleka każdy się lepiej wydaje. Układy prowadzić ciągle, zerwane ciągle na nowo rozpoczynać, a wojnę swoją drogą prowadzić, kompanię wolnych strzelców urządzić; bardzo się przydać mogą, jak się to pokazało w wojnach kozackich, gdzie braciszek jezuicki Muchowiecki pod Zbarażem sam jeden 204 Kozaków ubił. Przeciw Niemcom, Rosyanom i Turkom walcz głównie kopią (pancernymi), na Tatarów potrzebujesz więcej lekkiej jazdy, piechoty zawsze i wszędzie. *)

W wojnach domowych pamiętaj, że ten zawsze będzie górą, kto będzie miał więcej pieniędzy; a potem chowaj w pamięci te przestrogi: nie będzie buntu, jeżeli nie będzie powodu, zatem pilnuj ściśle i siebie i swoich podwładnych; czemu przeszkodzić nie możesz, udaj, że tego chcesz i ustąp uprzejmie, wtedy ci władza i powaga z rąk nie ucieknie.

Im dalej, tem bardziej wdaje się autor w szczegółowe, nieraz już czysto taktyczne rzeczy i rady, z któ-

*) Konny służy ci tylko w polu, pieszy do wszystkiego, mniej cię kosztuje, nieprzyjaciel boi się go nawet za murami i wałami, gdzie jeździec się nigdy nie dostanie. Piechota nie zależy, jak jazda, od zdrowia, sił i wyżywienia koni, łatwiej też jezdny ucieka, bo wie, że dalej uciec może, a pieszy nawet uciekając, ratunku nie pewny, bardziej się szeregu i obozu trzyma.

rych jedną tylko wydobyć warto uwagę ogólniejszej natury. Oto, roztrząsając pytanie, czy lepiej jest nieprzyjaciela u siebie czekać, czy nieść wojnę w jego kraj (na to pytanie daje odpowiedź warunkową: iść naprzód, jeżeli się chce zdobyczy, czekać, jeżeli tylko odpierasz), natrąca o ważnej, a nigdy nie rozwiązanej kwestyi zatamowania raz na zawsze najazdów tatarskich. „Tatarów—mówi—należałoby u nich w domu, w Krymie szukać i straszyć ich, a nie nimi się straszyć. Tak Moskale, którzy się długo opornie trzymali, zaatakowawszy, zabrali Astrachań i Kazań;" i do Krymu dojśćby nie było trudno. Ale jeżeli to się nie podoba, to żeby przynajmniej jaką od nich obronę obmyśleć, np. zakon rycerski (dawna myśl Wereszczyńskiego), pod tytułem rycerzy Maryańskich, który za nadanie gruntów, miałby obowiązek strzeżenia granic i odpierania Tatarów.

Rada za późna; przez opieszałość polską doszło do tego, że w chwili, kiedy Fredro pisał, już nie Turek ani Tatar był najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem Polski. Stosunki na Wschodzie Europy były już zmienione. Chociaż zaprzeczyć nie można, że i wtedy jeszcze zdobycie Krymu byłoby radą dobrą, gdyby wynędzniona Rzplta mogła była zerwać się na takie przedsięwzięcie i na nieuniknioną w takim razie wojnę z Turcyą.

Dalsze rozdziały (Puncta) „Militariów" są tak ściśle wojskowe, taktyczne, że wojskowy tylko mógłby z nich należycie zdać sprawę i ocenić. Dla nie wojskowego ciekawa jest rzecz jedna. Oto w dodatku (*Additamentum Militarium*) dowodzi Fredro obszernie, że organizacya i karność wojskowa w wojskach zagranicznych jest monarchiczna i absolutna, w jeździe polskiej, gdzie żołnierz jest towarzyszem, gdzie „nie miejskie śmiecie, ani karczemna zgraja, ani wiejski gmin," ale szlachta się zaciąga, gdzie są sami ludzie oświeceni i dobrze wychowani, gdzie żołnierz choć słucha, ale

się czuje równym rotmistrzowi i samemu hetmanowi, tam organizacya i sama natura jest arystokratyczna, a przeto i karność despotyczną, monarchiczną być nie może. Spostrzeżenie jest bardzo trafne; konkluzya mniej. Bo podług Fredry oczywiście, to wojsko najlepsze, podług historyi przeciwnie. „I chcą u nas tę cudzoziemską modę zaprowadzać?—woła—po cóż? Po nic innego oczywiście, tylko żeby zaprowadzić rząd absolutny, do czego to wojsko arystokratyczne nigdy użyć się nie da. Mówią wam o karności, o posłuszeństwie! O niewolę tu chodzi, nie o karność. Przytoczyłbym przykłady—mówi (myśląc o Władysławie IV zapewne i o jego chybionych zaciągach na wojnę turecką) — ale pocóż rozdzierać na nowo zaledwo zabliźnione rany?"

Do „Militariów," bez związku, ale nie bez korzyści, jak mówi sam autor, dodany jest list uzupełniający (*Epistola Complementi*), przypisany Floryanowi Czartoryskiemu, biskupowi kujawskiemu, dwadzieścia kilka aforyzmów, jak poprzednie bystrych, jak tamte nieraz paradoksalnych; a nadto mała broszurka, dowodząca doskonałości Rzeczypospolitej i że monarchia dla samych tylko monarchów dobra. (*Praerogativa Popularis Status repraesentatur. Monarchiam saepius nisi regnanti bonam*). Do tych doskonałości liczy się, naprzykład, jednomyślność uchwał i co za nią idzie, *Liberum Veto*. „Nie jedność liczebna—mówi autor—w jedynym człowieku, ale jedność umysłów w wielu ludziach, to jest prawdziwa podstawa dobrego rządu i wolności. Opatrzność to sama, wierzę w to, stosując rządy do natury i potrzeby ludów, z konieczności spuszcza monarchię na niektóre zachodnie narody w Europie, które strachem tylko od zupełnego użycia wolności, czyli jej nadużycia, powstrzymać się dadzą, bo tam więcej jest pojedynków, ojcobójstw, trucicielstw, gwałtów i innych burzliwego umysłu zuchwałych uczynków, tak w prywatnem jak i w publicznem życiu aniżeli

w naszej Polsce, przez niewiadomość lub złośliwą niechęć za nierządną i swawolną okrzyczanej." Trafia się złe, trafia się nieporządek i u nas, bośmy ludzie, ale lepszej formy rządu, doskonalszej Rzpltej niema na świecie.

Wyobrażenia charakterystyczne, których dosadniejsze jeszcze przykłady znajdą się w następującem dziele Fredry.

Z roku 1669 pochodzi *Psyche* Andrzeja Morsztyna, tłómaczona, z *Lucyana Apulejusza i Mariniego* mówi tłómacz, co dowodzi, że nie jest to wierny przekład z żadnego, ale wolne powtórzenie tej powieści za wszystkimi; za własny przeto utwór Morsztyna uchodzić powinna raczej, niż za przekład, zdaniem Małeckiego.

Śliczna bajka starożytnych, głęboka i mądra, jeżeli ją uważać za allegoryę, pełna wdzięku i pogańskiej poezyi zmysłów, jeżeli się ją czyta jak romans, w którym nie wiedzieć, gdzie się kończy uczucie, a gdzie się zaczyna pociąg i rozkosz, tak jedno z drugiem połączone i zmieszane. Potrzebaby poety wielkiego, żeby się to dobrze wydało w przekładzie. Potrzebaby pendzla najdelikatniejszego, dotknięcia najlżejszego, kolorów najsubtelniejszych, a zarazem najżywszych, żeby oddać sceny miłosne między Amorem a Psychą, zaloty i pieszczoty niewidzialnego bożka, albo chwilę, w której ciekawa, a nieposłuszna kochanka przy świetle latarni widzi po raz pierwszy uśpionego Kupidyna w całej jego piękności. Koloryt i język Słowackiego nie byłby zanadto, a sam Göthe nie ubliżyłby swemu geniuszowi, gdyby go był użył do takich obrazów. Tej delikatności, jaka tu była potrzebna, tej jakiejś woni rozkosznej i upajającej, która powinna wiać z każdego wiersza, u Morsztyna niema. Wiersz to przyzwoity, dobrą oktawą (ulubioną strof Krasickiego i Słowackiego) kopia porządnie wykonan ale wdzięk, ale poezya, ale ten olimpijski nimbus, kt ry powinien otaczać miłostki Amora i Psychy, uleciał

To co najbardziej ziemskie, najmniej poetyczne, to udało mu się najlepiej; naprzykład gniew i zazdrość Wenery przemawia czasem językiem, przypominającym kłótnie bogów i bohaterów Homera. Do ładniejszych miejsc należy skarga Psychy, zostawionej na pustym morskim brzegu, jej sen i przeniesienie na skrzydłach Zefira do pałacu Kupidyna, wreszcie gniew Kupidyna, kiedy przebudzony, zastał Psychę z latarnią, schyloną nad nim i przypatrującą się. Pragnęłoby się zapewne, żeby to było jeszcze inaczej powiedziane; ale porównawszy wiersz i język Morsztyna ze wszystkimi niemal współczesnymi, Wacława Potockiego nie wyjmując, i z późniejszymi (jak Drużbacka naprzykład), zobaczy się, że włada formą lepiej od nich wszystkich. A to sprawia, że ta „Psyche" ma wartość (choć względną) i że w literaturze naszej jest godną wspomnienia.

Godne także uwagi są dwa ustępy jego własnego wynalazku: dedykacya (synowcowi Stanisławowi Morsztynowi, wojewodzie mazowieckiemu) swobodna, wesoła, ładna, i wtrącony w powieść ustęp o Maryi Ludwice i jej dworze. Wenus, szukając Kupidyna, któremu chce poruczyć zemstę nad Psychą, nie znajduje go ani we Francyi, ani w Anglii, ani w Niemczech, ale w Polsce na dworze. Rzecz ciekawa dlaczego Amor sprzykrzył sobie tamte kraje; we Włoszech nie chce przesiadywać, bo tam „miasto miłości, plugawe nierządy," w Anglii, bo tam ziemia świeżo krwią króla zbroczona, we Francyi, bo za wiele ma do roboty i nie może sobie dać rady: ani w Niemczech, bo tam kobiety wprawdzie „łaskawe," ale ich „miłość zimna i jakby umarła." Poszedł więc do Warszawy, i Wenus sama nic się temu nie dziwi, owszem chwali jedynaka, że ma gust dobry. Ale figlarny Kupido strofuje ją ostro za takie posądzenie: nie przyszedł on tu po zwykłe figle i psoty,

„Alem się, matko, przyszedł uczyć cnoty."

I opowiada jej potem, kto to jest ta królowa, którą przed sobą widzi. Pochwała Maryi Ludwiki gorąca, szczera i wcale piękna; zadośćuczynienie za wiele szkalowań i obelg, jakie na nią spadały. Po królowej następują różne panny z jej *fraucymeru*, Marya d' Arquien, Klara de Mailly, późniejsza Pacowa, Katarzyna Gordon, późniejsza żona poety, a okoliczność, że one wszystkie występują tu jako panny, dowodzi, że poemat długo zostawał w ukryciu, ale pisany był oczywiście w latach już nie pierwszej, ale jeszcze nie zupełnie minionej młodości autora.

Składajmy jak chcemy najwięcej na karb wojen i klęsk, co będzie słusznem, to przecież nie zdołamy zaprzeczyć, że ta literatura Kazimierzowskich czasów wygląda smutno. Ma świetne błyski—najświetniejszym jest Starowolskiego *Lament*—ale nie ma jednostajnego i ciągłego światła. Ma poetów nie bez talentu, ale bez wyższego talentu i natchnienia i bez artystycznego wykształcenia. Ma mówców świeckich i duchownych bez liku, kocha się ten czas w wymowie; ale mówi tak złym językiem i z tak złym smakiem, że to co najpoważniejsze i najrozumniejsze, to co tragiczne nawet, przez tę formę wygląda dziwacznie, żeby nie powiedzieć śmiesznie. Serce się rozdziera przy czytaniu mowy Jana Kazimierza na sejmie roku 1666; ale usta muszą się przez uszanowanie siłą trzymać, żeby się nie skrzywić albo nie uśmiechnąć. Fredro ma dużo rozumu i dużo dobrego uczucia, ale kiedy pisze o kwestyach politycznych, rozumie je najczęściej fałszywie, a tej dążności do poprawy Rzeczypospolitej, jaką miał wiek XVI, jaką miał jeszcze Starowolski, w nim nie widać.

To nie jest zdziczenie, to nie jest obojętność na oświatę i wstręt do czytania. Przeciwnie; Polak tych czasów widocznie chce czytać dużo i czyta, skoro drukarnie tłoczą książek daleko więcej, niż w wieku XVI. Ale co się drukuje i czyta? Mnóstwo książek

pobożnych lub duchownych naprzód. To byłoby bardzo dobre, gdyby te książki były dobre. Ale kiedy są błahe, kiedy w móstwie kazań najwięcej jest panegirycznych, pogrzebowych, to o wartości tej literatury i o oświacie tych czytelników nie nabiera się dobrego wyobrażenia. Rzeczy nowych, a dobrych, bardzo mało. Stare i dobre odbijają się czasem, niektóre nawet często, jak Skargi *Żywoty Świętych*, albo *Biblia* Wujka. Ale kazań sejmowych nie widać. Ze Starowolskiego nie powtarza się *Reformacya* albo *Prawy Rycerz*, tylko *Dwór Cesarza Tureckiego*, bo jest ciekawością, opowiadaniem. Rzecz charakterystyczna, opozycyjny *Fidelis Subditus* Orzechowskiego musiał mieć powodzenie, bo wychodzi w nowych wydaniach. Dziwi obok niego *Idea Apocaliptica* Solikowskiego. Może jakiś człowiek rozumny, a stroskany spróbował jej użyć za środek obudzenia rozwagi i upamiętania, i zawiódł się. Są oczywiście ludzie, którzy dobrze czują, i pisarze, którzy jeżeli nie całkiem dobrze, to szlachetnie piszą; ale ci, choć się za Jana Kazimierza odzywają, i może choć trochę na otaczający świat działają, to w zupełności dadzą się poznać w latach późniejszych dopiero, kiedy pisma swoje zbiorą i razem wydadzą.

Jan Kazimierz złożył koronę ze smutną na jej przyszłość wróżbą, a Polska trochę żałosna z tego rozstania z ostatnim potomkiem dwóch rodzin królewskich, trochę na niego obrażona, że ją porzucił, z zapałem rzuciła się do nowej elekcyi, z miłą ufnością, że teraz jej żadne intrygi i fakcye, żadne kandydatury francuskie przeszkadzać nie będą. Ale elekcya króla Michała w literaturze mało zostawiła śladów.

Niezwykłą ciekawością jest broszura obcego autora, i to tak wielkiego jak Leibnitz, o polskiej elekcyi, z gorącem zaleceniem jednego kandydata. Nosi ona tytuł *Specimen demonstrationum pro eligendo Rege Poloniae*, a wyszła pod przybranem nazwiskiem. Autor podpi-

suje się na niej *Ulicovius*, czy dlatego, żeby tym polskim pozorem zachęcić polskiego czytelnika? Dość, że Ulikowski, zwykłym Leibnitzowi sposobem matematycznym dowodzi, że najlepszym dla Polski i jedynym właściwym kandydatem jest stary, i po córce Zygmunta III dawno już owdowiały elektor palatyn, książę Neoburski. Co mogło skłonić Leibnitza, że się w tę sprawę mieszał, że tak obstawał za kandydatem, który nie miał widoków powodzenia i nie miał za co ich mieć? Czy interes jaki? czy życzliwość dla tego księcia? czy szczera chęć usłużenia Polsce? Dochodzić trudno; a broszura sama jest ciekawością, godną wzmianki, dlatego, że ją Leibnitz pisał.

Broszura Olszowskiego zajmująca jest przez swój związek z wypadkami historycznymi, z elekcyą króla Michała. Od pana Paska i całej ówczesnej szlachty, aż do Mickiewicza, wierzyli wszyscy, że elekcya ta stanęła niespodzianie, zupełnie nie przygotowana, że o tym kandydacie nikt naprzód nie myślał: i na prawdę, tylko tym sposobem można ją sobie wytłómaczyć. Duch święty podał elektorom Michała do serca—dobrze; albo szlachta, znudzona kandydaturami zagranicznemi, podejrzywając senatorów, zazdrosna o swoje prawo wyboru, chciała raz wybrać króla swojego i wybrała pierwszego, który jej przyszedł na myśl, rozczuliwszy się do tego wspomnieniem zasług ojca—jeszcze lepiej, to się rozumie doskonale. Ale żeby ktoś rozważnie układając plan przyszłej elekcyi i forytując Piasta, nie znalazł lepszego i z rozmysłem Michała Wiśniowieckiego stawiał za najgodniejszego korony, to jest bardzo dziwne.

A to jest cel broszury. Autor przechodzi po kolei wszystkich kandydatów, a odrzuciwszy zagranicznych, ma już tylko Piasta i wylicza wszystkie mówiące za nim względy i argumenty. Ale Piast to ni dosyć; jaki Piast? to sęk—jest tylu synów koronnyc Bez wahania, bez wzmjanki nawet o żadnym innyı

śmiało i odrazu, jak gdyby nikt inny obok tego kandydata nawet stanąć nie mógł, jak gdyby było oczywistem, jasnem jak słońce, że jeżeli ma być królem Polak, to żaden inny być nim nie może, wyjeżdża Olszowski ze swoim Michałem.

Istotnie, pomiędzy broszurą, a jej skutkiem, tak niespodziewanym, jest pewien brak związku, a raczej związek, którego wyrozumieć trudno. Naprzód: o ile broszura wpłynęła na elekcyę? Napisana była podczas sejmu konwokacyjnego w listopadzie, do następnego czerwca musiała wywierać wpływ i miała czas się rozejść. Ale jeżeli się przyczniła do obioru Michała, dlaczego nikt z współczesnych nie spostrzegł tego, dlaczego wszyscy mieli tę elekcyę za przypadkową, zrządzoną przez Boga (z wyjątkiem Sobieskiego, który mówił, że zrządził ją autor „Cenzury”)? Stopień wpływu, jaki ona wywarła, jest nam nieznany; a godzien poznania, nie dla historyi literatury, ale dla historyi.

A druga rzecz niejasna to jest jej powód. Czego chciał Olszowski, człowiek rozumny, kiedy prowadził na tron Michała? W jego zdolność i godność wierzyć nie mógł, ani być tak ślepym, iżby już lepszego nie był mógł dojrzeć. Dlaczego sobie tego właśnie wybrał i upodobał? Czy się tak rozczulił nad zasługami ojca i ubóstwem syna, i romansowo jakoś zapalił do pomysłu takiej nagrody? To do niego niepodobne, był za mądry i nie dość czuły i poetyczny. Czy wybrał najniezdolniejszego ze wszystkich, dlatego, że ambitny, miał nadzieję przy takim cały ster mieć w ręku, jak się naprawdę stało? To znowu zbyt przewrotne. Słowem zagadka, ale zagadka historycznie ciekawa; pomiędzy broszurą a faktem jest koincydencya taka, że człowieka, który ją sprowadził, uważać trzeba za bardzo dzielnego i zręcznego. Rzadko kto w Polsce tak potrafił postawić na swojem; a z drugiej strony nie widzi się jasno ani powodu, który nim

kierował, ani miary i zakresu wpływu, jaki wywarł, ani innych środków, którymi działał.

Nie więcej jak elekcyą zajmuje się literatura sprawami króla Michała. Spisek prymasa i hetmana przeciw niemu, konfederacya szlachty za nim nie odbiją się w niej echem żadnem. Dużo tylko panegiryków powitalnych, a zwłaszcza weselnych, dla króla i królowej Eleonory. Traktat buczacki, utrata Kamieńca, zaznaczą się tylko wzmiankami w kazaniach Młodzianowskiego. Chocimskie zwycięstwo jedną *Pieśnią* (1673). Śmierć króla także pominięta milczeniem, które dziwnie odbija od pełnych zapału powitań, choć dziwić nas nie może.

W przedmowie do *Wojny Chocimskiej* mówi Wacław Potocki, że długo nękały nas nieszczęścia, ale teraz możemy mieć lepsze o ojczyźnie nadzieje, bo mamy króla, którego samo imię *Michael*, anagramem obrócone znaczy *Jam Lech*, i jest dobrą wróżbą. Jeżeli ta przedmowa nie była napisana przed dziełem — a zwykle się one piszą na samym końcu — to *Wojna Chocimska* należy do tych lat.

Mają książki swoje koleje, swoje przeznaczenia, mają także czasem, jak ludzie w życiu, szczęście lub nieszczęście. *Wojna Chocimska* miała szczęście. Zrazu wprawdzie los źle jej posłużył napozór, kiedy przez lat 150 z górą trzymał ją w ukryciu i zapomnieniu takiem, że nikt w Polsce o niej nic wiedział; nawet najzapaleńsi i najuczeńsi bibliografowie i zbieracze. Nie znał jej, nie widział, nie domyślał się ani Załuski, ani Janocki, ani Czacki, cóż mówić o mniej uczonych, a dopieroż o ogóle śmiertelnych. Ale za to, kiedy traf szczęśliwy wyprowadził ją na świat z długiego utajenia, doszła odrazu do sławy ogromnej; ogłoszono ją poematem bohaterskim w najwyższem znaczeniu słowa, doskonałością, arcydziełem, wiernym obrazem polskiej przeszłości w pięknych bohaterskich

czasach i wspaniałym pomnikiem polskiego ducha. Ona była uzupełnieniem, koroną niemal polskiej poezyi, „Iliadą" polską, jak „Pan Tadeusz"—„Odyseą," ona ratowała złą sławę literacką swego wieku, czyniła zadość za wszystkie grzechy złego smaku i ubogiej treści, słowem, ktoby przeczytał krytyki z przed lat czterdziestu i więcej, mógłby myśleć, że *Wojna Chocimska* jest przynajmniej parą do *Jerozolimy Wyzwolonej*, a Wacław Potocki (czy, jak wtedy mniemano, Andrzej Lipski) takim poetą jak Tasso.

Urok nowości, radość z odkrycia, porównanie z innemi poezyami XVII wieku, tłómaczą ten zapał zbyteczny i tę nad zasługę wielką reputacyę „Wojny Chocimskiej." Że ona nie jest tem, za co ją ogłoszono, dowodzi wyraźnie jedna okoliczność: wydrukowana, wynoszona pod niebiosa w swoim czasie przez wszystkie pisma peryodyczne, znaną jest z imienia i reputacyi przynajmniej każdemu, kto wie trochę o literaturze polskiej; niema tego, ktoby o niej nie był słyszał, każdy mógł czytać, nie jeden (przynajmniej w pierwszych latach po wydaniu choćby tylko z ciekawości) przeczytał; nasz wiek nietylko nie jest wybredny i surowy, ale do zbytku (u nas przynajmniej) pobłażliwy dla poezyi, skłonny i gotów do admiracyi dla każdego wiersza. Dlaczegoż *Wojny Chocimskiej* nie spotykamy w każdym domu i na każdym stole między Mickiewiczem a Kochanowskim? Dlaczego nie czyta jej żadna kobieta? Dlaczego żaden młodzieniec nie pójdzie marzyć z Wacławem Potockim w ręku? Dlaczego, jednem słowem, to arcydzieło rycerskiego i narodowego ducha i poetycznej sztuki nie przyjęło się między nami? Czy my jego, czy ono może niegodne naszych pochwał?

Nie odznaczamy się w naszym wieku ani smakiem bardzo dobrym, ani bardzo pewnym sądem, to pewna; ale nie jesteśmy też ani zupełnie ciemni, ani z gruntu pozbawieni zamiłowania w rzeczach artystycznych i li-

terackich. Owszem, mamy go wiele; mamy choć trochę wykształcenia, a jeżeli nasz zły smak idzie tak daleko, że nam pozwala lubić rzeczy złe lub mierne i wychwalać je nad miarę, to dalej przecież nie idzie, tego nie ma, żebyśmy na rzeczach prawdziwie i bardzo pięknych zgoła poznać się nie umieli. Jeżeli więc *Wojna Chocimska* nie jest u nas w tak wielkiej cenie, to powód musi być w jej wartości, nie w naszem złem usposobieniu. I istotnie sławę jej przesadzono wielce. Jej autor miał talent, poemat jest zapewne najlepszym, jaki u nas powstał w okresie czasu pomiędzy Kochanowskim i Szymonowiczem a Krasickim; ale pięknym poematem nie jest, a kto wie, czy niektóre drobne poezye z drugiej połowy XVII wieku w swoim rodzaju nie są od niego lepsze.

Autor miał talent, w dziele są piękności, a jednak ani on nie jest dobrym poetą, ani ono dobrym poematem? Dlaczego? Czego jednemu i drugiemu na to nie dostaje? Jednej rzeczy, sztuki; albo geniuszu. Z geniuszem może poeta być samoukiem, niedoukiem, nieukiem nawet, może nie mieć wyobrażenia o sztuce i jej teoryi, nie być literatem wcale, a ten najwyższy szczyt zdolności zastąpi wszystko; instynktem, sam nie wiedząc, jak i dlaczego, może stworzyć arcydzieło. Ale bez geniuszu trzeba koniecznie sztuki, trzeba znajomości poetyckiego rzemiosła, trzeba wzorów, inaczej talent zdobędzie się tu i owdzie na piękny ustęp, całości nie złoży. I tak jest z „Wojną Chocimską;" w porównaniu ze współczesną poezyą wydaje się czemś pięknem, bo jest od niej lepsza. Wzięta sama w sobie, jest jakoby materyałem na poemat, materyałem przydatnym, a nawet bogatym w piękne przymioty, ale materyałem surowym, potrzebującym jeszcze ręki artysty, żeby z niego wyszła piękność. Jest to naiwna próba wiejskiego snycerza, który, nie znając rysunku a odgadując go nieźle, wystrugał figurę; figura ma życie, ma wyraz, ma uczucie jakie jej twórca chcia

nadać, patrząc na nią czuje się szacunek i sympatyę dla tego instyktowego talentu; ale dodaje się zaraz fatalną uwagę: co za szkoda, że się nie uczył! Jest to bryła marmuru, kiedy wychodzi z rąk punktatora, projekt na posąg, z którego domyślić się można, czem to być ma i może, ale który zostanie niekształtną, niewyrobioną bryłą kamienia, jeżeli pod dłótem mistrza, nie jeden kawał nie odpadnie, jeżeli się nie ociesze, nie wycieńczy i nie wykończy.

Geniusz nie potrzebuje uczyć się sztuki, bo jest artystą z natury; poeta, który nie jest geniuszem, musi się stać artystą, jeżeli ma być poetą. A tem właśnie Wacław Potocki nie jest. Z całem uszanowaniem dla poezyi samorodnej, z całą sympatyą dla autora, który gdzieś na wsi zakopany, bawił się naiwnie poezyą i założył na swój warstat, wielki poemat bohaterski, przyznając zupełnie, że ten autor nie jest bez wdzięku i że podobać się może, przyznać przecież trzeba, że jego dzieło, choć nie bez zalet, nie jest dziełem sztuki, nie jest pięknem. *Vos exemplaria graeca*, radził Horacy Rzymianom; nasz szlachcic, dawny żołnierz, ziemianin, od niechcenia czy z zachcenia poeta, pisząc bez pretensyi, *ex abundantia cordis*, naiwnie, nie miał przed oczyma ani Homera, ani Wirgiliusza. Nie myślał, nie wiedział o tem, czego potrzeba, żeby poemat bohaterski był dobrym, i ztąd poszło, że jego samorodnie napisana „Wojna Chocimska," jest rymowaną kroniką, jest Pamiętnikiem Jakóba Sobieskiego o wojnie chocimskiej, przerobionym na wiersz, ale nie poematem; że jest podobniejsza do *Władysława* i *Przeważnej Legacyi* Samuela Twardowskiego, aniżeli do *Iliady*, a choćby tylko *Jerozolimy*.

Rymowana historya, jak wspomniane poematy Twardowskiego, bez wyobraźni, bez tego pierwiastku, tóry układa, grupuje, tworzy i pcetyzuje fakty; bez :zebrakowania tych faktów, bez ukazania niektórych ybranych w poetycznem świetle, bez plastycznego

ich opisania. Dokładność i wierność historyczna, w której nic nie jest pominiętem ani zapomnianem, a nic także nie stało się obrazem. Przecież porównanie z Twardowskim byłoby niesprawiedliwe; rodzaj jest ten sam, ale stopień tutaj jest nierównie wyższy. Wacław Potocki tylko nie jest dość plastycznym, dość opisowym, dość poetą; suchym, prozaicznym, nudnym nie jest. Musiał istotnie talentu mieć wiele, kiedy pomimo tego pierworodnego i kardynalnego grzechu swego dzieła, fałszywego pojęcia i założenia, zdołał zrobić je żywem, zajmującem i ozdobić tu i owdzie wcale pięknym ustępem. Na czem polega ta jego zdolność? Oto jej charakter:

Wyobraźni i inwencyi Potocki nie ma, to jego największe nieszczęście i powód, dla którego jego poemat bohaterski, jest tylko wierszowaną historyą wojny chocimskiej; ale ma duszę energiczną, rycerską, polską i gorącą, i ta dusza, przebijająca się w dziele, nadaje mu częściowe piękności. Tych nie trzeba szukać w scenach i opisach; bitwy, potyczki, czyny bohaterskiego męstwa, z których większy od niego poeta byłby zrobił najpiękniejsze obrazy, stanowią właśnie część najsłabszą jego dzieła, są przyzwoite, są wierne, znać, że zrobione przez takiego, co sam nieraz był w ogniu, są czasem żywe i energiczne, ale obrazowe, plastyczne, nigdy. Ale kiedy w dygresyach puści wodze swemu uczuciu, kiedy mówi przez niego patryotyzm, męstwo, honor wojskowy, pobożność, modlitwa, wtenczas się ożywia, wtenczas staje się (bez wysokiego natchnienia jednak), poważnym, jędrnym, męskim i wymownym; i takie ustępy, modlitwy, przemowy wodzów przed bojem, lub jego własne dygresye, to najpiękniejsze ustępy jego dzieła. A forma jego podobna jest do rodzaju jego uczucia i jego myśli; nigdy wzniosła, nigdy bardzo piękna, ani uroczy ani porywająca, jest poważna prostotą, żywa uc ciem, niekiedy energiczna. Język od makaronizm

wolny zupełnie, zeszpecony co najwięcej prowincyonalizmami, jest mu nie zupełnie, ale dosyć powolny, jest prosty, jędrny i czysty. Styl ma ten wielki przymiot, że nie jest nigdy fałszywym, w przecięciu nie dość poetyczny i uroczysty, jest przecież zawsze poważny, a nigdy przesadny, nigdy sztucznie górnolotny i patetyczny. Smak, z wyjątkiem rzadkich może wyrażeń, nie rażący; mitologiczne figury i przyzwyczajenia trafiają się, ale dziwnie jak na owe czasy, rzadko. Wiersz wreszcie, niekiedy zaniedbany i kulejący, lub ratujący się zbyt łatwym, lub umyślnie naciąganym rymem, jest w większości dobry, płynny, nie miękki, nie rozlazły. Wszystko to wziąwszy na uwagę, trzeba przyznać, że „Wojna Chocimska” ma zalety, jakich poezya polska z tej epoki nie miewa, i że jej autor musiał mieć zdolność prawdziwą; ale to przyznawszy, trzeba zaraz dodać: szkoda, że się nie uczył, szkoda, że się ta zdolność poetyczna nie wyrobiła na wzorach, ale przestając na samorodnem tworzeniu, zrobiła, jak ten sługa z Ewangelii, który powierzonych sobie pieniędzy nie stracił, ale i nie przyrobił. Każdy, kto książkę otworzy, przekona się o tem, choćby nie chciał, zaraz na samym wstępie.

Przed poematem jest, oczywiście, dedykacya: Janowi Lipskiemu, staroście czechowskiemu, zięciowi autora. Dedykacya ta, a raczej wiersz na herb Lipskiego Śreniawę (może też przez kogo innego napisany, na tenże herb autora Wacława Potockiego), to dług, spłacony obyczajowi i smakowi wieku. Nic tak niesmacznego, tak przesadnego, tak panegirycznego i hyperbolicznego nie znajdzie się naszczęście w poemacie. Dość powiedzieć, że wszystkie rzeki, ile ich było na świecie, począwszy od Tygru i Eufratu, które raju wypływały, a skończywszy na Wiśle, ani Xant, ani Simois, ani Nil, ani Rzymski Tyber, ani Ren, ani unaj, ani złotonośny Tagus, ani Elba, w którą Chrory bił żelazne słupy, nie mają tej na świecie chwały

i zasługi, co herbowna panów Lipskich Śreniawa — może to grzeczne pochlebstwo dla Lubomirskich, których autor jest wielbicielem i zwolennikiem gorącym, może ukryte pochlebstwo dla samego siebie, ale w każdym razie bardzo niesmaczne.

Za tą pierwszą idzie druga, o wiele jeszcze nieznośniejsza dedykacya, w której proza miesza się z wierszem, łacina z polszczyzną, dysertacye o pożytku z wiersza i przycinki do złośliwego Zoila z wykładem historyi polskiej i prawa publicznego, a wszystko przetykane i przesypane szumnemi pochwałami wszystkich Lipskich na świecie, a w szczególności Jana. Zaczyna autor od tego, że Zoil zapewne szarpać go nie omieszka, ale na obronę swoją przytacza (złą racyę), że ganić się nie godzi temu, kto sam lepiej zrobić nie umie i przykład Apellesa z szewcem. Potem dowodzi, że na chwałę ojczyzny i naukę potomnych opisał dzieje sławnej wyprawy i wielkich czynów rycerskich, a to, żeby od dzisiejszych wygód i zbytków odstawszy, uczyli się żyć wzorem wielkich przodków. Rozprawia dalej, że coraz nam zawsze więcej złego przybywało z królami cudzoziemskimi: Ludwikiem, Henrykiem, Zygmuntem III (którego, jak i synów, szczególnie nie lubi i zaczepia), nawet ze Stefanem; a kończy szczęśliwą i trafną wróżbą, że teraz, kiedy mamy króla Piasta, syna takiego ojca, króla, którego imię Michaël, anagramem przewrócone znaczy *Jam Lech*, teraz dopiero możemy dobrze tuszyć o Rzpltej. Historya i pochwały domu Lipskich na kilku kartkach wierszem, kończą nareszcie przedmowę.

Poemat sam (w dziesięciu pieśniach czyli częściach) zaczyna się jak wszystkie epopeje od inwokacyi, której nie zbywa na pewnem uroczystem zacięciu. Poeta prosi Boga, który sam zniżył pychę Osmana, żeby jemu dopomógł do opisania tego tryumfu i bije się w piersi, wyznając, że nasze to grzechy i zbytki sprowadziły tę klęskę turecką. Są tu niektór

wyrażenia tak energiczne, że aż trywialne, ale ta naiwna szorskość jest najmniejszem złem i wstęp wygląda jeszcze wcale nieźle.

Gdybyż był na tem przestał, albo o tych grzechach kilka wierszy dodawszy, przeszedł do swego przedmiotu! Na nieszczęście, jak wpadł na ten trop, tak za nim poszedł bez upamiętania, zapomniał o wojnie chocimskiej, żeby w kaznodziejskim zapale gromić wszystkie domowe i publiczne grzechy współczesnej Polski. I gdyby tylko Polski: ale z tego, że dziś źle, łatwe przejście myśli do czasów, kiedy było dobrze; a było kiedyś, był wiek złoty, zanim Jowisz odebrał Saturnowi rządy świata. Nie zaszkodzi też pokazać się zręcznie i z erudycyą, niech czytelnik wie, żeśmy niedarmo na ławach szkolnych siadywali, Ovidiusza czytali i nie zapomnieli. Mamy więc kazanie o złotym wieku, o tem jak rodzaj ludzki im dalej, tem psuł się gorzej, i o tem, że Turkom i poganom łatwiejby to można wybaczyć, ale nam ochrzczonym i krwią Chrystusa odkupionym, grzech i wstyd wielki nie żyć tak, jak wierzymy. Nie żeby w tem kazaniu nie było myśli pięknych i dobrze wyrażonych, ale przeczytawszy kilka kartek, pytamy przecież zniecierpliwieni, gdzie tu wojna chocimska? a do niej jeszcze nie blizko — autor zawsze jeszcze goni za swoim tropem. Opowiada jak za nasze grzechy srogi Turczyn przebył morze, w tem samem miejscu, gdzie Jowisz przepływał z Europą na byczym grzbiecie (cała ta historya choć krótko, ale przecież dla pamięci zanotowana), jak odtąd pustoszy, łupi, ludzi zabiera w jasyr, gwałci kobiety, dzieci chowa w swojej bisurmańskiej wierze; zdaje się, że wracamy przecie do założenia, do naszych grzechów i nieprawości i że, obiegłszy koło szerokie, staniemy wreszcie, że się poemat zacznie. Autor sam zdaje się hamować w zapędzie:

Ale mnie (mówi) cóż po tem brać prowincyę cudzą,
Są ambony, niechże was kaznodzieje budzą.

Więc już raz przecie przystąpi do rzeczy? Gdzie tam: tylko co się opamiętał i zdał kazania na kaznodziejów, zaczyna na nowo. Samsonowi rozkosze odjęły się, Herkules zleniwiał u nóg Omfali, Achiles przebrał się w kobiece suknie, Hannibal w Kapuy zgubił Kartagę, kiedy mógł Rzym zgubić, podobne powody i u nas podobne wydadzą skutki. Nowa dygresya, nowe kazanie.

Ale gdzież mnie to pióro rozpędzone zniosło....

woła znowu wrócony do przytomności autor. No przecie? Tym razem może już zacznie naprawdę? Zabiera się wprawdzie do tego, ale tak nagle nie można; trzeba przecież wytłómaczyć się, że się słabemi siłami zerwało na tak wielkie przedsięwzięcie, ugłaskać Zoila, dodać sobie odwagi wspomnieniem, że ta złośliwa poczwara i największym nie daje pokoju, pocieszyć się tem, że może być bezpiecznym i nie zbłądzić, kto idzie pod zasłoną Janiny (tarczy herbowej Sobieskich), co ma znaczyć, że trzymając się wiernie Pamiętnika Jakóba Sobieskiego o wojnie chocimskiej, autor pomylić się nie może; nie godzi się wreszcie przy tej sposobności pominąć kasztelana krakowskiego i jego syna marszałka i hetmana, i starszego syna, co głowę za ojczyznę położył, trzeba koniecznie coś na ich pochwałę powiedzieć; jest więc znowu cały ustęp, czci ich poświęcony.

Słowem, ten autor, którego niektórzy chcą zrobić wielkim epikiem, wpada co chwila w gadulstwo. Kiedy mu się nasunie myśl jaka, jakkolwiek z przedmiotem jego związana, on za nią idzie coraz dalej i dalej aż do źródła, do dna, dopóki całej nie wyczerpie. A wtedy znajduje się znowu inna blizka tamtej pierwszej; on znowu za nią; być może, że, tak krążąc, mówi rzeczy dobre i że je dobrze mówi; ale mówi o wszystkiem i to dość rozwlekle, lecz nie o tem,

co do niego należy. To gadulstwo nie poezya, nie dzieło sztuki; i o tem to myśląc głównie, wspomnieliśmy na początku, że gdyby Potocki był miał więcej artystycznego zmysłu i wykształcenia, gdyby był patrzał na dobre wzory, jego poemat byłby może istotnie takim, za jaki go ogłoszono, ale tak jak jest, ma tylko piękne ustępy, a całość jest bardzo mierna.

Wada ta jego pokazuje się jeszcze wyraźniej, kiedy, wybrnąwszy nareszcie z kazań i ogólników, przystępuje, a raczej zbliża się do przedmiotu; bo zanim dojdzie do wojny chocimskiej, musi jeszcze opowiedzieć pokrótce wszystko, co ją poprzedziło i sprowadziło. Horacyuszowskie prawidło, żeby nie zaczynać opowiadania o wojnie trojańskiej od Łabędzia i Ledy, nigdy nie było tak srodze pogwałcone, jak w tym razie. Potocki opowiada, jak Turcy przyszli do Europy, jak zdobyli Konstantynopol, jakie były ich stosunki z Polską, spokojne i przyjazne za ostatnich Jagiellonów, bo choć nieraz zdarzyła się okazya do sąsiedzkich zatargów, mądrzy królowie umieli unikać wojny, wiedząc, że nic gorszego nad nieprzyjaznego sąsiada. Dobrze odpowiedział ów Floryan Szary Łokietkowi, że włócznia w ciele mniej boli, niż zły sąsiad; i stąd pochop do przypomnienia historyi owego Floryana i wszystkich jego potomków Zamoyskich!

Król Stefan także roztropnie Turkom dochował pokoju; ale kiedy Rosya coraz to Portę na Polskę podmawiała, kiedy Kożacy na własną rękę zaczepiali, a Tatarzy nam znowu nie dawali spokoju, musiał nareszcie z chmur nagromadzonych strzelić piorun za Zygmunta III. Więc znowu krótka historya Tatarów, Kozaków, Multan i Wołoszczyzny i ich stosunku do Polski i do Turcyi — Mohyła zrzucony z Hospodarstwa, usiłowania jego szwagrów (Potockiego i Koreckiego), żeby go przywrócić—wynikłe stąd pretensye Turków do Rzpltej—wojna już prawie gotowa, a odwrócona Żółkiewskiego traktatem w Buszy (wa-

runki wymienione tego traktatu), potem cała historya wojewody Gracyana, powtórna wyprawa Żółkiewskiego, jego rozpaczliwe położenie, odwrót taborem, i śmierć pod Cecorą (którą autor przypisuję głównie jego nieostrożności i uporowi), oto treść pierwszej pieśni czyli części, w której ładne są tylko wymienione wyżej ustępy, a zresztą nic. Nawet sama klęska cecorska, nie zdołała autora natchnąć i ożywić.

Dość, że w drugiej pieśni dopiero dochodzimy do początków wojny chocimskiej; tym razem już naprawdę. Jak u Krasickiege, tak i u Potockiego akcya poematu zaczyna się w Stambule, u młodego sułtana Osmana, który palony żądzą zdobyczy i chwały, odurzony pochlebstwem i potęgą i za niezwyciężonego się mający, chce rozpocząć swoje panowanie od podbicia Polski, za Polską pójdzie reszta Europy. Trzeba przyznać, że cała pycha i ambicya Osmana odmalowana jest u Potockiego dłużej, ale nie dobitniej, niż u Krasickiego dwoma wierszami

A dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka i pogroził światu.

Początek drugiej części jest bardzo słaby.

Ale kiedy się Osman tak sroży i wybiera na podbicie świata, staje przed nim stary Mufty, pierwszy z muzułmańskich duchownych, i odwodzi go od zamiaru perorą, która, gdyby krótsza trochę, byłaby istotnie piękna; jest prosta, surowa, poważna, a miejscami wymowna, stary Nestor przemawiał tonem podobnym. Dobra także, krótka, węzłowata, zarozumiała odpowiedź Osmana, zuchwałego młokosa, nie wątpiącego o niczem, a najmniej o sobie.

I znowu jak u Krasickiego przeskok z nad Bosforu nad Wisłę: król składa sejm na Polaki, sejm zaczynający się nabożeństwem, modlitwą istotnie piękną.

Rozpisują się wici na pospolite ruszenie, podatki, do mocarstw zagranicznych wysyłają się poselstwa

z prośbą o pomoc przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi chrześcijaństwa: a z tego wszystkiego nic. Zrobionego jest tyle na tym sejmie, że Chodkiewicz, a pod nim Lubomirski, objąć mają dowództwo w przyszłej wojnie. Słowa, w których autor wyrzuca szlachcie jej obojętność i gnuśność, a panom zagranicznym opuszczenie Polski w tak złym razie i we wspólnem niebezpieczeństwie są bardzo energiczne, słuszne i wymowne. O obcych panach, nie bez żalu i goryczy, a najbardziej o Austryi, której nie cierpi, i sam przez się i przez niechęć do Zygmunta III.

Na tem kończy się pieśń z dodatkiem jeszcze, że było to już pod zimę, a ta wzmianka o zimie nasunęła autorowi wyrażenie szczęśliwe i obrazowe, jak u niego rzadko spotkać

Twardy mróz ujął ziemię, chociażbyś po bagnie
Karteony prowadził, pewnie się nie zagnie;
Kryształowym wątpliwe brody spiął pokostem
I bystre rzeki szklanym poujmował mostem.

U niego, który się w opisy nie bawi, a o malowniczość wyrażeń nie dba, należą te ostatnie dwa wiersze do szczęśliwych wyjątków.

W trzeciej pieśni Chodkiewicz z wojskiem już nad Dniestrem, wyglądając nadejścia Turków z jednej strony, królewicza z posiłkami, a potem króla z pospolitem ruszeniem z drugiej strony, zbywa niczem pozorne układy i myli przeszpiegi Wewelego, a sam rozmyśla nad planem kampanii i postanawia przeprawić się za Dniestr i tam w silnej pozycyi czekać. Buduje się most na rzece, a ta budowa daje poecie pochop do nowej (i nawet bardzo ładnej, gdyby nie była tak długa) dygresyi. Dość piękne także opisanie Chodkiewicza i Lubomirskiego, kontrast wojownika starego z młodym, i modlitwa. Poselstwo do królewicza, żeby się śpieszył z posiłkami, który tymczasem chory leży we Lwowie, zawód i smutek w obo-

zie z tego powodu i zbliżanie się wojsk tureckich uzupełniają treść tej pieśni.

Od czwartej począwszy, następują po sobie potyczki i bitwy, mniejsze, większe, łatwiejsze lub trudniejsze do wygrania, może bardzo do opisania sposobne — wszak „Iliada” jest tylko szeregiem potyczek i pojedynków—ale że nie przez Homera opisane, wszystkie do siebie podobne, więc sprawiają wrażenie jakiejś jednostajności dość nużącej, a jedna z drugą się miesza i zaciera w pamięci. Przed każdą prawie wódz odprawia modlitwy, albo zagrzewa wojsko przemową, nieraz wcale piękną.

Do lepszych miejsc należy wyliczenie wojsk tureckich (w trzeciej pieśni), coś nakształt katalogu okrętów z „Iliady,” z zabawnym ustępem o kapeli.

Zresztą dobrych miejsc jest wiele, są narady w obozie polskim, są powroty posłów, wysyłanych do Lwowa, żeby króla naglili do przyjazdu i ich relacye dość gorzkie o bezczynności i polowaniach, jest mnóstwo utarczek, są dość szczęśliwe urągania Osmanowi (dalekie przecież od świetnego kazania Birkowskiego), w siódmej pieśni (po bitwie z Karakaszem). Można powiedzieć, że wszystko jest przyzwoite, świetnego niema nic. Co do akcyi, ta prowadzona jest ściśle historycznie według Jakóba Sobieskiego, bez dodatków, bez opuszczeń, bez zmian jakichkolwiek, wszystko opowiedziane tak i w tym porządku jak było, od chwili pierwszych utarczek; potem przybycie królewicza i jego choroba, oczekiwanie króla z pospolitem ruszeniem, od czasu do czasu zniechęcenie w obozie, obawa niedostatku i głodu, wahania i narady, czy uderzyć na Turków walną bitwą, czy ich czekaniem znużyć. Wszystkie potyczki, choroba starego hetmana i jego śmierć, dowództwo Lubomirskiego, wreszcie układy o pokój, jego warunki szczegółowo wypisane, komisarze polscy (Sobieski i Żórawiński) w obozie tureckim i ich audyencya u Osmana, wszystko to jest, wszystko dobrze,

porządnie, przyzwoicie, ale zapisane raczej, niż opisane, historycznie nie poetycznie traktowane. Ciekawe są na końcu apostrofy bardzo uszczypliwe do Zygmunta III i Władysława, a zwłaszcza wróżby świetne królowi Michałowi. Niechęć charakterystyczna, a wróżba niesprawiedliwa wcale; Zygmunt, jaki był, nie oddał Turkom Kamieńca, a druga wojna chocimska go nie odebrała; a choć istotnie potędze tureckiej nogi podcięła, to nie króla Michała chwałą okryła.

Zakończenie w pobożnym tonie wcale niezłe. Wszystko razem wziąwszy, jest to dzieło człowieka zdolnego, któremu nie zbywało ani na talencie, ani na energii w duszy, ani na wyniosłem sercu, i który przeto napisał poemat, jak na samorodnie i instynktem pisany, zadziwiająco dobry. Ale dobry tylko względnie: bo że temu autorowi zbywało na wyobraźni, i (pomimo całej jego erudycyi) na artystycznem wykształceniu i zmyśle, wiec jego poemat, choć sympatyczny przez pięknego rycerskiego polskiego ducha, choć dowodzący zdolności autora nie jednym pięknym ustępem, jest bardzo niedoskonały; jest zaledwo niewykształconym projektem na poemat. Talent zaś autora, choć prawdziwy, nie był tak wielki, żeby uderzającą pięknością szczegółów mógł był nagrodzić i naprawić wady całości.

Względnie, zważywszy autora i zważywszy czas, „Wojna Chocimska" jest dziełem bardzo dobrem, najlepszem, z tej epoki: sympatycznem jest zawsze. Ale nie jest poematem bohaterskim, za jaki ją ogłoszono, tem mniej arcydziełem; jest tylko historyą, wierszem napisaną przez człowieka, który miał poetyczny talent, dużo uczucia, a w stylu powagę i jędrność.

ROZDZIAŁ V.

(1674—1699).

I. Kochowskiego *Niepróżnujące Próżnowanie.* Wymowa. Jej teorya. *Vir Consilii* Fredry. Wymowa kościelna. Młodzianowski. Kochowskiego wiersze religijne. Stan. Herakliusz Lubomirski. Poezye. *Rozmowy Artaxesa z Ewandrem.* II. *Klimaktery* Kochowskiego. *Commentarius* wyprawy wiedeńskiej. *Dzieło Boskie. Psalmodya.* Fragmenty Fredry. Rudawski. Zawadzki *Historia Arcana.* III. Wacław Potocki. *Pełna. Poczet Herbów. Argenida. Syloret. Nowy Zaciąg. Jovialitates. Peryody.* Stanisław Morsztyn. Tłómaczenia Chrościńskiego. Zawadzkiego *Speculum. Recepta.* Stan. Herakliusz Lubomirski *de Vanitate Consiliorum.* Literatura dotąd nie odkryta. Jej prawdopodobna wartość. Ogólny sąd o tym okresie.

I.

Wstąpił na tron Jan III. Powitany był naturalnie wierszami pochwalnymi; pisał je Wacław Potocki, pisał Herakliusz Lubomirski. Czy ten ostatni szczerze? Późniejsze jego postępowanie względem króla kazałoby raczej niedowierzać tym oświadczeniom. Ale nie u samego Potockiego znajdzie się gorący, sympatyczny wyraz zapału i podziwienia dla chocimskiego zwycięzcy, dla elekta, który nie na koronacyę pojechał, ale na Tatarów. W roku 1774 wyszło Kochowskiego *Niepróżnujące Próżnowanie.*

Kto wie, czy z poetów XVII wieku nie najwięcej miał talentu i wdzięku ten, o którym długo mówiono i pisano mniej, niż o Potockim lub Morsztynie: Wespazyan Kochowski. Nie próbował on pisać wielkich poematów, bohaterskich czy romansowych; pisał same drobne wiersze, pobożne, patryotyczne lub okolicznościowe; miał talent skromny i do małych tylko rzeczy, ale na te małe talent jego wystarczał lepiej, zupełniej, niż talent Wacława Potockiego na epopeję, lub niż talent Morsztyna na takie same małe ulotne wierszyki. „To Pan zdaniem mojem, kto przestał na swojem;" w sztuce pisarskiej prawda to wielka i stwierdzona. Lepiej pozostać w niższej sferze, w mniejszym obrębie, a to, co się w nich robi, robić dobrze, zupełnie dobrze, a przynajmniej prawie zupełnie, niż nie przestając na mierze zdolności, jaką się ma, zrywać

się na rzeczy wielkie, a w tych wielkich czasem zdobywać się na piękny pomysł lub obraz, który w przestrzeni miernej całości, wygląda jak Wirgiliuszowe: *rari nantes in gurgite rasto.*

Pod względem harmonii i jednostajnej dobroci swoich poezyj, Kochowski stoi wyżej od wszystkich współczesnych, wyżej nawet od Morsztyna. Wszystko, co pisze, jest małe, ale u niego jednego w tych czasach wiersz dobrze zaczęty, kończy się tak samo. Są lepsze i gorsze naturalnie, ale nawet w słabszych jest ten przymiot mały, a ten wielki warunek piękności, — że nie trzeba strof lub wierszy brakować i przebierać. Nic smutniejszego, niż kiedy po ustępie ładnym, następuje drugi, który trzeba przeskoczyć, bo jest albo niedołężnie napisany, albo źle pomyślany, i dopiero gdzieś dalej szukać znowu, czy trzeci nie będzie znośniejszy. Tę nieprzyjemność ma się ze wszystkimi poetami tego wieku; nawet Morsztyn, który najlepiej z nich włada językiem, nawet Gawiński, który może ma wiersz najgładszy, często zgrzeszą wyrażeniem niewłaściwem, złym rymem, jakimś błędem, może drobnym, ale takim, który wrażenie psuje, nie daje czytać wiersza z przyjemnością. Kochowskiemu zdarza się to także, ale rzadziej; i nieraz przeczytawszy kilka kartek. kilka różnych jego wierszy, czytelnik spostrzega się ze zdziwieniem, że ani razu nie uczuł się nieprzyjemnie zrażonym. Ta harmonia w małych rozmiarach i formach, to jest główna cecha i główna zaleta jego zdolności i jego poezyi; i to jest przyczyną jego podobieństwa z większym od niego poetą, ale wielkim także w małych formach, z jedynym wielkim artystą naszej dawnej poezyi, z Kochanowskim. Ktoby chciał mistycznie upatrywać związek między nazwiskami ludzi, a ich naturą i losem, mógłby widzieć dziwne zrządzenie w tem podobieństwie nazwisk dwóch poetów, z których jeden jest jak jego nazwisko, zmniejszeniem, skróceniem drugiego.

Jeżeli jest zbliżenie między Starowolskim a Skargą, to między Kochowskim, a Kochanowskim jest większe. Żaden z naszych dawnych liryków, nie naśladuje Kochanowskiego tak mało, jak ten, a żaden go tak nie przypomina. Przypomina nie tem tylko, że pisze Pieśni, Fraszki, Psalmy, nawet Treny, ale tem że ma tę równość natchnienia (choć niższego), tę harmonię formy (choć nie tak pięknej), że na mniejszą skalę ma przymioty podobne i podobny rodzaj talentu. Żaden z bezpośrednich następców i ślepych naśladowców Kochanowskiego, żaden z tych poetów, którzy składają jakoby jego szkołę, ani żaden z późniejszych, choć talentem wyższych, nie staje tak blizko za Kochanowskim, jak ten mały Kochanowski XVII wieku, który jest aż do Krasickiego najmilszym u nas poetą lirycznym. (Szarzyński i Zimorowicz młodszy mieli zapewne więcej od Kochowskiego talentu, ale zostawili tak mało wierszy, że na tej podstawie śmiało ich sądzić nie można; o Szymonowiczu nie mówi się tutaj, ale tylko o poetach ściśle i czysto lirycznych). Po Kochanowskiego Fraszkach, najweselsze, najswobodniejsze, najudatniejsze formą, będą niezawodnie Fraszki Kochowskiego; jego Treny najbardziej rozrzewniające ze wszystkich, jakie po Kochanowskim były napisane (nie wyjmując Kniaźnina); jego pieśni wesołe mają więcej swobody i horacyuszowskiej gracyi, niż miłosne wiersze Morsztyna; poważne, mają naprawdę dużo uczucia i powagi. Słowem, gdzie popatrzeć, natchnienie u niego jest nie bardzo wysokie i silne zapewne, umiarkowane, trzymające się w średniej strefie, ale istotne, nie spadające, a przynajmniej spadające rzadko w strefy nizkie, i umiejące dobrać ton do rodzaju i do stopnia uczucia lub myśli, jakie poeta chciał w którym wierszu wyrazić.

Harmonia zaś, doskonałość, w pewnej niezbyt wysokiej sferze natchnień i w pewnych niezbyt wielkich rozmiarach pomysłów to sama treść i istota poezyi

Kochanowskiego. Oprócz tego zaś przymiotu, ma Kochowski więcej rzeczy z nim wspólnych. Natura ludzi musiała być podobną jak natura zdolności: ten sam cichy, pogodny, wiejski rodzaj życia, ten sam spokojny, łagodny charakter uczuć. Kochanowski wydaje się nietylko rzewniejszym, ale i głębszym w swoich czuciach; może dlatego, że był cięższej doświadczony, może tylko to, co czuł, lepiej umiał wyrazić; ale w każdym razie i przedmioty i rodzaj ich uczuć są podobne. Dom, rodzina, dzieci, bracia, przyjaciele, to ich szczęście; Rzplta, to ich obu troska; wieczność i Bóg, to myśl zawsze przytomna jednemu i drugiemu. Tylko z postępem czasu zmienił się charakter pobożności: Kochowski swojej daleko więcej folguje, nie wyraża jej z takim akcentem potężnym jak Kochanowski, pobożność jego ma mniej intensyi może, a więcej ekstensyi. Pisze on daleko więcej wierszy pobożnych, modlitw, nawet całe poematy pobożne, wdaje się bardziej w szczegóły, jego pobożność zwraca się do wielu świętych, chwali lub błaga Matkę Boską w różnych cudownych obrazach, — religijność Kochanowskiego przybrała kolor XVII wieku: ale nieraz odezwie się w Kochowskim takim tonem, który przypomina nieporównany Psałterz. Podobnie się ma rzecz, kiedy mówią o Polsce. Kochowski, choć tak w okropnych czasach żyjący, nie napisał nigdy nic takiego, jak Kochanowskiego pieśń po utracie Smoleńska; ale z tym wyjątkiem poezya patryotyczna dawnych wieków nie wydała nic tak dobrego, jak niektóre jego wiersze, a sposób pojmowania rzeczy i ton, którym mówią, są u obu podobne.

W swoich uczuciach i stosunkach miłosnych, Kochanowski był za młodu swobodniejszy, w żartach i w późniejszym wieku śmielszy. Kochowski jest bardzo skromny i w uczuciach i w słowach; żart tłusty jeszcze mu się czasem wymknie, ale wiersz czuły, a niezupełnie moralny, ale jakieś niepozwolone żąda-

nie, lub nawet marzenie, to rzecz u niego niezmiernie rzadka. Czy to natura, czy wychowanie, czy pobożność skrupulatniejsza, dość, że jest bardziej od tamtego ujęty pod tym względem w karby od samej młodości. Wykształcenia, naukowego czy artystycznego, ma mniej, niż tamten, który należał niewątpliwie do ludzi bardzo oświeconych w Europie. Kochowskiego nie możnaby tak równać pod tym względem z Fenelonem lub z Racinem (o Pascalu i Leibnitzu już nie mówiąc), jak można Kochanowskiego równać z Tassem i Ronsardem; ale to nie jego wina, nie skutek jego osobistości, to wpływ powszechnego obniżenia umysłowości polskiej w tej epoce. Lecz jaka różnica z porównania ich poezyi przynajmniej zdaje się wynikać niewątpliwie, to ta, że Kochowski, nie mówiąc już o mniejszym talencie poetycznym, nie miał tej inteligencyi bystrej a subtelnej, która jest wyraźną i bardzo piękną cechą Kochanowskiego. Wprawdzie przychodzi mu na ratunek jego historya, najlepsza jaka w jego czasie była w Polsce napisana; możnaby więc powiedzieć, że to rozum nie tak świetny może, ale głębszy, poważniejszy, do cięższych i większych rzeczy skierowany. Że poważny, nie godzi się przeczyć, ani że pożyteczny; ale przypuszczać można, że gdyby tamten pisał historyę swoich czasów, byłby głębiej a mądrzej na rzeczy patrzał i lepiej je sądził.

Jako wierny reprezentant swego czasu, jest ciekawy i sympatyczny. Typowa to szlachecka polska natura. Poczciwy bardzo, czuły, serdeczny, dobry przyjaciel i towarzysz, sam wesół i lubiący wesołość, bardzo pobożny, a pobożny na ten sposób późniejszy, nieco klasztorny, przywiązany czule do pewnych świąt, nabożeństw, odpustów i miejsc cudownych; ma w swojej pobożności ten rys, który nasza nowsza staro-szlachecka poezya, powieść, czy gawęda od Henryka Rzewuskiego począwszy, nadaje zawsze szlachcicowi z tego i następnego wieku: nabożeństwo do Najświętszej

Panny. Można za niego ręczyć, że należał do wszystkich Jej bractw, a godzinki i różaniec odmawiał skrupulatnie. Jest w tem nabożeństwie i wpływ jego spowiednika, Jezuity lub Bernardyna z najbliższego klasztoru, który w nim te uczucia rozwijał; ale jest i to dziwne uczucie wdzięczności i ufności, z jaką Polska ówczesna patrzała na swoją niebieską Królowę, której przypisywała swoją obronę od nieprzyjaciół. Nie raz i nie sto razy znajdzie się u Kochowskiego dowód na to piękne ówczesne pojęcie stosunku między Niebem a ziemią: „Matce Boskiej należy się od nas cześć i wdzięczność, ale nam należy się od niej opieka."

Miłość ojczyzny ma gorącą, a poniekąd ma i trafne rozumienie jej potrzeb; ale przystępny wrażeniom, działającym na jego patryotyzm, mniej jest zdolny sądzić trzeźwo, co dla tej ojczyzny jest złe a co dobre. Wstyd ucieczki pilawieckiej, lub chwałę i radość z wyprawy wiedeńskiej, to i pojmie i podzieli zupełnie; w trudniejszych sprawach rządu i wewnętrznego stanu Rzpltej nie trzeba jego zdania zasięgać. Czy dlatego, że ma złe zdanie? Nie! ono czasem bywa dobre i nie chwieje się nawet; gdzie rozsądek sam wystarcza, tam Kochowski wyrobi sobie sąd trafny. Naprzykład na zrywanie sejmów i na *Veto*, powstaje przy każdej sposobności i przez całe życie. Ale wiedzieć, czego potrzeba, żeby to złe usunąć, ale poznać, że ono nie da się usunąć samo, lecz tylko z całym systemem politycznym, którego jest kwiatem, to już przechodzi jego siły. Bezradnie, z załamanemi rękoma, narzeka gorzko na zrywane sejmy, które wiodą Rzpltę do zguby, ale konkluzyi ze swoich narzekań wyciągnąć ani chce, ani umie. Nie jest to więc zdanie fałszywe i złe—jest brak zdania, widoczny, w jego poezych jak w jego historyi, jak w całej tej masie narodu, do której należał i którą reprezentuje. Nieprzyjaciel zrywanych sejmów, jest zarazem najgorliwszym stronnikiem rokoszu, przynajmniej rokoszanina Lubomirskiego. Jak

to pogodzić? Wszak rokosz i wojna domowa, nie lepsze od zrywania sejmów, i kto jedno uważa za występek, powinienby równie surowo potępiać i drugie? Nie trzeba godzić: a wtedy Kochowski w całym blasku niekonsekwencyi okaże się typem ówczesnej opinii. Pomiędzy niebezpieczeństwem ojczyzny, które widzi i czuje, a złotą wolnością, której tknąć nie chce, on stoi bez zdania i bez rady; chcąc dojść do rady i zdania, musiałby przedewszystkiem uznać, że z jednego lub z drugiego trzeba coś poświęcić, bo jedno drugiemu szkodzi. Ale na takie przyznanie zdobyć się nie ma ani odwagi, ani może zdolności. Ojczyzna miła, a zrywanie sejmów złe; ale miła i wolność, a *Veto* to jej źrenica i tarcza. Rokosz Lubomirskiego to nie bunt i wojna domowa, to właśnie obrona wolności, a sam herszt to jej bohater i ofiara; bo wszak ratował tylko Rzpltą od zdradliwego wprowadzenia sukcesyi tronu, wszak był nieprawnie sądzony i skazany. Że jego bohater sam na tę sukcesyę się godził, że jej odstąpił, kiedy jemu ukazano nadzieję korony, o tem ani wie, ani się domyśla. Przeczytał manifest ukrzywdzonego pana marszałka tak naiwnie, tak łatwowiernie, jak dziś człowiek nieoświecony czyta gazety; wszystkiemu uwierzył, wszystko wziął dosłownie, zaląkł się o wolność, użalił się w swojem dobrem sercu nad pokrzywdzonym, a wreszcie odurzył się krzykiem powszechnym. Ta łatwowierność, to uleganie opinii, ten brak własnego zdania, to rzecz równie charakterystyczna, jak jego niekonsekwencya, w której— tę sprawiedliwość oddać mu trzeba —jest bardzo konsekwentny. To samo odurzenie ogólnym krzykiem tłómaczy i jego zapał dla króla Michała, a ten brak konsekwencyi pozwala zrozumieć, dlaczego Lubomirszczyk zacięty ma wiele respektu, nawet przywiązania dla Jana Kazimierza, dlaczego gorliwy stronnik Michała i Austryi, a przeciwnik francuskiej polityki, jest stałym wielbicielem Sobieskiego. Jakaś czułość i mięk-

kość serca, jakieś powszechne „kochajmy się,” któreby chciało objąć w ramiona i przytulić do serca nawet takie rzeczy, które się razem objąć nie dadzą, które lubi się przeprosić, wyściskać, wypłakać, które każdemu przebaczy, nikogo na prawdę nie poprze, jest w naturze Kochowskiego, jest w jego poezyi, jest w jego historyi: jak jest w wielkiej liczbie natur polskich.

Ale złe w teraźniejszości i w działaniu, w przeszłości jako psychologiczny egzemplarz, jako typ do studyowania, usposobienie takie jest ciekawe przez swoje sprzeczności, a szanowne i sympatyczne przez swoją dobrą wiarę i poczciwość. Brak konsekwencyi zaś, brak zdania, logika w nielogiczności tylko, rzeczy nie do darowania u Fredry, który był i bystrzejszy daleko i bardziej wykształcony, a stanowiskiem swojem do ogniska spraw publicznych zbliżony, łatwiejsze są do wybaczenia Kochowskiemu, który miał inteligencyę słabszą i życie spędził między „stodołą i chatą” na wsi, między swojem gospodarstwem a ziemskim urzędem. Jego największy wdzięk i jeżeli nie największa wartość to największa ciekawość jego poezyi polega na tem, że jest poetą najbardziej w swoim czasie patryotycznym i historycznym. Od śmierci Władysława IV do wyprawy wiedeńskiej niema prawie znaczniejszego wypadku, któremuby jakiejś pieśni nie poświęcił; smuci się lub raduje, wstydzi lub tryumfuje, ale akompaniuje wiernie na swojej lutni silniejszemu głosowi historyi; a ten akompaniament — i to w nim właśnie jest miłe i piękne — jest prawie zawsze żywy, nigdy fałszywy. Sądzi nieraz źle, ale czuje dobrze, i patryotyzm ówczesnej Polski daje poznać ze strony bardzo ładnej. Jest to, jeżeli się tak wyrazić można, patryotyzm przedewszystkiem wojskowy, rycerski, który nic tak żywo do serca nie weźmie, jak los polskiego oręża, tryumf ze zwycięstwa lub smutek z przegranej. Ale umie czuć silnie, jędrnie, po męsku, a niekiedy uderzy nawet w ten ton głęboki, uroczysty

w swojej prostocie, psalmowy, który w XIX wieku stał się ulubionym stylem religijno-patryotycznej literatury, ton i tok „Ksiąg Pielgrzymstwa" i „Anhellego."

Co do formy, jeżeli nie przewyższa współczesnych poetów, to nie ustępuje z pewnością żadnemu. Prawda, że łatwiej napisać mały wiersz, niż wielki poemat; ale też nie zdarza mu się być tak ciężkim i zaniedbanym, jak bywa Wacław Potocki w *Wojnie Chocimskiej*, a zbytecznie mówić, że nie popełnia nigdy tak barbarzyńskich wierszy lub konceptów, jak tamten w *Nowym Zaciągu*. Wiersz ma nie tak może gładki jak Gawiński, ale jędrniejszy, a lepszy daleko od wiersza Zimorowicza Bartłomieja; lepszy i od wiersza Andrzeja Morsztyna, bo równiejszy i staranniejszy. Ma nawet pewną śmiałość, która dowodzi i zdolności, i wprawy w wierszowaniu i niepospolitego zamiłowania formy; oto próbuje najrozmaitszych miar i form wiersza. Naśladowca Horacego, chciałby w swoich pieśniach przyswoić poezyi polskiej wiersz alkaiczny, saficki lub inny. Nie są to zapewne dokładne miary; kto wie nawet, czy język dałby się do nich zupełnie nagiąć, a autor widocznie się o to nie ubiegał, skoro wiersz swój zawsze rymuje. Ale w liczbie zgłosek i wierszy, w spadkach, jest jakieś podobieństwo strof przynajmniej, jeżeli nie miar, do strof horacyańskich, a zbogacenie to poezyi nowymi rodzajami wiersza, tem bardziej trzeba policzyć Kochowskiemu za zasługę, że pisząc w każdym z tych rodzajów, językowi polskiemu umiał zachować swobodę i naturalność. Styl jego jest zawsze zgodny z przedmiotem, z rodzajem uczucia (nie będzie naprzykład, jak Potocki, mówił w sposób trywialny i gburowato dowcipny o Męce Pańskiej), Język nie z najpiękniejszych (a w prozie bardzo makaroniczny), w poezyi jest dość czysty i poprawny; nietylko od łaciny wolny, ale i zaledwie cokolwiek zeszpecony słowami, wziętemi z francuskie-

go, lub włoskiego (afekta, contentezze, delicye i t. p.), których Morsztyn naprzykład nie dość się wystrzega. Naciąganych konceptów bardzo mało. Mitologia jest naturalnie, i zjawia się czasem najniewłaściwiej, nawet w wierszach religijnych, w pieśniach pobożnych, które są wprost modlitwami, ale to samo może być dowodem, że zjawia się przez naiwność, nie zaś przez pedantyczną erudycyę. Zły smak najwidoczniejszy jest w tytułach; wszystkie prawie wyszukane i wymuszone, źle uprzedzają przeciw wierszom, które mają więcej prostoty, niżby się z tych szumnych a niesmacznych przepisów zdawało, i towar zwykle lepszy jest, niż przyczepiona na nim etykieta.

Niepróżnujące Próżnowanie! To brzmi pretensyonalnie, konceptowo, nieprzyjemnie; ale w księgach liryków, znajdzie się dużo ładnych rzeczy. Dlaczego to *Próżnowanie* albo *Liryki* podzielone jest na cztery księgi? Nie podług czasu, nie podług materyi, bo tak pod jednym jak pod drugim względem jest wielka we wszystkich księgach mieszanina. Ale najpewniej niema innego powodu tylko ten, że Ody Horacyusza dzielą się na cztery księgi, z dodatkiem jeszcze piątej księgi Epodon, a mówiąc o Kochowskim, trzeba zawsze pamiętać o Horacym. To na jego chlubę czy naganę powiedzieć należy, że Horacy stanowi wzór, którego on się trzyma stale, a nie można zaprzeczyć, że wzór dobrze obrany, że samo w nim upodobanie świadczy dobrze za Kochowskim i odróżnia go korzystnie od współczesnych, którzy także naśladowali, ale gorsze wzory. Zapewne wielka to zasługa odżywiać i odmładzać poezyę własną w poezyi żyjących narodów, ale trzeba jeszcze umieć dobrze wybrać to, co się chce naśladować. Poeta, który się kocha w Horacym, dowodzi więcej zmysłu artystycznego, aniżeli ten, który admiruje Lukana, pisze poematy rycerskie na wzór romansów panny Scudery, lub naśladuje mdły konwencyonalny rodzaj Mariniego.

Niepróżnujące Próżnwanie więc, czyli *Liryka Polska*, największe i najważniejsze z dzieł poetycznych Kochowskiego, nam dziś jest mało znane. Kto zna poetę tylko z tego zbyt często czytywanego wiersza o myśliwstwie, w którym myśliwi po polowaniu „tryumfują bardziéj, niż kiedy Rzym wzięli Longobardzi," ten zrażony rymem i konceptem, nabierze o poecie złego wyobrażenia, a wierząc, że to musi być jego wiersz najświetniejszy, skoro go tak cytują, powie sobie, że innych czytać nie warto. Tymczasem między tymi innymi, znajdują się daleko lepsze, trafiają się nawet zupełnie ładne. Niema takiego podziału mięąy księgami, żeby wszystkie wiersze podobnej treści mieściły się w jednej: polityczne razem, potem religijne, miłosne lub wesołe znowu osobno; przecież, choć są pomieszane, jest w nich pewny przypadkowy czy umyślny porządek. Pierwsza księga ze wszystkich najbardziej pomieszana, w drugiej najwięcej wierszy religijnych, w trzeciej pieśni świeckie, osobiste, w czwartej prawie same historyczne, równie jak w dodatkowej księdze Epodon.

Muza patryotyczna zrazu przedstawia się niezbyt korzystnie. Wiersze na śmierć Władysława IV, na klęskę korsuńską, są dość słabe; ale im dalej, tem wicej jakoś przybywa natchnienia i siły. Już wiersz o ucieczce pilawieckiej ma kilka strof ładnych. Myśl całego wiersza jest nieco oklepana; zbytek, zniewieściałość, zaniedbanie dawnych ćwiczeń rycerskich, są powodem dzisiejszej hańby. Słyszało się to samo już tyle razy, że choć słusznie niezaprzeczenie, musiałoby być bardzo pięknie powiedziane, żeby miało zrobić wrażenie, a tu powiedziane jest tylko przyzwoicie. Ale są ładne strofy, naprzykład ta na początku mądra uwaga, że nie tylko chwała, lecz „trzeba, by hańba też pamiętna była," albo te trzy strofy do Lechowego potomka, zaczynające się od wyrazów: „Takli lwa szabla stępiała" etc. Do takich pilawieckich bohaterów,

fanfaronów odwagi, rycerzy w pokoju, zwraca się autor w ironicznym wierszu: *Przy pełnych (kielichach) zwycięstwo.* Wiersz dobry, ożywiony słusznem oburzeniem, a trafny; bo nie po Pilawcach tylko, lecz i później można było widzieć takich „rycerzy żywych," rozprawiających przy stole o swoich wielkich czynach, których nigdy nie było. Do takich też należy, tylko lepszy, dowcipny i zgrabny wiersz *Burgrabiowie. Beresteckq Potrzebę Apollo śpiewa* nieszczególnie (dziwna rzecz, że bitwy przegrane bardziej nastrajają Kochowskiego na ton poetyczny, niż zwycięstwa) ale w *Przywitaniu Jana Kazimierza, wracającego po Beresteckiej Wiktoryi,* są znowu ładne miejsca, choć smutne wrażenie robi ta radość, która miała być tak nietrwałą. *Nagrobek Mężnym Żołnierzom na Batowskich polach zginionym,* choć *zginionym* poświęcony, jest i co do formy i co do treści lepszy, niżby z tego tytułu sądzić można. Ale nie same wojenne nieszczęścia wspomina Kochowskiego Muza; jest wiersz bardzo poczciwy, a miejscami nawet ładny i na *Zbytnią Wolność na Sejmie roku 1652.* Rytmem mało używanym, strofą, która widocznie stara się o miarę, oburza się poeta na tych, co w niebezpieczeństwie Rzpltej, dobijają ją swoją złością lub głupstwem. Ma chwilami zwroty wcale szczęśliwe i silne. Wreszcie, kiedy przyszło niebezpieczeństwo już prawie ostateczne, kiedy Szwed wylądował i zbliżał się ku Warszawie, Kochowski wtedy nie pisze już o własnych siłach, ale potrzebując wielkiej głębokości żalu i prośby wspiera się na Dawidzie, parafrazuje Psalm 81: *Deus, quis similis erit tibi?* a w zakończeniu zwłaszcza (pięć strof ostatnich) jest wcale energiczny. Ale od niebezpieczeństwa i klęski jest coś gorszego, to wstyd, a wstyd pilawieckiemu podobny musiał przeszyć prawe serce polskie, kiedy wojsko kwarciane przystało do Szweda. Kochowski pisze na to wiersz, którego początek przypomina Kochanowskiego na utratę Smoleńska; wiersz dość słaby, ale ciekawy przez to, że

wszystkie nieszczęścia Rzpltej przypisuje różności wiary: „heretyka pragną mieć panem heretycy.” Ale nie to tylko. Byliśmy mocni, póki była u nas święta wiara, i jedna; ale kiedy aryanie bluźnią Trójcy, kiedy nasze „konfederacye” (warszawska 1572) dają opiekę fałszywym wiarom, Bóg się od nas odwrócił i łaska Jego, a z nią pomyśność Rzpltej nie wróci, aż ta różność wiary będzie „precz wyplewniona.” Czytając ten wiersz, widzi się prawie, jak w opinii ówczesnej rodzi się myśl wypędzenia aryan, jako zadośćuczynienie, jako sposób przebłagania Boga.

Wiersze do różnych przyjaciół, wybierających się na wojnę, wspomnienia poległym, między temi jedno (słabe) o Jeremim Wiśniowieckim; kilka parafraz z Horacego (np. *Beatus ille*); apologia Kochanowskiego, którego oczerniono, jakoby był miał pociąg do luterskiej wiary; parę żartobliwych niezupełnie budujących wierszy (ale i nie bardzo udatnych) do jakiejś osierociałej Klelii i do jakiegoś grzecznego Peregrynanta—oto co się mieści w pierwszej księdze Liryków—z dodatkiem bardzo znanego, a nie bardzo ładnego, „Myśliwstwa” i daleko od niego lepszej *Wiosny.* Ta *Wiosna* jest istotnie ładna; ma dużo swobody i wdzięku, ma na początku wcale dobry ustęp o wiośnie samej, a w zakończeniu zręczne i delikatne, wcale horacyańskie przystosowanie na temat sławnego: *Carpe diem.*

Druga księga, obejmująca same prawie wiersze pobożne, przypisana jest Matce Boskiej, dedykacyą naiwną, poufałą, pokorną, może nie bardzo piękną, ale niepospolicie oryginalną. Myśl to rzadka, naprzykład, a sympatyczna, ofiarować swoje wiersze Najśw. Pannie przez wdzięczność za to, że za jej przyczyną autor z nieuka stał się piśmiennym człowiekiem. Odzywa się, jak wdzięczny uczeń do nauczyciela:

Bo któż był większym nademnie nieukiem? etc.

Następują potem przeróżne wiersze i modlitwy: do Matki Boskiej w różnych cudownych obrazach, do różnych świętych (między tymi kilka ładnych wierszy w pieśni o Św. Józefie), są Psalmy pokutne (parafraza), jest historya Zuzanny, dość słaba, ale są i ładne: naprzykład wiersz na temat kościelnej modlitwy *Monstra te esse Matrem*, zastosowany do ucisków ojczyzny. W tym samym rodzaju, tylko piękniejsza, *Trenodia Jeremiasza Proroka nad zburzonem Jeruzalem.* Ta wieczna analogia, która od Skargi ciągnie się aż do Mickiewicza i Krasińskiego, odzywa się nieraz u Kochowskiego; a zaprzeczyć trudno, że za jego czasów, za Jana Kazimierza, przystosowanie było trafne. Wiersz do Świętego Krzyża na Łysej górze, ładny; zwłaszcza jego koniec. Inne do płaczących cudownych obrazów i t. p. ciekawe tylko, jako charakteryzujące rodzaj pobożności ówczesnej.

Światowych tylko kilka, a i te poważne, odnoszące się do rzeczy publicznych, jak *Nowy Atylla* na wtargnięcie Rakoczego, niezłe; lub *Na pokój w Oliwie.* Ciekawe i zabawne przez swoją zawziętość jest *Bando na Aryany z Korony Polskiej wywołane.*

W tej księdze Liryków są treny już wyżej wspomniane.

Boże broń, by pienie
Stron moich mało komu przynieść pogorszenie i t. d.

Tak w wierszu *do Muz* opisuje poeta swoje lżejsze, wesołe, lub romansowe natchnienia. I istotnie rzadko który jest tak skromnym w mowie, tak przykładnym w uczuciach. Jego kochanki (lub może jedna kochanka, pod różnemi imionami chwalona) to zawsze ładne panienki, na których piękność nie jest wprawdzie nieczuły, ale których miły układ, dobre wychowanie i zalety wszelkiego rodzaju bardziej, niż wdzięki same, zniewoliły jego serce; jego Kupido celuje swemi strzałami prosto do ołtarza. Raz tylko,

kiedy z Maryną grał w zielone i wygrał, zdaje się, że miał jeden z tych pomysłów zdradzieckich, w które głowa Kochanowskiego tak była płodną za młodu; a i wtedy nawet kto wie, czy ten „fawor," o którym z przyjemnością wspomina, nie był niewinniejszym, niż się zdaje. W innym znowu wierszu „wierny sługa bez płacy i datku" zdaje się, że znienacka zaszedł uśpioną jakąś Zosię, która mu się bardzo podobała, ale gdy Zosia przebudzona zaczęła go prosić, wierny a bardzo poczciwy sługa wyrzekł się swojej nagrody i odszedł z kwitkiem. Większość tych wierszy miłosnych, w których mówi o sobie, ma zawsze cel uczciwy i obyczajny; autor kocha się w pannach, a marzy o Sakramencie. Raz się skarży, że go nie chcą za zięcia, a pociesza tem, że „śmierć i żona od Boga przeznaczona," i nie będzie ta, będzie druga („Melancholia"), — widać nie bardzo był zakochany—Drugi raz, w „Suplice do Imć panny N. N. N." dziwi się sam sobie, że on, co bił Tatarów, teraz potulnie daje sobą wodzić jednemu dziewczęciu, a przysięga, że nie sama znikoma piękność, ale wielkie cnoty Maryny, którą wcale ładnie opisuje (dwie strofy ostatnie) zniewoliły jego serce. Słowem, nie Don Juan ani Lovelas, ale poczciwy szczery chłopak, który się kocha w Marynie lub Halce, tak jak Pan Tadeusz w Zosi, a ta, która za niego pójdzie, będzie szczęśliwa do śmierci.

Ale nie trzeba znowu mieć go za świętego, za anioła, tem mniej za anachoretę z zasady lub za „hypokrytę smutnego." I Pan Tadeusz zachodził do Świątyni Dumania, gdy się sposobność zdarzyła: on także lubi wesołe życie, kielich Bachusa w dobrem towarzystwie, żart wesoły, lub nawet rozpustny, a jego opowiadania o grze w zielone, o swojej przygodzie z Zosią, lub wierszyk „Znikoma uciecha snu błogiego" dowodzą, że lubiłby i mrówki zbierać, jak tamten. W tym samym wierszu *Za Muzami do Skrupulatów* mówi, że nie grzech ani śmiertelna wada zagrać o rzeź-

kim Kupidzie kuranty, i wykłada całą teoryę swojej nauki moralnej, w której wesołości i ochoty jest dużo, ale zepsucia niema wcale. Pisze więc różne wierszyki ną cześć Bachusa, niektóre nie bez ironicznego zakroju (np. Do „Bachusa od dobrej kompanii krótka przemowa"), inne bez ironii wprost ochocze, jak naprzykład „Bankiet pana Andrzeja Szemetta." Bywa i rozpustny, ale kiedy mówi nie o sobie, tylko o innych; naprzykład, kiedy się śmieje ze starego bogacza, pojmującego młodą żonę, albo kiedy się użala nad losem przyjaciela, który w służbie złej Afrodyty utracił zdrowie, albo kiedy przymawia wdowom niecierpliwym wydać się za mąż powtórnie. Jeden z takich wierszy *Rozhowor*, jest nawet mocno niemoralny. Ochmistrzyni namawia młodą wdowę, żeby czemprędzej szukała drugiego męża; jakoż znajduje się, jeszcze przed pogrzebem pierwszego. Ale niestety! piękny z twarzy nie przyniósł biednej nic prócz zawodów, a wtedy ochmistrzyni przypomina, że nie on jeden na świecie, i za wzór do naśladowania stawia jej Messalinę! Cały wiersz jest oczywiście ironiczny, a miejscami wcale zabawny. Czasem bywa poeta bardzo niegrzeczny, nawet grubijański, naprzykład kiedy do jakiejś nieszczęśliwej damy, pisze następujący madrygał:

Twoja li to twarz? czyli kobyla?
Niech mnie uroda ta nie omyla.
Tważ to postawa? twojeż to lice?
Czy w dziesięć lat młodej źrebice? i t. d.

Miłosne wiersze, lekkie i poważne, ale zawsze (nawet kiedy poważne) nie bardzo czułe, składają trzecią księgę Liryków. Oprócz tych jest kilka zaledwo odnoszących się do ważniejszych rzeczy, a i te w związku zawsze z Bachusem lub Wenerą, satyryczne wiersze na bielidła i stroje białogłowskie, albo na zbytnie i zbytkowe biesiady polskich Apicyuszów, na marnotrawstwo młodzi polskiej na bruku, zakończone poboż-

nem życzeniem, żeby na Akademii w Krakowie zaprowadzić katedrę oszczędności—to księga trzecia.

Czwarta opiewa same wypadki historyczne w następstwie czasu aż do koronacyi króla Michała. Z tych dwa najładniejsze wiersze są: *Proporzec nieumierającej chwały Stefana Czarneckiego* i *Napomnienie braterskie do wojsk obojga narodów w związku zostających*. Ten ostatni, wymierzony wprost do Borzęckiego, substytuta związkowego, ostro i dzielnie wstrząsa sumienie tych, co uspokojonej zaledwo i jeszcze nie zupełnie Rzpltej, przynoszą wojnę domową. Ten wstyd i to nieszczęście czuje żywo, a gromi energicznie Kochowski wymownemi słowami.

Wiersz na śmierć Czarnieckiego jest prostym, ale serdecznym wyrazem wdzięczności dla bohatera, z którym nikt podówczas nie mógł się równać zasługą. *Hejnał utrapionej Koronie Polskiej* jest wspomnieniem wszystkich razem jej nieszczęść, a zakończenie, wywołane najazdem tureckim, jest ładną modlitwą. Ale wśród samych tych ucisków, krzepi się niekiedy lepszą nadzieją. W tych zaś dobrych nadziejach utwierdza go fakt abdykacyi Jana Kazimierza i nowej elekcyi. Odjeżdżającego króla żegna wprawdzie *Żałosną Waletą*, ładnym wierszem, który ciekawy jest przez swoje uczucie. Jest tam żal po Janie Kazimierzu, potomku dawnych królów i doświadczonym w złych losach przyjacielu, żal, że ten stosunek, zaprzysiężony paktami, wzmocniony wspólnie znoszoną niedolą, tak się zrywa; ale jest większy żal jeszcze do króla, jest to uczucie jak gdyby on narodowi wyrządzał wstyd i krzywdę. Uczucie niesłuszne, bo rzadko który król tak miał prawo się zniechęcić, jak Jan Kazimierz; ale wiersz to jeden z ładniejszych Kochowskiego, a godzien pamięci choćby przez to, że jest jedynem podobno w poezyi wspomnieniem tego faktu. Ale zaledwo zapowiedziano sejm konwokacyjny, myśl poety zwróciła się żywo i ochoczo do przyszłości, a wier-

sze jego towarzyszą odtąd wiernie wszystkim po kolei chwilom bezkrólewia.

Zmęczony i znudzony jak wszyscy kandydaturami cudzoziemskiemi, z góry już wróży króla Piasta wierszem dość niesmacznym, w którym echo na końcu każdego wiersza odpowiada trafnie na stawiane co do przyszłej elekcyi pytania. Na konwokacye posyła wcale nie brzydki *Excytarz*, w którym opisuje, jakiego chce mieć króla. Na sejm elekcyjny pisze *Zgodę*, w której zaklina, żeby się strzedz zagranicznych, a spodziewa się, że cała sprawa skończy się radosnym okrzykiem: „Vivat król Polak!" A gdy się tak istotnie stało, radość i zapał jego nie zna miary. Król nowy jest jego (jak całej szlachty) ulubieńcem, nie ma dzieł wielkich, którychby się po nim nie spodziewał. Kiedy poselstwo polskie wyjeżdża po arcyksiężniczkę Eleonorę do Wiednia, Kochowski daje mu na drogę wiersz *Dziewosłąb Wiedeński* wcale zgrabny, *Hymen Jasnogórski* poleca króla i królowę opiecę Niebieskiej Królowej i prosi dla nich o „poczet spory synów ojcu podobnych." To wszystko nie pochlebstwa, to najszczersza myśl szlachcica, nie zupełnie wiedzącego, dlaczego się w tym swoim królu tak rozkochał. A rozkochał się tak stale, że nawet panowanie króla Michała z zaślepienia go nie wyleczyło, jak świadczy ostatnia piąta księga Liryków. Ta, czwarta, zawiera prócz wspomnianych jeden wiersz dość ładny do trybunału kor., jeden ciekawy, pełen wielkich pochwał do Andrz. Maks. Fredry, jeden *do Lutni*, naśladowanie Kochanowskiego pieśni: „Wsi spokojna..." Wierszyk wcale ładny. *Atheismus*, wyraz zgrozy i oburzenia na bezbożnych; kilka okolicznościowych wierszy pochwalnych; między tymi jeden dość szumny na cześć *Matki Mądrości Akademii Krakowskiej*; wreszcie *Odwód Muzy*, która przestraszona, że weszła w sfery wysokiej polityki, cofa się skromnie w swoją wiejską zagrodę (ładne i zabawne). Oto co jeszcze jest w księdze czwartej, z do-

datkiem jednego jeszcze, bardzo energicznego i pięknego wiersza politycznego *Przeklęctwo na synów koronnych sejmy zrywających.*

Niestety! wielki zapał dla króla Michała było niebawem ozem ostudzić, a z pięknych wróżb, dawanych mu przy koronacyi, nie sprawdziła się żadna. Konfederacya gołąbska i utrata Kamieńca, smutna to rzeczywistość po takich nadziejach. O pierwszej nie wspomina Kochowski w swoich Lirykach, ale za to wojna turecka powtarza się ciągle w księdze Epodon. Zaraz druga w niej pieśń *Facyał Wschodni* poświęcona jest wypowiedzeniu wojny. *Tarantatara* (dziwny tytuł, który naśladuje niby głos trąby, a znaczy pobudkę na wojnę) wzywa rycerstwo, żeby śpieszyło na odsiecz Kamieńcowi i jest prawie w całości bardzo ładna. Mniej wiersz na utratę Kamieńca, ale za tym następuje zaraz drugi: *Mały wielkiego zaciągu skutek pospolite ruszenie*, w którym autor dość wymownie się skarży, że już stroił lutnie na tryumfalne pieśni i zrywał laury dla zwycięzców, a teraz tej korony nie ma dać komu. Ale niebawem znalazł się taki, co na nią zasłużył. Przed wojną chocimską, pisze nasz poeta śliczną parafrazę Psalmu 79 (*Deus venerunt gentes*) i pieśń do Św. Stanisława Kostki, bardzo ciekawą. Mieszanina pobożnej ufności, poufałości z tym świętym, natarczywość, z jaką mu przypomina, że powinien pomagać swoim, z mitologicznemi reminiscencyami, doskonały wizerunek wieku, ale wizerunek sympatyczny swoją naiwnością i gorącym duchem.

Ziomku Polski, wychowańcze Sarmacyi naszej,
Którą Bellona straszy,
Perło Nieba i klejnocie, Kostko Bogu miły,
Widzisz pogańskie siły — i t. d.

Skarga *na zdradę narodów ukraińskich*, wspomnienie jakichś mniejszych utarczek z Tatarami, towarzyszą początkom tej wojny i doprowadzają nas aż do

chwili zamierzonych układów z Turkiem, którym się poeta mocno sprzeciwia ładnym, tęgim i rozumnym wierszem p. t. *Traktaty*. Jest i *Sąsiedzkie Quamquam* dla monarchów chrześcijańskich, opuszczających Polskę w potrzebie — pytające, gdzie ten czas, kiedy Zachód cały bił się za krzyż z Saracenami?

Są i dla swoich dobre wróżby; aż wreszcie przychodzi *Bogu Chwała po zniesieniu Hussein Baszy pod Chocimem*, a dalej wiersz na cześć i pamiątkę niektórym poległym. Trzeba przyznać, że od Kochowskiego możnaby więcej żądać i więcej wyglądać, że to piękne zwycięstwo powinno było lepiej go natchnąć; tymczasem niepokój i obawa przed bitwą wyraziły się w jego wierszach lepiej, niż radość i chwała. Jednak jest tu kilka pięknych ustępów.

Zaraz po bitwie chocimskiej następuje w Lirykach Kochowskiego jak w historyi, śmierć króla Michała. Ale pomimo całej swojej dla niego miłości, nie może poeta jakoś nic o nim pięknego i rozrzewniającego powiedzieć. Wyprowadza na plac wszystkie mitologiczne bóstwa i machiny. Melpomena płacze, Atropos i Libityna słuchają gorzkich wyrzutów, Febus i Aleksander Wielki służą do porównania, ale wszystko nic nie pomaga, i ostatecznie o Michale jest tylko tyle, że był królem, że był bogobojny i w życiu bez nagany, i że umarł w trzydziestym piątym roku życia. Dodatek: „Będziesz pomniała Polsko, coś za Pana miała," jest frazesem bez znaczenia. Jużciż, skoro był królem polskim, to trudno o nim zupełnie zapomnieć i historya musi zapamiętać, że był i jaki był. Zabawny jest wiersz, w którym poeta pociesza owdowiałą królowę, porównywa ją z Andromachą, z żoną Brutusa, i każe jej nie folgować zbytecznie żalowi i poddać się z rezygnacyą woli Boskiej, — kiedy ona nietylko nie myślała odbierać sobie życia, jak Porcya, ale z trudnością może zdobyła się na udawanie tyle żalu, ile koniecznie wymagała przyzwoitość. Eleonora

musiała uśmiechać się, jak augur, czytając ten wiersz, jeżeli go czytała.

Kiedy przychodzi elekcya Jana III, nasz poeta znowu i lepiej, niż pierwszym razem, zaleca Piasta. A potem całem sercem, całą duszą woła: Wiwat! nowemu królowi, w czem mu i po dwóch wiekach łatwo wtórować. Ale zaledwo się elekcya skończyła, król rycerski, zamiast na koronacyę, pojechał na wojnę. Że to musiało się podobać, że było się do czego zapalić, to pewna; to też, wracając z wojny, wita Kochowski wierszem bardzo gorącym, bardzo ładnym:

Nie buduj złotych wozów, nie zaciągaj słoni,
Nie sprzęgaj lwów, ni bystrych Faetona koni,
My cię na własne barki poddani weźmiemy,
My zwycięzcę na Wawel swego zaniesiemy...
O, jakież tam życzliwe odezwą się krzyki! — i t. d.

I na tem koniec Liryków. W konkluzyi winszuje sobie poeta, że co zaczął smutną śmiercią króla Władysława, to kończy wesoło tryumfami Jana, i żegna się wesoło z Muzami i z czytelnikami, przepraszając, że ręką, zmordowaną przy pługu, wziął się do pisania wierszy, ale cóż, kiedy się tak rozkochał „w tem śpiewaniu," że się nie mógł wstrzymać?

Jeden prócz wspomnianych wiersz godzien wzmianki w tej ostatniej księdze, to *Poetowie Polscy na Helikonie odmalowani*, którym cześć oddając, a szczęścia zazdroszcząc, poeta w końcu marzy dla siebie:

Gdzieżby to można, by mnie też Tyrona
Od ciebie doszła z wawrzynu korona?

Marzenie dość spełnione. Nie co do sławy może, bo jego wiersze mało są dziś znane, ale co do wartości i zasługi, bo jego *Niepróżnujące Próżnowanie*, najważniejsze z jego dzieł, daje mu prawo do drugiego zaraz miejsca w rzędzie dawnych liryków polskich.

Dwie księgi *Fraszek* (1674) są w swoim rodzaju także nie bez wdzięku, Mieści się w nich wszystko, co tylko da się wyrazić krótkim wierszykiem. Poważna myśl filozoficzna lub religijna, ujęta w krótki dogmatyczny aforyzm, obok grubego, nieraz wcale nieprzyzwoitego żartu, wiersz miłosny obok epigramu, anegdoty, dykteryjki, komplementy, wszystko: ale naturalnie humor i śmiech przeważa, jak poznać można choćby z samej przedmowy. O tej mieszaninie mówi sam autor w dość zgrabnym wierszyku „Czemu tak?" przestrzegając, żeby jej się nikt nie dziwił. O tem samem *Czytelnik autorowi* i *Refutacya.* Ma on w tych fraszkach wielkie zalety. Naprzód prostotę: nie sadzi się ani na koncept, ani na wyrażenie. Potem formę: to co chce, powie krótko, a zręcznie, myśl czy żart jest zawsze wyraźny, a wiersz dobrze obrócony sprawia, że efekt komiczny nie ginie i przychodzi w tem miejscu, gdzie się właśnie najlepiej wyda. Wreszcie ma dużo wesołości, umie pełno dykteryjek, a sam miewa czasem koncepty wcale zabawne. Czasem powie coś bardzo mądrego, naprzykład aforyzm *Dixit et facta sunt. Familia Pychy* także nie bez pewnej psychologicznej głębokości. Jest jeden wierszyk, który Stefan Garczyński żywcem, dosłownie włożył do swego Wacława (autora nie cytując *Pares ab Adam*). Czasem powie jakiś koncept, który tylko przez to jest śmieszny, że głupi, ale powie go zabawnie (*Tak ma być*).

Niektóre są ironiczne, z przystosowaniem do obyczajów wieku, naprzykład *Rozsądek Parysów, Do Muz*, i w takich nie zbywa mu na dowcipie. Ale najzabawniejszy bywa w epigramie, zwróconym do kogoś, np. *Łysy*, *Myśliwy*, albo *Panna Odrzywolska* (nie do zacytowania) *Klelia*, *Szeligowski.* Podobnież w anegdotach, które opowiada bardzo dobrze, krótko, a z humorem. Naprzykład *Lukrecya*, *Stridor dentium*, *Ambobus Paribus, Swiegotki*, zabawny także *Sekret, Gadulski, O winie, Pysznemu.*

Przerzuciwszy wszystkie fraszki, ile ich było, od Reya aż do *Jovialitates* Wacława Potockiego, nie znajdzie się żadnych, które mogłyby równać się z temi, a od Kochanowskiego aż do Krasickiego nikt może takich małych, wesołych wierszyków tak dobrze nie pisał.

Przy fraszkach wspomnieć trzeba *Postny Obiad*, mały zbiór wierszyków, Kochowskiemu przypisywany, drukowany w roku 1653. Jest to także fraszka, napisana na pociechę i oszukanie niecierpliwości podczas czekania na obiad, jak mówi przedmowa, ale nie zabawna. Rodzaj spisu potraw postnych wierszem: wierszyki na różne polewki (po dzisiejszemu zupy), od migdałowej począwszy, potem na wszystkie ryby, potem na jarzyny, na wety, a wreszcie na gości do obiadu tego zaproszonych, na gościa z wielką głową naprzykład, albo z głową wygoloną, albo z wielkim nosem, albo z wielkim brzuchem, i podobnie, wszystko nie zabawne. Ale do tego obiadu dodany jest oryginalny tekst jednej pieśni każdemu znanej, bo dotąd jeszcze plącze się po świecie bodaj w urywkach i przerobieniach. Któż nie słyszał, kto nie umie na pamięć choćby jej dwóch pierwszych wierszy:

Siedzi sobie zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą!

Otóż ta pieśń myśliwska przechowana tu jest w całej swojej pierwotnej okazałości i w swojej niepospolitej długości, a okoliczność, że jest wydrukowana przy wierszach Kochowskiego, połączona z tą, że był zapalonym myśliwym, pozwala jego uważać za autora. Pieśń jest ładna: jest to historya polowania. Zrazu zdaje się, że zając wyjdzie cało, bo i ogary trop straciły, i charty nie doszły; ale w końcu ginie biedak, a konając, zostawia myśliwym swój testament. Nie jest to nic wielkiego, ale jest wesołe i żywe, nawet dość obrazowe, a zakończenie jest nawet moral-

ną nauką. Poczciwy zając, który w testamencie swoim narzeka smutno, że go prześladują, choć nikomu nic złego nie nie zrobił, umierając daje jeszcze myśliwym przyjacielską radę, żeby nie trzymali wielu psów i koni, bo im to myśliwstwo zniszczy dobytek.

Potem przez lat kilka nie wychodzi nic ważniejszego, ani nawet ciekawszego. Równie licznie tylko, albo i coraz liczniej kwitną różne panegiryczne mowy, duchowne i świeckie, a takie mają powodzenie, tak są widocznie pożądane i podziwiane, że mnożą się ich zbiory, żeby broń Boże która nie zaginęła, że ukazują się ich teorye; nauki, co trzeba robić, żeby pisać i mówić pięknie!

Panegiryczność, nieszczęsny zwyczaj, żeby nic nigdy nie powiedzieć po prostu, ale każdej myśli, każdemu zdaniu dać obrót jakiś nowy i nigdy przedtem nie widziany (a w tem właśnie widzieli oni doskonałość i samą istotę wymowy), pasya do szumnych okresów, do mów długich, i do mówienia przy każdej sposobności, wszystko to było już, i już zupełnie wyrobione za Zygmunta III, ale im dalej, tem bujniej to kwitnie i tem obfisze wydaje skutki. Mianowicie gadulstwo nieznośne, oracye nieskończenie długie, w których pan senator, poseł, czy ktokolwiek inny krąży około przedmiotu, obwija go w figury, porównania; retoryczne wstępy, mówi *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, i tak rzecz przysypie, przywali frazesami, że myśli dobrej, choć ona tam bywa nierzadko, wydobyć z pod nich trudno (dyskusye sejmowe, w ten sposób prowadzone, musiały być straszne!). Nawet ludzie rozumni, mówiący bardzo mądre rzeczy, są złymi mówcami. W sztuczności i napuszystości, w tem sadzeniu się na zwroty nowe i niespodziewane, zacierają się wszelkie cechy indywidualne człowieka i stylu: rozumnego od ograniczonego, wysoko wykształconego od ignoranta, szlachetnego od podstępnego, trudno rozpoznać, wszyscy mówią podobnie, wszyscy na jedno kopyto, i rzad-

ko tylko zdradzi się łotr niesłychaną już przesadą pochlebstwa lub pokory. Rzadko także chwila uroczysta lub szlachetne uczucie mówcy zdoła się przebić przez potworną formę i zrobić wrażenie na czytelniku. Król Jan Kazimierz mówi źle, a król Jan III jeszcze gorzej. I tak samo wszyscy najrozumniejsi ludzie tych czasów: Olszowski, Prażmowski, Załuski, Jerzy Lubomirski i jego syn Hieronim, wszyscy Leszczyńscy, hetman Jabłonowski — niektórzy wprawdzie rozumieli, że to źle; Krzysztof Opaliński bardzo rozsądnie szydzi z tego sposobu mówienia w *Satyrach*, Stan. Lubomirski krytykuje w *Rozmowach Ewandra*; ale albo była to mniejszość, tak nieznaczna, że przeciw upodobaniu powszechnemu nic poradzić nie mogła, albo może była tak rozumną w teoryi tylko, a w praktyce mówiła i pisała jak inni. Opalińskiego *Listy* przynajmniej są bardzo napuszyste; może i ci rozumni krytycy w praktyce robili tak, jak kaznodzieja Aleksander a Jesu, który mówców panegirycznych nazywał bałwochwalcami, a sam pochlebiał i kadził, jak wszyscy.

Do czego z czasem doprowadziła ich ta pasya do mów i mówienia, dowodzą najlepiej ich mowy obrzędowe. Nie dość było przy pogrzebie na jednej, kościelnej a drugiej świeckiej, trzeba było pożegnań, podziękowań przytomnym od rodziny, od przyjaciół, towarzyszy, wojska, senatu, trybunału, izby poselskiej, dyecezyi, stosownie do okoliczności. Nie dość było jednej lub dwóch przy weselu, każda chwila tego aktu, przewidziana z góry ściśle przestrzeganym ceremoniałem, wymagała osobnej mowy: od pierwszego oświadczenia aż do przenosin, konkurent czy swat za niego prosi o pannę, rodzice odpowiadają, oddaje jakiś prezent, choćby najmniejszy i najprostszy, choćby kwiaty, znowu mowa. Jego krewni, przyjaciele, swaci, drużbowie, jeżeli są ludzie grzeczni, muszą mówić także. Przy zaręczynach nowe prośby i nowe dzięki, a dopieroż przy ślubie: oddawanie panny, dziękowa-

nie za pannę, oddawanie podarunków, wiwaty, wszystko to tak potrzebne, że *Swady*, te podręczniki wymowy mają na każdy z tych przypadków, osobne gotowe formularze mów, że ludzie najpoważniejsi i najrozumniejsi żabierają się do takich oracyj z największem przejęciem, uroczyście, mają sobie za zaszczyt mówić w takich okazyach i za wielką chwałę, jeżeli ich mowa dostała applaus.

I to obyczaj, sięgający jeszcze pierwszej ćwierci wieku, tylko naturalnie z postępem czasu wyrobiony do coraz wyższej doskonałości. Ale za Zygmunta III już jest, i jest powszechny. Typem takich mówców obrzędowych jest człowiek bardzo poważny, Jakób Sobieski. Ten, naturalnie, nie trudził się dla byle kogo, ale gdy umarł lub żenił się ktoś „bardzo w ojczyźnie wielki," wtedy już wypadało, żeby towarzyszyła smutnemu lub wesołemu obrzędowi zawołana wymowa późniejszego kasztelana krakowskiego. I niema co mówić, bardzo mu z tem do twarzy, kiedy mówi nad grobem dziada i babki swojej przyszłej żony, Żółkiewskich, albo swojego hetmana, pod którym się już jako młody chłopiec odznaczył i przy którym był w ostatniej wyprawie, Chodkiewicza. Ale, że mowy jego, choć od późniejszych lepsze, choć poważne, noszą już w sobie zaród całego panegiryzmu, jaki się miał wyrobić, to pewna, i we wszystkich późniejszych oracyach weselnych znajdzie się podobieństwo do tej, którą on oddawał pannę kanclerzankę kor. Gryzeldę Zamoyską, księciu Jeremiemu Wiśniowieckiemu (Daneyk. T. II, 75).

Wszystkie zachowują ten sam obyczaj; każda panna musiała, oczywiście, mieć babki i prababki, a z tego powodu liczne w Rzpltej parantele. Otóż splendory tych domów z domem panny młodej spowinowaconych, wyliczają się we wszystkich prawie mowach tak jak w tej. Niekiedy aż swat i mówca pana młodego musi przypomnieć, że i on nie ostatni, kiedy mu

do zbytku podziwiać i szanować każą prozopię oblubienicy.

Ale cała ta wymowa ma i swoją teoryę. Najcharakterystyczniejsza, najbardziej filozoficzna (choć tylko dla mów politycznych) zawarta jest u Fredry w *Vir Consilii*. W innych znajdują się rzeczy podobne, ale nigdzie tak głębokie i dokładne rady jak, kiedy, z czego kogo, lub co chwalić. Po nim najlepszy Kwiatkiewicz, Jezuita (*Phoenix Rhetorum*, *Suada Civilis*, *Eloquentia reconditior*), który uczy, gdzie szukać właściwych źródeł erudycyi, jak składać wiersze, anagrammata, lub z herbów wyciągać aluzye, w którem miejscu mowy popierać rzecz swoją sentencyami, wyjętemi z różnych dzieł, a w których przykładami z historyi; słowem, do praktycznego użytku może jeszcze przydatniejszy niż Fredro, ale nie tak głęboki. W roku 1740 dopiero, wychodzi ostatnia tego rodzaju teorya wymowy, Samuela Wysockiego, Pijara: „Orator Polonus."

Inni, a jest ich bez liku, podają w swoich *Swadach* gotowe tylko wzory wymowy, ale bez nauki. (Temberski, Grodzicki, Malczeski, Pisarski, Cynerski, Kraus etc.) Z tych dwie najciekawsze są *Swady* Wojsznarowicza i Daneykowicza. Pierwszy pisze mowy na użytak publiczny, a sam rejestr wskazuje, jak jest troskliwy, jak każdą okoliczność przewiduje i na każdą podaje mów kilka, jeżeli nie kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt. Drugi zbiera i ogłasza w dwóch grubych tomach mowy, rzeczywiście powiedziane przez sławnych mówców współczesnych, a dzieli je podług okoliczności na Swadę oratorską, sejmową, weselną, kancelaryjną (styl urzędowy i dyplomatyczny), listową (wzory różnych listów) kaznodziejską i pogrzebową. Jest to więc wybór, bukiet najpiękniejszych mów wszelkiego rodzaju i wszelkiego rodzaju doskonałych stylów. I to także wydane aż w połowie XVIII wieku; ale źródło doskonałe do poznania elokwencyi w XVII.

Filozofem zaś i prawodawcą najgłębszym tego smaku i stylu jest Andrzej Maksymilian Fredro. Z roku 1676 jest ten list, którym mu król Jan dziękuje za przysłane dzieło, *aeternitati elaboratum* jak świadczy, a cieszy się, że jego panowaniu dodało ozdoby i chwały. Tem dziełem jest *Vir Consilii.*

Czy może najlepszy senator? Mądry statysta, godzien stać u steru rządu? Nie; to doskonały mówca, sejmowy i obrędowy orator, podług pojęć i wymagań ówczesnych.

Jeżeli już Cicero, a jeszcze bardziej Quintilian zeszli na manowce, kiedy chcieli wymowę ująć w stałe przepisy; jeżeli Stanisław Potocki i jemu współcześni teoretycy wymowy i stylu błądzili gorzej, kiedy styl i wymowę rozbierali na wszystkie figury i zwroty i uczyli ich sekretów, to jakże dopiero błądzi ten nieszczęśliwy estetyk, którego teoryi jako praktyka odpowiadają panegiryki XVII wieku? Dla zabawy, dla śmieszności, jeżeli nie dla poznania pojęć literackich tego czasu, warto zobaczyć, na czem on piękność wymowy zasadza i jakie podaje na nią reguły.

Po szumnej dedykacyi do króla Jana, dowiadujemy się w pierwszym rozdziale, że ponieważ wszystko na świecie jest dobre albo złe, przeto wszelka wymowa świecka, czy ona radzi, czy odradza, czy rozkazuje, czy poprawia, czy napomina, czy sądzi, czy nagradza, czy karze, musi cała obracać się koło pochwały lub nagany; to są jej naturalne dwa rodzaje i podług nich dzieli się książka na dwa wielkie działy: o wymowie pochwalnej i przyganiającej.

A więc część pochwalna. Rozdziałów w niej bez liku, jak chwalić ludzi, jak stany, różne cnoty, jak rzeczy nie żyjące, kraje, miasta, góry, rzeki, elementy. Pochwała ludzi idzie naturalnie przed wszystkiemi innemi.

A tu naprzód trzeba znać zasadę ogólną, która ma być zastosowaną zawsze. Czy człowiek, którego

się chwali, jest królem, czy prymasem, czy prostym śmiertelnikiem, trzeba go chwalić z tego: 1) jakim był przed urodzeniem, 2) jakim był za życia, 3) jakim po śmierci.

Przed urodzeniem? Chwalić z tego, czem był przed urodzeniem? Ale jakżeż to rozsądnie można pomyśleć lub zrobić? Od tego właśnie dowcip i inwencya mówcy, a przyjemny autor otwiera miłosiernie skarby tych dla zwykłego umysłu niedostępnych tajemnic.

Chcąc tedy mówić o czasach przed urodzeniem tego, którego się ma chwalić, zważać trzeba na trzy rzeczy: 1. Kraj, prowincyę lub miasto, w którem się urodził. 2. Przodkowie, rodzice, sławni krewni i powinowaci obojga rodziców i ich zasługi. 3. Zważać trzeba, czy przed urodzeniem nie było jakich o nim wróżb, snów, przepowiedni, rokujących jego wielkość i sławę.

Życie zaś chwalonem być ma podług tych przedewszystkiem kategoryj: 1. Wychowanie, rodzice i nauczyciele, nauki, w których się za młodu ćwiczył, i czy był zawsze w wierze niewzruszony. 2. Zawód: czy naukowy, czy wojskowy. 3. Czyny. 4. Przymioty ciała. 5. Przymioty duszy. 6. Przymioty, które nie są ani ciała, ani ducha, ale jeszcze inne. A takiemi są naprzykład ród, bogactwo, szczęśliwe przymioty dzieci. Dalej jeszcze przyjaźń ludzka, powodzenie w zamiarach, co to o tem wszystkiem da się pięknych rzeczy powiedzieć!

Po śmierci zaś z czego człowieka chwalić? Oto naprzód uważać, czy nie było przy tej śmierci jakich nadzwyczajnych zdarzeń i znaków, na niebie, na ziemi, w powietrzu. Potem mówić o żalu powszechnym, o pompie i magnificencyi pogrzebu, o wielkim zebraniu ludzi, sławie i cnotach zmarłego.

Właściwym zaś i najsmaczniejszym każdej oracyi kondymentem jest Amplifikacya! Szczęśliwy mówca,

który posiadł tę sztukę. Ale do tego jak wiele potrzeba zręczności i umiejętności! Na szczęście autor odsłania nam uczynnie wszystkie sekrety amplifikacyi. Sposoby jej są rozliczne; i tak, od okoliczności i położenia osób, np.: Cocles sam jeden bronił mostu przeciw wojsku Porsenny, a więc, ważny pierwiastek amplifikacyi w tem, czy ktoś zrobił co sam lub z małą liczbą pomocników; czy był młodzieńcem, czy dojrzałym mężem (w pierwszym razie większa chwała). Amplifikacya może być i od płci, czy mąż czy niewiasta dokazała wielkich rzeczy; dalej od okoliczności czasu, od nowości i rzadkości tego, co zrobił, a wreszcie, jeżeli już żadnym sposobem chwalić go nie można, to amplifikacya i na to poradzi, porówna go z gorszymi i przecie pochwali. Potężnym zaś środkiem amplifikacyi jest aluzya do herbu. I tu mamy sposobność zobaczyć, podług jakich pomysłów i reguł pisały się te wiersze dedykacyjne na herby, które widzimy na pierwszej karcie każdej prawie książki z wieku XVII i pierwszej połowy XVIII. „I tak: jeżeli w herbie jest Orzeł, możesz z tego wziąć assumpt do chwalenia wspaniałego animuszu, którego on jest symbolem. Lew, oznacza odwagę, Włócznie waleczność, z Rzek wyciągnąć można aluzyę do obfitości fortuny i honorów, z Księżyca wywróżyć splendor cnót, zawsze w pełni trwający, a nigdy w ostatnią kwadrę ubytkiem nie spadający. Topor oznacza żywot pracowity i niezmordowany. Osieł (Półkozic) wytrwałość. Baran (Junosza) skromność. Lilije czystość cnót i sław. Róża zasług wdzięczne odory. Z samych kolorów herbowych można wiele pięknych wyciągnąć aluzyj, a jeżeliby herb nie miał żadnego znaku, tylko gołą tarczę (mowa o Sobieskich, których oczywiście ani pominąć, ani upośledzić nie można) i mówca z tego powodu mógł nie wiedzieć, co ma o tym herbie wymyślić, to i wtedy jeszcze szczęśliwy dowcip podsunie mu radę, i mówca powie, że ta tarcza goła jest, dlatego, żeby na niej

wypisały się znaki najwyższych i nigdy dotąd niewidzialnych splendorów.

Dalej znowu chwaląc i amplifikując, ma mówca trzymać się porządku wskazanego sławnym łacińskim wierszem *Quis*, *quid*, *quibus auxiliis*, *cur*, *quomodo*, *quando* i żadnego z tych pytań w mowie swojej, broń Boże, nie opuścić. Kiedy przyjdzie do cnót, powinien przejść wszystkie, począwszy od teologicznych i kardynalnych, i w mowie swojej wskazać, jak się one każda według rodzaju swego w chwalonym nieboszczyku znajdowały, a to porządnie, systematycznie, począwszy od wiary, nadziei i miłości, aż do cnót najmniejszych.

Jak zaś mowę taką ułożyć, to pokazuje autor na przykładzie; nie pisze całej mowy, ale podaje jej plan, który zastosowanym być może do każdego przedmiotu. Dajmy więc, że mamy pisać mowę na pochwałę wody (*Sermo de laudibus aquae*). Jakże sobie w tym razie pocznę? Oto naprzód uważać będę wodę ze stanowiska arytmetycznego, to jest rozliczne jej rodzaje, jakiemi są: woda morska, bagnista, stawowa, studzienna, źródlana, rzeczna, stojąca, bieżąca, potem woda dystylowana, deszczowa, śniegowa, śmierdzącej tylko i zgniłej nie wybierać. Potem ze stanowiska etymologicznego; to nie łatwo, ale zawsze można powiedzieć, że łacińska nazwa wody *aqua*, znaczy *a qua beneficia permulta capiuntur*. Ze stanowiska politycznego, jak jest przydatną handlowi, obronie, jak pożyteczna w wojnie i w pokoju; z ekonomicznego chwalić ją, że żywi ryby, nosi statki, obraca młyny i t. d. Z jurydycznego, że nieraz, stanowiąc granicę bardzo wyraźną, nie dopuszcza sporów i procesów; z towarzyskiego i dworskiego, że służy do licznych rozrywek i przyjemności i t. d. Trzeba jeszcze chwalić wodę ze stanowiska matematycznego, geometrycznego, geograficznego, lekarskiego, fizycznego, historycznego, metafizycznego i etycznego!

Wyobrazić sobie mowę, która podług tego wzoru zrobiona chwaliłaby wodę z tych wszystkich stanowisk, nie zapominając przy żadnem z nich o regule *cur*, *quomodo*, *quando!*

Następują potem spisy różnych pochwał, które oddawać się mogą wojskowym, duchownym, panom, matronom, młodzieńcom, uczonym, a w końcu, jako wzór pochwał pięknych i osobnej a bardzo potrzebnej sztuki, napisy nagrobkowe, nie samego autora ale z różnych stron zbierane, a między temi dwa najpiękniejsze są: napis nagrobkowy ułożony dla kardynała Richelieu przez Sorbonę Paryzką, i drugi na cześć Jerzego Lubomirskiego; ten ostatni zwłaszcza tak pełen konceptów, antitez, gry wyrazów, że może uchodzić istotnie za ideał śmieszno napuszonych nagrobków z tego czasu (*Vir Cons.* 92).

Miejsca chwalą się od położenia, klimatu, urodzajności, ludności, bezpieczeństwa wygody. Miasta ze starożytności, wielkich założycieli, bogactw, sztuk, nauk, handlu, murów obronnych. Budynki od położenia, wielkości, piękności, wygody. Rzeki od wielkości, spławności, piękności brzegów. Góry od wysokości i tysiącznych innych względów, a na zakończenie tego wszystkiego jest pochwała słońca, równie piękna, jak wspomniana już pochwała wody, ale zbyt obszerna, żeby ją przytoczyć można; zresztą jeden przykład wystarcza, żeby dać poznać gust i pojęcia autora.

Nagany zajmują daleko mniej miejsca. A właściwie są małymi traktatami o różnych namiętnościach i poruszeniach umysłu, jak gniew, wyniosłość, ale co to ma za związek z oracyami i z prawidłami wymowy? Autor mówi, że mówca powinien znać dobrze naturę np. strachu, żeby w razie potrzeby umiał słuchaczów przestraszyć, kiedy ich gani; powinien znać tak samo łagodność, spokój, gniew, odwagę, i dzieję i tak dalej bez końca, żeby jedne z tyc

animi permotionum mógł wzbudzić, a drugich podług woli używać.

Przechodząc do wymowy radnej czyli sejmowej wylicza materye, o których mowa być może, a temi są: 1. Cła i monety. 2. Wojna z tem, co do niej należy (broń, fortece, żywność, przymierza). 3. O załogach i utrzymaniu prowincyj lub krajów. 4. O żywności i jej dowozie. 5. O religii i rozszerzaniu chwały Bożej. 6. O prawach. 7. O urządzeniu prowincyi lub kraju (sprawach ekonomicznych, szkolnych). 8. O wyborze urzędników. Czy te punkty mają obejmować już wszystko, o czem na sejmie może być mowa? czy wszystkie sprawy i wypadki dadzą się pod te kategorye podciągnąć? Zapewne nie. Ale nie wdając się w zbyteczne roztrząsanie rzeczy, powiedzmy, że autor z każdego takiego punktu robi osobny rozdział i uczy, co ma wiedzieć ten, kto chce mówić o cłach, co ten, kto dysputuje o wojnie, o religii, o prawach i t. d. Co zaś powinien wiedzieć? Oto mniej więcej, co Fredro o tych różnych materyach już napisał, bądź w Militaryach, bądź we Fragmentach, bądź w Monitach. Każdy z tych rozdziałów jest mniej więcej streszczeniem i powtórzeniem tych samych tam już nieraz wypowiedzianych myśli. Rzecz oczywista, że tu autor schodzi ze swojej wytkniętej kolei i nie uczy już, jak *Vir Consilii* ma mówić, ale co o jakiej materyi ma mówić, nie wymowy go uczy, ale polityki. Czasem mądrze, np. kiedy radzi Polsce, która miasta swoje i staranie około ich ludności zaniedbuje, żeby przez ich podniesienie starała się wzmódz w siłę. Za granicą książątko na maleńkiem *territorium* ma miasta i zamki wspaniałe, pieniędzy wiele, poddanych bogatych, kraj żyzny i dobrze uprawiony, fabryk bez liku, a dlaczego? że nadstawiają intensyą starań, pracy i rozumnej zabiegliwości, czego im na ekstensyi ziemi nie dostaje. My, że przy wielkiej ekstensyi tej intensyi nie mamy, cieszymy się licznemi wprawdzie, ale

próżnemi nazwiskami miast i wsi, a w tych nazwach rzeczy niema; liczymy morgi, nie plony i dochody.

Mówiąc o naradzie nad wyborem urzędników, wpada, naturalnie, na elekcyę króla, i uczy, jakiego wybierać. Szukać w nim cnót dobrego katolika, dobrego człowieka, dobrego obywatela, potem zdolności, i to wszystko znalazłszy, dopiero wybierać Polaka. Ten miłością ojczyzny, duchem, umysłem, wyobrażeniami lepiej się do nas nada, a przeto lepszym będzie królem od cudzoziemca; a jeżeli skarbów i pieniędzy wiele nie wniesie, to przynajmniej nie wyniesie żadnych. Takiego wybierać, któryby nie miał wielu synów, bo to zawsze niebezpieczne, mogą się między sobą współubiegać, ale syna jednego przynajmniej niech ma, żeby w razie śmierci króla następcy daleko nie szukać. Gdyby się zaś obrało młodego i nie żonatego, to ożenić go z jaką moskiewską księżniczką, byle przeszła na katolicką wiarę, bo w takim aliansie możnaby znaleźć pomoc dobrą przeciw Tatarom i Turkom.

Justitia jest wedle przedmiotu swego *Distributiva, Correctiva, Restitutiva*, a wedle charakteru arytmetyczna, geometryczna i harmonijna. Autor sam przyznaje, że tego zrozumieć nie można, chyba na przykładach. Jeden z lenników Rzpltej, w chwili wielkiego jej ucisku, wezwany, żeby jej wypłacił zdawna zaległe należności, oświadczył, że nic nie wypłaci, chyba za nowe przywileje i nagrody. Otóż sprawiedliwość arytmetyczna żądałaby prostego zwrotu należnej sumy, ale harmonijna wciągnęłaby w rachubę wszystkie okoliczności obciążające i kazałaby mu zapłacić tem więcej, im większa była potrzeba Rzpltej, im większą szkodę przyniosła jej odwłoka, a geometryczna nadto jeszcze żądałaby usługi w stosunku do wszystkich łask, dobrodziejstw i przywilejów, jakie lennik ten od Rzpltej był otrzymał. Czy przykład jest wymyślony lub rzeczywiście wydarzony i dlaczego nazwa sprawiedli-

wości arytmetycznej, geometrycznej i harmonijnej, tego autor nie mówi.

Kiedy ma radzić o wojnie, niech mówca zacznie od jej zganienia. „Słowo wojna wymówi się łatwo i prędko, ale prowadzenie jej długie i trudne: wiele krwi, wiele łez, wiele pieniędzy kosztuje.” Po takim wstępie dopiero roztrząsać może wszystkie niebezpieczeństwa wojny, o której mowa i względy, które prowadzić ją każą. Niech przez Prozopopeją wystawi lud nieszczęśliwy, ciemiężony przez nieprzyjaciela, i Boga o zwycięstwo błagający, role płaczące (*agri plorantes*), miasta spustoszone, a to wszystko może mówić z wielkim aplauzem i rozczuleniem słuchaczów.

Najlepsze może z całego dzieła charakterystyki różnego rodzaju mówców, wcale dowcipne i trafne. I tak są mówcy, którzy sposobem sądowym i prawniczym mówią dokładnie, porządnie, a sucho i nudno; mówcy ostentacyjni, efektowi, przesadni, którzy, do głębi rzeczy nie sięgając, nigdy w słowach nie wyczerpani, a w wymowne zwroty wprawni, niemądrym wydają się bardzo wielkimi mówcami; subtelni i sofistyczni, którym o rzecz nie chodzi, ale o to tylko, żeby wszędzie niby dojrzeć czegoś, czego inni nie widzieli. Podstępni, którzy za jednym obstają, kiedy drugiego pragną. Drobiazgowi, chwiejni, niepewni w zdaniu, wszyscy opisani i tak, że mało który mówca w jakimkolwiek na świecie parlamencie, nie dałby się podciągnąć pod jeden z tych rodzajów. Najlepszy rodzaj mówców jest rozumnych, którą to nazwą oznacza te przymioty, które mu się najpotrzebniejszymi wydają, jako to: argumentacya logiczna, wymowa żywa, odpowiedź zawsze na pogotowiu, zdanie mądre, zamiar czysty.

Zamykają całą książkę mowy polskie, które są dwojakie: zagraniczne, na obcych dworach przez posłów przy powitaniu lub pożegnaniu mówione — i sej

*

mowe, jak witanie i żegnanie króla, dziękowanie marszałkowi lub od marszałka; na to wszystko są znowu osobne recepty.

Wszystko to znajdzie się w ówczesnych mowach, tak, że nie wiedzieć, czy praktyka stosowała się do wzoru tej teoryi, czy też Fredro podług praktyki teoryę swoją układał. W każdym razie jedna drugiej odpowiadała wybornie. Znajdą się tu nawet gotowe wzory na te koncepty, którymi wymowa ówczesna tak się suto zaprawiać lubiła. Naprzykład, kto ma witać króla, wjeżdżającego do jakiegoś miasta, ten może pięknie mowę swoją zacząć w ten sposób:

„Nie będziemy już odtąd, Miłościwy Królu, dziwować się temu, co poetowie mówią o posągu Memnona, że promieniami słońca oświecony, dźwięki i słowa wydawał, skoro za przybyciem twojem splendor majestatu twego same mury i ściany nasze taką rozjaśnił wesołością. Gwiazdy nie mogą się ukazać, żeby niebieskich nie rozpogodziły horyzontów, wielcy, gdzie się ukażą, rozweselają umysły. Takie im prawo nadała natura, że nie mogą być a radości lub dobrego nie sprawiać. Ty, jak słońce, kryć się nie możesz i jak ono nie możesz nie świecić i nie grzać przyjemnym a dobroczynnym kolorem" i t. d. Dodaj do tego przypomnienie Augusta i to sławne powitanie *Ave Cesar Victor Imperator*, albo odpowiedz, jak mieszkańcy Gadesu, sławą Liwiusza olśnieni, wędrowali aż do Rzymu, żeby takiego męża zobaczyć mogli.

Nam ta książka wydaje się dziwaczną, śmieszną, kiedy uczy wymowy, daremną, lub niedorzeczną, kiedy chce uczyć polityki. Nie tak przecie sądzili ją współcześni; dla nich, zdaje się, była ona doskonałością w swoim rodzaju, niewyczerpaną kopalnią rad praktycznych, podług których można było wykształcić się na mówcę, i bogatą skarbnicą politycznego rozumu. Nie tylko jak mówić, ale co mówić, nie tylko ozdobnej wymowy, ale i sztuki rządzenia uczył *Vi*

Consilii, a jego autór miał prawo muiemać, że napisał dzieło wiekopomne i niezmiernego pożytku, kiedy takie czytał o niem świadectwa, jak wspomniany wyżej list króla Jana.

Jak w swoich pismach politycznych jest Fredro najważniejszym wyobrazicielem ówczesnych pojęć polskich tak znowu w tem dziele najlepiej daje poznać nasze pojęcia i smak w rzeczach literackich. Wymowy religijnej on nie tyka; ale wiemy i bez niego, że nie była lepszą od świeckiej, a trzymała się tych samych pojęć i prawideł. Zboczenie jej już było widocznem w kazaniach Birkowskiego, ale po niem doszło do ostatniego i najniesmaczniejszego dziwactwa. Cała pociecha to, że nie u nas jednych tak było. Sławny niemiecki Abraham a Santa Clara nie jest w niczem lepszy od naszych Mijakowskich i Kochanowskich, a bardzo do nich podobny, nietylko konceptami i smakiem, ale i tym humorem nieraz ciętym, choć niewłaściwie umieszczonym, tym zdrowym rozsądkiem, który u niego jak u nich z pod dziwactw i konceptów przebija.

Gdzie się podziała dawna wymowa kościelna? Gdzie jej ton poważny i wysoki? Gdzie jej mądrość w rozstrząsaniu polskiego sumienia i jej patryotyczny, polityczny charakter. Zdaje się, że to wszystko znikło. A jednak nie. Jest jeden, który ratuje honor kaznodziejstwa polskiego w tych czasach, a utrzymuje piękną tradycyę dawnego.

Ten jeden, to Tomasz Młodzianowski, Jezuita. Musiał być uczony, bo pisał dużo dzieł teologicznej treści, musiał być czytanym, bo jego różne Rozmyślania pobożne nierzadko powtarzają się w wydaniach. Kazania mówił on oczywiście przez cały ciąg swego zakonnego życia, ale zebrał je razem i wydał dpiero w roku 1681.

Jako kaznodzieja ma i on cechy swego czasu, ma niekiedy zły smak; ale ma go rzadziej, niż inni,

a język czysty, wolny od makaronizmów. Ma zaś to, co każdemu kaznodziei i pisarzowi najpotrzebniejsze: ma duszę i ma rozum. Publicznego ducha zaś, trafnego przystosowania duchownej nauki do stosunków polskich i serca otwartego na nieszczęścia ojczyzny ma tyle, że dzięki jemu ambona Skargi nie jest całkiem opróżniona. Nie mówi on kazań w pewnych szczęśliwych przypadkach i okolicznościach, ale w każdem prawie zwykłem, niedzielnem czy świątecznem, schodzi na takie kwestye, i na najrozmaitsze. Miewa też często akcent głębokiej żałości, naprzykład kiedy w kazaniu (pierwszem) na niedzielę Przewodnią pyta: „Kędyżeś jest, Chocimie? Inflanty, wrócicież do Polski? Ślązko, spolaczejesz-że kiedy? Ukraino zawojowana, będziesz-że ty kiedy *Terra restituta?*" Takich pytań wielebyśmy dopiero do jego kazania dodać mogli i cobyśmy na nie odpowiedzieli! W kazaniu trzeciem na Przewodnią niedzielę mówi, że powodem nieszczęść jest pięć stanów, a każdy nie taki, jak być powinien: poddani w opresyi, miasta w poniewierce, szlachta w zbytecznej wolności. W trzecią niedzielę po Wielkiej Nocy, w tekście Ewangelii znajduje słowa „maluczko a nie ujrzycie mnie," i mówi, że ojczyzna podobnie do nas mówi „maluczko a nie ujrzycie mnie. Co się z nią stanie? Czy włoży zawój turecki, czy cudzoziemski kapelusz?" Jedenastej niedzieli po Świątkach żali się że „Orzeł wielkich skrzydeł maleje, z orła już tylko orlik, a długoż się i ostatek tej Polski utrzyma?" W innem kazaniu serce mu wzbiera wdzięcznością dla „Boga Polaków, który nas wybawił od Kozaków, Szwedów . . . ," przypomina Częstochowę i lwowski ślub Jana Kazimierza.

Ale do żałości częściej ma powód, niż do dziękczynienia. W tomie drugim, dedykowanym Maryi Kazimierze, mieszczą się takie kazania najsmutniejsze. Jedno widocznie za króla Michała, przed wojną turecką pisane. „Kamieniec, czy nie będziesz pod zawojem?

Zadnieprszczyzno, kędyś jest? A Przednieprze aż do Horynia, komu z ciebie będzie hołdowanie? Lwowie mądry, komu się dostaniesz?" W innem, podczas oblężenia Kamieńca, błaga pomocy Najświętszej Panny, Jej, która niedawno obroniła Częstochowę, żeby obeszła całą Polskę, albo aniołów jakich posłała, przekonać się, jak Ją cała czci i jak prosi. A gdy Kamieniec upadł, bardzo pięknie i mądrze, wspaniale wypomina, żeśmy wszyscy temu winni bez wyjątku i oddawna (niedziela XVI po Świątkach).

Z elekcyą Sobieskiego wstępuje w niego otucha. *Refulsit sol in clypeos* (herbową tarczę króla) i słońce zacznie świecić na nowo, a chmury rozproszy. Ale upominać nie przestaje, nie zaniedbuje. W samem tem najpogodniejszem ze swoich kazań (XXV po Świątkach) powstaje na cztery najcięższe grzechy polskie, którymi są: niedbałość o wiarę, krzywoprzysięstwo, opresye ludzi ubogich i rozpusty.

Każde jego kazanie podzielone jest zawsze na dwie części, a na każdą niedzielę jest ich po dwa, czasem więcej. Wytykać mu można błędów wiele, ale tej sławy odjąć mu nie można, że jest kaznodzieją bardzo niezwykłym i że po Birkowskim następuje wcale godnie.

W tym samym roku (1681) wydał Kochowski swój *Ogród Panieński* i *Chrystusa Cierpiącego.* W przedmowie mówi pobożny poeta, że dość już i aż zanadto zabawiał się świeckiemi rzeczami. Odtąd już Muzę swoją chce wyłącznie na chwałę Bożą poświęcić. I dotrzymał przyrzeczenia aż do chwili kiedy króla Jana ujrzał zwycięzcą pod Wiedniem. Wtedy nie mógł wytrzymać i do świeckiego przedmiotu powrócił.

Ogród Panieński pod sznur Pisma Św. i Doktorów wysadzony to jest *epigramata polskie z różnych tytułów o Najświętszej Pannie* (Kraków, 1681). Sam tytuł źle uprzedza, a treść dotrzymuje wszystkiego, co on obiecywał. Jak ogrody tego wieku, zakładane były w re-

gularne i systematycznie sobie odpowiadające kwadraty i prostokąty, z których każdy znowu dzielił się na równą ilość mniejszych kwadracików, tak i ten poetyczno-pobożny Dziardyn, dzieli się na szesnaście części czyli kwater, a każda wysadzona jest różnemi na cześć Najświętszej Panny kwiatami. Te kwiaty to wszystkie, jakie poeta mógł wyciągnąć, epitety i symboliczne nazwy, dawane Matce Boskiej czy przez proroków, czy przez ojców i doktorów Kościoła, czy wreszcie przez modlitwy i litanię, a z każdego takiego epitetu zrobiony jest dystych. Można sobie wyobrazić, jakiej trzeba było pracy gorliwego Sodalisa, żeby wszystkie te teksty wyszukać i dorobić do nich co najmniej parę tysięcy wierszy; ale można również pojąć i to, że oprócz zalet dobrej woli i charakterystycznie pobożnego ducha, innych zalet dzieło takie mieć nie może. Jedna jest tylko rzecz wspaniała w swoim rodzaju, to list dedykacyjny do Matki Boskiej. Jest w nim i pobożność naiwna a gorąca, i patryotyzm serdeczny, i cały gust wieku ze swoimi konceptami i makaronizmami, i komplementy, i modlitwa, i nawet głęboko tem wszystkiem przysypana, ale przecież nie zgaszona iskra poezyi (w początku mianowicie, gdzie się do konika polnego przyrównywa).

Chrystus cierpiący to piętnaście pieśni o Męce Pańskiej. Co im najbardziej można zarzucić, to, że wszystkie pisane są krótkim pięciozgłoskowym wierszem, który staje się strasznie monotonnym i nużącym, kiedy trwa długo. Zresztą świeckie poezye Kochowskiego są niezaprzeczenie ładniejsze; ale niejedna z tych pieśni pobożnych wydałaby się bardzo dobrze między temi, które się po kościołach śpiewają, i dziwna rzecz doprawdy, dlaczego one nie weszły do kantyczek kiedy tonem i rodzajem tak są do zwykłych naszych kościelnych pieśni podobne? I w tem ich najlepsza zaleta, owa jakaś naiwność prawie ludowa. Jak kolędy wyobrażają sobie Betleem i pasterzy podobniusieńk

mi do wsi polskiej, tak u Kochowskiego skrybowie, faryzeusze, żołnierze podobni do tego, co sam znał i widział. Kaifasz nawet wyraźnie nazwany jest biskupem (punkt III, V, IX, początek), a skarga Matki Boskiej, kiedy po zdjęciu z krzyża, trzyma ciało Chrystusa Pana na kolanach, podobniejsza jest do pieśni przez lud składanych, niż do natchnienia mistrzów włoskich, którzy ten przedmiot traktowali. „Pietà" Michała Anioła, gdyby przemówiła, to nie takim tonem. Z roku 1668, a więc współczesny *Kamieniowi Świadectwa* jest Różaniec Najśw. Maryi Panny, ułożony podług zwykłego różańca, podzielony na części i tajemnice, taki sam, z tą różnicą, że śpiewy czy modlitwy są odmienne, innemi słowami przez Kochowskiego ułożone. Wiersz jest siedmiozgłoskowy, zatem dość monotonny, ale przecież nie tak nużący, jak w „Chrystusie cierpiącym." Zalety takie same jak tam, to jest kolędowa prostota.

Występuje teraz pisarz, któregośmy dotąd nie widzieli, jeden z najciekawszych w swoim czasie, a do dziś dnia najmniej zbadanych i poznanych, Stanisław Herakliusz Lubomirski.

Syn marszałka Jerzego, sam marszałek w. kor., jedna z wielkich w Rzpltej figur, a z rozumu tak sławny, że go współcześni Salomonem polskim nazywali, jest, o ile go znamy z pism i z historyi, zbiorem sprzeczności, trudnych do zrozumienia i pogodzenia. Naprzykład, jest bardzo pobożny: pisze książki duchownej treści, w świeckich zwykle wszystko do Boga odnosi, w życiu oddawał się pilnie praktykom pobożnym i fundował kościoły; ale w obyczajach, jak mówi tradycya, nie był wcale przykładnym. Zły stan Rzpltej i jego powody widzi i rozumie doskonale, wytyka trafnie, zna wybornie wszystkie obowiązki dobrego obywatela; ale sam takim nie jest. Powtarza często rzeczy mądre i słuszne o szkodliwości fakcyi i osobistych ambicyj, ale sam jest w roku 1688 jedną z głów

spisku, zawiązanego na złożenie z tronu króla Jana. O marności rzeczy światowych i świeckich mówi wiele, ale sam dla siebie niemi nie gardzi; owszem w swojej ambicyi jest śmiały i zarozumiały aż do śmieszności. Naprzykład, kiedy w roku 1682 i 1683 Ludwik XIV podnieca i wspiera Tekelego przeciw cesarzowi, Lubomirski insynuuje dworowi francuskiemu osobliwszy pomysł, żeby Węgrzy, jak się pozbędą cesarza, jemu oddali swoją koronę. Jakim sposobem człowiek rozumny mógł nie pomyśleć, że gdyby Tekely wypędził cesarza, to wolałby sam zostać królem węgierskim, niż jego na tron powoływać? Jaki po temu powód i tytuł? Dlaczego miałby to zrobić? Powodu niema żadnego, tylko ten, że on jest Stanisław Herakliusz Lubomirski, syn wielkiego Jerzego! a jako taki ma tytuł do wszystkiego na świecie, i wszelki zaszczyt, jakiby spadł na jego głowę, uważałby za rzecz naturalną, za coś, co mu się słusznie należy, za swoje prawo. Mieszanina pobożności, która zapewne nie jest zupełnie nieszczerą, pozornej objętności na honory i blaski z nieograniczonem ich pragnieniem, doskonałej znajomości warunków cnoty publicznej z mnogimi przeciw niej grzechami, dobrej rady dla Rzeczypospolitej z zupełnym i przykrym sceptycyzmem, Lubomirski jest psychologiczną zagadką, trudną do rozwiązania, a dla badacza zajmującym przedmiotem. Gdyby się nie wiedziało nic o jego życiu, a z pism jedynie miało zrobić sobie o nim wyobrażenie, to łatwo doszłoby się do przypuszczenia, dla niego najzaszczytniejszego, że ten sceptycyzm i zniechęcenie, ten charakter prawdziwie rozpaczliwy niektórych jego pism, to skutek patryotyzmu wielkiego i zbolałego, i głębokiego rozumu, który nie widzi już rady i ratunku; że w tem jego usposobieniu jest na dnie głęboko ukryta, ale bardzo bolesna zgryzota, świadomość, że do tego złego stanu ojczyzny przyczynił się jego własny ojciec. Ale przeciw takiemu tłómaczeniu świadczą jego uczynki, świadczą niektóre ustępy jego pism.

Z tych dziwnych w nim sprzeczności, nie najmniejszą jest ta, że człowiek z takiem usposobieniem i charakterem jest poetą, i to poetą sielankowym. Sielanka i marzenie o koronie węgierskiej! Sielanka i intrygi polityczne wcale brzydkie! Sielanka i sceptycyzm, dochodzący niekiedy prawie do cynizmu! to nie przypada do siebie wcale. Może późniejsi rozwikłają tę zawiłą naturę, rozwiążą tę ciekawą zagadkę. My dziś wiemy tylko, że takie sprzeczności są w Lubomirskim, i że on jako poeta nie jest wcale najgorszym między współczesnymi, a jako pisarz jest między nimi jednym z rozumniejszych.

W roku 1683 wyszły aż trzy naraz jego dzieła, *Tobiasz*, *Theomusa* i *Rozmowy Artaxesa z Ewandrem.* Co najdziwniejsze, to, że jak ambicyę swoją, tak i żyłkę poetyczną i gust do sielanki odziedziczył Lubomirski po ojcu. *Pastor Fido*, zdaniem starszych uczonych, przełożony na język polski przez syna, miał ten honor, że tłómaczem jego był sam pan marszałek w. kor. Jerzy. Tak dowodzi Brückner *); tak świadczy *Monitor* warszawski w roku jeszcze 1776, tak świadczy współczesny Andrzej Morsztyn w wierszu, przy którym swoją *Lutnię* Jerzemu Lubomirskiemu posyła. Jak się te idylliczne upodobania godziły z innymi marszałka pociągami i postępkami? dojść nie umiemy. Ale jego przekład *Wiernego Pasterza* jest wcale dobry, a wiersz równiejszy od wielu współczesnych. Smak taki, jak u wszystkich współczesnych. Sielanka Guariniego (sama na wzór Aminty napisana) dowodzi i trwającego jeszcze tradycyjnego zbliżenia między literaturą naszą a włoską, i obudzonego już gustu do poezyi sielankowej, czułej, który to gust wyda kiedyś Gessnerów, Florianów etc. Bodaj czy nie ostatnie to u nas na długo tłomaczenie z włoskiego, czy nie osta-

*) *Spuścizna* rękopiśmienna po Wacławie Potockim. *Dodatki*, Kraków, 1898.

tnie echo dawnej zażyłości i zbliżenia. Co do wartości? Dzieło samo niema jej wiele, jest ckliwe i nudne; a wiersz polski choć niezły, nie błyszczy wielką pięknością wiersza, czy wyrażeń.

Lepiej wygląda *Tobiasz Wyzwolony* Stanisława Lubomirskiego. Biblijna historya, w której jest coś sielankowego, coś łagodnego i spokojnego jak w powiastkach dla dzieci, gdzie nawet smutek lub przestrach występuje dyskretnie, żeby na czas zawsze znikać, i „wszystko się dobrze kończy," opowiedziana jest krok w krok za Biblią, obszerniej naturalnie, rozciągając obrazy niektórych scen, ale wiernie, jak tylko być może; autor nic nie zmienia i nic nie dodaje, nie poetyzuje księgi Tobiasza, zostawia jej ten łagodny, sielankowy prawie charakter, ale robi z niej poemacik miejscami nie brzydki. Pisze go oktawą (ulubiona to w wieku XVII forma wiersza jak Aleksandryn w XVIII) i oktawą nie złą. Miejscami jest to wcale niebrzydkie, jak naprzykład modlitwa Sary w trzeciej pieśni strofa XIII i dalsze), albo poranek i opis rzeki Tygrys w pieśni VI, albo o weselu i rumieńcu w pieśni VII (strofa 29, 31, 32), albo w ostatniej, w proroctwie Tobiasza (strofa 34) „muzyk różnych pełne ściany;" to brzmi jak gdyby ze Słowackiego przepisane. Tobiasz już wyszedł z tego religijnego ducha, którym tchną im dalej tem bardziej pisma Lubomirskiego, a z którego w poezyi wyszedł *Jezus Nazareński* czyli epigramaty o Męce Pańskiej, *Melodya Duchowna*, oboje od *Tobiasza* słabsze. Przekład księgi *Ekklesiastes* znowu, to skutek połączonych gustów i do poezyi i do reguł filozoficzno-moralnych, i wreszcie do rzeczy duchownych; ale i to dalekie od Tobiasza, który jest najlepszem jego poetycznem dziełem.

Czas odkrywa nieznane, dość liczne poezye L bomirskiego; ciekawe nawet, bo są dramatami czy k medyami. W Bibliotece Petersburskiej (Załuskicl w Bibliotece Baworowskich we Lwowie, w Bibliote

Akademii Umiejętności w Krakowie (zbiór Marszałkowicza), znajdują się aż cztery komedye Lubomirskiemu przypisywane. W rękopisie Załuskich (dziś petersburskim), własnoręczny napis Józefa Załuskiego poświadcza, że autorem jest Stán. Herakl. Lubomirski *). Powaga Załuskiego, poparta nowszą powagą Brücknera, usuwa wątpliwości. Zobaczmy więc te komedye. Tak mało ich mamy, że każda jest pożądaną.

Te, niestety, niewiele dodadzą do ubogiego skarbu naszej poezyi dramatycznej i do sławy swego autora. Pierwsza z nich, i zdaje się najwięcej oryginalna, jest pasterską jak *Aminta* i *Pastor Fido*, w rękopisie Akademii Umiejętności nosi datę roku 1664, a nazywa się *Ermida albo Królewna Pasterska, to jest: Ten szczęśliwy, co się swym stanem kontentuje.*

Królewna Ermida musiała być zazdrosna, a przynajmniej podejrzliwa, bo wyobraziła sobie bez najmniejszej racyi, że królewicz Filander jest jej niewierny. W tem zmartwieniu i oburzeniu porzuca koronę, dwór, stolicę, i pod przybranem imieniem, z wierną konfidentką Laurellą, idzie tam, gdzie jeszcze kwitnie niewinność, szczerość, wierność w miłości, do kraju pasterzy. Ale niebawem przekonywa się, że i tu są frasunki, zmartwienia, nawet niestałość i niewierność. Czuły pasterz Amintas zdradził kochającą Lizettę, a zakochał się w niej, w Ermidzie, tak, że aż ukradł jej portret. Lizeta rozpacza, oskarża Belizę (przybrane imię Ermidy), że jej zbałamuciła Amintasa! A więc i u pasterzy nie wszystko dobre! Po tem smutnem doświadczeniu Ermida decyduje się wrócić do swego królestwa, tem bardziej, że przekonała się, jak była niesprawiedliwą. Filander nietylko jest wierny, ale kocha ją tak, że w pogoń za nią się puścił, zaszedł i on do pasterzy, gotów był bić się z Amintasem o portret.

*) Brückner: *Spuścizna po Wacławie Potockim*, *Dodatki*.

Wiersz jest ogółem dobry; ale też to wszystko, co na pochwałę tej pasterskiej komedyi powiedzieć można. Treść, naśladowana z wielu podobnych, mdłą być musi; ale mogłaby dać ładny poemacik, gdyby te czułe sentymenty umiały się ładniej, żywiej, z wdziękiem wyrażać. Tego jednak niema. Ani jeden wiersz, ani jedna myśl, nie zatrzyma uwagi czytelnika i nie utkwi mu w pamięci. Jedna figura, w której znać trochę talentu, to Adrast, giermek Filandra, błazen i frant, może na wzór Hiszpanów wymyślony, dość zręczny w swoich wybiegach i wymysłach, a czasem dość zabawny w swoich odpowiedziach. Najlepszy prolog, ułożony do muzyki, rytmem wcale zręcznie zmienianym. Merkur i Kupido zakładają się między sobą o wierność lub niewierność pasterek i pasterzy. Jest to dość obiecujące, i zdaje się, że ci bożkowie będą się wdawali różnymi sposobami w sprawy ludzkie i że zakład rozegra się jakoś. Ale z końcem prologu nie słychać już nic o bożkach, ani o zakładzie, więc nie rozumie się, po co oni byli i po co się zakładali.

Don Alvarez, albo niesforna w miłości kompania, to komedya prozą, z włoskiego podobno przerobiona, ciekawa o tyle, że ma jakieś reminiscencye teatru hiszpańskiego. Czy go Lubomirski znał? czy tylko w swoim włoskim wzorze znalazł jego ślady? Dość, że nietylko ludzie nazywają się *Don*, a rzecz dzieje się w Hiszpanii, ale dwóch służących, Biribis i Gurgiel, wymyśleni są na wzór hispańskiego *gracioso*, a służącą Framuszkę woła ktoś słowem *Muchacha*. Historya bardzo zawiła; dramatycznego zmysłu nic. Don Alvarez, Don Guzman, sułtan Garabuzel, zawsze zapowiadają naprzód, co chcą zrobić, a potem opowiadają, co zrobili. Powtarzań i gadanin bez końca; widocznie autor, choć dobre komedye czytać musiał, a może i widział, nie nabrał wyobrażenia o tem, czem jest komedya. W innej, bez tytułu w rękopisie nam znanym, wziął z Boccaccia nowelę bardzo nieprzyzwoitą, ale bardzo

zabawną, i. zrobił z niej komedyę jeszcze nieprzyzwoitszą, ale bardzo nudną.

Comedia Faceta, prawdopodobnie także nie z własnej inwencyi, tylko przerobiona, mniej od tamtej nieprzyzwoita, ale nie mniej nieudolnie napisana i nudna.

Orfeusz, poemat heroiczny, czy opisowy, czy jak go wreszcie nazwać, opowiada wierszem raczej słabym bez jędrności i życia, smutną historyę Eurydyki, wędrówkę niepocieszonego małżonka do piekieł, wrażenie, jakie on tam swoją lutnią i śpiewem robi na mieszkańcach tej otchłani; Cerber, Charon, Parki, sam Pulton pobudzony do litości i do łez. Oddają Eurydykę Orfeuszowi; w powrocie wiadoma nieostrożność i po niej smutny koniec. Wszystko razem zupełnie obojętne, nie znaczące.

Wiersze pobożne lub filozoficzne, zagadki, epigramaty po różnych rękopisach rozproszone, może nie zawsze słusznie Lubomirskiemu przypisywane, będą ogółem znacznie lepsze od tej komedyi, ale mierne. Z jego poetycznych utworów najlepszy podobno jest *Tobiasz*.

Z prozaicznych najsłabsze są *Adverbia Moralia*. Dlaczego Adverbia? Przysłowiami nie są wcale. Autor zakłada sobie temat jakiś religijno moralny nie przysłowiowo, ale owszem dość nieściśle przez siebie ułożony, i rozwija, dowodzi myśli w tem założeniu zawartej. Jedne z nich są wprost religijne, jak np., że „od Boga jest wszystko,” inne moralne, jak np., że sprawiedliwość we wszystkiem „zachowaną być winna” i że „bez niej nic niema długotrwałego,” inne wreszcie świeckie i filozoficzne, jako to „co jest roztropność a co mądrość i w czem każda z nich polega, co jest stateczność i czem się od uporu różni?” Odpowiedź jest nieraz małą dysertacyą. Nie są to więc przysłowia, tylko małe nauki moralne; Fredro rozśmiałby się z politowaniem, gdyby te *Adverbia* chciał kto mie-

rzyć z jego przysłowiami; do *Monitów* już chyba jeżeli do czego podobne, a i od tych pobożniejsze zapewne, lecz nierównie mniej świetne.

Przejdźmy do rzeczy ważniejszych. Wiek XVI lubił broszury, pisane w formie dyalogów, XVIII w rozmowie dwóch nieboszczyków wyrażał często, co myślał o tym lub owym człowieku, fakcie lub teoremacie moralnym, czy filozoficznym: w XVII dotąd nie mieliśmy dydaktycznego dyalogu, aż się w końcu zjawia u Lubomirskiego. Co myślał o różnych kwestyach, metafizycznych, politycznych, literackich, czy towarzyskich, o duszy ludzkiej naprzykład, o stylu, o sejmach, o sposobie zachowania się z ludźmi, to bez systemu włożył w jedną książkę, połączył za pomocą dwóch przyjaciół, którzy się schodzą i dziś o tem, jutro o czem innem mówią, i to są *Rozmowy Artaxesa z Ewandrem.* Artaxes zaś i Ewander, to dwaj znaczni ludzie, senatorowie zapewne, w wielkiem u króla zachowaniu, którzy się spotykają co dnia w Wilanowie lub w zamku warszawskim, i zdala od dworskiego zgiełku, w ogrodzie lub w ubocznym jakim pokoju, rozmowy swoje prowadzą.

W naszym wieku nazwanoby książkę taką *mieszaniny*, a nietylko pod względem przedmiotów, ale i co do przedmiotów jest ona mieszaniną rzeczy dobrych z paradoksalnemi, dziwacznemi, czasem i śmiesznemi; zniechęcenia i sceptycyzmu z pobożnością i dobrą wolą, rozsądku z paradoksem, głębokiego sądu z naiwnością.

Pierwsza zaraz rozmowa *o Nauce i Prostocie* dowodzi, że nauka niczego nie uczy, chyba złego, że się na nic nie zda, że bez niej jak z nią, owszem łatwiej, będzie człowiek i szczęśliwym i cnotliwym. Jak gdyby Jan Jakób Rousseau, rozprawiający o człowieku w stanie natury i w stanie cywilizacyi, tylko z innego stanowiska; ale niezaprzeczenie znać w tem rozczarowanie, nieufność do swego wieku, jego starań i ich skutków.

Po tej kwestyi wysokiej i trudnej przychodzi inna daleko mniejsza *o Stylu.* Pisarz z XVII wieku mówiący *o Stylu!* to dopiero muszą być fałsze i dziwactwa. Otóż nie; i na wielkie zdziwienie przyznać trzeba, że on tę kwestyę rozumie daleko lepiej, niż wszyscy teoretycy stylu, nasi i francuscy z wieku XVIII i początków naszego, którzy chcieli stylu uczyć i ujmować go w reguły. Lubomirski wie i rozumie, że styl jest coś mimowolnego, wrodzonego, co zapewne może się wyrobić i wydoskonalić, ale czego sobie człowiek nie wybiera; styl znajduje się sam, i sam instynktem rozsądku i harmonii między przedmiotem, a sposobem pisania czy mówienia, stosuje się do tego przedmiotu bez zamiaru i rozumowania tego, który pisze. Ma wiele wrodzonego zmysłu i smaku, jak dowodzi sąd jego o wielu współczesnych. Następują potem opisy stylu historycznego, oratorskiego, stylu w historyach zmyślonych, które *Romaniami* zowią, i wreszcie peetyckiego, wszystko to prawdziwsze i praktyczniejsze, bardziej mogące nauczyć, niż wszystkie tomy, napisane dla nauczenia stylu, począwszy od retorów rzymskich aż do Stanisława Potockiego.

Rozmowa czwarta toczy się o kwestyach politycznych i dowodzi niemałej autora bystrości, nawet doświadczenia w sprawach dyplomatycznych. Mówi on o traktatach w ogólności, o spcsobie ich prowadzenia, o tem, czego potrzeba, żeby układy szczęśliwie doszły do końca. Żadnych niby rad, przestróg i nauk, ale natura rzeczy tak jest dobrze pojęta i przedstawiona, że dyplomata mógłby tam znaleźć nie jedną praktyczną regułę postępowania. Właściwe autorowi niedowierzanie przebija się i tu, kiedy mówi, że wszystkie negocyacye, konferencye i legacye, to łapki i sidła; ale jeżeli jest w tem zbytek nieufności i ostrożności, to jest i prawda. A dalej dokładnie i dowcipnie redukuje powody wszystkich ludzkich układów do trzech rzeczy, potrzeby, nadziei strachu; bystro ka-

że dyplomacie poznać te powody i w każdym wypadku do nich postępowanie swoje stosować. Trafnie uczy, że każdy traktat ma w sobie dwie rzeczy, które znać i rozróżnić należy: interes i pretekst. Albo przestrogi o ostrożności, i kiedy najbardziej ostrożnym być trzeba. Wszystko rozumne, wszystko z doświadczenia wzięte, wszystko praktyczne, aż do tego objaśnienia powodów, dla których traktaty między Polską a Rosyą nigdy trwałymi i szczerymi być nie mogą.

Jednego razu rozmawia Artaxes z Ewandrem o sympatyi i antypatyi. Rzecz ciekawa: plączą się tu jeszcze i astrologia, wpływ planet na ludzi i rzeczy, charaktery ludzkie zależne od planet, pod któremi się ci ludzie porodzili; wszystko jest tu nie wytłómaczone, ale o tyle przynajmniej opowiedziane, że można sobie choć trochę wyobrazić, jak oni w tej mierze rozumowali. Wszystko poparte cytacyami ze sławnych astrologów i magików, jak Mercurius Trismegistes, i mędrców starożytnych, Ptolomeusza, Plutarcha, Pisma św. Wiele ciekawych rzeczy, o antypatyi lwa i koguta, o sympatyi ostryg do księżyca, antypatyi czosnku do magnesu, a wszystko wytłómaczone w swoich powodach, nawet te lekarstwa, z których niewiadomi się śmieją, nazywając je sympatycznemi, mają wpływ na człowieka, bo mają z nim związek jako podległe tej samej planecie. (Konik morski, proszek na rany, kości z syreny). Są nawet sympatyczne czary i uroki jak autor sam doświadczył, kiedy artylerzysta pewien sympatycznym środkiem zepsuł działo nieprzyjacielskie. I nie są to bynajmniej czary; wszystko jest racyonalne, oparte na znanych i dowieść się dających prawach fizycznych.

Szczęściem są rzeczy nie tak zabawne, ale poważniejsze, naprzykład w rozmowie VII, która szuka różnicy między sławą a chwałą. Różnica jest ta, że sławę można sobie zrobić ze wszystkiego, ale chwałę tylko z dobrego, tylko z cnoty. Rozróżnienie jest

bardzo ładne. I zwierzęta bywały czasem sławne, koń Aleksandra, słonie Pyrrhusa, gęsi kapitolińskie; tak i człowiek sławny może być bez wartości i zasługi. Mniejsza jeszcze, jeżeli sława tylko jest marna i zmienna, ale jak często sława bywa złą, a zbyteczna jej miłość do złego wiedzie! Do kogokolwiek autor te słowa ściąga, nie podobna jest czytającemu nie wspomnieć przy tem o jego ojcu, do którego tak dobrze przystają.

Tej materyi blizkie, a odnoszące się bardzo do narodowego usposobienia są rozmowy *o Podejrzliwości* (VIII) i *o Radach* (XI). Podejrzliwość, połączona w naszym charakterze najdziwniej z łatwowiernością, przyprawiła nas nieraz o prawdziwe szkody, i dlatego wszystko co się jej tycze, co ją zgłębić i poznać uczy, jest zajmujące i pożyteczne. Autor wprawdzie ma raczej na myśli podejrzliwość w stosunkach prywatnych, i tu dowodzi ładnie i słusznie, że ufność rodzi wierność, a podejrzliwość od niej uwalnia. O podejrzliwości w sprawach publicznych mówi mniej, a to, co mówi odnosi się raczej do podejrzliwości wyższych względem podwładnych, niż do podejrzywania między równymi sobie lub wyższych przez niższych; tamten zaś rodzaj podejrzliwości jest u nas daleko mniej powszechnym. Jednak jest wiele rzeczy trafnych, które się stosują do wszelkich odcieni tej wady; jest podejrzliwość opisana i jako występek polityczny, i jako źródło niepokoju i niewdzięczności, i wreszcie jako początek bezbożności, „która w podejrzeniu założyła gniazdo swoje.”

W długiej rozmowie o Radach, która już bardzo wyraźnie stosuje się do sejmów polskich, roztrząsa autor to wszystko, co je psuje i bezskutecznemi czyni: jest chciwość, jest niezgoda, jest nieporządek, ale jest i gorsza od wszystkiego ambicya i popularitas.

Idzie zatem opisanie długie przymiotów dobrego radcy (konsyliarza), zakończone mądrą w ostatku nau-

ką, że nie pochlebstwem ani pozorem stoi całość każdej ojczyzny."

Jest jedna metafizyczna i teologiczna rozmowa o duszy, w której autor sili się na zrozumienie i określenie jej istoty, a zaczyna od tego, że dusza, duch i umysł to jedno, uczy, jak ją kształcić, doskonalić, przypomina, że między Bogiem a duszą ludzką jest sympatya taka, jak między naturą a światem. Co mówi dobrego, to dość znane, jednak choć znane, bywa niekiedy dość szczęśliwe, np. w zakończeniu o różnych przeznaczeniach różnych natur i umysłów.

Trzynasta rozmowa o wojskowości, roztrząsa różne kwestye praktyczne, o stosunku piechoty do jazdy i przeznaczeniu każdej z nich, o szyku wojennym, o właściwej każdemu narodowi organizacyi wojska, wszystko zakończone twierdzeniem (w jego czasach bardzo zuchwałem), że wojsko polskie jest najlepszem na świecie, zamyka dzieło, które nie będąc nadzwyczajnem, zawiera przecież i dobre myśli, i trafne spostrzeżenia, i dobre uczucia, dowodzi, że autor był człowiekiem i myślącym i oświeconym; dzieło, którego niektóre śmieszności zajmują i bawią, jako świadectwo wyobrażeń czasu, ale które w całości liczy się przecie do tych rzeczy w podupadłej naszej literaturze, które dowodzą, że była przecież i cywilizacya, i umysłowe zajęcia, i pewna wykwintność w pojęciach i rozmowach. Książka może nie być bardzo zabawną, ale Artaxes i Ewander są niewątpliwie ludźmi rozumnymi i cywilizowanymi.

II.

Klimaktery Kochowskiego. *Commentarius. Dzieło Boskie Wiednia Wybawionego. Psalmodya. Fragmenty* Fredry. Jego charakterystyka. Pamiętniki Paska. Rudawski. Zawadzki. Historya Arcana.

W tym samym roku (1683) wychodzi pierwszy *Klimakter* Kochowskiego, który tylko poezyę swoją ślubował oddać na chwałę Bożą, ale w prozie świeckich rzeczy się nie zarzekał. Niema wątpliwości, że w drugiej połowie XVII wieku on jest u nas najlepszym historykiem.

Dzieła historyczne z tej epoki mają wiele wartości; w swoim rodzaju, są i ważne i dobrze pisane; w porównaniu z epoką poprzednią nie można powiedzieć, żeby kunszt dziejopisarski upadł. Heidenstein miał więcej zdolności i więcej sądu niż Kochowski, Piasecki więcej niż Rudawski, zapewne; ale zawsze to bardzo dobre kroniki współczesnych wypadków, które stoją zaraz obok tamtych i niewiele im ustępują. Ale choć wartość poszczególnych dzieł jest równa lub mało co mniejsza, to przecież zaprzeczyć nie można, że dziejopisarstwo nasze w drugiej połowie XVII wieku jest w upadku; w upadku dlatego, że nie idzie naprzód, lecz zostaje na miejscu, nie kształci się, nie doskonali, nie zmienia, a to *statu quo* jest niewątpliwie i niezaprzeczenie upadkiem. Zwłaszcza jeżeli porówna-

my naszych Kochowskich i Rudawskich z historykami zagranicznymi tego samego czasu. Jest to bowiem chwila, w której dawne kronikarskie pojmowanie i pisanie historyi zaczyna przechodzić w nowe, umiejętne i krytyczne. Dwie rzeczy, które stały się cechą i warunkiem historyi umiejętnej, badanie źródeł i filozofia historyi, w XVII wieku nie były jeszcze do tyla dojrzały, iżby już były wydały owoce, ale już się były rozpoczęły, i już zmieniały powoli cały charakter historyi, jej pojęcia, sposób jej pisania, żądania jakie jej stawiano. Symptomaty tej rewolucyi w historyografii są liczne, a początki tego zwrotu bardzo płodne. Ztąd pochodzą te ogromne prace, na których oparła się cała późniejsza historya francuska, to zbieranie dokumentów przez Benedyktynów z St. Maur; nie robiono z nich użytku, tylko zbierano, kolacyonowano i ogłaszano: przysposobiono materyał dla pisarzy późniejszych (kierunek, który u nas zjawił się w wieku następnym, a reprezentowany był przez Załuskich i ich pomocników uczonych Niemców Mitzlerów, Lengnichów, Braunów etc.). Równocześnie zjawia się nowość, nieznana dotąd w Europie: opracowania historyi starożytnej, lub jej części, historyi rzymskiej, samodzielne i niezależne. Dotąd nawet w epoce Odrodzenia tak zakochanej w starożytności nikt o tem nie myślał. *Discorsi* Machiavella były komentarzem politycznym do historyi rzymskiej, jakoby nauką polityki objaśnioną tym przykładem, ale nie historyą; a cały wiek XVI uczył się historyi starożytnej z Liwiusza, lub mniej uczeni, z tych katalogów królów i cesarzów rzymskich, które się mieściły w różnych kronikach świata, zastępujących historyę powszechną. Za Ludwika XIV zaczynają wychodzić Historye Rzymskie przez nowszych autorów ułożone; dalekie od doskonałości z zapewne, łatwowierne i konwencyonalne, ale pierw sze w tym kierunku badania starożytności, na której znajdą się później dzieła Gibbona, Müllera i wszys

kich tych uczonych, na których pracy opiera się cała dzisiejsza krytyczna znajomość starożytnego świata.

Wreszcie i sama filozofia historyi wychodzi na wierzch. Związana zapewne z tą filozofią prawa i polityki, z tem dociekaniem zasad, którego najświetniejszym wyrazem było dzieło Grotiusa, filozofia historyi nie ujęta w system, ale jest wypowiedziana jako pojęcie i jako pragnienie przynajmniej w dziełach jednego z najpotężniejszych na świecie umysłów, Leibnitza. Systemem zaś filozofii historyi, wyrobionym i zupełnym, jest ten, który rozwija Vico i Bossuet. Można o nim sądzić, co się podoba; Buckle go wyśmiewa, wielu wielbi go jak ostatnie słowo historycznej mądrości. Ale sam fakt, że po dwóch wiekach dzieło to ma i zwolenników i nieprzyjaciół namiętnych, dowodzi, że ono musi być niepospolite, a w każdym razie tego przynajmniej nikt mu nie zaprzeczy, że było pierwszym znanym w Europie, filozoficznym wykładem dziejów świata, w ich głównych zwrotach i zarysach.

Historyografia wieku XVII krzewi się najbujniej i wydaje te nowe gałęzie nie tam, gdzie stała najwyżej w wieku XVI, w ojczyźnie autora Historyi Florenckiej i Rozpraw nad Liwiuszem (Włochy są w tej epoce całe w letargu, i w letargu zupełnym), ani tam, gdzie w wieku następnym umiejętność i krytyka historyczna miała stanąć najwyżej, w Niemczech, ale w tym kraju, który literaturą swoją panował podówczas nad całą Europą, we Francyi, za którą w drugiej linii idzie Anglia; ta znowu, zgodnie ze swoją naturą i stałym swoim zwyczajem we wszelkich kierunkach życia, praktyczna i poczynając zawsze od siebie, nie troszczy się ani o Rzymian i Greków, ani o dociekanie myśli Bożej w historyi, ale pierwsza w Europie zdobywa się na dobrą i zupełną historyę własną. Włochy nie miały jeszcze włoskiej, ani Francya francu-

skiej (prócz kronik), a historya angielska Hyda do dziś dnia uchodzi za klasyczną.

Wchodzi więc historya w Europie na nowe tory i robi bardzo znaczny postęp, stanowczy krok ku staniu się umiejętnością. U nas tego postępu nie robi, o tej nowości wiedzieć nie chce, a więc zostaje w tyle za drugimi. W ogóle dziwnym jest faktem, że kierunek filozoficzny, który w XVII wieku objawia się i w nauce prawa, i w historyi, i wreszcie w postępie samej filozofii (Descartes i Leibnitz), tak mało u nas jest widoczny. Nie wiele zapewne mamy go w naturze; ta epoka, tak zajęta czynnem życiem i zapełniona klęskami, sprzyjać mu nie mogła; wreszcie zwykle się tak dzieje, że nowe kierunki naukowe, literackie, polityczne, do nas dochodzą później, nie można się więc dziwić. Ale nie można też zaprzeczyć, że to dowodzi, iż Polska była się oddzieliła, odczepiła jak łódź, idąca za okrętem od głównego ruchu umysłowego w Europie; została sama, bez kierunku, nie narażona na burze, bo ich w tej sferze literackiej nie było i bezpieczna od rozbicia, ale zostawiona na wodach, wśród wielkiej morskiej ciszy, tak, że wody były jak stojące, a łódź jak stanęła na miejscu, kiedy okręt popłynął dalej, tak z niego nie ruszyła, i przez długie lata, przez wiek cały z górą, żeglarz, któryby chciał był jej położenie oznaczyć, byłby musiał zapisać, że po każdym dniu, po każdym roku, z niej widać zawsze jeden i ten sam horyzont. Ona się kręci i kołysze ale zawsze na jednem miejscu, zawsze naokoło siebie.

Jednak ta stojąca na miejscu historyografia polska wydaje dwa dzieła wielkiej wartości, dwie historye współczesnych wypadków, podobne wprawdzie do dawniejszej kroniki, nie zaś do nowszej historyi, ale ważne jako źródła informacyi, ciekawe jako świadectw ówczesnych usposobień i jako opowiadanie, dowodzą niepośledniej u autorów dziejopisarskiej zdolności, m dzy sobą bardzo różne, a przez to tem lepiej służące

bie za uzupełnienie, Kochowskiego *Klimaktery* i Rudawskiego *Historyę Polską od śmierci Władysława IV do Pokoju Oliwskiego* czyli *Dzieje Panowania Jana Kazimierza.*

Kochowski nie wznosi historyi na wyższe i nowe stanowisko, ale poniżej nich stoi dość wysoko, choć nie na równi z Heidensteinem i liczy się do najpoważniejszych historyków dawnej Polski. Jego Klimaktery są historyą Jana Kazimierza, napisaną przez współczesnego świadka, historyą bardzo obszerną, bardzo dokładną (choć nie w zupełności dokładną), pisaną bardzo uczciwie i bardzo starannie, i wreszcie pisaną z życiem, z pisarskim talentem.

W nawiasie mówiąc, jego usposobienie poetyczne odezwało się w tytule: Klimaktery, siedmioletni okres lat nieszczęśliwych, po których następował drugi i trzeci, każdy równy co do liczby lat, a co jeden to nieszczęśliwszy. To stopniowanie nieszczęścia, połączone z tajemniczą kabalistyczną siódemką, działało na jego wyobraźnię, wydało mu się czemś fatalnem, przeznaczonem z góry, tajemniczem. Istotnie co siedm lat schodzi Polska w coraz głębszą przepaść nieszczęść; Klimakter pierwszy (1648 — 1655) obejmuje wojny kozackie: te się kończą, lub prawie kończą, przychodzą gorsze, szwedzkie, moskiewskie i Rakoczego. A gdy się uspokoiły, gdy symboliczna Oliwa zdawała się zwiastować pokój, przyszło największe złe, bunt wojskowy i wojna domowa. Te trzy Dantejskie sfery historyi współczesnej obejmuje Kochowski w trzech tomach swego dzieła, z których pierwszy kończy się wypowiedzeniem wojny szwedzkiej, drugi pokojem oliwskim, trzeci abdykacyą Jana Kazimierza. Czwarty, opisujący panowanie Michała, w druku wyszedł dopiero przed niedawnym czasem.

Jakież są przymioty i jakie wady historyi Kochowskiego?

Między przymiotami w pierwszym rzędzie stoi ten,

że nikt aż do ostatnich lat (do Walewskiego) nie napisał tak obszernej historyi Jana Kazimierza. W tej obszerności najwięcej miejsca zajmuje, najbardziej jest wypracowana i najobfitsza w szczegóły historya wojskowa; mniej już, ale jeszcze dokładnie traktowana historya sejmów; strona dyplomatyczna bardzo zaniedbana, prawdopodobnie autorowi nieznana. Ale co do pierwszej, nawet drugiej, od żadnego z dawniejszych historyków nie można się tyle o ówczesnych wypadkach dowiedzieć, co od niego.

Powtóre, choć pisze jak kronikarz, choć jest naiwny bardzo i obyczajem wieku opisuje wszystkie dziwy i *signa*, zapowiadające klęski publiczne, choć wspomina z przerażeniem komety, a cóż dopiero łzy Najśw. Panny w cudownym obrazie Dzierzkowskim, Studzienickim i t. d. — to swoje zadanie pojmuje poważniej, głębiej, niż kronikarze zwykli. W przedmowie do drugiego Klimakteru, naprzykład, prosi swoich czytelników, aby jeżeli chcą, żeby trzeci doszedł szczęśliwie do skutku, przysyłali mu jakie kto ma dokumenty do tych lat; cytuje źródła, z jakich czerpał, autorów, którymi sobie pomagał; akta często podaje w oryginale i w całej osnowie; znać, że nie pisał od niechcenia jak dyletant, piszący z pamięci, jak zwykle szlachcic pisał dyaryusze, ale z wielkiem i sumiennem staraniem, z dobrem zrozumieniem tego, czego potrzeba do pisania historyi.

Dalej, nie jest on zawsze sprawiedliwy, ale jest bardzo sumienny i uczciwy. Jeżeli co przedstawi inaczej, niż rzeczywiście było, to dlatego, że nie wiedział, nie znał prawdziwego stanu sprawy, nie żeby był chciał naciągać lub przekręcać. Owszem, on stara się usilnie o sprawiedliwość i bezstronność. Co do bezstronności, tej przestrzega jak gdyby był żył w XIX wieku i nasłuchał się o „objektywnem" pisaniu historyi. Nie lubi odzywać się ze swoim sądem, o ludziach zwłaszcza zdania swego nie rad wyjawia; powie co ten

lub ów zrobił, ale sąd zostawia najczęściej czytelnikowi; w rzadkich tylko i niewątpliwych razach, gdzie dwóch zdań być nie może, tam zgani i potępi energicznie. Inaczej wstrzymuje się od nagany, a przynajmniej miarkuje w wyrażeniach.

Jest przytem bardzo spokojny, wolny od namiętności, w wyrażeniach bardzo parlamentarny. O wszystkich, nawet o tych, których nie lubi, mówi poważnie; źle tylko o takich, o których istotnie nie miał nic dobrego do powiedzenia, a i wtedy jeszcze oddaje im sprawiedliwość, jaka im się należy, naprzykład rozumowi i zdolności Krzysztofa Opalińskiego. Szlachetniejszych, nawet kiedy nie kocha, umie szanować; najlepszy dowód na królowej. Że jest przeciwko niej uprzedzony, to widoczne ze wszystkiego; jej przypisuje pomysł wyznaczenia następcy za życia króla, wpływ wielki a szkodliwy na tego ostatniego, *krzywdy* Lubomirskiego, słowem, wszystkie nieszczęścia trzeciego klimakterycznego okresu. Przecież nie znajdzie się u niego ani jedno słowo obelżywe lub namiętne, ani jedno posądzenie o jakieś brzydkie pobudki, a nietylko jest uznanie dla jej dobrych chęci i uczynków, gdzie je jako takie pojmuje, ale sprawiedliwość swoją posuwa tak daleko, że opowiada szczegóły, które łatwo mógł pominąć, a które bardzo świadczą o szlachetności jej charakteru.

Słowem, ma bardzo poważne i wysokie pojęcie swego zadania jako historyka i wypełnia je jak może najsumienniej, najuczciwiej.

Jego sposób pisania także ma wielkie zalety. Jest bardzo prosty, bardzo skromny i poważny. Żadnych niepotrzebnych dygresyj, żadnych gadanin, uwag bardzo mało, a co powie, to z małymi wyjątkami wszystko potrzebne, wszystko należy do rzeczy. Opowiada przytem żywo, zajmująco; nie wpada nigdy ani w patos i liryzm, ani w trywialność, w ton nizki i styl zaniedbany. Żałowałoby się bardzo, że swojej historyi

nie napisał po polsku, gdyby znając jego styl w prozie, zły i bardzo makaroniczny, nie przyszło uznać, że przyjemniej już może czytać rzecz napisaną zupełnie po łacinie, niżeli niesmacznym, mieszanym, pół łacińskim pół polskim językiem.

Z tymi przymiotami dzieło jego ma wielką wartość. Dwom pierwszym Klimakterom istotnie bardzo mało można zarzucić; zapewne historyk genialny byłby to samo zrobił lepiej, ale z tym stopniem talentu trudno było dokazać więcej. O małe naiwności, o płaczące obrazy, komety, lub nadzwyczajne jakieś wydarzenia, gniewać się na niego nie będzie nikt, kto pomyśli, że on jest ostatnim z kronikarzy i jednym z bardzo dobrych, ale zawsze tylko kronikarzem. Żądałoby się zapewne wyraźniejszej i obszerniejszej charakterystyki osób, ale brak jej tłómaczy się tym samym powodem, kronikarstwem; i tem może, że, pisząc współcześnie, częścią może nie śmiał, częścią nie potrzebował opisywać ludzi, których wszyscy znali. Że rozumiejąc dobrze złe skutki zrywania sejmów, nie więcej zwraca uwagę swego czytelnika na sejm roku 1652, to jest dziwne. Że strony dyplomatycznej tych wypadków nie zna i nie opisuje dostatecznie, to jest złe, ale naturalne. Pisząc i żyjąc na wsi, zdala od środka tych spraw, nie mógł ani ich dobrze znać, ani o nich wszystkiego wiedzieć, tem bardziej, że korespondencya zagraniczna czy dworu polskiego, czy dworów obcych między sobą lub ze swymi posłami ogłaszaną nie była. Wie też on ogólnie o antagonizmie Austryi i Francyi, o stosunkach przyjaznych Francyi do Szwecyi, wie, że Lisola prowadził w Warszawie interesy cesarza, a de Lumbres francuskie, ale całej negocyacyi polskiej czy w Wiedniu w sprawie posiłków, medyacyi w wojnie moskiewskiej i elekcyi, czy w Paryż w sprawie tejże elekcyi i medyacyi w wojnie szwedz kiej, czy wreszcie najmądrzejszej ze wszystkich pol tyki elektora, on w całym ciągu i w szczegółach oı

wiedzieć nie umie. Ale z tem zastrzeżeniem nie wiedzieć co mu zarzucić. Wojnę kozacką i szwedzką możnaby zapewne opisać świetniej, ale opisał ją bardzo dobrze.

Najbardziej może zajmujący, ale najbardziej podlegający krytyce, jest Klimakter trzeci.

Opowiada on sprawę wyznaczenia następcy za życia króla, i sprawę Lubomirskiego. Przy tej sposobności pokazują się wyraźnie dwie wady autora: jedną jest brak jasnego zdania, drugą łatwowierność i niedostateczna znajomość spraw, o których pisał.

Co do pierwszego, jest wielkim przeciwnikiem wyznaczenia następcy. To mu wolno; pojmował całą sprawę, jak wielu, niestety, pisał jak pojmował; oddzielić jego sposób widzenia od rzeczy opowiadanej łatwo, a opowiada ją i obszerniej i lepiej od innych. Sejm roku 1661 mianowicie, opisany jest żywo i bardzo zajmujący, prawie dramatyczny. Gdyby był zupełnie i absolutnie przeciwnym owej sprawie, nie byłoby mu nic do powiedzenia. Ale to gorzej, że on naprawdę sam nie bardzo wie, czego chce i co dworowi zarzuca, że jest, jak wszyscy inni, zbałamucony; co więcej, wie przez kogo, wyznaje to naiwnie, a pomimo to, na oczywistość oczu otworzyć nie chce. Sprawa następstwa jest podług niego źródłem wszystkiego złego, związek wojskowy, wojna domowa, wszystko z niej wyszło; ale z drugiej strony nie można znów twierdzić, żeby dwór zupełnie nie był miał słuszności; kto wie, może pomysł sam był niezły? A więc o cóż chodzi i dlaczego ten niezły pomysł miał być źródłem wszystkiego złego? A bo dwór forytował Francuza, a powinien był, chcąc myśl swoją przywieść do skutku, zostawić stanom zupełną wolność co do osoby kandydata. Ależ ją zostawiał! miał swego kandydata i popierał go usilnie, ale oświadczał uroczyście, że zgodzi się na każdego, którego sejm przyjmie, i byłby tej obietnicy święcie dotrzymał. Widzi się prawie, jak się to wszystko od-

było: sprawa następstwa była daleko posuniętą, senat w połowie przynajmniej przychylny, szlachta niepewna, wahająca, ale przypuszczająca jednak w zasadzie, że może byłoby to i dobrze; skutek możliwy, prawdopodobny. Wtedy miesza się w to wszystko wpływ obcy (Kochowski przyznaje wyraźnie, że pierwszy popęd do opozycyjnego ruchu, pierwsze ostrzeżenie o zamierzonym zamachu na polską wolność wyszło od posłów zagranicznych) i wpływ ten działa zręcznie: nie uderza wprost na zasadę łatwiejszą do obronienia i mającą wielu zwolenników, ale uderza z boku, w szczegół, w kandydata: „Jakto? mają upatrzonego, gotowego, co za niecna intryga, co za bezprawie, co za lekceważenie waszych praw i przywilejów". Budzi się podejrzliwość szlachty, niezmiernie o swój wpływ i swoje prawa zazdrosnej; podejrzliwość pomaga łatwowierności; dalej idzie trwoga o przyszłość, „cóż to będzie jak ten król zasiędzie na tronie, kiedy przed elekcyą już dla niego podchodzą nas i gwałcą nasze wolności!" a krzyk powszechny, coraz większe się nim odurzenie, i właściwa krzykom takim zaraźliwość, sprawiają resztę. I tym sposobem polityka austryacka pozbyła się króla Francuza w Polsce, ale Polska została z *Liberum Veto* i z bezkrólewiami. Tego Kochowski nie widzi i nie rozumie; innych sądzić nie może, bo jest sam w błąd wprowadzony, jak wszyscy. Brakło mu sądu, brakło mu bystrego poglądu na rzeczy. Długosz lub Heidenstein, byłby to lepiej ocenił. Ten dlatego może nie mógł ocenić, że był w masie ówczesnej szlachty, na tym samym poziomie, co ona. Że zaś nie ocenia, to mu zapewne uwłacza jako historykowi, ale dodaje może zajęcia jego książce, bo na jego wyobrażeniach można poznać wyobrażenia innych, opinię powszechną i domyślać się, jakiemi drogami dochodziła do swego nieszczęsnego zaślepienia.

W sprawie Lubomirskiego znowu Kochowski poprostu nie wie, co się działo. Że nie wie, to nic dziwne-

go; trudno, żeby mógł był znać wszystkie konszachty pana marszałka z dworem austryackim. Gdyby je był znał, byłby z pewnością sądził i pisał inaczej; nie znając, i wierząc dobrodusznie, że wszystko tak było, jak się z pozoru wydawało, nic dziwnego że całą sprawę przedstawił fałszywie. Jest tedy podług niego pan marszałek koronny najniewinniejszą ofiarą gniewu i zemsty dworu, który zdawna niechętny, zazdrosny jego stanowiska, znaczenia, miłości, jaką miał u ludzi, nie mógł mu darować szlachetnego jego oporu przeciw zamierzonemu zamachowi stanu, i z pogwałceniem prawa, skazał go niesłusznym wyrokiem, przez najemnych i niesumiennych sędziów. Że dwór (zwłaszcza królowa ze swoim temperamentem) mógł być doprowadzony do najwyższego stopnia namiętności przeciw człowiekowi, który odstąpił go w myśli, która mu była najdroższa, to naturalne; a prócz tego całe postępowanie Lubomirskiego musiało ich draźnić, każdy krok był wyzwaniem lub ubliżeniem. Ze słów jego stronnika i obrońcy, Kochowskiego, widać jak Lubomirski lubił dać uczuć królowi swoją siłę, i jakie przybierał trybuńskie tony i postawy. Odwołanie części wojska w chwili, kiedy król szedł na wyprawę moskiewską, albo ogłoszenie pospolitego ruszenia przeciw Tatarom, kiedy ci Tatarzy byli sprzymierzeńcami w tej wojnie, to dość żeby kogoś oskarżyć o zdradę stanu i skazać. Dopiero ten tryumfalny wjazd do Lwowa, ta rola pacyfikatora i dobroczyńcy, którą grał Lubomirski naprzeciw króla przy układach ze związkiem wojskowym; to rozgłaszanie drukiem i rozrzucanie po świecie wszystkich swoich przemów opozycyjnych, zwykła taktyka ludzi, goniących za popularnością. Wszystko to mogło dwór pozbawić zimnej krwi i cierpliwości. Co dziwniejsze, to, że cała ta szlachta ówczesna, Kochowski z nią, wiedziała, że Lubomirski dla zdrowia wymówił się od wyprawy moskiewskiej, a przez ten czas prowadził werbunki dla cesarza (w Rzpltej, będącej w stanie wojen-

nym i bez pozwolenia króla); że się układał z cesarzem o przyjęcie dowództwa, kiedy nie szedł na wojnę w Polsce; a to wiedzieli, skoro Lubomirski sam przyznawał. Że wiedząc to, mogli stać po jego stronie i uważać go za niewinnego, to byłoby zupełnie nie do pojęcia, gdyby nie znana płytkość i niekonsekwencya sądów opinii ludzkiej. Że cesarz ukazywał Lubomirskiemu nadzieję korony, a Lubomirski uległ pokusie, o tem musiał nie wiedzieć sam dwór (gdyby był wiedział, byłby i wyjawił), a cóż dopiero cała masa narodu. Ale to, co było wiadomem, mogło i powinno było Kochanowskiemu wystarczyć, żeby go sądził inaczej.

Mylne przedstawienie tej sprawy, brak zdania (nieraz, ale głównie w sprawie następstwa tronu), nieznajomość czy zaniedbanie dyplomatycznej strony wypadków, które opisywał, niedostateczna charakterystyka ludzi (bo Lubomirskiego, naprzykład, charakteryzuje wprawdzie wyraźnie, ale inaczej, niż myśli i chce, bez swojej wiedzy i woli) i wreszcie przestawanie na pozornych najbliższych przyczynach w przedstawieniu faktów, to są Kochowskiego wady jako historyka. Jego zalety są: dobra wiara, sprawiedliwość, umiarkowanie, pracowitość i usilność, mnogość, a często choć nie zawsze dokładność informacyj, i wreszcie dobry, prosty, żywy sposób pisania.

Niepospolity jednak musiał być człowiek, o którym trzeba powiedzieć, że był najsympatyczniejszym poetą swego czasu i jego najlepszym historykiem. Ten czas był zły dla literatury, a w królestwie ślepych i jednooki może być królem? Prawda. Jednak zdolność tak rozległa, a w obu kierunkach niepoślednia wcale, w każdym czasie byłaby godną uwagi i rzadką; wiek XVI ani XVIII tego rodzaju pisarza nie mają. Dlatego należy Kochowski do bardzo szanownych i do wyższych figur w naszej dawnej literaturze, a przez to, że najlepiej odbija w niej patryotycznego i religijnego ducha XVII wieku, że jego poezya najbliższa jest tego

uczucia, które wydało wojnę chocimską i wiedeńską, należy do pisarzy bardzo sympatycznych. Jako poeta ma w małym zakresie talent miły i dużo uczucia, jako historyk jest ostatnim co do czasu, ale jednym z lepszych co do wartości kronikarzy; czas swój reprezentuje doskonale, tak z dobrych stron jak i pod względem błędnych wyobrażeń politycznych; czegóż więcej żądać? Zrobił co mógł, zrobił wiele, można się z niego wiele nauczyć i nieraz się nim ucieszyć. Szczęśliwy ten pisarz, o którym jest tyle dobrego do powiedzenia.

I teraz właśnie, kiedy pierwszy tom jego historyi wychodzi z pod prasy, zdarzyło się to, co miało wstrząść jego duszę rozkosznym dreszczem tryumfu i chwały. Właściwie on jest poetą wyprawy wiedeńskiej. Jest i jej historykiem, i to oficyalnym, skoro go król wziął z sobą na to, by wojnę opisał. Jego *Commentarius belli adversus Turcas* (*1684*) jest bardzo porządnem, dobrem opowiadaniem tej sprawy, choć oczywiście dla nas nie może mieć takiej wartości jak *Klimaktery*. W poezyi swojej zostawił dwie pamiątki wyprawy wiedeńskiej; jedną jest *Dzieło Boskie*, drugiem *Psalmodya*.

Dzieło Boskie Wiednia wybawionego i t. d. (1684) ma te same zalety co *Kamień świadectwa* i podobną wadę. Wadę w mniejszej mierze; tam jest tylko piękny wstęp i do niego przyczepione zakończenie,—tu między początkiem a końcem jest środek, jest opowiadanie, jest więcej proporcyi i treści. Ale i tu, po wstępie, który mógłby należeć do jakiego bohaterskiego poematu (Inwokacya i pięć strof pierwszych), reszta brzmi jak prosty wiersz pochwalny. Niebrzydki wcale; miejscami istotnie piękny, jak naprzykład trzy strofy o Polsce i jej królu, kiedy uciśniony Wiedeń prosi ich o ratunek, albo wróżba Dunajskiej Nimfy dla wojska i wodza. Ale po wstępie można było się spodziewać epopei, nie ody czy elegii o wyprawie wiedeńskiej. Sam

opis bitwy, znowu zakrojony na epiczny, ale nie rozwinięty, ma piękne urąganie uciekającemu wezyrowi, ma jedno porównanie przypominające klucznika i wilka zaskoczonego przy ścierwie z *Pana Tadeusza*; ale to wszystko jest za pobieżne, to nie są obrazy i sceny, tylko wzmianki. Przecież jest to wiersz najpiękniejszy, jaki współczesna Polska napisała o swoim „europejskim czynie", najszlachetniejsze słowo zapału i wdzięczności, na jakie zdobyła się dla ostatniego Króla-Rycerza.

Wreszcie, ostatnie, a ze wszystkich najbardziej oryginalne, najbardziej sympatyczne dzieło religijno-patryotycznej poezyi Kochowskiego: *Trybut należnej wdzięczności wszelkiego dobra Dawcy, albo Psalmodya polska przez jedną najlichszą kreaturę napisana* r. P. 1693 (wydana 1695). Jest to niby parafraza psalmów, w liczbie trzydziestu sześciu. Pierwsze wiersze każdego trzymają się oryginalnego tekstu; ale po takim początku odstępuje autor od swego wzoru, a w jego formie tylko mówi rzeczy zupełnie własne, różnej treści. Są ogólne o dobroci Boga lub grzechach człowieka, są osobiste, w których autor oskarża się ze skruchą, albo dziękuje pobożnie za wszystko dobre, jakie miał z łaski Bożej. Ta prostota biblijnego stylu, ten ton psalmowy, zastosowany do poezyi świeckiej, wydaje nam się wynalazkiem naszego wieku. Tymczasem, choć ani Brodziński, ani Mickiewicz, ani Słowacki *Psalmodyi* z pewnością nie znali, pokazuje się, że rzecz była znana: że ten stary poeta wpadł na ten sam pomysł, że kiedy mu serce wezbrało patryotycznem uczuciem, wyrażał to uczucie tak, jak oni, i znajdował ten sam ton. Psalm V „Dobrodziejstwa Boskie nad Koroną Polską wyliczający", brzmi zupełnie jak kartka z „Poselstwa z Ziemi Ucisku"; dłużej tylko, ale zresztą zupełnie tak przypomina Brodziński historyę polską.

Wyraźniejszem jeszcze staje się to pokrewieństwo natchnień, kiedy Psalmy Kochowskiego stają się wprost

modlitwą za ojczyznę w jej potrzebach i uciskach, lub upomnieniem na złych. Psalmów takich są dwie grupy: jedne odnoszą się do bezkrólewia po Janie Kazimierzu i elekcyi Michała, drugie do wyprawy wiedeńskiej.

Niektóre są prawdziwie wspaniałe, naprzykład VII, „praktykom i konkurencyom na Elekcyach aplikowany”, albo XI „na mieszania i rozrywania sejmów”. Takiego głębokiego, majestatycznego tonu nie ma podobno ani rzewny i poetyczny Anhelli, ani głębokiej prostoty Poselstwo, ani zwłaszcza sztuczne w prostocie swojej Księgi Pielgrzymstwa. Dlaczego? Powód jest jasny. Tamci to poeci literaci, piszący broszury w stylu Ewangelii, broszury może bardzo dobre, ale zawsze świeckie i pisane z myślą literacką, której żaden z nich, nawet Mickiewicz, choć nią tak gardził, pozbyć się nie mógł. Tu jest prosty człowiek, który się modli tylko, o niczem innem nie myśli, a ta serdeczność i szczerość modlitwy daje mu taką powagę, że sam styl jego przypomina niekiedy Skargę (Psalm XIV, XV).

Śliczny jest Psalm VIII, „prośba o dobrego Pana podczas Interregnum”. IX, o elekcyi, także taki wspaniały, że przystałby raczej po elekcyi jakiego Stefana, nie biednego Michała.

Grupa wyprawy wiedeńskiej rozpoczyna się psalmem z powodu komety z roku 1680, idzie za tem XXII „na wyjezdnem pod Wiedeń Najj. Królowi”, modlitwa z jakimś biblijnym akcentem przypominająca hymny Debory i Baraka; a piękniejszy jeszcze może następny: „Votum ludu za odjeżdżającym Królem”.

O zwycięstwie samem są dwa (XXV, XXVI), pierwszy słabszy, ale drugi pyszny. Same opisy, same szczegóły czy boju czy łupów, nabierają pod jego piórem jakiegoś wielkiego charakteru, jak się to zdarza u hebrajskich proroków. „Złotem tkane namioty stały jak buda w sadzie, w której pilnowano jabłek” i t. d.

Psalm XXX, na spotkanie króla z cesarzem (na

tekst: Ecce quam bonum et quam jucundum) słabszy; oczywiście fakt mały nie mógł wzbudzić tak poważnego natchnienia. Również też XXXI, o bitwie pod Parkanami i XXXII na wyjście wojsk polskich z Węgier, gdzie ton radości i tryumfu nie zupełnie już odpowiada rzeczywistości. I król i wojsko wracali nie w tem już upojeniu zwycięstwa, w jakiem byli pod Wiedniem. Ostatni dopiero, „Wyznanie Opieki Boskiej nad Koroną Polską", piękny bardzo, trafny w myśli, sprawiedliwy w uczuciu, bardzo poważny i wysoki w tonie.

Dziwna rzecz jak te Psalmy Przeszłości wiele mają pokrewieństwa z nowszą poezyą patryotyczną, która się kończy na Psalmach Przyszłości. Ten sam patryotyzm religijny i patryotyczna religijność, to samo pojęcie Polski jako jakiegoś wybranego w ręku Boga narzędzia, te same dla niej reguły życia, to samo upodobanie w zbliżaniu jej losów do losów Izraela i ustawiczne jego wspomnienia, nawet forma podobna. Tutaj wszystko jest prostsze; nie ma tego mistycznego zatopienia się w przyszłości, co u naszych nowszych poetów, bo i człowiek był prostszy, i o teraźniejszości, o rzeczach dotykalnych mówił; ale duch jest ten sam. Czy te Psalmy Kochowskiego dowodzą wielkiej zdolności poetycznej? Zapewne nie; ale dowodzą wielkości serca, dowodzą duszy czystej i gorącej, żywej i szczerej miłości Boga i ojczyzny, i są najszlachetniejszem słowem ówczesnej literatury, jedynem obok „Lamentu" Starowolskiego godnem położenia, godnem wszystkich nieszczęść ówczesnych. A Kochowskiemu należy się ta chwała, że choć może nie najlepiej je widział, to musiał z pisarzy tej epoki cierpieć nad niemi najwięcej, skoro mówił o nich najpoważniej i najwznioślej. Najdumniej też i najsilniej odbija on w swojej poezyi, w tych Psalmach mianowicie, te uczucia tryumfu i radości z siebie, jakie naród mieć miał prawo i mieć był powinien w ostatniej pięknej i wielkiej chwili swojej

dawniejszej historyi, najwymowniej daje świadectwo ostatniemu w Europie rycerzowi.

Z tych względów Psalmy te, i cała poezya Kochowskiego, mają wielkie znaczenie w historyi naszej literatury.

Nie jest to wielki poeta, ale ze wszystkich, jacy byli w tym przeciągu, najmilszy. Zazwyczaj przyznaje się więcej talentu Morsztynowi i Potockiemu. Być może; jednak zdaje mi się, że w Lirykach Kochowskiego jest więcej uczucia, niż w wierszach tamtego, a i forma jeżeli nie lepsza, to pewno nie gorsza. A przytem jest od Morsztyna daleko bardziej sympatyczny; natura prosta, życie jasne i czyste, żadnej roli w historyi wprawdzie, ale też i żadnego zarzutu. Mniej zapewne rozumu (zwłaszcza politycznego), mniej ogólnego wykształcenia, ale za to nic cudzoziemskiego; natura, życie, pojęcia, poezya, wszystko szczero, czysto, typowo polskie. Wacław Potocki te przymioty miał, ale Kochowski miał, czego tamtemu brakło: zmysł artystyczny. *In magnis voluisse sat est*, a w poezyi, kto choć w całości chybił, ale napisał ustępy godne wielkiego przedmiotu, ten musiał mieć zdolność prawdziwą? Ale ten będzie zawsze wyższym, kto naturę swego talentu znając i na wielkie rzeczy się nie zrywając, w mniejszych potrafił być doskonalszym od wszystkich współczesnych. *Wojna Chocimska* jest nudna, Kochowskiego można zawsze z przyjemnością przerzucać; a co do natchnienia poetycznego i patryotycznego, to te małe wierszyki mają tyle siły i powagi, tyle głębokiego uczucia, że postawione obok najlepszych ustępów Wojny Chocimskiej z pewnością nie straciłyby na porównaniu. O tem już nie mówimy, że Kochowski w całem swojem życiu nie napisał nic tak złego jak Nowy Zaciąg, ani tak niesmacznego jak Ogród nie plewiony.

Ładna to i ciekawa figura tego ziemianina, który za młodu, od niechcenia, nie mając o sobie wysokiego wyobrażenia, naśladuje Horacego, i pisze światowe

pieśni, nie domyślając się, że pisze najlepsze polskie wiersze swego czasu; potem dojrzalszy odkłada na bok te marności, a nie mogąc obejść się bez wierszy, pisze je na chwałę Bożą, i wtedy tylko do świeckich natchnień powraca, kiedy jego rycerskie, polskie i katolickie serce zadrgało tryumfem, który był i ostatnią chwałą Polski, i ostatnią wojną chrześcijańską, ostatnią dla chwały Bożej i o chwałę Bożą w Europie. Niepospolita też musiała być i zdolność człowieka, który był razem i najsympatyczniejszym swego czasu poetą, obdarzonym i natchnieniem i nieostatnim zmysłem artystycznym, a zarazem był i historykiem, nie doskonałym zapewne, ale podobno także najlepszym, jakiego Polska przez pół wieku wydała. Spadkobierca Kochanowskiego (jedyny prawdziwy), z natury, z życia, z wyobrażeń typowy szlachcic, uprzywilejowany, a można powiedzieć jedyny poeta wyprawy wiedeńskiej i smutnych Kazimierzowskich czasów, których także pisze historyę, jest Kochowski przez swój zapał religijny i patryotyczny, jednym z najszlachetniejszych reprezentantów chrześcijańskiego, rycerskiego i szlacheckiego ducha Polski w XVII wieku, a pomiędzy Kochanowskim a Krasickim, najgodniejszym reprezentantem poezyi polskiej.

W roku 1685 wychodzą *Fragmenta* Fredry. Zdaje się, jak gdyby on był myślał o jakiemś wielkiem dziele politycznej treści, w którem mieściłyby się i niezmienne aksyomaty dla wszystkich czasów i krajów, i przystosowanie ich do Polski i jej danych okoliczności, słowem, cała jego mądrość polityczna. Zaburzenia, wojny, przeszkody różnego rodzaju, nie dały mu wykonać zamiaru, jak mówi w przedmowie: i puścił w świat książkę, która jest zbiorem nieuporządkowanych zapisków, materyału, który potrzebowałby być przelanym gdyby miał złożyć dzieło zupełne i organiczne. Ale takie jak jest, podchlebia sobie autor, przydać się przecie może.

Rzeczywiście, ma ono wiele wartości. Zawiera wiele myśli mądrych, wiele spostrzeżeń i rad bardzo trafnych, zawsze prawdziwych, wiele doświadczenia i znajomości świata, wiele nadewszystko zdrowego rozsądku. Powtóre jest to krótki ale bardzo dokładny zbiór wszystkich własności i sprzeczności tej dziwnej głowy i tego charakteru. Obok trzeźwości i ścisłości rozsądku, paradoksalność, która niewiedzieć jak z tem w parze iść może; obok uczciwości i sumienności bardzo drażliwej, co więcej, obok pobożności surowej i wymagającej, jest i chytrość i zalecanie bez najmniejszego skrupułu środków działania niezupełnie honorowych lub zupełnie niepięknych, naprzykład: poseł na swojej dyplomatycznej posadzie ma takich używać jako najdzielniejszych środków. Wreszcie ciekawe są Fragmenta jako teoretyczny komentarz do pewnych aksyomatów ówczesnej polityki polskiej, takich jak *Liberum Veto*, elekcya, dwuletnie sejmy, brak fortec, brak stałego wojska, nawet brak skarbu. Wszystkie te nieszczęsne obłędy wywiedzione tu są z gruntu, i bardzo poważnie, filozoficznie dowodzone.

Pierwszy z tych Fragmentów ma wystawiać wzór chrześcijańskiego książęcia (*Principum Christianorum Norma*), dwudziestoma i trzema monitami objaśniony, do którego wszyscy stosować się mają, a przed wszystkimi zwłaszcza królowie polscy. Dla ich to nauki i na ich pożytek pisane. Jest tu wiele rad dobrych; wogóle panujący więcej mógłby się z tego nauczyć i skorzystać, aniżeli z większej części rozpraw XVI wieku o obowiązkach królewskich, bo mniej tu mowy o abstrakcyjnych doskonałościach króla, a więcej praktycznie o tem, co on ma robić; ale nowych odkryć, rzeczy nieznanych tu niema, większość tych rad znajdzie się w dawniejszych statystach zagranicznych, od Macchiavela począwszy. Są niektóre nauki bardzo łalne, naprzykład: o pobożności króla, która tem się óżni od pobożności prywatnego człowieka, że ta może

pofolgować wrodzonemu popędowi tego uczucia i ukrywać się, kiedy król w pobożności swojej, w wykonywaniu swoich religijnych praktyk i obowiązków, powinien być jawnym i widzianym; modlić się, pościć, przyjmować Sakramenty tak, iżby wszyscy wiedzieli, że Boga czci a przykazań Kościoła słucha. Nadewszystko zaś niech nie daje wiary tym subtelnym pseudopolitykom, którzy podstępnemi racyami dowodzą, że *Ratio Status* nie da się „zawsze zgodzić z sumieniem, i że od tego nieraz zboczyć trzeba". Zasada piękna, szkoda, że autor sam w swoich radach nieraz o niej zapomina. Albo to drugie, przypadające dobrze do wielu panujących, którzy spokojni w swojem sumieniu, w dobrej wierze mają się za uczciwych ludzi, a robią lub pozwalają robić rzeczy z najprostszą uczciwością niezgodne: „Masz się może za świętego—mówi do swego książęcia—dlatego, że (ze zwyczaju może) co dzień chodzisz na Mszę; a tymczasem przez niedbalstwo twoje sprawy idą Bóg wie po jakiemu, albo tysiące obywateli cierpi na majątku, na sławie, na wolności lub życiu, od twoich przewrotnych lub przekupnych sądów? Masz się za świętego dlatego, że dwa razy w tydzień pościsz, a krocie biednego ludu cierpi ucisk, nędzę i głód od twoich wojsk i ich przechodów? Masz się za świętego, bo rozdajesz jałmużny, wspierasz klasztory, wznosisz kościoły, a jesteś swego ludu zdziercą i złodziejem, kiedy go podatkami przeciążasz i pieniądz z krwią razem z niego wyciskasz". Filip II, Ludwik XIV, Mikołaj, nie mówiąc już o innych bliższych, którzy z namaszczeniem Bogu dziękują za swoje zwycięstwa i wzywają Go na świadka swoich czynów w każdym rozkazie dziennym albo telegramie, mieli się za uczciwych ludzi. Jakby im się przydał podobny rachunek sumienia, dodawszy do niego jeszcze wiele innych pytań.

Są inne, ściągające się już do Polski, a po największej części paradoksalne, przesiąkłe ulubionemi auto-

ra uprzedzeniami. Naprzykład: „Korona elekcyjna ma w sobie coś daleko pewniejszego nawet, niż dziedziczna, bo wprawdzie prawo i wolność obywateli wybiera króla jak chce", ale król, który sobie miłość poddanych słusznie zjednał, może być pewnym, że jego syn po nim wybranym zostanie, kiedy potomek dziedzicznego tyrana często z tronu jest zrzucony. W innem miejscu dowodzi, że król powinien nie tylko pozwolić wszystko na siebie mówić i pisać, ale co więcej, wdzięcznie słuchać wyrzutów choćby najostrzejszych. To dopiero prawdziwi jego przyjaciele i Rzpltej cni synowie, którzy mu takich nie szczędzą, inni to pochlebcy. Czy po tem nie rozumie się łatwiej, że sejmowi krzykacze znieważający królów publicznie, Rafał Leszczyński, Pac, na którego Jan III dobył szabli, mieli się za wielkich ludzi i patryotów?

Sposób wyprawiania, odprawiania i przyjmowania poselstw mówi aforystycznie to mniej więcej, co Warszewicki (*de Legato*) napisał obszernie i gruntownie. Są i tu rady dobre, praktyczne, ale jako podręcznik dla dyplomaty tamto dzieło jest lepsze, głębsze Jedna jest uwaga tak prosta, że byłaby zbyteczną, a w Polsce nieszczęściem potrzebna, to ta, że „prywatni ludzie żadnych ajentów od Państw zagranicznych przyjmować nie powinni, a jeżeli taki był do nich wysłanym, powinni o nim i o jego interesie zaraz rządowi donieść". Na końcu mówi o randze i precendencyi królów; gniewa się na tych, którzy królowi polskiemu przyznają dopiero czwarte, czy piąte miejsce po cesarzu; twierdzi, że on żadnemu nie ustępuje, ale ostatecznie kwestyi tej dyplomatycznej etykiety nie rozwiązuje.

Dalej jeszcze *Methodus Lectionis.* Instrukcya względem wychowania. a raczej plan nauk ułożony dla synów, z którego pokazuje się, jak pan kasztelan dbał o to, żeby z nich zrobić ludzi wykształconych, a zwłasz-

cza o to, żeby ich wychować i utwierdzić w swoich wyobrażeniach politycznych.

Rozkłada podług lat i miesięcy wszystkie nauki historyczne, geograficzne, filologiczne, ścisłe, uczy ich filozofii i oratorskiej sztuki, a przy każdej nauce dba o to, żeby im służyła w życiu publicznem, czy jako wojskowym, czy jako urzędnikom lub senatorom. Nauki matematyczne naprzykład dochodzą do inżynieryi wojskowej jako do szczytu i praktycznego zastosowania. Historya od dzieciństwa ma być nauczana z tendencyą: zaszczepiać miłość wolności, a wstręt do despotyzmu. W początkach geografii chłopiec już ma się dowiadywać, jaki jest kształt rządu w jakim kraju, jaka jego konstytucya. Tematy do zadań, lub do dyalogów, jakie uczniowie między sobą odbywać mają, podaje ojciec naprzykład takie: 1. „Mieszana forma rządu lepsza jest, niż prosta; polska zmieszana jest z monarchii i arystokracyi; dowieść tego i wykazać zalety takiej formy rządu. 2. Tron elekcyjny lepszy jest od dziedzicznego. 3. Ordynacye z naturą Rzpltej nie są zgodne. 4. Lepiej wybierać królem zagranicznego, niż Polaka. 5. Różność wyznań w jednej Rzpltej zgubna. 6. Częste podróże za granicą szkodliwe. 7. Wiązać się wielomami przymierzami, lud prosty do broni wprawiać, niebezpiecznie. 8. Czy lepiej mieć wojsko gotowe do wojny w czasie pokoju, czy pieniądze w skarbie na postawienie wojska w czasie potrzeby. 9. Jakim sposobem złamaćby można potęgę turecką?" i t. p. Wszystko to pytania, które ojciec całe życie w głowie swojej obracał, a podając je pod rozwagę młodych synów, chciał oczywiście, żeby na nie w myśl jego odpowiadali, żeby od dzieciństwa oswajali się myśleć o kwestyach prawa publicznego i pojmować je tak, jak on.

Ściśle już politycznej treści, a do polskich stosunków bezpośrednio się ściągające, są trzy następujące rozdziały Fragmentów: O Uśmierzeniu Buntów,

O Jednomyślności i O Warunkach Bezpieczeństwa Rzpltej. Ten ostatni najobszerniejszy i najciekawszy ze wszystkich; dwa pierwsze wyglądają jak wstępy, lub przygrywki do niego.

Na kilku kartkach mieści się odpowiedź na pytanie, czy jest to z dobrem Rzpltej Polskiej, że w niej nie większość głosów, ale jednomyślność rozstrzyga. Kwestya zasadnicza i bieżąca zarazem, kwestya *Liberi Veto*, od niedawna dojrzała i w skutkach objawiona, zjawia się po raz pierwszy u Fredry, który w literaturze otwiera ten szereg systematycznych obrońców *veto*, który zamyka w sto z górą lat później Seweryn Rzewuski.

Obrona *veto* w tem krótkiem pisemku jest zupełna; argumenty tu zawarte powtórzą po Fredrze wszyscy późniejsi, jak on sam powtarzał je za głosem opinii współczesnej. Główną zasadą niby filozoficzną jast paradoks, że gdzie niema *veto*, tam większość złych i głupich zawsze rozkazywać będzie mniejszości rozumnych i dobrych, ze szkodą Rzpltej (*multitudo pejorum praevalebit paucis melioribus*). Bez tego, na nic się nie zda usiłowanie cnotliwych i roztropnych, ślepa liczba, nie wiedzieć zkąd i jak się biorąca, zawsze zwycięży.

Nie można powiedzieć, żeby Fredro w swojej obronie *veto* nie był zręcznym, albo żeby zupełnie nie było prawdy w tych niebezpieczeństwach, które on zarzuca większościom; prawa i postanowienia nieraz rozstrzygnięte przez ludzi, którzy sami nie wiedzą, co myślą i czego chcą, niemoc i bezradność rozumnych mniejszości, które najgorszemu nieraz zapobiedz nie mogą, choć je dobrze widzą; ucisk tych mniejszości przez większości zuchwałe, bezwzględne i fanatyczne, wszystko to prawda, i wszystko to bardzo złe. Ale mniej złe, niż *veto*. Jego obrońca, Fredro, zapomina o jednej rzeczy, która odrazu obala cały jego system, t. j., że *veto* służy nie samym tylko rozumnym i dobrym, ale wszystkim. Gdyby je tak ograniczyć można, byłoby może

zbawienne, ale że to jest niepodobne, więc w teoryi nawet cała doskonałość tej instytucyi jest utopią i ideologią Czem była w praktyce, dowodzi historya polska; a Fredro, marszałek sejmu r. 1652, w swoim czasie już mógł był ocenić *veto* należycie. Zręcznym jest wcale, choć sofistycznym, kiedy dowodzi, że *veto* nigdy tak niebezpiecznem, jak niektórzy mówią, być nie może, bo jest tylko prewencyjnym, negatywnym, nie afirmatywnym środkiem: wstrzymuje i przeszkadza, nie narzuca i zmusza (jak gdyby nie mogło być przymusu i pod tą formą także). Wpada w błąd historyczny wielki, ale powszechny u nas i charakterystyczny, kiedy *veto* polskie, służące każdemu, porównywa z trybuńskiem w dawnym Rzymie. Ciekawy zaś jest, kiedy mówi, że inne Rzeczy Pospolite, jak Wenecya naprzykład, mogą się obejść bez *veto*, bo nie mają króla, urodzonego nieprzyjaciela wolności, który na to tylko czyha, jakby ją ujarzmił; ale nasza, która ma króla, przeszłaby natychmiast w tyranię, gdyby jej odjąć to Palladium wolności.

Wszystko to znajdzie się w najciekawszym z Fragmentów, który jest składem wszystkich aksyomatów politycznych Fredry, a ma tytuł *Cautio Reipublice seu durationis omen.* Jest to tak dogmatyczne, tak apodyktyczne, jak gdyby znosił z Synaju objawiony zakon, którego przykazania, liczbami porządkowemi oznaczone, każdy ma znać i umieć na pamięć.

Ciekawe są te kardynalne zasady pomyślności Rzpltej, z których nie jedna jest wprost przeciwna wielkości, bezpieczeństwu i samemu życiu państw. Nie mieć fortec naprzykład! Niech kraj stoi otworem każdemu najezdcy. Nie mieć sprzymierzeńców: niech nasza polityka żadnej nie ma nigdzie podpory. Bo gdyby były fortece, kto wie, może kiedy król jaki lub jaki hetman ambitny zrobiłby z nich podstawę operacyi do ujarzmienia Rzpltej; bo za przymierzem poszłyby i częstsze z zagranicą stosunki, może konieczność wdawania się

w sprawy cudze, może wojny, może skutkiem obcego wpływu zmiana naszych wyobrażeń, w dalszem następstwie i naszych urządzeń. Że nikt wtedy nie będzie interesowanym w naszej całości i w naszej obronie, mniejsza o to, byle uniknąć tych zagranicznych wpływów, które skończyć się mogą na dziedzictwie tronu; że żadna twierdza nie zagrodzi drogi czy Szwedowi, czy Tatarowi, czy Rosyaninowi, mniejsza o to, byle siła zbrojna nie miała się gdzie w kraju koncentrować i o co opierać. Mniejsza o to, że wszyscy ustępują jednemu i znoszą jego niewolę, byleby jeden nie ustępował przed wszystkimi, a jego wola nie ulegała woli wszystkich; mniejsza, że prawa większości będą pogwałcone zawsze, byleby prawu mniejszości nawet najmniejszej nic się oprzeć nie mogło!

Te aksyomaty Fredry to jest wyraz najdokładniejszy ówczesnych wyobrażeń, przesądów i niedorzeczności politycznych. Wszystkie podejrzliwości opinii szlacheckiej, cały ten strach, w jaki ją wprawiły zamiary Jana Kazimierza, odbija się w tych żądaniach. Nie chce się ani przymierzy, ani fortec, ani polityki zagranicznej, ani administracyi, ani nic, bo to wszystko może prowadzić do wzmocnienia władzy, do ukrócenia wolności, wreszcie do zniesienia elekcyi. Nic nie tykać, nic nie ruszać, bo wszystko mogłoby runąć: zachować to, co jest, bo to ideał, raj, dla każdego jednego szlachcica. Jak Ludwik XIV mówił: *L'etat c'est moi*, tak w tej książce Fredry każdy szlachcic mówi: „Rzplta to ja", kiedy w dobrej wierze warunki swojej wygody i swobody bierze za zasady jej trwałości i siły. Od tego wystrzegania się stosunków z postronnymi, tego zaparcia się polityki zagranicznej, do maksymy, że słabość jest siłą Polski, już tylko jeden krok.

A te przykazania naszej opinii i polityki, choć dane kategorycznie jak Mojżeszowe, nie są bez tłómaczenia. Wyliczywszy je bowiem, raczy je autor objaśniać i bronić i dowodzi, że Polska dlatego wła-

śnie żyje i trzyma się pomimo tylu niebezpieczeństw, że nie ma sejmów częstych i długich, że nie ma sprawiedliwości szybkiej i energicznej, że nie ma skarbu!

Kto nie wierzy, niech posłucha:

„Nie od rzeczy będzie w tem miejscu niemałe odsłonić *arcanum*. Dlaczego, jak się to dzieje, że Rzplta polska, pomimo srogich cenzur, jakiemi ją obrzucają nowi politycy, nie upada, ale się trzyma i wzmacnia? Musi być jakaś ukryta tego przyczyna, której ci politycy dostrzedz nie umieją, a podług miary i siły umysłów swoich nas mierzą i sądzą".

I tak, mówią ci politycy, że sejmy, które o wszystkiem stanowią, a zwołują się rzadko i trudno, są złe, bo ani bieżących spraw załatwić nie mogą, cóż dopiero mówić o nagłej potrzebie, gdzie wszystko na szybkiem działaniu zawisło. Radzą nam więc albo sejmy stałe, albo stałą przy królu radę z atrybucyami takiemi jak sejmu. Piękna rzecz! do załatwienia spraw koniecznych mamy przecież senatorów rezydentów, ale gdybyśmy pełną władzę sejmu na małą liczbę głów przelelі, jużby był koniec naszej wolności. Król jednychby przekonał, drugich przekupił, i gotowy zamach stanu, *absolutum dominium*. I w tem on może mieć słuszność: ale dlaczego się boi sejmów stałych i gotowych? Gdyby naprzykład podczas wszystkich najazdów byliśmy jeszcze mieli sejm, co za zamieszanie, co za trudność decyzyi! a król z senatorami jakoś sobie dają radę. Prawda, że sejm w chwili wojny byłby jednym kłopotem więcej i że taki rodzaj dyktatury (bo króla bez sejmu przyrównywa do rzymskiego dyktatora) może być lepszy: ale w czasach zwyczajnych, kiedy trzeba uchwalać podatki (żeby już nic innego), a sejmu niema lub się zerwie, cóż wtedy? Czy król z rezydentami mają robić to, co potrzebne, a w czem ich nikt nie posłucha? czy nie robić nic i bez podatków, bez wojska, czekać zmiłowania sejmu i być na łasce każdego sąsiada? Niechże przynajmniej sejm kiedy

wszystkiem rządzi, będzie zawsze, i niech się zerwać nie może.

„Brak gotowego skarbu zarzucają nam niektórzy, ale nie ja, ani nikt rzeczy naszych świadomy. Przy skarbie gotowym i pełnym, Majestat łatwo mógłby się rozzuchwalić, niepotrzebnie rzucać się w wojny i Rzpltą w niebezpieczeństwo pociągnąć". Lepiej więc, żeby król Stefan nie miał pieniędzy na wojnę moskiewską, Władysław na Turka, Jan Kazimierz na płacenie żołdu i uniknienie konfederacyi wojskowej, a Stanisław August na sto tysięcy wojska? Pojąć nie można, nie można uwierzyć, żeby ktoś na prawdę brak skarbu uważał za rzecz dobrą; zdaje się, że to ironia, satyra na wyobrażenia polskie. Tymczasem to szczera prawda: to zawsze to samo z gruntu fałszywe pojęcie polskie, podług którego interes króla a Rzpltej miał być niby różnym, a nawet sprzecznym. „Niech więc Rzplta ma zawsze sposobność do targu, niech może uczciwie od niego co chce wydrzeć" (*honeste extorsura*). Zasada uchwalania podatków przez naród, zasada słuszna i dobra, doprowadzona jest do *absurdum* w tem pojęciu, według którego skarb pusty jest stanem normalnym, ideałem.

Ale i zła administracya sprawiedliwości jest wielkiem szczęściem i zasługą. Zwłoki nie szkodzą. W sprawach karnych lepsza cierpliwość, niż pośpiech, zwłaszcza z ludźmi możnymi, których wyrok może popchnąć do desperacyi, do wściekłości i do buntu. Gdyby senat rzymski nie był tak ostro postąpił z Cezarem, Cezar nie byłby przeszedł Rubikonu: zatem głaskać Zebrzydowskiego i Lubomirskiego. Bezkarność podniesiona do zasady! A bać się ich nie ma powodu, długo nigdy niebezpiecznymi nie będą, bo po ich śmierci majątek rozdrobni się między dzieci, które jako mniej możne, będą i mniej zuchwałe. Nic piękniejszego jak ta sprawiedliwość łagodna! nic tak obywateli do ojczyzny nie przywiązuje! dlatego to u nas gwałtów, buntów, rokoszów tak mało! I nic szlachetniejszego jak,

że szlachcica karzemy wieżą tylko i to nie zamykaną, nie strzeżoną, lecz się na dobrą wiarę i słowa skazanego spuszczamy.

Prawda, w drugiem pokoleniu, dzieci Szczęsnego Potockiego niebezpieczne już nie były. Ale ich ojciec nie byłby stał się niebezpiecznym, gdyby nasza sprawiedliwość zbyt łagodna, była umiała ściąć łeb niektórym jego poprzednikom rokoszanom.

Fortec zaś im mniej, tem większe bezpieczeństwo Rzpltej wewnętrzne i zewnętrzne. Wszak pokazało się w ostatnich wojnach, że gdzie tylko była forteca, tam się nieprzyjaciel osadził i najdłużej trzymał. Prosta uwaga, że tak samo mógł się był trzymać w nich żołnierz własny; że nam tak jak nieprzyjaciołom i lepiej przydać się mogły, gdybyśmy się w nich porządnie byli bronili, że Częstochowa jednak się przydała, nie przychodzi mu do głowy. Fortece nam nie pożyteczne, owszem szkodliwe, bo my konno tylko wojować umiejąc, bronić ich sami nie możemy i powierzamy najemnemu cudzoziemskiemu żołnierzowi, który naturalnie woli ją poddać od razu, niż wytrzymywać oblężenie. To się nauczcie służyć w piechocie i bronić się jak inni, żeby wam pierwszy lepszy kraju nie zabrał? Nie: lepiej zostawić go otwartym na oścież. Naturalnie musiało się na tem skończyć, że go zabrali.

A więc pokazuje się z tego, że co mniemani politycy w swoich słabych rozumach nierządem i swawolą zowią, to jest wolnością tylko i formą rządu do natury narodu zastosowaną. Sparcie dziwiono się także i Lykurga głupim nazywano, że zakazał pieniędzy i murów obronnych, a przecież Sparta jakoś z tą niedorzecznością stała. Tak samo i Rzplta polska stoi przyczynami pewnemi skrytemi, które na pozór sprzeczne się widzą i dla umysłu niedocieczone, ale z naturą naszą są zgodne; a ktoby je chciał zmieniać, tenby i Rzpltą i wolność rozbroił, osłabił i zgubił.

Osobliwsza paradoksalna filozofia nierządu! Pojąć

nie można, jak człowiek przy zdrowych zmysłach może w dobrej wierze dowodzić, że brak skarbu, obrony i sprawiedliwości może być rękojmią bezpieczeństwa i pomyślności państwa. Tymczasem to nie człowiek szalony, ale bystry i rozumny: a w niedorzeczności wpada dlatego, że dla zgubnej praktyki, do której przywiązany jest całą mocą nałogu, uporu i przesądu, szuka rozumnego uzasadnienia. Lepszego komentarza do historyi i polityki polskiej w czasach upadku być nie może; ta teorya odpowiada zupełnie tamtej praktyce i Fredro ma tę smutną chwałę, że jest filozofem tych wszystkich wyobrażeń i zwyczajów, które wiodły prosto do rozbioru Polski.

Przedostatni fragment (XIV) jest refutacyą sądów mylnych o Polsce, rozsiewanych przez złośliwych lub nieświadomych pisarzy zagranicznych. Pisemko krótkie, nie tak wyczerpujące rzecz, jak deklamacya Starowolskiego, lub Opalińskiego *Polonia Defensa*: ciekawe przez optymizm autora i zaufanie jego w wyższość i doskonałość polskich instytucyj, obyczajów, nawet ziemi i produktów. Ubiór nasz najpoważniejszy, najwłaściwszy mężom, broń najszlachetniejsza, najbardziej rycerska, prawo publiczne najlepsze. Zarzucają nam ucisk poddanych; mogą być źli panowie, którzy ich krzywdzą, ale ci czynią to przeciw prawu, które powinności poddańcze przecież opisuje, a nadto od poddanego wyciągać nie pozwala. „Władza nasza nad poddanymi ograniczona jest prawami sumienia: jakżebym śmiał źle się z nimi obchodzić, kiedy wiem, że mi ich Bóg powierzył, a jak im względem mnie, tak mnie względem nich nałożył obowiązki". Bardzo pięknie: to ograniczenie prawami sumienia, najpewniejsze ze wszystkich, byłoby wystarczające, gdyby wszyscy byli dobrzy i sumienie mieli. Ale dopóki ludzie nie zostaną aniołami, potrzeba praw na ich wolę i władzę, która łatwo do złego nachylić się może. Zawsze ten sam idealizm, sympatyczny, piękny, ale dochodzący czę-

ścią do mrzonek, częścią do absurdów. Dlaczego naprzykład niema u nas rzemiosł i przemysłu jak gdzieindziej? Po części dlatego, że mając zawsze łatwy sposób wyżywienia się, nie jesteśmy do nich potrzebą znagleni: ale i dlatego może, że Bóg w mądrości swojej chciał, iżbyśmy przecież wszystkiego nie mieli, bo wtedy ze zbytku szczęścia moglibyśmy wpaść w dumę i zarozumiałość! Szczęśliwy talent wytłómaczenia sobie na dobre samych swoich niedostatków: ale jak szczęśliwi musieli być ludzie, którzy nie o przyszłości, której się spodziewali, lecz o teraźniejszości, której używali, mówili: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie". Szczęśliwi, gdyby to szczęście nie było złudzeniem, zaślepieniem, spokojnością dzieci, niewidzących niebezpieczeństwa, które je za chwilę pochłonie.

Jak rozumieć tę dziwną głowę, która raz zadziwi wielkim rozumem, a zaraz potem oburzy krzyczącą niedorzecznością? Jak pogodzić te sprzeczności w wyobrażeniach, w zdaniach i w samej naturze umysłu? Ze wszystkich pisarzy polskich żaden może nie sprzeciwia się sam sobie tak ustawicznie i tak zupełnie jak Fredro. Rozumniejszy od bardzo wielu mówi i broni niedorzeczności więcej, niż każdy inny: logiczny niby, nawet na pozór niby bardzo logiczny, a najczęściej dochodzi do fałszywej konkluzyi; ma tę logikę dziwną, która drogą dobrego rozumowania z fałszywego założenia idzie prosto do fałszywego wniosku, na tem dobrem rozumowaniu przestaje, a punktu wyścia i rezultatu osądzić nie umie. Ma i doświadczenia i bystrości dużo, dużo patryotyzmu i dużo szlachetności, a ma przy tem jakiś upór, jakieś zaślepienie w swojem uprzedzeniu (bo przekonaniem nazwać tego nie można), które sprawia, że wszystkie te przymioty nie zdadzą się na nic. Nie jest człowiekiem złej wiary, ani złej woli, nie jest umysłem z natury dziwacznym i krzywym, któryby rzeczy w prawdziwem świetle widzieć nie był zdolny; a przecież ani własny rozsądek, ani dobra wia-

ra, ani oczywistość faktów nie mogą mu oczu otworzyć. Dziwny to wypadek, ale może i zasłużona (choć antycypowana) kara, że ten filozof i obrońca *Liberi Veto* był marszałkiem na sejmie roku 1652, że pod jego laską pierwszy raz jeden poseł zatamował czynności Rzpltej. Fredro wtedy płakał, mowa, którą żegnał rozchodzący się sejm, kazałaby myśleć, że się poznał na tem zgorszeniu i na tem nieszczęściu; tymczasem przez całe życie, pomimo tego i wszystkich późniejszych doświadczeń, broni tego, na co płakał, całość i sam byt ojczyzny zasadza na tem, co było jej oczywistą zgubą.

Stały w niektórych zasadach, w wierze katolickiej głównie, w zdaniach jest zmienny w najwyższym stopniu. Obstaje zawzięcie za królem cudzoziemcem, n. p., potem nagle widzimy go najgorliwszym stronnikiem Michała, a w dziełach jego czytamy, że niema króla nad Piasta. To nie dowodziłoby jeszcze ani zmienności, ani sprzeczności: w zmienionych czasach i okolicznościach człowiek najstalszy może zmienić zdanie, a mimo to sobie samemu się nie sprzeciwiać. Ale jak usprawiedliwić go z tego, że raz woła (bardzo słusznie) o piechotę, a drugi raz stawia jako dogmat, że tylko kopią i husarzem Rzplta stoi? albo że raz sili się na wymysły, jakby skarb zaopatrzyć, a potem twierdzi, że skarb taki jest najniebezpieczniejszy dla wolności? albo raz każe nie folgować wichrzycielom, nie dogadzać im „jak złemu wrzodowi", a zaraz potem każe ich głaskać i pieścić, żeby się do otwartej nieprzyjaźni nie posunęli? Czy to taka lekkomyślność, taka wrodzona niestateczność umysłu? Po części zapewne. Ale godzi się może przypuścić, co dałoby się dowieść tylko wrazie, gdyby życie Fredry było nam lepiej znane, że te wszystkie uprzedzenia i niedorzeczności rosły u niego z wiekiem. Im późniejsze dzieło, tem więcej takich politycznych herezyj. Ztąd wniosek, że musiał to być umysł zrazu nie wyrobiony, nie pewny, czego się trzy-

mać, rozdarty niejako pomiędzy własną bystrością a republikańskiemi wyobrażeniami polskiej szlachty. Z latami zaś, kiedy nie nastąpiła reakcya, kiedy po Sicińskim n. p. Fredro się nie opatrzył i nie opamiętał, naturalnie musiał już brnąć coraz dalej w tym samym kierunku i posunąć go do ostateczności, można było wróżyć, że się nie wytrzeźwi, nic mu oczu otworzyć nie zdoła. Wszelkie usiłowania przeciwne, plany dworu, n. p., skoro do nich nie przystał, musiały go tylko zatwardzać w jego uporze i namiętności. Dlatego stosunki z zagranicznymi dworami musiały wydawać mu się tak niebezpiecznymi, dlatego po rokoszu Lubomirskiego jeszcze mógł obstawać za pobłażaniem i schlebianiem ambitnym wichrzycielom; dlatego doszedł tak daleko, że uważał *veto* jako konieczność, jako jedyny środek, jaki jedna część kraju lub narodu ma na obojętność lub złą wolę drugiej.

I na takich wyobrażeniach musiał skończyć każdy, kto nie widział i nie uznawał w Polsce nierządu. A Fredrze, jak całej niemal ówczesnej szlachcie stan jej społeczny i polityczny wydaje się doskonałym. Kiedy kto wolność rozumie jako największą swobodę i największą wygodę drobnych jedności terytoryalnych lub obywateli, a oni, niestety, tak ją pojmowali i to w niej właśnie cenili, nic dziwnego, że w końcu przypuści jak rzecz naturalną, że województwo krakowskie może być zupełnie obojętnem na to, co się dzieje w kijowskiem, a podolskie nie troszczy się o pomorskie, bo nie czuje tego, co tamtemu dolega; że uchwali kiedy zechce dobrowolny dla ojczyzny datek, ale nie zobowiąże się do stałego podatku; że tak w końcu zatraci ideę ojczyzny i pojęcie jej potrzeb (choć miłości ojczyzny nie stracił), że będzie się upierał przy tem, co dla niej najzgubniejsze, z obawy, żeby zmiana jego wygody i swobody nie dotknęła. A przytem jakieś wzniosłe idealne wyobrażenia, w dobrej wierze. Poczuwanie się do heroizmu, bo to popęd dobrowolny i nad-

obowiązkowy: nigdy do stałej, codziennej, zwykłej powinności, dlatego, że ona jest regułą. Poddanie się woli każdego, byle się nie poddać woli i interesowi wspólnemu, prawu, *l'etat c'est moi* zastosowane do każdego człowieka posiadającego prawa polityczne, oto co wychodzi z pism Fredry w teoryi, z historyi jego czasów w praktyce. Komentarzem do dziejów Polski w ostatnim wieku przed rozbiorem są one doskonałym; od sejmów zrywanych aż do maksymy: słabość jest siłą—wszystko znajdzie wytłómaczenie w tych wyobrażeniach, których najzasobniejszym składem są pisma Fredry. Drugiego takiego reprezentanta i bezwiednego adwokata rozbicia narodu na interesy jednostek, niema w naszej literaturze. A jak w ludziach ówczesnych pomimo fałszywego pojęcia ojczyzny i swoich względem niej obowiązków bywał i rozsądek, i patryotyzm, i poczciwość, i czasem heroizm, tak u niego obok paradoksów, sofizmatów i niedorzeczności znajduje się i rozum, i rozsądek, i nieraz bystry zmysł polityczny. A kiedy się szuka powodu, któryby wytłómaczył niepojęte sprzeczności jego umysłu i wyobrażeń, nie można znaleźć innego, jak ten, że był synem i wizerunkiem swego narodu i czasu. Naród, który na wiarę jednego źle zrozumianego listu oskarżył prymasa i hetmana w. kor. o zmowę z Turkami, a w rok później oskarżenie to kazał uważać za niebyłe i nieważne, nic dziwnego, że miał za swego politycznego filozofa Fredrę. Najświetniejszy, a więc najsmutniejszy w literaturze naszej, typ nieszczęsnej narodowej wady, niestateczności, która sprawiła, że wszystkie jego myśli, nieraz bardzo bystre, nie miały podstawy i błądziły bez celu, jak bez podstawy błądziły najczęściej dążenia i czyny ówczesnej Polski; jako obserwator i praktyczny filozof niezmiernie bystry, najcelniejszy, a prawie jedyny u nas umysł tego rodzaju, w smaku literackim i w wyobrażeniach politycznych, reprezentant najdokładniejszy większości współczesnych, jest Fredro najzawilszą po-

stacią w naszej literaturze XVII wieku; nie najmilszą, ale tą, która wiek ten najlepiej może daje poznać i najwyraźniej tłómaczy przyszłość, jaką on Polsce w puściźnie po sobie zostawił.

Jest jedna książka miła i przywiązująca jak mało, ozdoba literatury tego okresu i pomnik żywy polskiej natury i polskiego obyczaju jak wtedy były, a tą książką są *Pamiętniki Paska.* Bawimy się nimi często; nie ma tego, ktoby ich nie znał, nie śmiał się z Panem Paskiem, kiedy opowiada różne wybryki swojej kawalerskiej fantazyi, lub z niego, kiedy prawi szumne oracye, ktoby nie pamiętał jego przygód duńskich, amorów z panną Eleonorą, duchów czy strachów, które Duńczykom służą i zapraszają ich na swoje wesela, kto w dzieciństwie nie byłby mu jak król Jan zazdrościł jego wydry, i ze współczucia nie płakał prawie nad nim i nad wydrą, kiedy ich zawistne losy i zachcenie królewskie rozłączyły. Od kalendarzów i elementarzy, aż do wykwintnego pendzla zdolnych artystów, wszelkie sposoby rozszerzają u nas pamięć i sławę Paska i jego przygód, i śmiało rzec można, że ten człowiek, nie należący do historyi, nie wspominany w żadnej kronice, należy dziś do najbardziej znanych i popularnych figur przeszłości. Dlaczego? Bo ta figura reprezentuje życie, bo te pamiętniki przechowały je, z całą świeżością kolorów i całą prawdą rzeczywistości. Pasek, prosty szlachcic, oficer średniego stopnia, w szkołach wyuczony tyle, że umiał składać śmieszne oracye pół po polsku, pół po łacinie, a zresztą niewiele: gospodarz przez resztę życia i ziemski urzędnik, reprezentuje umysłem, stanowiskiem, rodzajem życia, przeciętną liczbę Polaków swego wieku.

Jaki to rodzaj człowieka? Znamy go i pamiętamy tylko jako zabawnego facetusa; to zapewne jest jego cechą najbardziej charakterystyczną, ale dlaczego Pasek jest taki zabawny? Czy jest taki dowcipny? Nie, dowcipu u niego niema, przynajmniej nie więcej niż

u wielu prostych śmiertelnych. Tego daru sypania, czy nieprzewidzianemi spostrzeżeniami, czy odpowiedziami trafnemi, które drugiego zbijają z tropu, czy przedstawienia rzeczy lub ludzi w świetle komicznem, czy wreszcie świetnych paradoksów, Pasek nie ma; on jest wesół, skłonny do śmiechu, ubawi się byle czem i wtedy śmieje się serdecznie, nawet w biedzie pomaga sobie fantazyą, i to wszystko znać w jego sposobie opowiadania. Ale ściśle biorąc, to nie dowcip. On przyjemnie i zabawnie błaznuje; ma w głowie różne figle i koncepty, które tak opowiada, że trzeba się śmiać koniecznie; ale te wyskoki jego dowcipu, te miejsca klasyczne Paskowego humoru, naprzykład oracya przy oddawaniu drewnianych trzewików, albo lakoniczna odpowiedź *Geld* na wszystkie pytania zakłopotanych i zalęknionych Niemców, to jest żołnierski dobry humor, podobny nieco do tego co Francuzi nazywają *l' esprit gaulois*, a co jest niezawodnie humorem błaznowatym. Otóż, to jest niezawodnie wdziękiem i zaletą Paska; to rodzaj humoru typowy, rodzimy, u nas w Polsce najpowszechniejszy. Weźmy humor prostego ludu, czy jak się go słyszy w życiu, czy jak się go czyta w poezyi lub powieści; jest on najczęściej trafny, cięty, a zawsze trochę gruby. Nasi starzy mają także ten rodzaj wesołości: nie mówiąc o Reyu, którego koncepty są zbyt grubo, ale wykwintniejsi i oświeceńsi od niego, Krzycki naprzykład w swoich epigramatach, sam Kochanowski w swoich Fraszkach, wszyscy zawsze lubią błaznować. Krasicki i Trembecki, najdowcipniejsi z naszych pisarzy XVIII wieku, mają wyższego dowcipu tyle, że tym niższym rzadko wojują, ale i książę biskup warmiński, nie gardzi głupstwem, które jego i drugich może rozśmieszyć, Węgierskiego najlepsze koncepty są w tym rodzaju; a lżejsze, nieprzyzwoitsze wiersze Trembeckiego są prawie tylko takimi zapełnione. I dalej tak samo; facecyj takich w słowie i uczynku Niemcewicza nie spisać na wołowej skó-

rze; w komedyach Bogusławskiego, gdzie jest komiczność i śmieszność, to taka; a Fredro? on się tak cieszy i tak śmieje z Papkina, otrutego w lampce wina i czującego pierwsze kurcze swoich śmiertelnych konwulsyj, z Pani Orgonowej Dyndalskiej i Anieli, z kłopotów Marka Ziemby, którego nikt nie zna i jego służącego, który płacze gorzko nad opowiadaniem o swojem własnem powieszeniu, jak z najwyższej komiki tego męża, który kochanka swojej żony uczy, jak zdobywać serca niewieście, albo z najdowcipniejszej wojny na epigramy, pomiędzy Gustawem a Klarą. Henryk Rzewuski, czy w swoich pismach, czy w tych niezliczonych pomysłach, które obiegają w ustnem podaniu, pokazuje się jako największy amator i prawdziwy róg obfitości takiego żartu, błaznującego; a sam Mickiewicz, wielki Mickiewicz, czy nie lubi facecyjki głupiej w sobie, a śmiesznie opowiedzianej? słuchać lubił ich bardzo, a te głośne śmiechy w Panu Tadeuszu, naprzykład kiedy Robak woła *Pax Vobiscum* do Tadeusza i Hrabi, to odgłos rubasznych konceptów, jakie pamiętał i rubasznych śmiechów, jakie słyszał.

I nietylko u pisarzy, w literaturze, ale w ustnem podaniu, we wszystkiem prawie, co wiemy o ludziach, którzy z dowcipu byli u nas sławni, znajdzie się ta wesołość rubaszna. Sławne facecye księcia Panie Kochanku, czy jego opowiadania o Syrenach, czy te figle, które płatał swoim Albeńczykom; albo ten pan Szumlański, któremu odmarzła trąbka pocztarska grała na noclegu w pokoju, to wszystko, co w nią pocztylion był nadął, a co na wielkim mrozie w niej zamarzło? Sam książę generał Czartoryski choć wychowany wykwintnie, jak najwykwitniejszy Francuz z wersalskiego dworu i dowcipny w tym wersalskim rodzaju, czy w tych różnych figlach, jakie płatał przyjaciołom, a najczęściej żonie, czy nie miał natchnienia takiego, jak pan Pasek, kiedy intrygował pannę Teresę drewnianymi trzewikami? Od młodych parobków, wyśmiewa

jących się wzajemnie na jarmarku lub odpuście, i od tego szlachcica, co komisarzowi obwodowemu kazał zjeść swój stary pantofel, aż do klasycznych dowcipów pani kasztelanowej Kamieńskiej, lub Marcina Badeniego, wszyscy, chłopi czy wielcy panowie, poeci czy mężowie stanu, biskupi czy damy, wszyscy lubimy, jedni w większej drudzy w mniejszej mierze, ten odcień, to ziarnko nie rubaszności, ale błaznowania w humorze. I gdyby kto zrobił kiedy takie studyum, taką skalę porównania między humorami i dowcipami różnych narodów, to u nas w których dostrzegano nieraz podobieństwa do Francuzów, znalazłoby się może jedno podobieństwo więcej w tem, że nasz przyrodzony humor, objawia się rodzajem żartów, blizkim tego, w którym ich *esprit gaulois* ma do dziś dnia szczególne upodobanie.

Otóż pan Pasek jest typowym egzemplarzem tej narodowej wesołości, nie zawsze dowcipnej, często rubasznej, zwykle naiwnej i dobrodusznej, ale nieraz bardzo zabawnej. I dlatego on tak się nam podoba. Ale nie dlatego tylko; są po temu powody inne i wyższe. Nie zawsze możnaby się z Paskiem zgodzić, nieraz przyszłoby się na niego zniecierpliwić; ktoby miał bardzo wykwintne uczucie estetyczne i wychowanie, tego raziłyby te częste i hojne libacye, których on sobie pozwala i o których mówi, jak o rzeczy najnaturalniejszej w świecie, która się rozumie sama przez się i bez której świat nie da się pomyśleć. Pedagogiem pana Paska nie chciałoby się być za nic; ale jego kolegą, przyjacielem, towarzyszem czy broni czy ochoty—zawsze; bo to jeden z tych ludzi pewnych, co nigdy nie odstąpią w złym razie. Można go ganić czasem, łajać często, ale nieraz podziwiać ten instynkt, którym wiedziony, robi rzeczy bardzo trudne, heroiczne, z taką prostotą i naiwnością, że nie domyśla się nawet, jakby on lub ktokolwiek mógł był zrobić inaczej.

Jako żołnierz, jako oficer, jest do zakochania. Kiedy

trzeba z Czarnieckim iść do Danii, za morze, wszystkim to nie w smak, a wielu poprostu opuszcza chorągwie lub zostaje w służbie, ale w kraju. Jemu nic takiego nie przeszło przez głowę; ale gdyby był i chciał zostawać, nie byłby mógł, bo stary ojciec, słysząc jak inni w tyle zostają, zdobył się na list i „pod ojcowskiem i macierzyńskiem błogosławieństwem, rozkazał iść, gdzie każe wódz i wola Boska", obiecując prosić pana Boga, żeby jedynaka miał w swojej opiece. Co za oficer! Czyby mógł prowadzić armię i układać strategiczne plany, to inne pytanie; ale obrotny, sprawny, przytomny, zawsze sobie da radę, zawsze tak umie myśleć o swoich ludziach, że mają biedy najmniej, jak mieć mogą. Mądry, każdy rozkaz pojmie i każdy wykona tak, żeby przytem jak najmniej ludzi stracić; tęgi nadzwyczajnie; bije się jak lew, idzie do szturmu jak do tańca. Tylko sobie uprosi od ks. Dąbrowskiego lub Piekarskiego specyalne dla siebie błogosławieństwo i zmówi: „Kto się w opiekę", a potem już naprzód i niech się dzieje co chce; ale nigdy na oślep, nigdy niebezpieczeństwa nie wzywa, pana Boga nie kusi, w największym ogniu przytomny, myśli jakby to co ma zrobić, zrobić najmniejszym kosztem i stratą. Do wodza przywiązany serdecznie; prawda, że ten wódz to Czarniecki, ale też z jaką chlubą Pasek pod nim służy, jak mu miło myśleć, że jest z tych pułków jedynych, które nigdy w swojej służbie nie sfolgowały i nigdy obowiązku nie zapomniały. Jest posłuszny, domyślny, zręcznie wywiązuje się z trudnych poleceń, swoich ludzi umie utrzymać w karbach, a honor swego wodza i pułku wysoko. Czarniecki lubi go widocznie, choć on tego nie mówi; ale z tych poufałych żartów, z tych grzeczności obozowych jakie mu robi, z tych poleceń trudnych, jakie mu daje, widać, że go uważa za jednego ze swoich najlepszych podkomendnych. A ta żołnierska cnota i honor Paska, pokazują się dopiero w całej okazałości kiedy stanął związek wojskowy; prawda

że był z Czarnieccczyków, a całe to wojsko, choć nie płacone jak inne, zostało wiernem i do buntu nie przystało. Ale on był w szczególnem położeniu i jaśniej jeszcze od innych dowiódł swojej cnoty. W związku miał pełno przyjaciół i krewnych (samego substytuta Borzęckiego), był delegatem u nich od swojej chorągwi — pozyskać chcieli go koniecznie, on ich lubił, przyznawał słuszność ich pretensyom od Rzpltej; a przecież, pomimo wszystkiego, co robili, nie dał się zmiękczyć prośbom, ani ustraszyć groźbami, i związkowi nie przysiągł, bo już raz przysięgał był królowi i Rzpltej, a czuł, że jeżeli ich pretensye były słuszne, to sposób dochodzenia był zły. Drugi raz dowód tej samej wierności w sprawie Lubomirskiego. Pasek w głębi serca jemu sprzyja nie królowi, nawet życzy mu zwycięstwa, a sobie i swoim przegranej; ale jego szabla tam, gdzie jego przysięga, jego przysięga tam, gdzie Rzplta, Rzplta tam, gdzie król, i choć go serce do złej strony ciągnie, on przecie przy dobrej zostaje i jej służy.

Do tego wszystkiego jest pan Pasek bardzo mądry. Nie trzeba zapewne robić go ministrem spraw zagranicznych, na takich rzeczach się nie rozumie; ale w swojej sferze, jako niższy oficer, jako ziemski urzędnik, jako gospodarz, jest taki rozsądny, taki radny, taki praktyczny, tak trafnie sądzi i tak zręcznie postępuje, tak umie o sobie pamiętać i skorzystać, gdzie uczciwie skorzystać można, że w tej sferze jego spryt jest istotnie niezwykły. Raz tylko podrwił głową, raz mądry przebiegły Pasek zrobił głupstwo, to kiedy się ożenił. Musiał go chyba Pan Bóg skarać za łzy biednej duńskiej kochanki. Szczęście miał wielkie, dobijali się ludzie o niego; jeden kasztelan zaręczył go ze swoją siostrzenicą, prawda, że dziewięcioletnią, ale okrutnie bogatą; dwóch innych prawie się o niego biło, tak go swatali ze swemi krewnemi czy pupilkami, a były to panny młode, ładne i bogate. On póty się wahał, póty

kręcił głową jak osieł z bajki między owsem a sianem, aż się dał złapać haniebnie starej wdowie z sześciorgiem dzieci i czterdziestosześcio-letnimi wdziękami! Wdowa musiała być nieźle zakonserwowana, bo o latach dowiedział się aż po ślubie, a myślał, że nie miała jak trzydzieści, ale mądremu Paskowi tak się dać złapać, to wstyd. A tak gwałtem łapali, że kiedy się biedny oświadczył (trochę po pijanemu, podejrzywam), nawet mu nie dali pojechać do starych rodziców po błogosławieństwo, tylko zaraz w najbliższą niedzielę zaprowadzili do ołtarza. I to mu nawet oczu nie otworzyło! Czytając, przypominają się te wdowy, które wyśmiewa Kochowski, wystrojone, we drzwiach domu czekające z nakrytym stołem i dobrem winem na przejeżdżających wojaków, a jeżeli wojak głodny dał się skusić tym obiadem i wstąpił, biada mu, już się nie wykręci. Biedny Pasek nie miał nawet tej pociechy, o której całe życie marzył. Jest to jeden z tych ludzi, którzy nic tak nie kochają jak dzieci; on o swoim synku myślał zawsze, dla niego zarabiał na sławę, dla niego nawet pisał swoją historyę, o nim myślał, kiedy się postanowił żenić. Widząc u pani Łąckiej małą dwuletnią córeczkę, spodziewał się, że ta z pewnością będzie matką, „że mi Pan Bóg da jakie chłopczysko". Nie; zwala to na różne powody, baby czarowały, urzekały, dlatego, żeby cała substancya została na dzieci z pierwszego męża; kładły mu próchno z trumien do łóżka; niestety czary nie winne, trzeba było mieć oczy, i kiedy chciał „chłopczyska", nie dać się otumanić przekwitłymi wdzięki wykłapanej starej baby. Biedny Pasek! a ożeniwszy się i przysiągłszy na wierność, był bardzo poczciwy; z tą żoną żył dobrze i zestarzał się tak przy starszej żonie, patrząc na jej dzieci i wzdychając na starość za swoim chłopcem, bardziej, naturalnie, niż za młodu.

Ale z tym jednym wyjątkiem nie zrobił pan Pasek ani jednego głupstwa przez całe życie. Czasem

rozkochał jaką pannę, którą potem porzucił, za co mu ksiądz w Częstochowie zadał taką pokutę, że jej póki życia nie zapomni; czasem, jak się w nim krew wzburzy, nie umie pohamować gniewu, jak naprzykład, kiedy na królewskich pokojach o drzwi od króla, królewskiemu dworzaninowi Mazepie dał w pysk; ale w ogóle tak swoimi krokami na świecie kieruje, żeby się w kłopoty nie zaplątać i szkody nie ponieść. Gotów zawsze wybić się z takim, kto mu da zaczepkę, sam nie zaczepia, zawadyaką nie jest wcale, burd nie zaczyna nigdy, a to tem dziwniejsze, że nie zawsze bywa trzeźwym. Już to co do tego, niestety, trzeba przyznać, że za kołnierz nie wylewał. Trudnoby zliczyć ile razy wspomina, że się upił; a wieleż było tych razy, o których nie wspomina. Musiało to trafiać się często i wydawać mu się rzeczą zwyczajną, naturalną, kiedy opowiadając czule o talentach swojej wydry, a między temi, że zawsze go budziła, kiedy czuła jakie niebezpieczeństwo, mówi, że nawet kiedy był najbardziej pijany i spał jak zabity, wydra dopóty deptała, drapała, piszczała, póki go nie zbudziła. Z jego słów widać, że się to nie jeden raz zdarzyło. Czy mamy go za to sądzić bardzo surowo? Obyczaj powszechny niech mu stanie za wymówkę; zresztą on nie jest od tego, żeby był bardzo estetycznym i poetycznym, ale żeby był typowym.

W swoim rodzaju jest pan Pasek i erudytą, ma literackie wykształcenie; oracye umie prawić bardzo pięknie, i to nietylko żartobliwe, jak do panny Teresy Krosnowskiej przy oddawaniu trzewików, ale i nad grobem poległego towarzysza, i przy ślubach, i przy obłóczynach zakonnic, i na sejmiku, i w kole związkowem zbuntowanego wojska; a kiedy potrzeba nie zapomni języka w gębie nawet na radzie senatu, i tak swojej sprawy dobrze broni, tak panom senatorom docina, że ich rozzłościł, a siebie obronił. Nawet i wiersze umie pisać. Na śmierć Franciszka Lanckorońskiego, albo ten

hymn pochwalny po wojnie moskiewskiej może on przepisał tylko, jak nieraz w dyaryuszach i sylwach przepisywano wiersze. Ale na śmierć swego deresza musiał przecie sam napisać te wiersze, od których się jego rękopis zaczyna, a to co na Litwinów napisał na ścianie jakiejś karczmy, albo romantyczna duma czy ballada o Mazepie, noszą tak wyraźną cechę Paskowej Muzy, że nie możnaby mieć żadnej co do autora wątpliwości, nawet gdyby o pierwszych sam nie był powiedział, że są jego utworu.

Pamiętnik jego podzielony jest na lata jak wszystkie dyaryusze, ale możnaby podzielić go podług przedmiotu na trzy główne części, z których pierwsza najkrótsza, obejmowałaby wyprawę Czarnieckiego do Danii; druga wojnę moskiewską na Litwie, związek wojskowy i rokosz Lubomirskiego, trzecia od ożenienia, najmniej ciekawa, bo siedząc na wsi, nie miał co zapisywać, chyba, że jeździł z pszenicą do Gdańska, albo że pasierbicę oddał do klasztoru.

W tej pierwszej części, najciekawsze miejsca są te powszechnie znane, zdobycie Fridrichslunda i Hadersleben, historya panny Eleonory de Croës Dywarne, wesele domowych duchów, które u Duńczyków służą i na którem był stangret Władysława Reya posła do Szwecyi; ale ciekawe i zabawne jest wszystko, a najbardziej sam autor, jego wrażenia i obserwacye w tych nieznanych zagranicznych krajach. Ciekawy jest wszystkiego, wszystko chce widzieć, o wszystko pyta; dziwi się kościołom i pałacom, jakich w Polsce nie widział, ale najbardziej obchodzi go zagranicą to samo co w domu, potoczne życie; jak gospodarują, jak się ubierają, jak się żywią, jakie mają zwyczaje, pełno drobnych szczegółów, na które poetyczny turysta nie raczyłby spojrzeć, a które w jego opowiadaniu są i zajmujące i zabawne, naprzykład jak się Niemcy lub Duńczycy modlą, jak chodzą spać, jak ich kobiety choć cnotliwe,

są kochliwe i czułe, co jadają, jakie mają nieznane u nas ryby etc. etc.

Ledwie wrócili, odpoczęli trochę, trzeba było znowu z Czarnieckim iść na Litwę, bronić jej od Duńskorońskiego (Dołgorukiego?). Różne przygody, bohaterskie prawdziwie nieraz w bitwach lub podjazdach, czasem zwady i pojedynki jak n. p. na uczcie u pana Marcina Jasińskiego, rozpoczynają ten ustęp, którego najciekawszym epizodem jest bitwa pod Lachowicami. Jako żywość i naturalność opowiadania, a zwłaszcza bitew, jest Pasek mistrzem.

Następuje potem związek wojskowy. Pasek, który do niego nie przystąpił, jedzie z Kielc prosto na Litwę do Czarnieckiego, i w drodze spotyka go jedna z najciekawszych jego przygód. Po drodze wstępuje do jakiegoś swego przyjaciela pana Stanisławskiego; dziwnym trafem, zajechał tam i Mazepa. Dlaczego uroił sobie, że Pasek jedzie z misyą od związku do wojska litewskiego, żeby je buntować, jak to królowi doniósł, jak wysłano gońców za mniemanym agentem, jak go aresztowano i do Warszawy odstawiono, nie wiemy, bo tu właśnie w najciekawszem miejscu brakuje kart w manuskrypcie. Znajdujemy bohatera naszego już pod śledztwem, indagowanego przez senatorów. Scena wspaniała; komiczna, a poważna, bo idzie o życie. Oskarżony nie ma żadnego materyalnego dowodu swojej niewinności; za całą obronę opowiada tylko swoją historyę, prawdziwie, ale z ferworem, i panów senatorów obraża; wszyscy na niego, niektórzy grożą gardłem (pan woj. trocki). Odpowiedź obwinionego jeszcze ostrzejsza, po prostu groźba. Wywiązuje się z tego nader żywa dyskusya, która bierze coraz gorszy obrót dla obwinionego, bo sędziów doprowadza do wściekłości. Za nim tylko jeden, biskup kamieniecki Ujejski, a i ten choć broni, ma go za winnego, za posła Związku, i nalega poufnie, żeby się do wszystkiego przyznał na łaskę królewską. Aż nareszcie, czy biskup sam

w końcu przekonany o niewinności Paska, przekonał króla, czy też uwierzył w nią król sam, który tej indagacyi z za firanki słuchał, za jego interwencyą skończyło się wszystko szczęśliwie dla niewinnego. Przy następnem śledztwie jest już Jan Kazimierz sam, słucha całego wywodu sprawy z jego ust, a widocznie już mu sprzyja, bo kiedy ten opowiada jak mu wczoraj senatorowie śmiercią grozili, król przerwał wyrażeniem wcale nie parlamentarnem „Pies to mówił". Następuje potem pojednanie dla obu stron zaszczytne; król woła Paska do gabinetu, przeprasza, ściska, Pasek rozczulony, kontent, zabiera listy do Czarnieckiego i jedzie znowu na Litwę. I od tego czasu największa z królem, jak on mówi, konfidencya. Król lubi go stale, przypomina mu tę historyę za każdem spotkaniem; jeżeli będąc w Warszawie przez kilka dni nie pokaże się na pokojach, dostaje za to przyjacielskie połajanie. Nigdy zaś sympatyi swojej nie pokazał mu Jan Kazimierz wyraźniej, jak w dalszym ciągu sprawy z Mazepą. Bo był ciąg dalszy. Pasek swego nie zapomniał, i raz spotkawszy go na dworze, zaczepił umyślnie. Od przytyków doszło do tego, że Mazepa, poetyczny Mazepa Byrona, Słowackiego i Zaleskiego dostał w twarz i to gdzie, w obecności dworu, na pokojach, pod bokiem Majestatu! Sprawa gardłowa; sam Pasek się przestraszył tego, co zrobił, i schował się cicho w swojej kwaterze. Ale król, bardzo w tej sprawie stronny, naprzód dał także w twarz paziowi, który mu o niej doniósł za to, że mu bajki gada; potem, kiedy Pasek, ochłonąwszy ze strachu, znowu mu się pokazał, zapytał go tylko, dlaczego tak spyszniał, że od czterech dni nie był na dworze, a wreszcie z Mazepą, o którym powiedział, że mu dobrze tak, kiedy plotki roznosi, pogodził ich i kazał się uściskać przy kielichu, przy tym samym obiedzie, przy którymto chowany niedźwiedź, mądry prawie jak człowiek, czy chłopak kudłaty i źle wychowany jak niedźwiedź (Pasek nie wie, co to było

za stworzenie), rzucił królowej w twarz zgryzioną łupinę z gruszki.

Przy tej sposobności opowiada dalsze dzieje Mazepy.

Po szczęśliwym końcu swojej sprawy wybrał się na Litwę, ale trzeba przyznać, że jako kuryer nie bardzo się śpieszył z listami do Czarnieckiego. Wstąpił sobie po drodze do pana Tyszkiewicza, hulał u niego dwa tygodnie, zaręczył się z jego dziewięcioletnią siostrzenicą panną Rudominówną, a wojewoda kijowski obchodził się tymczasem bez listów. W drodze potem awantur bez liku; największa z żołnierzami sapieżyńskimi (hetm. lit.), których potłukł trochę, kiedy rabowali jakąś wdowę. Bo obrażeni na pierwszym noclegu, napadli w trzystu ludzi na jego kilkunastu; stoczył z nimi formalną bitwę, pobił, zabrał ich lepsze konie za swoje gorsze, innego łupu też mu nie brakło, i tak, świetnie wyekwipowany, dostał się przecież do swego wodza.

Ten niebawem wyprawił go naprzeciw posłów moskiewskich, jadących do Warszawy traktować o pokój, których też konwojował i dostawił szczęśliwie, choć także nie bez awantur. W Nowogródku wojsko litewskie nie chciało ustąpić z kwater ani jemu, ani posłom, mieszczanie nie chcieli dać podwód; burmistrza wziął w areszt, zatarasował się w ulicy, jak w obozie, ludzi trzymał pod bronią, armaty zatoczył, jadł i pił, co tylko w tych domach było, i czekał, żeby go atakowali. Naturalnie, miasto rychło udało się w pokorę, a żołnierze litewscy także, jak pomiarkowali, że molestowanie posłów, jadących do króla, jest jego obelgą i może się źle skończyć.

W sprawie Lubomirskiego trzyma się króla, ale tamtemu życzy zwycięstwa, bo ma go za skrzywdzonego i uciemiężonego, jak wszyscy. Ciekawe właściwie są tylko dwie rzeczy w tem jego opowiadaniu: paszkwil na Prażmowskiego, który *con amore* przepisuje, bo go

nie cierpi, i anegdota o pani Sułkowskiej, o jej wyciętej brzezinie i o Janie Kazimierzu, wcale zabawna.

Potem już pan Pasek myśli o ożenieniu, o wyjściu ze służby, zwłaszcza po śmierci Czarnieckiego, po którym już nie miał serca z innym wodzem wojować. Śmierć ta nasuwa mu kilka kart ładnych, czułych, serdecznych. Wystąpiwszy z wojska, zajeżdża do panny Śladkowskiej, to do panny Radoszowskiej, na żadną jakoś zdecydować się nie może, aż się niespodzianie ożenił ze swoją starą wdową. Konkury te, a zwłaszcza deklaracya kawalera i odpowiedź pani, są bardzo zabawne.

A potem *transit gloria mundi.* Z fantazyą kawalerską nie było co robić, kiedy życie schodziło na gospodarce, przygód już żadnych; nie jeden rok zapisany cały w kilku wierszach w jego pamiętniku. Najciekawsza odtąd historya, jedyna ciekawa, jest historya sławnej wydry. Ta bardzo ładna i zabawna, ale co za upadek. Biedny Pasek, którego całą zabawą i pociechą jest ukochany Robak, *quantum mutatus* od tego, który wojował z Czarnieckim, spierał się ząb za ząb z senatorami i eskortował posłów moskiewskich. Bądź jak bądź, kiedy się w czytaniu tej historyi dochodzi do rozstania Paska z wydrą, kiedy się widzi, ile oni oboje cierpią, chce się płakać, przeklinać królewskie kaprysy, robić rewolucyę, a króla Jana ogłosić za nieludzkiego tyrana. Naprawdę jest w tej historyi jedna nieludzkość straszna, to jest jej zakończenie, że dragon, który ją zabił przez pomyłkę, wziąwszy ją za taką wydrę, jak wszystkie wydry na świecie, chodził za to przez rózgi.

Wojna wiedeńska, którą Pasek znał tylko z opisów, choć opowiedziana, ale nie zajmująca, niema tego życia, tej cechy prawdy, tego żywego kolorytu, jaki mają w jego opowiadaniu jego własne przygody.

Ta żywość opowiadania, istotnie nadzwyczajna, jest największą zaletą jego książki. Takiego ruchu, ta-

kiej plastyczności scen, takiej dramatycznej prawie wyrazistości rozmów, kłótni, największy artysta mógłby Paskowi pozazdrościć. On naturalnie ani wie, że ma ten dar, ani się domyśla, że taki dar jest, ani wie jak i dlaczego tak, nie inaczej pisze: pisze co widział, z instynktu, naiwnie, ale tak, że z wyjątkiem Pamiętników Soplicy, żadne staropolskie gawędy i powieści, prozą czy wierszem, nie mogą się z nim mierzyć. U niego ten świat żyje na prawdę, nie galwanizowany, nie składany jak mozajka z rozsypanych kawałków, ale swojem prawdziwem, przyrodzonem i pełnem życiem. W tej oryginalnej naiwności swojego sposobu pisania, Pasek jest klasyczny, reprezentuje cały *genus* dyaryuszów i *sylw*, ale podnosi go do ideału, przez to, że opowiada rzeczy zajmujące, i że wszystko, co opowiada, pod jego piórem staje się zajmującem. Czy Pasek był wielkim pisarzem, czy miał wielki talent, nie wiem, ale jego Pamiętniki są ze wszystkich polskich najładniejsze. A oprócz tego, że ładne i zabawne, są i bardzo ważne, bardzo nauczające; widzi się w nich wiek XVII na wojnie, na uczcie, w podróży, w tańcu, w kościele, na dworze, widzi się jego obyczaj, jego sposób mówienia i życia w najrozmaitszych mniejszych i większych tego życia stosunkach, odmalowany sam przez siebie w wizerunku tem wierniejszym, że naiwnym, że mimowolnie, a przechowanym z całą świeżością kolorów, z całą łudzącą prawdą życia.

Niestety i Pasek traci na bliższem poznaniu. Nowsze, ścisłe badania, dowiadują się o nim rzeczy przykrych, niedładnych, niezgodnych z tą rycerską naturą i z tem uczuciem honoru, które tak pięknie wydają się w Pamiętniku. Pasek był chciwy! był pieniacz! był w swoich procesach nawet wykrętny i nieuczciwy; tak świadczą sądowe na niego wyroki. Oprócz tego Pasek zmyśla, a przynajmniej fanfaronuje, i nie można bardzo wierzyć wszystkiemu, co on opowiada, a zwłaszcza o sobie. Odkrycie jest smutne; doznaje się prawie ta-

kiego wrażenia, jak gdyby o dobrym przyjacielu nie można już było zachować dobrej opinii. Ale te odkrycia mogą zmienić naszą opinię o Pasku, nie zmieniają wdzięku i wartości jego Pamiętnika.

Oprócz Pamiętników, czy jest w tych latach historya? *Klimaktery* Kochowskiego, ale czy jest co więcej? Niewiele, jednak jest.

Kochowskiemu wprost przeciwny, naturą, powołaniem, wychowaniem, wyobrażeniami, Rudawski w tem przeciwieństwie i sam wartości nabiera i tamtemu jej dodaje. Oba patrzą na tych samych ludzi i te same wypadki, oba to samo opowiadają; a każdy patrzy z tak innego stanowiska, widzi je tak odmiennie, że w ich dziełach znaleźć można obie strony odwrotne tych wypadków.

O tej różnicy mimochodem tylko wspomnieć warto, że Kochowski pisze ładniej, żywiej opowiada, przyjemniej się czyta. Żywość wyobraźni i zdolność poetyczna odzywa się nie w jego opowiadaniu i przedstawieniu faktów, ale w jego stylu, w sposobie opowiadania. Rudawski jest umysł suchy, trzeźwy, trochę ciężki, który pisze tak jak myśli. Ale to, choć jest zaletą bardzo w historyku miłą i potrzebną, przecież nie konieczną; zatem przyznawszy, że Kochowski ma ją w wyższym stopniu, długo o tej różnicy niema co mówić.

Za to są inne, głębsze i ważniejsze. Kochowski jest szlachcic, ziemianin, za młodu żołnierz, stoi w samym środku masy narodu, żyje jej życiem, myśli jak ona, czuje jak ona, uczył się tego i tak jak ona. Rudawski szlachcic, świeżo z mieszczanina nobilitowany, stoi już na innym szczeblu w ówczesnem społeczeństwie, jest trochę niżej, nobilitowany wprawdzie, ale nie krew z krwi i kość z kości, nie zupełnie to samo wszyscy. Przytem, nie ma wsi, któraby zapewniała spokojne życie na zawsze i ziemski urząd w powiecie; jego ojczym i opiekun jest mieszczaninem i pracuje

w kancelaryi królewskiej, on sam nie jest w niedostatku, ale musi przecież o swojej przyszłości myśleć. Uczy się zatem pilnie, niezawodnie więcej, niż Kochowski. A ta przyszłość jakaż być może? Bez ziemi, o ziemskim urzędzie (nie płatnym do tego) trudno myśleć, o poselstwie także, tem trudniej o senacie lub urzędzie koronnym. A przecież czemś być trzeba, a nawet nie brak ochoty i ambicyi, żeby być czemś znaczącem i wysokiem. Zostaje więc księdzem. Gdyby było mu się wiodło szczęśliwie, gdyby był został rychło sekretarzem królewskim, referendarzem, dalej za swoje usługi biskupem, wtedy z senatorskiego krzesła może nie jedno byłoby mu się wydało inaczej. Ale pomimo usilnych starań nie mógł zostać nawet kanonikiem krakowskim. Ztąd jakaś niechęć, jakiś żal do swoich, do kraju, z którego się wyniósł szukać lepszego losu, żal, z którym się nie odzywa czy przez szlachetność czy przez dumę, czy tylko przez rozum, ale który mimo jego wiedzy nieraz się w nim przebija. Kochowski ma usposobienie pogodne, a serce otwarte; skłonny jest wszystkich kochać, każdemu przebaczyć, wszystko widzieć w dobrem i wesołem świetle; ten jest raczej posępny, zamknięty w sobie, skłonny do podejrzeń i surowości, niechętny, w ludziach i w rzeczach prędzej dostrzeże złego, niż dobrego, więcej się obawia niż spodziewa.

Z tą naturą i z temi kolejami życia, połączyć trzeba porządnie, gruntownie odbyte nauki i tę okoliczność, że chowany był przez ojczyma, sekretarza królewskiego. Jak do Kochowskiego wszystkie uczucia i opinie szlachty, tak do Rudawskiego dochodziły wszystkie echa z kancelaryi królewskiej; o jakiemkolwiek zdarzeniu posłyszał, słyszał zarazem i sąd, pochodzący od dworu; tamten chował się, patrząc na sejmikową i wojskową stronę wypadków, ten na gabinetową, dyplomatyczną, pod pośrednim wpływem, ale zawsze pod wpływem wyobrażeń Zygmunta III. I ztąd wielka różnica w ich wyobrażeniach i przekonaniach.

Kochowski dzieli opinie całej szlachty, z nią razem się uprzedza, z nią wierzy w Lubomirskiego i w doskonałość konstytucyi polskiej, a choć mędrszy od wielu narzeka na *Veto*, przecież w swojem pojęciu i zamiłowaniu wolności tak do wszystkich innych podobny, że zamach na *Veto* i elekcyę wydałby mu się zamachem na wolność. Rudawski jest monarchistą stanowczym; polskich instytucyj nie lubi, samowładny pan, jak w Hiszpanii lub w Austryi, byłby jego ideałem. Rzecz naturalna, że z tą naturą, z temi kolejami życia i z temi wyobrażeniami, wszystko w Polsce musi mu się wydawać inaczej, niż Kochowskiemu, że patrzy na cały jej stan z jakimś pesymizmem smutnym i nie można zaprzeczyć mu dwóch rzeczy, że w przecięciu sądzi rzeczy głębiej, niż tamten, a drugie, że w tem swojem usposobieniu dość niechętnem został i szlachetnym i do swojej ojczyzny przywiązanym. Uprzedzeń namiętnych, narzekań gorzkich, złego mówienia o kraju czy o ludziach, strzeże się zawsze, znać pamięta, że pisze o Polsce dla cudzoziemców. Ale to tem większa zasługa, bo nie mógł nie wiedzieć, że u tych właśnie taka niechęć byłaby mu zjednała wziętość i powodzenie.

Z tych kancelaryjnych tradycyj, któremi przesiąkł, może i z tego, że żył zagranicą i więcej od innych Polaków napatrzył się obcych spraw i stosunków, poszło to jeszcze, co go do reszty od Kochowskiego odróżnia. Oto tamten widzi, zna i opisuje przedewszystkiem wewnętrzną, a w tej najbardziej wojenną stronę rzeczy; naturalnie bardzo, że jako ziemianin i żołnierz musiał tę najlepiej rozumieć i tą się najlepiej zajmować. Rudawski ma uwagę zwróconą głównie na stronę dyplomatyczną tych samych wypadków. Stosunki dworu polskiego ze wszystkimi innymi, współzawodnictwo Francyi i Austryi, plany Rosyi, zręczne manewry elektora między Szwecyą, Polską i cesarzem, to go najbardziej obchodzi, to chce wyjaśnić, a choć nie zawsze

umie czy chce to opowiedzieć, to przecież dla poznania tej strony rzeczy robi bardzo wiele, naprzykład kiedy podaje znaczną liczbę not dyplomatycznych w ciągu tych lat między tymi dworami wymienionych. Może to pierwszy historyk polski, który na sprawy dyplomatyczne tak zważa, i dokumenty tego rodzaju skrzętnie i systematycznie zbiera i ogłasza.

Już nie raz zdarzyła się sposobność zauważyć u niektórych pisarzy XVII wieku jakieś podobieństwo z poprzednikami, jak gdyby jedna i ta sama natura powtarzała się z pewnemi odmianami w różnych indywiduach; było podobieństwo między Starowolskim a Skargą, między Kochowskim a Kochanowskim. Rudawski także ma między dawniejszymi historykami takiego, którego mocno przypomina. Krzysztof Warszewicki jest jak on księdzem, jak on głównie dyplomatycznemi sprawami zajęty, jak on monarchista, jak on także ambitny i wiele żądający, ma żal do swego kraju za to, iż miał w nim tylko kanonię krakowską: Rudawski nawet tej nie dostał. Nawet rodząj umysłu i pisania u obu dość podobny; u Rudawskiego lepszy, bo nie retoryczny wcale, ale także suchy i ciężki. Jeden jak drugi jest fanatycznym stronnikiem i wielbicielem Austryi i Habsburgów. Rudawski wprost przechodzi na austryackiego poddanego; tamten zostaje poddanym Rzpltej, ma się w niej za sługę cesarza, obrońcę jego interesów, nieraz jest jego agentem. Jeden dostaje kanonię ołomuniecką, drugi gotówkę, niedostateczną, jak się nieraz skarży. Ale krzywdziłby Rudawskiego, ktoby porównanie chciał prowadzić dalej. Jego sympatye austryackie nie stały się nigdy występkiem przeciw Polsce, spiskiem przeciw istniejącemu rządowi. Wolno mu było pragnąć Austryaka na tronie po śmierci Jana Kazimierza, wolno mu było zniechęcić się do Polski i wynieść na Morawy; ale Rzpltej szkodzić, uczyć cesarza, jak ma ją rozdwoić, a rozdwojoną posiąść, tego co w postępowaniu Warszewickiego usprawiedliwić się

nieda żadną miarą, tego on nie robi. Mniej zdolny może, jest od tamtego uczciwszy. Jego stronnicza namiętność, jego austryacka gorliwość, nawet w książce nie uwodzi go do zbyt rażących naciągań; jest niechęć do partyi francuskiej (wyrażająca się zresztą w przyzwoity i umiarkowany sposób), jest czy niewiadomość, czy umyślne zatajenie błędów niektórych i postępów ówczesnej polityki dworu wiedeńskiego względem Polski, ale dalej jego stronniczość nie idzie. Przemilczenie (i to nawet dowieść mu nie można, czy umyślne), to jego największa niesumienność: fałszów i przekręczeń niema.

Ta austryacka tendencya, skoro trzymana w mierze i nie przekraczająca granic prawdy i rzetelności, nie szkodzi wartości dzieła. Przekonania i sympatye autora mogą być słuszne lub błędne (w tym razie ze względu na Polskę były z pewnością błędne), ale jego książka może być zawsze dobrą, bo ta tendencya i sympatya od treści samej, od opowiadania i przedstawienia faktów da się oddzielić, a jakakolwiek jest, tamto wartości swojej nie traci. Książka jest istotnie dobra; panowanie Jana Kazimierza napisane nie nader świetnie, ale bardzo porządnie, nauczająco, rozumnie, jasno i łatwo co do następstwa faktów, ich związku i pochodzenia od siebie, spokojnie, bez namiętności, nie zupełnie bezstronnie, ale nie fałszywie i nierzetelnie, bez wielkiego talentu, ale po prostu, poważnie, dobrze, bez żadnych pretensyj i deklamacyj, trochę sucho może, ale przecież nie nudnie.

Pisząc dla obcych (dla Niemców, Historya przypisana jest Leopoldowi I), daje na wstępie krótką wiadomość o tem, co poprzedziło panowanie Jana Kazimierza, o krajach ruskich (głównie jako tych, z których wyszła cała kolej wypadków tego panowania), o Kozakach i ich stosunku do Rzpltej, o polityce Stefana i Władysława IV względem nich; przyczem warto wspomnieć, że jego austryackie sympatye nie prze-

szkadzają mu oddać sprawiedliwości obudwom. Władysława nawet bardzo wychwala, podnosi bardzo wysoko jego plan wyprawy na Turków i strofuje ostro Rzpltą, że go wykonać nie pozwoliła; kwaśno tylko wyraża się o ożenieniu się z Maryą Ludwiką, nazywając je mniej stosownem dla wielkiego króla. Daje do zrozumienia, że król był wciągnięty niejako, złudzony portretami i opisami, i że postanowienia swego żałował; ale nawet i to mówi dyskretnie, przyzwoicie, w sposób nie uwłaczający wcale królowej, choć jej jako Francuzki bardzo widocznie nie lubi.

Początki buntów ukraińskich, następnie bezkrólewie po śmierci Władysława, opisane są może najlepiej, najżywiej. Równocześnie opisuje sprawy elekcyjne w Warszawie (cytując dokumenty dyplomatyczne) i sprawy ukraińskie: komisye, układy zawiązywane i zrywane, nowe wybuchy wojny i pilawiecką katastrofę. I tu w sądach swoich jest bardzo wytrawny i trafny; widzi doskonale i wskazuje, w czem Rzplta błądziła. Indywiduom, choćby miał do nich wiele sympatyi (jak do księcia Jeremiego naprzykład), wytyka zawsze, jeżeli się do odżywienia wojny przyczynią, i na odwrót, choć do nich pociągu niema (jak do Kisiela), oddaje sprawiedliwość. Wogóle całą kwestyę rozumie dobrze: czerń zbuntowana, rozpojona i krwawa nie ma u niego miłości; Chmielnicki jest okrutnik i buntownik, rodzaj potwora, a do tego przy całej swojej chytrości głupi, bo swoją Ruś zgubił na zawsze, poddając Rosyi, zrobił co innego, niż chciał. Ale stojąc bardzo gorąco po stronie polskiej w całej tej sprawie, widzi przecież i przyznaje, że Polska sama, a przynajmniej Polacy wielce się do jej wywołania i nieszczęśliwego końca przyczynili. W całej tej wojnie kozackiej, która traktowana jest najobszerniej, bo obejmuje sama prawie cały tom pierwszy (szwedzka i moskiewska zaczynają się dopiero w ostatniej jego księdze), jako największy błąd uderza krótkie i pobieżne wspo-

mnienie rzeczy tak ważnej, jak zerwanie sejmu przez *Veto* jednego posła w roku 1652. Zerwanie to przypisuje Rudawski śmiało i stanowczo Januszowi Radziwiłłowi.

Początki wojny szwedzkiej, dyplomatyczne kwestye między oboma państwami, napaść Karola Gustawa, któremu każdy pozór był dobry, byle wojnę wydać, rola Radziejowskiego, wszystko to przedstawione jest dobrze. Potępienie Radziejowskiego, Krzysztofa Opalińskiego, Jan. Radziwiłła, bardzo stanowcze, bardziej, niż u Kochowskiego. Ale od chwili wkroczenia Szwedów (tom I kończy się na poddaniu Krakowa), można Rudawskiemu zrobić ten zarzut, że opowiadając dokładnie historyę dyplomatyczną tej wojny, stronę wojskową zbywa pobieżniej; pod tym względem od Kochowskiego można się daleko więcej dowiedzieć.

Twierdzą powszechnie, że wojna szwedzka, a zwłaszcza druga jej połowa, jest opisana znacznie słabiej. Być może, że uboższa w szczegóły i nie tak obszerna, ale zawsze wielką ma wartość, choćby tylko dla znacznej liczby umieszczonych w niej dokumentów i korespondencyj, w których bardzo ciekawie, a wyraźnie objawia się mądra, lisia polityka elektora. Francuska także występuje jasno i zrozumiale, a do ciekawszych szczegółów należy misya Władysława Reya do Frankfurtu, celem udaremnienia elekcyi Leopolda. Zajmująca i dobra jest więc i ta część dzieła. Ale tu dopiero zaczyna szkodliwie działać austryacka sympatya autora. Zwłaszcza od chwili, kiedy gabinet polski przyjął pośrednictwo francuskie do zawarcia pokoju ze Szwecyą, już Rudawski tylko łaje i gani; niepowodzenie polityki austryackiej w Polsce wydaje mu się nieszczęściem dla Polski, a wielkim grzechem króla, zwłaszcza królowej, którego im darować nie może. Przypuśćmy, że on miał słuszność, nie zaś oni, to i wtedy jeszcze sprawiedliwość sama nakazywała mu wyznać, iż dwuznaczność polityki austryackiej sama najwięcej prze-

szkodziła jej zamiarom. Nieczynność posiłków austryackich, przeszkody, jakie one stawiały prowadzeniu wojny (zwłaszcza podczas oblężenia Torunia), a nadewszystko chwiejność i niepewność gabinetu wiedeńskiego w sprawie następstwa tronu po J. Kazimierzu, musiały gabinet polski od Austryi odwrócić, a przerzucić go na stronę Francyi. Nie od razu i nie bez wielu poprzednich próśb i starań w Wiedniu przyjęto w Polsce francuską medyacyę. Z Rudawskiego zaś mogłoby się zdawać, że to zwycięstwo polityki francuskiej w Polsce było skutkiem czy niestałości, czy kaprysu, czy wreszcie podejścia, niewdzięcznością względem Austryi, a niedorzecznością ze strony Polski. I tu rola tak Austryi jak Polski nie jest ani dokładnie opisana, ani słusznie oceniona; tu teorya i tendencya wzięła górę nad rzetelnością historyka.

Mimo tego błędu, książka jest bardzo dobra, napisana rozumnie, i należy do najlepszych, jakie mamy w tym rodzaju. Autor nauką, sądem w rzeczach politycznych (choć nie zdolnością pisarską), przewyższa Kochowskiego, i jest godnym następcą kronikarzy takich, jak Heidenstein i Piasecki. Następni, z wyjątkiem jednego Otwinowskiego, który się jeszcze nieźle w tym szeregu trzyma, wszyscy daleko słabsi, i można śmiało powiedzieć, że na Kochowskim i Rudawskim kończy się dawna historyografia polska. Oni są ostatnimi annalistami zdolnymi i poważnymi, ich dzieła ostatniemi kronikami, które mają wartość (choć w swojej epoce są już anachronizmem). Po nich już prawdziwego historyka w Polsce nie było, aż do czasu, kiedy Naruszewicz dał początek nowej, umiejętnie pisanej historyi.

Równocześnie z ostatnimi dobrymi jeszcze produktami dawnego kronikarstwa polskiego zaczyna się ten zwrot ku gorszemu, ten jego upadek, który odtąd trwać będzie aż do wystąpienia Naruszewicza. Kazimierz Zawadzki, kasztelan chełmiński, pisze dzieło, które mogłoby być dalszym ciągiem Rudawskiego lub

uzupełnieniem ostatniego Klimakteru Kochowskiego, pisze nibyto historyę panowania króla Michała: wprawdzie częściową tylko, ale i taka mogła była mieć swoją wartość. Chciał opisywać pewne tylko rzeczy: zgoda, i to mogłoby było być bardzo pożytecznem, gdyby był dobrze napisał.

Niestety, w całej książce ciekawym jest tylko tytuł: *Historia Arcana*? to bardzo obiecujące: co to będzie? czy odsłonienie wszystkich gabinetowych tajemnic tego czasu, obfitego w ciekawe, a nie piękne intrygi? Czy może opisanie wszystkich planów i robót opozycyi, spisków prymasa i hetmana przeciw królowi? Korespondencye ich z dworem francuskim? Czy ta ciekawa sprawa rozwodowa, o której wiedział, której podobno nie odpychał zrazu i sam dwór wiedeński, dopóki myślał, że mu się uda wkręcić księcia Lotaryńskiego na króla i drugiego męża Eleonory, i sama nawet ta najwięcej interesowana? Czy wreszcie jest *Historia Arcana* jaką kroniką skandaliczną dworu i ówczesnej arystokracyi polskiej, czy opowiada niedyskretnie stosunki dajmy na to króla do królowej, chorążego w. do wojewodziny sandomierskiej, intrygi, kokieterye i współzawodnictwa kobiet, słabości i serdeczne afekty mężczyzn? Po tym tytule możnaby sądzić, że będzie to taka dworsko-anegdotyczna kronika o dworze polskim, złośliwa, kłamliwa, historycznie nie ważna, ale czasem zabawna, jakich pisało się pełno w Europie od końca XVII wieku. Tymczasem *Historia Arcana* nie zawiera jednego słowa, któreby nie było znane wszystkim, powtarzane przez wróble na dachu. Zawadzki, który w innych swoich pismach ma pewne zalety, pewne dobre myśli, tym razem napisał rzecz bez żadnej wartości, przynajmniej z wartością nader małą. Nie jest to historya króla Michała, tylko w siedmiu księgach historya sejmów za jego panowania odbytych. Rzecz wielkiej wagi i wielkiego zajęcia, skoro w tych sejmach koncentrowały się wszystkie sprawy

wewnętrzne i zagraniczne; sposobność była doskonała do przedstawienia tak wszystkich celów i działań stronnictwa francuskiego i do opisania jego naczelników, jak stronnictwa królewsko-szlacheckiego z Olszowskim na czele. Sprawy tureckie, smutny traktat buczacki, przygotowania do wojny chocimskiej, wszystko to agitowało się na tych sejmach. Tymczasem ani o jednem, ani o drugiem nikt się z tej książki wiele nie dowie. Wygląda ona tak, jak nie porządny dyaryusz z posiedzeń sejmowych, ale jak szumnie i pompatycznie zredagowany protokół tych posiedzeń. Dnia tego a tego przyszły materye takie a takie, mówił ten i ten w takim a takim sensie, rozprawy skończyły się tak a tak: wszystko ozdobione wspaniałymi przymiotnikami, gęstymi superlatywami i niesmacznymi frazesami o poważnem zebraniu senatu, majestacie króla, mądrości tego lub owego senatora czy posła. Jako źródło informacyi o tych sejmach, ani tak obszerne, ani tak wierne jak dyaryusze; a historyą ich dzieło to nie jest, bo przedmiot nie jest ani opracowany, ani należycie opowiedziany, ani osądzony.

Można uważać historyę Zawadzkiego za przejście od kronikarzy (którzy byli anomalią i anachronizmem, ale byli dobrymi kronikarzami) do tych nędznych historyj, które się ukazują w końcu XVII i w początkach XVIII wieku, a opowiadają bądź całe dzieje Polski, bądź jedno panowanie tak niedostatecznie i niedołężnie, że z każdej historyi dla dzieci można się więcej i dokładniej nauczyć: za przejście od Kochowskich i Rudawskich do pisarzy takich jak Rubinkowski, Naramowski i tym podobni.

Są wprawdzie Załuskiego (Andrzeja Chryzostoma) *Epistolae Historico Familiares*, dzieło wielkiej wagi, źródło pierwszego rzędu do poznania tych czasów, ale to jest zbiór nieocenionego materyału, nie jest opracowana historya; takiej autor wcale pisać nie zamierzał.

III.

Potocki. *Pełna. Poczet Herbów. Argenida. Nowy Zaciąg. Jovialitates.* Stanisław Morsztyn. Tłómaczenia Chrościńskiego. Stan. Herakl. Lubomirski: *de Vanitate Consiliorum.* Literatura dotąd nie odkryta. Jej prawdopodobna wartość. Ogólny sąd o tym okresie.

Wacław Potocki, gorliwy wielbiciel i stronnik króla Jana, który marzył na starość o utrwaleniu dziedzictwa tronu w domu Sobieskich, jest jedynym z tych niezbyt częstych współczesnych pisarzy, w których widać zapał i miłość dla ostatniego wielkiego wojownika polskiego. Rzecz naturalna i piękna, że bohater z pod Chocimia i Wiednia był ulubionym bohaterem rycerskiego autora *Wojny Chocimskiej.* Wiedeńska natchnęła mu kilka wierszy pięknych we wstępach do *Pocztu Herbów*; przedtem posłał królowi wiersz więcej serdeczny niż piękny, na wiązanie w dzień św. Jana 1678. Wiersz ten ma tytuł *Pełna*, a pełna ma się rozumieć czasza, którą podczaszy królowi do spełnienia podaje, lub też sam za zdrowie jego spełnia. Wiersz ten ma pewien wdzięk serdeczności i miłej poufałości z królem, do którego poeta odzywa się wesoło i żartobliwie, ale zepsuty jest, niestety, konceptami, na które się sadzi. Treść jego jest ta mniej więcej, że król jak ma imię po swoich patronach, tak w niebie będzie z nimi królował, a na ziemi będzie sławnym jak oni, choć

z dzieł innych. Do tego trzeba jeszcze było przyłatać komplement i dla królowej; naciąga więc poeta i tu analogię z patronami króla: Jan Chrzciciel zadrżał w żywocie matki, gdy się do niego Marya zbliżyła, Ewangelista był jej przybranym synem, Jan III ma także swoją Maryę.

Jan Chrzciciel, Jan Apostoł, Jan król trzeci w rzędzie
A żaden bez Maryi na świecie nie będzie.

Pełno konceptów ubocznych: czasza, którą królowi przynosi, jest pełna, ale wody, bo z Potoka i z rzeki (Śreniawy) czego innego dostać nie można; wszystko kończy się pobożnem życzeniem, żeby kiedyś jak król w niebie obok patronów swoich zasiędzie, królewicz Jakób zajął jego miejsce na tronie. W początku przecie jest jeden ustęp ładny, z którego bije szczery zapał dla króla i słuszne uczucie dumy.

Porzet Herbów jest zapewne wyrazem i świadectwem szlacheckiego ducha, tej świadomości siebie (posuniętej za daleko), jaką miała ówczesna szlachta; ale też to wszystko podobno, co o nim można powiedzieć. Że poetycznie taki herbarz wiele wart być nie może, to jasne. Wziąć paręset herbów, na każdy jakiś wiersz urodzić, i nie jeden nawet, ale wierszy kilka, bo w jednym będzie początek herbu i historya tej lub owej familii, w innym pochwała, jeszcze w innym epigram lub anegdota, nieraz i filozoficzno-teologiczna rozprawa na temat tego herbu, to zadanie, jakiemu żadna ludzka siła, żaden poetyczny talent nie wydoła, to musi być zimne, wymuszone, wykute, nudne, nieznośne. Czy historycznie poczet herbów jest co wart, o tem niech sądzą genealogowie; z pewnością mniej niż Niesiecki, niż Paprocki, niż Okolski, i czy to do dziejów rodzin, czy co do wiadomości o życiu ludzi należących do historyi, czy wreszcie jako świadectwo wieku, jego wyobrażeń i obyczaju, takiem źródłem jak herbarze tam-

tych być nie może. Jest nawet wcale skąpym i ubogim w wiadomości, bo nie o to nawet chodziło autorowi, lecz o to, by do każdego herbu dorobić bądź koncept, bądź jakieś alegoryczne tłómaczenie. Z tego wynika, że główna wartość *Pocztu* powinnaby polegać właśnie w tych konceptach, epigramach i anegdotach. To mogło być i zabawne i charakterystyczne, gdyby autor był zręcznie wybierał anegdoty, a dowcipnie układał epigramy. Niestety, dowcipu nie miał; żart gruby w guście Reya, żart, którego całą zaletą i wdziękiem jest to, że gruby, oto na co zdobyć się umieją jego epigramaty w *Poczcie Herbów*. Nie trudno było dorobić różne mniej lub więcej dowcipne aluzye do różnych znaków herbowych, gęsi, oślich głów, ciołków, świnek i t. d.—a można się domyślać wiele ich tanim kosztem dostarczyły wszystkie herby, w których są rogi w jakiejkolwiek kombinacyi. Jeżeli zaś niema konceptu grubego (który prawie nigdy zabawnym u Potockiego być nie umie), to wtedy niema już żadnego, tak, że z niecierpliwością tylko pytać przychodzi, po co sobie głowę łamał nad dorabianiem wierszy do każdego herbu, jeżeli nic zabawniejszego nie miał do powiedzenia.

Kształt tego dzieła jest następujący: Po dedykacyi królewiczom Sobieskim, idzie jako pierwszy Orzeł Biały, herb Korony Polskiej, z licznymi i długimi do niego wierszami. Potem z jego okazyi do różnych innych Orłów herbowych (Orzeł Augusta, Konstantyna W-go, Prometeusza); potem Orzeł w różnych połączeniach (Epithalamium polskiemu z austryackim, to zapewne z czasów króla Michała), o elekcyach, o szlachectwie, wszystko z okazyi Orła. Potem trochę mniej wierszy, ale zawsze dużo, na cześć Pogoni, porównanie jej ze wszystkimi sławnymi końmi na świecie, z Pegazem, z koniem trojańskim; Epithalamium Orłowi z Pogonią. Dalej herby królów elekcyjnych od Stefana do Sobieskiego, po tem wszystkiem dopiero herby

szlacheckie. Każdy jest wyrysowany, każdy opatrzony wierszem i spisem nazwisk, do herbu tego należących. Przy wielkiej liczbie opisany jest początek herbu, jego legenda (nieraz jest takich dwie i więcej). Wiersze pochwalne na jego cześć, dalej epigramaty i nagrobki do herbu zastosowane. Wreszcie często *Theologicum* z okazyi tego herbu, moralna nauka wywiedziona z jakiejś myśli, której ten herb ma być symbolem.

Zabawne anegdoty i facecye, to jedyna rzecz, której się od tego herbarza żąda, której się od niego żądać ma prawo, skoro jest anegdotycznym i konceptowym. Gdyby takie w nim były, mógłby mieć swoją wartość, nawet znaczną. Ale że takich niema, więc pod względem obyczajowym i towarzyskim ciekawy nie jest, pod względem poetycznym oczywiście niema wartości żadnej, a pod historycznym i genealogicznym nie może choćby zdaleka stanąć przy Niesieckim i Paprockim.

Argenida (1697), ogromny, pełen przygód i zawikłań romans, z łacińskiej prozy na wiersz polski przez Potockiego przetłómaczony, jest w swoim rodzaju ciekawy. Nie tak dla intryg, zdarzeń, dzieł walecznych bohatera i nieszczęść heroiny, ile dla pomysłu i zamiaru autora. Uczony szkocki statysta Barclay, stoi już w tym szeregu pisarzy, którzy łącząc „pożytek z zabawą i wdziękiem", chcieli łatwo uczyć polityki za pomocą zajmujących i powabnych powieści. Kto pierwszy wynalazł ten dziwny rodzaj w Europie? Czy Morus, którego *Utopia* już sobie dodaje wdzięku opowiadaniami? dość, że w XVI wieku już ten rodzaj jest, w XVII kwitnie i podoba się bardzo, i aż do połowy XVIII jeszcze się utrzymuje. Są to tak zwane po niemiecku *Staats-Romane*, których najgłośniejszym typem jest Telemak, a najpóźniejszym w Europie odgłosem Dumokala Leszczyńskiego i Rasselas Johnsona. Tylko że w tych późniejszych pierwiastek powieściowy coraz bardziej znika; w dawniejszych jak *Argenida*, zajmuj

daleko więcej miejsca. Romans obchodzi autora tyle, lub więcej może, niż treść polityczna lub filozoficzna. Przecież Argenidę uważać można i trzeba za poprzedniczkę, za matkę niejako Telemaka, a babkę wszystkich jego potomków. W oryginale jest to taki Staatsroman, i tem się tylko od tamtych różni, że bliższy wieków średnich, bliższy rycerstwa, bliższy może Ariosta i Tassa, zdobi się z wielkim upodobaniem i suto rycerskiemi dziełami i przygodami. Pełno bohaterskich królewiczów, prześladowanych księżniczek, pojedynków, bitew, korsarzy, burz morskich i awantur wszelkiego rodzaju. Fenelon używa przygód Telemaka za pozór tylko i ozdobę; tu Poliarch i Argenida są celem głównym, a ubocznym, w dygresyach zawartym są polityczne rady i przestrogi. Dalszą różnicą jest alegorya, jeżeli jak chce wielu i jak z wielu oznak niewątpliwie wnosić można, Argenis ma być allegoryą dziejów Francyi, za ostatniego Walezyusza, Wojen Ligi; a tło wojny domowej, a król niedołężny i chwiejny, panowie przeciw niemu zbuntowani, nadewszystko bardzo przezroczyste alluzye (i przez autora samego wytłómaczone) do Hugonotów, stwierdzają ten domysł bardzo wyraźnie.

Ale jeżeli w oryginale była Argenida takim allegoryczno-politycznym romansem, to w przekładzie zmieniła fizyognomię. Przełożył ją Potocki wierszem, a w ten sposób wystrychnięta na poemat ze swojemi rycerskiemi awanturami, wygląda na jakąś (dość lichą) kopię Ariosta lub Tassa, do której dodałby ktoś od czasu do czasu dysertacye o rokoszach i wojnach domowych, o bezkrólewiach i elekcyach, o wojskowości lub skarbowości. Połączenie tych dwóch pierwiastków w poemacie wygląda jeszcze zabawniej, jeszcze bardziej dziecinnie niż w romansie. Nic zabawniejszego jak ten świat konwencyonalny, nie należący do żadnego wieku i kraju, nieokreślony jak w Arioście lub w niektórych komedyach Szekspira (Powieść Zimowa

naprzykład), kiedy naraz w wolnej od zatrudnień chwili, schodzi w sferę rzeczywistą i na jakiej radzie ministrów lub uczcie, zaczyna dyszkurować (pod innemi nazwiskami naturalnie) o istniejących, bieżących, europejskich kwestyach i interesach.

Co Potockiego skłoniło do przełożenia tej Argenidy? Można śmiało przypuszczać, że podobała mu się właśnie dlatego, że łączyła w sobie wdzięcznie i powaby rycerskiego romansu, i pożytek z mądrych nauk i trafnych przestróg. Połączenie to wydała mu się oczywiście genialnym wynalazkiem; nie jemu tylko, bo cała Europa z wielkiem zajęciem czytała romansowe przygody, a z nabożeństwem słuchała politycznej mądrości Argenidy. Ztąd łatwo wziął się zamiar przetłómaczenia tego arcydzieła; niech się i rodacy ucieszą, niech się i oni czegoś nauczą, a że przetłómaczył ją wierszem, to pojmuje się łatwo. Naprzód myślał że Argenida wyda się lepiej tak ozdobiona, powtóre wiersz szedł mu tak bez trudu, sam z siebie, że niemal więcej pracy i czasu nie potrzebował na to poetyczne przerobienie, jak na zwykłe prozaiczne tłómaczenie.

Te dwa pierwiastki, romans i politykę, trzeba rozróżnić w Argenidzie. Romans, podobny do wszystkich tego rodzaju: Rinaldo i Tankred był przez chwilę Poliarchem lub Archombrotem, zanim zeszedł na Koloandra, Klorynda i Erminia była Argenidą, zanim w ostatecznym upadku stała się księżną Eufratą Drużbackiej. Pomiędzy wielkimi poematami rycerskimi Tassów i Ariostów, a smutnem ich potomstwem, rycerskimi romansami, stoi ten przez Potockiego do godności poematu wyniesiony romans Barclaya; do ostatnich raczej nie do pierwszych podobny swoją wartością, przecież talentem tłómacza o tyle nad nie podniesiony, że niekiedy udaje kopię pierwszych i na chwilę czasem złudzi. Nie trzeba się zbytecznie śmiać z Argenidy. Sądząc ją podług ścisłej sprawiedliwości logicznej czy estetycznej, wyśmiać ją łatwo, a jednak ona się

broni, choć skromnie i nieśmiało: Jeżeli się nie śmiejesz z Szekspira, jeżeli jemu wolno łączyć świat grecki ze średniowiecznym, jeżeli wygnany książę medyolański może być potężnym czarownikiem na odludnej wyspie, a sycylijska królowa za umarłą miana, po długich latach zjawia się jako statua, dlaczegóż Poliarch nie ma być królem francuskim, dlaczego królowa Mauritanii nie mogła wychować w sekrecie syna swojej siostry, królowej sycylijskiej? Moje Poliarchy i Archombroty to ludzie z tych samych czasów i krajów, co piękny Fernando z *Burzy* lub pasterz Florizel z *Zimowej powieści*. Porównaj argument nie jednej komedyi Szekspira z moją treścią, a przekonasz się że podobne są do siebie jak dwie krople wody. Że ze mnie geniusz nic nie zrobił, to moje nieszczęście; ale z mojej naiwności się nie śmiej, bo i wielcy ludzie naiwnie lubili ten świat, który ja opisuję i z niego się nie śmieli.

Że Argenida w końcu znudzić musi, to pewno. Ogromny foliant awantur i przygód, chyba przy talencie Ariosta może nie być nudnym. Ale dziwniejsze jest, że nie cała i nie zawsze nudna; że czytając, przecie człowiek ciekawy się dowiedzieć, co się stało z Argenidą, lub jak Poliarch wybrnął z tego lub owego niebezpieczeństwa. I to jest niezaprzeczenie zasługą tłómacza. Prozaicznego romansu, i to po łacinie, niktby oczywiście nie strawił, wiersz polski dodał życia tym przygodom i figurom (bardzo zresztą czczym); talent Potockiego dodał tu i owdzie jakąś ozdobę, jakiś żywy obraz, jakiś niezły ustęp opisowy lub uczuciowy, tak, że po przekładach Piotra Kochanowskiego, jest ta Argenida najładniejszym przekładem rycerskiego poematu lub romansu, jaki mamy w języku polskim.

Trudno jest nawet w krótkości opowiedzieć te wszystkie zawiłe awantury. Najgłówniejsze z nich są te: Młody Poliarch, król Francyi, puściwszy się w świat na rycerskie przygody, *incognito* naturalnie, pod zmyślonem nazwiskiem, dostaje się na dwór króla sycy-

lijskiego Meleandra, który ma królestwo w opłakanym stanie, i córkę bardzo piękną, Argenidę. Poliarch pomaga mu, jak może, ręką i radą w sprawach królestwa, a zakochuje się w córce. Nieszczęściem, napadnięty raz w lesie przez pięciu ludzi, częścią ich pozabijał, częścią porozpędzał, a napastnikami tymi byli posłowie od Lykogenesa, możnego pana, który, zawiedziony w ambitnych nadziejach otrzymania ręki królewnej, podniósł rokosz przeciw królowi. Za ten gwałt na posłach, nieobecny Poliarch skazany jest na śmierć przez niedołężnego, a w błąd wprowadzonego króla. Ratować chce go Archombrot, rycerz afrykański, który mu w owej napaści pomagał, i z którym zawarli przyjaźń. Jakoż zasługuje się Archombrot królowi, ułatwia nawet królewnie spotkania z Poliarchem, ale niebawem sam zaczyna o niej myśleć. Nadzieje ma najlepsze, bo jest maurytańskim królewiczem, a tamten jak sądzi, tylko prostym rycerzem; do tego on na miejscu i na usługach panny, tamten na wygnaniu. Ale i jemu nie idzie gładko. Król sardyński, Radyrobanes, przyjeżdża starać się o Argenidę, a spotkawszy odmowę, chce ją porwać podstępem. Podstęp się nie udał, ale wzgardzony konkurent wydaje wojnę. Zwyciężony jest głównie za sprawą Archombrota, któremu wdzięczny Meleander przyrzeka rękę córki. Szczęśliwy narzeczony jedzie przed ślubem do swojej Maurytanii; ale tu zastaje Poliarcha, a od mniemanej matki dowiaduje się, że jest tylko jej siostrzeńcem, a synem Meleandra, z jakiejś dawno zmarłej i zapomnianej żony. Wracają więc razem do Sycylii, gdzie naturalnie Poliarch żeni się z Argenidą, a Archombrot prowadzi siostrę do ślubu. Epizodów, zawikłań, pojedynków, bitw, turniejów, uczt, zdrad, intryg, rozbić okrętów, odkrytych tajemnic, co nie miara. Jedna ciekawa: to jest, że kiedy Argenida chowała się w jakimś odludnym zamku, gdzie żaden mężczyzna nie miał przystępu, Poliarch, który nie wiedzieć z jakiego powodu przez czas jakiś chodził w ubraniu ko-

biecem, dodany był królewnie za towarzyszkę i przyjaciółkę przez czujnego ojca.

Żeby to było ładne, trudno powiedzieć; przygody nieprawdopodobne, a figury dość czcze, muszą po jakimś czasie znudzić. Ale nie jest tak nudne, jakby być miało prawo, jakby być powinno; w przekładzie Argenida wiele zyskała i wszystko razem wziąwszy, polski poemat ma więcej życia, niż łaciński romans. Ustępów szczególnie pięknych, któreby się czytało dla przyjemności lub przytaczało na dowód talentu autora, niema zapewne; ale jest przez cały ciąg jakaś żywość stylu, która nie staje się naprawdę poezyą, ale sprawia tyle przynajmniej, że Argenidę można do końca doczytać.

To, co do jej strony artystycznej. Jest druga, polityczna, o której też wspomnieć trzeba, od tamtej nie mniej ważna, skoro Argenida głównie w tym celu była pisana, żeby pod powabną formą powieści uczyła polityki. Sposób, w jaki Barclay jedno do drugiego przyłatał, jest dość pierwotny. Co parę rozdziałów przerywa się opowiadanie; król Meleander zasiada do rady ze swoimi ministrami, albo cudzoziemiec Archombrot wypytuje tego lub owego o stosunki sycylijskie, albo po uczcie wszczyna się dyskurs o materyach Status; gdy się taka rozmowa skończyła, wraca znowu powieść. W epizodach takich mowa jest o wszystkiem, co tylko do polityki należy: forma rządu, tron dziedziczny lub elekcyjny, republika lub monarchia, tolerancya względem różnowierców lub absolutna jedność wiary, podatki, wojskowość, handel, rolnictwo i t. d. i t. d., wszystko to dyskutowane jest po kolei. A w przekładzie Potockiego dopiero wygląda zabawnie. Posługuje on się słowami używanemi w Polsce: urzędy, instytucye, czy praktyka rzeczy w Sycylii, wszystko ma nasze nazwy polskie, i od nich nabiera takiego zacięcia i kolorytu polskiego, że nieraz wierzyć się nie chce, żeby to był ustęp tłómaczony, żeby te rozprawy o elekcyach, bez-

królewiach, rokoszach, sejmach, hetmanach i t. p. nie były przez Polaka dodane. Porównawszy z oryginałem, łatwo się przekonać, że wszystkie niemal są wiernie za nim powtórzone; czasem tylko, ale zostając zawsze w tym kierunku pojęć i myśli jaki jest u Barclaya, pozwala sobie Potocki dodać, wtrącić kilka lub kilkanaście wierszy, i w tych umieścić jakąś do Polski aluzyę, której w oryginale nie było. Tak jest naprzykład w rozdziale XV pierwszej części Argenidy, gdzie jest mowa o sukcesyi tronu lub elekcyi. Tłómacz powtarza wszystko za oryginałem, ale dodaje *ad usum* polskiego czytelnika ustęp naprzykład taki:

Rokoszanin Lykogenes (a w nawiasie mówiąc, o nim i o rokoszach w ogólności powiedziane tu są rzeczy, o których możnaby prawie przysiądz, że je Polak po rokoszu Lubomirskiego tylko mógł napisać, a tymczasem są istotnie Barclaya i pisane o francuskiej Lidze), Lykogenes wynosi pod niebiosa wolne wybieranie króla głosami całej szlachty. Dunalbi, duchowny, jakiś sycylijski i pogański prymas, zbija go zupełnie tak, jakby Jan Kazimierz w swoim gabinecie był zbijał senatorów przeciwnych sukcesyi.

Rzecz dziwna, że szlachcic ówczesny tak chętnie tłómaczył ten romans polityczny, którego tendencya jest bardzo wyraźnie monarchiczna. Czy to wdzięki romansu samego tak go zachwyciły, że dla nich zniósł już nawet tę niemiłą ówczesnej opinii tendencyę? Wcale nie; wszak Potocki nietylko tłómaczy, ale dodaje od siebie wiele uwag w tym samym sensie. Pan podczaszy krakowski, rzecz rzadka między senatorami, cóż dopiero między wiejską szlachtą tego czasu, jest monarchistą zawziętym. Nietylko w Argenidzie, we wszystkich, a przynajmniej w wielu jego pismach są na to dowody. Gdzie może szarpnąć elekcyę i bezkrólewie, gdzie może wtrącić słowo za tronem dziedzicznym, pewno sposobności nie opuści. Najwyraźniej zaś w tych wstępach do *Pocztu Herbów*, w tych wierszach do Orła

Polskiego o elekcyi, gdzie woła nie już o utrzymanie Sobieskich na tronie, to mogłoby być podchlebstwem tylko, ale gdzie dowodzi, że zawsze król dziedziczny od elekcyjnego lepszy, że Polska upada, odkąd elekcyę zaprowadziła i przez nią, i żąda, żeby raz na zawsze uciąć łeb tej hydrze.

Wszystko to dowodzi, że Argenida nietylko podobała mu się jako powieść, ale że mu i do przekonania trafiała; że tłómaczył ją nietylko dla jej piękności, ale i dla pożytku, dla tendencyi.

Syloret już po śmierci autora wydany, nie jest przekładem ani naśladowaniem; jest, jak mówi autor, z różnych powieści zebranym, ale jest własnym utworem, i jest od Argenidy dużo słabszy. Nie jest jak ona romansem tendencyjnym, dydaktyczno-politycznym, tylko prostym rycerskim romansem przygód i awantur, ale jako taki, nawet jest od niej nudniejszy. Dowód, że na własnej inwencyi autorowi zbywało. Wprawdzie awantur i zawikłań wymyślił on co nie miara; jest ich daleko więcej, niż w Argenidzie; trzy generacye jedna po drugiej przechodzą przez najdziwniejsze przygody, zdrady, zabójstwa, wojny, pojedynki, podróże, zanim się w końcu wszystkie trzy znajdą, żeby resztę życia pędzić już w błogim spokoju. Ale może dlatego właśnie, że tych przygód tak wiele, żadna nie utkwi w pamięci, żadna nie zajmie uwagi, zepchnięta zaraz przez drugą, i bardzo krótko, pobieżnie przez autora opowiedziana. Figury podług tego samego patronu co bohaterowie Argenidy, ale jeszcze więcej, jeżeli być może, konwencyonalne i obojętne.

Syloret wyjeżdża gdzieś w daleką drogę. W domu zostawia młodą żonę Arsinę z małym synkiem Xifilem i syna z pierwszego małżeństwa, dorosłego Dauleta. Ledwo odjechał, niecna Arsina, zakochana w pasierbie jak Fedra w Hipolicie, używa wszelkich sposobów, żeby go podbić, ale Daulet jest zimny jak Hipolit, a cnotliwy jak Józef. Mściwa niewiasta chce go ukarać,

gotuje mu truciznę, ale Daulet ucieka od pokus i niebezpieczeństw, a tymczasem zatrute jadło czy napój, dostaje przypadkiem własny syn Arsiny, Xifil. Na to wraca Syloret; Arsina oskarża przed nim Dauleta, ale prawda wychodzi na wierzch, jak oliwa. Wtedy z rozpaczy truje się sama: tą samą trucizną, którą połknął był Xifil. Ciało jej spalono zaraz na stosie, za prędko jak się pokazało, bo lekarz zamiast trucizny, dał jej tylko opium, i tym sposobem Xifil po jakimś czasie budzi się zdrowiuteńki. Stary Syloret wtedy puszcza się w świat na odszukanie starszego syna; Xifil, gdy dorósł, za ojcem i bratem. W tej podróży poznaje i zaślubia jakąś królewnę Teolindę; ale ścigany przez rozbójników czy nieprzyjaciół, gdy widzi, że sam jeden obronić jej nie zdoła, na jej własne prośby przebija ją sztyletem i rzuca w rzekę Araxus. Potem, po długiem szukaniu spotyka ojca i brata Dauleta. Znajduje się i Teolinda, która nie była zabitą tylko lekko draśniętą, i jakoś szczęśliwie z wody się wyratowała. Mają i synka, Eumenesa, który, gdy dorósł, zakochuje się w księżniczce Meropie; rodzice chcą go swatać z inną księżniczką, Astimoną, młodzieniec się opiera, ale wreszcie pokazuje się, że Meropa i Astimona jest jedną i tą samą osobą. Radość powszechna; niestety krótkotrwała. Meropa ginie w rozbiciu okrętu, czy w jakiejś innej przygodzie; niepocieszony kochanek ani chce słyszeć o żadnej innej i dopiero po długiej żałobie, na natarczywe prośby rodziców skłania się do ożenienia (*mariage de convenance*) z córką Zenobii królowej Palmiry. Na tym dworze niespodzianie spotyka między niewolnicami swoją Meropę, którą delfin wyniósł szczęśliwie z morza. Wraca do niej naturalnie, a królewna Palmiry przyjmuje jakiegoś innego konkurenta.

W całej tej długiej i zawiłej historyi niema miejsc, ani tak względnie żywych nawet, jak były w Argenidzie. Najpatetyczniejszem, najczulszem jest nib to, gdzie Teolinda prosi Xifila, żeby ją zabił racze

niżby wpaść miała w ręce napastników. Ale i to dość mierne. Kto wie czy nie najżywsze ze wszystkiego te otwarte, grube, ale dość energiczne słowa, któremi Arsina maluje swoją grzeszną, a nie mniej uczuciową namiętność do Dauleta.

Powieści mniejsze, *Virginia*, *Historya równej odwagi ale różnej fortuny dwu pięknych Tressy i Gazele w Holandyey panien*, ani stylem, ani układem, ani żywością opowiadania, ani uczuciem, nie stoją wyżej od *Argenidy* i *Syloreta*.

Jakim sposobem jeden i ten sam człowiek mógł napisać *Wojnę Chocimską* i *Nowy Zaciąg* (1698) lub *Jovialitates*? Doprawdy trudno zrozumieć. *Wojna Chocimska* daleka od doskonałości, nosi przecież na sobie niezaprzeczone piętno talentu; znać tam pisarza, który językiem włada o tyle, że ten język przybierze zawsze ton jaki mu jest potrzebny, stanie się surowym i groźnym, kiedy poeta chce gromić, poważnym, kiedy mówi o poważnych rzeczach, ironicznym, kiedy chce urągać. Prawda, że jeden i ten sam człowiek, nawet wielki geniusz, może obok rzeczy najpiękniejszych pisać inne brzydkie, albo i zgoła niedorzeczne, Szekspir napisał Andronicusa; ale żeby pisarz, który raz pisał dobrze, miał dobry język, wiersz i styl, mógł je stracić tak, żeby w drugiem dziele język stał się niedołężnym, wiersz niezgrabnym, a styl od początku do końca fałszywym, komicznym przez przesadę, lub trywialnym, kiedyby powinien być poważnym lub patetycznym, to nie do pojęcia, bo te techniczne przymioty pisania temu, kto je raz ma, zwykle zostają na zawsze. Doprawdy, jeżeli co mogłoby zachwiać wiarę, że Potocki jest autorem *Wojny Chocimskiej*, to pewność, że on jest autorem *Zaciągu*: to nieudolność zupełna, opłakana, z jaką pisany jest ten poemat. Wprawdzie są tu pewne przyzwyczajenia stylu, pewne błędy, które w mniejszym stopniu znajdują się i w *Wojnie Chocimskiej*, a przeto wierzyć pozwalają w tożsamość autora; ale zawsze po-

jąć trudno tak wielkiej różnicy, takiego zniedołężnienia talentu, którego nawet późny wiek, umysł osłabiony latami i nieszczęściami, dostatecznie usprawiedliwić nie mogą.

Nowy Zaciąg pod chorągiew starą tryumfującego Jezusa Syna Bożego nad światem, czartem, śmiercią i piekłem, gdzie traktamentem doczesne błogosławieństwo, żołdem wesołe sumienie, wysługą korona królewska, która już niezliczonemu tego Towarzystwu znaku na wieki wieczne okryła laurem skronie, jest, jak mówi druga połowa tytułu *Żałosną Historyą krwawej Męki*, jak Messyada Klopstocka. Tytuł sam już źle uprzedza przeciw dziełu i każe przypuszczać, że ono będzie wyskokiem złego smaku, typem w swoim rodzaju literatury pobożnej, a barbarzyńskiej, jak większość ówczesnych kazań lub pogrzebowych panegiryków. Że autor był pobożnym, gorąco wierzącym, że rozmyślając Mękę Pańską, do łez się sam rozczulał, temu łatwo wierzyć, i to niechaj mu będzie policzonem na tamtym świecie. Ale że te rozmyślania swoje napisał, i to wierszem, za to zasługi przyznać mu nie można, bo zamiast zbudować, tylko czytelnika śmieszy albo gniewa. Są przecież poezye naiwne, są pieśni o Męce Pańskiej, imponujące swoją prostotą, a trafiające do serca swoją rzewnością; *Stabat Mater*, nawet *Gorzkie Żale* będą się podobały wybrednemu literatowi, choćby on nawet nie był chrześcijaninem, jeżeli będzie się znał na rzeczy i umiał patrzeć na nią z punktu, z którego ją widział ten, co pisał. W *Męce Pańskiej* Potockiego nie znajdzie się ani naiwności, ani obrazowania, ani tych pobożnych rozczuleń, których niedołężna forma nie zdołała zatrzeć żywego i szczerego uczucia; w grubym tomie nie znajdzie się ani jednego wiersza pięknego, ani jednego, nad którym chciałoby się zamyślić, którym możnaby się modlić, któryby trafił czy do serca, czy do wyobraźni. Widzi się, że autor czuł wszystko, co mówi, że był bardzo pobożny i ze skruchą Mękę Pańską rozpamiętywał; ale jego

rozczulanie się nad ofiarą i jego oburzenie na męczących, jest tak niedołężne, tak trywialne, tak pozbawione nie już uroku lub natchnienia, ale powagi, że budzi tylko niesmak; kiedy znowu forma niezgrabna, jednostajna, nużąca, nie ożywiona nigdy szczęśliwem wyrażeniem, słowem silniejszem, sprawia znudzenie.

Zaczyna się to od porównania Chrystusa Pana z Józefem sprzedanym przez braci, i zaraz na wstępie poznać się można dokładnie z tonem i stylem poematu; nie znalazł nic innego do powiedzenia o zdradzie Judasza, jak że sługa sprzedał Pana, zamiast co dotąd panowie sprzedawali niewolników; co za pomysł wyrzucać Judaszowi, że Chrystusa za tanio sprzedał! Czy wysokość ceny mogła tu zmienić wartość uczynku? Co za trywialność gruba i niesmaczna w tej uwadze, że „chyba oszalał albo się upił?" a ten początek może służyć za miarę całości, wszystko jest takie. Od namowy Judasza ze starszymi synagogi, aż do złożenia Chrystusa w grobie, wszystko (wiernie za Ewangeliami opowiedziane bez żadnych dodatków i fikcyj), wszystko jest w tym tomie. Doprawdy pojąć trudno, że ci ludzie, tak szczerze pobożni, nie czuli, że o przedmiotach takich mówić trzeba poważnie, że ten styl trywialny nie raził ich, jeżeli nie w estetycznem to w religijnem uczuciu. W najwznioślejszych, najpiękniejszych chwilach Passyi, w takich, które najbardziej powinny były trafiać do serca, do wyobrażeń, do natchnienia, pobudzić do łez albo do pobożnego rozmyślania, w tych, które tysiącznym artystom natchnęły tysiące arcydzieł, a Świętym ekstaz i wizyj, nasz poeta znajduje tylko pochop do takich uwag. Ustanowienie Eucharystyi, ta tajemnica, przy której przecież nie powinien był zostać zimnym pobożny katolik, który się zerwał być poetą Męki Pańskiej, jemu daje tylko sposobność do nudnej i bardzo nawet powierzchownej nędznej dysputy teologicznej z protestantami o rzeczywistej obecności Jezusa Chrystusa w Sakramencie,

a nawet kiedy skruszony przechodzi w ton modlitwy, prośby, co mu się zdarza bardzo często, nawet wtedy nie może się podnieść nad niesmaczną trywialność. Naprzykład jego modlitwa po umywaniu nóg, w której prosi „Świętego Balwierza", żeby i jego „obmył w swojej wannie".

Na tle jednostajnego, bezbarwnego, nudnego opowiadania świecą (nie rzadko nawet) ustępy takie, że gdyby trzeci gbur opowiadał jak dwóch innych pijanych gburów biło się w szynku, nie mógłby opowiadać tego inaczej. I to ma być poeta, poeta pobożny, gorliwy katolik, opisujący Mękę Pańską, a mówiący o niej takim tonem? Pobożny zapewne był, ale poetą — nie.

Albo biczowanie, przy którem żołnierze najświętsze ciało posiekali na bigos:

Ciało swe, pod okrutnym które dziś Profosem,
W oczach żydowskich drobnym kraje się bigosem:

Albo kiedy słowo *Consummatum est*, tłómacząc przez *spełniło się*, mówi że Chrystus spełnił kolejny kielich, który wszyscy za nim wypić mamy. Poeta, który to słowo, „dokonało się odkupienie świata i ofiara", zdolny był pojąć pod figurą kolejnego kielicha, pożyczyć obrazu od pijackich biesiad, a nie znalazł nic innego do powiedzenia, jest co do myśli i wyobraźni przynajmniej osądzony, o smaku już nie mówiąc. Są czasem ustępy lepsze, naprzykład zakończenie rozdziału Chrystus przed Piłatem, albo zakończenie biczowania. Ale i te najlepsze może z całego poematu nie są nietylko na wysokości przedmiotu, ale nawet nie na wysokości bardzo średniego liryzmu, trochę wyżej podniesionego uczucia i tonu. Dodawszy zaś do tego brak wyobraźni, przedstawienie niedołężne scen najwznioślejszych, styl ciągle fałszywy, smak najgorszy i wiersz wcale niezgrabny, pokaże się, że Nowy Zaciąg jest za-

ledwie lepszym od odpustowych poezyi, bez tego co odpustowe poezye ratuje: naiwności i braku wykształcenia. Częstochowski poeta ma zawsze tę wymówkę, że nie wie, co czyni, kiedy pisze wiersze; człowiek oświecony jej nie ma, Wacław Potocki autor Wojny Chocimskiej jej nie ma, i ten *Nowy Zaciąg* szkodzi bardzo jego literackiej sławie, przez niektórych tak wysoko sławionej.

Nie poprawia jej *Ogród ale nie plewiony*, więcej znany pod później dodanym tytułem *Jovialitates*. Ciekawa jest rzecz przypatrzyć się, jak długo poezya polska żyła z Kochanowskiego. Bezpośredni następcy naśladowali go niemal wszyscy, późno w XVIII wieku, jeszcze odzywają się echa jego *Trenów* u Kniaźnina, *Psalmów* u Karpińskiego; w XVII Morsztyn za jego przykładem pisze *Żale* po utraconych dzieciach. A nie tylko jego liryzm, jego humor także został typem i wzorem na długo. Pisano pod różnymi tytułami *Fraszki*, jak pisano pod różnymi tytułami *Treny*, a do naśladowań takich należą *Jovialitates*, albo „Żarty i Fraszki rozmaite, pracą Wacława Potockiego, podczaszego krakowskiego zebrane, dla uweselenia i rozrywki światowego czytelnika".

Niestety, z grubego tego tomu, z trzech ksiąg Żartów i Fraszek, poznać tylko można, że świat polski lubił śmiech, żart, anegdoty; ale rozrywki i rozweselenia znaleźć w nich nie można. Humor Kochanowskiego, Krasickiego, Trembeckiego, wesołe choć nieraz grube koncepty pana Paska, dowcip Fredry lub Henryka Rzewuskiego, ten humor polski czasem rubaszny, czasem błaznowaty, czasem nieprzyzwoity, ale trafny, oryginalny, pełen zdrowego rozsądku i szczerej wesołości, ma wdzięku bardzo wiele: ale kiedy zabraknie mu dowcipu, sztuki powiedzenia zabawnie i dosadnie tego, co chce powiedzieć, zgrabnej i lekkiej formy, kiedy ulotni się z niego „der Spiritus", zostaje tylko koncept, który dobrze obrócony, mógłby być zabaw-

nym, a wyrażony ciężko, wyrąbany bez najmniejszej gracyi, jest rubasznym i grubijańskim, jak napisy zostawiane na murach przez żołnierzy, najemnych furmanów, lub podchmielonych czeladników. Taka nieszczęściem jest wesołość w Żartach Potockiego. Że ktoś wszystkie najniższe organa i funkcye ludzkiego ciała nazywa otwarcie ich najgrubszem imieniem, że każdą nieprzyzwoitość odsłoni i pokaże w całej okazałości, żeby nikomu niepewności i domysłu nie zostawić, to nie dowcip ani humor; to może rozśmieszyć tylko ludzi z umysłem tępym, którzy niczego domyślać się nie umieją. To zaś cała żartobliwość jego żartów lżejszych, schowanych po największej części w trzeciej księdze, jak gdyby w jakiemś *Museo Segreto*. Jeżeli zaś do tego rodzaju wesołości i dowcipu przystąpi jeszcze forma ciężka, niezgrabna, język nieposłuszny, niewyrobiony, niezwrotny jak surowy koń, jeżeli nieszczęśliwy autor fundując się na złej podgórskiej wymowie, daje naprzykład rymy takie jak *Kościół* i *Rozgościół*, *popiół* i *kupiół* (zamiast rozgościł i kupił), to rzecz oczywista, że płody jego krotochwilnej Muzy nie mogą się czytać bez niesmaku i odrazy.

Liczne Epithalamia pełne podchlebstw i gwałtem szukanych konceptów, w guście wieku, ale liche, i nie mniej liche nagrobki, naprzykład synowi Stefanowi, którego stracił na wojnie. Są takie nagrobki kołkowe na wszystkich dla wszyskich, od króla do zwierząt; są i dla osób, a między temi dla złośliwości swojej godne uwagi Epitaphia dla Zygmunta III i Jana Kazimierza. Za to Janusz Radziwiłł, najgorszy może z ówczesnych wichrzycieli i zdrajców, ma tam wiersz wcale podchlebny.

Obraz cnoty, reguły cnót najpotrzebniejszych w każdym stanie, oklepane morały; słowem jak nie grubiańskie w najwyższym stopniu, są te jego wierszyki w bardzo wysokim stopniu nudne. Do lepszych należy wiersz na stroje białogłowskie. Znaczna liczba anegdot, a mię-

dzy innemi stare odwieczne, już sto razy przed nim powtórzone, znać zawsze pożądane i z przyjemnością słuchane, kiedy on je jeszcze raz powtarza. Do zabawniejszych należy *Sprawa Osiecka* albo *Mazur z Kobyłą* żart króla Jana podobno; ale i to żeby były dobrze opowiedziane, trudno przyznać.

Peryody są trenami na śmierć syna Stefana; dorosłego. Dla ojca ma się wszelkie współczucie; trudniej zdobyć się na podziwienie dla poety. Widzi się jego żal, szanuje się cnotę, z jaką ten żal znosi i dochodzi de rezygnacyi; ale boleść jak cnota wyraża się długo, gadatliwie, czasem trywialnie; fakt przemawia do serca czytelnika, wiersz nie. Reminiscencye Kochanowskiego, porównania z nim zdarzają się naturalnie. Jeden ustęp, a przynajmniej jedna myśl robi wrażenie, wzrusza, to kiedy biedny ojciec przypomina Chrystusowi Panu, że wskrzesił Łazarza, wskrzesił syna wdowy; mógłby wskrzesić i jego syna, gdyby chciał, czemuż nie wskrzesza? Syn musiał być bardzo dobry, ojciec bardzo nieszczęśliwy, to się z tych wierszy poznaje; ale wiersze jednego o drugim są słabe.

Wety Parnaskie, to zbiór anegdot, dowcipów, epigramów, jak stare Apophtegmata Reya; nie tak grube jak *Jovialitates*, ale nie zabawniejsze, nie dowcipniejsze, nie lepiej pisane od tamtych.

Wacław Potocki jest dziś szczególnie ulubionym przedmiotem badań naszych krytyków. Po dawniejszych (jak Bełcikowski), nastąpili nowsi (Brückner, Czubek, Erzepki) i doszli nietylko wszystkiego, co się dojść dało o życiu, stosunkach, pojęciach i uczuciach poety, ale odkryciami swemi pomnożyli niemal w dwójnasób jego literacką puściznę. Że zrobili doskonale i zasłużyli na wielką wdzięczność ludzi, zajmujących się literaturą polską, zbytecznie mówić. Dzięki ich pracy, Wacław Potocki jest dziś tak dobrze znany, jak nie jest, niestety, ani Kochanowski, ani Krasicki. Zyskuje on wiele na tej bliższej znajomości. Okazuje się

sympatycznym, szanownym, jako Polak i jako człowiek. Nawet w rzeczach politycznych rozumnym, a przytem i wcale śmiałym. Jest prócz tego bardzo charakterystyczny, typowy, rzuca wiele światła na swój wiek. Nawet najsłabsze jego pisma pomagają do poznania tego czasu. Tylko jego stanowiska jako poety, te wszystkie odkrycia i badania nie podniosły, i najlepszym tytułem jego do chwały jest zawsze *Wojna Chocimska.*

Z poezyi oprócz tego już bardzo mało.

Stanisława Morsztyna, wojewody mazowieckiego, *Smutne żale po utraconych dzieciach*, Chrościńskiego tłómaczenie... Morsztyn miał nieszczęście w odstępie paru tygodni stracić dwoje dzieci dorosłych, syna wyżej lat 20 i 18-letnią córkę. Jeżeli nawet te dzieci nie były takim „wzorem szlachetności i wdzięku", jak się biednemu ojcu wydawały, to zawsze nieszczęście wielkie, i współczucia odmówić autorowi nie można. Jest bardzo nieszczęśliwy, bardzo rozrzewniający, kiedy rozpamiętywa wszystkie przymioty tych dzieci i pieści się każdem z osobna, bardzo budujący, kiedy powtarza często: Bóg dał, Bóg wziął, czy dał czy wziął, niech zawsze będzie pochwalony. Ale jeżeli ojciec i chrześcijanin zasługuje na współczucie i uszanowanie, to poeta trudniej trafia do serca. W ostatnim swoim Żalu (dziesiątym), zwraca on mowę do Kochanowskiego i uczy go, że mniej żałował swojej Urszuli, niż on (Morsztyn) swoich dzieci; Urszula była mała i jedna, tych dwoje i już dorosłych. Istotnie, nieszczęście było może większe i żal może większy, ale w poezyi żale i dzieci Morsztyna nie przeszły do nieśmiertelności, jak Urszula i Treny. Wszystkie te żale po utraconych (od Grochowskiego i Wiśniewskiego, aż do Kniaźnina) mają to nieszczęście, że muszą się spotkać ze wspomnieniem Trenów, a porównania nigdy wytrzymać nie mogą. Morsztyn nie naśladuje Kochanowskiego, tę sprawiedliwość oddać mu trzeba, ale jeżeli rozczula, to swoją rezygnacyą, smutkiem, swoją poczciwością, nie

swoją poezyą. Mówi on wprawdzie, że tylko „średni ból jest wymowny”—a jego wielki wyrazić się godnie nie może; ale to szczęśliwe łudzenie samego siebie. Nie ból mniejszy, lecz zdolność większa sprawiła, że Treny Kochanowskiego są nieśmiertelne, że jego łzami ludzie zawsze płaczą: a Morsztyna żałują, wierzą mu, że był nieszczęśliwy, ale z nim razem na łzy zdobyć się nie mogą. Jednak są niektóre ustępy dość rzewne, naprzykład zakończenie Żalu trzeciego, albo początek czwartego. Najładniejszy ze wszystkich jest Żal siódmy, w którym autor na miarę rodzicielskiej miłości przytacza przykład okrutnego Faraona: nic go zmiękczyć nie mogło, ale

„Czego ciężkie nie sprawiły plagi,
To śmierć pierworodnego sprawiła w nim syna,
I złość, i gniew, i upór, wszystko to odleci
Wtenczas, gdy miłość cierpi, gdy nam biorą dzieci”.

Ustęp o Faraonie i jego złości dość energiczny, a w zakończeniu porównanie siebie do niego ładne jako myśl pobożna. Piękności w tem niema, owszem, jest to poezya dość niedołężna; ale z drugiej strony przyznać trzeba, że nie wady, lecz brak przymiotów jest jej największem złem. Ani bardzo niezgrabnych wierszy, ani zepsutego języka, ani sztucznych wyszukanych konceptów, ani złego smaku w tych *Żalach* niema, z wyjątkiem chyba tego jednego (dziewiątego), w którym pierwsze litery wierszy składają imiona zmarłych dzieci autora: jedyny dług spłacony modzie ówczesnej.

Z drobnych wierszy Stanisława Morsztyna (których nie wiele zostało), jedna *Szczerość Kawalerska* ma ustępy, które można z przyjemnością przeczytać.

O tłómaczeniach poezyj obcych w tej epoce nie wiele można powiedzieć. Jedyna rzecz godna wzmianki, to, że przekłady autorów starożytnych stają się rzadsze, upodobanie w nowszych wyraźniejsze. Morszty-

nowie tłómaczą Corneille'a i Racine'a, Potocki robi poemat z romansu Barclaya. A ci, co tłómaczą poetów łacińskich, źle wybierają. Ta epoka upadku musiała mieć jakąś sympatyę do upadającej i zepsutej literatury rzymskiej, kiedy, nie troszcząc się o Wirgila i Horacego, dokonała aż dwóch przekładów *Farsalii* Lucana. Oba i jako przedmiot i jako przekład obojętne dla naszej literatury, nie mają tego znaczenia, tych zalet językowych i poetycznych co *Psalterz* J. Kochanowskiego lub *Jerozolima* Piotra. Z tych dwóch tłómaczów przecież Chróściński jest godniejszy pamięci. Nie przez to, jak tłómaczy, ale przez to, co tłómaczy. Oprócz nieszczęsnej *Farsalii* bowiem, przełożył romansowe *Rozmowy Listowe* z Owidyusza; przekład jest lichy, ale można w nim widzieć ciekawy dowód, że ten czas kochał się już w takiej poezyi czułej i sentymentalnej, podobniejszej do deklamacyjnych tyrad francuskiej tragedyi, niż do poezyi greckiej, a nawet rzymskiej z wyjątkiem Owidyusza. Dziwna rzecz, że obok tego nauczyciela sztuki kochania, tłómaczył Chróściński rzecz od niego tonem i duchem najodleglejszą, księgi Joba. Jak? oczywiście nie dobrze. Job wydać się może w prostem, wiernem, prozaicznem tłómaczeniu; ale w parafrazie poetycznej— chyba gdyby go przerabiał Eschyl, Dante, albo Milton, bo oprócz tych trzech żaden poeta nie miał w stylu tej wielkości i tego majestatu, jaki tam jest potrzebny. W przekładzie Chróścińskiego jest Job daleko mniejszy, daleko słabszy, daleko bardziej mdły, niż w przekładzie Wujka naprzykład. Ale jest w nim jedna rzecz ciekawa: oto alluzya patryotyczna. Job opuszczony i uciśniony jest dla tłómacza symbolem i figurą Polski w jej ówczesnych uciskach; dodana na końcu Apostrofa do Ojczyzny pozwala się tego domyślać. To szukanie podobieństwa między Polską, a biblijną historyą, które jest u Kochowskiego, które kiedyś odezwie się u poetów XIX wieku, jest i u tego skromnego tłómacza złej, zepsutej epoki. Kto wie, czy nie w takiej też myśli tłó-

maczył i Lamentacye Jeremiasza i jego piękną modlitwę. To podobieństwo uczucia i pomysłów u naszych poetów w podobnych położeniach jest bardzo uderzające i godne uwagi.

Ten sam Zawadzki, który między historykami zajmuje jedno z ostatnich miejsc ze swoją *Historia Arcana*, przypisuje wstępującemu na tron Janowi III, podczas sejmu koronacyjnego, dziełko większej niż jego historya wartości, w którem mieści jakoby program zmian potrzebnych i nowemu królowi do wykonania zaleconych, *Speculum repraesentans anomaliam in capitibus im peru Sarmatici.*

Szczególnej wartości nie ma; na dwie lub trzy myśli dobre (i to nieśmiałe, niezupełnie dobre) jest tu wiele bądź mylnych, bądź niepraktycznych. Ale w zapatrywaniach swoich dość charakterystyczne, jest ciekawe przez to, że pierwsze toruje niejako drogę przed statystami i reformatorami XVIII wieku, pierwsze dotyka dwóch praw kardynalnych, dwóch wielkich kwestyj, o których wiek XVIII będzie dyskutował aż do końca, to jest prawa *Vetandi* i władzy hetmańskiej: dotyka tak lekko, tak nieznacznie i tak niedostatecznie, że zaledwo można autora uważać za poprzednika Konarskich i Staszyców. Jednak przed nim nie było ani tego nawet: i musiało *Veto*, musiała władza hetmańska już przecie dać się uczuć w skutkach, skoro ten autor, najzupełniej pojęciom swego wieku hołdujący, źle rozumiejący i historyę i prawo publiczne Polski, przecież widzi potrzebę jakiejś bodaj małej w tych prawach modyfikacyi.

Zaraz pierwszy rozdział mówi o sejmach. To fałszywe z gruntu, że obyczaj zrywania przypisuje królom chciwym rozszerzenia władzy i dziedzicznej korony; ale dość, że uznaje, iż dalej tak zostać nie może. Żądanie jest małe, bezskuteczne, prawie żadne, sejmów od zerwania nie broni wcale. Ale jest już chęć zrobienia czegoś, żeby szkodliwości *Veto* zapobiedz. Odtąd

pomału, zbyt pomału, niestety, bo cały prawie wiek, ale bez ustanku myśl ta będzie dojrzewała—Karwicki pójdzie o krok dalej — Leszczyński jeszcze dalej, aż wreszcie Konarski po wieku powie wszystko, powie to, co przed wiekiem, za J. Kazimierza lub Sobieskiego mogłoby było Polskę uratować.

Druga myśl ważna w rozdziale o sile zbrojnej. Już w drugim (o rozdawnictwie urzędów) żądał zniesienia ich dożywotności, a nadawania tylko na trzy lata. Teraz stosuje to samo żądanie do hetmanów. Pomysł jest oczwiście zły: kto ma dobrego hetmana, czemuż nie ma trzymać go zawsze, a kto ma złego, pocóż ma trzymać choćby trzy lata? Nie o trwanie, lecz o zakres tej władzy chodzi. Jednak jest tu już poznanie, że władza hetmańska może być szkodliwą. Powszechny podatek na utrzymanie stałego wojska (choć tylko 20 tysięcy) zasługuje także na uwagę.

Czy jego wyrachowanie dochodów, jakie Rzplta mięćby mogła z ceł morskich i korzyści, jakie z nich ciągnie z jej uszczerbkiem Gdańsk jest słuszne, trudno stwierdzać. Jako miejscowy (starosta pucki) musiał być rzeczy świadomym.

Co ciekawe, to pomysł założenia dwóch innych portów obok Gdańska. W rozdziale o monecie pomysł osobliwszy, żeby zarząd skarbu oddawać zawsze osobie duchownej, jako świątobliwszej zapewne i pewniejszej.

Godny reprezentant swego czasu i jego przesądów, a przecież już widać pewien zwrot; już choć daleko mniej rozumny od Fredry, niektóre rzeczy lepiej od niego rozumie. Pierwszy, w którym jest jakiś choć najsłabszy symptom mającej nastąpić reakcyi przeciw *Veto* i władzy hetmańskiej, dlatego godzien wzmianki.

Recepta na to, abyśmy się długo w ojczystej ziemi osi dzieli (wydana przez Plebańskiego 1887), niewiadome go autora, jest szanowna, płynie z dobrego i żyweg uczucia, mówi rzeczy słuszne: ale receptą na chorob Rzpltej naprawdę nie jest, bo nie przepisuje, co robi

żeby się z tej choroby wyleczyć. O ile można wyrozumieć, choć autor konkluzyi tej wyraźnie nie wypowiada, to lekarstwem byłaby wielka wstępna wojna z Turkiem. Miłości ojczyzny dużo, dużo głębokiego o nią frasunku. Autor wylicza siedm niesprawiedliwości, z których wynika słabość Polski i jej niebezpieczeństwo; te niesprawiedliwości wskazuje trafnie, sądzi surowo, a skutki ich przepowiada wymownie, tonem wzruszonym i przejmującym. Przez to jest niby słabszem echem Starowolskiego, a odbija dobrze od zaślepionego kwietyzmu Fredry. Ale politycznej myśli i wartości wiele tam niema.

Nakoniec Stanisława Lubomirskiego dzieło treści politycznej, najciekawsze ze wszystkiego, co napisał. Jest to filozofia sceptyczna, zastosowana do polityki, i dowodząca przez usta *Prawdy* w długich jej rozmowach z *Próżnością* (*Vanitas* źle przetłómaczona przez Próżność, *Marność Rad* lub złudzenie, zwodniczość, byłoby lepiej odpowiedziało temu, co autor rozumiał przez *Vanitas Consiliorum*), że wszystkie sprawy, jakieby się przedsiębrać mogły, i wszystkie środki, jakieby do tego były użyte, są marne, ułudne, nie prowadzą do niczego i dobrze skończyć się nie mogą. Pokój służy na to tylko, żeby pole zalęgać, a nieprzyjaciołom dać czas gotowania się do wojny; wojna na to, żeby tracić ludzi, pieniądze, a nieraz i prowincye; przymierza, żeby z obojętnych i neutralnych robić sobie nieprzyjaciół; trzymać wojsko stałe, źle, bo i koszt i gotowa okazya czy buntu żołnierskiego, czy zamachu stanu; nie trzymać go, to słabość i ustawiczne niebezpieczeństwo: sejm na to, żeby dużo gadał, a nic nie robił, sejmiki na to, żeby przysyłały posłów niezdatnych i skrępowanych niedorzecznemi instrukcyami—słowem, żadna sprawa nie może się powieść, ani żaden środek przydać.

Czy w Polsce tylko? lub też, czy jest to jakiś Pyrrhonizm ogólny, odnoszący się do polityki w całym

świecie? Autor wprawdzie o żadnym kraju w szczególności nie mówi, żadnego nie nazywa, stoi zda się na gruncie kosmopolitycznym, i to, co mówi, stosuje do wszystkich. Przecież widoczne jest, że myśli o jednym tylko kraju, a przynajmniej o jednym przed innymi, więcej niż o innych. Sejmy, sejmiki, rady senatu, wszystko to rzeczy, których gdzieindziej jak w Polsce nie było; a nawet gdzie mówi o wojnie, o pokoju, o dyplomacyi lub sile zbrojnej, alluzye są tak wyraźne, pojęcia i praktyka spraw polska tak ciągle występuje na wierzch, krytykowana przez *Prawdę*, że wątpliwości być nie może; dziełko ściąga się do Polski tylko, ją miał autor na myśli.

Można sobie wyobrazić, że to Polska sama, jej opinia, jej przyzwyczajenia, jej wkorzeniony obyczaj przemawiają przez usta *Próżności* (Marności, Ułudy), a odpowiada jej autor sam, jako *Prawda*.—Smutna prawda, która w nic nie wierzy, w niczem nie ufa, nic wskazać i nauczyć nie umie, tylko wątpi i wątpi. Że mówi wiele prawd, wiele rzeczy rozumnych, czy z powszechnem, czy ze szczegółowem zastosowaniem do Polski, to się nie da zaprzeczyć; ale jednej prawdy, zdrowej, silnej, afirmacyjnej, tej nie ma; zwątpienie w to, co jest, niewiadomość co robić, jak radzić. Dziwny fenomen: zdaje się, jak gdyby literatura polityczna, wyczerpawszy przez dwa wieki wszelkie środki perswazyi, powtórzywszy sto razy, że jest źle, wskazawszy nieraz, co i jak zmienićby należało, w końcu opuściła ręce i z reformacyjnej, jaką zawsze była, stała się krytykującą i rozpaczającą, jak gdyby było jej zostało dość poznania i sądu, żeby jeszcze złe widziała, a na ratunek jak gdyby już ostatecznie była zrobiła krzyżyk. Fenomen to jedyny, kierunek wyjątkowy, ale ciekawy i można rzec, że naturalny i logiczny; tak wiernie odpowiada on położeniu Rzpltej, która wprawdzie w instytucye swoje wierzyła podówczas silniej, niż kiedykolwiek, ale zwątpić w nie miała prawo, owszem, byłaby musiała,

gdyby się wszyscy tak byli nad niemi zastanowili, jak ten jeden.

Takiego zniechęcenia, zwątpienia, dowodzi zaraz pierwsza rozmowa. Rzplta, czy jej rząd, zdanie próżne i mylne jednem słowem, zapowiada, że zwoła radę, żeby stanowić o sprawach publicznych, bo rada mądrych to światło, to rękojmia dobrego postanowienia, wiele oczu zobaczy więcej, niż oczu dwoje: Prawda (autor) przyznaje, że rada to rzecz dobra, szkoda tylko, że my ludzie poznać nie umiemy, która jest dobra, a która zła.

Z wielką bystrością, z rzadką u nas Polaków praktycznością, w dwóch słowach podaje Prawda najmędrszą regułę postępowania w sprawach politycznych: szukaj dwóch radców: sposobności i potrzeby. Istotnie, trudno lepiej rzecz określić, trafić w sam środek. Słowa te mówią: zanim działać poczniesz, rozważ, czy to, co chcesz zrobić, jest ci potrzebne? Jeżeli potrzebne, czy teraz, w tych warunkach, w których się znajdujesz, da ci się zrobić. Maksyma na pozór tak prosta, że aż prawie nieznacząca, przecież wszystkie możliwe przypadki, wszystkie sprawy, bez wyjątku, są nią objęte; wszystkie błędy i klęski dadzą się pod nią podciągnąć, każda sprawa, która wzięła zły obrót, nie powiodła się dlatego, że nie zważano dość na jednego z tych radców, że albo nie było prawdziwej potrzeby, albo dobrej sposobności.

Dalej staje się Prawda bardzo ironiczną, kiedy opisuje radców i pożytek z nich, myśląc naturalnie o radach polskich. W końcu stawia konkluzyę, która jeżeli jest konkluzyą, to w sensie rządów absolutnych: „Radź się lepiej sam siebie, czybyś się radzić miał”, czy nie lepiej, kiedy jedna głowa myśli, radzi, rządzi? Nie jest to stanowczo twierdzenie, jest tylko wątpliwość, pytanie, ale pytanie, które uderza w same podstawy systemu reprezentacyjnego. Zniechęcenie, niedowierzanie do polskiej formy rządu jest bardzo widoczne, mniej,

lecz dość także widoczna niepewność, czy byłoby lepiej lub nie, zastąpić ją monarchią absolutną. Gdyby autor był tej konkluzyi pewnym, byłby ją postawił zapewne śmielej i wyraźniej.

Rada być ma, to już postanowione; ale o czem? O tem naprzód, co najpotrzebniejsze, na czem się wszystko opiera, o prawach; mając dobre prawo, publiczne, cywilne, czy karne, myśli Próżność, będzie się miało dobrze urządzoną Rzpltą, nic łatwiejszego. Nic bardziej zniechęcającego jak odpowiedź Prawdy, która nie wierzy w skuteczność Prawa w ogólności, ani żadnej w szczególności ustawy, a w niedowierzaniu swojem mówi czasem rzeczy tak mądre, głębokie i trafne, ma słuszność tyle razy, że mimowolnie wierzy się jej prawie i w tem, w czem słuszności nie ma. Zaraz pierwsze słowo „Układaj ludzi, łatwiejsza rzecz dać naukę, niż obyczaje," najpierwsza, najświętsza z prawd. W sprawach politycznych wszelkiego rodzaju, administracyjnych czy dyplomatycznych, międzynarodowych czy wewnętrznych, czy idzie o całość Państwa czy o proces sąsiedzki, rozwiązanie stanowcze i pomyślne zawsze zależeć będzie mniej od prawa, niż od sumienia i woli ogółu, od obyczaju, a na ten prawo, państwo, działać ani może ani umie. Niemoc prawa i jego usiłowań występuje jasno w samem założeniu, a w dyskusyi coraz wyraźniej, gdy Próżność dowodzi, że przecie dobre prawa ułożyć potrafią, a Prawda zbija ją na każdym kroku.

W poszczególnych przypadkach tak samo. Ułożysz prawa na ambitnych i wichrzycieli, przygotujesz sobie buntowników. Zatrwożony przewagą niektórych wielkich urzędów, zechcesz znieść ich dożywotność? Cóż z tego; urzędując przez czas krótki, będą się tem bardziej śpieszyli, żeby zrobić jak najwięcej złego. Wszystko próżno, wszystko na nic! Odpowiedzieć tej Prawdzie nietrudno, ona się myli. Skutek może być wątpliwy, ale usiłowanie jest konieczne i obowiązko-

we; fatalistyczna rezygnacya ani sceptyczna negacya nikogo jeszcze nie zbawiły, i ratować się musi, kto chce być uratowanym. Może się zaś ratować tylko takimi znanymi ludzkimi środkami jak prawa i dobre sprawowanie rządu. *Próżność* w dyalogu Lubomirskiego jest płytka i lekkomyślna, nie mądra, nie umie się bronić, ni powiedzieć czego chce, ale w gruncie, ona instynktem staje bliżej prawdy istotnej, aniżeli Prawda, która prawdą nie jest, tylko wątpliwością lub negacyą. Co za ironia, co za smutna mizantropia, naprzykład, w tej ostatniej przestrodze, w tym niby najkrótszym, najprostszym sposobie rządzenia: „Każ, mówi Prawda, czego chcesz aby się strzegli, zabraniaj tego co chcesz aby czynili".

Skarży się Próżność, że obywatele w Rzpltej są bardzo niezgodni, i mówi, że chciałaby ich pogodzić. Prawda dowodzi, że niezgoda jest prawem, harmonią, życiem samem, a gdyby nawet gdzieś na świecie zgoda być mogła, to nie tu, gdzie obyczaj i prawo, pomagając naturze ludzkiej w tej skłonności, przyzwyczaiły wszystkich do zazdrości i niezgody. Takie prawo natury ludzkiej, że kto wyższy, nie będzie spokojnym, dopóki nie osiągnie władzy, kto niższy, ten nie spocznie, aż wszystkich z sobą lub siebie z wszystkimi zrówna. Wrodzona dążność rządzących i rządzonych, natura arystokracyi i demokracyi, określona bardzo trafnie.

Przymierza potrzebne—mówi Próżność—w wojnie dobrzę mieć przyjaciół i pomocników; wejdę w przymierze z tym lub owym sąsiadem. „Patrz pierwej, odpowiada Prawda, jak z tego przymierza wyjdziesz. Jeżeli twój sprzymierzeniec będzie słaby, pociągnie cię za sobą w niebezpieczeństwo; jeżeli mocny, ty będziesz od niego zależał: jeżeli zwyciężysz, musisz mu ustąpić część korzyści; przegrasz, on się do ciebie przyczepi i będzie chciał na tobie odbić, co przez twoje przymierze w wojnie utracił". Znowu to samo, znowu tylko

zła strona rzeczy przedstawiona; prawdziwa jako taka, ale w gruncie nie prawdziwa dlatego, że sama jedna, że na te wszystkie *contra* nie ma ani jednego *pro*. I tak samo w rozmowie o poselstwach i posłach. Prawda, że poseł może być niezdolny lub zły, poselstwo bezskuteczne, prawda, że w raportach może być „więcej do czytania, niż do wyrozumienia", prawda zwłaszcza, że najlepszym ambasadorem jest „sława potęgi" (posyłaj do niego sławę potęgi twojej): ale czyż dlatego poselstwa mają być niepotrzebne, czy bez nich obejść się można? Nie, i dlatego cała rozmowa, choć rozumna, jest tak marna, jak (podług autora) poselstwo.

Równie niebezpieczne i w skutkach zawsze złe jest rozdawanie urzędów, które jednych robi zuchwałymi i niewdzięcznymi (tych co urząd dostali). drugich niechętnymi i zazdrosnymi (tych co go nie dostali). Czyż z tego ma wynikać, że nie trzeba wcale urzędów obsadzać? Niebezpieczeństwa Lenności (Feudów) i Inwestytur, stwierdzone świeżem doświadczeniem, wytknięte są trafnie. Autor oczywiście myślał o Prusach, kiedy pisał punkt piąty rozmowy o Feudach.

Nieraz przestrogi bystre lub nauki praktyczne bardzo zręczne; naprzykład, jak się wymówić dworowi zagranicznemu, żądającemu posiłków pieniężnych. Albo żeby dobrej sposobności używać, ale roztropnie, i pamiętać, że najlepszą sposobność dają własne siły, nie słabość nieprzyjaciela.

Wreszcie przystępuje do rzeczy specyficznie polskich i najważniejszych, do sejmów. Kwestya przedwstępna: w jakiej porze i na jak długo je zwoływać? Źle w lecie, źle w zimie; źle na krótko, bo sejm nic nie zrobi, źle na długo, bo tem więcej czasu do rozpraw i niezgód. Potem sejmiki; rząd postara się o to, żeby instrukcye ich wypadły po jego myśli: przedstawi małą liczbę materyj, które mają się traktować na sejmie, słowem wszystko uczyni, żeby uniknąć zamieszania w przyszłym sejmie. Ale pomimo wszelkich

starań, sejm, zdaniem Prawdy, skazany jest z góry koniecznie na zamieszanie i bezskuteczność. Wreszcie schodzi się on i radzi. O czem? O wojsku naprzykład? Kiedy nic dobrego uradzić nie może, bo źle mieć wojsko, źle go nie mieć. O podatkach? A na cóż się zda je uchwalać, kiedy nikt potem nie będzie zmuszonym do ich płacenia? A po sejmie, zamiast wykonać, co było uchwalone, zbiera się rada posejmowa i obmyśla dopiero, jak to wykonać! Po co? Wszak już postanowione, a rzeczom postanowionym posłuszeństwo potrzebne, nie rada.

Wiele rzeczy mądrych w rozmowach o wojnie, ale i tu wszystko zawsze na dwie strony; dobrego wodza nigdy nie doświadczysz, każdy zawsze może być pobitym. Dowodzi jeden? łatwo się pomyli; rada wojenna? trudno się zgodzi i nigdy nic nie postanowi. Masz dobrą piechotę? Cóż z tego, czem będziesz nieprzyjaciela ścigał? Masz jazdę? A czem zdobywać fortece i trudne pozycye? Masz wszystko? Rzecz obojętna, nie liczba i doskonałość wojska, ale dobre użycie każdej broni i sposobność zapewnia zwycięstwo. Potem, jakże to wojnę prowadzić? Zdobywać fortece? Strata czasu, rozdzielenie sił, nieprzyjaciel tymczasem okrąży, wtargnie w twój własny kraj. Omijać fortece? Zajmie ci tył i przetnie odwrót. Układać plany? Choćby były najlepsze, zawsze coś zajdzie takiego, że w praktyce wykonać się nie dadzą. Ale w tej ustawicznej wątpliwości często zdarzają się maksymy mądre. „Patrz pierwej jak wojnę skończysz, nim jak ją zaczniesz".

W układach pokojowych to samo niedowierzanie względem pośredników i medyacyi, to samo przekonanie, że każdy traktat jest oszukaństwem i początkiem nowej wojny, i ta sama czasem bystrość; a zwłaszcza dwa punkty ostatnie o gwarancyi i przysiędze—sprawdzone w lat tylko kilkanaście później: gwarancyą Piotra W.

W rozmowie XXV o „Rządach Stanu podczas po-

koju i ustanowieniu rzeczy potrzebnych", trzy przestrogi bardzo przydatne dla Polski, o utrzymaniu wojska.

Pomijamy *Księgę o Lekarstwach Umyslu Ludzkiego* czyli *Prawdy niezawodne przez które pokazuje się jaśnie, że człowiek jest nieśmiertelny co do duszy*, są to Rozmyślania, Modlitwy i Psalmy, niektóre wcale ładne, ale z natury swojej nie podpadające pod sąd literatury; chyba żebyśmy chcieli poddawać pod niego wszystkie książki do nabożeństwa; ta nie jest niczem innem. Zostańmy więc przy poprzedniej, najważniejszej ze wszystkiego co Lubomirski napisał i najbardziej zajmującej. Że ona jest fałszywą, tego nie potrzeba dowodzić. Każda rzecz ma swoją złą stronę, mieć ją musi: każde działanie musi mieć swoje niebezpieczeństwo, każdy środek może zawieść i do celu nie doprowadzić, to rzecz wiadoma, odkąd świat jest światem. Ale to prawdą nie jest, żeby każdy środek musiał prowadzić do celu innego, niż był powinien, żeby każde działanie musiało być daremnem, żeby każda rzecz miała tylko złą stronę. To jest jednostronność, która się z rzeczywistością nie zgadza, a każdego, ktoby chciał trzymać się takiej filozofii stale i logicznie, prowadzi koniecznie prosto do *absurdum*. Cóż bowiem, gdyby wycisnąć esencyę z tych wszystkich Rozmów Próżności z Prawdą, wynikłoby jako ich konkluzya? Oto, że nic robić nie warto, i nic robić nie można. Jakiś fatalistyczny kwietyzm albo rozpaczliwy sceptycyzm, jedno jak drugie zabójcze dla charakterów, dla indywiduów i dla społeczeństw, odejmujące wszelką siłę, wszelką energię, wszelką inicyatywę, jakieś *Vanitas Vanitatum* może bardzo dobre dla pustelnika, zatopionego w pobożnych rozmyślaniach, lub dla filozofa, pogrążonego w kontemplacyi, ale nie dla tych, dla których właśnie było pisane, dla ludzi, żyjących życie czynnem, politycznem, którzy z natury rzeczy mus i działać, i walczyć, i w działaniu swojem używać w śnie tych środków, w których skuteczność autor t

stale nie wierzy, bo innych niema na świecie. Jeżeli więc książka była pisana ze szczerem przekonaniem, w dobrej wierze, to jest owocem jakiegoś usposobienia chorobliwego; jeżeli, o co posądzać autora nie mamy powodu, pisana była bez przekonania, to wtedy byłaby dziełem złośliwego i szkodliwego sceptycyzmu. W każdym razie jest ona fałszywą. Zachodziłoby tylko pytanie, czy równie fałszywą, jednostronną i niesprawiedliwą jest w odniesieniu do Polski? Czy zważywszy ówczesny stan Rzpltej, taki sceptycyzm, zniechęcenie, niewiara we wszystko nie są usprawiedliwione? Poniekąd zapewne; kto patrzał na historyę Jana Kazimierza, a zwłaszcza Michała i Sobieskiego, które pokazały wyraźnie, że wszystkie doświadczenia tamtego panowania nie zdały się na nic, odbiły się od naszych głów jak groch od ściany, że sejmy zrywały się jak przedtem, że możni robili fakcye i zmowy z postronnymi jak przedtem, że siły obronnej, ani wewnętrznego ładu, ani polityki zagranicznej nie było jak przedtem, ten mógł załamać ręce i zwątpić o wszystkiem. Ale takie zwątpienie, choćby nawet usprawiedliwione, jest zawsze fałszywe i zgubne. Dopóki jest życie, jest nadzieja życia, ratować się i można i trzeba; i jeżeli Polska, nie ratując się, owszem brnąc w upadek coraz głębiej, mogła jeszcze żyć cały wiek, to kto wie, czy myśląc o ratunku w czasie, kiedy Lubomirski żył i pisał, nie byłaby sobie pomogła. Jest więc ona fałszywą i sama w sobie, i ze względu na Polskę. Ale potępiając w ten sposób jej dążność ogólną, niepodobna jest zaprzeczyć jej słuszności i bystrości w szczegółach. Tej jest bardzo wiele, i autor był oczywiście człowiekiem bardzo rozumnym. Nie można także zapomnieć, że, jako symptom jedyny takiego zniechęcenia i zwątpienia, jest ciekawem w naszej literaturze politycznej zjawiskiem. Co ją natchnęło? Czy patryotyczny smutek, rozpacz raczej? Czy filozoficzny sceptycyzm, połączony dziwnie z religijnym kwietyzmem i mistycyzmem?

Trudno rozstrzygać; nie dość na to autora znamy. Może niechęć do Sobieskiego, może duch intrygi; i to przypuszczenie jest możliwe. Kto wie, czy to zniechęcenie i zwątpienie w broszurze nie jest przeznaczone na to, żeby naród zniechęcić i odebrać mu wiarę we wszystkie zamiary króla, a przez to zamiary te pokrzyżować; żeby marność sejmów i praw, niebezpieczeństwo wojen i zdobyczy, niepewność przymierzy i traktatów, przesiąkłszy dobrze do głębi umysłów, udaremniła, sparaliżowała wszelką politykę i królowi związała ręce. Czy mamy prawo posądzać autora o taki zdradliwy Machiawelizm? Pomimo wszystkiego, co się o nim wie, a wie się, że względem Sobieskiego był niechętnym i niewdzięcznym, bez dowodów nie można przypisywać tak przewrotnego zamiaru tej książce, choć cel jej tak niejasny, duch tak dziwny, do domysłów i podejrzeń zostawia szerokie pole.

W każdym razie autor jest figurą ciekawą. Rozumny i wykształcony, Salomon polski, z wielką sławą prywatnej i obywatelskiej cnoty, niezmiernie pobożny, wydaje się ze swoich pism i z tej reputacyi rodzajem smutnego Katona, lub świętego, który zniechęcony marnościami tego świata, zmartwiony, że na nic zaradzić nie może, zatapia się w Bogu. A obok tego praktyka życia wygląda inaczej. Historya mówi, że był za króla Jana wichrzycielem jak inni, i sprzeciwia się tej obywatelskiej cnocie, której sławę miał u potomnych; tradycya domowa znowu twierdzi, że cała pobożność i mistycyzm nie przeszkadzały mu do wielkiej i zbytecznej wolności obyczajów, że przez całe życie, nawet do późnej starości miewał różne niepozwolone miłosne stosunki. Cóż to więc wszystko znaczy? czy to prosty Tartuffe? czy sofista, który własne sumienie tak umiał oszukać, że miał się za Katona i za świętego, kiedy naprawdę ani w prywatnem ani w publicznem życiu cnotliwym nie był? Niektórzy twierdzą, że taka dwoistość, taka różnica między teoryą

a praktyką, zasadami a życiem, była tak częstą u ludzi pobożnych XVII wieku, iż stała się niemal jego cechą, i twierdzą, że mistycyzm religijny, jeżeli nie prowadzi do zupełnego i szczerego zerwania ze światem, do świętości, kończy się zwykle na takiej sztucznej i fałszywej zgódzie między gorącą modlitwą a złym obyczajem. Czy tak jest istotnie? Że takiej zgody było w owym wieku wiele, to pewna (Jakób II, Ludwik XIV), same Listy Pascala mogą służyć za dowód, że pobożność godziła się z krzywą moralnością. Ale czy było tego złego więcej, niż w innych wiekach? czy wiek XVII miał istotnie ten popęd i charakter mistyczny, który niby ma się wyradzać w taką bezwiedną hypokryzyę?

Jeżeli tak, to w takim razie Lubomirski byłby dobrym reprezentantem tego kierunku, za którym bardzo już naturalnie musiał prawie nastąpić sceptycyzm i materyalizm wieku XVIII. Jeżeli nie, to w każdym razie ciekawy jest jako rzadki rodzaj umysłu; taka dążność filozoficzna i usposobienie sceptyczne w Polsce należą do wyjątków. A jakikolwiek on był, to niezawodnie myślał i rozważał więcej, niż ogromna większość ludzi jego czasu w naszym kraju.

Jako pisarz, nie należy Lubomirski do wielkich i świetnych; czy jako statysta w *Próżności* i *Prawdzie*, czy jako obserwator i praktyczny filozof w *Rozmowach Ewendra*, czy jako pisarz religijny w *Rozmyślaniach*, czy wreszcie jako poeta, w przerobieniu biblijnego Tobiasza, nie ma nic coby mu jako pisarzowi przynajmniej dawało prawo do nazwy polskiego Salomona. Ale w ubogim XVII wieku, a w uboższym jeszcze początku XVIII, pisarz, który rzeczy rozumne mówi w formie niezłej, musi się liczyć do lepszych. Czem jest przedewszystkiem? Jego dziełem najlepszem, najbardziej odpowiadającem celowi są *Rozmowy Artaxesa z Ewandrem*; zatem na powyższe pytanie odpowiedzieć trzeba, że najwłaściwszem dla niego polem były obserwacye, psy-

chologiczne, z życia towarzyskiego, nawet społecznego, czyli praktyczna, empiryczna filozofia. Byłoby więc niejakie podobieństwo między nim a Fredrą, który także na tem polu dokazał najwięcej. Pole może jedno, ale robotnicy zupełnie inni. Fredro jest bystrzejszy, a co najmniej dużo świetniejszy, i bardziej lubi i łatwiej się zdobędzie na formułę, na definicyę, spostrzeżenia swoje nieraz bardzo szczęśliwie ujmie w aksyomat, w przysłowie. Lubomirski o to nie troszczy się wcale; nie o to mu chodzi, żeby z wielu spostrzeżeń wyciągnąć jako wniosek regułę, prawdę nową i powszechną i tę określać; ale o to, żeby znaną odkrytą lepiej zbadać, stwierdzić, poznać, objaśnić, siebie i drugich przekonać. Tamten szuka przedewszystkiem definicyi i formuły, ten prawdy; ztąd tamten często poprzestanie na dobrze brzmiącym paradoksie; ten ze swojej głowy nigdy prawie nic fałszywego nie wydobędzie: tamten bardzo logicznie na pozór, przez sylogizmy, dochodzi z błędnego założenia do błędnego wniosku; ten na pozór nie ma takiej ścisłości w rozumowaniu, ale naprawdę więcej logiki. Tamten jest świetniejszy i bystrzejszy, ten poważniejszy. Ztąd też i sposób rozumowania czy pisania zupełnie różny. U Fredry ucinkowy, aforystyczny, apodyktyczny; Lubomirski zastanawia się długo nad swojem założeniem, dyskutuje, argumentuje obszernie, siebie chce nauczyć i przekonać najpierwej, a innych zawsze tylko przekonać nie olśnić. Jako statystów, równać ich nie można; Fredro traktuje wszystkie kwestye praktyczne, traktuje je (a przynajmniej zdaje mu się, że traktuje) praktycznie; Lubomirski nie wdaje się w żadne szczegóły, nawet wniosków nie stawia, tylko roztrząsa rzeczy najogólniej, i tylko wątpi, ale nic nie radzi, zdaje się, że nic nie chce. Dla pisarza politycznego nagana to największa, i Fredro choć w pojęciach i wnioskach najczęściej błądzi, okazuje więcej pod tym względem zdolności i więcej w literaturze znaczy. Ale Lubomirski,

który nie zakładą sobie za cel, zmian, lub reform w tej lub owej części prawa publicznego polskiego, może dla tego tylko wniosków nie stawia, że nie chce: a to znowu pewna, że w takie pojęcia dziwne i żądania dziwaczne, w takie twierdzenia, jak to naprzykład u Fredry, że „fortece są złe, bo je nieprzyjaciel może zdobyć”, a skarb wtedy najlepszy, kiedy pusty, Lubomirski nie wpada nigdy. Jego „Próżność i Prawda” jest tylko krytyką, tylko negacyą tego, co jest: ale gdyby był afirmacyę stawiał, to ta byłaby może trafniejszą, rozumniejszą, niż u tamtego.

Po za tą literaturą, oddawna i powszechnie znaną, po za pisarzami, którzy ją reprezentują, pozostają jeszcze liczne pisma i nazwiska, które do niej należą; nawet powiedzieć można całe działy literatury, nie wciągnięte do niniejszego jej przeglądu. Takim działem byłyby naprzykład pieśni kościelne, katolickie, z których wiele prawdopodobnie z XVII wieku pochodzi, i protestanckie, w osobnych zbiorach nieraz wydawane. Nie mówimy o nich dlatego, że dochodzenie które pieśni katolickie należą do tego czasu, wnioski jako tako uzasadnione, wymagałyby osobnego i mozolnego badania, na które piszącego nie stać; skutek zaś jego nie wpłynąłby na ogólny obraz tej literatury i sąd o niej. W tych pieśniach bowiem znalazłoby się zapewne szczere uczucie pobożne i patryotyczne, znalazłby się wyraz jego charakterystyczny i sympatyczny; ale charakter i ton nie byłby inny niż w wierszach religijnych tych poetów, których znamy, ani talent tych bezimiennych nie byłby wyższym. Pieśni protestanckie zaś, o ile je z drukowanych zbiorów znamy, ciekawe są przez to jedynie, że noszą na sobie cechę swojego wyznania; ale językiem, stylem, uczuciem, poetycznem natchnieniem nie różnią się od rzeczy powszechnie znanych, ani nad nie nie wznoszą. Jedne jak drugie są jednym szczegółem w literaturze, godnym zbadania i poznania, ciekawym dodatkiem do znajomości wieku:

ale nie tak znaczącym i ważnym, iżby przez jego poznanie zmienić się mógł ogólny sąd, wpłynąć na nasze wyobrażenie o tej literaturze i zmienić je.

Ale są prócz tych wielkie, nieprzebrane zasoby wierszy świeckich, okolicznościowych, miłosnych, politycznych, satyrycznych, lirycznych, ukrytych w licznych Sylwach, lub osobnych rękopisach, a te obejmują całą niemal drugą poezyę tego wieku, nieznaną, przynajmniej tak liczną jak ta, którą znamy, a zdaniem niektórych, od niej wyższą! Tam dopiero przemawia swobodnie i szczerze właściwy duch XVII wieku, tam odbija się jego charakter, tam samorodny humor, i tam jego patryotyczna myśl i patryotyczna boleść, i tam nie jedno imię poety, zapomniane lub nigdy nie znane, a do sławy mające lepsze prawo, niż imię Kochowskiego lub Morsztyna. Są poeci aryanie lub kalwini, i są katolicy, są wielcy dygnitarze i prości ziemianie, wszyscy z oryginalnym charakterem, a niektórzy z niezwykłym, prawie świetnym talentem *).

*) Zdanie, poparte wielką powagą Brücknera, obowiązuje tego, kto o tych przedmiotach mówi, żeby się wytłómaczył, dlaczego w niniejszym zarysie dziejów literatury ogranicza się do tych dzieł i pisarzy, o których wszyscy dawno wiedzą. Że inni dotąd nie wyszli w druku, że ich wiersze rozrzucone są po wielu bardzo miejscach i voluminach, to powód zapewne zły; bo kto się porywa o tych rzeczach pisać, ten powinienby zadać sobie trud poznania wszystkiego, co jest, a przynajmniej prawie wszystkiego. Przyznając to, a wyznając szczerze, bardzo niedostateczną, szczupłą znajomość niewydanych wierszy z XVII wieku, powiemy na swoje usprawiedliwienie to jedno, że w pracy niniejszej chodziło nam głównie o całość, o ciąg tej literatury; nie o nowe odkrycia lub sądy, ale o to, by w świetle, które mamy za prawdziwe, wystawić to, co każdy wiek z kolei uważał za znaczące i ważne w swojej literaturze. Szczegółowe poszukiwania nieznanych wierszy z XVII wieku, wymagałyby tyle czasu i podróży, że same wystarczałyby jako cel pracy na długie lata, a nie dałyby osiągnąć tego celu, jaki był zamierzony; przynajmniej należałoby go odłożyć na czas długi i nie przewidziany.

Czy tak jest istotnie? Powtarzamy tu na końcu te uwagi i wątpliwości, któreśmy już wyrazili na wstępie tego okresu. Nie wątpimy, że gdyby te wszystkie niewydane wiersze wyszły w druku, to inwentarz naszej literatury XVII wieku podwoiłby się może na liczbę. Ale w tej liczbie czy znalazłyby się pomysły, natchnienia lub formy, odmienne od tych, jakie spotykamy u autorów powszechnie znanych? Czy język, styl, smak, byłby lepszy niż u nich? czy choćby w tym samym zakresie pomysłów i form, wiersze te okazywałyby uczucie silniejsze, wyobraźnię żywszą? O ile nasza znajomość tych wierszy wystarcza, to nie widzimy w nich nic, coby pozwalało cenić je wyżej, niż wiersze Kochowskiego lub Morsztyna. Mylnie może, ale widzimy w nich te same cechy i treści i formy, te same złe zwyczaje czy błędy. Myśl jest często dobra, rozsądna, a uczucie zawsze poczciwe. Ale wyraz ich jest rzadko kiedy prawdziwie dobry. Zwykle poeta składa długie zdania i okresy, bo nie ma języka dość w swojej mocy, żeby wypowiedział, co chce, jędrnie i treściwie; zwykle rym sprawia mu trudność, a on albo go bierze bez braku, albo go naciąga, nieraz z gwałtem zadanym gramatyce lub wymowie. Zdarza się to Kochowskiemu i Potockiemu, zdarza się tak samo lub więcej tamtym. To są ludzie, którzy piszą od niechcenia, i nie piszą całkiem źle, ale nie piszą też dobrze; pisać dobrze możeby mogli, gdyby chcieli, gdyby się o to starali; ale o to ani dbają, ani może nie wiedzą, jak się pisze dobrze. Piszą dla siebie, dla swoich przyjaciół, dla przyjemności lub zabawy, uda im się czasem koncept dobry, albo jakaś strofa nacechowana szczerem uczuciem; ale wszystko im jedno, czy to lepsze czy gorsze, bo jakiekolwiek jest, osiągnie swój cel, spodoba się tym, dla których jest przeznaczone, albo ich zabawi. To są wszystko dyletanci, którzy czasem napiszą coś zgrabnie, ale to nie są poeci. Poezya jest sztuką i dlatego nie może być bez trudu, i bez władzy

twórcy nad materyałem, z którego tworzy. Tej żaden z naszych poetów XVIII wieku nie ma w tym stopniu, jaki jest potrzebny: i dlatego wszyscy jak są, choć sympatyczni, a niektórzy nawet bardzo, prawdziwie i zupełnie dobrymi nie są.

Wojna Chocimska, mniejsze poematy Wacława Potockiego, *Pamiętniki Paska*, przez półtora wieku nieznane, wyszły z ukrycia i stały się niezaprzeczenie wielkiemi ozdobami literatury tego wieku. Któż wie, czy w rękopisach nie leży jeszcze takich ozdób więcej? Być może: i pragniemy najszczerzej, żeby ich się znalazło jak najwięcej. Ale nie śmiemy się spodziewać, żeby te dzieła nieznane, a wyrosłe na tym samym gruncie, wydane przez tó samo społeczeństwo, w tym samym okresie czasu, miały w sobie inne pierwiastki, a na sobie inne cechy, jak to, co już jest w naszych rękach. *Wojna Chocimska* jest ozdobą tej literatury; przyznajemy to. Ale czy jest dziełem żyjącem, tak jak żyje do dziś dnia Kochanowski? Czy jej odkrycie zmieniło charakter ówczesnej literatury? Nie; przybyło jedno dzieło szanowne, sympatyczne, świadczące nawet o talencie autora; ale dzieło, które jak inne z tego samego czasu, świadczy, że talent sam nie wystarcza, i nie wystarcza dobre uczucie, jeżeli przy nich znajdzie się niedbałość w sztuce, lub nieznajomość sztuki. Pragniemy najszczerzej, żeby wyszło na jaw to wszystko, co się dotąd w rękopisach ukrywa; ale czy literatura XVII wieku będzie wyglądała inaczej, będzie robiła inne wrażenie, będzie miała wyższe stanowisko, jeżeli wydrukujemy wszystkie po kolei *Ermidy* i *Alwarezy*? Nie; ilość tylko się powiększy, jakość zostanie ta sama.

Literatury pierwotne, instynktowe, nie pisane, nie podlegają prawu i żądaniom sztuki; względem takich, byłoby ono niesprawiedliwem. Ale poezya społeczeństw oświeconych, poezya, która ma za sobą całą przeszłość

i druku, i artystycznego wykształcenia, i wreszcie dzieł znakomitych, ta musi być sztuką, musi mieć dobrą formę, musi mieć warunki piękności, jeżeli ma siebie i swoje społeczeństwo utrzymać na tym stopniu wykształcenia i cywilizacyi, jaki już osiągniętym był; o tem już nie mówiąc, że powinna iść w górę, wyżej, przynajmniej o to się starać. Poezya polska wieku XVI znosi porównanie ze współczesnemi zagranicznemi, a niektóre z nich (francuską i niemiecką) przewyższa: w wieku XIX ona nie ustępuje żadnej. Porównajmy naszych poetów wieku XVII, nie już z Miltonem, ale z Francuzami, czy oni to porównanie wytrzymają? Przypuśćmy nowe odkrycia, to te, jeżeli nie będą wyższe i o wiele wyższe od wszystkich do dziś dnia znanych poetów tego czasu, stosunku tego nie zmienią i na to nie pomogą, że poezya ta, w porównaniu z tem czem była, jest w upadku.

I podobnie wszystkie inne działy literatury. Dziejopisarstwo trzyma się nieźle, ale Kochowski jest niższy od Piaseckiego, oba są niżsi od Heidensteina. A o tym postępie, jaki współcześnie robi historya innych narodów, u nas nie słychać. Przed stu laty można było śmiało mierzyć Modrzewskiego z Bodinem; teraz nasi pisarze polityczni albo powtarzają to, co przed nimi mówili już inni, albo robią (Fredro) apoteozę naszych instytucyj. Przez to są bardzo ciekawi, ale tracą ten charakter reformacyjny, to zrozumienie i pragnienie poprawy Rzeczypospolitej, które było zasługą i chwałą ich poprzedników. Jest w tych pisarzach dusza, jest miłość ojczyzny, są (w niektórych) wyraźne i nawet dość silne znaki talentu, jest dużo ciekawych, nauczających, nieraz sympatycznych, śladów i znamion ich czasu. Przez to jest ten okres wyższy, szlachetniejszy, od tego, który po nim bezpośrednio nastąpi. Ale od wieku XVI cofnęliśmy się w tył. Są jeszcze błyski za-

chodzącego słońca, ale jest już zmierzch; i to nie ten, który zapowiada nowy dzień, tylko ten, za którym idzie ciemna noc. Na to nie poradzimy, i tego nie zdołamy dowodzeniem zbić, że literatura tych czasów jest literaturą w upadku.

KONEC TOMU DRUGIEGO.

DZIEŁA I ROZPRAWY

używane przy pisaniu tomu drugiego.

Historya.

Szujski. Dzieje Polski podług ostatnich badań spisane. Lwów 1862—66, 4 tomy.

— Opowiadania i roztrząsania historyczne. Kraków 1876—82.

Bobrzyński. Dzieje Polski w zarysie, 3 wydanie. Warszawa 1887.

Smolka. Austryacka polityka Zygmunta III. Kraków 1889.

Walewski. Historya wyzwolenia Polski za panowania Jana Kazimierza. Kraków 1866—68, 2 t.

— Historya wyzwolonej Rzeczypospolitej, wpadającej pod jarzmo domowe za panowania Jana Kazimierza. Kraków 1870—72. 2 t.

Szajnocha. Szkice historyczne. Lwów 1854—69. 4 t.

— Dwa lata dziejów naszych 1646 i 1648. Lwów 1865—69. 2 t.

Kubala. Szkice historyczne. Lwów 1880. 2 t.

— Jerzy Ossoliński. Lwów 1883. 2 t.

Czermak. Sprawa Lubomirskiego. Warszawa 1885—86. (*Ateneum*).

Korzon. Dola i niedola Sobieskiego. Warszawa 1898.

Hist. literatury.

Estreicher. Bibliografia polska. Kraków 1870—90. 11 t.

Wiszniewski. Historya literatury polskiej. Kraków 1840—57. 10 t.

Mickiewicz. Literatura słowiańska. Poznań 1865. 4 t.

Spasowicz. Dzieje literatury polskiej. 3 wyd. Kraków i Warszawa 1891.

Chmielowski. Historya literatury polskiej. Warszawa 1898 — 99. Dotąd 2 tomy.

Mecherzyński. Historya wymowy w Polsce. Kraków 1858 — 60. 3 tomy.

Siemieński. Portrety literackie. Poznań 1865—75. 4 t.

Brückner. Skarby dawnej poezyi polskiej. Warszawa 1898 (*Biblioteka Warsz.*).

Miaskowski.

Rymarkiewicz. Wiadomości o życiu i pismach Miaskowskiego (*Zbiór rytmów Melchiora Kaspra Miaskowskiego*). Poznań 1855.

Przyborowski. Rodzina Kaspra Miaskowskiego. Poznań 1862 (*Tygodnik Poznański*).

Sienkiewicz. Kasper Miaskowski. Warszawa 1870 (*Tygodnik Illustrowany*).

Wierzbicki. Żywot Kaspra Melchiora Leliwity Miaskowskiego. Wadowice 1893 (*Sprawozdanie gimnazyum*).

Dziama. Zapatrywania polityczne Kaspra Miaskowskiego. Poznań 1895. (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk* t. XXI).

Szymonowicz.

Węclewski. Sielanki Szymona Szymonowicza (z życiorysem i komentarzami). Chełmno 1864.

Szyperski. De Simonis Simonidis vita. Wrocław 1865.

Tyszyński. Szymonowicz i jego Sielanki. Warszawa 1875 (*Wizerunki polskie*).

Bielowski. Szymon Szymonowicz. Kraków 1875 (*Pamiętnik Akad. Umiejętności, Wydz. filolog. i histor.-filoz.* t. II).

Konarski. Przyczynek do biografii Szymona Szymonowicza. Lwów 1880 (*Przewodnik nauk. i liter.*).

Chrzanowski. Tragedya Szymona Szymonowicza Castus Joseph w stosunku do literatury obcej. Warszawa 1892 (*Ateneum*).

Hahn. Kilka przyczynków do pism Szymona Szymonowicza. Castus Joseph. Warszawa 1892 (*Ateneum*).

Kallenbach. Szymonowicza dramat Castus Joseph. Kraków 1892 (*Rozprawy Wydz. filolog. Ak. Um.* t. XVII).

Hahn. Nieznany wiersz łaciński Szymonowicza. Lwów 1894 (*Eos*).

Uranowicz. Żywot Szymona Szymonowicza Bendońskiego. Złoczów 1894.

Przyborowski. Kilka nieznanych listów Szymona Szymonowicza. Warszawa 1895 (*Biblioteka Warszawska*).

Hahn. Pentesilea, dramat Szymona Szymonowicza. Lwów 1895 (*Muzeum*).

— Szymon Szymonowicz jako filolog. Lwów 1897 (*Przewodnik nauk. i liter.*)

P. Kochanowski.

Chlebowski. Przekład Jerozolimy Tassa Piotra Kochanowskiego. Warszawa 1890 (*Ateneum*).

Żółkiewski.

Szajnocha. Mściciel, opowiadanie o Janie III. Żytomierz 1860.
Gołębiowski. Hetman Żółkiewski. Warszawa 1852 (*Biblioteka Warszawska*).

Petrycy.

Sobieszczański. Encyklopedya powszechna, t. XX. Warszawa 1865.

P. Zbylitowski.

Sobieszczański. Encyklopedya powszechna, t. XXVIII. Warszawa 1868.

Starowolski.

Tyszyński. Szymon Starowolski. Warszawa 1871 (*Biblioteka Warszawska*).
— Toż, Wizerunki polskie. Warszawa 1875.
Przyborowski. Kilka szczegółów do życiorysu Szymona Starowolskiego. Warszawa 1889 (*Bibl. Warsz.*).
Wierzbowski. Simonis Starovolscii elenchus operum. Warszawa 1894.
Dobrzycki. Program naprawy Rzeczypospolitej w XVII wieku. (Rozmowa plebana z ziemianinem 1641). Warszawa 1897 (*Ateneum*).

Twardowski.

Chlebowski. Samuel ze Skrzypny Twardowski. Warszawa 1872 (*Tygodnik illustrowany*).
— Nadobna Pasqualina. Warszawa 1884 (*Tygodnik illustr.*).
Bełcikowski. Ze studyów. Warszawa 1886.
Czechowski. Samuels von Skrzypna Twardowski. Wojna domowa. Inauguraldissertation. Poznań 1894.
— Samuela ze Skrzypny Twardowskiego Miscellanea selecta. Poznań 1896 (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk* t. XXII).

Sz. Zimorowicz.

Felsztyński. Bracia Zimorowicze. Przemyśl 1857 (*Sielanki Jana Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów*, wyd. Turowskiego).
Heck. Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów Ozimków. Kraków 1894 (*Rozpr. Wydz. filolog. Akad. Umiej.* t. XXIII).
— Materyały do biografii Szymona Zimorowicza Ozimka. Kraków 1895 (*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, t. VIII).

Birkowski.

Ossoliński. Wiadomości historyczno-krytyczne t. I. Kraków 1819.
Mecherzyński. Historya wymowy w Polsce, t. II. Kraków 1858.

Barącz. Rys dziejów zakonu kaznodziejskiego, t. II. Lwów 1881.
Krukowski. Rozbiór krytyczny kazań na niedziele i święta doroczne przez ks. Fabiana Birkowskiego napisanych. Włocławek 1898 (*Homiletyka*).

Teatr.

Wójcicki. Teatr starożytny w Polsce. Warszawa 1841. 2 t.
Estreicher. Teatry w Polsce. Kraków 1873—79. 3 t.
Windakiewicz. Pierwsze kompanie aktorów w Polsce. Kraków 1893.
— Teatr Władysława IV. Kraków 1893.
Chmielowski. Nasza literatura dramatyczna. Warszawa 1898.

Łubieński.

Wiszniewski. Historya literatury polskiej, t. VII. Kraków 1845.
Ossoliński. Stanisław Łubieński. Lwów 1852 (*Wiadomości historyczno-krytyczne* t. IV).
Sobieszczański. Encyklopedya powszechna, t. XVII. Warszawa 1864.

Piasecki.

Ossoliński. Paweł Piasecki. Kraków 1819 (*Wiadomości historyczno-krytyczne*, t. II).
Bartoszewicz. Paweł Piasecki (studyum). Kronika Pawła Piaseckiego. Kraków 1870.
Adamowicz. Kronika Piotra (!) Piaseckiego. Warszawa 1871 (*Bibliot. Warszaw.*).
Szelągowski. Paweł Piasecki, historyk polski XVII wieku, studyum nad kroniką i życiem jej autora. Lwów 1898 (*Przewodnik nauk. i liter.*).

St. A. Radziwiłł.

Mecherzyński. Historya wymowy w Polsce, t. III. Kraków 1860.

Siemek.

Sobieszczański. Encyklopedya powszechna, t. XXIII. Warszawa 1866.

Ł. Opaliński.

Grochowski. Encyklopedya powszechna, t. XIX. Warszawa 1865.

K. Opaliński.

Szajnocha. Krzysztof Opaliński (*Szkice*, t. III). Lwów 1861.
Grochowski. Krzysztof Opaliński. Warszawa 1863 (*Tygodnik illustrowany*).
Bem. Słowo o Satyrach Opalińskiego. Niwa 1873.
Belcikowski. O satyrykach polskich XVII wieku. Warszawa 1886 (*Ze studyów*).

Mandybur. Krzysztof Opaliński jako pisarz satyryczny. Jarosław 1889.

Dobrzycki. Krzysztof Opaliński jako statysta. Warszawa 1898 (*Bibl. Warsz.*).

A. Morsztyn.

Małecki. Andrzej Morsztyn. Petersburg 1859 (*Pismo zbiorowe Ohryzki*).

Siemieński. Andrzej Morsztyn (*Portrety literackie I*). Poznań 1867.

Seredyński. Andrzeja Morsztyna niewydane poezye (ze wstępem i uwagami). Kraków 1875 (*Rozprawy Wydz. filolog. Ak. Um.* t. II).

Świderski. Jędrzej Morsztyn. Lwów 1878 (*Przew. nauk.* i *liter.*).

Nehring. Psyche Andrzeja Morsztyna (*Studya*). Poznań 1884.

Bełcikowski. Andrzej Morsztyn, poeta romantyczny XVII wieku. Warszawa 1886 (*Ze studyów*).

Zawiliński. Notatki do biografii Jana Andrzeja Morsztyna. Warszawa 1893 (*Bibl. Warsz.*).

Deiches. Koniec Morsztyna. Kraków 1894.

Porębowicz. Notatki do biografii Jana Andrzeja Morsztyna. Lwów 1894 (*Kwartalnik historyczny*).

— Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezyi polsklej. Kraków 1894 (*Rozpr. Wydz. filolog. Ak. Um.* t. XXI).

Małecki. Jan Andrzej Morsztyn i jego imiennicy (*Z dziejów literatury, pisma pomniejsze*). Lwów 1896.

Kochowski.

Rzążewski. Wespazyan Nieczuja z Kochowa Kochowski. Warszawa 1871.

Kaczkowski. O Klimakterach Wespazyana Kochowskiego. Kraków 1883 (*Dzieła*).

Nehring. Wespazyan Kochowski i jego liryki (*Studya*). Poznań 1884.

Dziama. Zapatrywania religijne Wespazyana Kochowskiego. Kraków 1894 (*Przegląd powszechny*).

-- Wespazyana Kochowskiego Psalmodya polska. Kraków 1896. (*Sprawozdanie gimn. św. Jacka*).

Rybarski. Przyczynek do życiorysu Wespazyana Kochowskiego i jego rodziny. Warszawa 1897 (*Ateneum*).

Potocki.

Szajnocha. Szkice I. Lwów 1853.

Gruszczyński. Wojna chocimska Wacława Potockiego. Poznań 1860.

Mecherzyński. O poemacie Wojna chocimska. Warszawa 1861 (*Bibl. Warsz.*).

Nabielak. Wacław Potocki i jego Argenida. Lwów 1863 (*Biblioteka Ossolińskich*, t. II).
Bełcikowski. Wacław z Potoka Potocki. Kraków 1868 (*Przegląd Polski*).
Mecherzyński. Wiadomości o Wetach parnaskich Wacława Potockiego. Kraków 1868.
Chotkowski. Wacław Potocki i jego pisma. Poznań 1876.
Chlebowski. Wacław Potocki jako autor Wojny chocimskiej. Warszawa 1882 (*Ateneum*).
Bełcikowski. Ze studyów. Warszawa 1886.
Chmielowski. Zapomniany poemat (*Studya i szkice I*). Kraków 1886.
Plebański. Pieśni Wacława Potockiego. Warszawa 1890 (*Bibl. Warsz.*).
Czubek. Wacław z Potoka Potocki, nowe szczegóły do życia poety. Kraków 1895 (*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, t. VIII).
Brückner. Ostatnie lata Wacława Potockiego, w lat dwieście po zgonie poety. Warszawa 1896 (*Bibl. Warsz.*).
— Spuścizna rękopiśmienna po Wacławie Potockim. Kraków 1898 (*Rozpr. Wydz. filolog. Akad. Um.*, t. XXVII).

B. Zimorowicz.

Felsztyński. Bracia Zimorowicze (Sielanki Józefa Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów, wyd. Turowskiego). Przemyśl 1857.
Nogaj. Wpływ poetów łacińskich na Sielanki Józefa Bartłomieja Zimorowicza, Kraków 1886.
— Rozbiór krytyczny Sielanek Józefa Bartłomieja Zimorowicza. Lwów 1887.
Heck. Życie i dzieła Bartłomieja i Szymona Zimorowiczów Ozimków. Kraków 1894 (*Rozp. Wydz. filolog. Ak. Um.*, t. XXIII).
— Materyały do biografii Józefa Bartłomieja Zimorowicza Ozimka część I. Kraków 1895 (*Archiwum do dziejów literatury i Oświaty w Polsce*, t. VIII).
— Józef Bartłomiej Zimorowicz, burmistrz, poeta i kronikarz lwowski. Lwów 1897.
Czermak. Przyczynek do biografii Józefa Bartłomieja Zimorowicza. Warszawa 1896 (*Bibl. Warsz.*).

Gawiński.

Pauli. Poezye Jana Gawińskiego (wstęp). Lwów 1843.
Seredyński. Jana z Wielomowic Gawińskiego pisma pozostałe. Kraków 1882 (*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, t. II).

Biegeleisen. Niedrukowane poezye Gawińskiego. Warszawa 1882 (*Bibl. Warsz.*).

Fredro.

Chmielowski. Andrzej Maksymilian Fredro. Warszawa 1887 (*Encyklopedya wychowawcza*, t. IV).

St. H. Lubomirski.

Brodziński. Listy o literaturze polskiej. Pisma. Poznań 1872—74.
Mecherzyński. Historya wymowy w Polsce, t. III. Kraków 1860.
Bartoszewicz. Encyklopedya powszechna, t. XVII. Warszawa 1864.

Młodzianowski.

Hołowiński. Homiletyka. Kraków 1859.
Mecherzyński. Historya wymowy w Polsce, t. III. Kraków 1860.
Jagodziński. Encyklopedya kościelna, t. XIV. Warszawa 1881.
Sas. Ksiądz Tomasz Młodzianowski i jego kazania. Kraków 1796 (*Przegląd powszechny*).

Rudawski.

Spasowicz. Wiadomości o Rudawskim (*Pisma* t. I). Petersburg 1891.

Pasek.

Rybarski. Nowe dokumenty do Jana Chryzostoma Paska. Warszawa 1878 (*Ateneum*).
Chlebowski. Jan Chryzostom Pasek i jego Pamiętniki. Warszawa 1879 (*Tygodnik illustrowany*).
Biegeleisen. Rozbiór krytyczny Pamiętników Jana Chyzostoma Paska. Lwów 1884 (*Przew. nauk. i liter.*).
Kraushar. Nowe epizody z ostatnich lat życia Imci pana Jana Chyzostoma z Gosławic Paska. Warszawa 1891 (*Ateneum*).
— Stryj Imci pana Paska. Warszawa 1896 (*Ateneum*).
Gabrynowicz. Jana Chryzostoma Paska Pamiętniki, nowe wydanie krytyczne (wstęp). Lwów 1898.

SPIS TREŚCI.

